

Pearl S. Buck  
CESARZOWA

Przełożył Krzysztof Schreyer  
Tytuł oryginału: *Imperial Woman*  
Data wydania oryginalnego 1956  
Data wydania polskiego 1994

### O Pearl S. Buck

*Pearl Buck (z domu Sydenstricker) urodziła się 26 czerwca 1892 r. w Hillsboro w Zachodniej Wirginii, ale znaczną część swego życia spędziła w Chinach. Była córką misjonarza presbiteriańskiego, którzy wkrótce po jej narodzinach wyjechali wraz z nią do Państwa Środka. Wbrew zwyczajom osiedlili się z dala od misji, w głębi Chin - dzięki temu mała Pearl opanowała język chiński, zanim zaczęła mówić po angielsku. W 1900 r. rodzina Sydenstrickerów przeniósł się do Szanghaju, chroniąc się przed zamieszkami spowodowanymi rewolucją Bokserów (I Ho Tuan). Tu właśnie nastąpił debiut Pearl - jako kilkunastoletnia dziewczynka zaczęła publikować swoje literackie próbki w Shanghai Mercury, ucząc się jednocześnie pod kierunkiem chińskiego uczonego Kunga historii Chin, podstaw konfucjanizmu, a także chińskiego języka pisanego. Chiny opuściła tylko na krótko, by kontynuować naukę w Randolph-Macon College w Lynchburg, gdzie w 1914 r. otrzymała bakalaureat. Potem powróciła do Chin i w 1917 r. wyszła za mąż za Amerykanina Johna L. Bucka. Państwo Buck zamieszkali w jednej z północnych prowincji Państwa Środka, a później przenieśli się do Nankinu, gdzie Pearl Buck wykladała na uniwersytecie historię literatury angielskiej. W Chinach pozostała aż do roku 1934, kiedy to ze względu na zaostrzającą się sytuację polityczną w tym kraju podjęła decyzję powrotu do USA, gdzie pozostała już do swej śmierci w 1973 r.*

*Lata spędzone w Państwie Środka zaowocowały jednak w jej twórczości. Znaczna część bogatego dorobku literackiego Pearl Buck (wydała ponad 50 powieści) poświęcona jest właśnie Chinom. Z rzadkim zrozumieniem opisywała ten mało znany i trudno dostępny zachodniemu czytelnikowi region świata. Jej powieści nasycone są bogactwem szczegółów, znajomością mentalności i wrażliwości mieszkańców tego kraju.*

*Jej twórczość zyskała sobie ogromną popularność wśród czytelników całego świata. Pearl Buck była jedną z najczęściej tłumaczonych pisarek amerykańskich w historii tego kraju, a jej powieści osiągały milionowe nakłady. Była przy tym autorką cenioną przez krytyków. Otrzymała wiele prestiżowych nagród - w 1932 r. nagrodę Pulitzera za powieść Ziemia błogosławiona, w 1935 Medal im. Williama Deana Howellsa za najlepsze dzieło literatury amerykańskiej w latach 1930-35, a w 1938 Komitet Literatury Szwedzkiej Akademii Nauk przyznał jej nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.*

*Cesarzowa to jedna z ciekawszych powieści w dorobku Pearl Buck. Jest to fascynująca opowieść o ostatniej wielkiej władczyni Chin - cesarzowej Tz'u Si, która włądała Państwem Środka w latach 1862-1908. W historii Chin był to okres niezwykle burzliwy -*

*nasilała się ekspansja mocarstw zachodnich, które usiłowały narzucić temu krajowi swoją dominację. Był to także okres wewnętrznych zamieszek wstrząsających imperium - Rewolucji Tajpingowskiej, która stawiała sobie za cel obalenie dynastii mandżurskiej władającej Chinami od ponad dwustu lat, i Rewolucji Bokserów skierowanej przeciwko wzrastającej dominacji obcych potęg. Wydarzenia te stanowią tło powieści, w której autorka stara się przede wszystkim stworzyć portret cesarzowej Tz'u Si - energicznej, ambitnej i przebiegłej kobiety, która musiała przejść długą drogę, zanim osiągnęła pełnię władzy, zanim z nic nie znaczącej nałożnicy stała się władczynią wielomilionowego narodu. Pearl Buck z wielkim wyczuciem i znajomością psychiki ludzi Wschodu odśladania przed czytelnikiem motywy kierujące poczynaniami cesarzowej, tworząc porywającą opowieść o władzy, intrygach i spiskach, które prowadzą do jej zdobycia, o cenie, jaką trzeba za nią zapłacić.*

## Jehonała

Kwiecień, czwarty miesiąc roku słonecznego 1852, trzeci miesiąc roku księżycowego, dwieście ósmy rok panowania w Chinach wielkiej dynastii mandzurskiej. W Pekinie wiosna tego roku nadeszła późno i północne wiatry niosące ładunek drobnego, żółtego piasku z pustyni Gobi wiały zimowym chłodem nad szczytami domów. Piasek opadał na ulice, tworzył wiry i przenikał przez drzwi i okna. Osadzał się w rogach pokoi, kładł się na stołach, krzesłach i w fałdach odzieży, zasychał na policzkach płaczących dzieci i w zmarszczkach starców.

W mandzurskim domu chorążego Muyangi, w Alei Cynowego Dzbana piasek dokuczał bardziej niż zwykle, bowiem okna nie były szczelnie dopasowane, a drzwi wisały luźno w drewnianych zawiasach. Tego właśnie poranka Orchideę, najstarszą córkę zmarłego brata Muyangi, obudził hałas wiatru i skrzypiącego drzewa. Usiadła na wielkim chińskim łożu, które dzieliła ze swą młodszą siostrą, i skrzywiła się, ujrawszy piasek, który leżał na kołdrze jak pofarbowany śnieg. W jednej chwili, miękko, aby nie obudzić śpiącej, wywinęła się z pościeli. Poczowała pod gołymi stopami na podłodze piasek i westchnęła. Dopiero wczoraj wymiotła do czysta cały dom, a teraz, skoro tylko wiatr ucichnie, znów trzeba będzie zamiatać.

Orchidea, dziewczyna ładna, sprawiała wrażenie wyższej, niż była w istocie, z powodu swej szczupłości oraz tego, że zawsze trzymała się prosto. Rysy miała wyraziste, ale nie pospolite - prosty nos, czysta linia brwi, ładnie rzeźbione, niezbyt małe usta. Jednak jej piękno kryło się przede wszystkim w oczach. Były podłużne, wielkie, niezmiernie czyste, z wyraziście obrysowanymi, czarnymi źrenicami. Lecz piękno to nie miałyby znaczenia bez wrodzonej energii i inteligencji, które mimo że była jeszcze bardzo młoda, ożywiały całą jej istotę. Potrafiła panować nad sobą, a miękkość ruchów i pełne spokoju zachowanie świadczyły o jej sile.

Zwinnie i bezszelestnie ubrała się w szarym od piasku, porannym świetle i odchylając niebieską, jedwabną zasłonę, która oddzielała sypialnię, weszła do głównego pokoju, a z niego do przylegającej doń małej kuchenki. Z wielkiego żelaznego kotła na glinianym piecu unosiła się para.

- Lu Ma - pozdrowiła służącą. - Wstałaś dziś wcześniej. - Jej miły, rozsądnie ściszony i nad wyraz uprzejmy ton świadczył o opanowaniu.

Zza kotła odpowiedział skrzeczący głos:

- Nie mogłam spać, panienko. Cóż my pocniemy, kiedy nas opuścisz?

Orchidea uśmiechnęła się.

- Cesarzowa wdowa może mnie nie wybrać - moja kuzynka Sakota jest ode mnie daleko ładniejsza.

Zerknęła za piec. Lu Ma siedziała w kucki i starała się podsycać ogień wiązkami suchej trawy, wykorzystując każdy listek tego skałego opału.

- Zostaniesz wybrana. - Staruszka powiedziała to tonem zdecydowanym i smutnym wylaniając się zza pieca. Wyglądała na zatroskaną. Była niską, zgarbioną Chinką w jedwabnym, niebieskim odzieniu, wyblakłym i połatanym, ze skrępowanymi kikutami stóp, z twarzą zaciągniętą siecią zmarszczek obrysowanych bladym piaskiem. Piasek pokrywał też jej siwe włosy, oszraniał brwi i brzeg górnej wargi.

- Ten dom zginie bez ciebie - biadoliła. - Twoja siostra nie zaceruje nawet szwu, który się rozszedł, bo zawsze wszystko za nią robiłaś. Ci chłopcy, twoi bracia, potrafią w ciągu miesiąca znieść do szczytu jedną parę butów. A co z twoim krewnym Jung Lu? Czy od dzieciństwa nie jesteś z nim prawie zaręczona?

- Poniekąd jesteśmy zaręczeni - odpowiedziała Orchidea tym samym, niezmiennie miłym głosem.

Wzięła ze stołu miednicę i żelazną chochlą, która leżała na blacie pieca, naląła do niej gorącej wody z kotła. Następnie sięgnęła po mały, szary ręcznik wiszący na ścianie, zanurzyła go w gorącej wodzie, wyżeła prawie do sucha i przetrła nim twarz i szyję oraz nadgarstki i dłonie. Kiedy jej gładka, owalna twarz zaróżowiła się od wilgotnego ciepła, spojrzała w maleńkie, kilkucalowe lustro wiszące nad stołem. Mogła w nim dostrzec tylko swoje niezwykle, żywe i ciemne oczy. Zawsze była z nich dumna, chociaż nigdy nie pozwoliła sobie tego okazać. Kiedy sąsiadki mówiły o jej brwiach podobnych do skrzydełek ćmy i o oczach jak listki, zdawała się nie słuchać. Ale słyszała.

- No, no - powiedziała staruszka, wpatrując się w nią. - Zawsze mówiłam, że niesiesz z sobą własne przeznaczenie. Ono jest w twoich oczach. Musimy być posłuszni cesarzowi, Synowi Niebios. A kiedy zostaniesz cesarzową, mój klejnocie, nie zapomnisz o nas i będziesz nam zawsze pomagała.

Orchidea zaśmiała się miękko i powściągliwie.

- Będę tylko konkubiną, jedną z setek!

- O tym, kim będziesz, zadecydują niebiosy - oświadczyła staruszka. Wyżeła ręcznik i powiesiła go na gwoździu. Następnie uniosła miskę, podeszła do drzwi i uważnie wylała wodę na zewnątrz.

- Ułóż włosy, panienko - powiedziała. - Jung Lu przyjdzie dziś wcześniej rano.

Powiedział, że być może będzie dziś posłańcem złotych wezwań.

Orchidea nie odpowiedziała, lecz z właściwym sobie wdziękiem weszła do sypialni. Jej siostra, delikatny kształt lekko zaokrąglony pod kołdrą, jeszcze spała. Orchidea rozpuściła cicho długie, czarne włosy i rozczesywała je drewnianym chińskim grzebieniem, nasyonym wonnym olejkiem z drzewa kasji. Potem splotła je w dwa zawoje nad oczami, wpinając w każdy z nich kwiatek z drobnych perełek otoczonych liśćmi z zielonego szmaragdu.

Zanim skończyła, usłyszała w przyległym pokoju kroki swego krewniaka Jung Lu, a następnie jego głos, głęboki nawet jak na mężczyznę, pytający o nią. Po raz pierwszy w życiu nie wyszła do niego natychmiast. Byli z rodu mandzurskiego, więc nie rozdzielało ich stare chińskie prawo i chiński zwyczaj, które zabraniały spotykania się przeciwnych płci po przekroczeniu siódmego roku życia. Jung Lu i ona byli towarzyszami zabaw w dzieciństwie, a gdy wyrosli z dzieciństwa, stali się zaprzyjaźnionymi kuzynami. Teraz był on strażnikiem bram Zakazanego Miasta i ze względu na swą służbę nie mógł często przychodzić do domu Muyangi. Zawsze jednak pojawiał się w święta i urodziny, a podczas ostatniego chińskiego święta Powitania Wiosny, dwa miesiące temu, rozmawiał z nią o małżeństwie.

Tamtego dnia ani go nie odrzuciła, ani też nie przyjęła. Ze swym olśniewającym uśmiechem na twarzy powiedziała:

- Nie powinienes zwracać się do mnie, lecz do mego stryja.
- Jesteśmy kuzynami - przypomniał jej.
- W trzecim pokoleniu - odparła.

Tak więc odpowiedziała mu, nie mówiąc tak i nie mówiąc nie, i teraz, mając w pamięci tamten dzień, a myślała o nim zawsze, odsunęła zasłonę. Stał w głównym pokoju, wysoki, mocny, rozstawiając szeroko stopy. Każdego innego dnia zdjąłby czapkę z rudych lisów, a może nawet i płaszcz, ale dziś stał, jak ktoś obcy, trzymając w ręce pakiet owinięty w żółty jedwab.

Spostrzegła to natychmiast, a on wiedział, że to spostrzegła. Odczytali wzajemnie swoje myśli, jak zawsze.

Powiedział tylko:

- Poznajesz cesarskie wezwania.
- Głupotą byłoby tego nie wiedzieć - odpowiedziała.

Nigdy nie zwracali się do siebie oficjalnie ani nie używali zwrotów grzecznościowych, nie mówili też banałów właściwych rozmowom między kobietą i mężczyzną. Znali się zbyt dobrze.

Teraz spytał, wpatrując się intensywnie w jej oczy:

- Czy mój krewny Muyanga wstał już?

Odpowiedziała, nie opuszczając wzroku pod jego spojrzeniem: - Wiesz przecież, że nie wstaje do południa.

- Dziś musi wstać - odparł Jung Lu. - Potrzebuję jego podpisu jako twego opiekuna zastępującego ci ojca.

Odwróciła głowę i zawołała:

- Lu Ma, obudź mego stryja! Jung Lu musi otrzymać jego podpis, zanim powróci do pałacu.

- No, no - westchnęła staruszka.

Orchidea wyciągnęła rękę.

- Pokaż mi ten pakiet.

Jung Lu przecząco potrząsnął głową.

- Przeznaczony jest dla Muyangi.

Opuściła rękę.

- A jednak wiem, o czym mówi pismo. Za dziewięć dni mam udać się do pałacu wraz z moją kuzynką Sakotą.

Jego czarne oczy osadzone pod ciężkimi brwiami błysnęły.

- Kto ci o tym wcześniej powiedział?

Na wpół skrywając swe długie oczy pod prostymi, czarnymi rzęsami, odwróciła od niego wzrok.

- Chińczycy wiedzą o wszystkim. Przystanęłam wczoraj na ulicy, aby przyjrzeć się ich wędrownym aktorom. Grali *Cesarską Konkubinę* - tę starą sztukę. Trocheja uaktualnili. W sztuce mówi się, że w dwudziestym dniu szóstego miesiąca dziewice rodów mandżurskich muszą pokazać się matce Syna Niebios. Ile nas jest w tym roku?

- Sześćdziesiąt - odpowiedział.

Uniosła swe proste, długie i czarne rzęsy znad onyksowych oczu.

- Jestem jedną z tych sześćdziesięciu?

- Nie mam najmniejszej wątpliwości, że ostatecznie będziesz pierwszą z nich - powiedział.

Jego głos, tak głęboki i tak spokojny, wniknął w jej serce z siłą proroctwa.

- Gdziekolwiek będę - powiedziała - ty będziesz przy mnie. Będę się tego domagała. Czyż nie jesteś moim krewnym?

Znów wpatrzyli się w siebie, zapominając przez chwilę o wszystkim. Rzekł poważnie, jak gdyby niczego nie powiedziała:

- Przyszedłem, aby prosić twego opiekuna o pozwolenie poślubienia ciebie. Teraz nie wiem, co mi odpowie.

- Czy może odrzucić cesarskie wezwanie? - spytała.

Odwrociła od niego spojrzenie i ze spokojnym wdziękiem podeszła do długiego stołu z czarnego drewna, który stał przy ścianie. Między dwoma wysokimi, miedzianymi świecznikami, pod malowidłem świętej góry Wu Taj, kwitły w wazonie żółte orchidee.

- Otworzyły się dziś rano. Cesarski kolor. To wróżba - wyszeptała.

- Wszystko jest teraz wróżbą w twojej głowie - odpowiedział.

Odwrociła się i spojrzała na niego. Jej czarne oczy rozbłysły gniewem. - Czyż nie jest moim obowiązkiem służyć cesarzowi, jeśli zostanę wybrana?

Oderwała od niego spojrzenie i powiedziała swym zwykłym, cichym i grzecznym głosem:

- Jeśli nie zostanę wybrana, oczywiście zostanę twoją żoną.

Do pokoju weszła Lu Ma, spojrzała badawczo na obie młode twarze.

- Twój stryj już się obudził, panienko. Mówi, że posiłek zje w łóżku. Tymczasem twój krewny może wejść.

Odeszła i po chwili z kuchni dobiegły odgłosy krzątania. Dom powoli nabierał życia. Obaj chłopcy sprzeczali się na zewnętrznym podwórzu, w pobliżu furtki prowadzącej na ulicę. Z sypialni słychać było błagalne wezwania młodszej siostry:

- Orchideo, starsza siostrze! Nie czuję się dobrze! Boli mnie głowa...

- Orchidea - powtórzył Jung Lu. - Teraz to imię jest dla ciebie zbyt dziecinne.

- Ale to jest wciąż moje imię! - tupnęła nogą. - I dlaczego stoisz? Spełnij swój obowiązek, a ja spełnię swój.

Opuściła go gwałtownie. Stał patrząc, jak odrzuca zasłonę i pozwala jej opaść za sobą.

W tej krótkiej chwili gniewu podjęła jednak ostateczną decyzję. Pójdzie do Miasta Cesarskiego i zostanie, musi zostać wybrana. W jednej chwili rozstrzygnęły się jej długie wewnętrzne zmagania. Zostać żoną Jung Lu, matką jego dzieci - byłoby ich wiele, bo oboje są namiętni - czy cesarską konkubina? Ale Jung Lu kocha tylko ją, ona natomiast kocha jego i coś jeszcze. Cóż takiego? Dowie się o tym w dniu cesarskiego wezwania.

Dwudziestego pierwszego dnia szóstego miesiąca księżycowego obudziła się w Zimowym Pałacu cesarskiego miasta. Jej pierwszą myślą była ta, z którą zasnęła tej nocy:

„Jestem między murami Miasta Cesarza!”

Noc minęła. Nadszedł dzień, wielki i doniosły dzień, na który czekała potajemnie od czasu, kiedy była jeszcze małym dzieckiem i widziała, jak starsza siostra Sakoty opuszcza na



zawsze dom, by zostać cesarską małżonką. Siostra Sakoty zmarła, zanim mogła zostać cesarzową, i nikt z rodziny nigdy już jej nie zobaczył. Ale ona, Orchidea, będzie żyła.

- Trzymaj się oddzielnie - powiedziała jej wczoraj matka. - Jesteś jedną jedyną między dziewczycami. Sakota jest bardzo drobna i delikatna, a ponieważ jest siostrą zmarłej małżonki, z pewnością zdobędzie pierwszeństwo przed tobą. Jakikolwiek jednak zajmiesz stanowisko, możesz zawsze wznieść się ponad nie.

Matka, jak zawsze poważna, pożegnała ją tymi słowami, a one żyły w jej umyśle. Nie szlochała, słysząc w nocy płacz innych, obawiających się cesarskiego wyboru w nadchodzącym dniu. Jeśli zostanie wybrana, może się zdarzyć, że już nigdy - matka wprost jej to powiedziała - nie zobaczy ani swego domu, ani rodziny. Miałyby szansę odwiedzić dom rodzinny dopiero po osiągnięciu dwudziestego pierwszego roku życia. Między rokiem siedemnastym a dwudziestym pierwszym rozciągałyby się cztery samotne lata. Ale czy istotnie muszą być samotne? Kiedy myślała o Jung Lu, wyobrażała je sobie jako samotne. Myślała jednak również o cesarzu.

Ostatniej nocy w domu nie spała z podniecenia. Sakota również nie spała. W którejś z cichych godzin usłyszała stapanie i rozpoznała je.

- Sakota! - wykrzyknęła.

W ciemności delikatna ręka kuzynki namacała jej twarz.

- Orchideo, boję się! Pozwól mi leżeć z sobą.

Odepchnęła więc na bok swą, bezwolną we śnie, młodszą siostrę i zrobiła miejsce dla kuzynki. Sakota wpełzła do łóżka. Jej ręce i stopy były chłodne i drżące.

- A ty się nie boisz? - wyszeptała, okrywając się kołdrą i przylegając do ciepłego ciała kuzynki.

- Nie - odpowiedziała Orchidea. - Cóż może mi się stać? I dlaczego ty się lękasz, skoro twoja starsza siostra była wybranką cesarza?

- Umarła w pałacu - wyszeptała Sakota. - Była tam nieszczęśliwa, umierała z tęsknoty za domem. Ja też mogę umrzeć.

- Będę tam z tobą - powiedziała Orchidea. Swymi silnymi ramionami objęła jej smukłe ciało. Sakota również była zbyt szczupła, zbyt delikatna. Nigdy nie była głodna, nigdy nie była silna.

- A co będzie, jeśli nie znajdziemy się w tej samej grupie? - spytała Sakota.

I tak też się stało. Rozdzielono je. Wczoraj, kiedy dziewczice pokazały się po raz pierwszy matce Syna Niebios, ta wybrała dwadzieścia osiem spośród sześćdziesięciu. Sakota, jako siostra zmarłej księżniczki, umieszczona została w pierwszej grupie - *F'ei*, natomiast

Orchidea w trzeciej - *Kuei Jen*.

- Ma temperament - powiedziała stara, przenikliwa cesarzowa wdowa wpatrując się w Orchideę. - Gdyby nie to, umieściłabym ją w grupie drugiej - *P'in*, nie byłoby bowiem rzeczą odpowiednią umieszczanie jej w grupie pierwszej wraz z jej kuzynką, siostrą mej synowej, która odeszła do Żółtych Źródeł. Niech zostanie w grupie trzeciej, będzie lepiej dla mego syna, cesarza, jeśli jej nie zauważy.

Orchidea słuchała posłusznie, z pozorną skromnością. Teraz będąc dziewczicą dopiero trzeciej grupy, przypominała sobie słowa, które matka powiedziała jej na pożegnanie. Jej matka była silną kobietą.

W uszpionej sali rozległ się głos głównej garderobianej, której zadanie polegało na przygotowaniu dziewczic.

- Panienki, czas wstawać! Czas, by poprawić swą urodę! Oto dzień, który może być dla was szczęśliwy.

Na to wezwanie wszystkie zerwały się na nogi. Wszystkie - prócz Orchidei. Nie będzie robiła niczego, co robią inne. Będzie zawsze osobno, będzie zawsze sama. Leżała bez ruchu, ukryta pod jedwabną kołdrą, i obserwowała dziewczęta drżące w rękach służących, które przyszły im pomagać. Powietrze wczesnego poranka było chłodne, północne lato dopiero się zaczęło, z płytkich drewnianych wanien z gorącą wodą unosiła się para przypominająca mgłę.

- Wszystkie muszą się wykapać - zarządziła główna garderobiana. Siedziała na szerokim bambusowym krześle, tłusta i surowa, nawykła do okazywanego jej posłuszeństwa.

Dziewczęta, teraz już nagie, weszły do wanien, a służące nacierały ich ciała perfumowanym mydłem i myły je miękkimi szmatkami, podczas kiedy główna garderobiana przyglądała się każdej z nich po kolei. Nagle odezwała się:

- Z sześćdziesięciu wybrano dwadzieścia osiem. A ja mogę doliczyć się tylko dwudziestu siedmiu. - Zajrzała do kartki, którą trzymała w ręce, i wyczytała nazwiska dziewczic. Dziewice odpowiadały z miejsca, w którym stały. Ostatnia jednak nie odpowiedziała.

- Jehonala! - kobieta wezwała powtórnie.

Było to rodowe nazwisko Orchidei. Wczoraj, zanim opuściła dom, stryj, który był jej opiekunem, wezwał ją do swej biblioteki, by udzielić jej ojcowskiej rady.

Stała przed nim, gdy mówił nie podnosząc się z fotela, przez który przelewało się jego ogromne ciało spowite w bladoniebieskie jedwabie. Czuła się przy nim dobrze, był bowiem dla niej zawsze niedbale uprzejmy, ale nie kochała go, bo on sam nie kochał nikogo, będąc

zbyt leniwym na miłość lub nienawiść.

- Teraz, kiedy masz wejść do Miasta Cesarza - powiedział swym cichym głosem - musisz pożegnać swe dziecięce imię: Orchidea. Od dzisiaj nazywać się będziesz Jehonała.

- Jehonała! - Znów zawołała główna garderobiana, a ona znów nie odpowiedziała. Zamknęła oczy i udawała, że śpi.

- Czy Jehonała uciekła? - spytała kobieta.

- Pani, ona leży w łóżku - odpowiedziała jedna ze służących.

Główna garderobiana była wstrząśnięta.

- Wciąż w łóżku? I może teraz spać?

Służąca podeszła do łóżka i spojrzała.

- Jeszcze śpi.

- Cóż to za serce z kamienia?! - wykrzyknęła stara. - Obudź ją! Ściągnij z niej kołdrę, uszczypnij ją w ramię!

Służąca usłuchała, a Jehonała - udając, że się budzi - otworzyła oczy.

- O co chodzi? - spytała sennie. Usiadła i poderwała ręce do policzków. - Och, och... - wyjąkała miękko głosem zranionego gołębia. - Jak mogłam zapomnieć?

- Rzeczywiście, jak mogłaś! - powiedziała oburzona główna garderobiana. - Czyżbyś nie znała rozkazu cesarza? Za dwie godziny macie być wszystkie w sali audiencyjnej, gotowe, każda dziewczyna w pełnej krasie. Mówię - dwie godziny! W tym czasie musicie być wykąpane, uperfumowane, odziane, ufryzowane i nakarmione.

Jehonała ziewnęła, przykrywając usta ręką. - Jak doskonale spałam! Materac jest bardziej miękki niż ten w moim domu.

- Chyba nie wyobrażałaś sobie, że materac w pałacu Syna Niebios mógłby być tak twardy, jak w twoim łóżku - parsknęła stara.

- Był znacznie bardziej miękki, niż to sobie wyobrażałam - powiedziała Jehonała.

Zstąpiła na wykładaną kafelkami podłogę, jej bosa stopy były zgrabne i mocne. Dziewice pochodziły z rodów mandżurskich, więc nie krepowano im stóp, tak jak Chinkom.

- Idź już, idź - przynagliła główna garderobiana. - Pośpiesz się, Jehonało! Inne są już prawie ubrane.

- Tak, Czcigodna - odpowiedziała.

Nie śpieszyła się jednak. Pozwoliła się rozebrać służącej, nie pomagając jej w najmniejszym stopniu, a rozebrana, po wejściu do płytkiej wanny z gorącą wodą, nie poniosła nawet ręki, aby się umyć.

- Cóż to - wysapała kobieta - nie zamierzasz mi wcale pomóc?

Jehonala otworzyła szeroko swe wielkie, czarne i błyszczące oczy.

- Co mam robić? - spytała bezradnie.

Nikt nie powinien się domyślić, że w jej domu nie było żadnych służących z wyjątkiem Lu Ma w kuchni. Że zawsze kąpała nie tylko siebie, ale także swą młodszą siostrę i braci. Że prała ich odzież, tak zresztą jak i swoją. Że kiedy byli mali, nosiła ich na plecach przewiązanych pasami materiału, krzątając się tu i tam, pomagając matce w domu i wybiegając często do sklepu z oliwą lub na targ warzywny. Że jej jedyną rozrywką było przystawanie na ulicach i przyglądanie się trupom wędrownych chińskich aktorów. Stryj Muyanga, zawsze uprzejmy, zezwolił wprawdzie, by uczył ją, podobnie jak jego dzieci, nauczyciel rodzinny, ale pieniądze, które dawał matce, starczały tylko na wyżywienie i odzież, nie pozwalając na choćby odrobinę luksusu.

Tu wszystko było luksusem. Zerknęła na przestronną salę. Promienie wschodzącego słońca wpełzały na mury i rozjaśniały nieprzezrocyste, witrażowe okna. Budziły się do życia pomalowane na czerwono i niebiesko belki pod sufitem, odpowiadały im czerwienie i zielenie długich szat dziewic mandżurskich. W drzwiach wisiały purpurowe, atlasowe zasłony, a poduszcзки rzeźbionych drewnianych krzeseł pokryte były purpurową, wełnianą tkaniną. Zwoje na ścianach przedstawiały widoki albo mądre sentencje, pociągnięte czarnym tuszem na białym jedwabiu. W powietrzu unosił się słodki zapach wonnych mydeł i olejków. Nagle odkryła, że kocha luksus.

Służąca nie odpowiedziała na pytanie Jehonali. Nie było czasu. Główna garderobiana przynaglała do pośpiechu.

- Najpierw niech zjedzą - mówiła. - Pozostały czas trzeba poświęcić włosom. Potrzeba nam na to całej godziny.

Służące kuchenne wniosły posiłek, ale dziewice nie mogły jeść. Serca łomotały im zbyt szybko, niektóre z nich znów płakały.

Główna garderobiana stawała się coraz gniewniej sza. Jej tłusta twarz nabrzmiała.

- Jak śmiecie płakać? - wrzasnęła. - Czyż może się trafić lepszy los, niż być wybranką Syna Niebios?!

Ale szlochy rozlegały się nadal.

- Już wolę żyć w moim domu - załkała jedna z dziewic. - Nie chcę być wybraną - wzdychała inna.

- Wstyd, wstyd - wykrzykiwała stara kobieta, zgrzytając zębami na wystraszone dziewczęta.

Im bardziej były przerażone, tym spokojniej zachowywała się Jehonala. Z

precyzyjnym wdziękiem schodziła ze stopnia na stopień, a kiedy jedzenie już wniesiono, siadła przy stole, jedząc dużo i z przyjemnością. Zdziwiło to nawet główną garderobianą, która nie wiedziała, czy ma być z tego powodu zadowolona, czy oburzona.

- Przysięgam, że nigdy nie widziałam tak kamiennego serca - powiedziała głośno.

Jehonała, trzymając w prawej ręce pałeczki, uśmiechnęła się i powiedziała słodko po dziecięcemu:

- Bardzo mi to jedzenie smakuje. Jest lepsze od wszystkiego, co jadłam w domu.

Główna garderobiana zdecydowała się na zadowolenie.

- Jesteś rozsądną istotą - stwierdziła. Niemniej odwróciła po chwili głowę i wyszeptła do jednej ze służących: - Spójrz na jej wielkie oczy! Dzikie serce ma ta dziewczyna...

- Serce tygrysy - zgodziła się służąca z grymasem na twarzy. - Doprawdy, serce tygrysy...

W południe przybyli po nie eunuchowie, prowadzeni przez głównego eunucha An Teh-haia. Był przystojny, figurę miał wciąż młodzieńczą, jego długa szata z białoniebieskiego atłasu przepasana była na biodrach długim, czerwonym jedwabiem. Miał gładką twarz o grubych rysach, nos zakrzywiony i czarne, dumne oczy.

Niemal niedbale polecił dziewczicom, by przechodziły przed nim, a sam jak pomniejszy imperator siedział w wielkim krześle z rzeźbionego czarnego drzewa, wpatrując się w każdą, która przechodziła, i demonstrując jedynie pogardę. Obok niego stał czarny, drewniany stolik, na którym położył swą inwentarzową książeczkę, pędzelek do atramentu i puzderko.

Jehonała obserwowała go spod długich rzęs. Stała w pewnym oddaleniu od innych dziewczic, ukrywając się częściowo za wiszącą u drzwi zasłoną z purpurowego aksamitu. Naczelnny eunuch pędzelkiem umaczanym w atramencie zaznaczał nazwisko każdej dziewczicy, która przed nim przeszła.

- Jednej nie ma - obwieścił.

- Jestem tutaj - powiedziała Jehonała. Ruszyła do przodu wstydliwie, z głową pochyloną, odwróconą twarzą, mówiąc głosem tak cichym, że ledwie słyszalnym.

- Ta spóźnia się przez cały dzień - powiedziała swym donośnym głosem główna garderobiana. - Kiedy inne wstały, ona jeszcze spała. Nie chciała sama się umyć ani ubrać, a jadła niczym chłopka - pochłoneła trzy miseczki prosa! Teraz stoi jak głupia. Nie wiem, czy jest głupia, czy tylko udaje.

- Jehonała - wyczytywał swym wysokim, ostrym głosem główny eunuch - najstarsza córka zmarłego chorążego Cza. Opiekun - chorąży Muyanga. Zarejestrowana w Północnym Pałacu dwa lata temu w wieku piętnastu lat. Obecnie ma lat siedemnaście.

Uniósł głowę i wpatrzył się w Jehonałę, stojącą przed nim z głową skromnie spuszczoną, z wzrokiem utkwionym w podłogę.

- Czy to ty nią jesteś? - badał.

- Tak, to ja - powiedziała Jehonała.

- Przechodź - rozkazał główny eunuch, lecz wzrokiem podążył za nią. Następnie powstał i wydał polecenie niższym rangą eunuchom:

- Niech dziewice zaprowadzone zostaną do Sali Oczekiwania. Kiedy Syn Niebios gotów będzie na ich przyjęcie, zaprowadzę je osobiście, jedną po drugiej, przed Tron Smoka.

Dziewice czekały cztery godziny. Siedziały z nimi służące, złorzecząc, jeśli pomarszczył się czyjś aksamitny płaszcz lub rozluźniła się czyjaś fryzura. Raz po raz kobiety muskały twarze dziewcząt pudrem lub ponownie malowały im wargi. Dwukrotnie dziewczęta mogły napić się herbaty.

W południe poruszyła je wrzawa z odległego dziedzińca. Brzmiały rogi, biły bębny i gong uderzał w rytm zbliżających się kroków. Do Sali Oczekiwania przybył powtórnie naczelnny eunuch, a wraz z nim eunuchowie niżsi rangą, pośród których jeden był młody, wysoki i szczupły, z twarzą brzydką, ale tak ciemną i tak przypominającą orła, że Jehonała spojrzała na niego bezwiednie. W tej samej chwili eunuch pochwycił jej spojrzenie i bezczelnie odwzajemnił się swoim. Odwróciła głowę.

Naczelnny eunuch coś jednak zauważył.

- Li Lien-jingu - zakrzyknął ostro - dlaczego tu jesteś? Kazałem ci czekać z dziewczętami czwartej grupy - *Cz'ang Ts'ai!*

Wysoki młody eunuch opuścił bez słowa salę.

Wtedy naczelnny eunuch powiedział:

- Młode panie, będziecie tu czekały, dopóki nie zostanie wezwana wasza grupa. Najpierw cesarzowa wdowa musi zaprezentować cesarzowi grupę *F'ei*, następnie grupę *P'in*. Dopiero po ich przeglądzie, kiedy cesarz dokona wyboru, podejdziecie do tronu wy, z grupy trzeciej, będącej zaledwie *Kuei Jen*. Nie wolno wam patrzeć na cesarskie oblicze. To on będzie na was spoglądał.

Żadna nie odpowiedziała. Dziewice stały milcząc, nie podnosząc głowy, gdy do nich mówił. Jehonała stanęła na końcu, jakby była najskromniejszą z nich, ale serce łomotało jej w piersi. W ciągu najbliższych kilku godzin, w ciągu godziny lub nawet szybciej, zależnie od nastroju cesarza, może zdarzyć się najważniejsza chwila w jej życiu. Syn Niebios spojrzy na nią, oszacuje, rozważy jej kształty, a ona w tej krótkiej chwili musi sprawić, by odczuł potęgę jej czaru.

Pomyślała o swej kuzynce Sakocie, która przechodziła zapewne teraz przed oczami cesarza. Sakota była słodka i prosta, delikatna i dziecinna. Była siostrą zmarłej księżniczki, którą cesarz kochał, kiedy był jeszcze księciem, nie było więc wątpliwości, że znajdzie się pośród wybranych. To dobrze. Z Sakotą mieszkała od trzeciego roku życia, kiedy to po śmierci ojca matka wróciła do domu przodków; Sakota zawsze jej ulegała, zawsze szukała w niej oparcia i wierzyła jej. Sakota mogłaby nawet powiedzieć cesarzowi: „Moja kuzynka Jehonala jest piękna i bystra”. Kiedy ostatniej nocy spały razem, język ją świerzbił, by powiedzieć: „Wstaw się za mną...” - lecz była zbyt dumna. Sakota, chociaż delikatna i dziecinna, miała broniącą dostępu czystą, dziecięcą godność.

Szmerek przeleciał przez grupę oczekujących dziewic. Ktoś podchwycił szept z sali audiencyjnej. Właśnie odprawiono *F'ei*. Sakotę wybrano pierwszą cesarską konkubiną. Grupa *P'in* nie była liczna. Jeszcze tylko godzina...

Naczelny eunuch powrócił przed upływem godziny.

- Czas na *Kuei Jen* - ogłosił. - Przygotujcie się, młode damy. Cesarz zaczyna być znużony.

Dziewice uformowały pochód, a garderobiana dokonywała ostatnich muśnięć ich włosów, warg i brwi. Zamilkły śmiechy, zapanowała ogólna cisza. Jedna z dziewcząt w omdleniu przelewała się przez ręce służącej, która próbowała ją ocucić, szczypiąc ramiona i płatki uszu. Naczelny eunuch rozpoczął już wyczytywanie nazwisk i wieku dziewic w sali audiencyjnej i każda wymieniona powinna natychmiast wejść usłyszawszy swoje imię. Jedna po drugiej przechodziły przed cesarzem i Wdową Matką. Ostatnia z nich, Jehonala, oddaliła się jakby w zapomnieniu, aby pobawić się z małym pałacowym pieskiem, który wbiegł przez otwarte drzwi. Było to jedno z tych zwierzątek, które głodzone za młodu przez damy z pałacu osiągało dzięki temu szczególnemu traktowaniu rozmiary tak niewielkie, że można je było ukrywać w szerokich haftowanych rękawach. Naczelny eunuch czekał u drzwi.

- Jehonala! - zawołał.

Garderobiane już się rozbiegły, została sama, pochłonięta zabawą z pieskiem. W swej grze zapamiętała się tak bardzo, że niemal zapomniała, gdzie się znajduje i dlaczego. Ciągnęła pieska za długie uszy i śmiała się w jego pomarszczony pyszczek, nie większy od jej dłoni. Słyszała o tych małych pieskach, które wyglądały jak lwy, a których nie wolno było trzymać nikomu spoza dworu, ale nigdy dotąd żadnego nie widziała.

- Jehonala! - Głos An Teh-haia zahuczał jej w uszach, dopiero wtedy szybko się poderwała.

Pośpieszył do niej i ścisnął jej ramię.

- Zapomniałaś? Czy jesteś obłąkana? Cesarz czeka! On czeka, powiadam ci - za to jedno zasłużyłaś na śmierć!

Uwolniła się z uścisku, a naczelnny eunuch podbiegł do drzwi i powtórnie wykrzyczał jej imię: - Jehonala, córka chorążego Cza, obecnie zmarłego, bratanica Muyangi z Alei Cynowego Dzbana! Liczy sobie siedemnaście lat, trzy miesiące i dwa dni.

Weszła cicho, bez szelestu, jaki wywołują zwykle poruszające się szaty, i wolno sunęła wzdłuż ogromnej sali. Jej długi mandzurski płaszcz z atłasu w kolorze czerwonej róży dotykał czubków wyszywanych mandzurskich pantofli, osadzonych na białej podszwie i koturnie. Piękne wąskie ręce trzymała złożone na wysokości talii; przechodziła wolno, nie odwracając głowy w stronę tronu.

- Każcie jej przejść powtórnie - powiedział cesarz.

Wdowa Matka patrzyła na Jehonale z mimowolnym podziwem.

- Ostrzegam cię - powiedziała - ta dziewczyna ma nieposkromiony temperament. Widzę to w jej twarzy. Jest zbyt silna jak na kobietę.

- Jest piękna - powiedział cesarz.

Jehonala wciąż nie odwracała głowy. Słyszała głosy, nie widząc mówiących.

- Jakież znaczenie może mieć jej temperament? - pytał właśnie cesarz. - Przecież nie może klócić się ze mną.

Mówił młodym, rozdrażnionym głosem o brzmieniu cienkim, chłopięcym. Głos odpowiadającej mu matki był pełny, niski, przeniknięty mądrością starszego wieku.

- Nie powinno się wybierać kobiety silnej, która jest w dodatku piękna - dowodziła. - Jest przecież P'ou Yu, którą widziałeś w grupie *P'in*. Twarz w porządku, dobry wygląd, choć...

- Chropowata skóra - odpowiedział buntowniczo cesarz. - Bez wątplenia przeszła w dzieciństwie wietrzną ospę. Widziałem jej ślady pomimo pudru na twarzy.

Jehonala była teraz dokładnie naprzeciw niego.

- Stań - rozkazał. Stała profilem, z uniesioną głową, z oczami utkwionymi w dali, jak gdyby jej serce przebywało gdzie indziej.

- Odwróć do mnie twarz - polecił.

Powoli, jakby obojętnie wykonała jego polecenie. Zgodnie z regułami przyzwoitości i skromności, zgodnie ze wszystkim, czego ją uczono, dziewczyna nie powinna unosić wzroku wyżej niż do męskiego torsu. Patrząc na cesarza, nie powinna spoglądać wyżej niż na jego kolana. Ale Jehonala z napięciem patrzyła mu prosto w twarz. Widziała jego cesarskie oczy osadzone płytko pod młodzieńczymi, rzadkimi brwiami. Spojrzeniem swych oczu starała się



przełać w nie całą siłę swej woli. Przez dłuższą chwilę siedział nieruchomo. Następnie powiedział:

- Tę wybieram.

Jeśli Syn Niebios wybierze cię - mówiła matka - usługuj przede wszystkim jego matce, Wdowie Matce. Niech wierzy, że myślisz o niej we dnie i w nocy. Dowiedz się, co ją cieszy, dbaj o jej wygodę, nigdy nie próbuj jej unikać. Niewiele lat życia przed nią. Wiele jeszcze lat będziesz miała tylko dla siebie.

Jehonała pamiętała te słowa. Pierwszej nocy po wyborze leżała w swej małej sypialni, w obrębie trzech pokoi, które oddano do jej użytku. Naczelnny eunuch wybrał starą garderobianą, aby jej służyła. Mogła tu żyć samotnie, dopóki cesarz nie pośle po nią. Mogło to się zdarzać często albo nigdy. Czasem konkubina żyjąca w cesarskim mieście umierała dziewicą, zupełnie zapomniana przez cesarza, chyba że miała środki na przekupienie eunuchów, aby wspomnieli jej imię. Ale ona, Jehonała, nie będzie zapomniana. Kiedy cesarz znuży się Sakotą, wobec której ma przecież zobowiązania, wtedy może, więcej - musi pomyśleć o niej. A jednak, czy będzie pamiętał? Był nawykły do piękności, i chociaż ich oczy spotkały się, czy może mieć pewność, że Syn Niebios będzie pamiętał?

Spoczywała na łożu zbudowanym z cegieł i wymoszczonym trzema materacami. Rozmyślała. Dzień po dniu musi planować swoje życie i żaden dzień nie może zostać zmarnowany, jeśli pragnie uniknąć samotnego życia zapomnianej dziewicy. Musi być przebiegła i ostrożna, a matka cesarza powinna być środkiem do osiągnięcia celu. W stosunku do cesarzowej wdowy będzie zawsze pomocna, czuła, niezawodna w drobnych i stałych uprzejmościach. A teraz - przede wszystkim - poprosi o nauczycieli. Dzięki dobroci stryja nauczyła się czytać i pisać, ale nie zaspokoilo to jej głodu prawdziwej nauki. Poprosi, by uczono ją historii, poezji, muzyki i malarstwa, sztuk cieszących oczy i uszy. Po raz pierwszy od kiedy sięga pamięcią, będzie mogła dysponować swoim czasem, będzie mogła wykorzystać go do ćwiczenia umysłu. Będzie również dbała o swe ciało, będzie jadła najlepsze mięsa, nacierała ręce tłuszczem baranim, by były miękkie. Będzie używała do ciała zapachów piżma i suszonej pomarańczy, każe służącej, by dwa razy dziennie, po każdej kąpieli szczotkowała jej włosy. Zrobi to wszystko dla swego ciała, aby cesarz był zadowolony. Swój umysł będzie kształciła dla własnej przyjemności; dla własnej przyjemności będzie uczyła się, jak stawiać pędzelkiem hieroglify na modłę ludzi uczonych, jak malować widoki w sposób, w jaki czynią to artyści, i przeczyta wiele książek.

Aksamit kołdry czepiał się jej szorstkich rąk. Pomyślała:

„Nigdy już nie będę prała odzieży ani nosiła gorącej wody, ani ucierała posiłku. Czyż nie jest to szczęściem?”

Przez ostatnie dwie noce nie spała. Ostatniej nocy w domu leżała z Sakotą rozmawiając, marząc i pocieszając delikatną kuzynkę. A w noc z czekającymi dziewicami, czy można było spać? Lecz dzisiejszej nocy wszystkie lęki były już poza nią. Została wybrana i te trzy pokoje stanowiły jej mały dom. Były nieduże, lecz luksusowo urządzone, ze zwojami wiszącymi na ścianach, z czerwonymi atłasowymi poduszkami na siedzeniach krzeseł, stolikami z czarnego drewna, belkami u sufitu pomalowanymi w jasne wzory. Podłogi wyłożone były gładko kafelkami, a witrażowe okna wychodziły na podwórzec i okrągły basen, w którym błyszczały w słońcu złote rybki. Pod jej drzwiami, na bambusowym łożu, spała jej służąca. Nie musiała się nikogo obawiać.

Nikogo? Wąska, zła twarz młodego eunucha Li Lien-jinga ukazała się jej nagle w ciemności. Och, eunuchowie, jej mądra matka ostrzegła ją przed nimi.

- Nie są mężczyznami ani kobietami. Nim znajdą się w murach Zakazanego Miasta, niszczą swą męskość. Zatomowana, odrzucona, przeradza się w zło. Staje się złośliwością i zgorzknieniem, okrucieństwem i wszystkim co złe. Unikaj eunuchów, od najwyższego do najniższego. Płać im, kiedy to niezbędne. Nigdy nie okazuj, że się ich obawiasz.

- Nie obawiam się ciebie - powiedziała ciemnej twarzy Li Lien-jinga. Chcąc uwolnić się od lęku, pomyślała o swym krewniaku Jung Lu. Nie widziała go od chwili, gdy wjeżdżała do pałacu. Wtedy, kiedy zbliżali się do wielkiej cynobrowej bramy, odsunęła, jak zawsze śmiała, o cal lub dwa zasłonę swej lektyki. Przed nimi stali cesarscy strażnicy w żółtych mundurach, z szerokimi mieczami, które trzymali przed sobą uniesione w górę. Na prawo, najbliższej głównej bramy, stał Jung Lu, najwyższy z nich. Patrzył przed siebie w kłębiący się uliczny tłum i najmniejszym znakiem nie dał jej poznać, że odróżnia jedną lektykę od drugiej. Ona również nie mogła dać znaku. Na wpół dotknięta wyrzuciła go z myśli. Nie, nie będzie o nim myśleć, nawet teraz. Ani ona, ani on nie mogli wiedzieć, czy i kiedy uda się im spotkać. W obrębie murów Zakazanego Miasta mężczyzna i kobieta mogli przeżyć życie, nigdy się nie spotykając.

Ale dlaczego pomyślała o nim, kiedy przypomniła się jej ciemna twarz eunucha? Westchnęła i uroniła kilka łez, sama tym zdziwiona, ale nie dociekała głębiej przyczyny tych łez. Była młoda i znużona - więc w końcu zasnęła.

Obszerna, stara pałacowa biblioteka była chłodna nawet w środku lata. W południe zamykano drzwi, odgradzając się przed południowym upałem, i migotliwe słońce świeciło

mętnie przez muszelkowe witraże. Nic nie zakłócało ciszy prócz niskiego mrużenia Jehonali, czytającej na głos staremu eunuchowi, który został jej nauczycielem.

Czytała z *Księgi Przemian* i pochłonięta rytmem poezji nie zauważyła, że nauczyciel milczy zbyt długo. Zerknąwszy do góry podczas przewracania strony, zauważyła, że stary uczony zasnął z głową opuszczoną na piersi, a jego wachlarz wysunął się z rozluźnionych palców prawej ręki. Kącik jej ust drgnął w półuśmiechu i dalej czytała wytrwale tylko dla siebie. U jej stóp spał mały piesek. Należał tylko do niej, otrzymała go od Cesarskiego Szafarza. Wysłała służącą, by wyprosiła dla niej zwierzątko na osłodę samotności.

Była już tu dwa miesiące i nigdy nie została wezwana przez cesarza. Nie widziała swej rodziny, nawet Sakoty, a Jung Lu również nie pojawił się w pobliżu. Nie przechodziła przez bramę, nie mogła więc zobaczyć, jak stoi na służbie. W tym dziwnym osamotnieniu mogłaby czuć się nieszczęśliwą, gdyby nie pełne blasku marzenia o dniach, które miały nadejść. Pewnego dnia, pewnego dnia zostanie może cesarzową! A kiedy to się stanie, będzie mogła robić, co się jej spodoba. Jeśli tylko zechce, będzie mogła wezwać do siebie swego krewnego. Pod jakimkolwiek pretekstem, choćby po to, by zaniósł list do jej matki.

- Sama wręczę ci ten list - powie - a ty przyniesiesz mi jej list z odpowiedzią.

I nikt poza nimi nie będzie wiedział, czy list istotnie przeznaczony był dla jej matki. Na razie marzenia musiały poczekać na cesarza, a ona mogła się jedynie przygotowywać. Tutaj, w bibliotece, uczyła się przez pięć godzin dziennie pod kierunkiem swego nauczyciela, eunucha, który był jednym z najbardziej wykształconych. W latach kiedy był jeszcze mężczyzną, znano go jako autora ośmioczęściowych esejów i poematów w stylu Tang. Potem, ze względu na jego sławę, rozkazano mu, by został eunuchem, bo tylko tak mógł uczyć młodego księcia, obecnego cesarza, i damy, które miały zostać jego konkubinami. Jedne z nich przykładały się do nauki, inne nie, ale żadna dotąd, jak twierdził stary nauczyciel, nie uczyła się tak, jak Jehonala. Chwalił się nią między eunuchami i przedstawiał pozytywne sprawozdania Wdowie Matce, tak że pewnego dnia, kiedy Jehonala jej usługiwała, ta pochwaliła ją za pracowitość.

- Dobrze czynisz ucząc się z książek - powiedziała. - Mój syn, cesarz, łatwo się męczy, więc kiedy będzie słaby lub niespokojny, powinnaś umieć zabawić go poezją lub swoją umiejętnością malowania.

Jehonala posłusznie pochylila głowę.

Siedząc tak pochylona nad stronicami księgi, poczuła na ramieniu dotknięcie i odwróciwszy głowę, zobaczyła koniec złożonego wachlarza i dużą silną rękę, którą nauczyła się rozpoznawać od pierwszego wejrzenia. Należała do młodego eunucha Li Lien-jinga. Od

tygodni zaczęła się domyślać, że postanowił zostać jej służącym. Nie miał obowiązku przebywania przy niej, był tylko jednym z wielu pomniejszych eunuchów, ale stał się jej użyteczny na wiele drobnych sposobów. Kiedy tęskniła za owocami lub słodyczami, to on je przynosił. Dzięki niemu dowiadywała się o plotkach krążących w komnatach i korytarzach setek dworów Zakazanego Miasta. Plotek słuchać musiała, bo czytanie ksiązek nie wystarczało, musiała również znać każdy szczegół intryg, nieszczęśliwych wypadków i romansów w obrębie tych murów. Wiedzieć znaczyło rosnąć w siłę.

Uniosła głowę z palcem na ustach i uniesionymi pytająco brwiami. Wskazał wachlarzem, aby podążyła za nim do pawilonu poza biblioteką. Stąpając cicho i bezgłośnie w trzewikach o miękkiej podeszwie, wiódł ją tam, gdzie nie mogli już obudzić śpiącego nauczyciela. Piesek obudził się i ruszył bez warknięcia za nią.

- Mam wieści dla ciebie - powiedział Li Lien-jing. Przytłaczał ją swymi ogromnymi ramionami, dużą, kwadratową głową, rysami szorstkimi, z grubsza ciosanymi i całą silną, surową sylwetką. Być może lękałaby się go nadal, gdyby nie to, że teraz nie zezwalała sobie na lęk przed nikim.

- Jakie wieści?

- Młoda cesarzowa poczęła!

Sakota! Od chwili kiedy razem przekroczyły bramy, nigdy już jej nie widziała. Sakota była małżonką cesarza w miejsce swej zmarłej siostry, Jehonała tylko konkubina. Sakotę wezwano do cesarskiego łoża i ta spełniła swój obowiązek. Jeśli Sakota urodzi syna, będzie on następcą Tronu Smoka, a Sakota wyniesiona zostanie do pozycji cesarzowej matki, podczas kiedy ona, Jehonała, nadal będzie cesarską konkubina. Więc to za tak niską cenę wyrzekła się swego życia i swego ukochanego? Serce podeszło jej do gardła i nieomal wybuchło w piersi.

- Czy istnieje dowód na to, że poczęła? - domagała się odpowiedzi.

- Istnieje - odpowiedział. - Opłacam jej służącą. W tym miesiącu już po raz drugi było śladu krwi.

- Więc? - spytała.

Opanowanie, jakim odznaczała się przez całe życie, wzięło górę. Nikt nie mógł jej uratować prócz niej samej. Musi teraz polegać tylko na sobie. Los może się jeszcze okazać jej wybawcą. Sakota może przecież urodzić dziewczynkę. Wtedy nadal nie będzie następcy tronu, dopóki nie urodzi się syn, którego matka zostanie wyniesiona do godności cesarzowej.

A tą matką mogę być ja - pomyślała. Ta isierka nagłej nadziei sprawiła, że jej umysł zaczął pracować chłodno, a serce się uspokoiło.

- Cesarz spełnił swój obowiązek w stosunku do zmarłej - kontynuował eunuch. - Teraz jego wybór będzie zależał od kaprysu.

Milczała. Być może padnie na nią!

- Musisz być przygotowana - mówił dalej. - Według mej oceny w ciągu najbliższych sześciu lub siedmiu dni pomyśli o konkubinie.

- Jak to się dzieje, że wiesz o wszystkim? - spytała na wpół zalekniona, mimo że postanowiła nie lękać się niczego.

- Eunuchowie znają się na takich rzeczach - odrzekł, mrugając do niej porozumiewawczo.

Oświadczyła z godnością:

- Zapominasz się przy mnie.

- Obraziłem cię - powiedział szybko. - Źle zrobiłem. Masz jak zawsze rację. Jestem twym sługą i niewolnikiem.

Była tak samotna, że choć ją przerażał, zmusiła się do przyjęcia tego zapewnienia.

- Ale dlaczego - pytała teraz - chcesz mi służyć? Nie mam pieniędzy, by cię wynagrodzić.

Była to prawda - nie miała ani grosza. Codziennie jadła najdelikatniejsze dania, wszystko bowiem, co zostawiała Wdowa Matka, otrzymywały konkubiny, a jadłospis obfitował w najróżniejsze potrawy. Szufłady w jej sypialni pełne były przepięknych szat. Spała w jedwabnej pościeli, służąca usługiwała jej w dzień i w nocy. Nie mogła jednak kupić sobie nawet takich drobiazgów jak chusteczka do nosa czy pudełko cukierków. Od czasu kiedy znalazła się w Zakazanym Mieście, nie oglądała ani jednej sztuki. Wdowa Matka była wciąż w żałobie po zmarłym cesarzu T'ao Kuangu, ojcu jej syna, i nawet konkubinom nie zezwalała na radość oglądania teatru. Jehonała czuła się przez to jeszcze bardziej samotna. Przez całe życie, kiedy obowiązki stawały się zbyt ciężkie, kiedy zła ją matka, a dni bieły bez radości, uciekała popatrzeć na aktorów grających na ulicach lub na dziedzińcu świątyni. Jeśli przypadkiem trafił się jej jakiś grosz, zachowywała go na teatr, a jeśli go nie miała, wymykała się szybciej, zanim w oglądający tłum puszczano koszyk.

- Czy sądzisz, że oczekuję podarunków? - zapytał Li Lien-jing. - Więc źle mnie oceniasz. Wiem, co jest twoim przeznaczeniem. Masz w sobie siłę, której nikt nie posiada. Czyż nie odczułem tego natychmiast, kiedy spoczęły na tobie moje oczy? Powiedziałem ci. Kiedy wyniesiona zostaniesz na Tron Smoka, ja wyniesiony będę z tobą, zawsze jako twój sługa i niewolnik.

Była dostatecznie przenikliwa, by wiedzieć, jak zręcznie wykorzystuje jej piękność i

jej ambicję do swych celów, kiedy splata między nimi więzy zobowiązań. Jeśli osiągnie tron, a któregoś dnia z pewnością to się stanie, on pojawi się przed nią, aby przypomnieć o swej pomocy.

- Dlaczego miałbyś mi służyć za nic? - spytała obojętnie. - Nikt nie daje niczego bez myśli o rekompensacie.

- Rozumiemy się wzajemnie - powiedział i uśmiechnął się.

Spojrzała w bok.

- Możemy więc tylko czekać - powiedziała.

- Będziemy czekać - zgodził się, następnie złożył pokłon i odszedł.

Głęboko zamyślona, z pieskiem drepczącym za nią krok w krok, wróciła do biblioteki. Stary nauczyciel wciąż spał, usiadła więc na swym krześle i znów zabrała się do czytania. Wszystko było takie jak przedtem, z wyjątkiem jej serca, które w jednej chwili przestało być miękkim sercem dziewicy. Stała się kobietą idącą za swym przeznaczeniem.

Czyż mogła teraz rozważać znaczenie starych poematów? Jej myśli igrały wokół chwili, kiedy to zostanie wezwana. Jak się to stanie? Kto przyniesie tę wiadomość? Czy będzie miała dość czasu, aby wykapać się i uperfumować, czy też będzie musiała pośpieszyć tak, jak stoi? Cesarskie konkubiny często z sobą plotkowały, kiedy więc jedna odchodziła i potem wracała, pozostałe starały się ją wypytać, aż do ostatniego źdźbła pamięci o to, co wydarzyło się między nią i cesarzem. Jehonała nie pytała, ale słuchała bacznie. Lepiej jest wiedzieć wszystko!

- Cesarz nie życzy sobie, byś mówiła - opowiadała jedna z konkubin. Kiedyś była faworytą, ale teraz mieszkała zapomniana w Pałacu Zapomnianych Konkubin wraz z tymi, których cesarz nie kochał zbyt długo, oraz ze starzejącymi się konkubinami jego zmarłego ojca. Nie miała jeszcze dwudziestu czterech lat, a już została wybrana, wzięta w objęcia i odrzucona. Do końca życia miała już nie być ani żoną, ani wdową, a ponieważ nie poczęła, nie miała nawet pociechy w dziecku. Była kobietą ładną, leniwą i pustą, która opowiadała jedynie o dniu, który spędziła w prywatnym pałacu cesarza. Opowiadała tę historię w kółko, podczas gdy nowe konkubiny czekały na swą kolej.

Jehonała słuchała i nic nie mówiła. Ona zwróci uwagę cesarza. Zabawi go i będzie się z nim przekomarzać, będzie mu śpiewała i opowiadała historyjki, splatając między nimi więzy zarówno umysłów, jak ciał. Zamknęła i odłożyła Księgę Przemian. Istniały też inne książki, zakazane: *Marzenie o Czerwonej Komnacie*, *Kwiat Śliwy w Złotym Wazonie*, *Biały Wąż* - przeczyta je wszystkie, polecając Li Lien-jingowi, by przyniósł je z księgarń za murami, jeśli nie będzie mogła znaleźć ich tutaj.

Nauczyciel obudził się nagle i cicho, jak to zdarza się starcom, u których granica między snem i czuwaniem jest mało wyrazista. Obserwował ją bez ruchu.

- I cóż? - spytał. - Czy skończyłaś swą partię?

- Skończyłam - odpowiedziała. - A teraz mam ochotę na inne książki: powieści, opowiadania czarnoksiężskie, coś, co by mnie rozerwało.

Spoglądał surowo, gładząc swój bezwłosy podbródek ręką suchą i zniszczoną jak obumarły liść palmowy.

- Takie książki zatruwają umysły, szczególnie kobiece - oświadczył. - Nie znajdziesz ich tu, w cesarskiej bibliotece, nie znajdziesz ani jednej takiej pośród trzydziestu sześciu tysięcy tomów znajdujących się na tych półkach. Cnotliwa dama nie powinna nawet wspominać o takich książkach.

- A więc nie będę o nich wspominać - powiedziała wesoło.

Schyliwszy się, schowała pieska w rękawie i odeszła do swego pokoju.

To, czego dowiedziała się tego popołudnia, następnego dnia znane było wszystkim. Wiadomość frunęła z ust do ust, z pałacu do pałacu, i podniecenie wzmagало się jak wiatr. Choć na dworze była już małżonka i wiele konkubin, cesarz nie miał jednak dziecka. Wielkie rody mandzurskie stawały się niespokojne. Gdyby zabrakło następcy, trzeba by go było wybrać spośród nich, więc książęta obserwowali się bacznie, strzegąc siebie i swoich synów, zazdrośni o mogący nastąpić wybór. Teraz, kiedy Sakota, nowa małżonka, poczęła, mogli jedynie czekać. Gdyby urodziła zamiast syna córkę, zmagania znów by się rozpoczęły.

Ze swej strony Jehonala należała do jednego z najpotężniejszych rodów, z którego wyszły już trzy cesarzowe. Czy nie powinna zostać czwartą? Ach, gdyby została wybrana, gdyby udało się jej począć, gdyby miała syna, a Sakota tylko córkę, droga przeznaczenia byłaby rzeczywiście prosta - być może zbyt prosta, bo komuż trafia się tak szczęśliwy los, w którym jeden stopień prowadzi gładko do następnego? A jednak wszystko było możliwe.

Przygotowując się, zaczęła odtąd czytać kroniki tronu, nie opuszczając ani słowa z dekretów, które rozsyłał cesarz. W ten sposób poznawała sprawy cesarstwa, aby być gotową, jeśli bogowie zechcą ją wyróżnić. Powoli zaczynała pojmować bezmiar kraju i jego ludu. Jej światem był Pekin, w którym wzrastała od dzieciństwa. Znała swą panującą rasę, rody Mandzurii, które od czasów swych przodków, najeźdźców, przechwyciły i utrzymywały władzę nad potężnym ludem Chin. Przez dwieście lat północna dynastia zbudowała tu, w cesarskim mieście, swoje serce, otoczone czterema murami we wnętrzu stolicy. Nazywano je Miastem Cesarskim albo Zakazanym Miastem, bo on był jego królem, jedynym mężczyzną, i

tylko on mógł spać tutaj w nocy. O zmierzchu w każdej alei i w każdym zakątku biły bębny ponagające mężczyzn do odejścia. Cesarz zostawał sam pośród swych kobiet i eunuchów.

Ale ta stolica, to wewnętrzne miasto, było, jak nauczyła się teraz pojmosać, tylko ośrodkiem władzy nad krajem, który był wieczny ze swymi górami, rzekami, jeziorami i wybrzeżami, z niezliczoną ilością miast i wiosek, z setkami milionów różniących się między sobą ludzi, ze swymi kupcami, rolnikami, uczonymi, tkaczami, rzemieślnikami, kowalami i właścicielami gospód, z mężczyznami i kobietami każdej umiejętności i sztuki. Jej żywa wyobraźnia wylatywała za bramy królewskiego więzienia i podróżowała wszędzie, gdzie wiodły ją oczy uniesione znad drukowanych ksiąg. Z cesarskich dekretów dowiedziała się też czegoś więcej. Dowiedziała się, że na południu narastało potężne powstanie, nienawistny owoc obcej religii. Chińscy powstańcy nazywali siebie tajpingami, wiódł ich fanatyczny chrześcijanin o imieniu Hung, który wyobrażał sobie, że jest wcielonym bratem Chrystusa, syna obcego boga, zrodzonego z wiejskiej kobiety. To narodzenie nie było niczym dziwnym, w starych księgach wiele było podobnych historii. A to chłopka opowiadała o bogu, który pojawił się przed nią w chmurze, kiedy uprawiała ziemię, i zapłodnił ją drogą czarów, tak że po dziesięciu miesiącach księżycowych urodziła boskiego syna; a to córka rybaka, będąc wciąż dziewicą, opowiadała, że bóg wyłonił się z rzeki, kiedy porządkowała sieci ojca, i że przez czary zaszła w ciążę. Jednak pod chrześcijańskimi sztandarami tajpingów gromadzili się wszyscy niespokojni i niezadowoleni, więc jeśli nie zostaną zduszeni, może to doprowadzić nawet do obalenia dynastii mandzurskiej. Tao Kuang był słabym cesarzem, słabym cesarzem był też jego syn Sien Feng, którym Wdowa Matka kierowała tak, jakby był dzieckiem.

A więc Jehonała musiała szukać dostępu do cesarza przez Wdowę Matkę. Toteż swoim codziennym obowiązkiem uczyniła oczekiwanie na starą damę, której ukazywała się z wybranym dla niej kwiatem lub dojrzałym owocem zerwanym w cesarskich ogrodach.

Zbliżał się sezon letnich melonów, a Wdowa Matka bardzo lubiła małe, słodkie melony o żółtym miąższu, które rosły na kupkach nawozu, gdzie wysiewano je na wiosnę. Jehonała codziennie chodziła między rzędami melonów, wypatrując pierwszych dojrzałych i słodkich, ukrytych pod liśćmi. Na tych prawie dojrzałych przyklejała kawałki żółtego papieru z namalowanym imieniem cesarzowej, aby nie skradł ich żaden chciwy eunuch lub służąca. Każdego dnia sprawdzała melony przy pomocy kciuka i palca wskazującego, aż pewnego dnia, siedem dni po tym, jak Li Lien-jing przyniósł jej wiadomość o Sakocie, usłyszała, że jeden z melonów dźwięczy jak pusty bęben. Był dojrzały, ukreśliła więc go z łądygi i niosąc w obu rękach udała się na pokoje cesarzowej matki.



- Nasza czcigodna pani śpi - powiedziała służąca. Zazdrosna była o Jehonale, którą Wdowa Matka zdawała się faworyzować.

Jehonala podniosła głos.

- Wdowa Matka śpi o tej porze? A więc musi być chora. Dawno minęła godzina, o której zwykła się budzić...

Kiedy chciała, potrafiła mówić głosem czystym jak głos drozda, niosącym przez wiele pokoi. Teraz doszedł do uszu cesarzowej, która nie spała, lecz siedziała w sypialni, wyszywając złotego smoka na czarnym pasie, który chciała podarować synowi. Nie było potrzeby, żeby to robiła, ale nie umiała czytać, a haftowanie lubiła. Usłyszała głos Jehonali, a ponieważ igła zaczęła już ją nużyć, odłożyła ją i zawołała:

- Jehonalo, chodź tutaj! Ten, kto mówi, że śpię, jest kłamcą!

Jehonala uśmiechnęła się przymilnie do służącej, która zmarszczyła czoło. - Nikt nie mówi, że śpisz, Czcigodna - zawołała w odpowiedzi. - To ja źle dosłyszałam.

Z tym grzecznym kłamstwem na ustach przemierzyła pokój i dzierżąc melon doszła do sypialni cesarzowej, siedzącej z powodu upału w białiznie. Obiema rękami wręczyła jej owoc.

- Ach - wykrzyknęła Wdowa Matka. - Myślałam właśnie o tych słodkich melonach. Miałam taką ochotę na choćby jeden. A ty przychodzisz właśnie w tym momencie.

- Pozwól mi zlecić eunuchowi, aby powiesił go w jednej z północnych studni, aby się ochłodził - powiedziała Jehonala.

Cesarzowa nie pozwoliła na to.

- Nie, nie - dowodziła - jeśli melon wpadnie w ręce eunucha, ten zje go po kryjomu, a kiedy po niego poślę, przyniesie mi inny, zielony; albo powie, że nadgryzły go szczury, albo że wpadł do studni i nie mógł go wydobyć. Och, dobrze znam ich łakomstwo! Zjem go teraz i zatrzymam bezpiecznie w żołądku.

Odwróciła głowę i zawołała do znajdujących się w pobliżu służących:

- Przynieście mi duży nóż.

Trzy z czterech kobiet pobiegły po nóż i w jednej chwili były z powrotem. Jehonala wzięła nóż i delikatnie, z wdziękiem pokrajała melon na plasterki. Wdowa Matka pochwyciła jeden z nich i zaczęła jeść łapczywie jak dziecko. Słodki sok spływał kroplami po jej brodzie.

- Ręcznik - powiedziała Jehonala do służącej i wzięwszy go z jej rąk, zawiązała na szyi starej damy, aby uchronić jej białiznę przed zabrudzeniem.

- Połowę zachowaj - poleciła cesarzowa, zjadłszy tak dużo, jak tylko mogła. - Kiedy mój syn pokaże się wieczorem, jak to ma w zwyczaju, ofiaruję mu ten kawałek... Musi jednak

zostać przy mnie, aby go nie porwał któryś z eunuchów.

- Pozwól... - powiedziała Jehonala.

Nie pozwoliła służącej dotknąć melona. Poprosiła o talerz, na którym umieściła melon, potem o porcelanową miseczkę, którą przykryła owoc, następnie talerz kazała umieścić w misce z zimną wodą. Cały ten trud zadała sobie po to, aby Wdowa Matka mogła o tym wspomnieć cesarzowi, gdy ten się u niej zjawi, i aby jej imię mogło w którymś momencie dotrzeć do cesarskiego ucha.

Kiedy starała się w ten sposób, Li Lien-jing starał się na swój sposób. Przekupił służących w prywatnych apartamentach cesarza, aby obserwowali swego pana, a kiedy monarcha będzie niespokojny i jego oczy zaczną błędzić za kobietami, eunuch zobowiązał ich, by wymienili imię Jehonali.

Dzięki tym i innym zabiegom dokonało się wreszcie. Następnego dnia po ofiarowaniu melona, kiedy Jehonala otworzyła w bibliotece swą książkę, znalazła między jej kartkami złożony mocno kawałek papieru. Znajdowały się na nim dwie nieporządnie zapisane linijki, które głosiły:

*Smok znów się budzi,*

*Nadszedł dzień Feniksa.*

Wiedziała, kto napisał te słowa. Ale w jaki sposób Li Lien-jing mógł się dowiedzieć? Nie będzie go o to pytać. To, co robił, aby osiągnęła swe cele, powinno być tajemnicą, nawet dla niej. Czytała więc spokojnie książki, podczas kiedy stary eunuch, jej nauczyciel, zasypiał, budził się, zasypiał ponownie, aż minął czas. Był to dzień, kiedy przypadała jej zwykła lekcja rysunku, z czego była zadowolona, bo jej myśli rozbiegały się w różnych kierunkach i nie potrafiłaby ich skoncentrować na spokojnych słowach zmarłego mędrca. Podczas malowania będzie zmuszona do skupienia, bo jej nauczycielem była kobieta, jeszcze niestara i bardzo wymagająca. Była to pani Miao, wdowa. Chinka, której mąż zmarł w młodym wieku. Ponieważ nie było przyjęte, by chińska dama pokazywała się na dworze mandzurskim, zezwolono, by nie krępowała swych stóp, by czesała się wysoko jak mandzurskie damy, by zakładała mandzurskie szaty i przynajmniej przypominała członka mandzurskiego rodu. Pozwolono jej na to, bo była znakomita w swej dziedzinie. Pochodziła z rodziny chińskich artystów, malarzami byli również jej ojciec i bracia, ale przewyższyła ich, szczególnie w malowaniu paw i chryzantem. Zaangażowano ją więc, by uczyła konkubiny swej sztuki. Była jednak tak sprawna i tak niecierpliwa, że nie uczyła tych, które uczyć się nie chciały, ani tych,

które nie miały talentu. Jehonala chciała się uczyć i miała talent, więc kiedy pani Miao odkryła to, poświęciła się młodej, dumnej dziewczynie, chociaż jako nauczycielka pozostała wymagająca i surowa. Dlatego nie zezwoliła jeszcze Jehonali malować niczego z natury. Zamiast tego zmuszała ją do studiowania starych drzeworytów i sztychów dawnych mistrzów, aby utrwaliła w swym umyśle dotknięcia ich pędzla, ich linie, ich dobór kolorów. Dopiero po tych studiach zezwoliła Jehonali na kopiowanie, ale wciąż nie pozwalała jej na samodzielną pracę.

Tego dnia pani Miao przybyła jak zwykle dokładnie o godzinie czwartej. W cesarskiej bibliotece było wiele zegarów, które jeszcze w poprzednich stuleciach ofiarowali zagraniczni posłowie, a w całym pałacu było ich tak wiele, że trzech eunuchów zatrudniono wyłącznie do ich nakręcania. Pani Miao nie spoglądała jednak na zagraniczne zegary, lecz na zegar wodny w końcu sali. Nie lubiła tych obcych mechanizmów, burzyły bowiem, jak mówiła, spokój potrzebny przy malowaniu.

Była drobną, prawie piękną kobietą, szpeciły ją trochę zbyt małe oczy. Miała dziś na sobie szatę koloru śliwkowego, a na zaczesanych wysoko włosach mandzurskie przybranie głowy z paciorkami. Kroczył za nią eunuch, który otworzył wysoką komodę i wyjął z niej pędzle, farby i miseczki na wodę. Jehonala w obecności swej nauczycielki przyjęła postawę stojącą.

- Siadaj, siadaj! - poleciła pani Miao.

Sama usiadła także, aby mogła usiąść Jehonala. Przed młodą dziewczyną odkrywała nowe perspektywy, dzięki którym coraz lepiej mogła poznawać kraj, w którego centrum żyła, i jego ludzi. Sztuka stuleci ożywała przed Jehonala w trakcie opowiadania nauczycielki, poczynając od najsłynniejszego chińskiego artysty, Ku K'ai-czy, żyjącego piętnaście wieków temu. Jehonala lubiła szczególnie jego wczesne malowidła, bo przedstawiały boginie jadące nad chmurami w rydwanach ciągniętych przez smoki. Malował też sceny z życia cesarskiego dworu - tworzył je na długim zwoju jedwabiu, na którym przodek cesarza, Cz'ien Lung, postawił przed stu laty swą prywatną pieczęć i własnoręcznie napisał te słowa: „Obraz nie stracił nic ze swej świeżości”. Zwój miał dziewięć stóp długości, dziewięć cali szerokości, był w kolorze brązowym, a z dziewięciu scen przedstawiających życie dworu Jehonala najbardziej lubiła tę, na której niedźwiedz, wyrwawszy się zabawiającym dwóm harcownikom, pędzi w kierunku cesarza, a jedna z dam rzuca się przed niego, by ratować Syna Niebios. Jehonala pomyślała, że ta dama jest do niej podobna. Wysoka, piękna i śmiała stoi naprzeciw bestii ze złożonymi ramionami, z nieustraszoną spojrzeniem, podczas kiedy strażnicy biegną potrząsając dzidami. Była jeszcze jedna scena, nad którą lubiła dumać, przedstawiała

cesarza, cesarzową i dwóch cesarskich synów. Z obrazu biło ciepło życia rodzinnego, obok chłopców stały niańki i nauczyciele, młodszy z chłopców wyglądał na psotnego, tak zabawnie krzywił się i buntował, gdy strzyżono mu włosy, że Jehonała śmiała się, kiedy na niego patrzyła. Jeśli niebo zezwoli, będzie miała takiego syna.

Dzisiaj miała być jednak lekcja o Wang Weiu, lekarzu urodzonym trzynaście wieków temu, który porzucił zawód przodków i został poetą i malarzem.

- Dzisiaj - powiedziała swym ostrym, srebrnym głosem pani Miao - będziesz studiowała szkice Wang Weia. Zwróć uwagę na liście bambusa niezmiernie delikatnie naszkicowane na tle ciemnych skał. Zwróć uwagę na kwiaty śliwy splecione z chryzantemami.

Nie pozwalała na konwersację nie mającą związku z malarstwem, i Jehonała, zawsze posłuszna swym nauczycielom, słuchała i patrzyła. Teraz odezwała się.

- Czy to nie dziwne, że kwiaty śliwy i chryzantemy znajdują się na tej samej stronicy? Czy twórca nie pomylił czasem pór roku?

Pani Miao nie była zadowolona.

- Mówiąc o Wang Weiu - powiedziała - mądrzej będzie nie wspominać o pomyłkach. - Jeśli mistrz zechciał umieścić kwiaty śliwy między chryzantemami, to ma to jakieś znaczenie. Nie może to być pomyłką. Pomyśl, że wśród jego najslawniejszych prac znajduje się ta, która przedstawia liście banana pod śniegiem. Czy to możliwe, by śnieg leżał na liściach banana? Jeśli tak namalował Wang Wei, to znaczy, że jest to możliwe. Proszę, pomyśl o jego poezji. Niektórzy uważają Wang Weia bardziej za poetę niż za malarza. A ja mówię, że jego poezje są obrazami, jego obrazy poezją, i to jest właśnie sztuka. Przedstawić nastrój, a nie rzeczywistość - oto idealna sztuka.

Mówiąc, mieszała farby, dobierała pędzelki, podczas kiedy Jehonała przyglądała się temu.

- Pewnie chciałabyś wiedzieć, dlaczego proszę cię o kopiowanie prac Wang Weia - ciągnęła. - Chcę cię nauczyć delikatności i precyzji. Masz bowiem siłę, ale siła musi czerpać natchnienie z twego wnętrza i podlegać wewnętrznej kontroli. Tylko wtedy może objawić się geniusz.

- Chciałabym zadać mojej nauczycielce pytanie - powiedziała Jehonała.

- Pytaj - odpowiedziała pani Miao. Robiła szybkie, drobne pociągnięcia pędzlem na dużej karcie papieru, rozłożonej na kwadratowym stole, który postawił przy niej eunuch.

- Kiedy będzie mi wolno namalować mój własny obraz? - spytała Jehonała.

Nauczycielka przez chwilę zastygła z uniesioną w powietrzu ręką i rzuciła w bok

długie spojrzenie swych wąskich oczu.

- Wtedy, kiedy już nie będę mogła ci rozkazywać.

Jehonała nie odpowiedziała. Sens był jasny. Pani Miao nie będzie mogła jej rozkazywać, kiedy ona, Jehonała, zostanie wybrana przez cesarza, bo wtedy nikt, prócz samego cesarza, nie będzie mógł jej rozkazywać. Będzie wyniesiona wtedy zbyt wysoko, by ktokolwiek mógł być ponad nią. Wzięła pędzelek i zaczęła uważnie kopiować kwiaty śliwy wśród chryzantem.

Nagle, nie wiedziała, która to może być godzina, poczuła, jak ktoś potrząsa ją za ramiona. Tej nocy długo nie mogła zasnąć, więc kiedy wreszcie jej oczy się zamknęły, zapadła w głęboki sen. Teraz wydobywała się z ciemnej studni i walcząc o otwarcie oczu, słyszała głos służącej:

- Obudź się, obudź, Jehonalo! Zostałaś wezwana! Syn Niebios wzywa...

Przebudziła się natychmiast. Umysł jej odzyskał całą jasność. Odrzuciła jedwabne kołdry i zeszła z wysokiego łóża.

- Już przygotowałam kąpiel - szeptała kobieta. - Szybko do wanny! Dołałam perfum do wody. Przygotowałam ci twoją najlepszą szatę - z liliowego atlasu...

- Nie chcę liliowej - powiedziała Jehonała. - Założę brzoskwińworóżową.

Wyrwane ze snu, ziewając, wchodziły do pokoju inne kobiety: garderobiana, fryzjerka i kobieta mająca pieczę nad klejnotami. Konkubinom nie dawano cesarskich klejnotów, dopóki nie zostały zawezwane.

Jehonała uklękła w kąpieli, a służąca namydliła jej ciało i dobrze spłukała pianę.

- Teraz stań na tym ręczniku - powiedziała kobieta. - Wytrę cię do sucha. Trzeba uperfumować siedem otworów, szczególnie uszy... Cesarz kocha kobiece uszy. Ty masz uszy małe i piękne. Nie zapomnij o nozdrzach... miejscami intymnymi zajmę się sama.

Jehonała bez słowa poddawała się wszystkim tym zabiegom. Pośpiech był konieczny. Cesarz obudził się, pił wino i jadł małe, gorące chlebki, nadziewane przyprawionym mięsem. Raz po raz Li Lien-jing stawał u drzwi z nowymi wiadomościami.

- Nie zwlekaj - syczał przez zasłony ochryłym głosem. - Jeśli ta, której zapragnął, nie jest gotowa, może wezwać inną. Jego smoczy nastrój łatwo się zmienia, zapewniam cię.

- Już jest gotowa - wykrzyknęła służąca. Szybko przypięła za uszami Jehonali dwa kwiaty z klejnotów i wypchnęła ją za drzwi.

- Idź, mój skarbie, moje kochanie - wyszeptała.

- Ach, mój pieseczek - wykrzyknęła Jehonała. Stworzonko tkwiło u jej stóp.

- Nie, nie - wrzeszczał Li Lien-jing. - Nie możesz brać psa!

Lecz Jehonala, która nagle poczuła lęk, schyliła się i wzięła zwierzątko w ramiona.

- Wezmę go - krzyknęła i tupnęła nogą.

- Nie! - znów wrzasnął Li Lien-jing.

- Och, Panie Piekieł - krzyknęła skonsternowana służąca - pozwól jej wziąć tego psa, ty szewska smoło! Jeśli jej zabronisz, nie pójdzie, i co wtedy będzie z nami wszystkimi?

Stało się więc, że Jehonala poszła o północy do cesarza, niosąc w ramionach swego lewka, swego psa zabawkę, i od tego dnia Li Lien-jing, który istotnie był szewskim praktykantem, nim - okaleczony - stał się eunuchem, zyskał u tych, co się go bali, i tych, którzy go nienawidzili, przezwisko - Szewska Smoła.

W aksamitnej ciemności nocy letniej Jehonala szła za Li Lien-jingiem wąskimi przejściami miasta. Prowadził ją mętny krąg światła rzucany przez świecę ukrytą w pergaminowej latarni, którą eunuch niósł przed sobą. Służąca szła za nią. Kamienie bruku, po którym szli, były wilgotne od rosy, która jak delikatny szron kładła się na rosnących między nimi niskich zielskach. Zewsząd otaczała ich cisza, tylko z oddali dochodziło zawodzenie kobiety.

Chociaż Jehonala nigdy nie była w pałacu cesarza, wiedziała, jak każda konkubina, że znajdował się w sercu Zakazanego Miasta, pośród cesarskich ogrodów, w cieniu potrójnej świątyni - Wieży Deszczu i Kwiatów, której dachy podtrzymywane były przez złote kolumny oplecione smokami. W świątyni stały trzy ołtarze, przy których cesarz samotnie czcił bogów, tak jak to robili wszyscy cesarze od czasów wielkiego K'ang Si, a bogowie otaczali ich opieką.

Minęła świątynię i doszła do bramy wejściowej prowadzącej na dziedziniec osobistego pałacu cesarza. Otworzyła się przed nią cicho, a eunuch wiódł ją dalej przez obszerny wewnętrzny podwórzec do wielkiej sieni, a przez nią znów do przejść cichych i pustych, pełnych baczących eunuchów, aż w końcu doszła do podwójnej bramy rzeźbionej w złote smoki. Tutaj oczekiwał stojąc ze złożonymi ramionami sam naczelny eunuch, An Teh-hai - wysoki, o wspaniałej postawie, z nieruchomą, dumną twarzą. Jego długi płaszcz z purpurowego brokatowego atłasu, w połowie złoto przepasany, mienił się w blasku świec płonących w wysokich lichtarzach z rzeźbionego i polerowanego drewna. Nie odezwał się do Jehonali ani nie dał znaku, że ją poznaje, kiedy podeszła bliżej, lecz gestem prawej ręki odprawił Li Lien-jinga, który cofnął się z szacunkiem.

Teraz naczelny eunuch dostrzegł nagle głowę pieska zerkającego z rękawa Jehonali.

- Nie możesz wziąć psa do sypialni cesarza - powiedział surowo.

Jehonala uniosła głowę i spojrzała na niego swymi wielkimi oczyma.

- W takim razie ja również tam nie wejdę - odrzekła.

Były to śmiałe słowa, ale wypowiedziała je cichym, obojętnym głosem, jak gdyby nie miało dla niej znaczenia, czy wejdzie, czy też nie. An Teh-hai otworzył oczy ze zdziwienia.

- Miałabyś czelność odmówić Synowi Niebios? - domagał się odpowiedzi.

Nie odpowiedziała, głaszcząc dłonią gładką głowę pieska.

- Starszy bracie - wtrącił się Li Lien-jing - ta konkubina sprawia bardzo dużo kłopotów. Mówi jak dziecko, lecz jest dziksza od tygryscy. Wszyscy się jej boimy. Jeśli nie zechce wejść, lepiej odesłać ją do domu. Doprawdy nie oplaca się z nią walczyć, bo w swym uporze twardsza jest od kamienia.

Zasłona za An Teh-haiem rozwarła się z szarpnięciem i wychyliła się spoza niej twarz eunucha. - On pyta, skąd ta zwłoka - wykrzyknął. - Pyta, czy ma przyjść i sam załatwić sprawy!

- Starszy bracie, pozwól jej wejść z psem - nalegał Li Lien-jing. - Może go ukryć w rękawie. Jeśli zwierzę będzie sprawiało kłopot, można je przecież oddać służącej, która będzie czekała za drzwiami.

Naczelny eunuch nachmurzył się, ale Jehonała wciąż patrzyła na niego swymi wielkimi, niewinnymi oczami i cóż mu pozostało innego, niż ulec? Zżymał się chwilę, ale uległ. Znow poprowadzono ją przez jeszcze jeden pokój, na jego przeciwległej ścianie wisiały grube atlasowe zasłony w kolorze cesarskiej żółci ze smokami wyhaftowanymi purpurową, jedwabną nicią. Za tymi zasłonami znajdowały się ciężkie, rzeźbione, drewniane drzwi. Naczelny eunuch rozsunał zasłony, otworzył drzwi i skinął, aby weszła. Tym razem weszła sama. Zasłony opadły za nią. Stała przed cesarzem.

Siedział wyprostowany w ogromnym cesarskim łożu, które stało na podwyższeniu. Łoże wykonane było z brązu, z brązu były też filary, na których wyrzeźbiono wspinające się smoki. Ze szczytów filarów, połączonych ze sobą delikatną strukturą z brązu, zwisały sieci złotej nitki splecionej w owoce i kwiaty pośród wijących się, pięciopalczastych smoków. Cesarz siedział na materacu pokrytym żółtym atlasem, jego nogi okrywała kołdra z żółtego atlasu, opierał się o poduszki powleczone tym samym, żółtym atlasem. Miał na sobie nocną koszulę z czerwonego jedwabiu, okrywającą szczelnie szyję, z rękawami dochodzącymi do nadgarstków. Gładkie, wysmukłe ręce trzymał złożone. Widziała go uprzednio tylko raz, wtedy, kiedy ją wybrał. Miał wówczas na głowie królewskie przybranie. Teraz jego twarz była odsłonięta, a jego włosy były krótkie i czarne. Twarz miał długą i wąską, wpadniętą pod zbyt pełnym i wysuniętym do przodu czołem. Wpatrywali się w siebie, mężczyzna i kobieta, aż dał znak, by podeszła bliżej. Podchodziła do niego wolno z oczami utkwionymi w jego

twarzy. Kiedy była blisko, znów się zatrzymała.

- Jesteś pierwszą kobietą, która weszła do tej komnaty z uniesioną głową - powiedział wysokim, cienkim głosem. - Zawsze boją się na mnie patrzeć.

Sakota, pomyślała, Sakota z pewnością weszła z opuszczoną głową. Gdzie była Sakota? W którym z pobliskich pokoi spała Sakota? Sakota stała tu niedawno, uległa, przestraszona, pozbawiona tchu.

- Ja się nie boję - powiedziała Jehonała swym cichym, wyraźnym głosem. - Widzisz, przyniosłam swego pieska.

Zapomniane konkubiny mówiły jej, jak zwracać się do Syna Niebios. Nie należy do niego mówić tak, jakby był jednym ze śmiertelników. Pan Dziesięciu Tysięcy Lat, Najwyższy, Najczcigodniejszy - oto właściwe słowa. Jehonała zaś zachowywała się przy cesarzu tak, jakby był mężczyzną.

Znów pogłaskała gładki łeppek pieska i spojrzała w dół.

- Zanim tu przybyłam - powiedziała - nigdy nie miałam takiego pieska. Słyszałam tylko o pieskach jak lwy, a teraz mam takiego na własność.

Cesarz wpatrywał się w nią, jak gdyby nie wiedząc, co odpowiedzieć na to dziecinne odezwanie.

- Chodź, usiądź przy mnie na łóżku - polecił jej. - Powiedz, dlaczego się mnie nie boisz?

Wstąpiła na podwyższenie i siadła naprzeciw niego, wciąż trzymając pieska. Kiedy stworzonko zwąchawszy perfumy kichnęło, zaśmiała się.

- Cóż to za zapach spowodował kichnięcie mego pieska? - zaciekawiała się.

- To drzewo kamforowe - powiedział cesarz. - Ale powiedz mi, dlaczego się nie boisz?

Poczuła na sobie jego wzrok badający jej twarz, wargi, dłonie głaszczące pieska. I chociaż był środek lata, a poranny wiatr nie zerwał się jeszcze, przeszył ją nagły zimny dreszcz. Powtórnie schyliła głowę, jakby chciała spojrzeć na pieska, następnie zmusiła się do spojrzenia na mężczyznę i do mowy słodkiej i nieśmiałej, jakby była dzieckiem.

- Znam swoje przeznaczenie - powiedziała.

- A jak poznałaś swoje przeznaczenie? - domagał się odpowiedzi. Zaczynał się bawić, jego cienkie wargi wygięły się ku górze, a podkrążone oczy stały się mniej zimne.

- Kiedy wezwano mnie z mego domu - mówiła nadal słodkim i nieśmiałym głosem - poszłam na dziedziniec domu mego stryja, który jest moim opiekunem, bo ojciec mój umarł, i weszłam do świątyni, która tam stoi za drzewem granatu, i modliłam się do mojej bogini



Kuan Yin. Zapaliłam kadzidło i wtedy...

Zrobiła pauzę, wargi jej drżały, próbowała się uśmiechnąć.

- I wtedy? - dopytywał się cesarz oczarowany jej piękną, tak delikatną i tak młodą twarzą.

- Tego dnia nie było wiatru - powiedziała. - Dym z palącego się kadzidła szedł od ołtarza prosto w niebo. Rozszedł się w wonną chmurę, a w chmurze tej ujrzałam oblicze...

- Męskie oblicze - zawtórował.

Pokiwała głową, jak kiwa głową dziecko, kiedy jest zbyt zawstydzone, by mówić.

- Czy to była moja twarz? - spytał.

- Tak, Wasza Wysokość - powiedziała. - Twoje cesarskie oblicze!

Minęły dwa dni i dwie noce, a ona była wciąż w królewskiej sypialni. Cesarz zasypiał trzykrotnie i za każdym razem podchodziła do drzwi, kiwała na swą służącą, która prześlizgiwała się między zasłonami do tylnego buduaru. Tam czekała kąpiel przygotowana przez eunuchów, kocioł z wodą stojący na palenisku z węglem, tak że służąca mogła napęłnić wielki porcelanowy dzban i powtórnie orzeźwić swą panią. Przynosiła również czyste stroje i okrycia, szczotkowała i gładko zawijała włosy Jehonali. Młoda dziewczyna nie mówiła nic, tylko wydawała polecenia, a służąca ani razu o nic nie zapytała. Za każdym razem, kiedy konieczne czynności zostały dokonane, Jehonala znów wchodziła do cesarskiej sypialni i ciężkie drzwi za żółtymi zasłonami zamykały się za nią.

Po wejściu do tego obszernego pomieszczenia, siadała na krześle przy oknie i czekała, aż cesarz się obudzi. Co było do zrobienia, zostało zrobione. Wiedziała teraz, kim był ten człowiek: słabym, kapryśnym stworzeniem, ogarniętym namiętnością, której nie mógł zaspokoić, żądzą płynącą z umysłu, bardziej przerażającą niż żądza cielesna. Pokonany szlochał na jej piersi. Taki, taki był Syn Niebios!

Jednak kiedy się obudził, była wcieleniem obowiązku i delikatności. Był głodny, więc posłała po naczelnego eunucha, któremu poleciła, by przyniósł potrawy, które lubił jego władca. Jadła z cesarzem, karmiła pieska kawałkami mięsa i od czasu do czasu wypuszczała go na podwórze pod oknem. Po posiłku cesarski władca jeszcze raz rozkazał swemu naczelnemu eunuchowi, by zasłonił okna i odciał światło słoneczne, oraz polecił wszystkim, by zostawili go w spokoju i nie przychodzili bez wezwania; nie chciał również widzieć swego ministra - ani tego dnia, ani następnego, ani nigdy, dopóki nie będzie miał ochoty go zobaczyć.

An Teh-hai miał ponury wygląd.

- Jego Wysokość, z południa nadchodzą złe wieści. Tajpingowie zagarnęli połowę

następnej prowincji. Twoi ministrowie i książęta z niecierpliwością oczekują audiencji.

- Nie pójdę - powiedział zrzędliwie Syn Niebios i opadł na poduszki.

Naczelnemu eunuchowi nie pozostawało nic innego, jak opuścić pokój.

- Zagroź drzwi - rozkazał cesarz Jehonali.

Zagroziła więc drzwi, a kiedy znów się do niego zwróciła, patrzył na nią ze straszną, niezaspokojoną żądzą.

- Chodź tutaj - wymamrotał. - Teraz jestem silny. Mięsa dały mi siłę.

Znów musiała posłuchać. Tym razem był silny naprawdę, więc przypomniała sobie, co mówiły plotkujące konkubiny mieszkające w Pałacu Zapomnianych Konkubin. Powiadały, że kiedy cesarz zwlekał w łożu zbyt długo, jego ulubione dania przyprawiano potężnym ziołem, które nagle dawało mu niezwykłą siłę. Jednak zioło to było tak niebezpieczne, że należało być ostrożnym, bo następowało potem tak wielkie wyczerpanie, że mogło się to zakończyć śmiercią.

Trzeciego dnia rano nadeszło owo wyczerpanie. Cesarz opadł na poduszki w milczeniu, bliski omdlenia. Miał sine wargi, oczy półprzymknięte, nie mógł się ruszyć, jego wąska twarz zaczęła powoli przybierać odcień zielonkawej bladości, co przy żółtej cerze sprawiało wrażenie, że jest martwy. Przerazona Jehonala podeszła do drzwi, aby wezwać pomoc. Zanim zdołała zawołać, ujrzała, jak nadchodzi An Teh-hai, naczelnny eunuch, który oczekiwał na wezwanie.

- Niech natychmiast wezwą dworskiego lekarza - rozkazała.

Ze swymi wielkimi, czarnymi oczyma wyglądała na tak chłodną i tak dumną, że An Teh-hai usłuchał.

Znów wróciła i stanęła przy łóżku. Cesarz zapadł w sen. Patrzyła na jego pozbawione świadomości oblicze i chciało się jej płakać. Wstrząsały nią dziwne dreszcze, które przenikały ją raz po raz w ciągu ostatnich dwu dni i trzech nocy. Podeszła do drzwi i uchyliła je na tyle, by mogło się przez nie precyzyjnie jej smukłe ciało. Po drugiej stronie, znużona czekaniem, kiwając się na drewnianym stołku, siedziała jej służąca. Jehonala położyła rękę na jej ramieniu i potrząsnęła nią lekko,

- Chcę wrócić do mojego pałacu - powiedziała.

- Gdzie jest twój piesek? - spytała kobieta.

Jhonala wpatrywała się w nią niewidzącym spojrzeniem. - Kiedyś w nocy wyprowadziłam go na podwórze - zapomniałam o nim!

- Nie martw się - powiedziała stara kobieta, litując się nad nią. - Chodź, chodź ze mną - weź moją rękę, pani...

Jehonala pozwoliła prowadzić się wąskimi przejściami. Był świt, wschodzące słońce oświetlało czerwone mury. Znów znalazła się w swym samotnym mieszkaniu. Służąca, krzątając się żwawo, opowiadała, aby podnieść na duchu swą panią:

- Wszyscy mówią, że nigdy dotychczas konkubina nie pozostała z Synem Niebios aż tak długo. Nawet małżonka za każdym razem spędzała z nim tylko jedną noc. Ten eunuch, Li Lien-jing, mówi, że jesteś teraz faworytą. Możesz już się niczego nie lękać.

Jehonala uśmiechała się, ale wargi jej drżały.

- Tak mówią? - pytała zadumana. Nadal trzymała się i poruszała się z delikatnym wdziękiem.

Ale kiedy ją wykąpano i obleczone w nocny strój z najdelikatniejszego jedwabiu, kiedy znalazła się już w swym własnym łóżku, kiedy zaciągnięto zasłony i służąca odeszła, wstrząsnęły nią zimne dreszcze. Musi milczeć do końca życia, bo nie ma nikogo, komu mogłaby się zwierzyć. Och, bo czy jest ktoś, kto mógłby być jej przyjacielem? Była samotna i nigdy, nawet w najgorszych snach, nie wyobrażała sobie takiej samotności. Nie było nikogo...

Nikogo? A czyż Jung Lu nie jest nadal jej krewnym? To przecież jej kuzyn, a więzów krwi nie można zerwać. Siadła w łóżku, osuszyła oczy i zaklaskała na służącą.

- Wołałaś mnie, pani? - zapytała od drzwi kobieta.

- Przyślij mi eunucha Li Lien-jinga - rozkazała jej Jehonala.

Służąca zawahała się. Wątpliwości odbiły się wyraźnie na jej okrągłej twarzy.

- Pani - powiedziała - nie zachowuj się zbyt przyjacielsko w stosunku do tego eunucha. Cóż takiego może on teraz dla ciebie zrobić?

Ale Jehonala uparła się.

- Coś, czego nie zrobiłby nikt inny - powiedziała.

Służąca, wciąż niepewna, odeszła poszukać eunucha, który przybiegł pośpiesznie, w uniesieniu.

- Czego pragniesz, mój Feniksie? - spytał, zjawiwszy się w drzwiach.

Jehonala rozsunęła zasłonę. Włożyła ciemną, ponurą szatę, twarz miała bladą i poważną, a pod oczami cienie. Mówiła jednak z wielką godnością.

- Przyrowadź do mnie mego krewnego - powiedziała - mojego kuzyna Jung Lu.

- Kapitana Cesarskich Gwardzistów? - spytał zdumiony Li Lien-jing.

- Tak - odpowiedziała wyniośle.

Odszedł, ścierając rękawem uśmiech ze swej twarzy.

Spuściła zasłonę i słuchała oddalających się kroków eunucha. Gdy będzie miała władzę, pomyślała, wyniesie Jung Lu tak wysoko, że nikt, nawet eunuch, nie będzie śmiał

powiedzieć o nim „ten gwardzista”. Zrobi z niego co najmniej księcia, może Wielkiego Radcę. Bawiąc się tymi myślami, poczuła w sercu taką tęsknotę, że zaczęła się o siebie lękać. Bo czegoż mogła oczekiwać od swego krewniaka? Mogła jedynie ujrzeć jego szczerą twarz, usłyszeć brzmienie jego mocnego głosu, kiedy będzie mówił, co powinna teraz czynić. Och, popełniła błąd posyłając po niego, bo czyż mogła mu powiedzieć, co się zdarzyło podczas tych dwóch dni i trzech nocy, i jak to ją zmieniło? Czy może mu powiedzieć, że żałuje, iż trafiła do Zakazanego Miasta, i czy może błagać go o pomoc w ucieczce? Legła na podłodze, przechyliła głowę do ściany i zamknęła oczy. Z głębi jej trzewi aż do piersi napływał dziwny ból. Miała nadzieję, że Jung Lu nie przyjdzie.

Próżna nadzieja, już słyszała jego kroki. Przyszedł natychmiast, był u drzwi, a Li Lien-jing wołał przez zasłonę:

- Pani, twój krewniak jest tutaj!

Wstała i nawet nie pomyślała, by spojrzeć w lustro. Jung Lu wiedział, jaka jest naprawdę. Nie musiała myśleć o poprawianiu swej urody. Podeszła do zasłony i odsunęła ją. Stał tuż za nią.

- Wejdz, kuzynie - powiedziała.

- Wyjdz - odpowiedział. - Nie powinniśmy spotykać się w twoim pokoju.

- Muszę jednak porozmawiać z tobą na osobności - powiedziała, wiedząc, że Li Lien-jing czeka, łakomie nadstawiając uszu.

Ale Jung Lu nie wszedł, musiała więc sama opuścić pokój. Kiedy ujrział jej twarz, jej bladość, bladość jej warg i cienie pod oczami, zaniepokoił się i nie oponował, gdy skierowała swe kroki na podwórzec i zakazała, by eunuch podążał za nimi. Tylko jej służąca siedziała w pobliżu na stopniach, aby nie mówiono, że była sam na sam z mężczyzną, nawet jeśli był to jej kuzyn.

Wiedziała, że nie może nawet dotknąć jego ręki ani też pozwolić, by on to zrobił. Czuła dojmujący ból - tęskniła do jego dotyku. Oddaliła się od wyjścia tak daleko, jak tylko mogła, i siadła na porcelanowej ogrodowej ławeczce pod kępą daktyli, w drugim końcu podwórza.

- Usiądź - poprosiła.

Ale Jung Lu nie usiadł. Stał przed nią wyprostowany i sztywny, jakby był tylko strażnikiem przy cesarskiej furcie.

- Nie zechcesz usiąść? - spytała powtórnie z błagalnym spojrzeniem.

- Nie - odpowiedział. - Jestem tu, bo po mnie posłałaś.

Przestała nalegać.

- Czy słyszałeś? - spytała tak cicho, że nawet ptak na gałęzi tuż nad nią nie mógłby dosłyszeć, co powiedziała.

- Słyszałem - powiedział nie patrząc na nią.

- Jestem nową faworytą.

- O tym też słyszałem.

W tych kilku słowach powiedziane zostało wszystko. O czym można było mówić dalej? Jung Lu milczał. Patrzyła na jego twarz, na twarz, którą znała tak dobrze. Porównywała ją z tamtą - drobną, wąską, niezdrową twarzą na cesarskiej poduszce. Ta była młoda i piękna, z wielkimi, promieniującymi siłą oczami, z pełnymi, mocnymi ustami nad zdecydowanym podbródkiem. Była to twarz mężczyzny.

- Byłam głupia - powiedziała.

Nie odpowiedział. Jakaż mogła być na to odpowiedź?

- Chcę wrócić do domu.

Wzruszył ramionami i wpatrywał się z napięciem w drzewo nad jej głową.

- To jest twój dom - rzekł zdecydowanie.

Przygryzła brzeg dolnej wargi.

- Chcę, abys mnie uratował.

Nie poruszył się. Każdy, kto by ich obserwował, mógłby powiedzieć, że Jung Lu stoi posłusznie przed kobietą siedzącą pod drzewem daktylowym. Pozwolił jednak swoim oczom ześlizgnąć się na jej miłą, uniesioną twarz. W jego oczach zobaczyła odpowiedź.

- Och, moja ukochana, gdybym tylko mógł, uratowałbym cię, ale nie mogę.

Silny ból w jej trzewiach nagle zelżał.

- Więc, proszę, nie zapominaj o mnie!

- Nie zapomnę nigdy, ni w dzień, ni w nocy - powiedział.

- Co mam robić? - spytała.

- Znasz swoje przeznaczenie - odpowiedział. - Ty sama je wybrałaś.

Jej dolna warga zadrżała, a w czarnych oczach zamigotały srebrne łzy.

- Nie wiedziałam, że tak to będzie - wyjąkała.

- Nie można cofnąć tego, co się stało - powiedział. - Nie ma powrotu, nie możesz już być tą, którą byłaś.

Nie mogła mówić. Pochyliła głowę, aby łzy wypełniające jej oczy nie wypłynęły na policzki - nie śmiałyby ich otrzeć, w lęku, że dostrzeże to jakiś eunuch, który mógł się zaczać w pobliżu.

- Wybrałaś wielkość - powiedział podczas jej milczenia. - A więc musisz być wielka.

Łykała łyzy i nadal nie śmiała podnieść głowy. - Tylko pod warunkiem, że mi przyrzekniesz - powiedziała cichym, drżącym głosem.

- Co mam ci przyrzec? - spytał.

- Że przyjdiesz, kiedy po ciebie poślę - powiedziała. - Muszę mieć tę pewność i to wytchnienie. Nie mogę być zawsze samotna.

Zauważyła, że w słońcu przebijającym się przez liście i padającym mu na twarz jego czoło zaczyna pokrywać się potem.

- Przyjdę, kiedy mnie wezwiesz - powiedział nie poruszając się. - Poślij po mnie, jeśli będziesz musiała. Ale nie posyłaj, jeśli nie będzie to konieczne. Przekupię tego eunucha - nigdy tego nie robiłem - przekupić eunucha! To da mu nade mną władzę. Ale zrobię to.

Podniosła się.

- Mam twoje przyrzeczenie - powiedziała.

Posłała mu długie spojrzenie, trzymając swe dłonie złożone, jakby chciała powstrzymać się przed wyciągnięciem ich w jego stronę.

- Czy mnie rozumiesz? - spytała.

- Tak - odrzekł.

- To wystarczy - powiedziała i minawszy go poszła wprost do swego pokoju, pozostawiając go tam, gdzie stał. Znow opadły za nią zasłony.

Przez siedem dni i nocy Jehonała nie opuszczała swego łóżka. Pałacowe korytarze pełne były szeptów głoszących, że jest chora, że jest zagniewana, że próbowała połknąć swe złote kolczyki, że nie odda się powtórnie cesarzowi. Cesarz bowiem, kiedy tylko dworski lekarz stwierdził, że szkodliwe działanie potężnych środków minęło, natychmiast po nią posłał. Nie była mu jednak posłuszna. Nigdy w całej historii dynastii cesarska konkubina nie zdobyła się na odmowę i nikt nie wiedział, co począć z Jehonałą. Leżała w łóżku pod aksamitnymi przykryciami koloru czerwonej róży i nie rozmawiała z nikim prócz służącej. Eunuch Li Lien-jing wychodził po prostu z siebie, bojąc się, że jego plany ulegną pomieszaniu, a cele staną się nieosiągalne. Jednak nie pozwoliła mu unieść zasłony u swoich drzwi.

- Daj im do zrozumienia, że chcę umrzeć - mówiła do służącej. - To przecież prawda, że nie chcę żyć tutaj.

Kobieta zaniósła tę wiadomość eunuchowi, który zazgrzytał zębami.

- Gdyby cesarz nie oszalał z miłości, byłoby to dość łatwe - sarknął. - Mogłaby wpaść do studni albo zostać otruta, ale on chce ją zdrową i całą - i to natychmiast!

W końcu przyszedł sam naczelny eunuch An Teh-hai, który także niczego nie

wskórał. Jehonała nie chciała go widzieć. Obok łóżka, na małym stoliku, na którym stała porcelanowa filiżanka i gliniany, oprawiony w srebro imbryk do herbaty, trzymała także swe kolczyki.

- Jeśli pozwolisz naczelnemu eunuchowi przestąpić próg pokoju, połknę swe złote kolczyki - powiedziała wysokim głosem, by mógł ją usłyszeć.

I trwało to cały dzień, a potem jeszcze jeden i jeszcze jeden, aż cesarz zaczął stawać się zły i nieufny, podejrzewając, że - jak powiadał - któryś z eunuchów opóźnia jej przybycie, licząc na łapówkę.

- Była mi bardzo posłuszna - utrzymywał. - Robiła wszystko, o co ją prosiłem.

Nikt nie śmiał powiedzieć, że Jego Majestat był dla pięknej dziewczyny wstrętny, a on sam nigdy nawet nie pomyślał o takiej możliwości. Odwrotnie, czuł się silny i sprawny, i nie miał zamiaru trwonić tego przy innej konkubinie, kiedy kochał Jehonałę. W rzeczy samej nigdy nie kochał żadnej kobiety tak, jak teraz kochał Jehonałę, a pamiętając, że namiętność do każdej z kobiet umierała w nim wcześniej, zadowolony był, że po siedmiu dniach tęsknił za jej obecnością bardziej niż kiedykolwiek i coraz bardziej niecierpliwiał się zwłoką.

Trzeciej nocy z owych siedmiu An Teh-hai w końcu wyszedł z siebie i udawszy się do Wdowy Matki, powiedział jej, co się dzieje, że Jehonała, której siłę poznała już wcześniej, nie chce usłuchać cesarza.

- Nigdy nie słyszałam o takiej kobiecie w naszej dynastii - wykrzyknęła energicznie Wdowa Matka. - Każ eunuchom przyprowadzić ją siłą do mego syna!

Naczelny eunuch zawahał się.

- Czcigodna - powiedział. - Ten sposób nie wydaje mi się najlepszy. Trzeba ją zdobyć i przekonać, inaczej, zapewniam cię, pani, nie zmusimy jej. Jest zbyt silna. Jest przecież wyższa i cięższa od Syna Niebios, choć smukła jak młoda wierzba, więc nie zawaha się, by go ugryźć lub podrapać, kiedy będą sami.

- Co za potworność! - zawołała Wdowa Matka.

Była stara, miała chorą wątrobę, większość czasu spędzała w łóżku, i teraz również leżała we wnętrzu łóżka, tak dużej, że sprawiało to wrażenie, że Wdowa Matka przemawia z głębi jamy. Zastanowiła się.

- Czy nie ma nikogo w pałacu, kto zdołałby ją nakłonić? - spytała.

- Cesarska małżonka jest jej najbliższą kuzynką - podsunął naczelny eunuch.

- Nie jest rzeczą stosowną, by małżonka zmuszała konkubinę, aby ta szła do jej pana, do cesarza. - Sprzeciwiła się Wdowa Matka.

- Nie jest to przyjęte ani właściwe - zgodził się naczelny eunuch.

Starsza pani milczała tak długo, że wydawało się, iż zapadła w sen. Ale tak nie było. Po pewnym czasie uniosła swe zapadnięte powieki i powiedziała:

- Dobrze, pozwólcie więc Jehonali pójść do pałacu małżonki.
- A jeśli ona nie zechce, Czcigodna? - wypytywał naczelny eunuch.
- Co znaczy - jeśli nie zechce? - domagała się wyjaśnień cesarzowa.
- Odmówiła pójścia do samego Syna Niebios - przypomniał jej An Teh-hai.

Wdowa Matka jęknęła.

- Powiadam, nigdy nie widziałam kobiety tak dziękuj! Dobrze więc, małżonka jest łagodna. Daj jej do zrozumienia, że Jehonala jest chora i należałoby ją odwiedzić.

- Tak jest, Czcigodna - powiedział naczelny eunuch. Były to polecenia, których potrzebował, więc powstał, aby je wykonać. - Spij spokojnie, Czcigodna.

- Odejdź - odpowiedziała Wdowa Matka. - Zbyt stara jestem na kłopoty związane z mężczyznami i kobietami.

Wyszedł po cichu, kiedy zapadła w sen, i natychmiast udał się do pałacu małżonki, gdzie zastał Sakotę zajętą wyszywaniem tygrysich paszczy na parze pantofelków przeznaczonych dla mającego się narodzić dziecka.

Kiedy go zaanonsowano i kiedy już wszedł, zawołał na widok tej pracy:

- Czyż małżonka cesarza nie ma kobiet, które by dla niej haftowały?

- Mam je - odpowiedziała Sakota. - Tylko że wtedy sama nie mam co robić. Nie jestem tak zdolna, jak moja kuzynka Jehonala. Nie chcę studiować z książek ani uczyć się rysunku.

- Ach - powiedział, stojąc przed nią.

Gestem swej małej dłoni kazała mu usiąść. Na środkowym palcu miała swój napastrzek, na tym samym, na którym lśniła złota obrączka.

- Przyszedłem do ciebie właśnie w związku z twoją kuzynką, pani - mówił, wciąż stojąc - oraz na polecenie Wdowy Matki.

Podniosła ze zdziwieniem ładne oczy.

- Och?

Naczelny eunuch zakasłał.

- Twoja kuzynka sprawia nam wiele kłopotów.

- Rzeczywiście? - powiedziała Sakota.

- Nie jest posłuszna cesarskim wezwaniom - kontynuował.

Sakota opuściła swą małą głowę nad haftem i zaróżowiła się jak kwiat brzoskwini.

- Jednak słyszałam - powiedziały mi moje kobiety...



- Zdobyła łaskę cesarza - zgodził się - ale nie chce do niego wrócić.

Brzoskwinowy rumieniec na jej twarzy pogłębił się.

- Co to ma wspólnego ze mną? - spytała.

- Wydaje się, że może usłuchać ciebie, cesarskiej małżonki - powiedział bez ogródek.

Sakota zastanawiała się nad tym, wyszywając powoli, z najwyższą uwagą żółte oko małego tygrysa na pantofelku.

- Czy nie sądzisz, że jest to prośba trochę niestosowna? - zapytała w końcu.

Naczelnny eunuch odrzekł krótko:

- Istotnie, tak jest, pani. Musimy jednak pamiętać wszyscy, że Syn Niebios nie jest zwykłym człowiekiem. Nikt nie powinien mu odmawiać.

- Tak bardzo mu się spodobała! - mruknęła Sakota.

- Czy to jej wina? - spytał w odpowiedzi.

Krucha istota westchnęła i odłożyła swą robótkę na inkrustowany stolik stojący tuż obok. Następnie złożyła ręce. - Ona i ja zawsze byłyśmy siostrami - powiedziała swym słodkim, żalonym głosem. - Jeżeli mnie potrzebuje, pójdę do niej.

- Dziękuję, pani - powiedział naczelnny eunuch. - Sam cię tam odprowadzę i będę na ciebie czekał.

I właśnie tego dnia Jehonała, leżąc w rozpacz i wypłakując oczy, ujrzała w drzwiach swoją kuzynkę Sakotę. Czuła, że nienawidzi swego życia i żałowała, że wybrała wielkość, bo teraz, kiedy znała jej cenę, nie chciała jej już więcej.

- Sakoto! - zaszlochała i wyciągnęła do niej ramiona.

Sakota, którą wzruszył ten płacz, natychmiast przyfrunęła do niej i dwie młode kobiety padły sobie w ramiona, mieszając swe łzy. Żadna nie śmiała mówić o tym, co się stało, a Sakota wiedziała, że to wspomnienie jest dla Jehonali równie nienawistne jak dla niej.

- Och, biedna siostrzyczko - płakała. - Trzy noce! Ja miałam tylko jedną.

- Nie wrócę do niego - wyszeptała Jehonała. Z taką gwałtownością oplótła szyję kuzynki swymi ramionami, że omal jej nie udusiła. Sakota opadła na łóżko.

- Och, siostrze, musisz to zrobić! - wykrzyknęła. - Bo inaczej cóż się z tobą stanie, moja droga? Nie należymy teraz do siebie.

Wtedy Jehonała, wciąż szepcząc ze względu na słuchających eunuchów, odkryła jej swe serce.

- Sakoto, mnie jest ciężiej niż tobie. Nie kochasz żadnego mężczyzny, prawda? Niestety, ja wiem już teraz, że kocham. W tym całe nieszczęście! Gdybym nie kochała,

mogłabym traktować to lekko. Czym jest ciało kobiety? To rzecz, którą można wziąć lub odrzucić. Nie ma w nim żadnej dumy, kiedy się nie kocha. Bezcenne jest dopiero wtedy, kiedy się kocha - kiedy się jest kochaną.

Nie musiała wymieniać imienia. Sakota wiedziała, że chodzi o Jung Lu.

- Za późno, siostrze - powiedziała Sakota. Gładziła gładkie, mokre policzki Jehonali. - Teraz nie ma już ucieczki, siostrze.

Jehonala odepchnęła jej rękę.

- Muszę więc umrzeć - rzekła łamiącym się głosem - bo naprawdę nie mogę z tym żyć. - Znowu położyła głowę na ramieniu siostry i zapłakała.

Mała Sakota miała miękkie serce kobiety przepełnionej dobrocią, więc kojąc Jehonale, gładząc jej czoło i policzki, przemyślała jednocześnie, co zrobić, by jej pomóc. Opuszczenie pałacu czy Zakazanego Miasta było zupełnie niemożliwe. Gdyby jakaś konkubina uciekła, nie byłoby dla niej miejsca na całym świecie. Gdyby Jehonala wróciła do domu stryja, ojca Sakoty, cała rodzina mogłaby zostać ukarana śmiercią za jej wykroczenie. Gdzież zresztą mogłaby się skryć uciekająca kobieta? Gdyby zmieszała się z obcymi, czyż nie staraliby się dowiedzieć, kim jest, tym bardziej że o ucieczce konkubiny z pałacu mówiono by wszędzie głośno i w wielkim poruszeniu. Pomocy i pociechy należało szukać w tych murach. Miejsce to pełne było intryg, a chociaż żaden mężczyzna nie mógł spać w nocy w obrębie miasta, z wyjątkiem Syna Niebios, to kobiety znajdowały kochanków w ciągu dnia.

Ale czyż ona, cesarska małżonka, mogłaby zniżyć się do targu z eunuchami, oddając się w ich ręce? Nie mogła tego uczynić. Nie tylko lęk, ale także skromność powstrzymałyby ją przed tym.

- Droga kuzynko - powiedziała, nie zdradzając swych myśli - musisz porozmawiać z Jung Lu. Poproś go, aby powiedział memu ojcu, że nie możesz zostać tu dłużej. Może zdoła cię wykupić albo wymienić na kogoś innego, albo powie, że zwariowałaś. Oczywiście nie teraz, kuzynko, słyszałam bowiem, że nasz pan bardzo cię kocha. Później jednak, kiedy twoja kolej minie i inna zajmie twoje miejsce, może uda się to zrobić.

Sakota mówiła to niewinnie, bo nikogo nie kochała i nie była również zazdrosna, ale Jehonala poczuła się dotknięta jej słowami. Miałaby zostać wymieniona? Jeśli Sakota tak mówi, to znaczy, że musiała już słyszeć, jak szemrzą o tym kobiety i eunuchowie. Usiadła na łóżku i odrzuciła z twarzy opadające włosy.

- Nie mogę prosić mego krewnego, by do mnie przyszedł - wiesz o tym, Sakoto! Plotki rozbiegną się od dworu do dworu. Ty jednak, Sakoto, możesz posłać po niego. Jest również twoim krewnym. Poślij po niego i powiedz, że z pewnością zabiję się. Powiedz mu,

że nie dbam o nikogo, że chcę być tylko znów wolna. To jest więzienie, Sakoto - wszyscy jesteśmy w więzieniu!

- Ja jestem dość zadowolona - powiedziała łagodnie Sakota. - Myślę, że jest tu przyjemnie!

Jehonała spojrzała bokiem na kuzynkę.

- Jesteś zadowolona z każdego miejsca - jeśli tylko możesz się spokojnie i wyszywać swoje ałtasowe szmatki!

Sakota opuściła powieki i wykrzywiła swe małe usta.

- Cóż innego można tu robić, kuzynko? - spytała smutno.

Jehonała odrzuciła do tyłu włosy, pochwyciła je jedną ręką i zawiązała w wielki węzeł z tyłu głowy.

- Tutaj... tutaj... tutaj... - wykrzykiwała. - Przecież właśnie to mówię! Tu nic nie można robić... Nie mogę wyjść na ulicę, nie mogę nawet wychylić głowy za bramę, by zobaczyć, czy za rogiem nie grają jakiejś sztuki, nie widziałam żadnej sztuki od czasu, gdy się tu znalazłam, a wiesz, że zawsze kochałam teatr. Książki, tak... Malowanie? No więc maluję. Dla kogo? Dla siebie! To mi nie wystarcza... Jeszcze nie! A w nocy...

Wzdrygnęła się, podciągnęła nogi i położyła na kolanach swą dumną głowę.

Przez chwilę Sakota siedziała milcząco. Potem wstała, wiedząc, że nie potrafi przynieść pociechy tej młodej, gwałtownej kobiecie, której tak naprawdę nawet nie usiłowała zrozumieć, sądząc, że gwałtownością kobieta nie może zmienić tego, do czego została zrodzona.

- Droga kuzynko - mówiła głosem najłagodniejszej perswazji - odchodzę, a ty daj się wykapać i ubrać, potem zjedz coś, co lubisz. Ja tymczasem poślę po naszego krewnego. Nie odmawiaj widzenia się z nim, kiedy przybędzie. To moja decyzja, podjęta dla twojego dobra. Jeśli powstaną z tego plotki, powiem, że to ja zobowiązałam go do przyjścia.

Położyła rękę na wciąż opuszczonej głowie Jehonali tak leciutko, że wydała się nie cięższa od liścia, i odeszła.

Kiedy zniknęła, Jehonała rzuciła się na poduszki i leżała martwo z otwartymi oczyma, które utkwiała w wiszący nad nią baldachim. W wyobraźni snuła marzenie, układała plan, spiszek, możliwy do zrealizowania, jeśli Sakota będzie ją chronić. Sakota, cesarska małżonka, której nikt nie mógł oskarżyć.

Kiedy służąca, lękając się coś powiedzieć, zerknęła do środka, Jehonała zwróciła do niej głowę.

- Teraz wezmę kąpiel - powiedziała. - Potem włożę na siebie coś nowego...

Powiedzmy, zieloną szatę, tę w odcieniu jabłkowym. I coś zjem.

- Tak, tak moja królowo, moje maleństwo - powiedziała kobieta z wielkim zadowoleniem. Opuściła zasłonę i Jehonala usłyszała odgłos jej oddalających się kroków na korytarzu, kiedy pędziła, by spełnić jej polecenia.

Potem, po południu tego samego dnia, dwie godziny przed czasem, kiedy wszyscy mężczyźni powinni opuścić miasto cesarza, Jehonala posłyszała kroki, na które czekała. Po odejściu Sakoty dzień spędziła samotnie, w swoich pokojach, nie pozwalając nikomu wejść. Tylko służąca siedziała przed drzwiami. Jehonala rzekła do niej ucziwie:

- Mam wielkie strapienie. Moja kuzynka, małżonka cesarza, wie o moim nieszczęściu. Poleciała naszemu krewnemu, aby przyszedł, wysłuchał mnie i powiedział o moich kłopotach stryjowi, mojemu opiekunowi. Kiedy tu będzie, stań przy drzwiach. Nie wchodzi i nie pozwól, by ktokolwiek nawet tu zerknął. Pamiętaj, że on przychodzi tu na polecenie cesarskiej małżonki.

- Rozumiem to dobrze, pani - odpowiedziała kobieta.

Mijały godziny, służąca stała u drzwi. Jehonala czekała w środku za zamkniętymi drzwiami, za opuszczonymi zasłonami. Siedziała beczynn timer, ale jej umysł pracował gorączkowo, serce szalało z niepokoju. Czy zdoła wpłynąć na Jung Lu, by wyzbył się swej prawości? Chciała, aby tak się stało.

Wreszcie przyszedł, dwie godziny przed wieczornym zamknięciem miasta posłyszała jego stapanie, mocny, długi krok wysokiego mężczyzny. Słyszała, jak pyta, czy Jehonala śpi, i odpowiedź służącej, że czeka na niego.

Usłyszała, jak drzwi otwierają się i zamykają, i ujrzała jego rękę, dużą, gładką rękę, którą znała tak dobrze, zatrzymującą się z wahaniem na wewnętrznej zasłonie. Czekaając w bezruchu, siedziała sztywno na rzeźbionym krześle z czarnego drewna. Wtedy odsunął zasłonę i stanął patrząc na nią, a ona patrzyła na niego. Serce tukało się w jej piersiach jak żywa, niezależna od niej istota, łzy napływały do oczu, usta zaczęły drżeć.

Cokolwiek by zrobiła, nic nie mogło wstrząsnąć nim tak, jak ten widok. Widział ją już płaczącą z bólu, łkającą z wściekłości, ale nigdy nie widział jej siedzącej w bezruchu i płaczącej bezgłośnie, beznadziejnie, jakby całe jej życie uległo zniszczeniu.

Wydał z siebie jęk i pośpieszył do niej z wyciągniętymi ramionami. Widząc tylko te wyciągnięte ramiona, wstała z krzesła, podbiegła do niego i poczuła jego silne objęcie. Tak spleceni stali w ciszy, w lękliwej ekstazie, nie zdając sobie sprawy z upływu czasu. Stali z przytulonymi policzkami, aż usta ich zetknęły się instynktownie. Wtedy oderwał od niej twarz.

- Wiesz, że nie możesz opuścić tego miejsca - jęknął. - Musisz odnaleźć swą wolność tutaj, w tych murach, nie ma bowiem teraz dla ciebie innej wolności.

Słyszała go, ale jakby z oddali. Wiedziała tylko, że go obejmuje, że jest w jego ramionach.

- Im wyżej się wzniesiesz - mówił jej - tym większa będzie twoja wolność. Wznos się wysoko, moja ukochana - niech władza należy do ciebie. Tylko cesarzowa może rozkazywać.

- Ale czy będziesz mnie kochać? - spytała z zaciśniętym gardłem.

- Czyż mógłbym cię nie kochać? - brzmiała jego odpowiedź. - Miłość do ciebie jest moim życiem. Kocham cię każdym swoim oddechem.

- Więc... postaw na mnie pieczęć swej miłości!

Były to śmiałe słowa, które wypowiedziała jednak tak cichym głosem, że mógł ich nie dosłyszeć, ale ona wiedziała, że dosłyszał. Poczuła, że jego barki zadrżały, mięśnie rozluźniły się, członki zachwiały.

- Jeśli raz zostanę twoją - powiedziała odważnie - będę mogła żyć nawet tutaj.

Wciąż milczał! Nie mógł mówić. Jego duch nadal nie ustępował.

Uniosła głowę patrząc mu prosto w twarz.

- Jakie to ma znaczenie, gdzie przebywam, jeśli jestem twoją? Wiem, że mówisz prawdę. Nie ma dla mnie ucieczki - tylko śmierć. Więc mogę wybrać śmierć. To łatwe w pałacu - wystarczy połknąć opium albo złote koleczki, wziąć mały nożyk, aby przeciąć nim żyły - czy mogą mnie obserwować dzień i noc? Przysięgam, że umrę, jeśli nie zechcesz, bym została twoją. Jeśli zostanę twoją, zrobię to, co mówisz - na zawsze, na całe życie. Będę cesarzową.

Jej głos był jak zaczarowany, uroczy w swym błaganiu, głęboki, delikatny i aksamitny, ciepły i słodki jak miód w letnim słońcu. Czyż nie był mężczyzną? Był młody i żarliwy, wciąż nie znający kobiety, bo nie kochał dotąd żadnej, prócz tej, którą trzymał teraz w ramionach. Byli więźniami starych obyczajów, ich więzieniem był cesarski pałac. Nie miał więcej wolności niż ona. Ale tylko ona mogła dokonać tego, czego chciała. Jeśli powiedziała, że zostanie cesarzową, nikt jej nie powstrzyma. Jeśli jednak wybierze śmierć - umrze. Znał ją. Czyż nie poświęci swego życia, by jej pomagać? A czy Sakota nie była świadoma tego, co może się zdarzyć, kiedy kazała mu tu przyjść? W ostatniej chwili cesarska małżonka położyła mu rękę na ramieniu i poleciła, by zrobił wszystko, co możliwe. Wszystko „o co tylko poprosi Jehonala” - tak przecież brzmiały jej słowa...

Niepokój duszy ucichł, poczuł, jak niknie głos sumienia, wziął piękną dziewczynę na rękę i zaniósł ją do łóżka.

... Po podwórcach i korytarzach miasta Syna Niebios rozchodziło się bicie bębnow. Nadeszła godzina zachodu słońca, w której każdy mężczyzna powinien opuścić mury miasta. Starodawne ponaglenie wpadało do uszu kochanków ukrytych głęboko w tajemnych pokojach. W sypialni Jehonali Jung Lu podniósł się i zbierał odzież, podczas kiedy ona leżała uśmiechając się w półśnie.

Pochylił się nad nią.

- Jesteśmy zaprzysiężeni? - spytał.

- Zaprzysiężeni - uniosła ramiona i znów przyciągnęła jego twarz do swojej. - Na zawsze, na zawsze!

Bębny zamarły, więc zaczął się śpieszyć. Ona również podniosła się z łoża, wygładziła szaty i zczesła do tyłu włosy. Kiedy służąca zakasłała przy drzwiach, siedziała już w swym krześle.

- Wejdz - powiedziała i sięgnęła po chustkę do nosa, udając, że chce otrzeć oczy.

- Znów płaczesz, pani? - spytała kobieta.

Jehonala przecząco potrząsnęła głową.

- Skończyłam z płaczem - powiedziała cicho. - Wiem, co powinnam robić. Mój krewny przypomniał mi o moich obowiązkach.

Kobieta stała jak ptak, przekrzywiając głowę, zerkając i słuchając.

- O twoich obowiązkach? - powtórzyła.

- Kiedy wzywa mnie Syn Niebios - powiedziała Jehonala - muszę iść do niego. Muszę być posłuszna jego woli.

Długo ciągnęły się letnie upały w Zakazanym Mieście. Olśniewające dni następowały jeden po drugim, pałace stały w drżącym blasku nagiego słońca, nie było deszczów. Południowa cisza była tak gorąca, że księżniczki i damy dworu, eunuchowie i konkubiny udawały się do grot w cesarskich ogrodach i tam przeczekiwały godziny upału. Groty zbudowano ze skał rzecznych, które przywieziono z południa na barkach płynących Wielkim Kanałem. Skałom nadały kształt ludzkie ręce, ale w tak sprytny sposób, że wyglądały jak osmagane wiatrem i wodą. Nad wejściami do pieczar przycupnęły sosny, a w ich wnętrzu z ukrytych fontann kapą po ścianach woda, tworząc sadzawki, w których igrały złote rybki. W miłym chłodzie panie wyszywały, słuchały muzyki lub oddawały się grom hazardowym.

Jehonala nie uczęszczała do grot. Była zawsze zajęta książkami, zawsze uśmiechnięta, a studiując, więcej milczała, niż mówiła. Najwidoczniej zapomniano o jej buncie. Kiedy cesarz wezwał ją, pozwoliła, by ją wykapano i ubrano w świeże szaty, po czym udała się do

niego. Cesarz nadal darzył ją względami, co zmuszało ją do rozwagi, bo oczekujące konkubiny niepokoiły się o swoją kolej, a Li Lien-jing walczył z eunuchami o utrzymanie pozycji jej głównego służącego. Jeśli jednak Jehonala wiedziała o tych zmaganiach, to nie dawała tego po sobie poznać, tylko bystry obserwator mógłby się tego domyślić, obserwując jej nienaganną uprzejmość w stosunku do wszystkich i bezwarunkowe posłuszeństwo w stosunku do Wdowy Matki. Każdego dnia o poranku szła najpierw do cesarzowej, aby zapytać ją o zdrowie i samopoczucie. Starsza pani często chorowała i Jehonala, aby przynieść jej ulgę, przygotowywała rozmaite napary z ziół, a kiedy tamta czuła niepokój, rozcierała jej zwiędłe ręce i stopy albo nosła ukojenie szcزتkując długimi, równymi pociągnięciami jej rzadkie włosy. Nie było zadania zbyt małego, zbyt poniżającego, którego nie wykonałaby Jehonala dla Wdowy Matki, i wkrótce wszyscy dostrzegli, że piękna dziewczyna jest nie tylko faworytą Syna Niebios, ale także jego matki.

Jhonala widziała więc, jak niecierpliwie oczekiwała Wdowa Matka narodzin dziecka Sakoty. Do codziennych obowiązków Jehonali należało towarzyszenie cesarzowej w drodze do buddyjskiej świątyni i oczekiwanie na nią, kiedy modliła się i paliła kadzidła przed bogami, błagając niebo, aby małżonka cesarza mogła urodzić syna. Dopiero po skończonych modłach wracała Jehonala do zadań, które sobie wybrała: do czytania i studiowania pod okiem starych eunuchów, będących uczonymi, do nauki muzyki, do nauki pisania pędzelkiem z wielbłądziego włosia w stylu wielkich kaligrafów przeszłości.

Jednocześnie skrywała w sobie tajemnicę, w każdym razie sądziła, że ją ukrywa, dopóki nie odezwała się jej służąca. Był to zwykły dzień. Noce i poranki były już nieco chłodniejsze, ale w południe nadal prażyło słońce. Jehonala spała długo, ponieważ poprzedniej nocy wezwał ją cesarz, tak jak wzywał ją przez wiele nocy, a ona była mu posłuszna.

- Pani - powiedziała kobieta tego dnia, wszedłszy do sypialni i zamknąwszy za sobą dokładnie drzwi - czy nie zwróciłaś uwagi, że minął pełny miesiąc, a ty jak dotąd nie krwawiłaś?

- Czyżby? - spytała Jehonala, jakby nic ją to nie obchodziło. Ale obchodziło. I to bardzo. Z jaką uwagą obserwowała swoje ciało!

- Tak jest - powiedziała z dumą kobieta. - Jest w tobie, pani, nasienie Smoka. Czy nie powinnam zanieść tej dobrej nowiny matce Syna Niebios?

- Poczekaj - rozkazała Jehonala. - Poczekaj, zanim nie urodzi małżonka. Jeśli urodzi syna, jakież będzie miało znaczenie, co ja urodzę?

- A jeśli urodzi córkę? - zapytała chytrze kobieta.

Jehonala rzuciła jej długie, kpiące spojrzenie.

- Wtedy sama powiem Wdowie Matce. A jeśli ty piśniesz o tym choćby memu eunuchowi - zagroziła, a oczy jej stały się wielkie i groźne - wtedy każę cię poćwiartować, a kawałki ciała powiesić na tyczkach, aby wyschły na pokarm dla psów.

Kobieta próbowała się zaśmiać.

- Przysięgam na moją matkę, że nikomu nie powiem. - Ale jej pobladła twarz zdawała się pytać, czy ta konkubina, zbyt piękna, zbyt dumna, nie mogłaby rzeczywiście przekształcić żartu w prawdę?

Kiedy dwór czekał tak na małżonkę, każda konkubina budząc się rano pytała o wieści. Również książe i Wielki Radca Szun, zanim weszli o świcie do sali audiencyjnej, pytali eunuchów, czy poród się zaczął. A dziecko Sakoty wciąż nie przychodziło na świat. Powodowany niepokojem cesarz polecił Radzie Astrologów, by powtórnie zbadała gwiazdy i aby z wnętrzości świeżo zabitych dzikich ptaków wyczytała, czy jego dziecko będzie płci męskiej. Niestety, ujrzeli jedynie chaos. Znaki były niejasne. Dziecko mogło być synem i mogło nim nie być. Możliwe nawet było, że małżonka urodzi bliźnięta, chłopca i dziewczynkę. W razie takiego nieszczęścia dziewczynkę należałoby zabić, aby nie wysysała życia ze swego królewskiego brata.

Jesień nabierała pełni, dworscy lekarze zaczęli się niepokoić o zdrowie cesarskiej małżonki. Oczekiwanie wyniszczało ją, jej słabość pogłębiał niepokój, że dziecko się nie urodzi, nie mogła jeść i spać. Pewnego razu Jehonala poszła ją odwiedzić, ale Sakota jej nie przyjęła. Dozorujący eunuch tłumaczył, że małżonka jest zbyt chora, że nie przyjmie nikogo. Jehonala odeszła nie przekonana. Choroba? Zbyt chora, by zobaczyć swą najbliższą kuzynkę? Po raz pierwszy pożałowała, że Sakota wie o prywatnych odwiedzinach Jung Lu. To prawda, że nie wiedziała niczego więcej, ale nawet to, co wiedziała, wkładało broń w jej ręce - ręce słabe, które jednak mogły być kierowane dłonią silniejszą, nieznaną jeszcze. Niestety, przekonała się już, że pajęcza nić intryg oplata wszystkie pałace Zakazanego Miasta, a ona musi być dostatecznie silna, by idąc, rozrywać te sieci. Już nigdy więcej, nawet na chwilę, nie da nikomu do ręki broni, jaką jest znajomość tajemnicy.

Płynęły długie dni pełne złych znaków. Z całego kraju przychodziły niedobre wieści. Długowłosi chińscy rebelianci zajęli południową stolicę, Nankin; zginęło wielu ludzi. Rebelianci walczyli tak zaciekle, że cesarscy żołnierze nie zdołali wygrać ani jednej bitwy. Pojawiły się też inne złe znaki - szybkie wiatry spadające na miasto i komety przecinające w nocy niebo. W wielu miejscowościach powiadano, że kobiety rodzą bliźniaki i potwory.

Ostatniego dnia ósmego miesiąca księżycowego w południe pojawiła się burza z



piorunami, która przekształciła się w tajfun, właściwy raczej morzom południowym niż suchym północnym równinom, na których stało miasto. Najstarsi ludzie nie pamiętali takich błyskawic ani nie słyszeli takiego trzasku i ryku piorunów, podczas kiedy wiatr dął z południa, jakby demony pędziły na chmurach. Kiedy spadł w końcu deszcz, nie była to łagodna ulewa przynosząca ulgę wyschniętym polom i zakurzonym ulicom, lecz powódź bijąca z furją, tak że ziemię rozrywały gwałtowne potoki. Czy to z lęku, czy z głębokiej rozpacz Sakota poczuła w tym dniu bóle porodowe i nim zaczęła krzyczeć, już wieść rozeszła się po pałacach i każdy rzucił to, co robił, aby czekać i nasłuchiwać.

W tej właśnie godzinie Jehonała siedziała w bibliotece przy swych książkach. Niebo stało się tak ciemne, że eunuchowie zapalili lampy. Siedząc w kręgu światła, kreśliła pod okiem nauczyciela starożytny święty tekst, który ten czytał jej na głos. Tekst głosił:

„Czung Kung, minister dynastii Cz’i, prosił o radę dotyczącą sztuki rządzenia. Mistrz powiedział: - Przede wszystkim naucz się postępować ze swymi podwładnymi. Nie zwracaj uwagi na ich drobniejsze przywary i awansuj tylko tych, którzy są uczciwi i zdolni”.

W tym momencie przy zasłonie pojawił się Li Lien-jing i zaczął dawać za plecami nauczyciela znaki, które Jehonała zrozumiała natychmiast. Odłożyła pędzelek i wstała.

- Panie - powiedziała do nauczyciela - muszę szybko udać się do Wdowy Matki, która nagle mnie potrzebuje.

Dawno temu zaplanowała sobie, co będzie robić w czasie porodu Sakoty. Pójdzie więc do Wdowy Matki i pozostanie z nią, uspokajając ją i zabawiając, dopóki nie będzie wiadomo, czy dziecko jest płci żeńskiej czy męskiej. Opuściła bibliotekę, zanim nauczyciel zdołał odpowiedzieć, i ruszyła przed eunuchem w kierunku pałacu Wdowy Matki. Kiedy szła, błyskawice szalały nad czubkami drzew, podwórza wybuchały oślepiającym światłem, wiatr ciskał przez krużganki deszczem jak morskimi bryzgami. Jednak Jehonała pędziła nie zatrzymując się, a za nią podążał Li Lien-jing.

Bez chwili zastanowienia wbiegła wprost do komnat starej cesarzowej, nie odzywając się do czekających kobiet. Wdowa Matka, jak zawsze podczas burzy, schroniła się w łóżku i leżała teraz uniesiona na poduszkach z jaspisowo-białą twarzą, z rękami zaciśniętymi na ozdobionym klejnotami buddyjskim różańcu. Ujrawszy Jehonałę, nie uśmiechnęła się. Odezwała się ponurym głosem:

- Czyż w taki czas może urodzić się zdrowe dziecko? Niebo szaleje dziś nad naszymi głowami.

Jehonała podbiegła do niej i uklękła przy łóżku.

- Bądź spokojna, o Czcigodna - perswadowała. - To nie z naszego powodu niebo się

burzy. Żli ludzie podnieśli bunt przeciwko tronowi, a dziecko, które się narodzi, uratuje nas. Niebo gniewa się w jego imieniu, a nie na niego czy na nas.

- Naprawdę w to wierzysz? - spytała stara dama.

- Wierzę - powiedziała Jehonala i dalej klęczała wypowiadając kojące słowa. Wstała tylko po to, by przynieść Wdowie Matce rosół, aby go wypić dla podtrzymania sił. Potem starała się ją zająć czytaniem baśni, od czasu do czasu grała na lutni i śpiewała, pomagała także starszej pani w modłach i tak mijały godziny.

O zachodzie słońca wiatr przycichł i dziwne żółte światło wypełniło korytarze. Wtedy Jehonala zaciągnęła zasłony, zapaliła świece i czekała, wiedziała bowiem, lecz nie mówiła o tym Wdowie Matce, że poród ma się ku końcowi. Kiedy znikło żółte światło, nagle zapadła ciemność i nastąpiła noc. Do pałacu Wdowy Matki przybył naczelnny eunuch, An Teh-hai. Jehonala wyszła go powitać i wyczytała z jego twarzy, że przynosi złe wieści.

- Czy dziecko jest martwe? - zapytała.

- Nie jest martwe - powiedział ciężko - ale to dziewczynka - słaba, żeńska istota...

Jehonala przyłożyła do oczu chusteczkę. - Och, okrutne niebios!

- Czy powiesz o tym cesarzowej? - spytał. - Spiesz się do cesarza. Jest chory z wściekłości.

- Powiem jej - przyrzekła Jehonala.

- A ty sama - kontynuował naczelnny eunuch - przygotuj się na wezwanie tej nocy. Cesarz z pewnością będzie cię potrzebował.

- Jestem gotowa - powiedziała.

Następnie, nie zwracając uwagi na oczekujące kobiety, które domyśliwszy się wszystkiego, stały płacząc z pochylonymi głowami, powróciła do sypialni. Kiedy Wdowa Matka ujrzała jej twarz, nie potrzebowała słów, by odgadnąć prawdę.

- Dziecko nie jest płci męskiej - powiedziała znużonym głosem, w którym odbijały się lata oczekiwań.

- To dziewczynka - powiedziała delikatnie Jehonala.

Znów uklękła obok łóżka, ujęła dłonie Wdowy Matki i głaskała je swymi mocnymi rękami.

- Po co ja żyję? - pytała żałośnie cesarzowa.

- Musisz żyć, Czcigodna Matko - powiedziała Jehonala. Jej głos przybrał odcień czułości. - Musisz żyć - dopóki nie narodzi się mój syn.

Wyjawiła swą nadzieję. Strzegła tej tajemnicy i przyniosła ją teraz w darze Wdowie Matce.

Stara twarz zadrżała i pokryła się zmarszczkami uśmiechu.

- Czy to prawda? - spytała Wdowa Matka. - Czy taka jest wola nieba? Tak! O, tak! Dziecko narodzi się z silnego, młodego ciała, syn! Budda wysłuchał! Tak musiało być. A ja mówiłam, że masz niepokromiony temperament, mówiłam, że jesteś zbyt silna. Och, córko, jakże mnie grzeją twoje ręce!

Spojrzała w dół na młodą, czułą i piękną twarz, która była tak blisko, i Jehonała, spojrzawszy w górę, ujrzała uwielbienie w oczach Wdowy Matki.

- Zawsze mam ciepłe ręce - powiedziała. - To prawda, że jestem silna, i bywam niepokromiona. I będę miała syna.

Usłyszawszy to, czcigodna dama powstała z łoża z taką energią, że wszyscy wokół przestraszyli się.

- Uważaj na siebie, pani - zawołała Jehonała.

Podbiegła, aby wesprzeć Wdowę Matkę, ale ta odepchnęła ją.

- Wyślijcie eunuchów do mego syna - wykrzyknęła drżącym głosem. - Niech mu powiedzą, że przynoszę dobrą nowinę.

Czekające na zewnątrz damy dworu posłyszały te słowa i patrzyły na siebie z niepewną radością, podczas kiedy w wielkim poruszeniu wezwano i odesłano eunuchów.

- Moja kąpiel! - rozkazała kobietom Wdowa Matka, a kiedy one zaczęły krzątać się w pośpiechu, znów zwróciła się do Jehonali:

- A ty, moje serce - zawołała - jesteś dla mnie cenniejsza niż ktokolwiek, z wyjątkiem mego syna. Jesteś wybranką losu. Widzę to w twoich oczach. Co za oczy! Nie może ci się stać nic złego. Wróć do swego pokoju i odpoczywaj. Każę cię przenieść do komnat przy wewnętrznych dziedzińcach Zachodniego Pałacu, gdzie słońce pada na tarasy. I niech natychmiast wezwą lekarzy!

- Przecież nie jestem chora, o Czcigodna - powiedziała śmiejąc się Jehonała. - Spójrz na mnie!

Rozpostarła ramiona, uniosła głowę - policzki jej zaczerwieniły się, czarne oczy błyszczały.

Wdowa Matka wlepiała w nią wzrok.

- Piękna, piękna - mruzczała. - Jakie czyste oczy, brwi jak skrzydła motyli, ciało delikatne jak u dziecka! Wiedziałam, że małżonka może urodzić tylko dziewczynkę. Czyż wam tego nie mówiłam, moje panie - nie pamiętacie, jak powiedziałam, że stworzenie o tak wątłej budowie, o ciele tak wiotkim może urodzić tylko dziewczynkę?

- Mówiłaś to, Czcigodna, rzeczywiście tak nam mówiłaś - usługujące kobiety

powtarzały jedna po drugiej.

Jehonala zaś powiedziała:

- Będę ci posłuszna we wszystkim, Czcigodna.

I spełniając jej wolę opuściła pokój. Za drzwiami czekała jej służąca, jak również Li Lien-jing. Wysoki eunuch krzywił się w uśmiechu, łamiąc palce tak, że aż trzeszczały.

- Niech cesarzowa, mój Feniks, rozkazuje mi - prosił. - Czekam na polecenia.

- Cicho - powiedziała Jehonala. - Mówisz zbyt wiele i zbyt wcześnie.

- Czyż nie dostrzegłem twego przeznaczenia? - wykrzyknął. - Teraz widać je jak na dłoni. Mówię to, o czym wiedziałem zawsze.

- Zostaw mnie - powiedziała mu Jehonala. Ruszyła szybko i z wdziękiem, służąca szła za nią. Po kilku krokach zatrzymała się i odwróciła do eunucha. - Jednak możesz coś dla mnie zrobić - powiedziała. - Udaj się do mego krewnego i powiedz mu to, o czym usłyszałeś.

Eunuch wyciągnął swą zawężloną jak u żółwia szyję.

- Mam mu polecić, by przyszedł do ciebie? - spytał syczącym szeptem.

- Nie - odpowiedziała Jehonala głosem czystym, aby każdy mógł usłyszeć. - Nie wypada, abym rozmawiała teraz z jakimkolwiek innym mężczyzną, z wyjątkiem mego władcy.

Ruszyła swą drogą, z ręką spoczywającą na ramieniu służącej.

Czekała w swej sypialni, aż cesarz, usłyszawszy nowinę, pośle po nią. Służąca wykapała ją, założyła świeżą bieliznę i ułożyła włosy w zwoje pasujące do ozdobionego klejnotami przybrania głowy.

- Jaką szatę założysz teraz, pani? - zapytała czule służąca.

- Przynieś mi bladoniebieską, haftowaną w różowe kwiaty śliwy i żółtą, haftowaną w zielone liście bambusa - powiedziała Jehonala.

Przyniesiono obie szaty, ale zanim zdecydowała, w której z nich będzie jej bardziej do twarzy w tym dniu, z zewnętrznych podwórzy doszedł odgłos poruszenia. Nagły hałas zawodzących głosów wzbił się ponad mury.

- Cóż to za diabeł ich opętał? - wykrzyknęła służąca.

Wybiegła z pokoju, pozostawiając swą panią z szatami rozłożonymi na łóżku. Przy furtce na podwórze wpadła na Li Lien-jinga. Twarz miał zieloną jak niedojrzała brzoskwinia, a jego niekształtne usta były otwarte.

- Wdowa Matka nie żyje - powiedział suchym, gardłowym głosem, dysząc ciężko.

- Nie żyje! - wykrzyknęła kobieta. - Przecież moja pani widziała się z nią dwie godziny temu!

- Nie żyje - powtórzył Li Lien-jing. - Wspierana przez swe kobiety podreptała do sali audiencyjnej, a kiedy cesarz pośpieszył do niej, otworzyła usta, jakby ktoś chwycił ją za gardło. Wtedy wykrzyknęła, że będzie miał syna, lecz były to jej ostatnie słowa, bo padła nieżywa w ramiona swoich dam. Jej dusza powędrowała do wiecznych Żółtych Źródeł.

- O Panie Piekieł - zawyła kobieta - jak można przynosić tak okropne wieści?

Zawróciła, by pobiec do swej pani, ale Jehonała była już przy drzwiach zewnętrznych i zdążyła wszystko usłyszeć.

- Ofiarowałam matce cesarza zbyt wiele radości - powiedziała smutno.

- Nie, lecz radość przyszła zbyt prędko po smutku i dusza się jej rozdarła - powiedziała kobieta.

Jehonała nic nie odrzekła. Wróciła do sypialni i stanęła przed dwiema rozłożonymi szatami.

- Weź je - powiedziała w końcu. - Nie zostanę wezwana, dopóki nie upłyną dni żałoby cesarza.

Stara kobieta, pochlipując i skarżąc się na zły los, złożyła kolorowe szaty i włożyła je do lakierowanych na czerwono szuflad, skąd je uprzednio wyjęła.

Letnie miesiące prześlizgnęły się cicho w Porę Pierwszego Chłodu. Zakazane Miasto zamarło w żałobie po Wdowie Matce, a Syn Niebios, ubrany w białe, żałobne szaty, żył bez kobiet. Jehonali brakowało życzliwości Wdowy Matki, ale wiedziała, że o niej nie zapomniano. Była wolna i na rozkaz cesarza specjalnie chroniona. Dostawała wszystko, o co poprosiła. Musiała jednak słuchać zsyłanych z góry poleceń. Tak więc zachęcano ją do jedzenia najdelikatniejszych i najsmakowitszych potraw, szczególnie ryb z odległych rzek, przechowywanych w lodzie i śniegu: żółtych karp i gładkoskórych węgorzy. Ryby zjadała chętnie przy każdym posiłku, piła także zupy gotowane na zmiażdżonych rybach ościach. Oprócz tego prosiła tylko o proste słodycze, które pamiętała z dzieciństwa: kupowane kiedyś u wędrownego kramarza ciasteczka z czerwonym cukrem, sezamowe toffi, knedle z mąki ryżowej nadziewane słodką pastą fasolową, takie, jakie jedzą wieśniacy. Nie mogła jeść tłustej wieprzowiny i pieczonej baraniny ani przyrumienionej kaczki, ani innych pałacowych potraw. Najtrudniejsze do przelknięcia były zioła i lekarstwa, które nadworni lekarze przyrządzali codziennie i zalecali do picia, żyjąc w nieustannym lęku, że dziecko może urodzić się przedwcześnie albo obarczone jakąś wadą - o co, rzecz jasna, ich by obwiniono.

Codziennie rano, kiedy Jehonała była już wykąpana i ubrana, ale jeszcze przed śniadaniem, czekali na nią liczni medycy, aby zbadać jej puls, spojrzeć pod powieki, zbadać język i woń oddechu. Następnie przez dwie godziny dyskutowali nad jej stanem, a doszedłszy

do porozumienia, przepisywali i sami sporządzali wybrane remedia. Jakże niedobre były te czarki zielonych mikstur i czarnych wyciągów! Jehonała piła jednak te likwory, bo wiedziała, że nie nosi w sobie zwykłego dziecka, lecz dziecko należące do wszystkich - przyszłego władcę. Nie miała bowiem najmniejszych wątpliwości, że będzie to dziecko płci męskiej. Jadła łączywie, spała dobrze, tolerowała jakoś lekarstwa i jej młode ciało tryskało zdrowiem. Pałace przenikała wdzięczna radość niczym spokojna muzyka i przelewała się na cały kraj. Ludzie powiadali, że czasy zmieniły się, że zło przeszło i dobro wróciło do cesarstwa.

Jehonała również uległa przemianie. Do dnia, w którym zrozumiała, że jest w ciąży, była dziewczyną upartą i psotną, zmienną i wybuchową, lekkomyślną mimo swej miłości do książek i ambicji, by się uczyć. Teraz, gdy czytała stare księgi i stawiała pędzelkiem stare znaki, gdy uczyła się, łączyła to z sobą i dzieckiem w swoim łonie. Tak więc, kiedy zetknęła się ze słowami Lao Tse głoszącymi, że: „ze wszystkich niebezpieczeństw, największym jest lekceważenie swego wroga”, uderzyła ją ich aktualność. Mędrzec ten żył setki lat przed nią, a przecież jego słowa pozostały równie świeże, jakby wypowiedziano je właśnie dzisiaj. Wróg? Cesarstwo, którym jej syn może kiedyś władać, było obecnie otoczone przez nieprzyjaciół. Przedtem nie było to przedmiotem jej troski, ale teraz wiedziała, że są to wrogowie jej syna i jej samej. Uniosła głowę znad stronicy.

- Powiedz mi - rzekła do nauczyciela - kim są nasi obecni wrogowie?

Stary eunuch potrząsnął głową.

- Pani - odpowiedział - nie znam się na sprawach państwowych. Znam jedynie starożytnych mędrców.

Jehonała zamknęła książkę.

- Przyślij mi kogoś, kto mi opowie o moich dzisiejszych wrogach - powiedziała.

Stary eunuch był zaskoczony, ale wiedział, że lepiej o nic nie pytać, więc tylko przekazał jej polecenie An Teh-haiowi, naczelnemu eunuchowi, a ten udał się do księcia Kunga, szóstego syna zmarłego cesarza. Jego matką była cesarska konkubina, był więc przyrodnim bratem obecnego cesarza Sien Fenga. Obaj przyrodni bracia wychowywali się razem, czytając książki i ucząc się sztuki władania bronią pod kierunkiem tych samych nauczycieli. Książę Kung miał sprawny umysł i męską twarz, na którą patrzyło się z przyjemnością. A jego mądrość i spokojna inteligencja były tak wielkie, że ministrowie, książęta i eunuchowie przychodzili potajemnie do niego zamiast do cesarza. On ze swej strony nigdy nikogo nie zdradził, więc mieli do niego zaufanie. Dlatego naczelnny eunuch, An Teh-hai, poszedł do jego pałacu, który znajdował się na zewnątrz Zakazanego Miasta, i

powiedział mu o życzeniu Jehonali, błagając księcia Kunga, by ten osobiście zajął się nauką młodej faworyty.

- Jest bowiem tak silna - powiedział - tak pełna zdrowia, z umysłem sprawnym jak u mężczyzny, że nie mamy wątpliwości co do tego, że urodzi syna, który będzie naszym następnym władcą.

Księżę Kung zastanawiał się przez chwilę. Był młodym mężczyzną, nie uchodziło więc, by zbliżał się do konkubiny. Teraz był z nią jednak spowinowacony przez swego cesarskiego brata, można więc było ominąć obyczaj. A poza tym nie byli Chińczykami, lecz Mandżurami, a obyczaje mandżurskie były swobodniejsze od chińskich. Wiedział również, jak ciężkie nadeszły czasy. Jego starszy brat, cesarz, był rozwiązły i słaby, dwór zepsuty i leniwy, ministrowie i książęta bezwolni i bez życia - zdawało się, że brak im siły potrzebnej by stawić czoło rozpadowi cesarstwa. Skarbiec był pusty, zbiory często się nie udawały i ludność głodowała. Ludzie doprowadzeni głodem do rozpaczki buntowali się. Wszędzie tworzyły się potajemnie bandy rebeliantów spiskujących przeciwko Tronowi Smoka. Byli to Chińczycy głoszący, że nadszedł czas na wypędzenie cesarzy mandżurskich, którzy władali nimi od dwustu lat. Wyrzucić Mandżurów! Odrestaurować starą chińską dynastię Ming! Buntownicy już się połączyli w hordę pod dowództwem długowłosego szaleńca, Hunga, który nazwał się Chińskim Chrystusem, jakby nie dość było chrześcijan obcokrajowców, którzy w imieniu tego samego Chrystusa wzywali młodych w szkołach i świątyniach, by porzucili swych rodzimych bogów! Cóż więc pozostawało prócz utrzymywania w trudzie resztek cesarstwa, zanim nie narodzi się prawdziwy dziedzic, silny syn silnej matki.

- Sam będę uczył faworytę - powiedział - ale każ jej staremu nauczycielowi, aby był przy niej, kiedy tam będę.

Następnego dnia, kiedy Jehonala udała się jak zwykle do cesarskiej biblioteki, ujrzała tam wysokiego, młodego mężczyznę, silnego i przystojnego, który stał obok jej nauczyciela. Był z nim An Teh-hai, który go przedstawił, wyjaśniając powód jego przybycia.

Jehonala przysłoniła twarz rękawem i skłoniła się. Księżę Kung stał bokiem z odwróconą twarzą.

- Usiądź, starszy bracie - powiedziała swym miłym głosem Jehonala i usiadła sama na zwykłym miejscu, podczas kiedy stary nauczyciel zajął miejsce na końcu stołu. Naczelnym eunuch stanął za księciem, a cztery damy ustawiły się za Jehonala.

W ten oto sposób księżę Kung zaczął uczyć cesarską konkubinę. Nie patrząc na nią, odwracając swą głowę, rozpoczął lekcje, które kontynuował co siódmy dzień przez wiele miesięcy. Opowiadał jej o stanie państwa, wyjaśniał, jak to słabość tronu zachęca poddanych

do buntu, a wrogów z północnych równin i zza wschodnich mórz do najazdów. Mówił, że trzysta lat temu najeźdźcami tymi byli Portugalczycy w poszukiwaniu korzennych przypraw. Bogactwa, które zdobyli plądrując niecnie kraj, skusiły innych Europejczyków. Za Portugalczykami przybyli więc hiszpańscy konkwistadorzy, Duńczycy na swych statkach, a następnie Anglicy, którzy wywołali wojnę, broniąc handlu opium; potem byli Francuzi i Niemcy.

Oczy Jehonali stawały się coraz większe i coraz ciemniejsze. Twarz jej na przemian bladła i czerwieniała; ręce na kolanach zaciskały się w pięści.

- A myśmy nie zrobili nic? - wykrzyknęła.

- Cóż mogliśmy zrobić? - odparł książę Kung. - Nie jesteśmy ludem żeglarzy jak Anglicy. Ich niewielkie, jałowe i skąpe ziemie otoczone są morzem, głodowałiby, gdyby na morzach nie szukali strawy.

- Niemniej, naprawdę sędzę...

Jehonala zaczęła mówić, lecz książę Kung uniósł rękę.

- Poczekaj - jest jeszcze więcej do powiedzenia.

Opowiedział jej, jak Anglicy wytrwale toczą swoje wojny, zawsze zwycięskie.

- Dlaczego? - domagała się wyjaśnienia.

- Część swego bogactwa przeznaczają na sprzęt wojenny - odpowiedział książę Kung.

I opowiedział jej o jeszcze jednym wrogu, który tym razem nadszedł z północy.

- Rosjan znaleźmy od dawna - wyjaśnił jej. - Najłaskawszy, wielki Kubilaj Chan, który władał tu pięćset lat temu, z Rosjan tworzył swą straż przyboczną, podobnie czynili inni cesarze z jego dynastii. Dwieście lat później Rosjanin Jermak, rozbójnik i awanturnik, na którego głowę nałożona była cena, poprowadził swą dziką bandę przez góry Uralu w poszukiwaniu futer dla tych, którzy go najęli. Podbił północne plemiona żyjące w dolinie wielkiej rzeki Ob i zajął ich miasto o nazwie Sybir, a zajął je w imieniu władcy Rosji, który nazywa się carem; od tego czasu cały ten obszar nazywa się Syberią. W nagrodę za ten podbój wybaczone mu jego grzechy, a jego lud zwie go wielkim aż do dnia dzisiejszego.

- Usłyszałam już dosyć - powiedziała gwałtownie.

- Ale jeszcze niedostatecznie wiele, o Czciogodna - powiedział dwornie książę Kung. - Anglicy nie okazują nam szacunku. W czasach Czcia Cz'inga, syna potężnego Cz'ien Lunga, Brytyjczycy przysłali posła o imieniu Amherst. Człowiek ten, wezwany jak zwykle o świcie do sali audiencyjnej, odmówił przyjścia, mówiąc, że nie nadeszły jeszcze jego oficjalne szaty i że jest chory. Panujący wówczas Syn Niebios wysłał swych własnych lekarzy, aby zbadali cudzoziemca. Powrócili mówiąc, że Amherst udawał chorobę. Syn Niebios rozgniewał się i



rozkazał, by Anglik odjechał do domu. Biali ludzie są nieustępliwi, o Uwielbiana. Nie ugną karku ani nie klękną przed Synem Niebios. Mówią nam, że nie klękają przed nikim, z wyjątkiem bogów i... kobiet.

- Kobiet? - powtórzyła Jehonala.

W wyobraźni ujrzała białych mężczyzn klękających przed kobietami, uniosła więc rękę, by ukryć śmiech pod rękawem. Ale mimo to jej młodzieńczy śmiech zabrzmiał zza tej zasłony i książę Kung spojrział w bok, a podchwyciwszy figlarny wyraz jej oczu, sam zaśmiał się bezgłośnie. Wtedy ośmielony zaśmiał się naczelnny eunuch, a następnie zaśmiały się damy dworu, ukrywając swe twarze za uniesionymi jedwabnymi rękawami.

- Czy biali mężczyźni nadal nie klękają przed Synem Niebios? - spytała Jehonala, kiedy śmiech już wybrzmiał.

- Nadal nie klękają - odpowiedział książę Kung.

Przez chwilę Jehonala nic nie mówiła. Kiedy będzie rządził mój syn, myślała, uklękna przed nim. Jeśli nie klękną i nie dotkną głowami podłogi, każę ich ściąć.

- I co teraz? - spytała. - Wciąż jesteśmy bezradni?

- Musimy stawiać opór - powiedział książę Kung - ale nie podczas bitew, z bronią w ręku, bo nie mamy ku temu środków. Musimy stawiać opór, stwarzając utrudnienia i zwlekając. Musimy odmawiać spełniania żądań obcokrajowców. Teraz, kiedy Amerykanie, nowi przybysze podążający za Anglikami, nalegali na udzielenie im tych samych przywilejów, których zmuszeni byliśmy udzielić w traktatach innym ludom Zachodu, zażądaliśmy, by ich rząd nie chronił Amerykanów handlujących opium, a oni zgodzili się na to.

- Jak to się skończy? - spytała Jehonala.

- Któż to wie? - odpowiedział książę Kung. Westchnął ciężko, a twarz jego oblekła się cieniem. Ta twarz, tak przystojna, miała gorzki i smutny wyraz. Wokół cienkich ust i między czarnymi brwiami rysowały się głębokie linie.

Powstał i skłonił się.

- Myślę, że to dosyć jak na jeden dzień - powiedział. - Odsloniłem przed tobą kilka kart z historii, Uwielbiana. Teraz, jeśli pozwolisz, będę starał się odsłonić wiele innych, aż poznasz całą prawdę.

- Proszę cię o to - powiedziała Jehonala, również wstając i składając ukłon.

Tak skończył się dzień, ale tej nocy nie mogła zasnąć. Jakie było jej przeznaczenie? Jej syn musi odzyskać władzę nad cesarstwem i zepchnąć do morza jego zagranicznych wrogów.

Jehonala nie czuła się już więźniem pałacu. Była ośrodkiem ludzkich nadziei. Pytano, co jadła, czy spała dobrze, czy czuła bóle, czy czuła się ociężała. Jej kolory, jej śmiech, jej samowola lub zachcianki - wszystko było obiektem zainteresowania. Opromienionej blaskiem ważności Jehonali zimowe miesiące minęły szybko; dzień za dniem światło jasnego, bezchmurnego nieba ożywiało całe miasto. Ludzie radośnie cieszyli się nadzieją, interesy szły dobrze. Na północy długowłosi buntownicy osiedli w Nankinie i przenikające stamtąd plotki głosiły, że ich przywódca wziął wiele żon i popadł w zepsucie, ciesząc się winem i dobrym jadłem. Jehonala przyjmowała te dobre wiadomości tylko z umiarkowaną przyjemnością, bo ci chińscy buntownicy nie byli jej prawdziwymi wrogami. Wrogami byli bowiem obcokrajowcy, biali ludzie. Choć przecież wcale tak być nie musiało! Jeśli wrócą do swoich krajów, nie będzie żadnych powodów do nieprzyjaźni. Chcemy tylko być sobą - myślała Jehonala.

W tych dniach przenikał ją rzeczywiście nastrój łagodności, nigdy też nie czuła się tak zdrowa na ciele i na duszy. Nie wiedziała, czy jest to wynikiem picia ziół, czy też jej własna energia życiowa odpowiadała na wezwanie macierzyństwa. Najdziwniejsze ze wszystkiego było to, że nie nienawidziła już Syna Niebios. To prawda, że go nie kochała, lecz litowała się nad tym cieniem mężczyzny spowitym w złote urzędowe szaty. W nocy tuliła go jak dziecko w swych ramionach, a w ciągu dnia okazywała mu niezmiernie poważanie i szacunek, bo czyż nie był ojcem jej dziecka? Ale czy był nim w istocie? W swym sercu ukrywała to podwójne pytanie. Świat widział i wierzył, że jest ojcem jej syna. Syn jej musi mieć ojca cesarza. Sekrettem ukrywanym w głębi serca była żywa myśl o Jung Lu i o godzinie, w której spełnił jej pragnienie.

Jej życie zasilaly dwa strumienie, pierwszym była nieustanna, pogłębiająca się duma z tego, że nosi w swym łonie następcę tronu, drugim jej potajemna miłość. Pierwszy sprawiał, że studiowała pilnie historię ludu, którym będzie władał jej syn, wgłębiała się w stare księgi i zadawała pytania księciu Kungowi. Dzięki drugiemu odkrywała na nowo piękno świata, na którym pewnego dnia pojawi się jej syn. Czasami miast zamykać się w bibliotece, spędzała całe godziny spacerując ze swymi damami i strzegącym ją eunuchem, Li Lien-jingiem, który podążał z tyłu. Nigdy nie wychodzili poza mury Miasta Cesarskiego, ale w obrębie jego murów było do zobaczenia tyle, że trzeba by lat, aby poznać wszystko. Kiedy słońce stało wysoko i nie wiały zimne wiatry, chodziła między pałacami, po dworskich korytarzach i po ograniczonych wysokimi, czerwonymi murami wąskich uliczkach łączących pałacowe podwórza. Święte miasto otaczały potrójne mury, a w murach były cztery bramy skierowane

w cztery strony świata. W obrębie pierwszej bramy znajdowały się trzy inne, prowadzące do pałacowych mostów i ogrodów oraz do sal tronowych, zawsze wychodzące na południe, w barwach symbolizujących żywioły. Nawet teraz, zimą, ogrody były piękne, z północnym bambusem zieleniejącym pod śniegiem i bambusem indyjskim dźwigającym purpurowe jagody. Przy Bramie Niebiańskiego Spokoju stały dwie skrzydlate kolumny z białego marmuru, oplecione rzeźbionymi smokami. Wracała do nich często, choć sama nie знаła przyczyny, wiedziała tylko, że jej duch wznosi się na widok tych szlachetnych, białoskrzydłych kolumn. Pałac za pałacem, mijając wiele tronowych sal, poznawała święte miasto Północy - ośrodek Ziemi, tak jak Gwiazda Polarna jest ośrodkiem nieba. Kroczyła w samotnym zamyśleniu pośród swych dam dworu. Ach, dobrze zrobiła, wybierając to miasto na miejsce narodzin i na dom dla swego syna!

Z nadejściem trzeciego księżyca wiosny nowego roku, w dniu oznaczonym tajemniczą decyzją niebios, Jehonala urodziła syna. Przyszedł na świat w obecności starszych dam dworu, które zajęły miejsce Wdowy Matki. Urodził się jako następca tronu i tak zaanonsowały go położne. Kiedy Jehonala siedziała skulona na stołku, położna pochwyciła dziecko i uniosła je wysoko przed oczami dam.

- Spójrzcie, Czcigodne - ogłosiła. - Dziecko płci męskiej, zdrowe i silne!

Jehonala, na wpół omdlała, spojrzała w górę i zobaczyła swego syna. Leżał w ramionach położnej, ruszał rękami i nogami, a otworzywszy usta, głośno krzyknął.

Kiedy zapadła noc, łagodna noc wiosenna, podwórzec na zewnątrz jej osobistego pałacu oświetliły światła latarń umocowanych na ofiarnym ołtarzu. Spoglądając ze swego łoża przez niskie witrażowe okna, Jehonala mogła obserwować zgromadzenie książąt, dam i eunuchów stojących za stołem. Światło świec igrało na ich twarzach i kolorowych, atlasowych szatach wyszywanych złotem i srebrem. Była to godzina ofiary składanej niebu z okazji narodzin. Przed ołtarzem stał cesarz, który zbliżył się, by złożyć dziękczynienie i obwieścić, że narodził się następca tronu. Na ołtarzach czekały już trzy ofiary: sparzony świński łeb, biały i pozbawiony piór sparzony kogut, oskubany z wyjątkiem głowy i ogona, a między nimi żywa ryba, rzucająca się w purpurowej, jedwabnej sieci.

Rytuał był trudny. Nie mógł go jednak spełnić nikt poza samym Synem Niebios. Ryba, którą schwytano w lotosowym basenie, powinna była powrócić żywa do tej samej wody, inaczej dziedzic mógłby nie dożyć wieku męskiego. Cesarski ojciec nie powinien również spieszyć się czy też w inny sposób zakłócać powagi ceremonii - niebiosy byłyby urażone. W głębokiej ciszy uniosł więc ramiona, w ciszy ukląkł przed niebiosami, którym tylko on sam mógł okazać należne posłuszeństwo, i zaczął recytować modlitwy. Zakończył je

dokładnie we właściwej chwili i wzięwszy w obie ręce wciąż żywą rybę, oddał ją naczelnemu eunuchowi, który podszedł szybko do basenu i wrzucił ją do wody, bacząc, czy odpłynie. Gdyby nie odpłynęła, następca zmarłby w dzieciństwie. Wpatrywał się w wodę z latarnią uniesioną wysoko, a dwór z cesarzem stojącym bez ruchu przed ołtarzem zamarł w oczekiwaniu.

Światło wydobyło srebrny błysk z nieruchomej wody.

- Ryba żyje, Wasza Wysokość - wykrzyknął eunuch.

Po tych radosnych słowach milczące dotąd zgromadzenie rozbrzmiało gwarem rozmów i śmiechem. Zapalono bengalskie ognie, uwolniono ptaki z klatek, race rozświetliły niebo. Jehonała spoczywała oparta na łokciu, a przed jej oczyma rozwarło się niebo i ujrzała, jak w roziskrzoną ciemność płynie ogromna złota orchidea z płatkami o szkarłatnym odcieniu.

- Pani, to ku twojej czci! - wykrzyknęła służąca.

Kiedy ludzie ujrzeni ten znak, nad miastem uniósł się krzyk, a Jehonała zaśmiała się i opadła na poduszki. Ileż to razy żałowała, że nie jest mężczyzną, ale teraz jakże była zadowolona z tego, że nim nie jest! Któryż mężczyzna mógłby zaznać takiego triumfu jak ona, dając syna cesarzowi?

- Czy moja kuzynka, cesarska małżonka, jest również na dziedzińcu? - spytała.

Stara kobieta wpatrzyła się w światła i cienie.

- Widzę ją stojącą między damami - odpowiedziała.

- Idź do niej - poleciła Jehonała. - Poproś, by tu przyszła. Powiedz, że za nią tęsknię.

Kobieta wyszła. Podeszła dumnie do cesarskiej małżonki i poprosiła, aby ta przyszła do łóża jej pani.

- Małżonkę Smoka moja pani uważa za swą starszą siostrę - powiedziała zachęcająco kobieta.

Ale Sakota odmownie potrząsnęła głową.

- Wstałam z łóżka, by uczestniczyć w ofercie - powiedziała - i muszę już wracać. Naprawdę nie czuję się dobrze.

Powiedziawszy to odwróciła się i prowadzona przez eunucha z latarnią, wspierając się na ramionach kobiet, weszła w mrok okrągłej bramy księżycowej.

Wszystkich zdumiała ta odmowa. Służąca wróciła do Jehonali.

- Pani, cesarska małżonka nie przyjdzie. Mówi, że jest chora, ale ja sędzę, że to nieprawda - stwierdziła krótko.

- Więc dlaczego nie przyszła? - zapytała Jehonała.

- Któż wie, jak mogło się odmienić serce małżonki? - odpowiedziała kobieta. - Ona ma dziewczynkę. Ty masz syna.

- Sakota nie jest małoduszna - upierała się Jehonala, ale mówiąc to, przypomniawszy sobie, że kuzynka trzyma nad jej głową miecz, miecz tajemnicy, którą zna.

- Któż wie, co dzieje się w jej sercu? - odrzekła kobieta.

Tym razem Jehonala nie odpowiedziała.

Dziedziniec opróżnił się. Cesarz z towarzyszami udali się na ucztę. Tej nocy wszyscy ucztowali i bawili się. Od północy do południa, ze wschodu na zachód, wszędzie otwarto bramy więzień i uwolniono wszystkich więźniów, niezależnie od tego, jakie popełnili przestępstwa. W miastach i wsiach przez siedem dni nie otwierano sklepów, nie zabijano zwierząt, nie łowiono ryb w rzekach i stawach, a jeśli jakieś złowiono wcześniej i żyły jeszcze w zbiornikach na targach, musiały zostać wrzucone z powrotem do wody. W domach tak jak w pałacach uwolniono ptaki z klatek, a skazani na banicję arystokraci mogli teraz powrócić i odzyskać tytuły i ziemie. Wszystko to robiono po to, by uczcić nowo narodzone dziecko.

A jednak Jehonala czuła się dziwnie samotna w swoim łożu. Sakota nie przyszła zobaczyć ani jej, ani jej syna. Sakota, która zawsze była taka delikatna i uprzejma. A więc? To bez wątpienia sprawka eunuchów, którzy z całą pewnością roznosili plotki i postarali się, by teraz, kiedy ona urodziła syna, Sakota myślała o niej źle. Ten parweniusz Wielki Radca Su Szun oraz jego przyjaciel książę Yi, siostrzeniec cesarza - to oni musieli być źródłem zła, bo obaj byli zawistni. Li Lien-jing powiedział jej, że zanim nastąpiła, byli tymi, którym cesarz najbardziej ufał. Byli mu najbliżsi, dopóki jego nienasycona miłość nie spowodowała, że zajęła ich miejsce.

Nigdy nie zrobiłam im krzywdy, pomyślała, i byłam dla nich o wiele grzeczniejsza, niż musiałam.

Wielki Radca, choć niskiego pochodzenia, był wyniosły i ambitny, doprowadził nawet do tego, że jego własna córka, młoda, szesnastoletnia dziewczyna o imieniu Mei, została jedną z jej dam dworu. Ale książę Kung musi być jej przyjacielem. Przypomniała sobie jego szczupłą, przystojną twarz i postanowiła, że uczyni z niego swego wiernego sojusznika. Jehonala leżała w kryjówce wielkiego, otoczonego zasłonami łoża, tuliła syna spoczywającego we wgłębieniu jej prawego ramienia i dumiała nad swoim i jego losem. Byli sami, ona i jej syn, przeciwko całemu światu. Mężczyzna, którego kochała, nigdy nie będzie mógł zostać jej mężem. Dopóki była sama, mogła znaleźć ucieczkę, jeśli nie w życiu to przynajmniej w śmierci, ale teraz również śmierć była poza jej zasięgiem. Urodziła syna, a on miał tylko ją. Tylko ona mogła przeprowadzić go bezpiecznie przez płataninę pałacowych

intryg. Czasy były złe, znaki na niebie groźne, cesarz słaby, więc tylko ona mogła utrzymać tron dla swego syna.

Tej nocy i w ciągu wielu następnych, tak jak w ciągu jeszcze wielu, które miały dopiero się zdarzyć, nadchodziły późne, ciemne godziny, podczas których niezmaconym wzrokiem, choć z drżącym sercem, przyglądała się swemu przeznaczeniu, wiedząc, że tylko w sobie może znaleźć siłę, by znów zetknąć się ze świtem. Musi ich pokonać, wrogów i przyjaciół, również Sakotę, która znała jej tajemnicę. To dziecko, syn leżący teraz w jej ramionach, musi pozostać na zawsze synem cesarza Sien Fenga. Nie pozwoli na żadne inne imię. Syn cesarza i następcy Tronu Smoka! Tak rozpoczęła długą bitwę o swój los.

## Tz'u Si

Zgodnie ze starą tradycją w pierwszym miesiącu życia syn należał tylko do niej. Z pałacu matki nie mógł być wyniesiony nawet w ramionach niańki. Tutaj, w szeregu pokoi otoczonych kolorowym od piwonii podwórcem, spędzała Jehonała godziny dnia i nocy. Był to miesiąc przyjemności i wesela. Miesiąc, w którym rozpieszczana i chwalona jako cesarska faworyta otrzymała tytuł Szczęśliwej Matki. Wszyscy przychodzili, by spojrzeć na dziecko, by podziwiać jego wielkość, czerstwy wygląd, ładną twarz, silne ręce i stopy. Przyszli wszyscy prócz Sakoty. I tylko tego brakowało młodej matce do pełni szczęścia. Małżonka cesarska powinna była przyjść pierwsza i uznać dziecko za dziedzica. Ale nie zjawiała się. Przysłała wymówkę, że miesiąc jej własnych urodzin jest według gwiazd wrogi miesiącowi narodzin dziecka. Nie ma więc śmiałości pojawić się tam, gdzie dziecko jest chronione. Jehonała wysłuchiwała tego bez słowa. Ukryła gniew w sercu, gdzie rósł przez pozostałe dni miesiąca urodzin. Na trzy dni przed końcem tego miesiąca wysłała jednak do Sakoty eunucha Li Lien-jinga z następującą wiadomością: „Ponieważ nie odwiedziłaś mnie, Kuzynko, ja sama muszę przyjść do Ciebie, aby prosić Cię o łaskę i opiekę dla mego syna, bowiem zgodnie z tradycją i według prawa należy on do nas obu”.

Było to rzeczywiście prawdą, że małżonka winna opiekować się dziedzicem jak własnym dzieckiem. Uważano to niemal za jej obowiązek. Ale Jehonała obawiała się, że w prostodusznej Sakocie wzbudzono zazdrość, że karmiono ją złymi pogłoskami autorstwa rywalizujących między sobą eunuchów, a także szlachetnie urodzonych. Zakazane Miasto pełne było takich intryg, a kiedy walczyli ze sobą dworzanie niższej rangi, dążyli do wywołania podziałów między wyższymi od siebie, w nadziei, że oni także włączą się do nieustannej walki o władzę. Jehonała, w trosce o syna, zdecydowana była nie dopuścić do tego, by oddzielono od niej Sakotę. Zdecydowana była nawet zmusić ją do sojuszu, gdyby ta nie chciała go zawrzeć z własnej woli.

Dlatego też starannie przygotowała się do opuszczenia swego pałacu i do odwiedzin u Sakoty w oznaczonym dniu. Przede wszystkim podjęła wszelkie środki ostrożności, by ochronić dziecko. Rozkazała Li Lien-jingowi, by u najlepszego złotnika w mieście kupił łańcuch o małych, lecz mocnych złotych oczkach i powiesiła go na szyi syna, zamykając oba końce złotą kłódką. Kluczyk do niej nosiła na złotym, drobnym łańcuszku na szyi i nie zdejmowała go ni w dzień, ni w nocy. Mimo że syn został w ten sposób symbolicznie przykuty do Ziemi, nie wystarczyło jej to. Powinna oddać syna w symboliczną adopcję innym potężnym rodzinom swego klanu. Gdzie znaleźć jednak ród dostatecznie potężny? Długo

dumała i zastanawiała się, aż obmyśliła taki oto plan. Od stu najwyżej postawionych rodzin w cesarstwie zażądała po sztuce najdelikatniejszego jedwabiu. Następnie nakazała pałacowym krawcom, by odcięli mały kawałek z każdej sztuki i uszyli z tych kawałków szatę dla dziecka. W ten sposób należało ono do stu najpotężniejszych i najszlachetniejszych rodzin. Teraz więc, kiedy pozostawało pod taką ochroną, bogowie nie odważą się wyrządzić mu krzywdy. Wiadomo bowiem dobrze, że bogowie zazdrośni są o piękne dzieci płci męskiej zrodzone z kobiet - zysłają choroby i wypadki, aby je zniszczyć, nim wyrosną na podobnych bogom mężczyźni.

Skończywszy te przygotowania, na trzy dni, nim jej syn ukończył pierwszy księżycowy miesiąc, Jehonała wybrała się do pałacu Sakoty. Włożyła na siebie nową szatę z cesarskiego złotego atlasu wyszywaną w małe kwiaty, czerwone niczym owoc granatu, a na głowę założyła stroik z czarnego atlasu z perłami. Jej twarz przemyto najpierw stopionym tłuszczem baranim, następnie wodą z perfumami, a potem upudrowano i umalowano. Piękne brwi pociągnięto pędzelkiem umoczonym w tuszu. Jej usta, zawsze miłe, swą pełnią i delikatnością zdradzające gorące serce, pomalowano gładko na czerwono. Na rękach miała pierścienie, na kciuku obrączkę z nefrytu, a dla ochrony drugich, polerowanych paznokci założyła cienkie złote tarczki z diamentami. W jej uszach lśniły nefrytowe kolczyki z perłami. Pantofelki na koturnach i stroik na głowie czyniły ją wyższą, niż była w istocie. Gdy tak stanęła w całej swej krasie, kobiety klasnęły w ręce w podziwie nad jej pięknnością.

Wzięła na ręce syna ubranego od stóp do głów w purpurowy atlas wyszywany w złote smoki i weszła z nim do pałankinu. Poniesiono ich, matkę i syna, do pałacu cesarskiej małżonki - eunuchowie szli przodem i ogłaszali ich przybycie, a damy dworu postępowały z tyłu. Kiedy byli u celu, Jehonała wyszła z pałankinu i przestąpiła próg. Tam, w sali przyjęć, zobaczyła Sakotę. Sakota zawsze była żółta i blada, ale teraz bardziej niż kiedykolwiek, bo nie wydobrzała jeszcze po urodzeniu córki. Skórę miała zwiędłą, a małe dłonie skurczone jak u kalekiego dziecka.

Przed tym drobnym, nieśmiałym stworzeniem stanęła Jehonała - silna i piękna jak młode cedrowe drzewo.

- Przyszłam do ciebie, kuzynko - powiedziała po słowach powitania - przyszłam z powodu naszego syna. Rzeczywiście - to ja go urodziłam, ale twoje obowiązki w stosunku do niego są, kuzynko, nawet większe od moich, bo czyż jego ojcem nie jest Syn Niebios, który był twoim panem wcześniej, nim został moim? Proszę cię o opiekę nad naszym synem.

Sakota wstała z krzesła i stała zgięta w pół, wtulając głowę w ramiona.

- Usiądź, kuzynko - powiedziała swym płaczącym głosem. - Po raz pierwszy od



miesiąca opuściłaś swój dwór. Usiądź i odpocznij.

- Nie spoczne, póki nie przyrzekniesz mi opieki nad naszym synem - powiedziała Jehonała.

Mówiąc to nadal stała i nieugięcie spoglądała na Sakotę oczyma czarniejszymi niż zwykle, z jarzącymi, wielkimi źrenicami.

Sakota opadła na krzesło.

- Ale dlaczego...? - wyjąkała. - Dlaczego tak do mnie mówisz? Czyż nie jesteśmy krewnymi? Czy cesarz nie jest naszym wspólnym panem?

- Proszę cię o życzliwość dla naszego syna - powiedziała Jehonała - nie dla siebie. Nie potrzebuję nikogo. Muszę być jednak pewna, że będziesz przy naszym synu i nie staniesz przeciwko niemu.

Każda z nich wiedziała, o czym myśli druga. Jehonała dawała do zrozumienia, że wobec podziałów stwarzanych nieustannymi intrygami książąt i eunuchów chce uzyskać pewność, iż Sakota nie poprze tych, którzy mogliby spiskować przeciw jej synowi, aby go zniszczyć i wynieść na Tron Smoka kogoś innego. Swym milczeniem Sakota mimowolnie potwierdzała, że takie intrygi istnieją, i widać było, że nie chce złożyć przyrzeczenia.

Jehonała podała dziecko jednej z towarzyszących dam i postąpiła do przodu.

- Podaj mi rękę, kuzynko - powiedziała miękko, ale stanowczym głosem. - Przyrzeknij, że nikt nie będzie w stanie nas rozdzielić. Spędzimy w tych murach całe nasze życie. Bądźmy więc przyjaciółkami, nie wrogami.

Czekała, tymczasem Sakota wahała się i nie wyciągała ręk. Wtedy Jehonała, której wielkie oczy zabłyśły furją, pochylila się nagle i pochwyciwszy dwie małe, miękkie rączki, ścisnęła je tak mocno, że łzy nabiegły do oczu Sakoty. Jehonała robiła to, kiedy były dziećmi. Kiedykolwiek Sakota dąsała się i odmawiała posłuszeństwa, Jehonała ścisnęła jej rękę aż do bólu.

- Ja... przyrzekam - powiedziała Sakota łamiącym się głosem.

- I ja przyrzekam - powiedziała z mocą Jehonała.

Wypuściła dłonie Sakoty ze swych rąk kładąc je na jej łonie i zobaczyła, jak i pozostałe damy, że cienkie złote tarcze ochraniające jej paznokcie pozostawiły czerwone cętki na wrażliwym ciele Sakoty, która złożyła dłonie i pozwoliła, by łzy bólu spływały po jej policzkach.

Jehonała nie zamierzała jednak wcale przeproszać za to, co zrobiła. Skłoniła się, oddalając gestem czarnekę herbaty oferowaną jej przez jedną z dam.

- Nie zostanę, kuzynko - powiedziała swym zwykłym miłym głosem. - Przyszłam po

to przyrzeczenie i uzyskałam je. Mam je. Do końca mojego życia i do końca życia mojego syna. Nie zapomnę również tego, że i ja je złożyłam.

Dumna kobieta z godnością wędrowała spojrzeniem od twarzy do twarzy. Następnie odwróciwszy się, zebrała swe złote szaty, odebrała syna i odeszła.

Tej nocy, kiedy upewniła się, że nakarmione dziecko śpi w ramionach niańki, posłała po Li Lien-jinga. Nigdy nie przebywał daleko od niej. Kiedy przyszedł, poleciła mu, by przyprowadził naczelnego eunucha, An Teh-haia.

- Powiedz mu, że mam kłopot, który nie daje mi spokoju - powiedziała.

Li Lien-jing odszedł i po godzinie lub dwóch przyprowadził naczelnego eunucha, który pozdrowił ją, powiedział:

- Wybacz mi zwłokę, Czcigodna. Byłem w sypialni cesarza, wykonywałem jego rozkazy.

- Wybaczam ci - powiedziała Jehonała.

Skinęła dłonią, by usiadł, sama zaś zajęła miejsce na podobnym do tronu krześle, obok długiego, rzeźbionego stołu ustawionego przy ścianie w głębi pokoju. Odprawiła damy dworu. Pozostali przy niej tylko Li Lien-jing i jej służąca.

Li Lien-jing zrobił ruch, jakby chciał odejść, ale Jehonała kazała mu zostać.

- To, co mam do powiedzenia, jest przeznaczone dla was obu, jesteście bowiem dla mnie jak lewa i prawa ręka.

Następnie przeszła wprost do pytań o intrygi, o których opowiadały jej damy dworu.

- Czy to prawda? - spytała naczelnego eunucha. - Czy są tacy, którzy spiskują, aby odebrać tron memu synowi, jeśli... - Przerwała, bo nikt, kto mówił o cesarzu, nie mógł użyć słowa „śmierć”.

- Pani, to wszystko prawda. - Naczelnny eunuch skinął swą ciężką, kształtną głową.

- Mów dalej - rozkazała.

- Musisz wiedzieć, Czcigodna - mówił posłusznie - że nikt spośród członków potężnych klanów nie wierzył, że cesarz może mieć zdrowego syna. Kiedy małżonka urodziła słabą dziewczynkę, niektórzy spośród książąt nabrali animuszu i zaczęli knuć plany, w jaki sposób, gdy cesarz oddali się do Żółtych Źródeł, zawładnąć cesarską pieczęcią. Niestety, niestety - znów pokiwał głową - nie możemy spodziewać się długiego panowania. Cesarz jest wprawdzie młody, ale jego matka zbyt go kochała, kiedy był dzieckiem. Karmiła go słodyczami, a kiedy dostawał bólów brzucha, kazała podawać mu opium. Został zdeprawowany przez eunuchów, zanim osiągnął dwanaście lat, a w szesnastym roku życia kobiety doprowadziły go do wyczerpania. Pozwól powiedzieć mi prawdę.

W tym momencie naczelnny eunuch położył na kolanach swe wielkie, gładkie ręce i tak zniżył głos, że Li Lien-jing musiał się schylić, aby go usłyszeć.

- Mądrość nakazuje - powiedział naczelnny eunuch, a jego otwarta twarz przybrała wyraz powagi - byśmy policzyli teraz naszych przyjaciół i wrogów.

Jehonala siedziała bez ruchu. Do jej zalet należało również to, że potrafiła bez trudu siedzieć godzinami nie poruszając się, jak wyprostowana cesarska statuetka. Spojrzała teraz na niego bez cienia lęku.

- Kto należy do naszych wrogów? - spytała.

- Najpierw Wielki Radca, Su Szun - wyszeptał naczelnny eunuch.

- On! - zawołała. - A ja przyjąłem na swój dwór jego córkę i uczyniłem ją swą faworytą.

- Więc nawet on - powiedział ponuro naczelnny eunuch - a z nim bratanek cesarza, książę Yi, a następnie książę Czeng. Tych trzech, Czcigodna, stało się twymi głównymi wrogami, bo dałaś nam następcę.

Pochyliła głowę. Niebezpieczeństwo było tak wielkie, jak myślała. Byli to potężni książęta z klanu samego cesarza i blisko z nim spokrewnieni. Tymczasem ona była tylko kobietą.

Uniosła dumnie głowę.

- A kto zalicza się do moich przyjaciół? Naczelnny eunuch odchrząknął.

- Przede wszystkim, Czcigodna, książę Kung, młodszy brat Syna Niebios.

- Rzeczywiście jest moim przyjacielem? - zawołała z radosnym niedowierzaniem. - On wart jest całej reszty.

Była tak młoda, że wystarczył cień nadziei, by krew ożywiła jej policzki.

- Kiedy książę Kung zobaczył cię - oświadczył naczelnny eunuch - powiedział do stojącego obok członka klanu, a ten mi to powtórzył, że jesteś kobietą tak mądrą i tak piękną, że albo przyniesiesz cesarstwu szczęście, albo zniszczysz Tron Smoka.

Jehonala rozważała te słowa w swym bystrym umyśle, siedząc przez dłuższą chwilę w całkowitym milczeniu. Następnie z głębokim westchnieniem wciągnęła powietrze.

- Jeśli mam przynieść szczęście, muszę mieć jakąś broń - powiedziała.

- To prawda, o Czcigodna - odpowiedział naczelnny eunuch i czekał.

- Moją główną bronią - kontynuowała - musi być siła mej rangi.

- To prawda, o Czcigodna - znów odpowiedział naczelnny eunuch i czekał.

- Wróć do cesarza - poleciła Jehonala. - Wbij mu do głowy, że jego syn jest w niebezpieczeństwie. Wbij mu do głowy, że tylko ja mogę ochronić nasze dziecko. Wbij mu do

głowy, że musi wznieść mnie do rangi równej małżonce, aby nie mogła mieć władzy nad następcą tronu ani żeby nie wykorzystali jej ci, którzy tęsknią za taką władzą.

Naczelny eunuch uśmiechnął się, doceniając jej spryt, a Li Lien-jing śmiał się, wyłamując sobie na znak radości palce w stawach.

- Pani - powiedział naczelny eunuch - zasugeruję cesarzowi, aby nagroził cię w ten sposób, kiedy tylko minie miesiąc od chwili narodzin następcy. Czyż mógłby lepiej uczcić dzień urodzin syna?

- Nie, nie mógłby - zgodziła się.

Spojrzała w jego małe, czarne oczy osadzone głęboko pod wysokim, gładkim czołem i nagle na jej twarzy pojawiły się dołeczki i zaczęła się śmiać, a jej wielkie oczy jaśniały psotnie, radośnie i triumfująco.

Minął pierwszy miesiąc życia jej syna. Kiedy się narodził, księżyc stał w pełni - teraz znów była pełnia. Niektóre niebezpieczeństwa już minęły: niebezpieczeństwo obłądzenia dziesiątego dnia, który sprawia, że niemowlęta umierają, zanim przeżyją dziesięć dni; niebezpieczeństwo biegunki, w czasie której z jelit niemowlęcia wypływa woda; niebezpieczeństwo niepowstrzymanych wymiotów; niebezpieczeństwo kaszlu, przeziębienia i gorączki. W końcu tego miesiąca następca był tłusty i zdrowy. Przejawiał już prawdziwie cesarską wolę, miał też niezaspokojony apetyt, tak że mamka musiała być w dzień i w nocy gotowa do spełniania jego wymagań. Mamkę Jehonała wybrała sama. Była to silna wiejska kobieta, Chinka, która również urodziła pierwszego syna, a więc jej mleko powinno być odpowiednie dla cesarskiego oseska. Jehonali nie zadowolili jednak ocena nadwornych lekarzy, że kobieta jest silna i zdrowa. Nie, musiała sama zbadać ciało kobiety, posmakować, czy jej mleko jest słodkie, i sprawdzić oddech, czy nie jest choćby odrobinę zepsuty. Sama zaleciła kobiecie dietę i przypilnowała, by podawano jej najlepsze, najbogatsze pożywienie. Na takim mleku książętko kwitło jak każde wiejskie dziecko.

Dla uczczenia pierwszego miesiąca życia swego następcy, cesarz zarządził, żeby świętowano w całym kraju. Tutaj, w Zakazanym Mieście, dzień miał być całkowicie poświęcony ucztom i muzykowaniu. Cesarz wysłał do Jehonali naczelnego eunucha z zapytaniem, co w tym pomyślnym dniu sprawiłoby jej szczególną przyjemność, i wtedy Jehonała ubrała w słowa swoje starannie skrywane dotąd marzenie.

- Naprawdę chciałabym zobaczyć dobrą sztukę - powiedziała An Teh-haiowi. - Od chwili kiedy znalazłam się pod tym złotym dachem, nie zobaczyłam żadnej sztuki. Wdowa Matka nie lubiła aktorów, nie śmiałam więc prosić o to za jej życia, a w czasie żałoby po niej również nie mogłam wypowiadać takiej prośby. Ale teraz - czy Syn Niebios spełni moją

zachciankę?

An Teh-hai na widok jej twarzy, zarumienionej, żarliwej jak u dziecka, z wielkimi oczyma pełnymi nadziei, nie mógł powstrzymać uśmiechu.

- Syn Niebios nie odmówi ci teraz, pani, niczego - powiedział do niej i mrugnawszy pokiwał kilka razy głową, dając do zrozumienia, że w rzeczywistości otrzyma nagrodę daleko większą niż przedstawienie. Po czym odszedł pospiesznie, by spełnić jej prośbę.

Stało się więc tak, że oczekując w tym świątecznym dniu spełnienia większego życzenia, Jehonala spełniła wreszcie życzenie mniejsze - z jednej strony czekał ją awans w hierarchii, z drugiej przyjemność oglądania sztuki. Najpierw jednak musiała nastąpić ceremonia prezentowania i przyjmowania darów. Dla spełnienia tego obrzędu cesarz wybrał salę tronową nazywaną Pałacem Niezrównanej Światłości. Już o świcie czekali tu mężczyźni z wszystkich prowincji państwa, a między nimi kręcili się eunuchowie doglądający ogromnych, zawieszonych u belek sufitu latarni, na których namalowane były cesarskie pięciopalczaste smoki. Latarnie te, wykonane z rogów, dawały światło tak jasne, że kiedy padało na szaty eunuchów i gości, wydobywało takie szczegóły jak wzory haftów, klejnoty, którymi inkrustowany był tron, rozjaśniało każdy kolor i każdy odcień. Wybijał się zwłaszcza szkarłat i głęboka purpura, czerwień i jasny błękit, którym akcentów dodawało migocące srebro i złoto.

Wszyscy czekali w ciszy na nadejście Syna Niebios, a kiedy brzask rozjaśnił niebo, pojawiła się cesarska procesja ze sztandarami łopoczącymi na porannym wietrze, prowadzona przez gwardzistów w purpurowych bluzach. Następnie szli książęta, potem eunuchowie, idący wolno, dwójkami w purpurowych, złotem przepasanych szatach. W środku pochodu dwunastu tragarzy niosło święty żółty palankin, w którym zasiadał sam Syn Niebios. W sali tronowej wszyscy padli na kolana i uderzyli głowami o podłogę dziewięć razy, wykrzykując pozdrowienia: „Dziesięć tysięcy lat - dziesięć tysięcy lat - dziesięć tysięcy lat!”

Cesarz zszedł z palankinu i opierając prawą rękę na ramieniu brata, a lewą na ramieniu Wielkiego Radcy Su Szuna, wspiął się na tron. Siedząc na nim z wystudiowaną godnością, z dłońmi na kolanach, przyjmował po kolei książęta i ministrów, którzy przynosili dary dla następcy tronu. Sami jednak nie dotykali darów - wnosili je tragarze na tacach i srebrnych talerzach, lecz książę Kung odczytywał z listy, skąd pochodzą, z jakiej prowincji, portu lub miasta, a naczelnny eunuch, An Teh-hai, zaznaczał pędzelkiem w księdze nazwisko ofiarodawcy, rodzaj daru i jego wartość. Aby wycenił je wyżej, ofiarodawcy już wcześniej przekupili go sekretnymi podarunkami i pieniędzmi.

Za tronem stał jak zwykle parawan, szeroki, rzeźbiony w pachnącym drewnie w

pięciopalczaste smoki, za którym siedziały Jehonała i małżonka cesarza ze swymi damami. Kiedy przyjęto wszystkie dary, cesarz wezwał Jehonałę, by przyszła odebrać swą nagrodę. Wezwanie przekazał naczelnny eunuch, który przyprowadził ją do Tronu Smoka. Stała przez krótką chwilę wysoka, wyprostowana, z uniesioną głową, nie patrząc na boki, by następnie osunąć się w hołdzie na kolana i złożyć głowę na skrzyżowanych rękach, które oparła na kafelkach podłogi.

Nad nią stał cesarz, który po chwili zaczął mówić:

- Zarządzam w dniu dzisiejszym, aby klęcząca tu oto matka cesarskiego dziedzica wyniesiona została do rangi małżonki, równej pod każdym względem obecnej małżonce. Aby nie było niepotrzebnego zamieszania, obecną małżonkę będziemy nazywać Tz'u An, Cesarzową Wschodniego Pałacu, a Szczęśliwą Matkę nazywać będziemy Tz'u Si, Cesarzową Zachodniego Pałacu. Taka jest moja wola. Należy ogłosić to w całym cesarstwie, aby wiedział o tym cały lud.

Słyszając te słowa, Jehonała czuła, jak krew w jej żyłach zaczyna krążyć żywo i radośnie. Któż teraz mógłby uczynić jej krzywdę? Została wyniesiona wolą samego cesarza. Trzy razy i jeszcze trzy razy, i znów trzy razy dotknęła czołem swych rąk. Następnie wstała i poczekała, aż naczelnny eunuch poda jej prawe ramię, po czym wspierając się na nim, wróciła na swe miejsce za Smoczym Parawanem. Kiedy usiadła, nie odwróciła głowy, by spojrzeć na Sakotę, Sakota również się nie odezwała.

W tej doniosłej chwili, gdy stała tak przed Tronem Smoka, wśród wielkiej ciszy zapelniającej salę bankietową panowała zupełna cisza. Nie odezwał się żaden głos, kiedy mówił cesarz, nie poruszyła się żadna ręka. Od tego dnia przestano nazywać ją Jehonała. Tz'u Si - „Matczyna i Pomyślna” - takie było teraz jej cesarskie imię.

Tej nocy Tz'u Si została wezwana przez cesarza. Nie była wzywana od trzech miesięcy, to znaczy przez dwa miesiące do urodzin syna i przez miesiąc po porodzie. Ale teraz czas nadszedł. Wezwanie przyjęła z zadowoleniem, jako dowód na to, że nadal cieszy się jego łaską, i to nie tylko ze względu na syna, ale ze względu na nią samą. Wiedziała doskonale, że w ciągu tych miesięcy cesarz wzywał tę i ową konkubinę, z których każda miała nadzieję, że zajmie jej miejsce, miejsce najulubieńszej. Tej nocy miała się przekonać, czy któraś z nich odniosła sukces, więc z zapałem przygotowywała się, by podążyć za naczelnym eunuchem czekającym u wejścia do pałacu.

Lecz jakże trudno było jej teraz odchodzić! Łóżko syna stało obok jej łóżka. Pokoje dla niego przygotowano, zanim się jeszcze narodził, ale ona nie pozwalała, by go od niej

zabierano, nawet na noc. Aż do tej chwili. Już gotowa, ubrana w miękkie, różowe aksamity, przystrojona klejnotami, uperfumowana, nie mogła się zdobyć na opuszczenie chłopca, który nakarmiony kobiecym mlekiem spał na jedwabnym materacu. Obok niego siedziały dwie kobiety, mamka i jej osobista służąca.

- Nie opuszczajcie go nawet na mgnienie oka - ostrzegła je. - Jeśli po moim powrocie, a może się zdarzyć, że wrócę nad ranem, zobaczę, że coś mu się stało, że płacze czy ma choćby małą czerwoną plamkę na ciele, każę was obić, a jeśli stanie mu się coś poważniejszego, zapłacicie głowami.

Widząc jej groźne spojrzenie, kobiety zamarły - mamka przerażona, służąca zdziwiona zachowaniem pani, którą znała jako łagodną i uprzejmą.

- Od czasu kiedy Cesarzowa Zachodniego Pałacu urodziła syna - powiedziała łagodnym głosem - stała się tygrysią. Bądź pewna, o Czcigodna, że będziemy strzec go lepiej, niż zdołałabyś sobie wymarzyć.

Tz'u Si wydała jednak jeszcze więcej poleceń. - Li Lien-jing musi czuwać na zewnątrz, a wy nie możecie spać głęboko.

- Tak będzie - przyrzekła kobieta.

Tz'u Si wciąż nie mogła odejść. Pochyliła się nad śpiącym dzieckiem i patrzyła na jego różową twarzyczkę, na wydatne, miękkie i czerwone wargi, wielkie oczy, nisko osadzone, przylegające do główki uszy z długimi płatkami - znamiona wielkiej inteligencji. Skąd wzięła się taka uroda? Takiej doskonałości nie mógł odziedziczyć tylko po niej. Jego ojciec...

Wyrwała się z zadumy i chwyciła rączki dziecka, najpierw prawą, potem lewą i delikatnie naciskając otwarła zaciśnięte paluszki. Powąchała, jak to w zwyczaju matek, miękkie dłonie niemowlęcia. Och, jakież skarb teraz posiadała!

- Czcigodna!

Posłyszała gderliwy głos An Teh-haia dochodzący z zewnętrznego pokoju. Naczelny eunuch niecierpliwił się nie ze względu na siebie, ale ze względu na nią. Wiedziała już, że jest jej sojusznikiem w potajemnej pałacowej wojnie, że powinna zwracać na niego baczniejszą uwagę. Zatrzymała się więc tylko po to, by wykonać jeszcze jedno zadanie. Wyjęła z toaletki dwa podarunki: złotą obrączkę i bransoletkę z drobnymi perełkami. Wręczyła je obu kobietom, obrączkę swej służącej, a bransoletkę mamce, przekupując je, by jeszcze lepiej spełniały swe obowiązki. Wyszła pośpiesznie i zobaczyła swego eunucha, Li Lien-jinga, czekającego z An Teh-haiem. Bez słowa dała mu złotą monetę, a on wiedząc, co to znaczy, pozostał na straży jej syna, kiedy odeszła z An Teh-haiem.

W głębi swej szaty trzymała rulon złota dla naczelnego eunucha, ale nie zamierzała mu go wręczyć, zanim nie będzie pewna, jak przyjmie ją cesarz. Jeśli noc będzie dobra, otrzyma swą zapłatę. Naczelnny eunuch świetnie to rozumiał. Teraz wiódł ją dobrze znanymi wąskimi przejściami do serca Zakazanego Miasta.

- Chodź do mnie - powiedział cesarz.

Stała na progu jego wielkiej komnaty, by mógł podziwiać jej całą, tchnącą siłą piękność. Na jego polecenie szła powoli ku niemu, kołysząc się z wdziękiem, którym tak dobrze umiała się posługiwać. Nie była pokorna, ale udawała nieśmiałość. Przybrała postawę słodkiej bojaźliwości - na poły prawdziwą, na poły udawaną. Siłą swej kobiecości potrafiła być niemal tym, co udawała, lub raczej tym, czym być planowała, i stawała się taką w każdej chwili, w każdym miejscu. Nie oszukiwała, bo zwodziła samą siebie w takim samym stopniu, w jakim zwodziła siebie osoba, przed którą się pojawiała.

Kiedy więc teraz podeszła do cesarskiego łoża, długiego i szerokiego niczym otoczona żółtymi zasłonami i złotą siatką komnata, poczuła nagłą litość. Człowiek, który tu na nią czekał, był bez wątpienia skazany na śmierć. Choć młody, zbyt wcześnie roztrwoniał swe siły.

Kilka ostatnich kroków podbiegła.

- Ach - wykrzyknęła - chorujesz, Panie Niebios, a mnie nikt o tym nie powiedział!

Rzeczywiście, w świetle wielkich świec osadzonych w złotych lichtarzach wyglądał tak nagle, jego żółta skóra tak ciasno przylegała do drobnych kości twarzy i opinała całe ciało, że przypominał żywy szkielet wsparty na żółtych, atlasowych poduszkach. Obie ręce, odwrócone wnętrzem dłoni do góry, leżały bez życia na kołdrze. Siadła na łożu i dotknąwszy swymi silnymi i ciepłymi rękami jego dłoni, stwierdziła że są zimne i suche.

- Czy odczuwasz ból? - spytała z niepokojem.

- Nie ból - odpowiedział - lecz słabość...

- Ale ta ręka - nastawała. Podniosła jego lewą dłoń. - Wydaje się różnić od drugiej, jest chłodniejsza, sztywniejsza.

- Nie mogę posługiwać się nią tak jak dawniej - odpowiedział mimochodem.

Podniosła rękaw jego szaty i ujrzała skryte pod atlasem ramię - cienkie i żółte jak stara kość słoniowa.

- Ach - jęknęła - dlaczego mi nie powiedziano?

- A cóż tu można powiedzieć - odrzekł. - Chyba tylko to, że z tej strony odczuwam posuwający się wolno chłód.

Odsunął rękę i powiedział:



- Dosyć, chodź już do mego łóża. Żadna z nich nic mi nie dała. Tylko ty... tylko ty...

Zobaczyła, jak dawne, gorące światło zapala się znów w jego oczach, i zaczęła się przygotowywać, by spełnić jego życzenia. Jednak, kiedy godziny ciemności mijały jedna za drugą, aż przekroczyły północ, doświadczyła smutku, jakiego nigdy przedtem nie zaznała. Tego biednego człowieka, który był cesarzem potężnego państwa, naznaczyło wielkie nieszczęście. Jego wnętrzu przeniknął chłód śmierci i nie był już mężczyzną. Starał się, bezradny niby eunuch, spełnić swe zadanie, ale nie mógł.

- Pomóż mi - błagał ją raz po raz. - Pomóż mi, pomóż, bo inaczej umrę od tego straszego, niegasnącego żaru.

Nie mogła mu jednak pomóc. Kiedy przekonała się, że nawet ona jest bezradna, wstała z łóżka, siadła przy jego wezgiłowiu i wzięła go w swe ramiona, jakby był dzieckiem. A on jak dziecko płakał na jej piersi, wiedząc, że nigdy już nie będzie miał tego, co było zawsze radością jego życia. Chociaż był młody, w rzeczywistości nie osiągnął jeszcze trzydziestki, miał zniszczone żądzami ciało starego człowieka. Zbyt wcześnie zaczął im ulegać, zbyt często podsycali je eunuchowie, zbyt pokornie nadworni lekarze rozgrzewali mu krew ziołami i lekami. Był wyczerpany i pozostała mu tylko śmierć.

Przejęło to niezmiernie trzymającą go przy piersi kobietę. Uspokajała go łagodnie i była przy tym tak spokojna i silna, że w końcu go przekonała.

- Jesteś przemęczony - powiedziała - masz tyle trosk. Wiem o naszych licznych wrogach, o tym, że ludzie Zachodu grożą nam swymi statkami i wojskiem. Kiedy ja żyłam swym kobiecym życiem, kłopoty drążące twój umysł wyssały twą moc. Kiedy ja urodziłam syna, ty uginałeś się pod ciężarem państwa. Pozwól, bym ci pomogła, Panie mój. Przerzuć na mnie połowę tego ciężaru. Pozwól, bym zawsze o świcie siedziała za parawanem w sali tronowej i wysłuchiwała twych ministrów. Potrafię dostrzec ukryte znaczenie ich skarg i kiedy odejdą, powiem ci, co myślę, pozostawiając jednak wszystkie decyzje memu panu, co jest moim obowiązkiem.

W ten sposób sprawiła, że od miłości i niespełnienia przeszli do spraw państwowych, gróźb wrogów i konieczności umocnienia tronu - na świat przyszedł wszak dziedzic. I przekonała się, jak bardzo ciążyło mu jego brzemie, bo westchnął głęboko, podniósł głowę z jej piersi, oparł się znów na poduszkach i trzymając jej rękę w swojej ręce, próbował opowiedzieć jej o swych kłopotach.

- Nie ma im końca - skarżył się. - W czasach moich przodków nieprzyjacieli nadchodził zawsze z północy i Wielki Mur potrafił zatrzymać ludzi i konie. Teraz mur jest bezużyteczny. Ci biali ludzie wyłaniają się rojami z morza - Anglicy i Francuzi, Holendrzy,

Niemcy i Belgowie. Powiadam ci, że nawet nie wiem, ile narodów znajduje się za pasmem granicznych gór K'un Lun! Prowadzą z nami wojnę o sprzedaż opium i nic ich nie zadowala. Teraz są tu także Amerykanie. Skąd się wzięli? Gdzie znajduje się Ameryka? Słyszę, że są trochę lepsi od innych, ale kiedy ulegam tym innym, Amerykanie domagają się tych samych przywilejów. W tym roku żądają, bym odnowił z nimi stare układy. Ale ja nie chcę odnawiać żadnych układów z cudzoziemcami.

- Więc ich nie odnawiaj - powiedziała porywczco Tz'u Si. - Dlaczego miałbyś robić to, czego nie chcesz? Każ ministrom, aby odmówili.

- Biali są lepiej od nas uzbrojeni - jęknął.

- Więc zwlekaj, zwlekaj - powiedziała. - Nie odpowiadaj na ich prośby, nie zwracaj uwagi na pisma, odmawiaj przyjęcia posłów. To da nam czas. Nie będą nas atakowali, dopóki będą mieli nadzieję na odnowienie układów. Nie mów więc ani tak, ani nie.

Cesarza uderzyła tak wielka mądrość.

- Jesteś dla mnie warta więcej niż którykolwiek mężczyzna - oświadczył - więcej nawet niż mój brat. To on nie daje mi spokoju, nalegając, bym przyjął białych ludzi i podpisał z nimi nowe układy. Próbuje mnie nastraszyć, mówiąc o ich wielkich okrętach i długich działach. Prowadź negocjacje, mówi...

Tz'u Si zaśmiała się.

- Nie daj się zastraszyć, panie mój, nawet księciu Kungowi. Morze jest daleko stąd, czy może istnieje działo tak wielkie, by dosięgło murów twego miasta?

Wierzyła w to, co mówi, a i on chciał w to wierzyć, więc przyłgnął do niej sercem bardziej niż kiedykolwiek. W końcu zasnął na poduszkach, a ona siedziała przy nim aż do świtu, kiedy to przyszedł naczelnny eunuch, aby obudzić cesarza, bo ministrowie czekali już na zwykłą, wczesną audiencję. Kiedy wszedł, Tz'u Si powstała, aby zanim jeszcze cesarz się obudzi, wydać mu polecenie:

- Od dzisiaj - powiedziała - będę przysłuchiwać się radzie zza Smoczego Parawanu w sali tronowej. Tak rozkazał Syn Niebios.

An Teh-hai skłonił się przed nią aż do ziemi i dotknął czołem posadzki.

- Czcigodna - zawołał. - Teraz jestem szczęśliwy.

Odtąd Tz'u Si wstawiała codziennie w ciemnościach wczesnych godzin rannych. W świetle świec kobiety kąpały ją i zakładały oficjalne szaty, następnie wchodziła do zasłoniętej lektyki. Li Lien-jing prowadził ją z latarnią w ręce do sali tronowej, gdzie zasiadała za wielkim, rzeźbionym parawanem, przed którym stał Tron Smoka. Chronił ją Li Lien-jing, który zawsze stał obok niej z gotowym do użytku szyćletem w ręce.

Odtąd też następca tronu nie spał już więcej w sypialni matki. Przeniesiono go do jego własnego pałacu. Naczelnego eunucha mianowano jego służącym, natomiast księżę Kung, brat cesarza, został jego strażnikiem.

Tego roku chłody nadeszły wcześniej. Deszcz nie padał w ciągu wielu tygodni i już w połowie jesieni suche i przykre wiatry wiały z północnego zachodu, sypiąc garściami bladego pyłu z odległej pustyni. Miasto okryło się szatą z bladego piasku, a słońce migotało w szczelinach i załamaniach okapów wypełnionych lśniącymi drobkami. Tylko porcelanowe dachówki w Zakazanym Mieście, w niebieskim królewskim i żółtym cesarskim kolorze, strząsnęły piasek i jasno świeciły w białym blasku płynącym z nieba.

W południe, kiedy słońce wciąż jeszcze dawało łagodne ciepło, starzy ludzie ubrani w watowaną odzież wylęgali z domów i siadali w zacisznych kątach między murami, a dzieci wybiegały na ulice i bawiły się, aż pot spływał po ich brązowych policzkach. Kiedy jednak słońce zniknęło o zachodzie, suche zimno ścinało krew w żyłach zarówno młodym, jak i starym. W ciągu nocy chłód wzmagał się, aby przed świtem osiągnąć szczyt. Żebracy, którzy nie mieli schronienia, biegali po ulicach to w jedną, to w drugą stronę, aby utrzymać się przy życiu, zanim znów nie pojawi się słońce, i nawet dzikie psy nie zapadały w sen.

O takiej zimnej, cichej godzinie, w dniach ustalonych przez cesarską Radę Astrologów Tz'u Si wstawiała, aby jak zwykle zająć swe miejsce w sali tronowej. Jej wierna służąca spała w pobliżu. Tego ranka, kiedy mosiężny gong dozorczy zabrzmiał po trzykroć trzy razy, kobieta podniosła się ze swego skromnego łóżka, włożyła świeży węgiel drzewny do metalowego kosza i nastawiła czajnik z wodą. Kiedy woda zagotowała się, przygotowała herbatę w glinianym i srebrnym dzbanku i podszedłszy do obszernego łoża, na którym spała Tz'u Si, odsunęła zasłony i dotknęła jej ramienia. Nie trzeba było więcej niż dotknięcia, bo chociaż Tz'u Si spała dobrze, sen miała zawsze lekki. Otworzywszy szeroko i przytomnie swoje wielkie oczy, siadła teraz na łóżku.

- Już się obudziłam - powiedziała.

Kobieta naląła do czarki rozcieńczonej herbaty i podała ją obiema rękami swej pani. Tz'u Si piła powoli, ale nie nazbyt wolno, ściśle kontrolując upływ czasu. Kiedy czarka była pusta, kobieta wzięła ją z rąk Tz'u Si. W łazience nalano już parującą, gorącą wodę do porcelanowej wanny. Tz'u Si wstała z wdziękiem, bo wdzięk i precyzja w ruchach stały się jej nawykiem, i po kilku minutach była już w kąpieli. Kobiety wymyły ją delikatnie, wytarły i oblekły w szaty odpowiednie na uroczystą cesarską audiencję.

Poruszały się w zupełnej ciszy, nie mówiąc ani słowa. Kobieta była zmęczona, a umysł Tz'u Si zaprzętały ponure myśli. Czasy stawały się coraz bardziej niepokojące. Jeszcze

wczoraj w czasie prywatnej audiencji książę Kung powiedział do niej:

- Poddani zwykle nie troszczą się o to, kto nimi włada, dopóki w państwie panuje pokój i porządek, dopóki mogą śmiać się i oglądać widowiska. Kiedy jednak nie ma pokoju, a porządek ulega zaburzeniu, ludzie oskarżają o to swoich władców. Naszym nieszczęściem jest to, że musimy rządzić w tych czasach. Bieda, że mój cesarski brat jest taki słaby! Dziś Tronu Smoka nie obawia się ani biały człowiek, ani chiński rebeliant.

- Gdyby ci obcy o białej skórze nie przyплыnęli tu zza mórz - powiedziała Tz'u Si - stłumilibyśmy chińskie powstanie.

Po namyśle zgodził się na to ze smutkiem.

- Ale cóż mamy począć? - spytał. - Są przecież tutaj. Błędem naszej dynastii jest to, że nasi przodkowie nie zrozumieli sto lat temu, że przybysze z Zachodu są ludźmi różnymi od wszystkich innych. Nasi przodkowie byli początkowo oczarowani ich zręcznością, ich pomysłowymi zabawkami i zegarami. Nie spodziewając się zła, pozwalali, by nas odwiedzali, ludząc się, że tamci w geście kurtuazji opuszczą nasze wybrzeża. Teraz już wiemy, że powinniśmy byli zepchnąć ich wszystkich do morza, począwszy od pierwszego, bo gdy pojawia się jeden, przychodzą za nim setki i żaden z nich nie odchodzi.

- To rzeczywiście dziwne - zauważyła Tz'u Si - że czcigodny przodek - Cz'ien Lung, taki wielki, taki mądry, panujący przez tyle dziesięcioleci, nie odkrył natury ludzi Zachodu.

Książę Kung kiwając głową, ciągnął ponuro dalej.

- Cz'ien Lunga zwiódła jego siła i dobre serce. Nie przyszło mu do głowy, że ktoś może być jego wrogiem. Lubił się nawet porównywać do Amerykanina Jerzego Waszyngtona i mawiał, że on i Waszyngton są braćmi, choć nigdy się z sobą nie spotkali. To prawda, że władali w tym samym czasie.

Taka była treść jej rozmowy z księciem Kungiem, który ostatnio starał się uczyć ją jak najczęściej. Słuchając go i patrząc na tę szczupłą, piękną twarz, chociaż zbyt smutną i znużoną jak na mężczyznę tak młodego, pomyślała, że byłoby daleko lepiej, gdyby to on był starszym bratem, a więc cesarzem, a nie jej słaby pan - Sien Feng.

- Jesteś już gotowa, o Czciogodna - powiedziała służąca - i bardzo bym chciała, abyś zjadła coś ciepłego, zanim zasiądziesz za Smoczym Parawanem. Miska gorącej zupy z prosa...

- Zjem, kiedy wrócę - odpowiedziała Tz'u Si. - Muszę być na czczo, z jasnym umysłem.

Wstała i wyprostowawszy się, zdecydowanym krokiem udała się w kierunku drzwi. Powinny były towarzyszyć jej damy dworu, ale choć potrafiła być ostra i stanowcza w

przeprowadzaniu swej woli, w stosunku do swych posłusznych dworek była zawsze łagodna i nigdy nie wymagała od nich wczesnego wstawania. Wystarczała jej służka i czekający u drzwi eunuch, Li Lien-jing. Tym razem jednak jedna z jej dam dworu wstała wcześniej. Była to pani Mei, młoda córka Su Szuna, księcia i Wielkiego Radcy. Kiedy służąca otworzyła drzwi przed Tz'u Si, pani Mei już tam stała, wprawdzie trochę blada z niewyspania, ale świeża jak biały kwiat gardenii. W tym czasie miała tylko osiemnaście lat, była małym, delikatnym stworzeniem o pięknych kształtach. Okazywała swej pani taką miłość i uległość, że Tz'u Si bardzo ją za to pokochała, chociaż wiedziała, że Su Szun jest jej ukrytym wrogiem. Była to jedna z zalet Tz'u Si - miała otwarty umysł i wielkie poczucie sprawiedliwości, nie obwiniała więc delikatnej córki za intrygi okrutnego ojca.

Teraz uśmiechnęła się do dziewczyny.

- Nie wstałaś zbyt wcześnie?

- Czcigodna, było mi tak zimno, że nie mogłam spać - wyznała pani Mei.

- Będę ci musiała niedługo wybrać męża, który ogrzeje twoje łóżko - powiedziała Tz'u Si, wciąż uśmiechając się do niej.

Wypowiedziała te słowa tonem miłym i beztróskim, sama nie wiedząc dlaczego, ale kiedy już wymknęły się z jej ust, pojęła natychmiast, że podpowiedział jej instynkt, którego nie rozumiała. Tak, od dnia, w którym świętowano pierwszy miesiąc życia cesarskiego dziedzica, na dworach zaczęły rozchodzić się plotki. Kobiety podawały je sobie z ust do ust - cóż zresztą miały do roboty prócz plotkowania - a ona podchwyciła jedną z nich: mówiono, że pani Mei często zerka na Jung Lu, przystojnego naczelnika Cesarskiej Gwardii, krewnego Szczęśliwej Matki. Tz'u Si wiedziała o tym, jak wiedziała o wszystkim, mając umysł zawsze czujny, baczny wzrok, słuch wyostrzony we śnie i na jawie. Nikt nawet nie domyślał się, że wie tak wiele, nie mając żadnej powiernicy.

- Czcigodna, proszę cię, nie chcę męża - wyszeptwała pani Mei nagle zaróżowiona.

Tz'u Si uszczypnęła ją w policzek.

- Nie chcesz męża?

- Pozwól mi zostać z tobą na zawsze, Czcigodna - błagała dama.

- To przecież wcale nie znaczy - odrzekła Tz'u Si - że nie możesz mieć męża.

Pani Mei zrobiła się blada, potem czerwona, a potem znów blada. Ta rozmowa o małżeństwie to nieszczęście! Cesarzowa Zachodniego Pałacu mogła rozkazać, by wyszła za kogoś za mąż, a ona musiałaby spełnić jej wolę, tymczasem całym sercem...

Pojawiła się przed nimi chuda sylwetka Li Lien-jinga, który oświetlony od dołu trzymaną w dłoni migotliwą latarnią wydawał się wielki i odrażający.

- Robi się późno, Czcigodna - powiedział wysokim głosem eunucha.

Tz'u Si wyrwała się z zamyślenia.

- Ach tak, a ja muszę jeszcze zobaczyć syna.

Miała bowiem zwyczaj, że każdego rana przed audiencją odwiedzała syna. Wsiadła więc do lektyki, której zasłony opadły, i sześciu tragarzy, założywszy tyki na ramiona, ruszyło szybkim marszem do pałacu następcy tronu. Za nią podążała mała lektyka jej damy.

Przy wejściu do osobistego pałacu dziedzica tragarze zdjęli z pleców kije unoszące lektykę i ustawili ją na ziemi, Tz'u Si wyszła i pośpieszyła do syna, zostawiając czekającą damę. Stojący na warcie eunuchowie zginali się w pokłonie, kiedy mijala ich idąc do królewskiej sypialni. Na stole, w złotych świecznikach, stały grube, czerwone świece z krowiego tłuszczu, w ich świetle zobaczyła swe dziecko. Spało z mamką. Zwlekała, stojąc przy łóżku zasłanym pikowanymi kołdrami, które rozłożono na podwyższeniu z ogrzanych cegieł. Spał na ramieniu mamki, z policzkiem przy jej nagiej piersi. Widać musiał obudzić się w nocy płacząc, kobieta dała mu pierś do ssania, po czym oboje usnęli.

Tz'u Si spoglądała na nich z dziwną, bolesną tęsknotą. To ona powinna była go usłyszeć, kiedy zapłakał, to ona powinna była go nakarmić i usnąć z nim głęboko i spokojnie. Ach, kiedy postanowiła iść za swym przeznaczeniem, nie spodziewała się takiej ceny!

Z trudem uspokoiła swoje serce. Wybór dokonał się dawno. Syn samym swym urodzeniem przypieczętował jej los. Nie była matką dziecka, lecz dziedzica imperium, więc teraz powinna wszystkie swe myśli oddać sprawie dnia, w którym jej syn stanie się władcą czterystu milionów poddanych. W jej rękach jest teraz los całej dynastii mandzurskiej. Sien Feng jest słaby, ale jej syn musi być silny. Ona uczyni go silnym. Całe swe życie poświęci temu celowi. Nie będzie już mogła spędzać tak wielu miłych godzin w cesarskiej bibliotece, lekcje rysunku z panią Miao też staną się rzadsze. Pewnego dnia może będzie miała dość czasu, by namalować obrazy, których pani Miao nigdy nie pozwalała jej malować, ale jeszcze nie teraz.

Wkrótce znów siedziała w swej lektyce za zaciągniętymi zasłonami chroniącymi przed wiatrem zrywającym się przed świtem, piastując w duszy rozgrzewający serce obraz śpiącego niemowlęcia. Jej upór i konsekwencja sprawiły, że została cesarzową. Jakże niezłomnej woli potrzebuje teraz, aby utrzymać imperium dla swego syna.

Gdy w swej lektyce przemierzała alejki i dziedzińce prowadzące do sali tronowej, mogła dostrzec przez rozchylone zasłony migocące na bruku światło latarni niesionej przez eunucha. Orszak zatrzymał się przy bocznym wejściu, podniesiono zasłony. Na miejscu czekał już na nią książę Kung.

- Spóźniłaś się, Czcigodna - zawołał.

- Zbyt długo zatrzymałam się przy synu - wyznała.

Spojrzał na nią z wyrzutem.

- Mam nadzieję, Czcigodna, że nie obudziłaś następcy. To naprawdę konieczne, by rósł silny i w pełnym zdrowiu. Jego panowanie będzie bardzo trudne.

- Nie obudziłam go - odpowiedziała z godnością.

Potem nie padły już żadne słowa. Księżę Kung skłonił się i poprowadził ją wewnętrznym przejściem do miejsca za Smoczym Tronem. Tz'u Si siadła za ogromnym parawanem ozdobionym głęboko rytą płaskorzeźbą przedstawiającą smoki o połączonych łuskach i pięciopalczystych łapach, które połyskiwały w świetle wielkich latarni zawieszonych wysoko u sufitu na malowanych belkach. Z jej prawej strony stała pani Mei, a z lewej eunuch, Li Lien-jing.

Przez szczeliny w parawanie zobaczyła, że wielki taras naprzeciw sali audiencyjnej pełny jest książąt i ministrów, którzy przybyli przed północą wymoszczonymi futrami wozami bez resorów, aby przedłożyć swe petycje i memoriały samemu władcy. Czekając w podwórzu na cesarza, podzielili się według rang i stali w grupkach, każda pod swym sztandarem z jasnego jedwabiu i ciemnego atłasu. Ciemność wokół i nad głowami była jeszcze intensywna, ale taras oświetlały płonące latarnie z niższego dziedzińca. Stały tam w czterech rogach słonie z brązu, napełnione oliwą, która zasilala pochodnie umieszczone w ich uniesionych trąbach. Jasny, bijący w niebo ogień rzucał na tę scenę dzikie, niespokojne światło.

W samej sali audiencyjnej stu eunuchów kręciło się to tu, to tam, poprawiali ogromne rogowe latarnie, układali swe kolorowe, ozdobione klejnotami szaty, szeptali w oczekiwaniu na nadejście władcy. Nikt nie odezwał się głośniejszym głosem. Dziwna cisza unosiła się nad wszystkimi, a kiedy godzina wyznaczona zgodnie ze wskazaniami gwiazd przez nadwornych astrologów była coraz bliżej, cisza pogłębiała się, przypominając swoisty trans. Nikt się nie ruszał, wszystkie twarze były poważne i sztywne, a wszystkie oczy patrzyły przed siebie. Na moment przed nastaniem świtu heroldowie zadęli mocno w swe mosiężne trąby, dając tym znak. Cesarz opuścił właśnie pałac i cesarska procesja sunęła wolno przez obszerne niższe sale tronowe, przez wyjścia i wejścia do wyższych sal tronowych, aby nadejść o ściśle określonej godzinie świtu.

Teraz heroldowie zakrzyknęli razem: „Oto Pan Dziesięciu Tysięcy Lat!”

Po tym okrzyku u wejścia do niższego dziedzińca pojawiła się cesarska procesja. Złote proporce falowały na porannym wietrze, kiedy pierwsi pojawili się heroldowie. Za nimi

kroczyła Gwardia Cesarska w czerwono-złoty bluzach, na której czele kroczył samotnie Jung Lu. Za nimi tragarze w żółtych uniformach, w liczbie stu, nieśli lektykę cesarza wykonaną z ciężkiego złota, a za nią z kolei podążali chorążowie.

Wszyscy mężczyźni i wszyscy eunuchowie padli na kolana i wykrzyknęli święte pozdrowienie: - „Dziesięć Tysięcy Lat! - Dziesięć Tysięcy Lat!” Klęcząc opierali schylone głowy na złożonych rękach i trwali w tej pozycji, kiedy tragarze wnosili cesarską lektykę po marmurowych stopniach na Smoczy Taras przed salą audiencyjną. Tam cesarz zstąpił z lektyki i kroczył wolno do podium w swych złotych, wyszywanych w smoki szatach, mijając złote i czerwone kolumny. Pokonał kilka stopni i usiadł na Tronie Smoka, swe wychudzone ręce złożył na kolanach i nieruchomym wzrokiem spoglądał przed siebie.

Powtórnie zapadła cisza. Klęczący tłum, wciąż jeszcze trwający w niskim pokłonie, nie poruszył się, kiedy książę Kung zajął miejsce po prawej stronie tronu i stojąc zaczął czytać głośno nazwiska książąt i ministrów w kolejności ich rangi i czasu, w jakim mieli się ukazać. Zaczęła się audyencja.

Siedząca za parawanem Tz'u Si pochyliła się do przodu, aby nie uronić ani jednego słowa z tego, o czym mówiono. Z tej pozycji widziała jedynie głowę i ramiona cesarza ponad niskim oparciem tronu, na którym siedział. Widok ten bezlitośnie zdradzał słabość mężczyzny, tak majestatycznego i wyniosłego, gdy spoglądało się nań z przodu. Pod kitkami zdobiącymi cesarski kapelusz widać było cienki, żółty kark chorowitego młodzieńca, a nie mężczyzny, kark osadzony między dwoma chudymi, wąskimi ramionami, uginającymi się pod ciężarem bogatych szat. Tz'u Si patrzyła na niego z mieszaniną litości i obrzydzenia, oczyma swej duszy widząc więcej - nie tylko wątłe ramiona, lecz także wątłe, słabowite ciało. Czyż mogła więc powstrzymać swe bystre oczy, by nie spoglądały jeszcze dalej, poza tron? Stał tam Jung Lu, pełen młodości i męskiej siły. Byli teraz rozdzieleni, jak północ i południe, ogień i woda. Ach, nie nadszedł jeszcze czas, by mogła wynieść go wysoko! A on nie mógł nawet wyciągnąć do niej ręki. Ten ruch powinna wykonać jej ręka. Ale kiedy nadejdzie sposobna ku temu chwila? Nie prędzej - wiedziała o tym dobrze - nim zdobędzie władzę tak silną, że będą się jej bali wszyscy mężczyźni. Będzie musiała stanąć tak wysoko, aby nikt nie miał śmiałości oskarżyć jej lub kłać jej imienia. Nagle, nieświadomie, kierowana intuicją, przesunęła swe spojrzenie w bok, na panią Mei. Dziewczyna stała z twarzą przyciśniętą do parawanu, wpatrując się w...

- Cofnij się! - Pochwyciła panią Mei za nadgarstek i mocno pociągnęła, a zanim puściła jej nadgarstek, wykręciła go jeszcze nagle i brutalnie.

Dama odwróciła w przerażeniu głowę i jej oczy spotkały się z dzikimi od gniewu,



wielkimi, czarnymi oczami.

Tz'u Si nie odezwała się powtórnie, lecz pozwalała swym oczom płonąć, aż dziewczyna, nie mogąc tego znieść, spuściła głowę, a po jej policzkach popłynęły łzy. Dopiero wtedy Tz'u Si oderwała od niej wzrok. Poczowała, jak narasta w jej sercu bunt przeciwko sobie samej. Nie, nie może pozwolić, aby serce mamilo jej umysł. Była to godzina nauki rządzenia. Nie będzie tęskniła za miłością.

W tej samej chwili przed tronem stanął wicekról prowincji Kuang. Przybył łodzią i konno z południowych prowincji, których był zarządcą. Teraz klęcząc czytał ze zwoju, który trzymał w obu rękach. Głos miał wysoki, niezbyt silny, ale przenikliwy, a będąc znanym uczonym, ułożył słowa w czwórkowym rytmie, w starym, klasycznym stylu. Jedyne ludzie wykształceni mogli go zrozumieć. Tz'u Si słuchając go z wielką uwagą miała pewne trudności, choć tak pracowicie spędzała czas na studiowaniu starych ksiąg. Ale jej inteligencja pomagała w rozjaśnianiu znaczenia słów, a czego nie rozumiała, zgadywała.

Sens był taki. Handlarze z Zachodu znów wywierali nacisk na południowe prowincje, podburzani przez Anglików, gniewnych o tak małą sprawę, że on, wicekról, wstydzi się nawet wspominać o niej przed Tronem Smoka. Jednak w przeszłości z powodu małych spraw toczono i przegrywano wojny, więc on, mianowany przez Syna Niebios, nie mógł ryzykować niebezpieczeństwa jeszcze jednej wojny. Ilekroć bowiem biali ludzie nie mogą przeprowadzić swej woli - dodał - natychmiast grożą walką. W rozmowach z nimi nie można posługiwać się rozsądną argumentacją, bo są nieucywilizowanymi barbarzyńcami. Problem zaś związany był ni mniej ni więcej tylko z flagą.

Cesarz coś zamruczał i książę Kung odezwał się za niego.

- Syn Niebios pyta o znaczenie słowa *flaga* - powiedział donośnym, czystym głosem.

- Flaga, Najwyższy - odpowiedział wicekról nie podnosząc oczu - to tylko chorągiew.

Cesarz zamruczał ponownie i książę Kung znów powtórzył cesarskie słowa tym samym, czystym i donośnym głosem.

- Dlaczego Anglicy mieliby być źli z powodu czegoś, co jest tylko kawałkiem materiału, który można łatwo wymienić?

- Najwyższy - wyjaśniał wicekról, wciąż nie podnosząc oczu - Anglicy są przesądni. Nie są to ludzie edukowani, przypisują więc czarodziejskie właściwości podłużnemu kawałkowi materiału w kolorach czerwonym, białym i niebieskim. Jest on dla nich symbolem poświęconym jakiemuś bogu, którego czczą. Nie tolerują braku szacunku dla tego materiału. Gdziekolwiek umieszczony, oznacza posiadanie. W tym przypadku przymocowany był do kija małego handlowego statku wiozącego chińskich piratów. Ci chińscy piraci są od pokoleń

przekleństwem południowych prowincji. Śpią w dzień, a w nocy atakują zakotwiczone statki, a nawet wsie przybrzeżne. Kapitan tego małego statku zapłacił Anglikom, aby zezwolili na umieszczenie flagi, myśląc, że ja, wicekról, nie będę śmiało zakazać im niecnego procederu. Ale ja, niegodny sługa Najwyższego, nie uląknęłam się. Przechwyciłam statek i kapitana zakutym w łańcuchy. Następnie nakazałam ściągnąć flagę. Kiedy usłyszał o tym John Bowring, Komisarz Handlowy Brytyjczyków w Kantonie, oświadczył, że znieważył ich święty symbol, i domagał się, bym ich przeprosił w imieniu tronu.

Po całym zgromadzeniu powiało zgrozą. Nawet cesarz był poruszony. Drgnął lekko i rzekł do siebie:

- Przeprosić? Za co?

- Takie też były moje słowa, o Najwyższy - powiedział wicekról.

- Powstań - rozkazał cesarz.

- Powstań - powtórzył książę Kung - Smoczy Król ci rozkazuje.

Było to czymś niezwykłym, ale wicekról usłuchał. Był wysokim, starzejącym się mężczyzną, Chińczykiem pochodzącym z północnych prowincji - lojalnym jednak w stosunku do tronu mandżurskiego. Często zdarzało się, że mandżurscy władcy wyróżniali chińskich uczonych, którzy po zdaniu z wyróżnieniem cesarskich egzaminów, zatrudniani byli jako rządowi administratorzy. W ten sposób Chińczycy ci wiązali się z panującą dynastią, a działało się tak przez stulecia.

- Czy ich przeprosiłeś? - spytał cesarz, który dla zaznaczenia swej głębokiej troski zwracał się teraz do niego bezpośrednio, nie przez swego brata.

Wicekról odpowiedział:

- O Najwyższy, jakże mógłbym przeprosić? Choć sam jestem skromnego pochodzenia, to jestem przecież reprezentantem Tronu Smoka. Wysłałam kapitana piratów i jego załogę, by przeprosili Anglików. Nie zadowoliło to wyniosłego Bowringa. Odesłał Chińczyków, oświadczając, że chodziło mu o mnie, nie o nich. Na co, niezmiernie strapiiony, kazałam ich wszystkich ściąć za wywołanie zamieszania.

- Czy to nie zadowoliło Anglika Bowringa? - spytał cesarz.

- Nie zadowoliło, o Najwyższy - odpowiedział wicekról. - Nic go nie zadowoli. Szuka nieporozumień, aby mieć pretekst do jeszcze jednej wojny. Chce zagrabieć jeszcze więcej naszych ziem i bogactw, więc wyolbrzymia każdą przyczynę sporu. Z tego samego powodu, choć prawo zabrania przewożenia przez nasze granice opium z Indii, zachęca do przemytu, mówiąc, że dopóki robi to jakikolwiek chiński kupiec, dopóty powinno się pozwalać Anglikom, Hindusom, a nawet Amerykanom, aby wwozili to wstrętne ziele, które osłabia i

demoralizuje nasz lud. Co więcej, przemycą się teraz broń, aby ją sprzedawać chińskim buntownikom z południa. Ponadto Bowring twierdzi nieustannie, że Anglicy niezadowoleni są z ilości ziemi, na której zezwoliliśmy im budować domy. A teraz, o Najwyższy, Anglicy nalegają, aby otworzyć dla nich bramy Kantonu. Dla nich i dla ich rodzin, by mogli chodzić naszymi ulicami i mieszać się z naszymi ludźmi, aby ich mężczyźni mogli gapić się na nasze kobiety, a cudzoziemki, które nie znają wstydu, mogły chodzić sobie tak swobodnie jak mężczyźni. Jeśli pozwoli się na to jednemu białemu plemieniu, pozostałe zażądają natychmiast tego samego, jak to już było w przeszłości. Czyż nie idzie tu o to, by zniszczyć nasze obyczaje i zepsuć naszych ludzi?

Cesarz zgodził się z tym stwierdzeniem.

- Istotnie, nie możemy udzielić swobody ulicy przybyszom z innych krajów.

- Toteż nie pozwoliłem na to, o Najwyższy, ale obawiam się, że Anglicy wezmą ten zakaz za pretekst do nowej wojny, a ja, pył i proch, nie mogę brać na siebie odpowiedzialności.

Oto, co usłyszała ukryta za parawanem Tz'u Si i zapragnęła wykrzyknąć swą złość na intruzów. Była jednak kobietą i musiała zachować milczenie.

- Czy przedstawiłeś osobiście naszą opinię Anglikowi Bowringowi? - spytał cesarz.

Był teraz tak poruszony, że mówił lekko podniesionym głosem. Zaniepokoiło to wicekróla, który nigdy dotąd nie słyszał cesarza tak zagniewanego, więc nie podnosząc oczu na wysokość tronu, zwrócił głowę w kierunku księcia Kunga.

- Najwyższy - powiedział. - Nie mogę przyjąć Bowringa, bo ten nastaje, bym przyjął go jak równego sobie. Ale jakże może być mi równy, jeśli ja reprezentuję Tron Smoka? Byłaby to zniewaga dla samego cesarza. Odpowiedziałem, że przyjmę go tak, jak przyjmuję innych lenników. Musi podejść do mnie na kolanach, tak jak to robią inni. Tego jednak nie chce uczynić.

- Postąpiłeś słusznie - powiedział cesarz.

To ośmieliło wicekróla do wyjawienia dalszych rewelacji.

- Co więcej, o Najwyższy, ów Bowring nalega, abym zabronił ludności Kantonu drukowania gazetek ściennych potępiających białych obcokrajowców. Gazetki te Chińczycy naklejają na murach i bramach miasta, a Bowring jest zły, bo nazywają jego plemię barbarzyńskim i domagają się opuszczenia naszych wybrzeży przez najeźdźców.

- Mają rację - zawołał cesarz.

- Całkowitą rację, Najwyższy - zgodził się wicekról. - Jak mogę zakazać tego ludziom? To starodawny zwyczaj i ich przywilej - mogą powiedzieć, co myślą, i powiadomić

władcę o swych życzeniach w publicznym proteście. Czy mam zabronić ludziom wypowiadania się? Czyż nie byłby to pretekst do następnego buntu? Zostali zastraszeni, kiedy w zeszłym roku wydałem rozkaz rozprawienia się z wszystkimi buntownikami. Zabito wówczas, jak to zgłaszałem Smoczemu Tronowi, osiemdziesiąt tysięcy rebeliantów, bo jeśli oszczędzić choćby jednego, wyrasta jak zielsko dziesięć tysięcy innych. Czyż zatem nie byłoby to oddaniem władzy w ręce chińskich buntowników, którzy stale myślą, że powinni być pod władzą chińską, nie mandżurską?

Argument był celny. Cesarz podniósł do ust prawą rękę, aby zakryć drżenie ust. Chińczyków, którymi władał, bał się nawet bardziej niż białych. Głos mu osłabł.

- Oczywiście, ludzi nie powinno się powstrzymywać - zamruczał.

Księżę Kung natychmiast podchwycił te słowa i - co było jego obowiązkiem - głośno je powtórzył.

- Oczywiście, ludzi nie powinno się powstrzymywać - powiedział dobitnie czystym głosem.

Nad głowami klęczących licznie książąt i ministrów uniósł się szmer posłusznej aprobaty.

- Jutro wydam moje rozkazy - powiedział cesarz do wicekróla, kiedy znów zapadła cisza.

Wicekról dziewięć razy skłonił głowę do ziemi i ustąpił miejsca następnemu ministrowi. Wszyscy jednak wiedzieli, dlaczego cesarz zwlekał z odpowiedzią.

Tej nocy, kiedy Tz'u Si została wezwana do cesarza, wiedziała, co ma powiedzieć. Cały dzień spędziła w samotności, pogrążona w myślach tak głęboko, że nawet nie posłała po syna. Zmagła się ze swym własnym gniewem. Gdyby uległa gniewowi, cesarz wysłałby swe wojska, by zaatakowały cudzoziemców i wyparły ich wszystkich, nawet najmniejsze dzieci, z wybrzeży chińskich tak, aby już nigdy nie powrócili. Ale nie nadeszła jeszcze jej godzina. Dobrze rozumiała, że aby władać innymi, musi najpierw zawładnąć sobą, bo czyż nie przeczytała w *Analektach* tych słów: „Kiedy władca zachowuje się poprawnie, jego rządy są skuteczne bez wydawania rozkazów. Jeśli jego zachowanie będzie niepoprawne, może wydawać rozkazy, ale nie będą one wykonywane”. Jeśli słowa te były prawdą dla władcy, o ileż większą prawdą musiały być dla władczyni! Powinna sobie narzucić rygor dwa razy większy! Ach, gdybyż była mężczyzną! Sama poprowadziłaby cesarskie wojska przeciwko najeźdźcom. Jakież to grzechy popełniła w swym poprzednim życiu, że urodziła się kobietą w czasie, kiedy potrzeba silnych mężczyzn? Dumiała nad tym pytaniem, próbując zbadać

umysłem i pamięcią swe najgłębsze i najdalsze istnienie. Nie mogła przebić się poza łono. Była tym, czym się urodziła, i musi dać sobie radę z tym, co ma - z męskim umysłem w ciele kobiety. Połączy męski umysł z kobiecym ciałem, aby wykonać to, co wykonać należy.

Tej nocy, kiedy cesarz ją przyjął, znalazła go zbyt przestraszonym, by mógł zaspokoić swą zwykłą żądzę, choć pragnął jej tym gwałtowniej, im mniej jego ciało posłuszne było umysłowi. Przyjął ją skwapliwie, i w tej skwapliwości odczytała lęk. Trzymając jej prawą rękę w swych rękach, pieszcząc jej dłoń, zadał pytanie, z którym na nią czekał.

- Co powinniśmy zrobić z Anglikiem Bowringiem? Czy nie zasłużył na śmierć?

- Zasłużył - powiedziała łagodnie - jak zasługuje na to każdy człowiek, który obraża Syna Niebios. Wiesz jednak, mój panie, że kiedy uderza się żmiję, trzeba jej odciąć głowę za pierwszym ciosem, bo inaczej stworzenie to odwróci się i zaatakuje. Dlatego też broń twoja powinna być ostra i pewna. Nie wiemy, jakiej użyć broni, ale wiemy, że ten wąż jest chętny do ataku i silny. Dlatego też błagam cię, abys grał na zwłokę i wymawiał się, nie ulegając, ale i nie odmawiając, zanim nie będzie wolnej drogi.

Słuchał jej z pomarszczoną od troski, ziemistą twarzą, a każde wypowiedane przez nią słowo przyjmował tak, jakby to był głos z nieba. I w rzeczy samej, kiedy skończyła, powiedział gorąco:

- Jesteś samą Kuan Yin, Boginią Litości, zesłaną mi przez niebo w tej strasznej chwili, aby mnie prowadzić i wspierać.

Mówił jej już wiele słów o miłości, nazywał ją swoim sercem i swą wątrobą, ale to, co powiedział teraz, sprawiło jej przyjemność większą niż cokolwiek, czego wysłuchiwała dotychczas.

- Kuan Yin jest tą, którą najbardziej lubię spośród istot niebiańskich - odpowiedziała, a jej głos, słodki i silny z natury, przybrał teraz nutę czułości.

Cesarz w nagłym przypiływie energii usiadł w swym łóżu.

- Każ naczelnemu eunuchowi, by wezwał mego brata - zawołał.

Jak wszyscy słabi ludzie po podjęciu decyzji stał się niecierpliwy i nadmiernie skory do działania.

Niemniej Tz'u Si posłuchała. Księżę Kung przyszedł po kilku minutach i znów, patrząc na jego piękną, poważną twarz, poczuła, że jest on mężczyzną, któremu może zaufać. Ich los był wspólny.

- Siadaj - powiedział niecierpliwie cesarz do swego młodszego brata.

- Pozwól mi stać - odpowiedział dwornie księżę Kung i stał nadal, podczas kiedy cesarz mówił nerwowo wysokim głosem, jękając się i szukając słów.

- My... ja - zdecydowałem, by nie atakować obcokrajowców jednym uderzeniem. Zaslugują na natychmiastową śmierć, ale kiedy nadeprnie się zmiję... To znaczy... zmija powinna być zabita natychmiast, jej głowa zmiażdżona, odcięta, a my...

- Zrozumiałem to, Najwyższy - powiedział książę Kung. - Lepiej nie atakować, dopóki nie będziemy mieli pewności, że potrafimy zniszczyć nieprzyjaciela natychmiast i na zawsze.

- Właśnie to mówię - powiedział rozdrażniony cesarz. - Pewnego dnia oczywiście będziemy musieli to zrobić. Na razie zwlekajmy, rozumiesz, nie ulegając, ale i nie odmawiając.

- Należy więc ignorować białych ludzi? - dopytywał się książę Kung.

- Dokładnie tak - powiedział znużony cesarz. Opadł na żółte, atlasowe poduszki.

Książę Kung zastanawiał się. Gdyby decyzję tę podjął tylko sam cesarz, można by pomyśleć, że wzięła się ona z właściwego mu lęku przed kłopotami, z apatii, która stale powstrzymywała działanie. Wiedział jednak, że była to rada Tz'u Si. Usłuchał jej, znając bardzo dobrze ten silny, logiczny umysł kryjący się w pięknej, kształtnej główce. Była jednak bardzo młoda - i była kobietą! Czy było to mądre?

- Najwyższy - zaczął cierpliwie.

Jednak cesarz nie chciał go słuchać.

- Powiedziałem! - wykrzyknął to wysokim, złym głosem.

Książę Kung pochylił głowę.

- Niech tak będzie, Najwyższy. Sam zaniósę twój rozkaz wicekrólowi Je.

Trwał kruchy pokój. Pewnego zimowego poranka w ostatnim miesiącu starego roku księżycowego i w pierwszym miesiącu roku słonecznego, kiedy jej syn liczył dziewięć miesięcy, Tz'u Si obudziła się z ciężkim westchnieniem. W nocy jej zawsze czuwający umysł raz po raz walczył o odzyskanie pełnej świadomości. Tak ciężko znosiła samotność. Była dla niej niczym potworne, niewidoczne niebezpieczeństwo, przed którym nie ma ucieczki. Już nigdy nie obudzi się tak, jak się budziła w domu przy Alei Cynowego Dzbana: z otwartymi oczami, w spokojnym, porannym słońcu wpadającym przez witrażowe okna. Jej stare łóżko, które dzieliła z siostrą, było schronieniem, do którego nie ma powrotu, jej matka była osłoną, której więcej mieć nie mogła. Kto w tej przepastnej plątaninie obmurowanych przejść, podwórców i pałaców troszczy się o to, czy żyje, czy umarła? Nawet cesarz ma swoje liczne konkubiny.

- Ach, mamó - jęknęła cicho w atlasowe poduszki.

Nie odpowiedział żaden głos. Uniosła głowę i ujrzała szare światło późnego świtu przemykające się nad wysokimi murami podwórza za oknami. W nocy padał śnieg, który

teraz grubą warstwą pokrywał mury i ogród. Okrągły basen skrył się pod śniegiem, ugięły się pod nim sosny. Jestem zbyt smutna, pomyślała. Czuję, jak smutek przejmuję mnie chłodem do szpiku kości.

Nie była jednak chora. Leżące pod pikowanymi kołdrami ramiona były ciepłe i silne. Krew krążyła żywo, umysł był jasny. Zatrzymała ją tylko rozpacz, którą miała w sercu.

Gdybym tylko mogła zobaczyć matkę, pomyślała. Gdybym mogła zobaczyć tę, która mnie urodziła...

Pamiętała rozsądną i dobrą, radosną i przebiegłą twarz matki i tęskniła za tym, by do niej wrócić i opowiedzieć o strachu i samotności, jakie przeżyła w tym pałacu. W domu stryja przy Alei Cynowego Dzbana nie było lęków ani złych przeczuć, nie było złowroziej przyszłości. Poranek przywodził na myśl zwykle sprawy, związane z jedzeniem i codzienną pracą. Nie było tam przepychu ani przymusu wielkości.

- Och, mamó - westchnęła powtórnie i poczuła ogromną, dziecięcą tęsknotę. Ach, gdybyż mogła powrócić do swego źródła!

Ta potrzeba przenikała ją, rosła w jej sercu, więc przez cały dzień dręczył ją smutek. Dzień był rzeczywiście ponury, szare światło z trudem przenikało przez sypiący śnieg, tak że latarnie w pokojach pozostały zapalone nawet w południe. Nie wychodziła nigdzie z wyjątkiem swej prywatnej biblioteki, którą urządziła w małym, dawno nie używanym przyległym pałacu. Poleciała eunuchom, by znieśli tam książki, które najbardziej lubiła, oraz zwoje, które lubiła otwierać, by dumać nad nimi. W tym dniu książki jednak nie sprawiały jej przyjemności, więc spędzała godziny na powolnym rozwijaniu zwojów, aż znalazła ten, którego szukała, niewielki, o długości siedemnastu stóp, namalowany przez artystę o nazwisku Cza Mengfu w czasach mongolskiej dynastii Jjian. Zwój ten, liczący sobie ponad pięćset lat, namalowany został pod wpływem jej ulubieńca, wielkiego Wang Weia, mistrza krajobrazu, który malował sceny z otoczenia domu, w którym żył przez trzydzieści lat, aż do śmierci. Teraz, w ścianach pałacu, podczas zimowego dnia, w którym widać było tylko niebo i padający śnieg, Tz'u Si wpatrywała się w zielone obrazy nieustającej wiosny. W miarę jak wolno rozwijała zwój, krajobrazy płynnie przechodziły jeden w drugi, a ona mogła zatrzymać się przy każdym szczególe drzewa, strumyka lub odległego stoku. Przekroczyła w wyobraźni otaczające ją wysokie mury i wędrowała przez rozkoszną krainę obok płynących strumieni i szerokich jezior. Trzymając się wciąż rzeki, przekraczała drewniane mosty i wspinała się po skalistych ścieżkach na zbocza wysokich gór, aby spojrzawszy w dół przełomu, zobaczyć gwałtowny potok, zasilany spływającymi z gór strumieniami, podążający wodospadami ku równinom. Schodząc z gór mijała małe wioski gnieźdzące się w sosnowych

lasach, następnie zeszła w cieplejsze doliny z gajami bambusowymi, zatrzymała się w pawilonie poety, aż dotarła do wybrzeża, gdzie rzeka ginęła w zatoce. Tu, między trzciniami, łódka rybaka wznosiła się i opadała na fali przyływu. Rzeki już nie było, ograniczał ją teraz horyzont otwartego morza i zamglone wzgórza nieskończoności. Zwój ten, powiedziała jej kiedyś pani Miao, to przedstawiony przez artystę symboliczny obraz ludzkiej duszy, która przechodzi przez znane i bliskie sceny ziemskiej codzienności do nieznannej, zamglonej przyszłości.

- Dlaczego - spytał ją cesarz tej nocy, kiedy już minął długi, samotny dzień - dlaczego umysł twój odszedł ode mnie tak daleko? Nie oszukałaś mnie. Twoje ciało jest tutaj, ale nie ma w nim życia.

Podniósł jej rękę, miękką i piękną, o palcach delikatnych i mocnej dłoni, z której dawno zniknęły już wszelkie chropowatości.

- Spójrz na tę rękę - powiedział. - Trzymam ją, a ona ściska moją, ale nie ma w tym twojej duszy.

Wtedy przyznała się do swego stanu. - Byłam dziś smutna - powiedziała. - Nie odzywałam się do nikogo. Nie posłałam nawet po dziecko.

Nadal głaskał jej rękę.

- Ale dlaczego - spytał - przecież masz wszystko, skąd więc ten smutek?

Pragnęła opowiedzieć mu o swych lękach, ale nie śmiała. Ona, na której opierał się, czerpiąc z niej siłę, nigdy, pod żadnym pozorem nie powinna okazać, że się boi. Och, jak wielkim ciężarem była ta konieczność. Być silną! A ona sama? Skąd miała czerpać tę siłę? Ponad nią nie było już nikogo. Była naprawdę samotna.

Jej oczy wbrew jej woli wypełniły się łzami. Cesarz zobaczył, jak migocą w świetle płonących obok łoża świec, i przeraził się.

- A to co? - zawołał. - Nigdy nie widziałem twoich łez.

Wysunęła rękę i wdzięcznie przetrła oczy brzegiem atlasowego rękawa.

- Cały dzień tęskniłam za matką - odpowiedziała. - Nie wiem właściwie dlaczego. Może nie zachowywałam się dotąd, jak przystało dobrej córce? Nie widziałam jej twarzy od czasu, gdy zjawiłam się tutaj, by spełniać twoje rozkazy. Nie wiem, co się z nią dzieje. Może umiera i dlatego chce mi się płakać?

Cesarz zapłonął chęcią sprawienia jej przyjemności.

- Musisz ją odwiedzić - nalegał. - Dlaczego nie powiedziałaś mi o tym? Idź, idź moje serce, moja wątrobo, idź do niej jutro! Zwalniam cię. Ale musisz wrócić przed zmrokiem. Nie mogę puścić cię na noc.



A więc stanęło, że Tz'u Si wróci na jeden dzień do matki, a ceną, jaką za to zapłaciła cesarzowi, była jej wdzięczna gorliwość. Następnego dnia nie mogło jednak dojść do tej wizyty, bo należało ją przedtem zapowiedzieć, aby dom stryja mógł się przygotować. Miało to nastąpić o dzień później, wysłano więc dwóch eunuchów, aby powiedzieli, że przybędzie w południe. Cóż za podniecenie zapanowało przy Alei Cynowego Dzbana! Tz'u Si również rozgrzewał zapał i w oznaczonym dniu wstała z łóżka w takim nastroju, w jakim jeszcze nie była od chwili, kiedy tu przybyła. Przez godzinę podejmowała, a następnie zmieniała decyzje dotyczące stroju, który miała przywdziać.

- Nie chcę wyglądać zbyt okazale - tłumaczyła służącej - aby nie pomyśleli, że stałam się zarozumiała.

- Czcigodna, musisz wyglądać choć trochę okazale - upominała kobieta - aby nie pomyśleli, że nie okazujesz im szacunku.

- Więc umiarkowana okazałość - zgodziła się Tz'u Si.

Przeglądała wszystkie swoje suknie, wybierając to tę, to inną, aż w końcu pozostawiła aksamitną o stonowanej barwie purpurowej orchidei, wykończoną szarym futerkiem. Była to wspaniała szata, której piękno leżało nie tyle w śmiałości deseni, co w doskonałości haftowanych rękawów i obrąbków. Kiedy ją ubrano, była z siebie zadowolona. Klejnoty - jej ulubiony nefryt - dopełniały całości.

Kiedy już była gotowa i kiedy dworki ubłagały ją, by zjadła choć kilka kęsów, weszła do lektyki, która czekała na nią na podwórzu. Tragarze ciasno zaciągnęli żółte, atlasowe zasłony i rozpoczęła się podróż. Najpierw przez całą milę ciągnęli przez dziedzińce i korytarze Zakazanego Miasta, cały czas na południe, ponieważ cesarz na dowód swej niezmiernej miłości udzielił jej przywileju korzystania z bramy zwanej Szczytową, przez którą tylko on miał prawo wchodzić i wychodzić. Zbliżywszy się do niej, usłyszała, jak dowódca Gwardii Cesarskiej głośno stawia przed nią na bacność swych gwardzistów. Jak dobrze znała ten głos! Pochyliła się do przodu w swym krześle i uchyliwszy zasłony na pół ciała, zobaczyła Jung Lu, który stał w odległości nie większej niż dziesięć stóp od niej, z odwróconą twarzą, z mieczem uniesionym przed sobą, wyprostowany, napięty, w całej okazałości swego wzrostu. Kiedy mijala go, nie spojrział ni w lewo, ni w prawo, ale poznała po cieniu, który przemknął po jego policzkach, że słyszał i wiedział, że to ona. Pozwoliła opaść zasłonie.

W samo południe Tz'u Si stanęła u wejścia do Alei Cynowego Dzbana, wiedząc, ukryta za zasłonami lektyki, że jest w pobliżu domu swego dzieciństwa. Czula znajomy zapach słonych ciasteczek smażonych na oleju, piżmową woń drzewa kamforowego, fetor

dziecięcego moczu i duszący kurz. Dzień był suchy i zimny, a ziemia pod stopami tragarzy zamarznięta na kamień. Na tej bladej, suchej ziemi, po obu stronach alei kładły się czarne, skurczone cienie domów. Tz'u Si, zerkając przez zasłony lektyki, zgadywała godzinę. Tak często biegała tą ulicą, że przychodziło jej to bez trudu, pamiętała, że rano długie cienie kładły się na zachód, a wieczorem skłaniały się ku wschodowi. Teraz w pełnym świetle dnia lektyka zbliżyła się do znajomej furtki. Znów przyłożyła oko do szczeliny w zasłonie i zobaczyła, że furtka jest otwarta, a przed nią zebrała się cała oczekująca na nią rodzina. Po prawej stał stryj i matka, z nimi kuzyni starszego pokolenia z żonami, po lewej zobaczyła wysoką, szczupłą dziewczynę, która z pewnością była jej siostrą, a obok niej dwóch braci, którzy zmienili się nie do poznania, za nimi zaś stała Lu Ma. Pod murami, po obu stronach alei witali ją sąsiedzi i przyjaciele z Alei Cynowego Dzbana.

Kiedy ujrzała ich poważne, szczerze oblicza, łzy napływały do jej oczu. Och, czuła do nich to samo co dawniej i musi im to jakoś okazać! W jej piersi bije to samo serce, które znali tak dobrze. Nie mogła jednak rozchylić zasłon i wołać ich po imieniu, bo niezależnie od tego, co czuła, była teraz Tz'u Si, Cesarzową Zachodniego Pałacu, matką cesarskiego następcy i gdziekolwiek była, musiała o tym pamiętać. Nie dała więc żadnego znaku, eunuchowie prowadzili do furtki, a na ich czele naczelnny eunuch, bo cesarz rozkazał, aby jej towarzyszył i nie opuszczał jej ani na chwilę. Sześciu tragarzy wniosło ją po stopniach przez otwartą furtkę, następnie przecięli podwórze i wreszcie osadzili lektykę tuż przed domem. Tu sam naczelnny eunuch odsunął atlasowe zasłony i Tz'u Si wyszła na słońce. Zobaczyła przed sobą szeroko otwarte drzwi swego starego domu. Widziała znajomy, główny pokój, w którym wyczyszczono stoły i krzesła i zamieciono kafelki podłogi. Zamiatanie, czyszczenie, stawianie równo krzesel, odkurzanie - to były niegdyś również i jej obowiązki. A teraz wszystko wyglądało tak, jakby tu wciąż przebywała. Na długim stole przy ścianie stał wazon z czerwonymi, papierowymi kwiatami i świeże świece w cynowych lichtarzach, a na kwadratowym stoliku między ceremonialnymi krzesłami stały małe, przykryte miseczki ze słodyczami, dzbanek z herbatą i czarki.

Położyła rękę na uniesionym ramieniu naczelnego eunucha, który powiódł ją do najwyższego krzesła, postawionego z prawej strony kwadratowego stolika, tam usiadła opierając złożone stopy na stołeczku. Ułożył jej suknię, a ona złożyła ręce. Wtedy naczelnny eunuch powrócił do furtki i ogłosił, że rodzina może teraz powitać Cesarzową Zachodniego Pałacu. Podchodzili po kolei, najpierw stryj, potem matka, następnie kuzyni starszego pokolenia z żonami, po nich bracia, siostra i młodszy kuzyni. Każdy składał jej pokłon. Za nią stali eunuchowie, po jej prawej ręce czuwał naczelnny eunuch.

Początkowo Tz'u Si zachowywała się tak, jak powinna zachowywać się cesarzowa. Przyjmowała hołdy rodziny z godnością i poważnym wejrzeniem, ale kiedy pokłon składali jej stryj i matka, dała znak naczelnemu eunuchowi, by ich podniósł i poprosił, by usiedli. Wszyscy powinni czekać, aż przemówi cesarzowa, ale Tz'u Si przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą. Marzyła, by zejść z wysokiego krzesła i porozmawiać jak kiedyś, pragnęła obiec dom, wolna jak dawniej. Ale obok stał naczelny eunuch obserwujący wszystko, co robiła. Przez chwilę zastanawiała się, jak osiągnąć to, czego chciała. Każdy zajmował miejsce wedle rangi - starsi siedzieli, młodszy stali, wciąż oczekując, że przemówi pierwsza, ale jak mogła to zrobić, kiedy jej serce wciąż do nich tęskniło? Nagle zastukała złotymi tarczami pokrywającymi jej paznokcie w wypolerowany stół i skinęła na naczelnego eunucha, dając tym znak, że chce mu coś powiedzieć. Podszedł blisko i nachylił się, a ona zaszeptała mu do ucha:

- Odejdźcie na bok, ty i wszyscy eunuchowie! Jak mogę się cieszyć, kiedy słyszycie każde moje słowo i widzicie każdy mój ruch?

Naczelny eunuch słysząc to polecenie zaniepokoił się.

- Czcigodna, Syn Niebios polecił mi, bym nie opuszczał cię ani na chwilę - powiedział głośnym szeptem.

Tz'u Si rozżłościła się na dobre. Uderzała stopą o podłogę, bębniła po stole swymi opancerzonymi złotem paznokciami i tak potrząsała głową w kierunku naczelnego eunucha, że perły stroiku, który miała na głowie, trzęsły się na swych drucikach. Jej osobisty eunuch, Li Lien-jing, który stał obok trzymając jej wachlarz i pudełko z przyborami toaletowymi, widział, jak narasta w niej furia, i wiedząc dobrze, czym to grozi, pociągnął za rękaw naczelnego eunucha.

- Starszy bracie, lepiej będzie pozwolić, aby przeprowadziła swą wolę - wyszeptał. - Dlaczego nie miałbyś spocząć? Będę dostatecznie blisko, by na nią patrzeć.

Nie wiadomo, czy naczelny eunuch usłuchałby Tz'u Si, ale męczył się szybko i już go znużyło stanie, więc skorzystał ze sposobności i usunął się do innego pokoju. Tz'u Si poczuła się wreszcie wolna - nie czuwał nad nią już żaden mentor. Lien-jing się nie liczył. Był bowiem jak mebel, którego używa się wtedy, gdy jest potrzebny. Zeszła teraz ze swego wysokiego siedzenia, podeszła do stryja i skłoniła się przed nim, a następnie objęła ramionami swą matkę, złożyła głowę na jej barku i zapłakała.

- Och, matko - szepnęła - jestem tak samotna w tym pałacu.

Skarga ta wywołała powszechną konsternację, nawet matka nie wiedziała, co odpowiedzieć, i tylko ciałniej przytuliła córkę. Podczas tej długiej chwili milczenia Tz'u Si

zrozumiała, że bezradni są nawet ci, których kochała. W przypiływie dumy znów podniosła głowę i z oczami wciąż mokrymi od łez zaśmiała się i zawołała na siostrę:

- Podejdz tu, uwolnij moją głowę od tego ciężaru!

Siostra podeszła do niej i zdjęła stroik z jej głowy, a Li Lien-jing położył go ostrożnie na stole. Wszyscy teraz zobaczyli, że bez tej godnej ozdoby, mimo cesarskich szat i klejnotów na palcach i nadgarstkach, Tz'u Si jest dziewczyną taką samą jak niegdyś. Zaczęły się więc rozmowy, kobiety podeszły bliżej, głaskały jej ręce, oglądały pierścienie i obrączki i podziwiając jej piękność, wydawały okrzyki zachwyty.

- Masz taką białą i delikatną skórę - mówiły. - Czym ją nacierasz?

- Maścią z Indii - wyjaśniła - którą robi się ze świeżej śmietanki i tartych skórek pomarańczowych. Jest nawet lepsza od naszego baraniego tłuszczu.

- A skąd bierze się śmietankę? - pytały.

- Zbiera się ją z oślego mleka - odpowiadała.

Pytały o wiele innych, drobnych spraw, ale nikt nie śmiał pytać o życie w Zakazanym Mieście, o to, jak odnosi się do niej jej pan, nie wspomniano też o następcy tronu, aby przez przypadek lub nieuwagę nie użyć słowa, które mogłoby przynieść nieszczęście, jak na przykład słowo - „żółty”, które oznaczając kolor cesarski, mogłoby się wydawać nieszkodliwe, gdyby nie to, że jest częścią nazwy „Żółte Źródła”, oznaczającej śmierć, a o niej nie wolno wspominać, jeśli mówiło się wcześniej o Synu Niebios lub jego dziedzicu. Ale Tz'u Si nie potrafiła ukryć radości ze swego dziecka i choć nikt nie pytał, sama opowiadała o nim promieniejąc szczęściem:

- Tak bardzo pragnęłam zabrać ze sobą mego małego synka, abyście mogli go zobaczyć, ale kiedy poprosiłam o to mego pana, powiedział, że nie można tego zrobić, bowiem zły wiatr, cień albo zły duch mogłyby mu wyrządzić krzywdę. Ale zapewniam cię, mam, że jest on dzieckiem, które sprawiłoby radość twojej duszy, więc musisz przyjść i zobaczyć mego syna, skoro nie mogę go tu przynieść. Oczy ma takie duże... - tu utworzyła dwa kółeczka z kciuków i palców wskazujących - jest tłusciutki i ma takie pachnące ciało... i nigdy nie płacze, zapewniam cię... Zawsze ma wielki apetyt, a jego ząbki są bielsze od tych perełek. I choć jest jeszcze taki mały, chce już stawać na nóżkach, które dźwigają jego silne ciało niczym dwa filary.

- Sza! - zawołała matka. - Sza! Co będzie, nieostrożna, jeśli usłyszą cię bogowie? Czy nie wiesz, że będą chcieli zniszczyć takie dziecko?

Spojrzała w górę, w dół, a potem rozejrzała się dookoła i wykrzyknęła głośno:

- Wszystko, co mówisz, jest kłamstwem! Słyszałam, że twój syn jest maleńki, słaby

i...

Tz'u Si zaśmiała się i położyła rękę na ustach matki.

- Nie boję się!

- Nie mów tak - usiłowała jeszcze protestować matka.

Ale Tz'u Si mogła się tylko śmiać. Wkrótce przechadzała się po całym domu, oglądała pokoje, które znała tak dobrze, przekomarzała się z siostrą, która miała teraz dla siebie całe łóżko, a w jednym z pokoi, gdy znalazła się sam na sam z matką, zapytała o plany małżeńskie dotyczące siostry i obiecała, że wybierze jej dobrego męża spośród szlachetnie urodzonych młodzieńców.

- Tak uczynię - obiecała. - Znajdę przystojnego młodzieńca i każę mu poślubić moją siostrę.

Matka była jej wdzięczna.

- Jeśli to zrobisz - powiedziała - będzie to uczynek godny córki, wielce pobożny uczynek.

Mijały godziny, wszyscy byli weseli, bo wesola była Tz'u Si. Po południu rozpoczęła się uczta. Wszędzie obecna Lu Ma pokrzykiwała na wynajętych kucharzy i tak przy biesiadzie dzień zaczął chylić się ku końcowi. Wtedy naczelny eunuch powrócił do swych obowiązków. Zbliżył się do Tz'u Si i poprosił, aby przygotowała się do odejścia.

- Nadszedł czas, Czcigodna - powiedział. - Taki jest rozkaz Najwyższego. Moim obowiązkiem jest go spełnić.

Wiedziała, że nie może już dłużej zwlekać, więc poddała się z wdziękiem. Znow stała się cesarzową. Li Lien-jing nałożył jej na głowę stroik, a ona zasiadła znow na swym miejscu w głównym pokoju i poprawiła szaty. Członkowie rodziny zamienili się w poddanych. Jeden po drugim występowali do przodu, składali jej hołd i wypowiadali słowa pożegnania. A ona do każdego kierowała odpowiednie słowa i wręczała mu podarunek, jedynie Lu Ma otrzymała pieniądze. W końcu pożegnania skończyły się. W ciszy zwlekała jeszcze przez chwilę, wodząc oczami tu i tam. Był to dzień głębokiego szczęścia i powrotu do czystych uczuć dzieciństwa. A mimo to była pewna, że po raz ostatni powróciła do tego domu. Wszystko wydawało się takie same, ale choć jej uczucia pozostały nie zmienione, zdawała sobie sprawę, że nic nie było takie same. Wciąż ją kochali, ale ich miłość zmieszana była z nadzieją i pragnieniem tego, co mogła dla nich zrobić. Stryj wspominał o nie zapłaconych długach, brat tęsknił do rozrywki, a matka prosiła, aby nie zapomniiała o swym przyrzeczeniu dotyczącym siostry. Krewni również, choć z większą skromnością, wspominali o swym trudzie i niedostatkach. Użalała się nad nimi i współczuła im, wszystkim składała obietnice, które

chciała spełnić, bo je spełnić mogła, ale uczucie samotności wróciło i leżało jej na sercu ciężarem dziesięciokrotnie większym niż wprzód, bo wiedziała teraz, że nie kochają jej dla niej samej. Kochana była za to, co mogła zrobić, i za to, co mogła dać. Jej serce skurczyło się. Chociaż ciało powróciło tutaj i duch jej połączył się na parę godzin z bliskimi - rozstanie musiało być ostateczne. Przeznaczenie parło ją do przodu, a dawną część swego życia musiała zostawić za sobą. Nie mogło już być powrotu.

Kiedy świadomość tego stanęła przed nią w całej oczywistości, radość prysła. Zdecydowanym krokiem przeszła przez pokój i weszła do swej lektyki, a naczelnny eunuch sam opuścił zasłonki.

Tak więc Tz'u Si znów wracała do Zakazanego Miasta, a kiedy zbliżała się do wielkiej Bramy Szczytowej, Gwardia Cesarska ogłaszała właśnie koniec dnia. Dobosz stojący za wielkim bębniem wybijał ciężkimi uderzeniami rytm szybki i miarowy, przypominający łomot potężnego serca. Trębacze stali w zapadającym zmierzchu, przytykając do warg swe długie, mosiężne trąby. Unieśli je do góry, potem trzymając je na jednakowej wysokości, wydobyli z nich równocześnie długi, drżący dźwięk, który zaczynał się miękko, potem wznosił się ostro, pośpieszał za potężnym biciem bębna, wreszcie zamierał, gdy odejmowali trąby od ust. Melodia powtarzała się raz po raz, aż w końcu trębacze pozwolili, by dźwięki wybrzmiały. Dobosz również przestał uderzać z taką siłą, zwolnił rytm i zakończył grę trzema mierzonymi uderzeniami. Nastąpiła cisza i wtedy Jung Lu uderzył trzy razy w dzwon z brązu.

Zapadła noc. Dozorcy rozeszli się do swych obowiązków, Tz'u Si przeniesiono w lektyce przez obszerne bramy. Usłyszała, jak zamykają się za nią.

Zima zakończyła się późno, a wahającą się wiosnę opóźniały jeszcze więcej z północy złe wiatry. Miasto męczyły burze piaskowe. Wprawdzie mieszkańcy pozamykali drzwi i uszczelnili okna, ale wiatr wciskał w każdą szczelinę drobny, błądzący piasek. Z południa także nie nadchodziły dobre wieści. Wicekról Je usłuchał poleceń płynących ze Smoczego Tronu. Marudził i zwlekał, nie odpowiadał na liczne noty sir Johna Bowringa, a kiedy doniesiono mu, że zabito gdzieś francuskiego księdza, nie odpowiedział również i na to powiadomienie ani na żądanie zadośćuczynienia przedstawione przez francuskiego posła. Jednak biali, donosił wicekról Tronowi Smoka, miast spokojnie w obliczu takiego lekceważenia, byli teraz bardziej niespokojni, więc on, wicekról, zwraca się do Syna Niebios o dalsze instrukcje. Co robić, jeśli znów wybuchnie wojna? Było też oprócz tego trochę kłopotów z rodzinami ściętych onegdaj mężczyzn, stanowiących załogę *Strzały*. Ich synowie i bratankowie w gniewie dołączyli do chińskich buntowników, aby zemścić się na służącym dalekiemu cesarzowi wicekrólu. Najgorsze jednak ze wszystkiego były pogłoski, że Anglik

Elgin, pan szlchetnego urodzenia, bardzo potężny, groził, że popłynie angielskimi statkami wzdłuż wybrzeża na północ i wejdzie do portu Tientsin, aby zaatakować forty w Taku, które chronią samą stolicę.

Cesarz po przeczytaniu tego memoriału poczuł się źle, położył się do łóżka i nic nie jadł. Wręczył w milczeniu dokument swemu bratu, księciu Kungowi, rozkazał również, aby przeczytała go Tz'u Si i aby oboje przedstawili mu swe rady. Teraz Tz'u Si po raz pierwszy weszła w otwarty spór z księciem Kungiem. Dyskutowali w cesarskiej bibliotece, ich zwykłym miejscu spotkań, w obecności naczelnego eunucha i Li Lien-jinga, który miał za zadanie ich chronić i słyszał wszystko, co mówili.

- Czcigodna - powiedział rozsądnie książę Kung - mówię ci powtórnie, że nie jest rzeczą mądrą wzbudzać gniew w białych ludziach. Mają bowiem działa i okręty wojenne, a w sercu są barbarzyńcami.

- Każmy im wrócić do ich krajów. Próbowaliśmy być cierpliwi, ale teraz cierpliwość się wyczerpała - zawołała Tz'u Si. Wyglądała bardzo pięknie, kiedy zachowywała się wyniośle, i książę Kung westchnął na widok tej piękności i tej dumy. Przyznał w skrytości ducha, że kobieta ta ma energię, której nie ma nawet on, a już z pewnością nie jego starszy brat, a czasy rzeczywiście wymagały siły.

- Nie mamy środków, by zmusić ich do powrotu - przypomniał.

- Będziemy mieli środki, jeśli będziemy mieli wolę - odparła. - Możemy wybić ich co do jednego, póki są nieliczni, i powrzucać ich ciała do morza. Czy zmarli mogą powrócić?

Beztroska tych słów sprawiła, że krzyknął:

- Naprawdę sądzisz, pani, że ich śmierć rozwiąże problem? Kiedy ich ludy dowiedzą się o tym, w miejsce każdego zabitego wyślą tysiąc nowych, przyślą tysiące statków wojennych wyladowanych po brzegi ich czarodziejską bronią.

- Nie boję się ich - oświadczyła Tz'u Si.

- Ale ja tak - zapewnił ją książę Kung. - Bardzo się ich boję. Nie tylko ich broni - boję się samych białych ludzi. Atakowani za jeden cios odpłacają dziesięcioma ciosami. Nie, nie, Czcigodna - bezpieczną drogę stanowią mediacje, targi i opóźnienie, jak to mądrze radziłaś uprzednio. To nadal musi być naszą bronią. Musimy ich dezorientować zwłoką i nie spełnionymi obietnicami, odsuwając nieszczęsny dzień ich ataku. Musimy ich zmęczyć i zniechęcić, zawsze zachowując się uprzejmie. W czasie rozmowy z nimi pozorujemy uległość, ale nigdy nie ulegajmy. Na tym powinna polegać nasza niezachwiana mądrość.

Tak też na koniec zdecydowano. Żeby odwrócić uwagę Tz'u Si, która buntowała się przeciw takiemu rozwiązaniu, książę Kung poradził swemu starszemu bratu, aby zezwolono

jej na spędzenie upalnej pory roku w Pałacu Letnim, poza Pekinem. Tam, pośród jezior i ogrodów, mogłaby pobawić się z następcą tronu i swymi damami, zapominając o kłopotach państwowych.

- Cesarzowa Zachodniego Pałacu kocha sztuki i imprezy teatralne - sugerował. - Trzeba więc zbudować scenę w Pałacu Letnim i wynająć aktorów, by ją zabawiali. Tymczasem ja rozważę z doradcami, jaką odpowiedź wysłać na południe. Należy pamiętać, że kiedy znów nadejdzie zielona wiosna, będziemy czcili pierwsze urodziny następcy tronu, więc wkrótce należy to ogłosić, aby ludzie mieli czas na przygotowanie darów. Tak więc odwrócimy uwagę wszystkich, a sami będziemy zastanawiali się nad grożącym nam niebezpieczeństwem.

W ten sposób książę Kung miał nadzieję, że złagodzi gniew Tz'u Si i skieruje jej myśli w stronę rozrywek, odwodząc tym samym od dumnych myśli o odwecie na białym człowieku. W głębi serca bał się bardzo, chciał więc zasięgnąć rady książąt, ministrów i wszystkich, w których mądrość wierzył. Wiedział bowiem, że już w niedalekiej przyszłości wzrośnie zagrożenie ze strony ludzi Zachodu. Odkryli oni skarby starej Azji, a wywodząc się z narodów młodych i biednych, nie będą chcieli wyrzec się ich tak łatwo. Należało ich ułagodzić, zanim nie obmyśli się obrony. Ale jak to zrobić? Martwił się tym bardzo, w nocy nie spał, w dzień nie miał apetytu, bo to, o czym rozmyślał, kryło głębie niemożliwe do zbadania. Stare, cywilizowane sposoby życia oparte na mądrości i pokoju zagrożone były nową, brutalną siłą. Co przeważy i w czym leży ostateczna siła, w gwałcie czy w pokoju?

Czasy były tak groźne, że cesarz przywrócił stary obrzęd, rzadko spełniany od czasów wygaśnięcia starej dynastii Ming. Boleśnie zmartwiony i przejęty lękiem ogłosił, że w tym roku księżycowym w czasie Wiosennego Święta Zmarłych będzie odprawiał modły w Najwyższej Świątyni Cesarskich Przodków. Była to bardzo stara świątynia stojąca w obszernym parku. Wielkie sosny chroniły przed słońcem jej dachy. Sosny te były starsze niż ludzka pamięć, pozawężlane i poskręcane od wiatrów i piasków, a mech pod nimi głębszy był niż stopy aksamitu. Wewnątrz świątyni znajdowały się święte kaplice zmarłych cesarzy, gdzie na stolikach z drogiego drewna wyrzeźbiono ich cesarskie imiona, a każdy stolik umieszczono na poduszce z żółtego atłasu. Po parku krążyli jedynie doglądający świątyni kapłani w żółtych szatach. Poza tym cisza była tak wielka, jak minione stulecia. W miejscu tym nie śpiewały ptaki, ale na wiosnę przybywały białe żurawie, zakładały gniazda na powykręcanych sosnach, wyprowadzały młode i znów odlatywały na jesieni.

Do tego miejsca w Święto Zmarłych przybył cesarz w otoczeniu swych książąt, członków rady, najwyższych ministrów. Brakowało godziny do świtu. Mgła, niezwykła w



tym suchym, północnym klimacie, unosiła się nad ziemią, tak że nawet brat nie mógłby rozpoznać twarzy brata. Na dwa dni przed świętem przyniesiono z sali obok biblioteki cesarskiej stoliki zmarłych władców dynastii mandzurskiej i przy świetle rogowych latarni, bo tak ciemno było pod sosnami, eunuchowie, którymi kierował An Teh-hai, ustawili je w dziesięciu kaplicach we wnętrzu świątyni.

Wszystko przygotowane było na przybycie Syna Niebios. Ten spędził noc w Sali Wstrzemięźliwości, nie jedząc, nie pijąc, nie śpiąc. Przez trzy dni w całym kraju ludzie nie używali czosnku ani oliwy, nie jedli mięsa, nie pili wina, nie słuchali muzyki ani nie oglądali przedstawień, nie zapraszali też gości. Sądy były zamknięte w ciągu tych trzech dni i nikt nie wnosił pozwów.

O tej szarej godzinie, tuż przed świtem, dworski rzeźnik zameldował, że zabił zwierzęta na ofiarę, nalał ich krew do misek, a kości i futra zakopał. Książęta i hrabiowie donieśli, że napisano już świętą modlitwę, którą Syn Niebios odmówi przed cesarskimi przodkami, których stoliki stały już na żółtych cesarskich poduszkach na ołtarzach.

Cesarz otrzymał te meldunki i wstał, aby umożliwić naczelnemu eunuchowi ubranie go w uroczyste szaty ofiarne - ciemno-purpurowe, oblamowane czystym złotem. Opierając się na dwóch bliskich krewnych, kuzynach z pierwszej linii, wkroczył do Najwyższej Świątyni. Tam czekał na niego książę Kung. W pobliżu nie było nikogo obcego. Eunuchowie strzegący świątyni również usunęli się przed wejściem cesarza. Przy drzwiach stali tylko jego krewni. Teraz wystąpili cesarscy książęta i pokłoniwszy się, powiedli go po kolei do wszystkich jedenastu świętych ołtarzy. Przed każdym z nich cesarz złożył dziewięć pokłonów, ofiarował miseczki z jedzeniem i winem oraz zmówił przed każdym ołtarzem tę samą modlitwę. Była to modlitwa o pokój i ochronę przed niebezpieczeństwem, jakie zagraża od wrogów z Zachodu. Była to długa modlitwa, którą cesarz przeczytał jedenaście razy, powoli i głosem tak głośnym, na jaki go tylko było stać. Mówił w niej duchom Wielkich Zmarłych o wszystkich winach ludzi Zachodu, o tym, jak wywołali wojnę i jak zagarnęli wiele ziem, jak w sposób godny jedynie plemiennych barbarzyńców przypłynęli statkami plującymi ogniem, aby przestraszyć ludność. Donosił też, jak domagali się handlu zakazanymi towarami.

- Mamy swe własne towary, Czcigodni Przodkowie - oznajmił cesarz w swej modlitwie. - Nie potrzebujemy zabawek z Zachodu. Nie brakowało nam niczego pod opieką niebios i przodków. Błagamy was teraz, Opiekunicy Przodkowie, byście nas bronili. Niech obcy zostaną wyparci na morze! Ześlijcie zarazę, aby ich zniszczyła, owady, aby ich użądliły, i zmiję, aby ich śmiertelnie pokąsały! O, opiekunowie naszego ludu, przywróćcie nam nasze ziemie i dajcie nam pokój.

Modlitwa zakończyła się tuż przed wschodem słońca. W świetle poranka stada białych gołębi, śpiących pod drewnianymi okapami świątyni zbudziły się, rozpostarły skrzydła i zaczęły krążyć nad starymi sosnami. Świece w latarniach zbladły i cząsteczki kurzu tańczyły w bladych promieniach słońca, które wkradały się do świątyni przez szerokie bramy. Ofiara zakończyła się. Cesarz pozwolił się odprowadzić i wszedłszy do cesarskiego palankinu, powrócił do swych pałaców. Wtedy wszyscy ludzie w całym kraju wrócili do swego zwykłego życia, uspokojeni i podniesieni na duchu, bo w ich imieniu sam Syn Niebios pokłonił się Opiekuńczym Przodkom, zdał im relację i wznosił modły.

Obrzędy w czasie Wiosennego Święta Zmarłych tak podniosły cesarza na duchu, że kiedy zbliżył się szósty miesiąc roku księżycowego, a letnie upały wzmogły się, postanowił udać się osobiście do Pałacu Letniego wraz z obiema małżonkami, następcą tronu i całym dworem. Choć bardzo tego pragnął, kłopoty państwowe powstrzymywały go dotychczas od wyjazdu. Co będzie, jeśli chińscy buntownicy powstaną w czasie, kiedy będzie poza stolicą albo jeśli ludzie Zachodu, nagle rozdrażnieni, popłyną na swych statkach wzdłuż wybrzeży na północ, czym od dawna grozili? Nie doszło jednak do żadnego z tych złych wydarzeń, i chociaż wicekról Je był wciąż ponury, jego zręczne uniki i czcze obietnice powstrzymywały zarówno buntowników, jak ludzi Zachodu.

Tz'u Si również kusila cesarza, kiedy letniej nocy księżyc stał w pełni, a jej uśmiech wyglądał urzekająco.

- Panie mój - mówiła - udaj się wraz ze mną do Pałacu Letniego. Górskie chłody przywrócą ci zdrowie.

Cesarz okrutnie potrzebował powrotu do zdrowia. Powolny paraliż, który osłabiał go w ciągu ostatnich pięciu lat, niemal obezwładnił mu członki. Były dni, kiedy nie mógł chodzić i dwóch eunuchów służyło mu za kule, były też dni, kiedy nie mógł unieść rąk na wysokość głowy. Martwa lewa strona męczyła go stale, miał wrażenie, że jej ciężar przenika całe jego ciało. Uległ więc tej pięknej kobiecie, która potrafiła go ożywić i wzmocnić tak, jak żadna dotąd istota, i wyznaczył dzień podróży do Pałacu Letniego, znajdującego się w odległości około dziewięciu mil od murów miasta.

Tz'u Si, choć potrafiła wyglądać jak cesarzowa i nosiła się z całym majestatem cesarzowej, była dostatecznie młodym stworzeniem, by myśl o wakacjach ogrzała jej serce jak gorące wino. Nie pokochała jeszcze pełnych powagi, dostojnych pałaców, na które była skazana. Na szczęście udało się jej odkryć odosobnione miejsca, które miała tylko dla siebie, jakieś sekretne ogródki w zapomnianych podwórcach, jakieś tarasy, których nikt nie odwiedzał, gdzie mogła czasami uciec od ciężaru spraw państwowych, którymi musiała się

zajmować. W pałacu hodowała też zwierzątka - małego pieska, suczkę ze szczeniętami, które ją bawiły, a w klatkach trzymała świerszcze i różnokolorowe ptaki. Jednak nie te zwierzęta kochała najbardziej, lecz dzikie stworzenia, które przysiadają czasem na drzewach i brzegu basenu. Potrafiła tak dobrze naśladować ostry dźwięk świerszcza, że zwabiony siadał na jej palcu, a ona gładziła jego papierowe skrzydełka. Z ogromną cierpliwością nauczyła się imitować zew słowika, tak że o zmierzchu niewyraźne, brązowe stworzonka trzepotały zauroczone wokół jej głowy. Czuła wtedy dziecinne szczęście, że jest kochana dla niej samej, a nie dla różnych łask, którymi może obdzielać. Czasem, kiedy siedziała z synkiem na kolanach, zapominała, że jest on następcą tronu. Obserwowali razem stadka świeżo wyklutych kaczuszek albo szczeniaczki tarמושące się w zabawie i śmiała się wtedy tak głośno, że jej damy, pełne zdumienia, uśmiechały się za wachlarzami. Ale Tz'u Si nie obawiała się ani śmiechu, ani wymówek. Była zawsze sobą i sobą chciała pozostać. Chciała być stworzeniem tak wolnym, jak te, z którymi się bawiła. Ale Zakazane Miasto, choć zajmowało obszar czterech mil kwadratowych, ograniczało ją, więc tęskniła, aby znaleźć się poza jego murami, w miejscu, o którym często słyszała, a w którym nigdy dotąd nie mieszkała i którego jeszcze nigdy nie odwiedziła.

Pałac Letni zbudowali przed wiekami dla wypoczynku i rozrywki panujący wówczas cesarze. Wybrali miejsce przy wiecznym źródle, tryskającym wodą zawsze tak jasną, czystą, słodką i świeżą, że nazwano je Nefrytowym Źródłem. Pierwszy Pałac Letni został zburzony podczas jednej z wojen, a odbudował go dwa wieki temu panujący wówczas cesarski przodek - K'ang Hsi. Jego syn, Cz'ien Lung, połączył osobne budynki, tworząc wielki park przeplatany nicią rzeczek i jeziorok połączonych mostami, które wykonali i ozdobili rzeźbami mistrzowie tych rzemiosł. Cz'ien Lung bardzo był dumny ze swego dzieła, a kiedy usłyszał, że władający wówczas Francją król posiada w swym dalekim kraju podobne, służące przyjemności tereny, wypytywał francuskich posłów i jezuitów, czy w parku króla Francji jest coś takiego, czego nie byłoby w cesarskiej posiadłości. W owych czasach cesarze interesowali się ludźmi Zachodu, zapraszali ich nawet, nie podejrzewając, że ci mogą mieć w przyszłości złe zamiary. Kiedy Cz'ien Lung usłyszał o wspaniałościach stworzonych przez francuskiego króla, zapragnął ich również dla siebie, i do tego, co już było w Pałacu Letnim, dodał cuda Zachodu. Jezuiti, chcąc zdobyć względy wielkiego Cz'ien Lunga, przywieźli mu z Europy portrety pałaców Francji i Włoch, które cesarz dokładnie studiował i kopiował to, co mu się najbardziej podobało. Jednak kiedy minęły czasy Cz'ien Lunga, Pałac Letni zamknięto na długie lata, ponieważ jego następcą, Cz'ien Lung, bardziej kochał Północny Pałac w Żeholu. Pewnego letniego dnia będąc tam w towarzystwie swej ulubionej konkubiny, został

porażony piorunem i zmarł. Jego syn, T'ao Kuang, ojciec obecnie panującego cesarza, Sien Fenga, był skąpcem i nigdy, nawet podczas najbardziej upalnego lata, nie zezwoliłby dworowi na wyjazd do Pałacu Letniego w obawie przed wydatkami.

Nic więc dziwnego, że nastrój dworu, który wyruszył pewnego ranka w drogę, był wspaniały. Dzień był piękny, wilgotny i ciepły u zarania, z rosą i niezwykłymi o tej porze mgiełkami. Tz'u Si wstała wcześniej i rozkazała kobietom, by przygotowały jej zwykły strój, pasujący na wieś. Kobiety ubrały ją więc w cienki, bladozielony jedwab, wykonany z włókna ananasowego sprowadzanego z wysp południowych, na który nie założyła żadnych klejnotów oprócz pereł. Była już gotowa na wiele godzin przedtem, zanim cesarz zdołał się obudzić, zanim został ubrany i zjadł poranny posiłek. Niemniej dopiero późnym przedpołudniem cesarski orszak mógł wreszcie wyruszyć. Na jego czele postępowali chorążowie, następnie książęta z rodzinami, a na końcu konna Cesarska Gwardia, którą prowadził Jung Lu na dorodnym, białym ogierze. Za nimi, przed palankinem cesarza z żółtymi firankami, podążała Tz'u Si z synem i niańką, a obok niej Sakota, Cesarzowa Wschodniego Pałacu. Dwie damy nie spotykały się przez wiele miesięcy, więc kiedy Tz'u Si ujrzała rano bladą twarz kuzynki, zaczęła robić sobie wyrzuty. Postanowiła w sercu, że w wolnej chwili odnowi więzy pokrewieństwa, ze swą siostrą, cesarską małżonką.

Ulice, którymi przechodził królewski pochód, były puste i ciche. Wczesnym rankiem na trasie wybranej przez Syna Niebios umieszczono żółte, trójkątne flagi, ostrzegające, by mężczyźni, kobiety, a nawet dzieci nie ośmielali się wyjść na ulicę o tej porze. Drzwi domów były zamknięte, okna zasłonięte, a tam, gdzie boczne uliczki krzyżowały się z główną drogą, jedwabne, żółte kurtyny broniły dostępu poddanym. Kiedy Syn Niebios opuścił Bramę Szczytową, zabrzmiały bębny i zahuczały gongi - na ten znak ludzie ukryli się w domach. Znów zabiły bębny i zahuczały gongi - teraz oddalili się również ci, którzy wysypywali trasę żółtym piaskiem. Na trzeci sygnał szlachetnie urodzeni z klanów mandzurskich, ubrani w najlepsze swe szaty, klękali po obu stronach drogi, którą przechodził Syn Niebios w otoczeniu swej tysięcznej gwardii. Dawniejsi cesarzowie zawsze wyjeżdżali na wspaniałych koniach arabskich. Siodła rumaków pokryte były aksamitem i ozdobione klejnotami, a w ich pyskach lśniły złote uzdy. Obecnie panujący Sien Feng nie mógł jednak zasiaść na koniu i musiał podróżować w palankinie. Nadto, wstydząc się swej chudości i bladości, nie pozwolił eunuchom uchylić zasłon. Niesiono go więc ukrytego i milczącego wysypaną żółtym piaskiem drogą, a klęcząca szlachta ani go nie zobaczyła, ani go nie usłyszała.

W miejscowości Hai T'ien, przez którą przechodził cesarski orszak, droga skręcała na wschód. W miasteczku tym panowało ożywienie, interesy kwitły, bo mieszkali tu cesarscy

gwardziści, a niedaleko znajdowały się posiadłości i letnie pałace książąt, hrabiów i innych szlachetnie urodzonych, którzy w ten sposób mogli być blisko cesarza, gdy ten przebywał w swym Pałacu Letnim. Wszyscy okoliczni mieszkańcy wsi byli więc w znakomitym nastroju, bo kiedy dwór przenosił się do Pałacu Letniego w Jiian Ming Jiian, oni stawali się bogatsi.

O zachodzie słońca cesarski pochód dotarł do bramy Pałacu Letniego i Tz'u Si, spoglądając przez szpary między zasłonami, ujrzała wyniosłą bramę z rzeźbionego marmuru, strzeżoną przez dwa złote lwy. Przez wysoki próg otwartej w oczekiwaniu bramy wniesiono ją w ciszę obszernego parku. Nie mogła powstrzymać się od rozsunięcia zasłon i ujrzała scenę jak ze snu. Pagody zwieszały się z zielonych zboczy, przejrzyste strumienie płynęły bez przeszkód i migotały obok wijących się, kamiennych drózek, a marmurowe, rzeźbione mosty prowadziły do setek pawilonów, z których każdy był inny, każdy pokryty złotymi i kolorowymi dachówkami. Na poznanie tego wszystkiego nie starczyłoby życia. A przecież były tu jeszcze inne piękne rzeczy, których nie mogła dojrzeć z tego miejsca: wielkie pałace, zaprojektowane niezmiernie dawno, wzbogacane przez każdego kolejnego cesarza, czy słynny zegar wodny - figurki czterech zwierząt tryskające wodą z Nefrytowego Źródła, po cztery godziny każda. Pałace zaś, jak słyszała, pełne były nie tylko skarbów Wschodu, ale także Europy i Zachodu. Jej kochająca piękno dusza cieszyła się i z niecierpliwością oczekiwała na chwilę, kiedy będzie mogła błąkać się pośród tych cudów.

O zachodzie słońca jej palankin stanął na ziemi, Li Lien-jing odsunął zasłony; wstała jak ktoś, kto wita krainę baśni, zaczarowaną i nieznaną. Rozejrzała się wokół i dziwnym trafem w tej właśnie chwili jej nieświadome, nie przygotowane spojrzenie padło na Jung Lu. Jego ludzie znajdowali się za cesarzem, który wszedł właśnie do wielkiej Sali Wejściowej, a on pozostał z tyłu. Uniósł głowę i niespodziewanie napotkał oczy, które znał tak dobrze. Pochwyciła jego spojrzenie i przez chwilę ich serca połączyły się. W pośpiechu odwrócili głowy, chwila minęła. Tz'u Si z idącymi za nią damami weszła do wyznaczonego pałacu. Rozpierało ją nagle szczęście. Na widok tego, co zobaczyła, przechodząc z pokoju do pokoju, nie posiadała się z radości. Pałac, który należał teraz do niej, nazywał się Pałacem Zadowolenia. Był stary i już to samo miało dla niej urok. Tu przyjeżdżali ze swymi dworami cesarze, by uciec od obowiązków. Szukali odpoczynku i znajdowali tu radość i spokój. Kiedy zobaczyła już wszystko, co mogła obejrzeć w tak krótkim czasie, wróciła do wejścia i stojąc na progu szerokich drzwi, podziwiała zachód słońca. Wyciągnęła ramiona, jakby chciała nimi objąć tę rozkoszną, pełną spokoju okolicę, tonącą w blasku gasnącego słońca.

- Powietrze jest słodkie - powiedziała do dam dworu. - Oddychajcie głęboko. Czy czujecie, jak jest lekkie? Jak inne od tego, którym oddychamy w murach miasta.

Damy usłuchały i okrzykami zachwytu potwierdziły jej słowa. Rzeczywiście, powietrze było czyste, chłodne, nie przejmowało jednak dreszczem.

- Chciałabym spędzić tu całe życie - zawołała Tz'u Si. - Obym nigdy nie musiała wracać do Zakazanego Miasta!

Kobiety zakrzyknęły z pełnym zgrozy niedowierzaniem. Nie chciały uwierzyć, że mogłaby żyć z dala od tego centrum życia narodu.

- A więc przynajmniej rozmawiajmy tylko o rzeczach przyjemnych - nalegała Tz'u Si.  
- Trzeba tu zapomnieć o wszystkim co przykre, co wzbudza gniew lub ból.

Kobiety chórem łagodnych pomruków i westchnień zgodziły się z tym, a Tz'u Si, marząc już o odkrywaniu pałaców i ogrodów Jjian Ming Jjian, zwlekała przy drzwiach. Niestety, dzień się kończył, słońce ześlizgnęło się za szczyty pagód i zbladła poświata na jeziorach i strumieniach. Wkrótce zniknęły też cienie marmurowych mostów na wodzie i nastał wieczór.

- Udam się dziś wcześniej na spoczynek - powiedziała Tz'u Si - i wstanę wcześniej o świcie. Bo choć wiele jeszcze spędzimy dni w tym radosnym miejscu, nie będzie ich dosyć, aby zobaczyć wszystko, co jest do zobaczenia, ani zaznać radości takiej, o jakiej marzymy.

Jej damy zgodziły się z tym i zanim wzeszedł księżyc, Tz'u Si poszła do swych apartamentów. Podano jej lekki posiłek złożony z wykwintnych dań i słodczy, wypła swą ulubioną zieloną herbatę, a potem wykąpana, odziana w jedwabie ułożyła się do snu. Nie mogła jednak zasnąć. Nocne powietrze było zbyt słodkie, więc kiedy znużone kobiety zasnęły, dwukrotnie wstawała z łóżka i szła popatrzeć przez otwarte okna. Pałac stał wysoko nad otaczającym go niskim murem, za którym majaczyły odległe, blade w świetle księżycy góry. Przenikał ją spokój, spokój tak głęboki, że wydawał się wstępem do snu, a przecież czuła się rześka i rozbudzona. Rozciągał się przed nią złoty, księżycowy widok, czuła woń kwitnących w nocy lilii, słyszała czysty zew ptaka. Minęło uczucie samotności, zniknął lęk przed wojną i kłopotami, jej skłonne do gwałtowności serce stawało się łagodne, a myśli spokojniejsze. Za tarasem, po prawej stronie, stał Pałac Płynącej Chmury, wyznaczony dla Sakoty. Jutro - nie, nie jutro, lecz któregoś dnia, kiedy nacieszy się szczęściem - spełni swe postanowienie i odnowi siostrzaną przyjaźń z Sakotą. Jakże to dziwne, że one, wychowane pod jednym dachem w Alei Cynowego Dzbana, muszą teraz żyć w sąsiadujących pałacach, mając tego samego pana!

A ponieważ jej umysł nie potrafił długo pozostawać w spokoju, pomyślała o Jung Lu, swym krewnym, o tej krótkiej chwili, gdy ich oczy spotkały się przypadkiem, zwały się i niechętnie rozdzieliły. Nagle aż do bólu zapragnęła usłyszeć jego głos, czuć, że jest w

poblizu. Dlaczego nie miałyby go wezwać? Przecież jako krewny może, powiedzmy, służyć jej radą. Jakiej to rady mogła potrzebować? Myśli błędziły w poszukiwaniu wymówki. Tak - przyrzeczenie dane matce, wciąż nie spełnione przyrzeczenie, że wyda siostrę za księcia. W tej sprawie z pewnością mogła prosić krewnego o radę. Swemu eunuchowi, wiernemu Li Lien-jingowi, będzie mogła uczciwie powiedzieć: „Mam sprawę rodzinną, chodzi o obietnicę, którą złożyłam matce. Chciałabym spytać mego krewnego, komendanta Gwardii Cesarskiej...”

Światło księżyca stało się bardziej złote, powietrze jeszcze wonniejsze niż przedtem. Westchnęła ze szczęścia. Czy w tym czarodziejskim miejscu nie mogą zdarzać się cuda? Uśmiechnęła się do siebie z ukrytą kpina. Jej radość miała jednak granicę, ostrą granicę starego pożądania, krnąbrną pamięć, budzącą się do nowego życia. Dobrze - tamto nie powtórzy się już nigdy. Nie musi się strzec - on jej będzie strzegł. Jego prawość będzie jej ochroną, zamkiem, do którego klucz on będzie dzierżył. Może mu zawierzyć, bo jego zepsuć nie można.

Nagle ogarnęło ją pragnienie snu, przekradła się więc delikatnie między kobietami śpiącymi na swych posłaniach rozłożonych na posadzce, rozchyliła zasłony i położyła się.

Nadszedł czysty, cichy, bezwietrzny dzień ochładzany tchnieniem jakiejś odległej burzy, i pozwoliła mu przeminać, zapominając o wszystkim. Oddała się dziecinnej przyjemności poznawania wszystkiego, co ją tutaj otaczało. Wiele jeszcze będzie musiało przeminać dni, zanim zobaczy wszystko, co jest godne zobaczenia, bo kiedy odwiedziła pałace, jeziora, podwórza, tarasy, ogrody i pawilony - zostały jeszcze skarbcce, przybudówki do Jiian Ming Jiian, w których przechowywano dary, jakie przez dwieście lat otrzymywali cesarze panującej dynastii. Zebrano tam tysiące sztuk jedwabiu, bele futer z rzeki Sybir, osobliwości z każdego kraju w Europie i z Wysp Brytyjskich, daniny z Tybetu i Turkiestanu, dary z Korei i z Japonii oraz te, ofiarowane przez pomniejszych narody, które, choć wolne, uznawały przywództwo Syna Niebios. Były tam więc piękne meble i inne cenne wyroby z południowych prowincji, nefryty, srebrne zabawki i pudełka, złote wazy ozdobione diamentami z Indii i z wysp mórz południowych zgromadzone w oczekiwaniu na jej ciekawe oczy i niecierpliwe ręce oceniające ich wagę, kształty i wykonanie.

Każdego wieczoru na rozkaz cesarza nadworni aktorzy rozpoczynali przedstawienie i Tz'u Si mogła nareszcie zaspokoić w pełni swe pragnienie i miłość do teatru. Czytała wiele książek o przeszłości, studiowała pilnie stare malowidła i stare teksty, ale dopiero w teatrze mogła widzieć, jak historyczne postacie mężczyzn i kobiet ożywają przed jej oczyma.

Emocjonowała się życiem innych cesarskich małżonek i cesarzowych, wyobrażała sobie, że jest taka jak i one - stworzona, by panować i umrzeć. Potem szła spać zamyślona, jeśli sztuka skłaniała do myślenia, albo w wesołym nastroju, jeśli ją rozbawiła, i wszystko, co robiła, sprawiało jej przyjemność.

Ze wszystkich skarbów najbardziej fascynował ją księgozbiór, którego twórcą był sam cesarz Cz'ien Lung. Na jego rozkaz uczeni żyjący podczas jego panowania skopiowali najważniejsze z ksiąg ostatnich czterech tysięcy lat, tworząc w ten sposób nieprzebraną skarbnicę mądrości. Sporządzono dwa zestawy książek - jeden pozostał w Zakazanym Mieście, a drugi tutaj - na wypadek, gdyby ogień lub nieprzyjaciel zniszczył jeden z nich. Tz'u Si jak dotąd nie mogła nawet dotknąć owych ksiąg. W Zakazanym Mieście przechowywano je zamknięte w Sali Literackiej Chwały, którą otwierano jedynie podczas Świąta Klasyków, kiedy to obowiązkiem największych uczonych było wyjmowanie starych pism i objaśnianie ich panującym cesarzom. Od czasu bowiem, gdy osiemset lat temu jeden z cesarzy spalił księgi i pogrzebał uczonych, aby skończyć ze starożytną nauką i stanąć ponad wszystkimi, pierwszym obowiązkiem uczonych stała się troska o książki. Należało przede wszystkim uczyć szacunku do nich - najpierw cesarza, a potem jego poddanych. Aby zaś samowolni władcy nie mogli zniszczyć słów wielkiego mędrca Konfucjusza, Czteroksiąg i Pięciokrąg wyryto w kamieniu i owe kamienne monumenty ustawiono w Sali Klasyków, której drzwi były zamknięte. Tutaj jednak - w Jjian Ming Jjian - Tz'u Si, mimo że była kobietą, mogła czytać starożytne teksty. Przyrzekła więc sobie, że uczyni to któregoś dnia, kiedy będzie padało albo kiedy już nasyci się tym, co jeszcze pozostało do zobaczenia.

Cokolwiek jednak robiła podczas tych dwudziestu dni, czy to bawiła się z dworem podczas uczt na świeżym powietrzu na cesarskich łodziach mieszkalnych, czy spacerowała pośród kwiatowych ogrodów, czy spędzała czas ze swym cesarskim synem, który rozkwitał w czystym powietrzu, a nawet kiedy otrzymywała wezwanie do sypialni cesarza, nie zapomniała o swym gorącym pragnieniu rozmowy ze swym krewnym, Jung Lu. Na dzień swego serca skrywała dawno obmyślany plan, gotowy zbudzić się do życia w czasie, który ona uzna za stosowny.

Pewnego dnia, dając się unieść nastrojowi, lekkomyślności wywołanej nieustannymi przyjemnościami, zdecydowała się nagle i upierścienioną ręką przyzwała Li Lien-jinga do swego boku. Zawsze był blisko niej, zawsze uważny, więc kiedy ujrzał jej uniesioną dłoń, podszedł natychmiast, klęknął przed nią z pochyloną głową, aby wysłuchać, co mu rozkaże.

- Troska przenika moje myśli - powiedziała czystym, władczym głosem. - Nie mogę zapomnieć przyrzeczenia, które złożyłam swej matce, dotyczącego małżeństwa mej młodszej



siostry. Minęły miesiące, a ja dotąd nie spełniłam obietnicy. W domu mego dzieciństwa wszyscy czekają w napięciu. Do kogo mogłabym się zwrócić po dobrą radę? Wczoraj przypomniałam sobie, że dowódca Straży Cesarskiej jest naszym krewnym. Tylko on może mi pomóc w tej rodzinnej sprawie. Wezwij go do mnie.

Powiedziała to celowo przy damach dworu, bo stojąc tak wysoko, nie mogła mieć żadnych sekretów. Niech wszyscy dowiedzą się, co czyni. Mówiąc, siedziała spokojnie na swym pięknym, delikatnie rzeźbionym tronie, inkrustowanym kością słoniową z kłów birmańskich słoni. Wokół niej stały jej damy, które słysząc to, nie okazały ani śladu zdziwienia. Ich twarze wyrażały jedynie myśli najzupełniej niewinne.

Co do Li Lien-jinga, to zdołał już dostatecznie dobrze poznać swą władczynię, więc usłuchał natychmiast, nic bowiem nie mogło rozzłościć jej bardziej niż zwłoka w spełnieniu tego, czego sobie życzyła. Nikt nie znał i nikt nie pytał o myśli, które chował w swym ciemnym sercu, ale z pewnością pamiętał tamten dzień, kiedy otrzymał podobne polecenie i przyprowadził Jung Lu do drzwi Jehonali. Tego dnia, gdy na podwórzu przed zamkniętymi drzwiami mijały długie popołudniowe godziny, on nie pozwalał nikomu przestąpić progu komnaty. Tylko on i służąca wiedzieli, że był tam Jung Lu. O zmierzchu, kiedy wysoki gwardzista wyszedł z twarzą dumną i zatroskaną, nie rozmawiali ze sobą, bo Jung Lu ledwie zerknął na eunucha. Następnego dnia Jehonala uległa wreszcie cesarzowi, a po dziesięciu miesiącach księżycowych urodził się następca tronu. Kto może wiedzieć... Kto może wiedzieć? Wyszczrzył zęby i trzeszcząc knykciami poszedł szukać komendanta Straży Cesarskiej.

Tak jak poprzednio w tajemnicy, tak teraz Tz'u Si przyjęła swego krewnego otwarcie, w towarzystwie dam. Czekwała na Jung Lu w swym pałacu, siedząc na tronie w wielkiej sali. Jak zwykle towarzyszył jej przepych - na ścianach wisiały malowane zwoje, za tronem stał alabastrowy parawan, a po jej lewej i prawej stronie ustawiono porcelanowe wazony z gałązkami kwitnących drzew. Małe pieski swawoliły na podłodze z czterema białymi kociętami. W cesarzowej zwyciężyła kobieta - pośród całego tego splendoru Tz'u Si śmiała się ze swych zwierząt tak bardzo, że w końcu pochłonięta radosną zabawą zeszła z tronu. Podchodziła do swych dam - pochwaliła jedną za świeży wygląd, inną za przybranie głowy, za sobą ciągnęła jedwabną chustkę, wabiąc nią kociaki. Dopiero kiedy usłyszała kroki eunucha, którym towarzyszyły inne, mocne kroki, siadła w pośpiechu na tronie, złożyła upierścienione ręce przyjmując postawę dumną i wyniosłą. Tymczasem damy uśmiechały się za swymi wachlarzami.

Przybrała na twarz wyraz powagi, stuliła skromnie usta, ale jej wielkie oczy zaiskrzyły

się, kiedy Lung Lu ubrany w atlasową, purpurową bluzę gwardzisty i czarne, welwetowe spodnie przekroczył wysoki próg u wejścia. Postąpił dziewięć kroków do przodu i nie uniósł twarzy, póki nie klęknął. Zanim znów pochylił głowę, rzucił jedno proste spojrzenie na tę, którą kochał.

- Witaj, kuzynie - powiedziała swym miłym głosem Tz'u Si. - Wiele upłynęło czasu od naszego ostatniego spotkania.

- Istotnie wiele czasu, Czcigodna - powiedział i czekał klęcząc.

Wpatrywała się w niego z wysokości tronu z uśmiechem pogłębiającym się w kącikach ust. - Wezwałam cię, bo potrzebuję rady.

- Rozkazuj mi, Czcigodna - odpowiedział.

- Moja młodsza siostra gotowa jest do zamążpójścia - kontynuowała. - Czy pamiętasz to dziecko? Niegrzeczne, płaczliwe stworzonko. Nie odstępowała mnie nawet na krok i zawsze chciała mieć to, co ja. Czy pamiętasz?

- Czcigodna, nie zapomniałem niczego - powiedział nie podnosząc głowy.

Tz'u Si odebrała sekretne znaczenie tych słów i ukryła je niczym skarb w swym sercu.

- A teraz przyszedł czas, by wydać ją za mąż - ciągnęła dalej. - Wyrosła już ze swych lat dziecińczych i z dawnych kaprysów. Jest już prawie kobietą - stworzeniem smukłym i ładnym. Zawsze miała piękne brwi - jak moje!

Tutaj zrobiła przerwę, by podnieść palce wskazujące i pogłodzić swe brwi o kształcie wierzbowych liści. - A ja przyrzekłam jej księcia. Ale którego? Pomóż mi wybrać, kuzynie.

- Czcigodna - odpowiedział ostrożnie Jung Lu - nie znam książąt tak dobrze jak ty...

- Znasz ich - upierała się - wiesz o wszystkim. Śmiem twierdzić, że u bram pałacowych plotkuje się o wszystkim.

Zamilkła, czekając na jego odpowiedź, a nie usłyszawszy ani słowa, niecierpliwie zwróciła się do dam dworu:

- Idźcie, idźcie wszystkie - rozkazała. - Widzicie, że mój kuzyn nic przy was nie powie! Wie, że pochwycicie jego słowa i natychmiast je rozsiejecie. Oddalście się, oddalście! Wy, nasłuchujące uszy - zostawcie mnie z moim kuzynem!

Zatrzepotały jak przestraszone motyle, a kiedy odeszły, zaśmiała się i zeszła z tronu. Nie poruszył się, a ona pochyliła się i dotknęła jego ramienia.

- Wstań, kuzynie! Nie ma w pobliżu nikogo. Został tylko mój eunuch. A czymże on jest?

Powstał niechętnie i nadal trzymał się w pewnej odległości. - Boję się każdego eunucha - mruknął.

- Nie tego - powiedziała zimno. - Jeśli zdradzi mnie choćby jednym słowem, urwę mu głowę, jakby był muchą. - Mówiąc to zetknęła kciuk i palec wskazujący w geście, który miał pokazać, jak łatwo jej to przyjdzie.

- Siądź tam, na tym marmurowym krześle - rozkazała - a ja usiądę tutaj - odległość jest dostatecznie duża, jak sądzę? Nie musisz się mnie obawiać, kuzynie. Pamiętam o tym, że powinnam zachowywać się przykładowo. Dlaczego nie? Mam, czego chciałam - mego syna, następcę tronu!

- Zamilknij! - wykrzyknął cicho, ze złością.

Niewinnie zerknęła na niego spod swych ciemnych rzęs.

- A zatem którego z książąt mam wybrać, kuzynie? - spytała powtórnie.

Siedząc sztywno na brzegu krzesła, które mu wyznaczyła, zdawał się rozważać głęboko to pytanie.

- Któremu z siedmiu braci mego pana - zastanawiała się - mam oddać swą siostrzyczkę?

- Nie wypada, aby była konkubina - powiedział z mocą Jung Lu. Spojrzała na niego rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

- Powiedz, dlaczego nie? Czy nie byłam konkubina, zanim narodził się mój syn?

- Cesarską konkubina - przypomniał jej - a teraz jesteś cesarzową. Siostra cesarzowej nie powinna być konkubina, nawet książęcą.

- Muszę więc wybrać Siódmego Księcia - powiedziała. - Tylko on nie ma jeszcze żony. Niestety, jest najmniej przystojny ze wszystkich książąt - te ciężkie, ściągnięte do dołu usta, oczy małe i bez wyrazu, twarz dumna i poważna! Mam nadzieję, że moja siostra nie kocha tak piękna jak ja!

Spojrzała na niego z ukosa spod swych długich i prostych rzęs, a on odwrócił wzrok.

- Twarz księcia Cz'una nie jest twarzą złego człowieka - odparł. - To wielkie szczęście, jeśli przyszedł mąż nie jest zły.

- Och - powiedziała kpiąco. - Uważasz, że to ważne? U księcia? Nie wystarczy, że jest księciem?

- Myślę, że to nie wystarczy - zignorował jej kpinę.

Wzruszyła ramionami.

- Dobrze, kuzynie, jeśli poradzisz mi księcia Cz'una, wybiorę go. Wyślę list do mej matki.

Nagle poczuła złość, że jest wobec niej taki twardy, więc wstała, aby zaznaczyć, że audyencja skończona. Przez chwilę milczała, po czym zapytała beztrąsko:

- A ty? Sądzę, że już zdążyłeś się ożenić.

Powstał razem z nią i stał przed nią wysoki i spokojny.

- Wiesz dobrze, że się nie ożeniłem.

- Cóż... kiedyś będziesz musiał - nastawała.

Nagle uczucie szczęścia sprawiło, że twarz jej stała się łagodna i młoda, taka, jaką pamiętał.

- Chcę, abys się ożenił - powiedziała smutno i zacisnęła dłonie.

- To niemożliwe. - Skłonił się i opuścił ją bez pożegnania, nie spojrzawszy ani razu za siebie.

Stała sama, zaskoczona, że opuścił ją tak nagle, zanim zdążyła go odprawić. W tej samej chwili jej bystre oczy uchwyciły poruszenie zasłony u drzwi. Szpieg? Ruszyła do przodu, szarpnęła za zasłonę i ujrzała skurczoną postać. Była to pan Mei, jej piękna ulubienica, najmłodsza córka Su Szuna.

- Ty? Skąd się tu wzięłaś?

Dama spuściła głowę i włożyła palec wskazujący do ust.

- Mów nalegała Tz'u Si. - Dlaczego mnie szpiegujesz?

- Nie ciebie, Czcigodna... - szeptem wyjąkała dziewczyna.

- Więc kogo?

Dama nie odpowiedziała.

- Nie chcesz mówić?

Tz'u Si wpatrywała się w postać ślaniającej się dziewczyny, następnie bez dalszych słów chwyciła ją za uszy i potrząsnęła gwałtownie.

- Więc jego! - wyszeptała dziko. - Ach tak... sądzisz, że jest przystojny? Czyżbyś ośmielała się go kochać?

Mała twarzyczka spoglądała bezradnie zamknięta w uścisku jej ozdobionych klejnotami dłoni.

Tz'u Si znów potrząsnęła nią z całej siły.

- Śmiesz go kochać!

Dama wybuchnęła głośnym szlochem. Tz'u Si puściła wreszcie jej uszy, które ścisnęła tak mocno, że na jej dłoniach dotykających kolczyków pokazały się krople krwi.

- Myślisz, że on cię kocha? - zapytała szyderczo Tz'u Si.

- Wiem, że mnie nie kocha, o Czcigodna - szlochała dama. - On kocha tylko ciebie, wszyscy o tym wiedzą, tylko ciebie...

Tz'u Si nie wiedziała, jak na to zareagować. Powinna ukarać swą damę za tę

insynuację, ale to, co usłyszała, sprawiło jej taką radość, że nie wiedziała, czy powinna się uśmiechnąć, czy też spoliczkować dziewczynę. Zrobiła więc i jedno, i drugie. Uśmiechnęła się, a widząc spojrzenie stojących u drzwi innych dam dworu, uderzyła ją w policzek głośno, ale niezbyt mocno.

- Masz... masz... - wykrzyknęła porywczo. - Odejdź ode mnie, abym nie zabiła cię ze wstydu! Nie pokazuj mi się na oczy przez siedem pełnych dni.

Odwróciła się i ze swym zwykłym wdziękiem zasiadła powoli na tronie. Z ledwo dostrzegalnym uśmiechem nasłuchiwała odgłosu małych stóp biegnącej korytarzem damy.

Od tego dnia twarz i postać Jung Lu utrwaliły się na nowo w umyśle i w pamięci Tz'u Si. Wprawdzie nie mogła go już wezwać, ale planowała i obmyślała sposoby, jakby się z nim spotykać - nie sztucznie i rzadko, ale często i swobodnie. Cokolwiek robiła i gdziekolwiek się znalazła, zawsze był w jej myślach. Był przy niej, kiedy budziła się w nocy. To on był bohaterem sztuk, które oglądała. Słuchając muzyki, słyszała jego głos. W miarę jak mijały letnie dni i przyzwyczajala się do nowego miejsca, coraz bardziej oddawała się myślom o miłości. Była kobietą stworzoną do miłości, ale nie miała obok siebie mężczyzny, którego mogłaby kochać. Jakaś część tego nadmiaru przepelniających ją uczuć przypadła cesarzowi - mógł ludzić się, że jest kochany, ale był tylko bladym odbiciem jej marzeń.

Nie była jednak kobietą, która mogła się zadowolić marzeniami. Tęskniła za ciałem i krwią, które byłyby równie realne jak jej ciało i krew. Od marzeń przeszła więc do celowego działania. Powinna wynieść Jung Lu dostatecznie wysoko, by mógł być blisko niej. Powinna zawsze podkreślać ich niewątpliwe pokrewieństwo i wykorzystać je do swoich własnych celów. Ale jak go wywyższyć, nie ściągając jednocześnie na siebie podejrzliwej uwagi dworu? W zamkniętych pałacowych murach skandale wybuchały niczym zła gorączka. Przypomniała sobie swych wrogów: Su Szuna, Wielkiego Radcę, który nienawidził jej, bo była ponad nim, oraz jego przyjaciół - księcia Czeng i księcia Yi. Miała sojusznika w An Teh-haiu, naczelnym eunuchu, i powinna zachować jego lojalność. Zmarszczyła brwi, przypominając sobie plotkę, że nie jest on prawdziwym eunuchem i w tajemnicy ugania się za damami dworu.

To z kolei przywiodło jej na myśl panią Mei, która, nie należało o tym zapominać, była dzieckiem Su Szuna. Nie, nie powinna pozwolić, by ta dziewczyna ją znienawidziła. Przeciwnie, będzie trzymała ją przy sobie jako przyjaciółkę, aby ojciec nie mógł wykorzystać jej jako szpiega. To, że dziewczyna kocha się w Jung Lu, może się okazać pożyteczne! Niepotrzebnie pokazała po sobie tyle zazdrosnego gniewu! Musi naprawić to, co zrobiła. Pośle po panią Mei i powie jej, by nie traciła ducha, bo sama Cesarzowa Zachodniego Pałacu

będzie w stosownym czasie rozmawiać w jej imieniu z komendantem Straży Cesarskiej. Takie małżeństwo służyłoby podwójnemu celowi, dałoby bowiem pretekst do awansu Jung Lu. Tak, teraz widziała jasno - oto sposób na wyniesienie jej ukochanego.

Nie działała jednak pochopnie - rozsądna jak zawsze, gdy podjęła już decyzję - i dopiero kiedy minęło siedem dni, posłała Li Lien-jinga, aby odnalazł panią Mei i przyprowadził ją do pałacu. Wrócił po godzinie z podopieczną, która natychmiast padła na kolana przed swą władczynią. Tz'u Si siedziała na tronie feniksa w Pawilonie Ulubienicy, małym, drugorzędnym pałacu, który sama wybrała na tę rozmowę.

Pozwoliwszy swej damie dworu klęczeć przez chwilę w milczeniu, wstała następnie z tronu, podeszła do pani Mei i podniosła ją.

- Schudłaś w ciągu tych siedmiu dni - powiedziała uprzejmie.

- Czcigodna - odrzekła dziewczyna patrząc żałośnie - kiedy gniewasz się na mnie, nie mogę jeść ani spać.

- Nie jestem już zła na ciebie - odpowiedziała Tz'u Si. - Usiądź, biedne dziecko. Pozwól, niech ci się przyjrzę.

Wskazała jej krzesło, sama usiadła tuż obok, na innym krześle. Ujęła wąską i delikatną dłoń dziewczyny i głaszcząc ją rzekła:

- Moje dziecko, nie ma dla mnie znaczenia, kogo kochasz. Dlaczego nie miałabyś wyjść za mąż za komendanta Cesarskiej Gwardii? Jest mężczyzną przystojnym i młodym...

Dama nie mogła uwierzyć w to, co usłyszała. Jej twarz delikatnie poróżowiała, do czarnych oczu napłynęły łzy. Przywarła do dobrych rąk cesarzowej.

- Czcigodna, jakże cię uwielbiam...

- Sza... nie jestem boginią...

- Czcigodna - odrzekła drżącym głosem dama - dla mnie jesteś wcieleniem miłosierdzia.

Tz'u Si uśmiechnęła się spokojnie i wypuściła z rąk dłoń pani Mei. - Nie czas teraz na pochlebstwa. Mam pewien plan...

- Plan?

- Powinnyśmy mieć plan, nieprawdaż?

- Stanie się wedle twej woli, pani.

- Dobrze więc - i tu Tz'u Si wyłożyła swój plan. - Kiedy następca tronu ukończy pierwszy rok życia, odbędzie się, jak wiesz, wielka uroczystość. Sama zaproszę na nią mojego kuzyna, aby wszyscy widzieli, że zamierzam go awansować. Gdy wszyscy przywykną do tej myśli, podejmę inne, kolejne kroki. Któż będzie śmiało powstrzymał mego krewnego? Chcę

go wynieść dla twojego dobra, aby rangą był równy tobie.

- Ale, Czcigodna...

Tz'u Si uniosła rękę.

- Żadnych wątpliwości, dziecko! Zrobi, co mu każę.

- Nie wątpię, pani, ale...

Tz'u Si badawczo przyjrzała się pięknej twarzy, wciąż jeszcze zaróżowionej.

- Sądzisz, że tyle miesięcy oczekiwania to zbyt długo?

Dama skryła twarz za rękawem.

Tz'u Si zaśmiała się.

- Zanim wyruszy się w podróż do nieznanych miejsc, trzeba najpierw zbudować drogę.

Uszczypnęła dziewczynę w policzki, które stały się jeszcze czerwieńsze, i odprawiła ją.

- Przez dwieście lat - mówił książę Kung - cudzoziemski handel ograniczał się do Kantonu, miasta na południu. Co więcej, handel ten mógł się odbywać jedynie za pośrednictwem licencjonowanych kupców chińskich.

Lato skończyło się, mijała już połowa jesieni. Słuchając wykładu, Tz'u Si w zadumie spoglądała przez drzwi otwarte na popołudniowe słońce. W porcelanowych wazonach kwitły późne, czerwone, złote i brązowe chryzantemy. Słuchała, lecz nie słyszała słów, które wpadały do jej uszu i zostawały na powierzchni jak opadłe liście na powierzchni basenu.

Książę Kung odezwał się ostro, aby wyrwać ją z rozmarzenia.

- Czy słuchasz, cesarzowo?

- Słucham - odpowiedziała.

Spojrzał z powątpiewaniem i ciągnął dalej.

- Przypomnij sobie, cesarzowo, że wojna opiumowa skończyła się porażką naszego narodu. Ta porażka była dla nas gorzką lekcją, która uświadomiła nam, że państw Zachodu nie możemy traktować jako państw hołdowniczych. Chciwi i bezwzględni cudzoziemcy, choć nigdy nam nie dorównają, mogą jednak stać się naszymi panami dzięki brutalnej sile sporządzonych przez siebie maszyn wojennych.

Słowa te, wypowiedziane mocnym, głębokim głosem, oszołomiły ją i wybudziły z sennych wspomnień o lecie, które minęło. Jakże nienawistny był powrót do tych wysokich murów i zamkniętych bram!

- Naszymi panami? - powtórzyła.

- Naszymi panami, o ile nie będziemy czujni - powiedział z mocą książe. - Musieliśmy niestety spełnić wszystkie ich żądania - zapłaciliśmy wielkie odszkodowania, zmuszono nas, byśmy otworzyli porty dla niecnego, obcego handlu. A co zdobywa jedna cudzoziemska nacja, natychmiast uzyskują też inne. Siła, siła jest ich talizmanem.

Jego piękna twarz tchnęła powagą, wysoka postać spowita w szare atłasowe szaty zapadła się w rzeźbionym krześle ustawionym poniżej tronu feniksa - ulubionego tronu Tz'u Si - który przeniesiono do cesarskiej biblioteki. Obok niej Li Lien-jing opierał się o masywny, drewniany filar pomalowany jak wszystkie inne na czerwono.

- Co stanowi o naszej słabości? - dopytywała się Tz'u Si.

Oburzenie pobudziło ją. Siedziała wyprostowana, z rękami zaciśniętymi na poręczach tronu. Twarz Jung Lu, przed chwilą tak wyraźna w jej marzeniach, zatarła się we mgle.

Książe Kung patrzył na nią z boku. Spoglądał na jej wyzywającą piękność ożywioną siłą bystrego umysłu. Czy potrafi uformować ją tak, by potrafiła uratować dynastię? Wciąż jest zbyt młoda i, niestety, pozostanie na zawsze kobietą. A jednak nie ma sobie równych...

- Chińczycy zbyt są cywilizowani jak na obecne czasy - powiedział. - Ich mędrcy uczyli, że przemoc jest złem, że żołnierzem należy pogardzać, bo jego rzemiosłem jest niszczenie. Ale mędrcy ci żyli w dawnych czasach, nie wiedzieli, że na Zachodzie istnieją te młode, dzikie plemiona. Nasi poddani nic nie wiedzą o innych ludziach. Zawsze żyli tak, jakby byli jedynym narodem na tej ziemi. Nawet teraz, kiedy buntują się przeciw dynastii mandzurskiej, nie wiedzą, że to nie my jesteśmy ich prawdziwymi wrogami, lecz ludzie Zachodu.

Tz'u Si natychmiast pojęła znaczenie tych strasznych słów.

- Czy wicekról Je zezwolił białym ludziom na wejście do samego Kantonu?

- Jeszcze nie, cesarzowo, i musimy temu zapobiec. Pamiętasz, że opowiadałem ci o tym, jak to dziewięć lat temu cudzoziemcy ostrzelali ze swych dział nasze forty zbudowane u ujścia rzeki, nad którą położone jest to miasto, i siłą zmusili nas do oddania im dużego szmatu ziemi na południowym brzegu pod ich magazyny i mieszkania. Domagali się wówczas, by w ciągu dwóch lat otwarto im bramy Kantonu, ale kiedy czas ten minął, wicekról odmówił spełnienia tego warunku, a Brytyjczycy nie naciskali. Nie jest to jednak pokój. Kiedy cudzoziemcy wydają się ulegać, bądź pewna, że w tym samym czasie planują jakiś podstęp.

- Musimy opóźnić ich działania - nalegała Tz'u Si. - Musimy ich ignorować, dopóki nie staniemy się silni.

- To nie jest takie proste, cesarzowo - odpowiedział książe Kung i wydał ciężkie westchnienie, co zaczęło wchodzić mu w zwyczaj. - Nie jest to sprawa wyłącznie białych



ludzi. Poznawanie obcych broni, zetknięcie się z okrutną siłą zamiast zręcznego przekonywania zmienia w subtelny sposób samych Chińczyków. Przemoc, powiadają teraz, silniejsza jest od argumentów. Byliśmy dotąd w błędzie, mówią Chińczycy, bo tylko broń może dać nam wolność. Musimy, Cesarzowo Zachodniego Pałacu, zrozumieć to zjawisko w całej jego rozległości i głębi, bo zapewniam cię, że poglądy te niosą z sobą tak wielkie zmiany w naszym narodzie, że o ile nie uda się nam, Mandżurom, ich odwrócić, to zanim twój syn zasiądzie na Tronie Smoka, dojdzie do upadku naszej dynastii.

- Więc dajmy im broń - powiedziała Tz'u Si.

- Niestety - westchnął książę Kung - jeśli damy Chińczykom broń dla odparcia wrogów z Zachodu, zwrócą ją najpierw przeciwko nam, których wciąż nazywają obcymi, choć nasi przodkowie przyszli tu z północy dwieście lat temu. Cesarzowo, tron chwieje się w posiadach.

Czy pojmie całe niebezpieczeństwo tych czasów? Jego oczy w najwyższym napięciu spoczęły na pięknej kobiecej twarzy. Nie umiał znaleźć odpowiedzi na to pytanie, wiedział bowiem, że umysł kobiety nie jest narzędziem oddzielnym od całej jej istoty. Wiedział, że nie potrafi ona jak mężczyźni powiedzieć sobie - teraz ciało, teraz umysł, teraz serce. Jest wszystkim tym jednocześnie, jest zjednoczoną, pełną trójcą. Oto dlaczego książę Kung mógł jedynie zgadywać, jak umysł Tz'u Si odbiera jego nauki. W rzeczy samej jej umysł działał pod wpływem wszystkich zmysłów. To nie dynastia tylko była zagrożona. Biali ludzie zagrażali jej samej i cesarskiemu następcy, jej synowi, który miał zasiąść na Tronie Smoka. Zagrażali temu, którego poczęła i zrodziła, którego stworzyła siłą swej woli, którego instynktownie pragnęła chronić.

Tego dnia, gdy po rozmowie z księciem Kungiem powróciła do swego pałacu, posłała po dziecko. Bawiła się z nim, trzymając je w ramionach. Śmiała się do niego i śpiewała mu piosenki, które słyszała od swej matki. Liczyła małe paluszki jego rączek i nóżek, zachęcała go do wstawania i chwyciła, kiedy się przewracał, ale jej umysł zajęty był planami zniszczenia jego wrogów. Naród - tak, ale najpierw jej syn! Kiedy zabawa dobiegła końca, oddała dziecko niańce i z nową energią zabrała się do czytania memoriałów nadsyłanych cesarzowi z wszystkich prowincji. Zajęły ją przede wszystkim te, które pochodziły z Kantonu, gdzie biali ludzie pragnęli ulokować się ze swym handlem. Nikt tam nie był zadowolony - ani chińscy, ani biali kupcy, chociaż jedni i drudzy czerpali spore zyski. Żałowała, że nie może zaryzykować wojny, ale było na to za wcześnie. Wojna mogła podsycić chiński bunt - a to bez wątpienia zachwiałoby Tronem Smoka. Mogłoby nawet zmusić cesarza do abdykacji w obliczu gniewu ludu. Nie, będzie musiała grać na czas, aż syn jej dorośnie i jako mężczyzna

pokieruje walką. Rok po roku...

Kiedy jednak pierwszy śnieg spadł na pałace, z prowincji Kuang nadeszły przesłane przez kuriera wieści, że do portu w pobliżu Kantonu przybyły nowe okręty wojenne, przywożąc nie tylko działa silniejsze od poprzednich, ale również wysokich rangą posłów z Anglii. Przerażony i wściekły wicekról donosił w swym memoriale, iż tylko brak śmiałości powstrzymuje go przed osobistym stawieniem się przed Synem Niebios. On, wicekról, wstydzi się niezmiernie, że nie potrafił zapobiec przybyciu wroga, i prosi Jego Wysokość o rozkazy. Oczekuje, że przywiezie je specjalny kurier, a on będzie im posłuszny.

Rozstrojony cesarz zdobył się jedynie na wezwanie swego rządu na naradę. Jego członkowie zbierali się w chłodne poranki w sali audiencyjnej. Wielki Sekretariat złożony z czterech pierwszych kanclerzy - dwóch Mandżurów i jednego Chińczyka - z dwóch kanclerzy pomocniczych, i z czterech podkanclerzy - w połowie Mandżurów i Chińczyków - spotkał się z Radą Państwa, utworzoną z książąt krwi oraz z sekretarzy stanu, ministrów i wiceministrów z sześciu ministerstw: Ministerstwa Skarbu, Ministerstwa Administracji Publicznej, Ministerstwa Obrzędów, Ministerstwa Wojny, Ministerstwa Kar i Ministerstwa Pracy. Członkowie tych ciał wysłuchali memoriału wicekróla, który księżę Kung odczytał przed Tronem Smoka. Po wielkiej dyskusji postanowili, by ciała te zadecydowały osobno, jakiej rady udzielić Synowi Niebios. Wszystkie sugestie zostały spisane i przedstawione cesarzowi, a on następnego dnia odesłał je opatrując własnym komentarzem, który nakreślił cesarskim cynobrowym pędzelkiem.

Ale wszyscy dobrze wiedzieli, że to nie cesarz posługuje się cynobrowym pędzelkiem, lecz Cesarzowa Zachodniego Pałacu. Wszyscy wiedzieli, bo Li Lien-jing przechwalał się wszędzie, że w conocnych wezwaniach do cesarskiej sypialni nie o miłość tylko chodzi. Nie, kiedy bowiem cesarz leżał w półśnie, odurzony opium, Tz'u Si w samotności zastanawiała się długo nad zapisanymi stronami, badając każde słowo, ważąc każdą myśl. A kiedy wreszcie podejmowała decyzję, podnosiła cynobrowy pędzelek i przekreślała słowa tych, którzy radzili działanie: wojnę albo odwet w stosunku do intruzów. „Zwlekać” - powtarzała nieustannie. - „Nie ulegać, ale też nie stawiać oporu... jeszcze nie. Przyrzekać i łamać przyrzeczenia. Czyż kraj nasz nie jest wielki i potężny? Czyż powinniśmy narażać całe ciało, bo komar zaatakował palec u nogi?”

Nikt nie ośmielił się być nieposłusznym, bo jej odręczne pismo zaopatrzone było w cesarską pieczęć, którą tylko ona i cesarz mogli wyjmować z kasety znajdującej się w cesarskiej sypialni. Wszystko, co rozkazała, drukowane było w *Gazecie Dworskiej*, w której przez osiemset lat zamieszczano cesarskie dekry, opracowania i memoriały. Gazetę tę

rozsyłano przez posłańców do każdej prowincji i jej wicekróla, do każdego miasta i jego magistratu, aby wszędzie ludzie poznali cesarską wolę. Teraz była to wola jednej tylko kobiety - pięknej i młodej, siedzącej samotnie w cesarskiej sypialni, podczas kiedy Syn Niebios spał.

Książę Kung, przeczytawszy te cynobrowe słowa, był chory z niepokoju.

- Cesarzowo - powiedział, kiedy spotkali się następnego dnia w zimowym mroku cesarskiej biblioteki. - Muszę cię ostrzec po raz wtóry. Cudzoziemcy nie potrafią długo powściągać swego dzikiego gniewu. Nie stoją za nimi wieki, które stoją za nami. To są dzieci. Kiedy widzą coś, na co mają ochotę, wyciągają ręce, aby to porwać. Zwłoka i nie dotrzymane przyrzeczenia tylko ich rozzłoszczą. Musimy targować się z nimi, przekonywać ich, a nawet im płacić, aby opuścili nasze wybrzeża.

Tz'u Si błysnęła na niego swymi wspaniałymi oczami.

- Powiedz, co mogą nam zrobić? Czy ich statki poześlą tysiąc mil w górę, wzdłuż naszego długiego brzegu? Niech uprzykrzają się miastu na południu. Czyż mogą zagrozić samemu Synowi Niebios?

- Myślę, że to jest możliwe - powiedział ponuro.

- Czas to rozstrzygnie - odparła.

- Mam nadzieję, że nie będzie za późno - westchnął.

Zrobiło się jej go żal. Wyglądał na zbyt zgnębionego, zbyt ponurego jak na mężczyznę wciąż młodego i przystojnego. Starła się go pocieszyć miłymi słowami:

- Bierzesz na swe barki za wielki ciężar. Upajasz się swym smutkiem. Powinieneś zadbać o przyjemności, jak to robią inni mężczyźni. Nigdy nie widzę cię w teatrze.

Książę Kung nic na to nie odpowiedział. Odszedł w milczeniu. Od czasu powrotu z Pałacu Letniego Tz'u Si trzymała dworskich aktorów blisko siebie. Wspierani cesarskimi funduszami cieszyli się dobrym jadem i własnymi pawilonami, z których jeden znajdował się poza murami Zakazanego Miasta, a drugi, mieszczący ich teatr, wewnątrz murów. Tz'u Si poleciła, by każdego świątecznego dnia wystawiano sztukę, na którą czasem przychodził cesarz ze swym dworem, a zawsze damy dworu, cesarskie konkubiny, eunuchowie oraz pomniejsi książęta z rodzinami. Do zachodu słońca wszyscy mężczyźni musieli opuścić mury miasta, ale przez dwie lub trzy godziny mogli uczestniczyć w przedstawieniu. Pośród takich rozrywek zima ustąpiła miejsca wiosnie, a pokój wciąż trwał.

Kiedy zakwitły pierwsze piwonie, dwór gotów był do radosnych obchodów urodzin następcy tronu. Wiosna była przychylna. Deszcze spadły wcześniej zmywając kurz, powietrze

było łagodne i tak ciepłe, że nad okolicą zaczęły się unosić miraże, przynoszące obrazy odległych stron kraju. Naród przychylnie witał okazję do zabawy; ludzie przygotowywali podarunki. Senny spokój przenikał każdą prowincję i księżę Kung zastanawiał się, czy Cesarzowa Zachodniego Pałacu nie dysponuje jakąś tajemną wiedzą. Statki białych ludzi ociągały się w porcie w pobliżu Kantonu i trwały codziennie kłótnie, ale nie gorsze niż uprzednio. Wicekról wciąż rządził miastem i nadal nie przyjmował angielskiego posła Elgina, lorda wysokiej rangi. Pan ów nie zgadzał się bowiem na potwierdzenie swej niższości oddaniem hołdu pokłonem do ziemi, a wicekról Je, dumny i pomny swej pozycji, nie przyjąłby żadnego emisariusza, który przed reprezentantem cesarza nie zechciałby ugiąć karku. Żaden z nich nie uległ, każdy w imieniu swego władcy obstawał przy swoim stanowisku.

W czasie tego powierzchownego, niejasnego pokoju ludzie nie omijali żadnej okazji do świętowania czy zaznania nieco przyjemności. Dwór przygotowywał się do urodzin następcy tronu. Ludzie brali przykład z sąsiadów i zgadzali się, że nie należy patrzeć zbyt daleko w przyszłość - czekali tylko na uroczystości. Dla Tz'u Si urodzinowa gala miała jeszcze inne znaczenie. Przez całą zimę, gdy trapiły ją wszystkie te kłopoty, była cierpliwa i surowa dla swego własnego serca. Jednak pilnie studiując i czytając książki, nie zapominała o Jung Lu i swym postanowieniu, by podnieść jego rangę. Pewnego dnia, gdy przechodziła przypadkiem, a w każdym razie wyglądało to na przypadek, przystanęła obok pani Mei, która wyglądała na zamyśloną. Uniosła rękę i pogładziła jej gładki policzek.

- Nie myśl, dziecko, że zapomniałam!

Wpatrzyła się w piękne oczy patrzące na nią w oszołomieniu i była pewna, że kobieta, którą nazwała „dzieckiem”, zrozumiała znaczenie jej słów. Ukrytą siłą Tz'u Si było to, że zajmując umysł wielkimi sprawami państwa, dumając długo w nocy, wybiegając myślami znacznie dalej, niż to sobie wyobrażał księżę Kung, potrafiła jednocześnie pamiętać o swych ukrytych pragnieniach. Tak więc gdy na kilka nocy przed urodzinami syna leżała w ramionach cesarza, udając, że zapada w sen, wymruczała:

- Niemal zapomniałam...

- O czym zapomniałaś, moje serce, moja wątrobo? - zapytał cesarz. Był w dobrym nastroju, bo tej nocy znalazł zaspokojenie wystarczające, by znów poczuł się mężczyzną.

- Czy wiesz, panie mój, że komendant Gwardii Cesarskiej jest moim krewnym? - Powiedziała to, wciąż udając półsen.

- Wiem, to znaczy, słyszałem o tym.

- Dawno temu przyrzekłam memu stryjowi coś, co dotyczy właśnie jego, ale nigdy nie

spełniłam przyrzeczenia. Och, to okropne...

- Więc?

- Jeśli zaprosisz go na uroczystość urodzin naszego syna, ulżysz memu sumieniu.

Cesarz zdziwił się leniwie.

- Zaprosić gwardzistę? Czy to nie wzbudzi zazdrości wśród niższych książąt i ich rodzin?

- Zawsze istnieje zazdrość między niższymi rangą. Zresztą, zrobisz, jak chcesz, panie - mruknęła.

Ale po chwili poruszyła się nieznacznie, jakby chciała się od niego odsunąć. Następnie ziewnęła i powiedziała, że czuje się zmęczona.

- Boli mnie ząb - dodała kłamiąc, bo jej zęby były białe i mocne jak kość słoniowa.

Na koniec wyslizgnęła się z łoża, założyła atlasowe pantofelki i powiedziała:

- Nie wzywaj mnie następnej nocy, panie. Musiałabym odpowiedzieć naczelnemu eunuchowi, że nie przyjdę, gdybyś przysłał go po mnie.

Cesarz zaniepokoił się, znał bowiem jej nieugiętą wolę. Wiedział, że go nie kocha, więc musiał błagać o jej łaski i targować się o nie. Zakłopotany pozwolił jej odejść. Przez następne dwie noce nie zjawiała się w jego sypialni, a on nie ośmielił się po nią posłać, bojąc się śmiechu w pałacu, gdyby eunuchowie dowiedzieli się, że znów mu odmówiła. Znali jej sposoby, wiedzieli, jak często cesarz musiał posyłać jej podarunki, aby raczyła do niego wrócić. Ostatnim razem było to rzeczywiście dokuczliwe, bo nie chciała okazać posłuszeństwa, zanim nie posłał eunucha do jednej z południowych prowincji po odrobinę kości dzioborożcowej - dziwnej, rzadkiej substancji z opancerzonego dziobu dzioborożca żyjącego w dżunglach na Malajach oraz na Borneo i Sumatrze. Tz'u Si usłyszała o tym ptaku i marzyła o ozdobie z żółtej narośli zdobiącej jego gruby dziób pokryty szkarłatną skórą. Kość ta trafiła po raz pierwszy na dwór cesarski setki lat temu jako danina z Borneo i była tak rzadka, że tylko cesarze nosili ją w postaci guzików, sprzączek i pierścieni, a szkarłatną skórą pokrywano ceremonialne pasy. Mimo to księżniczki cesarskiego domu nadal nie przestawały śnić o owej tajemniczej kości, choć nie wolno jej było nosić żadnej kobiecie. Tz'u Si również o niej marzyła. A jeśli marzyła - musiała ją mieć. Kiedy cesarz wyjaśnił jej cierpliwie, dlaczego nie może jej dostać i jak bardzo rozżłościłoby to księżniczki, gdyby jej uległ, odrzekła, że musi zaspokoić swe pragnienie, i usunęła się na kilka tygodni, aż zrozpaczony cesarz, widząc, jak potrafi być niezmienną i nieugiętą, kiedy w grę wchodzi jej wola, spełnił to żądanie.

- Jakże bym chciał kochać mniej kłopotliwą kobietę - skarżył się potem naczelnemu

eunuchowi.

An Teh-hai przytaknął mu uniznienie:

- Wszyscy byśmy tego chcieli, Najwyższy, ale wszyscy ją kochamy. Z wyjątkiem kilku osób, które jej nienawidzą.

Tym razem cesarz znów jej uległ i przesłał jej swą obietnicę. Trzeciej nocy, ostatniej przed urodzinami, wezwał do siebie Tz'u Si, która pojawiła się dumna, piękna i wesoła, a uzyskawszy to, czego pragnęła, hojnie go za to wynagrodziła. Tej samej nocy Jung Lu otrzymał cesarskie zaproszenie na urodzinową uroczystość.

Świąteczny dzień wstał rześki i jasny. Powietrze było czyste po wcześniejszych burzach piaskowych. Tz'u Si obudziła się pośród hałasu i muzyki. Kiedy tylko wzeszło słońce, na wszystkich podwórzach miasta wystrzeliły petardy, zadźwięczały gongi i rozbrzmiały trąby. Przez trzy dni w każdej wsi i w każdym mieście cesarstwa nie wolno było nikomu pracować.

Wstała z łóżka wcześniej, królewska jak nigdy jeszcze dotąd, ale jak zwykle uprzejma w stosunku do wszystkich otaczających ją kobiet - równie czuła i troskliwa dla służącej jak dla najwyższej rangą damy dworu. Pozwoliła się wykąpać i ubrać, zjadła swój poranny posiłek. Potem przyniesiono następcę tronu ubranego w królewskie, szkarłatne atłasy, w kapeluszu znamionującym jego niezwykłą rangę. Wzięła go w ramiona z sercem przepełnionym miłością i dumą. Wdychała zapach jego wonnych policzków i małych, pulchnych, silnych i zdrowych rączek, szepcząc: - Jestem dziś najszczęśliwszą z kobiet na tej ziemi.

Uśmiechał się swym niemowlęcym uśmiechem, a do jej oczu napłynęły łzy. Nie, nie będzie się niczego lękać, nawet zazdrosnych bogów. Była silna i nikt na ziemi i na niebie nie mógł jej dosięgnąć. Jej tarczą i pancerzem było jej przeznaczenie.

Teraz, kiedy nadeszła godzina, wezwała swe panie i poprzedzając następcę tronu, ruszyła w pałacowej lektyce do Najwyższej Sali Tronowej, znajdującej się w samym centrum Zakazanego Miasta. Sam cesarz wybrał tę najświetniejszą z sal, by służyła jako miejsce przyjmowania darów urodzinowych. Miała dwieście stóp długości, sto stóp szerokości, sto dziesięć stóp wysokości i była największą ze wszystkich sal pałacowych. Otoczona dwiema mniejszymi salami wyrastała z szerokiego marmurowego tarasu, nazywanego Smoczym Chodnikiem, do którego prowadziło pięć kondygnacji marmurowych schodów, między którymi wyrzeźbiono cesarskie smoki. Na tarasie stały połączone zbiorniki na wodę, paleniska kadzideł, tarcze zegarów słonecznych i klepsydry piaskowe - symbole Nieba i Ziemi, a wszystko to otoczone było marmurową balustradą, której kolumnienki powtarzały

święte liczby bogów. Tego dnia dach sali złoto połyskiwał w słońcu. Jego gładziny nie naruszyło żadne zielsko, żadne źdźbło trawy, kiedy bowiem w dawnych czasach kładziono dachówkę, do zaprawy dodano pewnej trucizny, która zabijała przyniesione wiatrem nasiona wszelkich roślin.

Niestety, Najwyższa Sala Tronowa była miejscem tak świętym, że nigdy nie weszła do niej żadna kobieta, i nawet duma i piękność Tz'u Si nie mogły dać jej tam wstępu. Wpatrzyła się w złoty dach, rzeźbioną bramę, malowane okapy i usunęła się do mniejszej, wybranej przez siebie Sali Centralnej Harmonii, wołąc ją od Sali Wzniosłej Harmonii.

Cesarz pomyślał jednak o niej. Kiedy wraz z synem, którego piastował w ramionach księżę Kung, przyjmował dary od narodu, z wysokości Smoczego Tronu rozkazał, aby eunuchowie zanosili je wszystkie do Sali Centralnej Harmonii. Tak więc demonstrowano je Tz'u Si, która badała je i chwaliła, a choć nie wyrażała radości z powodu ich wspaniałości, bo żaden dar nie mógł być dla jej syna zbyt znakomity, wszyscy, którzy patrzyli na jej twarz, odkrywali radość w jej błyszczących oczach i ożywionym spojrzeniu, bo danina była rzeczywiście bardzo bogata i cenna.

Dzień był zbyt krótki, by przyjąć wszystkie dary, więc kiedy słońce zaczęło zachodzić, odłożono na bok podarunki, które należało jeszcze obejrzeć - wszystkie od pomniejszych książąt i mniej ważnych osób. Księżyc wzeszedł i nadeszła godzina uczyty w cesarskiej sali bankietowej, w której odbywały się jedynie najważniejsze uroczystości. Do niej właśnie skierował swe kroki cesarz i jego małżonki, które usiadły osobno przy stole, a tuż obok nich na kolanach stryja, księcia Kunga, figłował następca tronu. Cesarz nie mógł oderwać oczu od dziecka, a chłopczyk był istotnie w doskonałym nastroju. Jego wielkie oczy, tak podobne do oczu matki, wpatrywały się w ogromne świece błyszczące w zawieszonych nad stołami lampach. Błądził wzrokiem od jednej do drugiej, pokazywał je, klaskał w dłonie i śmiał się. Miał na sobie żółtą, atlasową szatę, sięgającą od szyi do welwetowych pantofelków, na której wyhaftowano jedwabną, purpurową nitką małe smoki. Na głowie miał kapelusz z purpurowego atlasu ozdobiony małym pawim piórem, a wokół szyi zamknięty jak zawsze na kłódkę złoty łańcuszek, który Tz'u Si założyła mu po urodzeniu, aby ochronić go przed złymi duchami mogącymi życzyć mu śmierci. Wszyscy podziwiali cesarskiego dziedzica, ale nikt nie wyrażał głośno swego podziwu, nie wspominał również o tym, jaki jest zdrowy i duży, aby nie usłyszały tego okrutne demony, które mogły unosić się gdzieś w pobliżu.

Tylko Sakota, Cesarzowa Wschodniego Pałacu, patrzyła na niego smutno i choć była z natury łagodna, nie potrafiła powstrzymać kilku zrzędliwych słów. Kiedy cesarz uprzejmie zachęcał ją do spróbowania jednej z potraw, potrząsnęła głową i oświadczyła, że nie będzie

jeść, bo nie jest głodna, a z wszystkich potraw tej nie lubi najbardziej. Kiedy zaś Tz'u Si skierowała do niej wyrazy szacunku, udała, że nie słyszy. Siedziała przy świątecznym stole drobna jak ptaszek, jej małe, wychudzone ręce ginęły pod ciężarem zbyt dużych klejnotów, twarz pod wysokim przybraniem głowy była blada i ściągnięta. Kto mógłby robić wyrzuty cesarzowi, że odwrócił się od tej cesarzowej i wybrał inną? Tz'u Si nigdy jeszcze nie wyglądała tak pięknie i nie czarowała takim wdziękiem. Na zły humor Sakoty odpowiedziała idealną cierpliwością i każdy, kto na nią patrzył, chylił czoło przed wielkością jej ducha.

Między niższymi stołami, które zastawiono dla tysiąca gości siedzących na purpurowych poduszkach, uwijali się cicho usługujący eunuchowie przystrojeni w jaskrawe szaty. Na jednym końcu sali znalazły się damy dworu, żony książąt, ministrów i szlachetnie urodzonych, a na drugim zaś sami szlachetnie urodzeni. Blisko Tz'u Si, dokładnie po jej prawej ręce, siedziała pani Mei. Tz'u Si spoglądała na nią z uśmiechem. Obie wiedziały, gdzie siedzi Jung Lu, choć dano mu miejsce przy odległym stole. Goście zastanawiali się bez wątpienia, dlaczego komendant Gwardii został w ogóle uhonorowany zaproszeniem na ucztę. Zapytany o to jeden z przechodzących eunuchów odpowiedział krótko:

- Jest krewnym Cesarzowej Zachodniego Pałacu i znalazł się tu na jej rozkaz.

Dalsze pytania były już zbędne.

Mijały godziny uczt, dworscy muzycy grali na starożytnych harfach, fletach i bębenkach, a dla tych, którzy chcieli oglądać, urządzono przedstawienie teatralne. Dla wygody cesarza i jego małżonek wzniesiono wysoko scenę, ale nie ponad nimi. Następca tronu nareszcie zasnął mocno i naczelnny eunuch wyniósł go z sali, świece paliły się i ociekały woskiem, uroczystość zbliżała się do końca.

- Herbata dla szlachetnie urodzonych - zarządził książę Kung, kiedy naczelnny eunuch powrócił.

Wtedy podano herbatę wszystkim szlachetnie urodzonym, ale nie otrzymał jej dowódca Gwardii, który nie należał do szlachetnie urodzonych. Tz'u Si, pozornie nie patrząc, widziała wszystko. Dała znak swą upierścienioną ręką i zawsze uważny Li Lien-jing w jednej chwili znalazł się u jej boku.

- Weź ode mnie tę czarękę herbaty i zanieś ją memu krewnemu - rozkazała Tz'u Si dźwięcznym i czystym głosem. Nałożyła porcelanową przykrywkę na czarękę, której nie używała, i ująwszy ją w obie dłonie wręczyła eunuchowi. Dumny z wyróżnienia Li Lien-jing zaniósł ją Jung Lu, który powstał, chwycił ją oburącz i postawił na stole. Potem, zwracając się w stronę Cesarzowej Zachodniego Pałacu, w podzięcie ugiął głowę dziewięć razy.

Rozmowy nagle ucichły i ludzie spojrzeli po sobie. Tz'u Si zdawała się tego nie



zauważać. Spojrzała natomiast na panią Mei i znów się uśmiechnęła. Trwało to tylko chwilę. Naczelnny eunuch dał znak muzykom i słodkie dźwięki uniosły się w powietrzu, podczas kiedy zaczęto podawać ostatnie dania.

Księżyc stał wysoko, godzina była późna. Wszyscy czekali, aż cesarz wstanie i uda się na taras, gdzie czekała na niego lektyka. Ale on nie podnosił się. Zaklaskał, a naczelnny eunuch wykrzyknął, by umilkła muzyka.

- Co się stało? - Tz'u Si spytała księcia Kunga.

- Nie wiem, cesarzowo - odpowiedział.

Znów cisza zapadła wśród uczujących, wszystkie oczy zwróciły się w kierunku drzwi, przez które wchodzili i wychodzili eunuchowie.

Syn Niebios nachylił się do swej ukochanej.

- Serce moje - powiedział - spójrz w kierunku wielkich drzwi!

Tz'u Si spojrzała i zobaczyła sześciu eunuchów dźwigających złotą tacę, która była tak ciężka, że aż przysiadali, podpierając ją głowami. Leżała na niej ogromna brzoskwinia, z jednej strony złota, z drugiej czerwona. Brzoskwinia? To symbol długiego życia.

- Ogłoś wszystkim, że jest to dar dla matki następcy tronu - rozkazał cesarz swemu bratu.

Księżę Kung powstał.

- Oto dar Syna Niebios dla Tz'u Si, matki następcy tronu!

Wszyscy wstali i złożyli pokłon, podczas kiedy eunuchowie podeszli z tacą do Tz'u Si.

- Weź brzoskwinie do rąk - polecił teraz Syn Niebios.

Położyła ręce na olbrzymim owocu. Ten podzielił się i rozpadł. W środku ujrzała parę pantofelków z różowego aksamitu haftowanych drobnym ścięciem w złote i srebrne kwiaty ozdobione klejnotami różnych barw i odcieni. Wysokie obcasy - umieszczone zgodnie z mandżurską modą na środku podeszwy - wyszyto perłami tak gęsto, że pokrywający je atłas wyglądał jak inkrustowany.

Tz'u Si podniosła lśniące oczy na twarz Syna Niebios.

- To dla mnie, panie mój?

- Tylko dla ciebie - powiedział.

Był to śmiały podarunek, symbol zmysłowej miłości mężczyzny do kobiety.

Wkrótce z południa nadeszły złe wieści. Nadeszłyby już wcześniej, ale wicekról prowincji Kuang, Je Ming-Cz'en, zwlekał z ich przekazaniem, aż minie święto. Teraz nie

mógł dłużej ukrywać świeżego nieszczęścia. Wysłał kurierów konną sztafetą do stolicy z wieścią, że lord Elgin znów zagroził atakiem na miasto Kanton. Tym razem groźba była poważna - sześć tysięcy wojowników czekało na okrętach wojennych w porcie u ujścia Rzeki Perłowej. Nawet gdyby w mieście nie kryli się chińscy buntownicy, wojska cesarskie z trudem mogłyby stawić czoło takiej masie wroga. Niestety miasto roilo się od rebeliantów, którzy nazywali się chrześcijanami. Przewodził im szaleniec Hung, nieuk, ale człowiek silny, który stale głosił, że został zesłany przez obcego boga o imieniu Jezus, aby obalić tron mandżurski.

Kiedy te rozpaczliwe wieści dotarły do cesarskiego miasta, ksiązę Kung, który otrzymał je pierwszy, nie śmiał przedstawić ich cesarzowi. Od uroczystości urodzin syna cesarz nie wstawał z łoża. Podjadł wtedy smacznie i wypił zbyt wiele. Teraz dla uśmierzenia bólów nieustannie palił opium, tak że nie mógł odróżnić dnia od nocy. Ksiązę Kung przesłał więc kilka słów do Tz'u Si, prosząc ją o natychmiastową audiencję. Spotkali się tego samego dnia, wczesnym popołudniem. Tz'u Si weszła do cesarskiej biblioteki i zajęła miejsce za parawanem, ponieważ ksiązę Kung nie przyszedł sam. Przybył z nim Wielki Radca Su Szun i jego sojusznik, ksiązę Ts'ai, a z nimi ksiązę Yi, młodszy brat Syna Niebios, człowiek uległy - ani bystry, ani tym bardziej mądry, ale łatwo ulegający uczuciu zazdrości i złym humorom. Otoczeni przez eunuchów, którzy im usługiwali, wysłuchiwali teraz wiadomości. Ksiązę Kung odczytywał je ze zwoju sporządzonego własnoręcznie przez wicekróla.

- To bardzo niepokojące, bardzo niepokojące - wymamrotał Su Szun.

Był wysokim, postawnym mężczyzną o silnych, grubych rysach i Tz'u Si zastanawiała się, jak to się mogło stać, że jego córką jest pani Mei - tak piękna i delikatna.

- Bardzo niepokojące - zgodził się ksiązę Yi wysokim, słabym głosem.

- Niepokojące do tego stopnia - powiedział ksiązę Kung - że musimy zastanowić się nad tym, czy zawładnąwszy Kantonem i umocniwszy się tam, ów Elgin nie zażąda, by przyjąć go tu, na cesarskim dworze.

Tz'u Si uderzyła ręką o rękę.

- Nigdy!

- Czcigodna - powiedział smutno ksiązę Kung. - Ośmielam się zauważyć, że nie możemy odmówić wrogowi tak potężnemu.

- Musimy walczyć przebiegłością - odparła. - Musimy wciąż obiecywać i zwlekać.

- Nie potrafimy zwyciężyć - oznajmił ksiązę Kung.

Teraz wystąpił jednak Wielki Radca Su Szun.

- Zwyciężyliśmy przecież dwa lata temu, kiedy do Kantonu wdarł się Anglik

Seymour. Wszak pamiętasz, książę, że został wyparty. Za każdą głowę Anglika zaoferowano wtedy premię w wysokości trzydziestu sztuk srebra, a kiedy głowy złożono wicekrólowi, ten kazał je obnosić po ulicach miasta. Kazał też spalić wszystkie angielskie magazyny. I Anglicy wycofali się.

- Tak właśnie było - przytaknął książę Yi.

Jednak książę Kung nie wyglądał na przekonanego. Stał wysoki, piękny, silny - zbyt młody, by otwarcie przeciwstawić się pozostałym mężczyznom. Niemniej przemówił.

- Anglicy wycofali się tylko po to, by posłać po posiłki. Teraz te posiłki nadeszły. A na dodatek Francuzi pragnący zawładnąć należącymi do nas Indochinami obiecali Anglikom pomoc. Za pretekst do walki z nami posłuży im jeszcze raz sprawa francuskiego księdza, torturowanego i zabitego w Kuangsi. Powiada się też, że lord Elgin otrzymał instrukcje od swej władczyni zawierające polecenie, by domagał się od nas przyznania jednemu z ministrów jej dworu rezydencji w cesarskiej stolicy, w chwili gdy ona sobie tego zażyczy.

Tz'u Si nie zmieniła swej woli, ale miała szacunek dla księcia Kunga i tak bardzo chciała zachować jego lojalność, że powiedziała uprzejmie:

- Nie wątpię, że masz rację, lecz jednocześnie zastanawiam się, czy ją masz. Jestem pewna, że moja siostra, królowa Zachodu, nie wie, czego w jej imieniu domaga się ów lord. Poza tym, dlaczego nie zaatakowali nas wcześniej, od razu po tym, jak ich wyparliśmy?

Książę Kung nadal wyjaśniał cierpliwie.

- Zwłoka, cesarzowo, spowodowana była buntem Hindusów, o którym mówiłem ci parę miesięcy temu. Jak wiesz, całe Indie znajdują się we władaniu Anglików. Kiedy ostatnio wybuchło tam powstanie, w wyniku którego zginęło wielu angielskich poddanych, armia stłumiła je z przerażającą siłą. Uporawszy się z buntem, przybywają teraz tutaj. Boję się, że kiedyś zechcą nami zawładnąć, tak jak to zrobili z Indiami. Któż wie, jak daleko sięga ich chciwość? Ludzie z wysp zawsze są chciwi, bo kiedy się mnożą, nie mają jak się rozprzestrzenić. Kiedy padniemy, padnie z nami cały nasz świat. Musimy temu zapobiec za wszelką cenę.

- To prawda, musimy - zgodziła się Tz'u Si.

Ale wciąż wątpiła. Kiedy zaczęła mówić, jej głos był spokojny i nie pokazywała po sobie zatroskania.

- Nasz kraj jest rozległy, mury pałaców silne - nie sądzę, by tak szybko i łatwo mogło dojść do klęski. Ponadto Syn Niebios jest zbyt chory, by go niepokoić. Wkrótce opuścimy miasto na lato. Zaniechajmy działań, aż minie gorąca pora i powrócimy z Pałacu Letniego. Przekażcie wicekrólowi, by przyrzekł Anglikom, iż powiadomi tron i przedstawi ich żądania.

Kiedy otrzymamy jego memoriał, wyślemy wiadomość, że Syn Niebios jest chory i musimy poczekać na chłody, aby poczuł się lepiej i mógł podjąć decyzję.

- To mądra rada! - zawołał Wielki Radca.

- W rzeczy samej - potwierdził książę Ts'ai, a książę Yi kiwał głową potakująco. Jedynie książę Kung milczał i ciężkie westchnienia dobywały się z jego piersi.

Tz'u Si nie zwracała jednak uwagi na owe westchnienia i zakończyła audiencję. Z cesarskiej biblioteki udała się do pałacu, w którym pod opieką nianiek i eunuchów przebywał jej syn. Pozostała z nim przez wiele godzin, patrząc na niego, kiedy spał, trzymając go na kolanach, kiedy się obudził, a kiedy chciał chodzić, pozwoliła mu trzymać się swej ręki. Był dla niej źródłem zdecydowania i siły. Przychodziła tu, kiedy czuła lęk, aby odzyskać odwagę. Był jej maleńkim bóstwem, diamentem w lotosie, wielbiła go całym sercem i całą swą istotą. Jej serce rozpływało się z miłości, tuliła syna w ramionach, mocno przyciskając go do siebie. Pragnęła, aby był tak bezpieczny jak wtedy, gdy nosiła go w swym łonie.

Godziny spędzone z dzieckiem sprawiły, że Tz'u Si mogła z nowymi siłami powrócić do pałacu i oddać się swym zwykłym zajęciom. Znowu studiowała wszystkie nadchodzące listy i memoriały i decydowała, jakie rozkazy powinien wydać cesarz w odpowiedzi.

W miesiącach poprzedzających lato zaaranżowała małżeństwo swej siostry z Siódmym Księciem, o nazwisku Cz'un, imieniu Jjian. Spotkała się z nim podczas prywatnej audiencji, aby przyrzeć mu się w imieniu swej siostry. I chociaż twarz miał brzydką, a głowę w stosunku do ciała zbyt dużą, uznała, że jest mężczyzną uczciwym i prostym, bez osobistych ambicji. W dodatku wydawał się wdzięczny za tę propozycję. Ślub odbył się przed odjazdem dworu do Jlian Ming Jjian. Był skromny z uwagi na chorobę cesarza, i tylko Tz'u Si wiedziała, że w oznaczonym dniu wszystkie stosowne uroczystości odbyły się w pałacu księcia Cz'una, który znajdował się poza murami Zakazanego Miasta.

Lato przemijało smutno nawet w Jjian Ming Jjian, bo kiedy cesarz był chory, unikano muzyki, teatru i wesołych zabaw. Wspaniałe dni mijały jeden po drugim, ale Tz'u Si, pomna swego dostojęstwa, wydała tylko jedno przyjęcie, które odbyło się na łodziach na Lotosowym Jeziorze. Żyła bardzo samotnie. Nie śmiała posuwać się dalej w uznawaniu Jung Lu, bo po uroczystości urodzinowej plotki rozeszły się jak dym w suchym lesie i wszyscy już wiedzieli, że była z nim kiedyś zaręczona. Dopóki nie zdobędzie władzy i pozycji tak silnej, że żaden atak nie zdoła jej osiągnąć, nie mogła zrobić dla Jung Lu niczego więcej, aby nie użyto tego przeciw niej czy przeciw jej synowi. Choć była młoda i namiętna, była jednak panią siebie i jeśli tak postanowiła, potrafiła uczynić z cierpliwości swą siłę.

Tego roku dwór powrócił do Zakazanego Miasta wczesną jesienią. Kiedy po święcie

plonów, które przebiegło spokojnie, nadal panował pokój, Tz'u Si uznała, że zdecydowała mądrze, nie pozwalając na wojnę z cudzoziemcami. Wicekról Je przysyłał zresztą pomyślniejsze wiadomości. Donosił, że Anglicy, choć źli na zwłokę, są jednak bezsilni, a ich przywódca, lord Elgin, „prze-stępuje w Hongkongu z nogi na nogę i ciężko wzdycha”.

- Oto dowód - obwieściła triumfalnie Tz'u Si - że królowa Zachodu jest moim sprzymierzeńcem.

Jedynie zły stan zdrowia cesarza napelniał Tz'u Si smutkiem. Nie udawała nawet przed sobą, że kocha tę nieruchomą, przeźroczystą postać leżącą w milczeniu na żółtych, atlasowych poduszkach, ale obawiała się jego śmierci ze względu na zamieszanie związane z sukcesją. Następca był zbyt młody na objęcie Tronu Smoka, więc można się było spodziewać potężnych kłótni o to, kto zostanie regentem. Ona, tylko ona powinna zostać regentką, ale czy potrafi pochwycić władzę i utrzymać ją dla swego syna? Z roszczeniami wystąpią silni mężczyźni z klanów mandżurskich. Możliwe było nawet to, że jej syn zostanie odsunięty i jego miejsce zajmie inny władca. Ach, wszędzie knuto spiski! Wiedziała od Li Lien-jinga, że przywódcą najgroźniejszego jest sam Su-Szun, który sprzymierzył się z księciem Yi i księciem Czengiem. Istniały też inne, złożone z mniej znacznych osobistości. Któż mógł wiedzieć o nich wszystkich? Na szczęście jej doradca, książę Kung, był uczciwy, nie spiskował też naczelnny eunuch, An Teh-hai. Byłby groźnym przeciwnikiem dzięki swej władzy nad eunuchami, ale pozostał wobec niej lojalny, ponieważ była ukochaną jego pana. Naczelnny eunuch kochał swego kruchego władcę po części z przyzwyczajenia, po części dlatego, że dzięki niemu żyło mu się dobrze, i zawsze stał w pobliżu wielkiego, rzeźbionego łoża, na którym cesarz leżał nieruchomo, rzadko się odzywając. To naczelnny eunuch wysłuchiwał jego szeptów i pochylał się nad nim, aby dowiedzieć się, czego mu potrzeba. Czasami, kiedy wszyscy spali, udawał się do Tz'u Si, aby jej powiedzieć, że cesarz boi się i pragnie dotknąć jej ręki i spojrzeć na jej twarz. Wtedy ubrana w ciemną szatę podążała za naczelnym eunuchem cichymi przejściami aż do mrocznej komnaty, w której stale tliły się świece. Zajmowała miejsce obok wielkiego łoża, brała w swe ręce chłodne, martwe dłonie cesarza i pozwalała mu na siebie patrzeć, pocieszając go czułym spojrzeniem. Siedziała tak, aż zasnął i mogła znów się wymknąć. Naczelnny eunuch, który obserwował ją z daleka, dostrzegł jej niezmierną cierpliwość, wytrwałą grzeczność i troskliwość. Odtąd zaczął jej okazywać to samo oddanie i lojalność, jakie okazywał cesarzowi od chwili, kiedy jako dwunastoletnie dziecko wykastrowane przez własnego ojca przekroczył bramy Zakazanego Miasta. An Teh-hai nie był rzecz jasna nieskazitelny - brał, co chciał z wielkich zasobów swego pana, i wszyscy wiedzieli, że zgromadził wielkie skarby. Potrafił być również okrutny

- mężczyźni i kobiety ginęli od sznura lub noża, kiedy dając znak śmierci, kierował kciuk do ziemi. Jednak w głębi swego samotnego serca ukrytego pod rosnącą z wiekiem warstwą tłuszczu kochał swego władcę. Teraz, patrząc, jak z każdym dniem cesarz bliższy jest śmierci, przynosił powoli swe dziwne, niezłomne oddanie na młodą, piękną i silną kobietę, którą cesarz kochał bardziej niż kogokolwiek. I on pozostanie jej wierny.

Nikt nie był przygotowany na straszną wieść, która dotarła do bram pałacowych pewnego zimowego dnia o zmierzchu. Był to dzień podobny do innych, szary, chłodny, zapowiadający śnieg. Miasto było ciche, załatwiano jakieś sprawy, ale niemrawo. W pałacu nie było wielkiego ruchu, nie odbywały się audiencje, bo sprawy wielkiej wagi przedkładano zastępującemu cesarza księciu Kungowi, a decyzje odłożono na później.

Tz'u Si spędziła dzień na malowaniu. Jej nauczycielka, pani Miao, stała obok niej, nie udzielając już rad ani też niczego nie zakazując. Patrzyła, jak jej cesarska uczennica maluje kwitnące gałęzie brzoskwini. Niełatwo było zadowolić nauczycielkę, Tz'u Si pracowała więc uważnie i w milczeniu. Najpierw musiała nasączyć pędzelek tuszem w taki sposób, by za jednym pociągnięciem nadać gałązce nie tylko jej kształt, ale także odcień. Udało się jej to zrobić znakomicie.

Pani Miao pochwaliła ją.

- Świetnie, Czcigodna.

- Jeszcze nie skończyłam - odpowiedziała Tz'u Si.

Z równą uwagą pociągnęła inną gałązkę, przeplatając ją wokół pierwszej. Ale teraz pani Miao milczała. Tz'u Si zmarszczyła brwi.

- Nie podoba ci się to, co zrobiłam?

- Nie chodzi o to, co lubię lub czego nie lubię, Czcigodna - odpowiedziała dama. - Pytanie, które musisz sobie zadać, brzmi: czy mistrzowie w malowaniu kwiatów brzoskwini spleliby dwie gałązki w ten sposób.

- Dlaczego mieliby tego nie zrobić? - spytała Tz'u Si.

- Sztuką włada instynkt, nie rozumowanie - odpowiedziała dama. - Po prostu nie zrobiliby tak.

Tz'u Si rozwarła szeroko oczy, zacisnęła czerwone usta - była gotowa do sprzeczeki, ale pani Miao nie chciała się sprzeczać.

- Jeśli, Czcigodna, pragniesz przeplatać gałęzie w ten właśnie sposób, rób tak - powiedziała łagodnie. - Nadszedł czas, kiedy możesz malować tak, jak chcesz.

Zrobiła pauzę i powiedziała z namysłem, unosząc swą delikatną głowę, aby spojrzeć na uczennicę:

- Jesteś amatorką, Czcigodna. Nie ma potrzeby, abyś malarstwo traktowała z taką samą powagą, jak czynią to artyści malarze. Jak czynię to ja i cała moja rodzina. Gdybyś nie musiała dźwigać ciężaru spraw cesarstwa i mogła oddać się sztuce, zostałabyś, Czcigodna, jednym z największych artystów malarzy. Widzę siłę i precyzję twego pędzla, znamionujące geniusz, który potrzebuje jedynie doskonalenia. Niestety, w twoim życiu nie ma dość czasu, abyś do wielu swych wielkości dodała i tę.

Nie dokończyła. Podczas kiedy Tz'u Si słuchała, utkwivszy wzrok w twarzy nauczycielki, do pawilonu, w którym siedziały, wpadł naczelny eunuch. Obie odwróciły się do niego zdziwione i oszołomione - przedstawiał sobą rzeczywiście straszny widok. Widocznie biegł całą drogę, bo przewracał teraz wytrzeszczonymi oczami, oddychał rozrywającymi piersi haustami, a twarz miał bladą i wilgotną. Pomimo chłodu strużki potu spływały po jego galaretowatych policzkach.

- Czcigodna - wydyszał - to straszne...

Tz'u Si wstała natychmiast, gotowa przyjąć wieść o śmierci. Czyjej śmierci...?

- Czcigodna - krzyknął naczelny eunuch - posłaniec z Kantonu... miasto stracone... zawładnęli nim cudzoziemcy... wicekról schwytyany! Usiłował uciec spuszczać się z murów obronnych...

Znów usiadła. Była to klęska, ale nie śmierć.

- Opanuj się - powiedziała z mocą do trzęsącego się eunucha. - Można by sądzić, że wróg dostał się do pałacu.

Niemniej odłożyła pędzelki, a pani Miao usunęła się bezszelestnie. Naczelny eunuch czekał wycierając rękawami pot z czoła.

- Poproś księcia Kunga, aby dołączył tu do mnie - rozkazała Tz'u Si. - Następnie wróć i zajmij, proszę, swe miejsce przy cesarzu.

- Tak, Czcigodna - powiedział pokornie naczelny eunuch i wyszedł w pośpiechu.

W ciągu kilku minut przybył książę Kung. Przyszedł sam, bez Wielkiego Rady i innych książąt. Znał już wszystkie złe wieści, bo to on przyjął od wyczerpanego kuriera memoriał napisany wprawdzie obcą ręką, ale opatrzony pieczęcią wicekróla. Przyniósł to pismo ze sobą.

- Przeczytaj mi - powiedziała Tz'u Si po odebraniu ukłonu.

Czytał powoli, a ona słuchała, siedząc na tronie w swej bibliotece. Zamyślona wpatrywała się w żółte orchidee stojące w wazonie na stole. Memoriał opowiadał o tym, co już słyszała z ust naczelnego eunucha, dodawał tylko więcej szczegółów. Sześć tysięcy zachodnich wojowników zeszło ze statków, stanęło u bram Kantonu i przypuściło atak. Siły

cesarskie dały hałaśliwy pokaz odwagi i umknęły, a wtedy chińscy buntownicy, ukrywający się w mieście, otworzyli bramy i wróg wszedł do środka. Na wieść o klęsce wicekról wybiegł z pałacu na szczyt murów obronnych, skąd wierni oficerowie usiłowali spuścić go na linach. Kiedy był w połowie drogi, chińscy buntownicy dostrzegli go bujającego się na sznurze i krzycząc, powiadomili wrogów. Ci stanęli po murami i odcięli mu drogę odwrotu. Został aresztowany podobnie jak i inni wyżsi rangą urzędnicy cesarscy i deportowany do Kalkuty w dalekich Indiach. Następnie ludzie Zachodu - aroganccy, nie uznający nikogo - ustanowili nowy rząd, złożony tylko z Chińczyków, obalając tym samym dynastię mandżurską. Memoriał głosił dalej, że Anglicy nie zamierzają na tym poprzestać i w imieniu swej królowej chcą wysunąć nowe żądania, które na razie pozostają tajemnicą. Nalegają więc na spotkanie z cesarzem w Pekinie, aby mu o nich powiedzieć.

W cesarskiej bibliotece, w której jeszcze przed godziną Tz'u Si w spokoju malowała kwiaty brzoskwini, spadały na nią teraz okropne wieści. Po ich wysłuchaniu nie powiedziała ani słowa. Siedziała dumając. Książę Kung czekał, aż przemówi. Patrzył na nią z boku i litował się nad tą piękną i samotną kobietą.

- Nie możemy przyjąć na naszym dworze tych nienawistnych cudzoziemców - odezwała się w końcu. - Nadal wierzę, że używają imienia Wiktorii bez jej wiedzy. Nie mogę jednak sięgnąć do jej odległego tronu, tak jak nie mogę powiedzieć naszemu ludowi o śmiertelnej chorobie cesarza. Następca jest wciąż zbyt młody, sprawa sukcesji niejasna. Musimy odmówić wejścia cudzoziemcom. Za wszelką cenę musimy zwlekać, przyrzekać i znów zwlekać, tłumacząc się zimą.

Choć głęboko zaniepokojony, książę Kung czuł dla niej wielkie współczucie, powiedział więc delikatnie:

- Cesarzowo, powiem to, co mówiłem dotychczas. Nie rozumiesz natury tych ludzi. Jest za późno. Ich cierpliwość jest na wyczerpaniu.

- Zobaczymy - powiedziała.

I było to wszystko, co mogła powiedzieć. Potrząsnęła tylko głową na jego błagania i rady, powtarzając z pobladłą twarzą, z czarnymi cieniami pod tragicznymi oczami:

- Zobaczymy, zobaczymy...

Niebo mi pomaga, powiedziała sobie Tz'u Si, bo rzeczywiście zima była tak ciężka, że przechodziło to ludzkie pojęcie. Dzień po dniu, kiedy wstawała rano i spoglądała przez okno, śnieg był głębszy niż dnia poprzedniego. Cesarscy kurierzy jechali na południe trzy razy dłużej niż zwykle. Mijały miesiące, zanim odpowiedzi cesarzowej docierały znów do



Kantonu. Stary wicekról Je marniał w więzieniu w Kalkucie, do którego wtrącili go Anglicy, ale jej serce było dla niego twarde. Zawiódł Tron Smoka, nie mogło być żadnego usprawiedliwienia dla tej porażki, żadnego wybaczenia. Niech umrze! Współczucie i miłosierdzie zachowa dla tych, którzy potrafią jej służyć.

Zima wlokła się powoli, aż wreszcie przyszła wiosna - przykra i niespokojna. Tz'u Si czekała z tęsknotą na pierwsze liście rozkwitające z pąków drzewa daktylowego i na pierwsze rozłupujące ziemię pędy bambusa. W pałacu kwitły święte lilie w naczyniach ocieplanych popiołem węgla drzewnego. Karłowata śliwa, pobudzona do życia ciepłem pieców, kwitła w porcelanowym dzbanie. W swych pokojach Tz'u Si stworzyła z tych kwiatów sztuczną wiosnę, kazała wieszać klatki z ptakami na gałęziach rosnących w donicach drzew, aby móc słuchać ich śpiewu. Kiedy myślała o niebezpieczeństwach, przed którymi stał naród, sprawiało jej ulgę, kiedy mogła otworzyć klatki i wypuścić ptaki, które siadały jej na ramionach i rękach i wydziobywały jedzenie spomiędzy jej warg. Czule bawiła się też ze swymi psami. Kochała te stworzenia, były bowiem takie niewinne.

Jej mały synek również był niewinny. Najgłębszą radość budziła w niej jego miłość. Na razie kochał tylko ją. Kiedy wchodziła do jego pokoju, choćby nie było jej cały dzień, a nawet dwa - była przecież tak zajęta, zapominał natychmiast o wszystkich innych i padał jej w ramiona. Mogła być okrutna - każdy, kto się jej sprzeciwił, odczuwał natychmiast to bezlitosne okrucieństwo - a jednak nosiła w sercu czułość dla słabych i niewinnych stworzeń, a także dla tych, którzy ją kochali. Znosiła więc zło w Li Lien-jingu, bojąc wielbił. Patrzyła przez palce na jego złodziejstwa, złośliwości i chciwość, z jaką domagał się łapówek od tych, którzy próbowali za jej pośrednictwem uzyskać łaskę u cesarza. Tak samo, jak wybaczała cesarzowi jego bezradność, zepsucie i szaleństwa z kobietami, z którymi spędzał noce, bo choć przy niej od dawna był impotentem, jego męska siła wracała czasem przy innych kobietach, młodych i łagodnych. Mogła mu to wybaczyć, bo wiedziała, że kocha tylko ją. Wybaczała, bo sama nie kochała. Traktowała go z czułością, bo była kochana.

O tym wszystkim wiedział książę Kung, a ona wiedziała, że on o tym wie i że nigdy tej wiedzy nie ubierze w słowa. Widziała to w jego oczach i słyszała w grzecznym tonie jego głosu. Była jednak tak samotna, jak to się może zdarzyć tylko tym, którzy stoją bardzo wysoko i ze swej samotności nie mogą zwierzyć się nikomu. Książę Kung starał się jej pomóc - w swej lojalności był wprost niezachwiany, chociaż nie jako mężczyzna, bo miał żonę, którą kochał, kobietę cichą, słodką, spełniającą każde jego życzenie. Była córką starego, poważanego mandaryna o nazwisku Kuei Liang, człowieka obdarzonego zdrowym rozsądkiem, zawsze wiernego Tronowi Smoka, który służył dobrymi radami obecnie

panującemu cesarzowi, Sien Fengowi, jak służył nimi zmarłemu ojcu cesarza, Tao Kuangowi.

Wiosna mijała z wolna. Przeszła w lato, a Tz'u Si wciąż nie mogła się zdecydować, czy bezpiecznie byłoby się udać do Pałacu Letniego. Tęskniła za jego spokojem. Całą zimę nie wyjrzała poza mury Zakazanego Miasta i była niemal chora z tęsknoty za widokiem gór i jezior w Jiian Ming Jiian. Nigdy nie tęskniła do piękna tak jak teraz, kiedy wszystko wokół niej było niepewne. Tęskniła za naturalnym pięknem nieba, wody i ziemi. W nocy nie śniła o kochankach, ale o ogrodach nie ograniczonych murami, o kojącym świetle księżyca na odległych, nagich wzgórzach. Godzinami ślęczała nad zwojami, na których namalowane były pejzaże i wiejskie sceny, wyobrażając sobie, że wędruje brzegami rzek lub morza albo że śpi w nocy w lesie sosnowym lub w świątyni ukrytej w bambusowym gaju. Budząc się z marzeń płakała, bo były tak rzeczywiste, tak czyste jak zapamiętane na zawsze wspomnienia, których jednak nigdy nie można naprawdę zobaczyć.

Pewnego dnia lotem błyskawicy rozeszły się pogłoski o nadchodzącym nieszczęściu, którego podświadomie oczekiwała, i natychmiast porzuciła nadzieje na Jiian Ming Jiian. Okręty cudzoziemców posuwały się wzdłuż wybrzeża na północ. Cesarscy kurierzy pędzili sztafetą w dzień i w nocy, by przynieść wieści, zanim statki znajdą się w forcie Taku w Tientsinie, mieście położonym niecałe osiemdziesiąt mil od stolicy. Przerazenie ogarnęło zarówno ludzi prostych, jak dworzan. Cesarz ożywił się i rozkazał, aby w sali audiencyjnej zgromadzili się Wielcy Radcy, ministrowie i książęta; wezwał również obie małżonki, by zasiadły za Smoczym Parawanem. Opierając się na ramieniu swego eunucha, nadeszła Tz'u Si i zasiadła na wyższym z dwu małych tronów. Po chwili pojawiła się Cesarzowa Wschodniego Pałacu i Tz'u Si, zawsze dworna, wstała i czekała, aż tamta usiądzie na drugim tronie. Druga cesarzowa postarzała się dziwnie szybko, choć nie ukończyła jeszcze trzydziestu dwu lat, jej twarz wydłużyła się, schudła i przybrała wyraz smutku. Kiedy Tz'u Si uścisnęła jej rękę, uśmiechnęła się blade.

Któż jednak myślałby teraz o jednej osobie, kiedy zagrożeni byli wszyscy? Szlachetne zgromadzenie słuchało w milczeniu księcia Kunga, który powstał, aby ogłosić złe wieści. Odziany w złote szaty cesarz siedział na Smoczym Tronie, zwiesił nisko głowę, a twarz ukrył do połowy za jedwabnym wachlarzem, który trzymał w prawej ręce.

Wygłosiwszy stosowne powitanie, książę Kung rozpoczął odkrywanie ciężkiej prawdy.

- Mimo wszelkich starań Tronu Smoka obcy przybysze nie zostali na południu. Płyną w naszym kierunku wzdłuż wybrzeży, na statkach uzbrojonych i wiozących wojowników. Musimy mieć nadzieję, że zatrzymają się w forcie Taku i nie wejdą do samego

miasta Tientsinu, od którego dzieli nas tak niewielka odległość.

Klęczące zgromadzenie wydało jęk i przygięło głowy do ziemi.

Książę Kung zająknął się, po czym kontynuował.

- Choć za wcześnie o tym mówić, jednak obawiam się, że ci barbarzyńcy nie będą przestrzegali ani naszych praw, ani ceremoniałów! Najmniejsza zwłoka, a dojdą nawet do cesarskich bram, chyba że zostaną przekupieni i skłonieni do powrotu na południe. Spójrzmy w twarz najgorszemu, przestańmy marzyć. Nadeszła ostatnia godzina. Przed nami tylko smutek.

Gdy książę Kung skończył czytać cały przygotowany przez siebie memoriał, cesarz zakończył audiencję, dając zgromadzeniu czas na przemyślenie swego sądu i rady. Wstał i podpierany przez dwóch książąt, swych braci, szykował się do zejścia z tronu, kiedy nagle zza Smoczego Parawanu dał się słyszeć czysty głos Tz'u Si.

- Ja, która nie powinnam zabierać głosu, muszę jednak przerwać milczenie, które mi przystoi!

Cesarz stał niepewny, zwracając głowę w prawo i w lewo. Przed nim klęczeli z bezruchu zgromadzeni notable. Nikt się nie odezwał.

Milczenie to znów przerwał głos Tz'u Si.

- To ja radziłam cierpliwość wobec zachodnich barbarzyńców. To ja wołałam o zwłokę i oczekiwanie - a teraz powiadam, że się myliłam. Zmieniłam zdanie, opowiadałam się przeciw cierpliwości, oczekiwaniom i zwłoce, wołam o wojnę z cudzoziemskim wrogiem - o wojnę i śmierć im wszystkim, mężczyznom, kobietom i dzieciom!

Gdyby to był głos mężczyzny, wywołałby zapewne jakąś reakcję. Był to jednak głos kobiety, choć cesarzowej. Nikt nie przemówił, nikt się nie poruszył. Cesarz zatrzymał się na chwilę, następnie wciąż podtrzymywany przez braci zszedł z tronu. Podczas kiedy wszystkie głowy dotykały ziemi, wszedł do swego żółtego palankinu i otoczony chorążymi i strażnikami powrócił do swego pałacu.

Potem, odczekawszy stosowną chwilę, odeszły obie cesarzowe. Nie zamieniły z sobą ani słowa, jeśli nie liczyć niezbędnych formułek grzecznościowych, ale Tz'u Si zauważyła, że Tz'u An unika jej i patrzy w bok. Tz'u Si wróciła do swych apartamentów i w miarę jak mijał dzień, coraz niecierpliwiej czekała na cesarskie wezwanie, które nie nadchodziło. W ciszy dumiała roztargniona nad swymi książkami. I kiedy nadszedł wieczór, a ona wciąż nie została wezwana, zasięgnęła wiadomości u swego eunucha, Li Lien-jinga. Dowiedziała się, że cesarz zmitrężył cały dzień ze swymi pomniejszych konkubinami i nawet nie wspomniął jej imienia. Tak twierdził naczelnny eunuch, który musiał stać u boku swego pana i spełniać jego kaprysy.

- Czcigodna - powiedział Li Lien-jing - bądź pewna, że Syn Niebios nie zapomniał o tobie, ale boi się tego, co może się wydarzyć. Czekaj na zdanie swych ministrów.

- A więc zostałam pokonana! - wykrzyknęła Tz'u Si.

Słowa te zbyt wyraźnie były wymierzone przeciw cesarzowi, więc Li Lien-jing udał, że ich nie usłyszał. Pomacał dzbanek z herbatą, zamruczał, że jest zbyt zimny, i trzymając go w rękach, umknął szybko, a jego brzydka twarz była pusta i bez uśmiechu.

Następnego dnia Tz'u Si usłyszała to, czego się spodziewała. Postanowiono, że nie należy stawiać oporu najeźdźcom. Idąc za poradą swych radców i ministrów, cesarz wybrał trzech posłów i polecił im, aby udali się do Tientsinu na rokowania z Anglikiem, lordem Elginem. Był wśród nich także Kuei Liang, ojciec żony księcia Kunga, człowiek znany ze swego zdrowego rozsądku i ostrożności.

- Tak, niestety! - zawołała Tz'u Si, kiedy usłyszała jego imię. - Ten wspaniały człowiek nigdy nie oprze się takiemu przeciwnikowi. Jest zbyt stary, zbyt ostrożny, zbyt uległy.

I rzeczywiście miała rację. W czwartym dniu siódmego miesiąca Kuei Liang podpisał z wojownikami Zachodu traktat, który miał być w ciągu roku opatrzony pieczęcią samego cesarza. Trzej szlachetnie urodzeni wrócili więc ze swym traktatem. Anglicy i Francuzi - wspomagani przez swych przyjaciół, Amerykanów i Rosjan - uzyskali pod groźbą miecza wszystko, czego chcieli. Ich rządy otrzymały prawo utrzymywania w Pekinie swoich przedstawicielstw, ich kupcy i księża mogli odtąd podróżować po całym cesarstwie, nie podlegając jego prawom, opium miało być towarem sprzedawanym legalnie, a wielki port rzeczny Hankou, położony w sercu cesarstwa, tysiąc mil od morza, nazwany został portem traktatowym, w którym mogli osiedlać się biali wraz ze swymi rodzinami.

Dowiedziawszy się o warunkach traktatu, Tz'u Si skryła się w swej sypialni i przez całe trzy dni nie myślała się, nie zdejmowała odzieży ani nie jadła. Nie przyjęła również żadnej ze swych dam, które stawały się coraz bardziej przerażone. W końcu jej eunuch udał się potajemnie do księcia Kunga, donosząc, że Cesarzowa Zachodniego Pałacu leży w łóżu jak umarła, wyczerpana płaczem i zmartwieniem.

Księżę Kung, który otrzymał tę wiadomość w swym pałacu położonym za murami Zakazanego Miasta, pośpieszył do niej z prośbą o audiencję. Tz'u Si zgodziła się - została wykąpana i ubrana, wypita bulion przyniesiony przez służącą i opierając się na ramieniu swego eunucha, poszła do cesarskiej biblioteki, aby przyjąć księcia. Siedząc na swym tronie, słuchała jego rozsądnych słów.

- Cesarzowo, czy sądzisz, że człowiek honoru, jakim jest mój teść, uległby wrogowi,

gdyby miał szansę oporu? Nie dano nam wyboru. Gdybyśmy sprzeciwili się ich żądaniom, pomaszeraliby wprost na cesarskie miasto.

Tz'u Si wyduła dolną wargę.

- Zwykła pogrożka!

- To nie pogrożka - mocno powiedział książę Kung. - Jednego nauczyłem się o Anglikach. Robią to, co zapowiadają.

Niezależnie od tego, czy miał rację, czy jej nie miał, Tz'u Si wiedziała, że jest lojalny, prawdomówny i mądry ponad swój wiek, a ona nie mogła sprzeczać się teraz, kiedy traktat został już zawarty. Była zanadto przejęta smutkiem. Czyżby miała pożegnać już swe nadzieje? Jej syn wciąż był zbyt młody, aby walczyć o siebie. Odprawiła księcia niecierpliwym gestem i powróciła do swej komnaty. W samotności, dniami i nocami obmyślała sekretne sposoby postępowania. Postanowiła ukrywać swe uczucia i myśli, zjednywać przyjaciół, całkowicie poddać się cesarzowi, nie robić mu najmniejszych wyrzutów i czekać. W końcu przeprowadzi swą wolę z żelazną konsekwencją i kamiennym chłodem.

Tymczasem ludzie Zachodu zadowoleni z korzystnego traktatu nie ruszali na północ. Minął rok, aż nadszedł dzień, w którym należało postawić pieczęć pod traktatem. Tz'u Si była teraz zdecydowana wygrać walkę o to, by traktat nie został zatwierdzony, i wygrała ją, ale nie za pomocą gróźb czy argumentów, lecz uwodząc słabego człowieka, jakim był cesarz. Przez cały ten rok znów była delikatna i chętna, więc na nowo stał się jej jeńcem, bo jego rozum zawsze ulegał ciału. Zgodnie z jej radą, którą tym razem wyraziła niezwykle subtelnie, wysłał posłów do białych ludzi władających Kantonem za pośrednictwem chińskich gubernatorów, aby ich powstrzymali - przekupstwem czy też rozmaitymi wymówkami - przed powtórny atakiem na północ z powodu nie zatwierdzonego traktatu.

- Przekonajcie ich, by zadowolili się swym handlem na południu - rozkazał cesarz. - Powiedzcie im, że będziemy zachowywać się przyjacielsko, jeśli zostaną tam, gdzie są. Czyż nie przybyli tu po to, aby handlować?

- Co będzie, jeśli odmówią? - spytał książę Kung.

Pamiętając, co mu powiedziała Tz'u Si podczas długiej nocy, którą spędzili sami, cesarz odrzekł:

- Powiedzcie im, jeśli będziecie musieli, że spotkamy się z nimi później w Szanghaju, aby przypieczętować traktat. W ten sposób wyjdziemy im naprzeciw całe pół drogi. Czy mogą się skarżyć, że nie jesteśmy wspaniałomyślni?

Tz'u Si, udając obojętność dla spraw państwowych, powiedziała bowiem: „Po co

podpisywać traktat? Niech mają nadzieję, a jeśli będą niecierpliwi, powiedz im, że podpiszesz go w Szanghaju. Kiedy tam przybędą, będzie dość czasu, aby zdecydować, co robić dalej”.

Powiedziała to, trzymając w zanadru wojnę jako ostateczną broń. Gdyby najeźdźcy weszli do Szanghaju, czyż nie byłby to dowód, że tylko śmierć powstrzyma ich od dalszych podbojów?

Szlachetni panowie odjechali z tymi rozkazami na początku roku, i tej samej wiosny, skoro tylko ziemia odtajała, cesarz rozkazał, aby forty Taku wzmocniono i obsadzono załogą uzbrojoną w strzelby i armaty zakupione u Amerykanów. Należało to zrobić w tajemnicy, aby Anglicy niczego nie wiedzieli. Plany te zasiała w jego umyśle Tz'u Si podczas leniwych godzin, kiedy go zabawiała, kiedy posłusznie kochała się z nim i kiedy go podniecała, czytając opowiadania i wiersze z zakazanych ksiązek, które znalazła w bibliotekach eunuchów.

Jakież więc zapanowało przerażenie, gdy na początku lata kurierzy przynieśli wieści od cesarskich posłów, że cudzoziemcy nie godzą się na żadne ustępstwa, że ich statki pod dowództwem admirała Hope znów żeglują na północ i są już daleko za Szanghajem! Mimo to dwór i mieszkańcy miasta oświadczyli, że się nie boją. Forty Taku były mocne, a cesarskim żołnierzom przyrzeczono dobrą zapłatę za odwagę. Spokojnie i śmiało oczekiwano ataku.

Tym razem, z pomocą nieba, rzeczywiście odparto nieprzyjaciela. I to z taką mocą, że zniszczono trzy statki wojenne i zabito trzystu nieprzyjaciół. Cesarz nie posiadał się z radości i chwalił Tz'u Si, a ona słuchając tych pochwał, zachęciła go, aby skorzystał z okazji i odmówił najeźdźcom prawa do jakichkolwiek roszczeń. Pieczęci pod traktatem nie postawiono.

Biali ludzie wycofali wojska, ogłoszono pokój. Cały naród wyrażał podziw dla mądrości Syna Niebios, który, jak głośzono, wiedział, kiedy zwlekać i kiedy przystąpić do walki. Zwróćcie uwagę, wołano, jak łatwo pokonano najeźdźców! Ale czy udałoby się ich pokonać, gdyby nie strategia zwłoki i ugody, która sprawiła, że fałszywie oceniali zarówno słabość stolicy, jak i swoją siłę? Obwołano cesarza „Mistrzowsko Przebiegłym i Mądrym”.

Jednak każdy wiedział, kto był doradcą cesarza. Cesarzową Zachodniego Pałacu nazywano potężną i czarodziejską, jej piękność chwalono w prywatnych rozmowach, bo nieprzyzwoicie byłoby mówić o tym publicznie, a w pałacu każdy eunuch i dworzanin ulegał jej najdrobniejszym życzeniom.

Tylko księżę Kung wciąż był pełen obaw i mówił:

- Ludzie Zachodu to tygrysy, które wycofują się, kiedy są zranione, aby wrócić i znów zaatakować.

Wydawało się, że nie miał racji, bo w spokoju przeszedł jeszcze jeden dziwny, spokojny rok. Tz'u Si pogłębiała swą książkową wiedzę, a następcą tronu wyrastał na silnego i zdecydowanego chłopca. Uczył się dosiadać swego czarnego arabskiego konia, lubił śpiewać i śmiać się i był zawsze w znakomitym nastroju, bo gdzie spojrzał, widział tylko przyjazne twarze. Tz'u Si uspokojona i pewna swej potęgi nie odczuwała lęku, kiedy obserwowała, jak syn jej staje się coraz piękniejszy. Minęła wiosna, znów przyszło lato - czas, by wyjechać ze swymi damami i synem do Pałacu Letniego. Rok minął spokojnie i mogła teraz cieszyć się wakacjami.

Niestety, któż mógł przewidzieć, co się wydarzy? Zaledwie dwór udał się do Jjian, kiedy angielscy wojownicy wspomagani przez wojowników francuskich bez ostrzeżenia zaatakowali pełną siłą wybrzeże. Pałali żądzą odwetu. Dwieście okrętów wojennych z dwudziestoma tysiącami zbrojnych na pokładzie wylądowało w porcie CzeFu, w prowincji Czyli. Nie czekając na traktatowe rokowania ani negocjacje, wojska nieprzyjaciela zaczęły przygotowania do najazdu na stolicę.

Kurierzy pędzili dniem i nocą przynosząc czarne wieści. W Zakazanym Mieście nie było czasu na wymówki lub zwłokę. Ponownie wysłano Kuei Lianga w towarzystwie innych wysoko urodzonych, aby perswazją wstrzymał najeźdźców.

- Składajcie obietnice - zalecił przerażony cesarz, kiedy przyszli złożyć mu pożegnalny ukłon. - Zgadzaście się i ulegajcie! Nie mamy wyjścia!

Tz'u Si stała u boku cesarza w jego prywatnej sali audiencyjnej.

- Nie, nie, panie mój - wykrzyknęła - to haniebne! Czy zapomniałeś o swym zwycięstwie? Więcej żołnierzy, panie, więcej siły! Nadszedł czas bitwy!

Nie usłuchał jej. Wyciągnął prawe ramię i odepchnął ją w nagłym przypiływie siły.

- Słyszałeś, co powiedziałem - rzekł do Kuei Lianga.

- Słyszę i jestem posłuszny, Najwyższy - odpowiedział starzec.

Zaopatrzeni w takie rozkazy posłańcy wsiedli na wozy zaprzężone w muły i spieszenie odjechali do Tientsinu, bo najeźdźcy znów niestety przechwycili forty w Taku. Kiedy jednak Kuei Liang odjechał, Tz'u Si, którą niepokój o syna pozbawił wahań, użyła swej tajemnej broni: miękkich ramion, kuszących warg i czułych spojrzeń, i sprawiła że cesarz znów był niepewny.

- Co będzie, jeśli biali ludzie nie dadzą się przekonać? - dowodziła w nocy w sypialni cesarza. - Przezornie będzie przygotować się do ratowania własnego życia.

Przekonała więc cesarza, by rozkazał Seng-ko-lin-cz'inowi, mongolskiemu generałowi, rozpoczęcie przygotowań do walki z cudzoziemcami. Generał ów należał do

książęcej rodziny Korczu ze Środkowej Mongolii wyróżnianej przez mandżurskich cesarzy ze względu na jej lojalność. Nazywano go księciem Sengiem. Dzielny ów człowiek swą odwagą i umiejętnościami zapobiegł ongiś przedostaniu się południowych buntowników do prowincji północnych, dwukrotnie sprawiając im krwawą łaźnię - po raz pierwszy, kiedy byli zaledwie dwadzieścia cztery mile od Tientsinu, a drugi, kiedy zdobył ich kryjówkę w Lienchinie i ścigał niedobitki uciekające do prowincji Szantung.

Tz'u Si zwróciła się teraz do tego niezwycięzonego wodza. Cesarz uległ jej, nie śmiejąc o tym powiedzieć nawet swemu bratu. Książę Seng, otrzymawszy prywatne rozkazy, powiódł więc swych ludzi, aby urządzić zasadzkę w pobliżu fortów Taku, zdecydowany odrzucić białych do morza, tak jak odrzucił kiedyś buntowników. Tymczasem angielscy i francuscy emisariusze, nic nie wiedząc o zasadzce, wysunęli się do przodu, aby spotkać, jak sądzili, cesarskich pełnomocników pod wodzą Kuei Lianga. Ich przywódca niósł białą flagę oznaczającą rozejm, ale książę Seng wziął ją za znak poddania. Dał znak swym ludziom, którzy z okrzykiem rzucili się na zachodni kontyngent, wzięli do niewoli dwóch przywódców, a następnie zatrzymali wszystkich członków poselstwa. Flagę podarto i wdeptano w ziemię, zatrzymanych wtrącono do więzienia i poddano torturom za to, że ośmielili się najechać kraj.

W wielkiej radości przekazano tę wiadomość do stolicy. Jeszcze raz rozgromiono ludzi Zachodu. Cesarz gorąco chwalił Tz'u Si i podarował jej złotą kasetkę pełną klejnotów. Następnie zarządził siedem dni świąt w kraju. Dwór zaś - odprężony i radosny - miał uczestniczyć w specjalnych imprezach teatralnych. Zapowiedziano również, że kiedy książę Seng powróci do stolicy, otrzyma wysokie odznaczenie i hojną nagrodę.

Cieszono się przedwcześnie. Uroczystości i przedstawień teatralnych nigdy nie ukończono. Kiedy wojownicy Zachodu dowiedzieli się o zdradzie, jaką popełniono wobec ich towarzyszy, uformowali nową armię i z taką siłą zaatakowali mongolskiego generała i jego ludzi, że ci, oszołomieni tą furją i przytłoczeni przewagą w uzbrojeniu, uciekali w pośpiechu. Najeźdźcy pomaszzerowali triumfalnie w kierunku stolicy, nie napotykając oporu, dopóki nie doszli do marmurowego mostu o nazwie Palikao, przerzuconego przez rzekę Peiho, w pobliżu miasteczka Tungczau oddalonego zaledwie dziesięć mil od Pekinu. Przy moście tym napotkali cesarskich żołnierzy, wysłanych w pomieszeniu i pośpiechu przez cesarza, którego posłaniec od księcia Senga powiadomił o klęsce. Doszło do bitwy - bitwy, w której cesarscy żołnierze zostali zupełnie rozgromieni. Uciekali do stolicy, oplakując swą klęskę, a do nich dołączali cywilni mieszkańcy prowincji, którzy płacząc, tłoczyli się do miasta w nadziei, że bramy wkrótce zostaną zawarte, chroniąc ich przed wściekłością wroga. W mieście panowało zamieszanie, ludzie miotali się, nie wiedząc, gdzie się schronić. Kobiety i dzieci zawodziły



głośno, mężczyźni krzyczeli i przeklinali się wzajemnie, błagali niebiosa o ratunek. Kupcy zabijali deskami witryny sklepów w obronie przed łupieżstwem najeźdźców, a obywatele posiadający piękne i młode żony, konkubiny lub córki śpieszyli się z opuszczeniem miasta, aby ukryć się z nimi gdzieś w okolicy.

W Pałacu Letnim również panowało wielkie pomieszenie. Książęta zgromadzili się w pośpiechu, aby zdecydować, jak ratować cesarza i następcę tronu, jak ochronić cesarzowe i cesarskie konkubiny, ale nie mogli postanowić, co należy robić, bo nikt nie zgadzał się z nikim, podczas kiedy cesarz trząsał się i płakał, grożąc, że połknie opium.

Tylko książę Kung pozostał sobą. Udał się do prywatnych komnat cesarza, gdzie zastał Tz'u Si z następcą tronu, dworzan i eunuchów, którzy protestowali przeciw decyzji cesarza chcącego popełnić samobójstwo.

- Ach, przyszedłeś - wykrzyknęła Tz'u Si, ujrzawszy księcia.

Cóż to była za ulga ujrzeć mężczyznę o twarzy opanowanej, ubranego porządnie, zachowującego się spokojnie!

Książę Kung złożył głęboki pokłon i zwrócił się do cesarza nie jak do starszego brata, ale do władcy ludu:

- Wybacz mi, panie, że ośmielam się wystąpić z radą do Syna Niebios.

- Mów...-jęknął cesarz.

Książę Kung zaczął w te słowa:

- Pozwól, o panie, aby mi było wolno napisać list do wodza wrogiej armii z prośbą o rozejm. Za twoim przyzwoleniem przyłożę do tego listu cesarską pieczęć.

Tz'u Si słuchała jego słów, nie próbując nawet oponować. Nadeszło to, co książę wcześniej przewidział. Tygrys powrócił, aby wziąć odwet. Milczała z dzieckiem w ramionach, przyciskając policzek do jego główki.

- A ty, panie - ciągnął książę Kung - musisz uciekać do Żeholu, a wraz z tobą następcę tronu, obie cesarzowe i dwór.

- Tak, tak - aż nazbyt chętnie zgodził się cesarz, a wśród kobiet i eunuchów dał się słyszeć pomruk zadowolenia.

Na te słowa Tz'u Si powstała z krzesła i, wciąż trzymając syna w ramionach, wykrzyknęła z oburzeniem do księcia Kunga:

- Cesarz w żadnym razie nie powinien porzucać stolicy! Cóż powiedzą ludzie, jeśli ich teraz opuści? Poddadzą się wrogowi, zostaną unicestwieni. Trzeba ukryć następcę tronu, ale Syn Niebios musi pozostać, a ja pozostanę u jego boku, by mu służyć.

Wszystkie oczy wpatrywały się w nią, kiedy to mówiła. Nikt nie śmiałyby odmówić

ognia i dostojęstwa jej urodzie. Książę Kung mógł jednak tylko jej współczuć.

- Cesarzowo - rzekł najgrzeczniej, jak potrafił - muszę bronić cię przed twą własną odwagą. Ludziom powiemy, że cesarz udał się na wycieczkę myśliwską do swych pałaców w Żeholu. Odjazd powinien nastąpić w ciągu kilku dni, bez pośpiechu, w zwykły sposób. Tymczasem ja wstrzymam intruzów prośbą o rozejm i przyrzeczeniem ukarania mongolskiego generała. Została pokonana i wiedziała o tym. Wszyscy byli przeciwko niej, od samego cesarza do najniższego eunucha. Cóż mogła powiedzieć? W milczeniu oddała dziecko niańce i złożywszy głęboki ukłon, wyszła z cesarskiej sali, a jej damy podążyły za nią.

Pięć dni później dwór opuścił Zakazane Miasto i pociągnął drogą w kierunku Mongolii. Bramy miasta zamknięto przed wrogiem i długi pochód lektyk i wozów zaprzęzonych w muły dźwigające ciężkie ładunki ruszył w liczbie tysiąca dusz w stumilową drogę. Cesarski orszak otwierali chorążowie niosący sztandary o wielu barwach, za nimi postępowała konna Straż Cesarska, prowadzona przez swego komendanta, Jung Lu. Cesarz podróżował w żółtym, szczelnie zasłoniętym palankinie o złotych ramach. Za nim podążała wozem zaprzężonym w muły Cesarzowa Wschodniego Pałacu, a za nią następcą tronu z niańkami. Tz'u Si jechała samotnie, w pewnym oddaleniu. Nie chciała, by ktokolwiek jej towarzyszył. Potrzebowała samotności, by płakać godzinami i oczyścić serce. Ach, jakże wiele straciła! Jej duch był dzielny, ale odwaga w tej godzinie nie wystarczała. Co się teraz stanie? Kiedy będzie mogła wrócić? Czy rzeczywiście wszystko stracone?

Nikt nie mógł jej odpowiedzieć na te pytania, nawet książę Kung, od którego zależał los narodu. Książę pozostał poza murami miasta, chciał, na wypadek gdyby doszło do najgorszego, powstrzymać najeźdźców przed jego zniszczeniem. Czekał więc w swoim pałacu w pobliżu Jiian Ming Jiian.

- Zyskaj, co tylko możesz - wyszeptał cesarz, z trudem sadowiąc się w swym wyłożonym poduszkami palankinie. Był chory i wyniszczony; naczelnny eunuch uniósł go tego rana w ramionach tak lekko, jakby był dzieckiem.

- Ufaj mi, panie - odpowiedział książę Kung.

Ale nawet teraz Tz'u Si nie mogła bez przerwy płakać. Łzy wreszcie wyschły, czuła się zubożętniała, pogodzona z losem.

Godziny wlokły się zbyt wolno. Droga wybrukowana była nierównymi kamieniami, wóz bez resorów rzucał nią to w jedną, to w drugą stronę tak, że nawet poduszki nie uchroniły jej od siniaków. Wkrótce pochód stanął na południowy posiłek, który przygotowali wysłani przodem kurierzy.

Tz'u Si wciąż była bardzo młoda, więc kiedy zeszła ze swego wozu i rozejrzała się wokół, kiedy zobaczyła soczystą zieleń pól, wysoką kukurydzę i owocujące drzewa, nie mogła dłużej trwać w przygnębieniu. Żył, syn wyrwał się do niej z krzykiem, wyciągnęła do niego ręce. Nie wszystko było stracone, dopóki żyła i miała go w ramionach. Poza tym nigdy jeszcze nie widziała Północnego Pałacu w Żeholu. Jej umysł, zawsze chłonny i żądny nowych doznań, powrócił do życia pobudzony jej gorącym sercem.

Zatrzymała przypadkiem wzrok na stojącej obok pani Mei. Uśmiechnęły się do siebie i dama ośmieliła się powiedzieć coś radosnym tonem.

- Czcigodna, słyszałam, że Północne Pałace przewyższają pięknem wszystkie pałace cesarskie.

- Też to słyszałam - odpowiedziała Tz'u Si. - Cieszymy się więc, skoro już musimy tam iść.

Ale później, zanim jeszcze wsiadła do swego zaprzęzonego w muły wozu, aby kontynuować podróż, spojrzała za siebie w kierunku miasta, do którego rwało się jej serce. Wtem, na krawędzi nieba i ziemi, zobaczyła chmurę ciemniejącego dymu. Zaniepokojona wykrzyknęła do otaczających ją ludzi:

- Czy to możliwe, że nasze miasto płonie?

Wszyscy spojrzeli i ujrzeni czarne, kłębiące się chmury na tle głębokiego błękitu letniego nieba. Miasto było w ogniu!

- Szybko, szybko! - zawołał cesarz ze swego palankinu. Wszyscy pośpiesznie wspięli się na wozy i pochód ruszył szybko do przodu.

Zatrzymano się na noc w przygotowanym wcześniej obozie, ale Tz'u Si nie mogła odpocząć w swym namiocie. Raz po raz wysyłała Li Lien-jinga, aby dowiedział się, czy nie ma jakiejś wiadomości o ukochanym mieście. W końcu, około północy, nadbiegł kurier, którego płonący z niecierpliwości eunuch chwycił za kołnierz i przy włókł przed oblicze swej cesarskiej pani. Tz'u Si wciąż czekała. Nie pozwoliła swym kobietom, by rozebrały ją do snu. One same leżały zaś wokół niej, śpiąc na dywanach rozłożonych na nagiej ziemi. Ujrzawszy eunucha i bladego kuriera, Tz'u Si położyła palec na ustach.

- Czcigodna - zasyczał eunuch - przyprowadziłem tu tego człowieka, bo wiem, że Syn Niebios śpi. Naczelnny eunuch powiedział mi, że przygotował mu podwójną dawkę opium.

Utkwiła swe wielkie oczy w przestraszonym kurierze.

- Jakie przynosisz wiadomości?

- Czcigodna - złapawszy oddech rzekł posłaniec, kiedy eunuch rzucił go na kolana - nieprzyjaciel całą potęgą nadciągnął zaraz po świcie. Obecnej nocy powstrzymuje go rozejm,

ale przez cały dzień barbarzyńcy dopuszczali się potworności, utrzymując, że to kara za księcia Senga, który torturował pochwyconych przez siebie jeńców i podarł ową białą chorągiew.

Serce Tz'u Si zamarło z przerażenia i krew ścięła się jej w żyłach.

- Puść tego człowieka - powiedziała do eunucha.

Kiedy Li Lien-jing zwolnił uchwyt, mężczyzna osunął się na dywan jak pusty worek i leżał z ukrytą twarzą. Wpatrywała się w niego z góry.

- Czy bramy miasta nie wytrzymały? - Usta miała suche, język tak sztywny, że z trudem formułowała słowa.

Mężczyzna uderzył głową o ziemię u jej stóp.

- Czcigodna, nie forsowali bram.

- Co więc oznacza ten dym, który jak burzowa chmura zawisł dziś wysoko na niebie?

- spytała.

- Czcigodna - odpowiedział - nie ma już Jjian Ming Jjian.

- Pałac Letni? - krzyknęła. Zakryła oczy rękami. - Myślałam, że to płonie miasto!

- Nie, Wasza Wysokość - zaskowyczał człowiek - to Pałac Letni. Barbarzyńcy rozgrabili wszystkie jego skarby. Potem podpalili pałace. Książę Kung pośpieszył, aby im przeszkodzić, ale nie zdołał. Ledwie uratował własne życie, uciekając przez małą furtkę z dziedzińca eunuchów.

Huczało jej w głowie. Myśli wirowały. Widziała płomienie i dymy, walące się porcelanowe wieże i złote dachy. Wpatrzyła się w skulonego człowieka.

- Czy nic nie zostało? - wyszeptwała.

Posłaniec nie uniósł głowy. - Popioły - wydusił - tylko popioły.

- Zamknij okna - rozkazała Tz'u Si.

Suchy, gorący wiatr z północnego zachodu wiał mocno nad Żeholem, wiatr, którego nie mogła znieść. Zwiędły kwiaty w podwórzu i listki drzew daktylowych podarte zostały na strzępy. Nawet igły wykrzywionych pinii zżółkły u podstawy. Cesarz, od chwili kiedy dotarli do tego pałacu-fortecy, nie wzywał jej ani razu.

Służąca zamknęła okna.

- Wachluj mnie - poleciła Tz'u Si.

Zza filaru wysunął się Li Lien-jing i stanąwszy obok niej, poruszał niespiesznie wielkim, jedwabnym wachlarzem. Pochyliła się w wielkim, rzeźbionym krześle i zamknęła oczy. Była wygnańcem, kimś obcym, oderwanym od korzeni. Dlaczego cesarz nie posyła po

nią? Kto zajął jej miejsce? W dniu swych urodzin, w piątym dniu szóstego miesiąca, miesiąc temu, cesarz przyjmował upominki i życzenia od całego dworu. Tylko jej nie wezwano. Czekala w swych pokojach ubrana w aksamity, zalożywszy swe najpiękniejsze klejnoty, a on jej nie wezwał. Czekala długie godziny aż do końca dnia, po czym w lęku i gniewie pozrywała z siebie szaty i przez całą noc leżała w łozu nie zmrzywszy oka.

Od tego czasu był chory i, jak słyszała, coraz słabszy. Mimo to nadal jej nie wzywano. Jego choroba nasilała się, choć postawione przed cesarskimi urodzinami horoskopy były pomyślne. Mimo dobrego układu gwiazd, komety przebiegającej przez północno-zachodnie niebo, cesarz umierał, a jej wciąż nie wzywano.

- Przestań wachlować - rozkazała.

Li Lien-jing opuścił ramię. Stał bez ruchu.

Siedziała wyprostowana, wpatrując się swymi wielkimi oczami w pustkę. Powinna przecież wiedzieć, co dzieje się w sypialni cesarza. Ale nie mogła tam wejść nie wezwana. Gdyby miała obok siebie księcia Kunga, poprosiłaby go o radę, ale on był daleko, w stolicy. Miasto pozostawało w rękach barbarzyńców, a on błagał i targował się o rozejm. Wiedziała o tym tylko dzięki plotkom eunuchów, bo nie znała treści raportów, które książę przysyłał cesarzowi - nie wzywano jej przecież. Mieszkała samotnie w oddzielnym pałacowym skrzydle. Dwa dni temu, kiedy pełna niepokoju i zdesperowania tą samotnością wysłała wiadomość do Sakoty, że chciałaby się z nią zobaczyć, ta wymówiła się bólem głowy.

- Stań tu przede mną - rozkazała teraz Tz'u Si.

Li Lien-jing wykonał polecenie i pochylił głowę.

- Przyprowadź tu naczelnego eunucha - poleciła.

- Pani, nie wolno mu opuszczać sypialni cesarza - odpowiedział.

- Kto mu zakazał? - spytała.

- Czcigodna, to ci trzej...

Ci trzej to książę Yi, książę Czeng i Wielki Radca Su Szun - jej wrogowie, teraz u władzy, gdy ona samotna, a barbarzyńcy władają stolicą!

- Wachluj mnie - powiedziała.

Odrzuciła do tyłu głowę, zamknęła oczy, a eunuch zaczął powoli poruszać wachlarzem. Jej myśli rozbiegły się, nie mogła ich opanować. Była bardziej niż samotna, była bezdomna. Przepadło Jiian, dom jej serca legł w gruzach. Cudzoziemscy barbarzyńcy ograbili je ze skarbów, podpalili rzeźbione ściany i parawany. Potworne opowieści rozprzestrzeniły się po pałacu, rozpowiadał je kurier - również i ona w sekrecie posłała po niego, aby usłyszeć je osobiście.

Cesarscy krewni, relacjonował, opuścili potajemnie Pałac Letni, zanim nadeszli cudzoziemscy wojownicy. Anglik Elgin, poruszony pięknem Pałacu Letniego, zakazał co prawda jego niszczenia, ale nie mógł zapanować nad tymi hordami barbarzyńców. Kiedy książę Kung protestował z pobliskiej świątyni, w której się schronił, lord Elgin odpowiedział, że jego ludzi rozwścieczyły tortury i morderstwo popełnione na ich towarzyszach przez księcia Senga. Słuchała tego i milczała. To ona wysłała przecież mongolskiego wodza, by zaatakował białych. Niestety, Niestety!

„W popiele zanurzę moją głowę - powiedział kurier - muszę jednak donieść, że wszystko, co można było wynieść, zostało zrabowane. Ogołococono sufity ze złotych płytek, a ołtarze ze złotych płaskorzeźb. Wyrwano diamenty z cesarskich tronów, a ozdobione klejnotami parawany wywieziono. Tłuczono i wdeptywano w ziemię delikatną porcelanę, aż co bystrzejsi rabusie poznali się na jej wartości. Wyroby z nefrytu zostały potrzaskane lub skradzione. Lecz gdybyż tylko grabiono - przed zniszczeniem uchroniła się mniej niż dziesiąta część naszych bezcennych skarbów. Większość dziedzictwa cesarskich przodków została zmiażdżona kolbami karabinów albo stratowana czy też rzucona w powietrze przez wyjąć tłuszczę. Na koniec podpalono wszystkie pałace. Przez dwa dni i dwie noce niebo rozświetlały płomienie i zasnuwały ciemne dymy. Nienasyceń barbarzyńcy wdarli się potem na wzgórze, zbadali każdą piędź ziemi i zniszczyli każdą pagodę, każdy pawilon i świątynię, a tuż za barbarzyńcami nadeszli miejscowi złodzieje i rabusie”.

Łzy spływały spod zamkniętych powiek Tz'u Si, kiedy przypomniała sobie teraz, co opowiadał kurier, a służąca, widząc to, wytarła je chusteczką.

- Nie płacz, pani - powiedziała czule.

- Płaczę za tym, czego już nie ma - powiedziała Tz'u Si.

- Czcigodna, ten pałac także jest piękny - powiedział Li Lien-jing, by ją pocieszyć.

Nie odpowiedziała. Dla niej Żehol nie był piękny. Setki lat temu sto mil od Pekinu zbudował ten pałac-fortecę cesarz Cz'ien Lung, który bardzo kochał dzikość tutejszego krajobrazu, te mile piasku i skał, a w oddali nagie, piaszczyste wzniesienia i wznoszące się ku bezkresnemu, błękitnemu niebu skały. Cesarz Cz'ien Lung zadbał, aby przepych pałacu ostro kontrastował z jałowością tej ziemi. Jego ściany ozdobiono brokatowymi jedwabiami i haftami o wielu kolorach, sufity obito złotem i purpurą, a na nich rozpostarto złote, diamentami inkrustowane smoki. Wszystkie stoły, krzeselka i obszerne łoża, które przywieziono z południa, były rzeźbione i wysadzane klejnotami.

Ach, ona jednak tęskniła do ogrodów i jezior, do fontann i strumieni! Tutaj woda była cenniejsza od nefrytu. Tragarze na swych barkach dźwigali ją z małych studni wykopanych

na pustyni, a jeśli one zawiodły, z odległych oaz. Dzień i noc w jej sercu płonął gniew, bo Jiian Ming Jiian leżało w popiołach, bo w stolicy księżę Kung stał przed barbarzyńcami jak petent, a ona, samotna w tym odległym, strasznym miejscu, odsunięta przez nieprzyjaciół, nie mogła dostać się do cesarza. Szalała z gniewu i niepokoju, a dyscyplina, którą sobie narzuciła, aby ukryć to, co czuła, wysysała z niej wszelkie siły.

Ale jak mogła wziąć górę nad swymi wrogami, skoro nie miała tu przyjaciół? Trzej spiskowcy wystąpili przeciwko niej w tym strasznym dniu, kiedy dwór uciekł z Pałacu Letniego. Ona do końca, nawet gdy dwór już wyjechał, opierała się przed ucieczką. Ale jej wrogowie przekonali słabego i głupiego człowieka, jakim był cesarz, że jego życiu grozi niebezpieczeństwo. Pamiętała, jak łatwo im uległ. Uciekał tak spieszenie, że na stole w sypialni zostawił swą fajkę, kapelusz, jakieś papiery. Poraziła ją teraz myśl, że kiedy barbarzyńcy wdarli się do cesarskiej komnaty, musieli zauważyć te przedmioty i z pewnością głośno się śmiali domyślając się, jak bardzo przestraszony musiał być Syn Niebios. Dlaczego teraz, kiedy wszystko i tak było już stracone, dotknęło ją to do żywego?

Wstała gwałtownie z krzesła, odpychając wachlarz, którym Li Lien-jing wachlował ją wolno i cierpliwie, i zaczęła niespokojnie przemierzać pokój - w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, a za zamkniętymi oknami zawodził gorący wiatr.

No cóż, wiedziała, na czym polegała intryga. Su Szun, jego sprzymierzeńcy i ich podwładni uciekli z cesarzem, ale dopilnowali, aby ministrowie i radcy, którzy mogliby jej pomóc w walce z nimi, pozostali. Zbyt późno zorientowała się w tym spisku i teraz była bezradna.

Lecz przecież pozostał jej jeszcze jeden sojusznik, bo nawet Su Szun nie mógł przeszkodzić, by Cesarska Gwardia przestała spełniać swój obowiązek ochrony cesarza.

Władczo zwróciła się do Li Lien-jinga.

- Wezwij mego krewnego, komendanta Gwardii! Chcę zasięgnąć jego rady.

Li Lien-jing nigdy dotychczas nie zwlekał ze spełnianiem rozkazów, które mu wydawała. Jakież więc było jej zdziwienie, kiedy zobaczyła, że zachowuje się niepewnie i w pomieszczeniu przekłada wachlarz z ręki do ręki.

- Idź już - nalegała.

Padł przed nią na kolana.

- Czcigodna - błagał - nie zmuszaj mnie, bym wykonał ten rozkaz.

- Dlaczego nie? - spytała poważnie. Jung Lu z pewnością nie przeszedł do obozu wroga, co więc było przyczyną zmieszania eunucha?

- Czcigodna, nie śmiem powiedzieć - wyjąkał Li Lien-jing. - Kazesz mi uciąć język,

jeśli to powiem.

- Nie zrobię tego - przyrzekła.

Mimo to nadal był wystraszony i nie mogła wydobyć z niego słowa, póki w końcu nie wpadła we wściekłość i nie zagroziła, że każe mu uciąć głowę, jeśli nie przemówi bez zwłoki. Przyparty do muru wyszeptał, że cesarz nie wzywa jej, bo dotarły do niego plotki rozsiewane przez jej wrogów, że ona i Jung Lu...

- Czy mówią, że jesteśmy kochankami? - nalegała.

Skinął głową i ukrył twarz w dłoniach.

- Kłamcy - warknęła. - Kłamcy... kłamcy...

Musiała jakoś wyładować swój gniew. Kopnęła klęczącego eunucha, a on przewrócił się i zamarł bez ruchu, tymczasem ona szalała: biegała wzdłuż i wszerz wielkiej sali, wychodziła z niej i wracała, jakby wstąpił w nią jakiś demon.

Nagle zatrzymała się przed struchlałym eunuchem.

- Wstań - rozkazała. - Domyślam się, że nie powiedziałeś mi wszystkiego. O czym jeszcze wiesz? Czego mi nie mówiono?

Podniósł się i wytarł spoconą twarz rękawem.

- Czcigodna - nie przespałem ani jednej nocy od czasu, kiedy usłyszałem, co knują twoi wrogowie...

Oczy jej stały się szerokie i straszne.

- Więc co knują?

- Czcigodna - jękał się. - Nie mogę wypowiedzieć tych zdradzieckich słów. Chcą zostać... regentami... a wtedy... a wtedy...

- Zabiją mego syna! - krzyknęła.

- Czcigodna, daję słowo... tego nie słyszałem. Błagam, uspokój się...

- Od kiedy wiesz o tym?

Znów usiadła w wielkim krześle i pogładziła dłonią swe zimne policzki.

- Pierwsze pogłoski zaczęły krążyć wiele miesięcy temu, pani, nawet nie pogłoski, a szepty...

- I milczałeś! - wykrzyknęła.

- Czcigodna - powiedział błagająco - gdybym przekazywał ci każdą plotkę, którą słyszę, wtrąciłabyś mnie do więzienia, abym wreszcie zamilkł. Wokół tych, co stoją wysoko, zawsze pełno jest obelżywych plotek. A ty, Czcigodna, stoisz wyżej niż wszyscy. Któż mógł pomyśleć, że Syn Niebios da ucha stojącym niżej?

- Powinieneś ruszyć swoim głupim rozumem - krzyknęła. - Powinieneś wiedzieć, że



zanim zjawiłam się na dworze, cesarz kochał Su Szuna. Byli razem. Byli młodzi. A ponieważ cesarz był słaby i delikatny, kochał tego silnego, dzikiego młodzieńca, który polował, pił i uprawiał hazard, żyjąc w sposób nieokiełznany. Przypomnij sobie, w jaki sposób Su Szun zamienił swe ostatnie stanowisko w Ministerstwie Skarbu na posadę asystenta ministra, i jak doprowadził do śmierci Po Czuna, dobrego, uczciwego człowieka, aby przejąć po nim władzę.

Tak było w istocie. Tego roku, gdy oczekiwała dziecka, gdy zdobyła już miłość cesarza, przyszedł do niej pewnego dnia stary książę, minister skarbu Po Cz'un. Była wówczas zbyt młoda i nie orientowała się na tyle w pałacowych zawiłościach, aby zrozumieć skomplikowaną intrygę. Słuchała więc bezmyślnie, jak dobry, stary człowiek błagał, by wstawiła się za nim u cesarza.

- Nie słucha mnie teraz, pani - rzekł ponuro, gładząc swą rzadką, posiwiałą brodę.

- O co oskarża cię Su Szun? - spytała.

- Pani, oskarżają mnie o to, że wzbogaciłem się kosztem państwa. Ten człowiek, Su Szun, szepnął cesarzowi, że zatrzymałem pieniądze z cesarskiego skarbcza.

- Dlaczego tak mówi? - spytała.

- To on jest złodziejem i wie, że ja o tym wiem - powiedział stary książę.

Jego prosty, uczciwy wygląd wzbudzał w niej zaufanie, więc przyrzekła naiwnie, że wstawi się za nim u cesarza, co też zrobiła. Ale w tamtych dniach cesarz był jeszcze pod wpływem Su Szuna i wierzył mu bez zastrzeżeń, więc starzec został ścięty, a jego miejsce zajął Su Szun. Narósł w niej świeży gniew, kiedy przypomniała sobie, że właśnie od tej pory Su Szun zaczął jej nienawidzić. Jedynie pogłębiająca się z każdym dniem miłość cesarza uchroniła ją przed jego zemstą. Ach, zbyt pewna była swej siły - i oto, czym się to skończyło!

Nagle, nie wiedząc, jak poradzić sobie z gorączką w sercu, wstała i z całą siłą uderzyła Li Lien-jinga najpierw w jeden policzek, potem w drugi, aż oczy zasły mu łzami i nie mógł złapać oddechu. Nie powiedział nic, bo cierpliwe znoszenie takiego gniewu należało do jego obowiązków.

- Jak mogłeś... - krzyczała. - Dlaczego nie powiedziałeś mi o tym od razu! Och, szatańskie milczenie!

Znów usiadła, przyłożyła dłonie do policzków i wzdychała chyba przez pięć minut, podczas kiedy Li Lien-jing klęczał przed nią, nie ośmielając się nawet drgnąć, bo jeszcze nigdy dotąd nie widział, by wpadła w taką furję.

Po następnych pięciu minutach odzyskała jasność myślenia. Powstała z krzesła i z energicznym wdziękiem podeszła do biurka. Siadła przy nim, przygotowała atrament,

umoczyła w nim pędzelek, wzięła kawałek pergaminu i napisała na nim list do księcia Kunga, donosząc mu o swym ciężkim położeniu i prosząc go o natychmiastową pomoc. Potem złożyła list, wycisnęła na nim swą pieczęć i dała znak Li Lien-jingowi, by się do niej zbliżył.

- Pojedziesz do stolicy, natychmiast! - rozkazała. - Doręczysz ten pergamin księciu Kungowi i przyniesiesz od niego odpowiedź. Masz na to nie więcej niż cztery dni.

- Czcigodna - zaprotestował - nie zdołam uwinąć się tak szybko...

- Będziesz musiał - ucięła.

Wyglądał żałośnie, gładził się po piersi i stękał, ale ona była nieubłagana, więc nie pozostało mu nic innego, jak usłuchać.

Kiedy zniknął, znów zaczęła przemierzać salę w tę i z powrotem, aż zaczęło to nużyć służącą, która jej towarzyszyła. Damy dworu, zerknąwszy przez zasłony, odeszły nie śmiać przemówić ani nawet ujawnić swej obecności.

Pod koniec czwartego dnia przybył sam książę Kung. Znużony podróżą, zakurzony zjawił się w tym skrzydle potężnego pałacu, w którym mieszkała Tz'u Si. Nie opuszczała swoich pokoi, mało jadła, jeszcze mniej spała - wszystkie nadzieje wiązała z przybyciem księcia. Jakaż była jej radość, kiedy jego przyjazd obwieścił brudny i sterany Li Lien-jing, który nie miał nawet czasu, by przełknąć wcześniej trochę kleiku z prosa.

Nie zwracała jednak uwagi na wiernego, wygłodzonego eunucha. Wstała i pobiegła do holu za pokojem sypialnym, gdzie czekał książę Kung. Przywitała się z nim płacząc, ale i dziękując bogom. Nigdy jeszcze jego wychudzona twarz nie wydała się jej tak życzliwa, a on sam nie wyglądał na tak silnego i godnego zaufania. Na jego widok poczuła w sercu ulgę.

- Przyszedłem w tajemnicy - powiedział - powinienem był udać się najpierw do swego starszego brata, cesarza. Ale otrzymałem właśnie wiadomość od naczelnego eunucha. Przez swego służącego, jednego z pomniejszych eunuchów, którego wysłał do mnie w przebraniu żebraka, doniósł mi, że owa niesławna trójka śmie obmawiać mnie przed cesarzem. Powiedzieli memu starszemu bratu, że spiskują przeciw niemu, że jestem w sekretnej zмовie z wrogami w Pekinie, którzy przekupili pinie obietnicą, że zajmę jego miejsce. Kiedy nadszedł twój list, pani, postanowiłem przyspieszyć swój przyjazd. Trzeba przeciąć ten węzeł intryg!

Zanim zdołał powiedzieć coś jeszcze, nadbiegła służąca Tz'u Si.

- Och, pani... - szlochała - twój syn... następca tronu...

- Co z nim? - krzyknęła Tz'u Si. - Co mu zrobili? - Szarpnęła kobietę za ramię, jakby chciała wytrząsnąć z niej słowa.

- Mów, kobieto! - wykrzyknął książę Kung do na wpół ogłupiałego stworzenia. - Nie

gap się na nas!

- Wykradziono go - szlochała kobieta. - Oddano go żonie księcia Yi! Wezwano ją dziś rano do Pałacu Myśliwskiego, a inne panie oddalono. Ona i jej kobiety, one go mają...

Słyszając to, Tz'u Si opadła na krzesło. Ale księżę Kung nie pozwolił, by opanował ją lęk.

- Czcigodna - powiedział stanowczo - nie możesz pozwolić sobie na luksus bojaźni.

Nie musiał tego powtarzać. Zagryzła wargi, zacisnęła dłonie.

- Musimy uderzyć pierwsi! - krzyknęła. - Pieczęć... przede wszystkim trzeba zdobyć wielką cesarską pieczęć... wtedy będziemy mieli władzę.

- Twój rozum przynosi ci zaszczyt, pani. Chylę przed tobą głowę. - Zawołał z podziwem.

Nie słuchając go, wstała z krzesła.

Księżę Kung uniósł jednak rękę.

- Nie opuszczaj tych pokoi, proszę cię. Najpierw muszę zbadać, jakie niebezpieczeństwa grożą następcy tronu. Spisek rozrósł się ponad wszelkie oczekiwania. Czekaj, Czcigodna, na mój powrót.

Skłonił się i odszedł szybko.

Czyż mogła spokojnie czekać? Ale musiała przeżywać mękę oczekiwania, bo gdyby zwabiono ją w zasadzkę i zamordowano w jakimś odległym korytarzu, kto uratowałby jej syna? Biedne dziecko... mały, żalony dziedzic Smoczego Tronu!

Po odejściu księcia Kunga stała bez ruchu. Słyszała, jak wiatr wyje między wieżami pałacu, i odwróciła głowę, by spojrzeć przez okno. Porywy wiatru unosiły tumany piasku i ciskały je o kamienne flanki. Piasek opadał, ześlizgując się po murach do fosy, która dawno już wyschła. Zdawało się, że nawet chmury wyschły od bezlitosnego wiatru. Nie miała wątpliwości - to właśnie ten wiatr dławił płomyk życia tłący się jeszcze w ciele cesarza, kiedy niesiono go w palankinie przez pustynne równiny. Jak może ocalić swego syna?

Pozostała bezczynna tylko przez chwilę. Następnie szybko, pod okiem służącej i eunucha, podeszła do biurka i przygotowała się do pisania. Ruchem zdecydowanym, lecz delikatnym naląła wody do kamiennego kałamarza, potarła pałeczkę suchego tuszu, wsypując proszek do wody i tworząc zawieszinę, po czym umoczyła w niej pędzelek z wielbłądziego włosia, aż jego czubek stał się ostry jak igła. Wtedy śmiałymi, czarnymi pociągnięciami zaczęła pisać dekret o cesarskiej sukcesji.

*Ja, Sien Feng - pisała - Cesarz Państwa Środka i podległych krajów Korei i Tybetu, Indochin i południowych wysp, zostałem dziś wezwany, by połączyć się z moimi Cesarzkimi*

*Przodkami. Ja, Sien Feng, w pełni władz umysłowych i świadom swej woli, niniejszym oświadczam, że moim następcą jest dziecko płci męskiej, mój syn urodzony przez Tz'u Si, Cesarzową Zachodniego Pałacu. Dziecko to ma być przez wszystkich uznane za nowego cesarza, który zasiądzie po mnie na Tronie Smoka. Na regentów, do czasu kiedy osiągnie szesnasty rok życia, wyznaczam moje dwie małżonki - Cesarzową Zachodniego Pałacu i Cesarzową Wschodniego Pałacu, w dniu Mejsmierci...*

Tu Tz'u Si zostawiła wolne miejsce i dopisała słowa:

*Mój dekret i moją wolę potwierdzam swym podpisem i pieczętuję cesarską pieczęcią dynastyczną.*

Tu znów zostawiła wolne miejsce.

Zwinęła pergamin i ukryła go w rękawie. Tak, ogłosi Sakotę współregentką, zmuszając ją tym samym do przymierza. Nie dopuści, by stała się jej wrogiem. Na myśl o własnej przebiegłości lekki uśmiech zaigrał na jej wargach.

Tymczasem służąca i Li Lien-jing stali patrząc na nią i oczekując jej rozkazów. Choć znużony, eunuch nie śmiał poprosić o pozwolenie na odpoczynek.

Nagle kobieta odwróciła głowę w kierunku drzwi. Miała doskonały słuch, wyostrzony jeszcze przez lata oczekiwań na wezwania swej władczyni.

- Słyszę kroki - wymamrotała.

- Czyje kroki? - spytał cicho eunuch.

Uniósł prawą ręką szatę i podszedł do drzwi. Odciągnął sztabę i prześlizgnął się przez uchylone wrota. Kobieta zamknęła je za nim i odwróciła się do nich plecami. Po chwili usłyszała delikatne pukanie. Uchyliła lekko drzwi i spojrzała przez szparę. Odwróciła się do swej pani.

- Czcigodna - powiedziała wstrzymując oddech - to twój krewny.

Siedząca wciąż przy biurku Tz'u Si szybko odwróciła głowę.

- Wpuść go.

Mówiąc to, wstała. Kobieta szerzej otworzyła drzwi i Jung Lu wszedł do środka. Potem zamknęła je i zaciągnęła sztabę, a na zewnątrz stanął na straży Li Lien-jing.

- Witaj, kuzynie - głos Tz'u Si był łagodny i słodki.

Jung Lu nie odpowiedział. Podszedł bliżej i klęknął.

- Nie klękaj, kuzynie - powiedziała. - Siądź na tym krześle i rozmawiajmy ze sobą tak jak zawsze.

Jung Lu nie usiadł jednak. Powstał i zbliżywszy się do niej, zaczął mówić, wbijając wzrok w podłogę pomiędzy nimi.

- Czcigodna, nie mamy czasu na grzeczności. Cesarz umiera, naczelny eunuch posłał mnie, bym ci o tym powiedział. Nie minęła godzina, jak był tam Su Szun, a z nim książęta Yi i Czeng. Przyszli zmusić cesarza, by podpisał dekret wyznaczający ich na regentów sprawujących opiekę nad następcą tronu. Cesarz nie chciał tego zrobić, padł nieprzytomny, kiedy usiłowali go do tego zmusić, ale przyjdą powtórnie.

Nie czekała ani chwili. Przemknęła obok niego. Szybko ruszył za nią, a za nimi postępował Li Lien-jing. Idąc, rzucała przez ramię rozkazy eunuchowi.

- Zaanonsuj mnie... powiedz Synowi Niebios, że przyniosłam z sobą jego syna!

Pognała do Pałacu Myśliwskiego jakby niesiona wiatrem. Sforsowała drzwi i nikt nie śmiał jej przeszkodzić. Usłyszała płacz dziecka, stanęła, by posłuchać, i rozpoznała głos swego syna. Och, szczęsny płacz, który ją prowadzi! Odepchnęła przestraszone kobiety, przebiegła przez pokoje, aż znalazła ten, z którego ów płacz dobiegał. Wdarła się do środka i zobaczyła, jak obca kobieta uspakaja jej syna, który nie chce się temu poddać. Porwała go w ramiona i wyniosła. Obejmował ją za szyję, ucichł ze zdumienia, ale nie był przestraszony. Spieszyła się, krocząc przejściami i korytarzami, wchodząc po kamiennych schodkach, mijając sienie i pokoje, aż dotarła do najgłębiej położonej komnaty i bez wahania stanęła w drzwiach, które otworzył dla niej szeroko naczelny eunuch.

- Czy Syn Niebios żyje jeszcze? - wykrzyknęła.

- Oddycha - powiedział naczelny eunuch. Głos miał ochryply od płaczu. Wielkie łoże ustawione było wysoko jak katafalk, a wokół niego klęczeli eunuchowie wycierając łzy rękami. Przeszła między nimi, jak między pochylonymi w lesie drzewami. Podeszła wprost do cesarza i stanęła z boku, z dzieckiem w ramionach.

- Panie mój! - wypowiedziała te dwa słowa głośno, czystym głosem. Czekala, ale nie odpowiedział na nie.

- Panie mój! - wezwała powtórnie. Ach, czy zadziałają dawne czary?

Cesarz postyszał, jego ciężkie powieki uniosły się. Odwrócił głowę, podniósł umierające oczy i ujrzał jej twarz.

- Panie mój - powiedziała - oto twój następca.

Dziecko patrzyło w dół dużymi, ciemnymi oczami.

- Panie mój - powiedziała - musisz ogłosić, że jest twoim dziedzicem. Jeśli mnie słyszysz, unieś swą prawą rękę.

Wszyscy patrzyli na dłoń umierającego człowieka. Leżała nieruchomo, kość obłeczona żółtą skórą. Kiedy patrzyli, poruszyła się z takim wysiłkiem, że aż jęknęli na ten widok.

- Panie mój - powiedziała władczo. - Muszę być regentką przy dziecku. Tylko ja mogę ochronić jego życie przed tymi, którzy chcą go zgładzić. Porusz jeszcze raz dłonią, by potwierdzić twoje życzenie.

Znów zobaczyli słaby, powolny ruch dłoni.

Podeszła jeszcze bliżej łoża i podniosła jego żółtą rękę.

- Panie mój - wzywała go - panie mój, oprzytomnij jeszcze na chwilę.

Z wielkim wysiłkiem jego duch powrócił na jej wezwanie. Syn Niebios zamglonymi oczami spojrział na jej twarz. Wyciągnęła z rękawa pergamin, a Jung Lu, szybki jak jej myśl, przyniósł cynobrowy pędzelek ze stojącego w pobliżu biurka i włożył go do jej ręki. Potem zabrał dziecko z jej ramion.

- Musisz podpisać swą ostatnią wolę, panie mój - powiedziała wyraźnie do umierającego cesarza. - Biorę twą rękę... tak. Palce na pędzelku, tak...

Poddał jej swą dłoń. Jego palce poruszyły się albo wydawało się, że się poruszyły, by napisać cesarskie imię.

- Dziękuję ci, panie mój - powiedziała i schowała pergamin na piersi. - Odpocznij teraz, panie mój drogi.

Nakazała ręką, aby się wszyscy usunęli. Jung Lu wyniósł dziecko z komnaty, eunuchowie stali w odległym końcu sali, czekali, zakrywając rękawami oczy. Siadła na łożu i uniosła głowę cesarza, która spoczęła na jej ramieniu. Czy żył jeszcze? Pochyliła się i posłyszała lekki szmer w jego piersi. Otworzył szeroko oczy i wciągnął powietrze.

- Twoje perfumy... słodko!

Wstrzymał oddech, który zabalgotał mu w gardle, a potem z westchnieniem wypuścił powietrze i tak umarł.

Delikatnie złożyła jego głowę na poduszce, pochyliła się nad nim i jęknęła. Zapłakała łzami czystego żalu, że musiał umrzeć tak młodo, nie kochany. Och, ona potrafiłaby go kochać, i przez chwilę zasmuciła się, że nie mogła.

Następnie powstała i wyszła z cesarskiej sypialni, powoli, tak, jak chodzą owdowiałe cesarzowe.

Wieść o śmierci przemknęła przez pałac szybciej niż wiatr. Cesarz leżał na marach w sali audiencyjnej, której drzwi zamknięto przed żyjącymi na kłódki. Przy każdej bramie prowadzącej do tej ogromnej budowli stała setka gwardzistów wyznaczonych przez Jung Lu. Tylko ptakom wolno było tam przylatywać i odlatywać, gnieździć się między złotymi smokami wspinającymi się na dwukondygnacyjne dachy. Cisza zaległa pod ciężkimi

okapami, na ozdobionych kolumnienkami krużgankach, ale cisza ta nie oznaczała pokoju. Pałacowe mury skrywały walkę o władzę, ale kto mógł wiedzieć, gdzie odbędzie się końcowa bitwa?

Tz'u Si była teraz cesarzową matką, matką następcy tronu. Była młodą kobietą, nie miała jeszcze trzydziestu lat. Otaczały ją księżniczki krwi i członkowie potężnych i zazdrosnych klanów mandżurskich. Była cesarzową matką, ale czy zwycięży? Wszyscy wiedzieli, że jej wrogiem jest Su Szun i jego dwaj sojusznicy - bracia zmarłego cesarza. Czy książę Kung wciąż jest jej sprzymierzeńcem? Dwór czekał niezdecydowany, nie wiedząc, komu okazać lojalność, a każdy dworzanin wystrzegał się pochopnych działań i każdy starał się zachować zimną krew, nie okazując przyjaźni ani wrogości żadnej ze stron.

Tymczasem Su Szun, będąc Wielkim Radcą, natychmiast, kiedy jego szpiedzy donieśli mu o śmierci cesarza, wezwał naczelnego eunucha i zobowiązał go do przekazania wiadomości cesarzowej matce.

- Powiedz jej - rzekł aroganckim tonem - że ja i książę Yi zostaliśmy mianowani regentami przez Syna Niebios, zanim jego duch nas opuścił. Powiedz, że przyjdziemy do niej, aby oświadczyć to osobiście.

Naczelny eunuch wysłuchał go w milczeniu i pośpieszył zrobić to, co mu kazano. Jednak po drodze zatrzymał się, aby szepnąć o wszystkim Jung Lu, który czekał na straży.

Jung Lu natychmiast przejął dowództwo.

- Idź szybko, jak tylko możesz, i przyprowadź całą tę trójkę do cesarzowej matki. Ja ukryję się za drzwiami i wkroczę, kiedy odejdą.

Tymczasem Tz'u Si schroniła się w jednej z sal własnego pałacu. Przywdziała białe, żałobny strój - białe były nawet jej pantofle i przybranie głowy. Pozostawała tam od chwili ogłoszenia zgonu cesarza. Nic nie jadła i nie piła herbaty. Ręce złożyła nieruchomo na łonie, a wielkimi oczami spoglądała w dal. Stojące obok kobiety szlochały i wycierały oczy jedwabnymi chusteczkami. Lecz ona nie płakała.

Kiedy nadszedł naczelny eunuch, wysłuchała go i wciąż patrząc przed siebie, odezwała się głosem tak znużonym, jakby tylko poczucie obowiązku zmuszało ją do działań, które pragnie mieć już za sobą:

- Przyprowadź Wielkiego Radcę Su Szuna, a także księcia Czenga i księcia Yi. Powiedz im, że z całą pewnością należy spełnić wolę mego pana, który przebywa teraz u Żółtych Źródeł.

Odszedł, a po chwili, szybciej, niż dałoby się opowiedzieć, pojawił się Wielki Radca, a z nim obaj książęta. Odwróciła głowę i powiedziała łagodnie do swej ulubienicy, pani Mei,

która była córką Su Szuna.

- Opuść nas, dziecko. Nie przystoi, byś stała obok mnie w obecności swego ojca.

Poczekala, aż smukła dziewczyna wyślizgnie się z sali. Odebrała ukłony książąt i aby pokazać, że teraz, kiedy umarł jej pan, nie wynosi się nad innych, wstała i skłoniła się im w odpowiedzi.

Su Szun miał jednak dumy za ich dwoje. Gładząc swą krótką brodę, podniósł głowę patrząc na nią śmiało i arogancko. Dostrzegła to pogwałcenie etykiety, ale nie odezwała się, by go upomnieć.

- Pani - powiedział - przyszedłem oznajmić ci cesarską wolę. W swej ostatniej godzinie Syn Niebios...

Tu powstrzymała go.

- Zaczekaj, dobry książę. Czy masz pergamin z cesarskim podpisem? Jeśli tak, będzie moim obowiązkiem poddać się jego woli.

- Nie mam pergaminu - powiedział Su Szun - ale mam świadków. Książę Yi...

Znów go powstrzymała.

- A ja mam taki pergamin, podpisany w mojej obecności i w obecności wielu eunuchów.

Rozejrzała się, szukając poparcia naczelnego eunucha, ale rozsądny ów człowiek pozostał za drzwiami, wołąc nie mieszać się do walki tygrysów. Nie zbiło jej to z tropu. Wyciągnęła zza poły pergamin podpisany ręką umierającego cesarza. Głosem łagodnym, spokojnym i wyraźnym jak uderzenia srebrnych dzwoneczków czytała dekret od początku do końca, a Su Szun i obaj książęta słuchali.

Su Szun szarpnął swą brodę.

- Chcę zobaczyć podpis - warknął.

Pokazała pergamin, na którym mógł zobaczyć cesarskie imię.

- Nie ma pieczęci - wykrzyknął - dekret bez cesarskiej pieczęci jest nieważny.

Nie czekał, by usłyszeć jej odpowiedź ani nawet, by ujrzeć wyraz konsternacji malujący się na jej twarzy. Odwrócił się i wybiegł, a cienie obu książąt pomknęły w ślad za nim. Zrozumiała od razu, dlaczego tak się śpieszą. Pieczęć cesarska zamknięta była w kasecie, w sali pogrzebowej. Kto ją pochwyci pierwszy, ten zwycięży. Zazgrzytała zębami ze złości na siebie, że nie poczekala na pieczęć. Zerwała z głowy stroik i cisnęła nim o podłogę, w desperacji szarpnęła się za uszy, była nieprzytomna z gniewu.

- Głupia! - krzyczała na siebie. - Och, głupia, głupia kobieta, i jeszcze głupszy książę, który nie ostrzegł mnie wcześniej, głupi kuzyn i zdrazieccy eunuchowie, którzy nie kiwnęli



palcem, by mi pomóc! Gdzie jest ta pieczęć?

Pobiegła do drzwi i otworzyła je jednym szarpnięciem, ale na zewnątrz nie było nikogo, ani naczelnego eunucha, ani nawet Li Lien-jinga. Nie było nikogo, kto mógłby rzucić się w pościg. Padła na podłogę i zanosła się szlochem. Stracone lata - została zdradzona.

W tej samej chwili pani Mei zerknęła przez brokatowe zasłony, zobaczyła, że pani jej leży jak martwa, wbiegła więc i klękła przy niej.

- Och, Uwielbiana - jęknęła - jesteś ranna? Czy ktoś cię uderzył?

Próbowała podnieść łkającą, ale nie potrafiła, więc podbiegła do wciąż jeszcze otwartych drzwi, wpadając na Jung Lu i stojącego za nim Li Lien-jinga, którzy nadeszli właśnie w tej chwili.

- Och - krzyknęła szarpnąwszy się do tyłu, a ciemny rumieniec spłynął na jej policzki. Ale Jung Lu nie spojrzał na nią. Niósł coś w rękach, jakiś pakiet owinięty w żółty jedwab.

Odłożył go na ziemię, gdy tylko spostrzegł kobiecą postać leżącą na kamiennej posadzce. Pochylił się nad cesarzową i spojrzał jej w twarz.

- Przyniosłem pieczęć - powiedział.

Wtedy podniosła się, a on stał obok niej - wysoki, wyprostowany, z twarzą poważną, jak zawsze ostatnimi czasy. Unikając jej spojrzenia, obiema rękami podniósł z podłogi pieczęć, solidny kawał nefrytu, na którym wryte były cesarskie symbole Syna Niebios. Od osiemnastu z górą stuleci pieczęć ta służyła władcom Smoczego Tronu - sporządzono ją na polecenie panującego ongiś Cz'in Si-huanga.

- Usłyszałem słowa Su Szuna - powiedział - kiedy stałem za drzwiami, aby cię chronić. Usłyszałem, jak krzyknął, że pergamin bez pieczęci jest nieważny... To był wyścig między nami. Sam pobiegłem za nimi, a twego eunucha wysłałem najkrótszą drogą, by ich zatrzymał, jeśli pierwsi dotrą do sali pogrzebowej.

Tu Li Lien-jing, zawsze łasy na pochwały, wystąpił ze swym opowiadaniem.

- Wziąłem z sobą małego eunucha, Czcigodna, i wcisnąłem się do sali pogrzebowej przez otwór wentylacyjny, bo wielkie drzwi zamknięte są na kłódkę. W tym dzikim kraju trzeba uważać na rabusiów. Kiedy on stał na czatach, ja przedostałem się głową naprzód, rozbiłem drewnianą kasetę i wyjąłem pieczęć. Mały eunuch wyciągnął mnie z powrotem właśnie w tej chwili, gdy trzech książęta pojawili się przed drzwiami i wetknęli klucz do dziurki. Szkoda że nie mogłem zostać, aby zobaczyć ich miny, kiedy ujrzeli pustą kasetę!

- Nie czas teraz na śmiechy - powiedział Jung Lu. - Cesarzowo, nie mogli pozbawić cię władzy, więc będą nastawali na twoje życie.

- Nie opuszczaj mnie - błagała go.

Przez cały ten czas przy drzwiach czuwała nasłuchując służąca Tz'u Si. Teraz drgnęła i uchyliła drzwi. Wszedł książę Kung, blady, przytrzymując swe długie szaty, aby nie przeszkadzały mu w biegu.

- Czcigodna - wykrzyknął - nie ma pieczęci! Poszedłem do sali pogrzebowej, chciałem zmusić straż, aby otworzyła drzwi, ale one były już otwarte na polecenie Su Szuna. Kiedy wszedłem, kasetka była pusta.

Zamilkł. Wzrok jego padł bowiem na cesarską pieczęć przykrytą złotym jedwabiem. Zastygł z otwartymi ze zdziwienia ustami, szeroko otworzył oczy i koniuszkiem języka dotknął górnej wargi rozciągniętej w ledwie dostrzegalnym uśmiechu.

- Teraz wiem - powiedział - teraz wiem, dlaczego Su Szun twierdził, że kobieta taka jak ty powinna zginąć, bo inaczej będzie rządziła całym światem.

Spojrzeni po sobie, cesarzowa, książę i eunuch, i wybuchnęli triumfalnym śmiechem.

Cesarska pieczęć ukryta została pod łóżkiem Tz'u Si, osłaniały ją zwieszające się z łoża czerwone atłasy. W całym pałacu tylko ona, jej służąca i eunuch wiedzieli, gdzie się znajduje.

- Nie mów mi, gdzie jest ukryta - polecił książę Kung. - Jeśli mnie zapytają, będę mógł uczciwie powiedzieć, że nie wiem.

Gdy cesarska pieczęć znalazła się w bezpiecznym miejscu, Tz'u Si mogła działać wedle swej woli. Opuściła ją gorączka i spokój zastąpił dotychczasowe napięcie. Mogła nie zwracać uwagi na powszechne wzburzenie, jakie zapanowało w pałacu, kiedy dowiedziano się, że pieczęć zniknęła i nie wiadomo, gdzie się znajduje. Wszyscy jednak domyślali się, że to ona ją ukryła, szybko więc zaniechano traktowania jej z pewnym lekceważeniem - wróciła wyszukana grzeczność i absolutne posłuszeństwo. Jej trzech wrogowie trzymali się od niej z daleka. Wiedziała, że nie mogą jeszcze dojść do siebie po tym, jak pokrzyżowała im plany. Z wdziękiem i swobodą poruszała się więc pośród panującego pomieszenia i konsternacji. Jej pierwszym posunięciem było podziękowanie pani Yi za opiekę nad synem - zapewniła, że już nigdy nie obarczy jej tym ciężarem, gdyż odtąd sama będzie mogła zająć się swym dzieckiem. Cesarz bowiem, ku jej wielkiemu smutkowi, nie będzie już zabierał jej czasu. Tak więc następca tronu powrócił do niej.

Potem ze łzami w oczach udała się do kuzynki, siadła przy niej i opowiedziała, że cesarz zadekretował, aby do czasu kiedy jego syn osiągnie pełnoletniość, obie zostały regentkami.

- Ty i ja, droga kuzynko, będziemy teraz siostrami - powiedziała. - Pan nasz chciał, abyśmy połączyły się dla jego dobra, a ja przyrzekam być lojalną i kochać cię tak długo, jak

długo obie będziemy żyły.

Ujęła dłoń Sakoty i uśmiechnęła się czule do jej smutnej twarzy. Czyż Sakota mogła się jej oprzeć? Odpowiedziała uśmiechem na uśmiech i powiedziała z cieniem dawnej, dziecięcej uczciwości:

- Prawdę mówiąc, kuzynko, cieszę się, że będziemy przyjaciółkami.

- Siostrami - powiedziała Tz'u Si.

- A więc siostrami - poprawiła się Sakota - bo zawsze bałam się Su Szuna. Ma dzikie, rozbiegane oczy, i choć przyrzekał mi bardzo wiele, nigdy nie byłam pewna...

- Co przyrzekał? - zapytała cicho Tz'u Si.

Sakota zaczerwieniła się.

- Mówił, że kiedy zostanie regentem, dostanę na zawsze tytuł cesarzowej wdowy.

- A ja miałam trafić w ręce kata, czy tak? - spytała Tz'u Si tym samym, cichym głosem.

- Nigdy się na to nie zgodziłam - odpowiedziała zbyt pośpiesznie Sakota.

Tz'u Si zachowała spokój i ciągnęła uprzejmie:

- Nie mam co do tego wątpliwości, a teraz możemy o wszystkim zapomnieć.

- Ale jest jeszcze coś... - tu Sakota zawahała się.

- Co takiego? - spytała Tz'u Si.

- Ponieważ wiesz już tak wiele - wyrwało się Sakocie - powinnaś też wiedzieć, że zamierzano zabić wszystkich cudzoziemców znajdujących się w naszym kraju oraz tych braci cesarza, którzy nie przyłączą się do spisku. Stosowne edykty były już gotowe i czekały tylko na pieczęć.

- Tak, rzeczywiście? - powiedziała półgłosem Tz'u Si i uśmiechnęła się, ale serce jej zamarło. Ileż istnień ludzkich uratowała, nie tylko swoje życie!

Ścisnęła w swych rękach dłoń Sakoty.

- Nie miejmy przed sobą tajemnic, siostro. I nie bój się niczego, bo spiskowcy nie mają cesarskiej pieczęci, więc ich edykty są bez znaczenia. Tylko ten, kto ma starożytną pieczęć pochodzącą z czasów Cz'in Si-huanga, na której wyryte są słowa *Władza Prawnie Przekazana*, tylko ten może rościć sobie prawo do sukcesji Smoczego Tronu.

Promieniała taką wzniosłością, czystością i spokojem, że Sakota nie śmiała zapytać, gdzie jest teraz pieczęć. Pochyliła głowę i wyszeptała słabym głosem.

- Tak, siostro.

Tz'u Si przyłożyła chusteczkę do warg, potem dotknęła nią powiek i kilkakrotnie westchnęła, aby dać wyraz smutkowi, jaki odczuwa po śmierci swego pana, i odeszła w

przyjaźni.

Podczas tych dni, które mijały w oczekiwaniu na powrót do stolicy, nie pozostawało jej nic innego, jak wysłuchiwać opowieści o poczynaniach spiskowców. Słuchała ze spokojem, a nawet z pewną radością. Nie okazywała tego jednak. Na zewnątrz była smutna, jak przystało wdowie, nosiła białe suknie i wyrzekła się wszelkich klejnotów.

Książę Kung wrócił tymczasem do stolicy, aby przygotować specjalny rozejm z wrogiem, dzięki któremu cesarski pogrzeb mógłby się odbyć w Zakazanym Mieście.

- Proszę cię tylko o jedno, pani - powiedział książę Kung, kiedy się rozstawali. - Unikaj, proszę, spotkań ze swym kuzynem, dowódcą Cesarskiej Straży. Doceniam w pełni jego odwagę i lojalność. Jednak wrogowie będą wypatrywali, czy nie ma jakiejś prawdy w starej plotce. Zaufaj natomiast naczelnemu eunuchowi, An Teh-haiowi, który wszystkie swe usługi odda tobie i następcy tronu.

Tz'u Si spojrzała z wyrzutem na księcia.

- Myślisz, że jestem głupia?

- Wybacz mi - powiedział, i były to jego pożegnalne słowa.

Choć rada księcia z pozoru była zbędna - w istocie jednak chroniła ją przed pokusą. Była przecież kobietą i miała gorące serce, a teraz, kiedy cesarz nie żył, często pozwalała w nocy, by jej tajemne, dzikie marzenia błądziły ciemnymi korytarzami, przemykały się pustymi pokojami do portierni przy bramie, gdzie przebywała Straż Cesarska. Tam był ten, którego kochała - jej myśli krążyły wokół niego jak żałobne gołębie. Przypominała go sobie z czasów, kiedy byli jeszcze dziećmi: zawsze wysoki i wyprostowany, skłonny do uporu, nigdy nie ulegający, chyba że sam postanowił ulec, silniejszy od niej, bez względu na to, jak była silną, przystojny równie wtedy jak teraz, pełen wigoru i męskości - tak różny od cesarza. Dobrze, że takim myślom i wspomnieniom mogła przeciwstawić ostrzeżenie księcia, chroniące ją jak tarcza przed własnym pragnieniem. Zmusiła się do spokoju, który z zewnątrz wydawał się niezmacony, podczas kiedy w jej wnętrzu płonął ogień.

Nie mogła jednak ulegać swemu sercu. Zadanie nie było jeszcze wykonane. Nie mogła dać satysfakcji wrogom, nie mogła korzystać z wolności, dopóki nie zdobyła władzy dla siebie i swego syna. Musiała sięgnąć po wszystkie swoje wdzięki, cały swój takt i dworność, by zdobywać ludzi - robiła to tak znakomicie, że przyciągnęła do siebie niemal wszystkich. Szczególnie starała się o przychylność żołnierzy Straży Cesarskiej. Okazywała im życzliwość, obsypywała podarunkami, traktując ich na równi z ich dowódcą. Codziennie też przesyłała im wyrazy wdzięczności za czuwanie nad zmarłym.

W tym czasie uczyniła swym powiernikiem naczelnego eunucha, An Teh-haia, który

zawsze był teraz przy niej, tak jak dawniej przy cesarzu. Dowiedziała się od niego o kłopotach swych wrogów, o tym, że wraz ze swoimi stronnikami powoli tracą głowę. Choć bowiem w dniu śmierci cesarza wydali edykt, w którym ogłaszali się regentami wyznaczonymi przez cesarza na łożu śmierci, edykt, w którym odmawiali jej jakiegokolwiek udziału w rządach, zaraz następnego dnia, nie mogąc znaleźć pieczęci, ogłosili pośpiesznie następny - który miał ją ułagodzić - w którym obie małżonki mianowali cesarzowymi wdowami.

- To, Czciгодna - powiedział naczelny eunuch chichocząc - że jesteś matką nowego cesarza, nie ma takiego znaczenia, jak to, że przeciągnęłaś na swą stronę mandżurskich żołnierzy strzegących tego pałacu.

Na gładkich policzkach Tz'u Si pojawiły się dołki.

- Czy spiskowcy wciąż mają zamiar mnie zabić? - spytała niewinnie.

- Nie przedź, niż umocnią swą pozycję w stolicy.

Wybuchnęli śmiechem i rozeszli się - on, aby sporządzić raporty wysyłane codziennie przez kuriera do księcia Kunga, ona, aby odgrywać swą rolę uroczej kobiety. Kiedy spotykała przypadkiem któregoś z trójki spiskowców, okazywała grzeczność tak doskonałą i twarz tak spokojną i nieświadomą grożące jej niebezpieczeństwa, że księżę Yi długo nie mógł uwierzyć, że cesarzowa wie o ich spisku.

W drugim dniu dziewiątego miesiąca księżycowego zawarto rozejm z najeźdźcami i Rada Regencka oznajmiła, że kondukt żałobny powinien wyruszyć w drogę do domu, do stolicy. Stuletni zwyczaj nakazywał, by w sytuacji kiedy cesarz umierał z dala od miejsca pochówku, małżonki ruszały w podróż pierwsze, aby mogły przygotować się do powitania zmarłego w jego ostatnim domu. Tz'u Si z należytą powagą, cała w żałobie, sposobiła się wraz z synem do wyjazdu. Ten starodawny zwyczaj dawał jej nad wrogami przewagę, ale starannie ukrywała radość z tego powodu. Spiskujący książęta zmuszeni byli obyczajem do podążania za cesarskim katafalkiem, którego ciężar do tego stopnia zwalniał krok stu dwudziestu dźwigających go mężczyzn, że droga do stolicy mogła im zająć blisko dziesięć dni, wliczając w to czas potrzebny na odpoczynek. W swym prostym wozie zaprzężonym w muły cesarzowa matka była w stanie osiągnąć miasto w czasie o połowę krótszym i utrwalić tam swą pozycję i władzę, zanim Su Szun zdołałby temu zapobiec.

- Czciгодna, twoi wrogowie są w rozpacz - powiedział jej naczelny eunuch w noc poprzedzających odjazd. - Powinniśmy więc śledzić ich każdy krok.

- Zawierzam twoim uszom - odpowiedziała.

- Oto, na czym polega ich intryga - kontynuował naczelny eunuch. - Su Szun rozkazał,

żeby zamiast naszej lojalnej mandzurskiej gwardii towarzyszyli ci jego żołnierze, pod pretekstem, że Straż Cesarska potrzebna jest zmarłemu cesarzowi. Mnie również rozkazano towarzyszyć konduktowi, to samo powiedziano Li Lien-jingowi.

- To straszne... - wykrzyknęła.

Naczelnny eunuch uniósł swą ogromną rękę.

- Jest jeszcze coś gorszego - Jung Lu otrzymał rozkaz pozostania w Żeholu...

Załamano rękę.

- Na stałe?

Naczelnny eunuch pokiwał swą wielką głową.

- Tak mi powiedział.

- Co mam robić? - spytała w nagłej rozpacz. - To znaczy, że muszę umrzeć. Kto usłyszy mój krzyk, gdy z jakiejś górskiej przełęczy będę wołała o ratunek?

- Czcigodna, bądź pewna, że twój krewny obmyślił jakiś plan. Mówi, byś mu zaufała. Będzie blisko ciebie.

Tylko ta wiara podtrzymywała ją, kiedy otoczeni obcą strażą ruszali następnego dnia o świcie - najpierw wóz jej syna, za nim wóz jej i Sakoty. Wszyscy jednak widzieli, że była spokojna i bez oznak lęku rozmawiała uprzejmie z każdym, wydawała rozkazy dotyczące podróży. Na koniec poprosiła, jakby o tym niemal zapomniała, by jej duże pudro z przyborami toaletowymi umieszczono pod siedzeniem w jej wozie, aby w razie potrzeby łatwo mogła sięgnąć po chusteczkę lub perfumy. W pudle tym ukryta była cesarska pieczęć, ale nie wiedział o tym nikt, prócz jej wiernej służącej.

Kiedy wszystko było gotowe, skryła się za zasłonami. Tak rozpoczęła się smutna podróż. Zawsze tęskniła do chwili, w której będzie mogła opuścić ten posępny pałac, ale teraz, kiedy nie wiedziała, co ją czeka, gdzie będzie spała tej nocy, wydawał się jej bezpiecznym schronieniem. Panującą dotąd suszę przerwała nagła ulewa. Przez cały dzień padał rześisty, gęsty deszcz, którym nasiąkała piaszczysta ziemia, od którego wzbierały górskie strumienie, zalewając wąskie przejścia między górami. Przed zapadnięciem nocy byli wciąż jeszcze daleko od miejscowości, w której mieli stanąć na nocleg, a że rzeki bardzo wezbrały, zmuszeni byli do zatrzymania się w wąwozie przy Długiej Górze i schronienia w namiotach, które z sobą wieźli.

W ciemności, kiedy tragarze rozbili namioty, czekała ją następna przykra niespodzianka. Kapitan wrogiej straży oświadczył, że ze względu na szczególne dostojęstwo ona i jej syn będą obozowali w pewnym oddaleniu od innych.

- Będę cię strzegł osobiście, Czcigodna - powiedział.

Stał przed nią gbur o rysach grubych, szerokich ustach, w pełnym żołnierskim rynsztunku, z ręką na rękojeści miecza, który sięgnął mu aż do pięt, kiedy skłonił się, aby zademonstrować swą dworność.

Oczy miała spuszczone, więc przypadkowo wzrok jej padł na jego prawą dłoń. Na kciuku zobaczyła błyszczący w świetle latarni pierścień z czystego, czerwonego nefrytu. Nie był to pospolity nefryt i jego kolor utkwiał jej w pamięci.

- Dziękuję - powiedziała spokojnie - kiedy podróż się skończy, nagrodzę cię sownie.

- Spełniam swój obowiązek, Czciogodna... spełniam tylko swój obowiązek. - Powiedział tonem przechwałki i zniknął w mroku.

Noc stawała się coraz głębsza. Nawałnica szalała w wąskim wąwozie, na którego dnie, spływając z góry, wzbierała gwałtownie rzeka. Ze zbocza góry odrywały się skały i upadały z łoskotem obok namiotu, w którym siedziała Tz'u Si czuwając nad synem. Jego niańka usnęła, usnęła służąca i wreszcie, trzymając matkę za rękę, usnęło też dziecko. Tz'u Si nie mogła jednak zasnąć. Siedziała cicho na straży ukrytej w puzdrze cesarskiej pieczęci i wpatrywała się w świecę kapiącą w rogowej latarni. Pieczęć była skarbem, za który mogła zapłacić życiem. Zdawała sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Była to godzina wrogów. A ona, towarzyszące jej kobiety i dziecko byli zbyt daleko od reszty orszaku, by ktokolwiek usłyszał jej krzyk. Któż zresztą miałby ją usłyszeć? Przez cały dzień wypatrywała znaku, który powiedziałby jej, gdzie znajduje się jej kuzyn. Przyglądała się mijającym skałom i zboczom, ale nie było go tam. Nie ukrył się też wśród gwardzistów w przebraniu prostego żołnierza. Jeśli krzyknie o pomoc, czy będzie dość blisko, aby ją usłyszeć? Mogła tylko czekać i w miarę jak mijał czas, każda minuta przynosiła ze sobą nową udramę.

O północy warta uderzyła w mosiężny bęben na znak, że wszystko jest w porządku, a ona zaczęła przekonywać samą siebie, że niepotrzebnie ulega panice. Dlaczego jej wrogowie mieliby wybrać akurat to miejsce i tę noc, by ją zabić? Czyż nie byłoby łatwiej przekupić pałacowego kucharza, by wsypał truciznę do jej jedzenia, albo namówić eunucha, by stanął za jakimiś drzwiami, przez które będzie przechodzić? Chwytała się tych myśli, żeby wyzwolić się od strachu. Powtarzała sobie, że dla jej wrogów byłoby rzeczą nad wyraz kłopotliwą pozbyć się zwłok zabitej cesarzowej tak, by poddani nie dochodzili, co się jej przytrafiło. Nawet spiskowcy musieli się liczyć z możliwością zamieszek.

Następna godzina przeminęła szybciej, Tz'u Si bała się jedynie, że zgaśnie świeca. Gdyby się poruszyła, obudziłaby dziecko, które spało słodko z rączką w jej ręce. Chciała więc delikatnie dać znak służącej, aby włożyła do latarni świeżą świecę. Podniosła głowę, aby ją zawołać. W tej samej chwili wzrok jej, skupiony dotychczas na twarzy śpiącego dziecka,

pochwycił drgnięcie skórzanej płachty namiotu. Bez wątpienia był to wiatr lub ulewa, zastygła jednak bez ruchu, wpatrując się w nią badawczo. W chwilę potem ujrzała krótki sztylet cicho przecinający skórę, a następnie rękę, męską rękę, z czerwonym nefrytem na kciuku.

Głos uwiązł jej w gardle, porwała dziecko i pobiegła w przeciwną stronę namiotu, ale w tej samej chwili wyłoniła się inna ręka, pochwyliła rękę dzierżącą sztylet, pociągnęła ją do tyłu i szczelina zamknęła się. Ach, dobrze znała tę zbawczą dłoń! Stała słuchając odgłosów zmagania dwóch mężczyzn, widziała, jak drży namiot, na który padli. Usłyszała jęk, a potem zapadła cisza.

- Niech to będzie twój koniec - usłyszała głos Jung Lu.

Poczuła ulgę tak wielką, że aż zadrżała. Położyła śpiące dziecko, w milczeniu podbiegła do drzwi namiotu i wyjrzała na burzliwą noc. Jung Lu stał przed wyjściem. Zrobił trzy kroki w jej kierunku i spojrzeli sobie głęboko w oczy.

- Wiedziałam, że przyjdiesz - powiedziała.

- Nie opuszczę cię - odpowiedział.

- Czy ten człowiek umarł?

- Umarł. Rzuciłem ciało na dno wąwozu.

- Czy oni nie dowiedzą się o tym?

- Któż będzie śmiał pytać o niego, jeśli ja zajmę jego miejsce?

Stali, wpatrując się w swoje twarze, ale nie zbliżyli się ani o krok.

- Gdy będę już wiedzieć, jaka nagroda jest dostatecznie wielka - powiedziała - ofiaruję ci ją.

- Żyjesz, więc jestem wynagrodzony - odrzekł.

Stali nadal bez ruchu, aż w końcu powiedział zażenowany:

- Czcigodna, nie możemy zwlekać. Wokół nas pełno jest wrogów. Musisz udać się na spoczynek.

- Czy jesteś sam? - spytała.

- Jest ze mną dwudziestu moich ludzi. Mój koń jest najlotniejszy, więc wysforowałem się do przodu! Masz pieczęć?

- Tutaj...

Cofnął się o krok, odwrócił się i zniknął w ciemności. Opuściła zasłonę i wślizgnęła się do swego łóżka. Teraz mogła spać. Nie bała się już więcej. Przed namiotem na straży stał on. Wiedziała o tym, choć noc go skryła, i po raz pierwszy od wielu tygodni spała głęboko i spokojnie.



O świcie deszcz przestał padać, a wiatr rozpędził chmury. Patrzyła od drzwi namiotu na niebieskie niebo i podziwiała zieleń doliny między nagimi, skalistymi zboczami. Spokojnie, jakby nic się tej nocy nie zdarzyło, rozmawiała z niańką i służącą, a wzięwszy dziecko za rękę, poprowadziła je na zewnątrz namiotu i w piasku szukała małych, jasnych kamyczków, aby mu sprawić przyjemność.

- Zawiążę je w chustce - powiedziała - będziesz mógł bawić się nimi podczas podróży.

Nigdy nie była bardziej spokojna. Ci, którzy ją widzieli, dostrzegli tę jej dziwną pogodę. Nie śmiała się ani nie uśmiechała, bo byłoby to niestosowne w kondukcje pogrzebowym, ale wyglądała na pokrzepioną na duchu i zdecydowaną. Nikt też nie zadawał zbędnych pytań, gdy miejsce kapitana zajął Jung Lu otoczony dwudziestką swych ludzi. W tak niepewnych czasach lepiej było nie okazywać nadmiernej ciekawości. Było jasne, że odniosła zwycięstwo, więc każdy z nową gorliwością przystąpił do wykonywania swych obowiązków.

Gdy cesarzowa skończyła posiłek, zwinięto namioty, przygotowano wozy i ruszono w dalszą drogę. Obok następcy tronu i jego cesarskiej matki jechał Jung Lu na dużym białym koniu, a z nim jego ludzie - dziesięciu po każdej stronie. Nadal nie zadawano pytań. Tz'u Si również zdawała się nie dostrzegać, że coś się zmieniło. Siedziała milcząc na poduszkach, zasłony rozsunała tak szeroko, że mogła podziwiać mijaną okolicę. Ale gdyby ktoś odważył się ją obserwować, dostrzegłby pewnie, że często śledzi wzrokiem komendanta Straży Cesarskiej. O czym myślała?

Lecz tak naprawdę nie myślała o niczym, jej niespokojny umysł nareszcie wypoczywał. Odzyskane poczucie bezpieczeństwa sprawiło, że czuła się jak na wakacjach. Ostateczna bitwa o Tron Smoka rozegra się wtedy, gdy cesarski kondukt dotrze do stolicy. Jeśli nadal będzie podróżować w tym tempie, dotrze do Zakazanego Miasta pięć dni przed całym pochodem. Skoro tylko przybędzie do pałacu, wezwie członków swego klanu i lojalnych braci zmarłego cesarza, by wspólnie z nimi ustalić, jak zmiażdżyć wrogów. Nie, nie zrobi tego siłą - ludzie zaczęliby się burzyć. Będzie działać zachowując wszelkie formy. Przekona wszystkich o niegodziwości swych wrogów i dowiedzie, że ma prawo występować jako regentka w imieniu następcy tronu. Takie właśnie myśli dotyczące przyszłych działań majaczyły groźnie na granicy jej świadomości, ale starała się o nich tymczasem zapomnieć, by, kiedy nadejdzie czas, mogła być znów świeża i silna.

Jazda przez jesienny krajobraz sprawiała jej przyjemność i dawała ukojenie, tym bardziej że groźne góry oddalały się z każdą godziną, a obok jechał Jung Lu. Był wprawdzie

milczący i dumny, tak że nie mogli ani ze sobą rozmawiać, ani na siebie patrzeć, ale był i miał w swych rękach jej życie. Tak mijały dni. W nocy spała słodko, rano budziła się głodna, bo rzeńskie, północne powietrze ożywiało jej krew.

Dwudziestego dziewiątego dnia dziewiątego miesiąca księżycowego ujrzała wznoszące się nad równiną mury stolicy. Bramy były otwarte. Na czas przejazdu orszaku cesarzowej ludzie musieli opuścić ulice, mimo to Tz'u Si skryła się za zasłonami, by nie ujrzał jej jakiś nieświadomy zwyczajów cudzoziemiec. Ulice były jednak puste. Miasto zamarło w oczekiwaniu, wieści biegą bowiem szybciej od ludzkich nóg. Nawet najbiedniejsi obywatele wiedzieli już, że toczy się walka tygrysów i nie wiadomo, kto zwycięży. W takich czasach ludzie zwykli po prostu czekać.

Tz'u Si zaplanowała wszystkie swe ruchy. Zeszła z wozu w głębokiej żałobie, w białej luźnej szacie, bez klejnotów. Nie patrząc ni w prawo, ni w lewo, ominęła klęczących po obu stronach eunuchów. Z nieskazitelną dwornością podeszła do wozu Sakoty i pomogła jej zejść. Potem, trzymając jej lewą dłoń w swej prawej dłoni, poprowadziła ją do pałaców, które znały tak dobrze. Zanim jednak udała się do siebie, odprowadziła współregentkę aż do Wschodniego Pałacu.

Nie minęła godzina, kiedy eunuch przyniósł jej wiadomość od księcia Kunga:

- Cesarski brat, książę Kung, prosi o wybaczenie, bo wie, że cesarzowa matka znużona jest smutkiem i podróżą. Jednak sprawy państwowe są tak pilne, że nie śmie zwlekać i prosi o przekazanie, że oczekuje na audiencję w cesarskiej bibliotece, a wraz z nim jego książęcy bracia i szlachetnie urodzeni przywódcy klanów mandżurskich.

- Powiedz księciu, że przybędę bez zwłoki - odpowiedziała.

Nie czekając na posiłek ani nie zmieniając odzieży, udała się znów do pałacu Sakoty i weszła doń bez ceremonii. Kuzynka odpoczywała w otoczeniu swych kobiet - jedna rozczesywała jej włosy, druga czekała z herbatą, inna zaś przyniosła jej ulubione perfumy.

Tz'u Si odsunęła je.

- Siostró - powiedziała - proszę cię, wstań. Nie możemy odpoczywać. Wzywają nas obowiązki.

Sakota wydeła policzki, ale widok dumnej i pięknej twarzy Tz'u Si powstrzymał ją od narzekania. Westchnęła i wstała, kobiety narzuciły na nią płaszcz. Opierając się na dwóch eunuchach, wyszła za Tz'u Si na dziedziniec, gdzie czekały lektyki. Obie panie szybko zaniesiono do cesarskiej biblioteki. Wychodząc z lektyki, Tz'u Si wzięła Sakotę za rękę i idąc ramię w ramię, weszły na salę. Wszyscy powstali i złożyli im hołd. Książę Kung, ubrany jak każe zwyczaj w białe i luźne szaty, wystąpił z powagą, poprowadził panie do ich tronów i

zajął miejsce po prawej ręce Tz'u Si.

Płynęły godziny tajnej narady. Drzwi były strzeżone, eunuchów odesłano na drugi koniec wielkiej sali, skąd nie mogli podsłuchać, o czym radzą zebrani.

- Mamy bardzo poważny problem - powiedział książę Kung - ale mamy też jeden wielki atut: cesarzowa matka jest w posiadaniu cesarskiej pieczęci. Pieczęć ta warta jest tyle, co potężna armia. Prawo do sukcesji należy więc do niej, powinna wraz z Cesarzową Wschodniego Pałacu objąć regencję na czas małoletniości następcy tronu. Musimy jednak działać z wielką ostrożnością, w majestacie prawa, z zachowaniem wszelkich form i obyczajów. Jak więc pokonać zdrajców? Czy wolno nam użyć gwałtu w obecności zmarłego cesarza, zdążającego na miejsce spoczynku? Nie ma takiego precedensu. Walka z przeciwnikami w obecności uświęconego przodka byłaby czynem świętokradczym. Ludzie nie zaakceptowałyby takich władców i rzuciłoby to cień na początek rządów następcy tronu.

Wszyscy uznali, że książę Kung mówi dobrze, i po długich naradach i sporach zdecydowali, że wszelkie decyzje należy podejmować wolno, ostrożnie i z godnością, zgodnie z najlepszymi tradycjami dynastii. Tz'u Si zgodziła się z tym jako matka następcy tronu i nowa, panująca cesarzowa, a Sakota pochyliła głowę i nie rzekła ni słowa - ani za tym, ani przeciw temu, co powiedziano.

Minęły trzy dni i nadeszła godzina, na którą wszyscy czekali. Dni te Tz'u Si spędziła rozmyślając i planując każdy ruch, który będzie musiała wykonać w chwili, kiedy cesarska procesja dotrze do bram stolicy. Nie może okazać najmniejszej oznaki słabości, a jednocześnie musi być nieskazitelnie grzeczna. Śmiałość musi łączyć się z godnością, a bezwzględność z prawością.

Kurierzy przybywali co godzina z wiadomościami o kondukcje aż do rana drugiego dnia dziewiątego miesiąca księżycowego, kiedy to ostatni kurier obwieścił, że orszak zbliża się do Wschodniej Ukwieczonej Bramy Zakazanego Miasta. Tz'u Si była gotowa. Już dzień wcześniej na jej rozkaz książę Kung postawił przy tej bramie oddział wiernych żołnierzy, aby trójka zdrajców nie wykorzystała przybycia zmarłego i nie ogłosiła się regentami, opiekunami nowego cesarza. W pałacu panowała żałobna cisza. Kiedy wiadomo już było, że cesarska procesja jest blisko, obie cesarzowe ruszyły na spotkanie swego zmarłego pana, a z nimi wyruszył następca tronu. Podążali przez ciche, puste ulice w lektykach pokrytych żałobną bielą, otoczeni przez ubranych na białą gwardzistów. Za nimi podążali konno książęta i naczelnicy królewskich klanów, wszyscy w żałobnych szatach. Pochód posuwał się wolno, w smutku i ciszy; tylko mnisi buddyjscy, pełniący rolę grajków pogrzebowych, grali smutno na fletach, towarzysząc cesarskim żałobnikom.

Zatrzymali się przy potężnej bramie miejskiej i zstąpili z lektyk i koni, by uklęknąć na widok ogromnej trumny niesionej przez stu tragarzy. Z przodu, przed wszystkimi, klęczał następca tronu ubrany w białą, workowatą szatę. Po jego różowej twarzy spływały łzy lęku i żalu. Za nim klęczały cesarzowe wdowy, Tz'u Si i Sakota. Za nimi książęta, naczelnicy klanów, oficjele - wszyscy zgodnie ze swą rangą. W powietrze wzbily się głośnie zawrozczenia, szloch i westchnienia, tak że poddani, nasłuchujący za zamkniętymi drzwiami i oknami, mogli słyszeć głosy tych, którzy nimi władali.

Trzej zdrajcy, książę Yi, książę Czeng i Wielki Radca Su Szun, wykonali wprawdzie swe zadanie i bezpiecznie dowieźli zmarłego cesarza do stolicy, musieli jednak złożyć oficjalny raport o zakończeniu misji na ręce następcy tronu. Specjalnie dla tej ceremonii zbudowano ozdobny namiot w obrębie bramy. Weszła tam Tz'u Si z synem, a Sakota, milcząca i skulona, ale posłuszna, weszła z nimi. Książęta i oficjele dworscy, z dwoma Wielkimi Sekretarzami na czele, zgromadzili się wokół. Po prawej ręce następcy siadła Tz'u Si, po lewej Sakota. Tz'u Si z właściwym sobie wdziękiem i spokojem zaczęła niezwłocznie mówić do zdrajców, nie pozwalając im nawet dojść do głosu:

- Dziękujemy księciu Yi, księciu Czengowi i Wielkiemu Radcy Su Szunowi za wierną opiekę nad tym, który jest dla nas najdroższy. W imieniu naszego nowego cesarza, panującego nam obecnie Syna Niebios, składamy wam podziękowanie, ponieważ my, dwie małżonki cesarza, który nas opuścił, jesteśmy prawnie wyznaczonymi regentkami, co poświadcza dekret cesarza, własnoręcznie przez niego podpisany. Wykonaliście swe zadanie i wola nasza jest zwolnić was od wykonywania dalszych obowiązków.

Tak mówiła Tz'u Si. Mówiła z wyczelowanym wdziękiem i wystudiowaną grzecznością, ale każdy dostrzegł niewzruszoną wolę za słowami gładkimi jak perły.

Na te słowa księcia Yi ogarnęła panika. Tam, wysoko na tronie siedziało ładne dziecko, obok niego, po lewej stronie, bezradna cesarzowa Tz'u An. Lecz po prawej stronie cesarza siedział prawdziwy władca - piękna, silna kobieta, która nie obawiała się nikogo, której urokowi i wdziękowi poddali się wszyscy. Dalej stali książęta i naczelnicy klanów mandżurskich, a jeszcze dalej Straż Cesarska. Książę Yi spojrział na Jung Lu, który wyglądał groźnie i ponuro, i serce w nim zadrżało. Gdzie szukać nadziei?

Su Szun nachylił się i wyszeptał mu do ucha:

- Gdybyśmy tę diabolicę zabili wcześniej, tak jak radziłem, nigdy by nas to nie spotkało! Lecz ty, niezdecydowany, nie śmiałeś, wybrałeś plan połowiczny i przywiodłeś nas do zguby! Teraz ty jesteś naszym przywódcą, jeśli przegrasz, zginiemy.

Książę Yi zebrał więc resztki swej odwagi, zbliżył się do tronu i udając śmiałość, choć

wargi mu drżały, tak zwrócił się do cesarza:

- To my, Najwyższy, mianowani zostaliśmy regentami. Nasz cesarski przodek, twój ojciec, nas właśnie, księcia Czenga, Wielkiego Radcę Su Szuna i mnie, wyznaczył, byśmy rządzili w twoim imieniu. Jesteśmy twymi wiernymi sługami i deklarujemy uroczyście swą lojalność. Jako prawnie wyznaczeni regenci stwierdzamy z mocą dekretu, że obie małżonki nie mają żadnej wykraczającej poza ich stanowisko władzy i że nie wolno im uczestniczyć w oficjalnych audiencjach, chyba że zezwolą na to regenci.

Kiedy drżącym głosem wypowiadał te śmiałe słowa, mały cesarz patrzył to tu, to tam, ziewał i bawił się sznurem, którym przewiązana była jego luźna szata. W pewnej chwili wyciągnął rękę do matki, ale ona stanowczo odłożyła mu ją na kolano, więc usłuchał i siedział ze złożonymi dłońmi, czekając, aż stary człowiek przestanie mówić.

Kiedy Księżę Yi cofnął się o krok, Tz'u Si nie zawahała się. Uniosła prawą rękę i kierując kciuk ku dołowi, rozkazała dźwięcznym i czystym głosem:

- Zabrać tych zdrajców!

Natychmiast wkroczył Jung Lu ze swymi gwardzistami. Pochwycili spiskowców i związali ich sznurami. Zdrajcy nie ruszali się i nie stawiali oporu. Kto śmiałby im pomóc? Nie odezwał się żaden głos. Z wielką powagą i godnością uformowano pochód żałobny - za trumną cesarza stanął następca tronu otoczony z obu stron przez cesarzowe wdowy, za nimi postępowali książęta i szlachetnie urodzeni. Na końcu prowadzono zdrajców, szli w kurzu, ze spuszczoneymi głowami. Nie było już dla nich nadziei. Ulice obstawione były wiernymi żołnierzami, a wszystkie oczy wpatrywały się w nich z uwagą.

I tak oto cesarz Sien Feng powrócił do domu i połączył się ze swymi przodkami. Spoczął na marach w świętej sali, pilnowanej dzień i noc przez cesarskich gwardzistów, gdzie nieustannie paliły się świece, a mnisi buddyjscy modlili się za jego trzy dusze i łagodzili jego siedem ziemskich duchów paleniem kadzideł i recytowaniem wielu psalmów.

Tz'u Si pamiętając, że każdy czyn musi być uprawomocniony we właściwy sposób, jak rozkazuje dawny zwyczaj, wydała edykt, którego sens był taki: nieszczęścia, które dotknęły cesarstwo za sprawą cudzoziemców, ściągnęli na kraj księżę Yi i jego sojusznicy, zwodząc i oszukując białych ludzi. Ci rozgniewali się i w odwecie spalili Pałac Letni. Zdrajcy nie zaprzestali jednak knoń - ogłosili, że zanim cesarz zszedł z tego świata, mianował ich regentami, po czym wykorzystując młody wiek następcy tronu, przejęli władzę, lekceważąc wyrażoną dekretem wolę zmarłego cesarza, by regentkami zostały jego małżonki, cesarzowe wdowy.

„Niechaj Księżę Kung (głosił na zakończenie edykt) po konsultacjach z Wielkimi

Sekretarzami, Sześcioma Radami i Dziewięcioma Ministerstwami, rozpatrzy i zdecyduje, jaką karę powinni ponieść owi zdrajcy. Ponadto niech rozważy głęboko i udzieli rady, w jaki sposób cesarzowe wdowy mają sprawować funkcje regentek, i niech przedstawi w sprawie procedury odpowiedni memoriał”.

Edykt ten cesarzowa matka opatrzyła cesarską pieczęcią. Kiedy już został rozesłany, przygotowała następny, który podpisała własnym imieniem i imieniem współregentki, jako edykt cesarzowych wdów. Zarządziła w nim, aby zdrajców pozbawiono odznaczeń i zdegradowano. Na koniec wydała jeszcze jeden edykt, tym razem podpisany tylko jej imieniem, który głosił:

„Su Szun winny jest zdrady stanu. Uzurpował sobie władzę. Brał łapówki i dopuścił się wielu niegodziwości. Używał w stosunku do cesarzowej bluźnierczego języka, zapominając o świętym związku, jaki łączy władcę i poddanego. Co więcej, eskortując zmarłego cesarza w drodze z Żeholu, zatrzymał przy sobie żonę i konkubiny, choć wszystkim wiadomo, że udzielenie kobietom przywileju towarzyszenia cesarskiej trumnie jest zbrodnią karaną śmiercią. W związku z tym zarządzamy, by Su Szun poniósł śmierć przez poćwiartowanie - niech jego ciało zostanie rozplatanie na tysiąc kawałków. Jego własność ma ulec konfiskacie, zarówno ta w stolicy, jak i w Żeholu, i nie wolno okazywać litości ani jemu, ani jego rodzinie”.

Wyrok ten był rzeczywiście śmiały, ponieważ Su Szun był najbogatszym człowiekiem w historii dynastii, jeśli nie liczyć żyjącego przed laty Ho Sz’ena, skazanego przez panującego wówczas cesarza Cz’ien Lunga na śmierć, ponieważ bogactwa swe osiągnął posługując się kradzieżą i lichwą.

Na mocy tego edyktu dobra Su Szuna zostały oddane tronowi, tak jak to się stało z dobrami Ho Sz’ena. Nikt nie znał ich prawdziwej wielkości, ale na polecenie Tz’u Si zarekwirowano biblioteki Su Szuna, a w nich znaleziono spisy skarbów przechowywanych w magazynach zdrajcy. Między tymi spisami odkryto pewną dziwną notatkę, która ucieszyła cesarzową. Głosiła ona mianowicie, że pani Mei nie jest prawdziwą córką Su Szuna. Kiedy doniesiono o tym Tz’u Si, cesarzowa zapragnęła na własne oczy ujrzeć ten zapisek, sporządzony ręką jakiegoś nieznanego sekretarza, który najwyraźniej miał na pieńku z Su Szunem, swym chlebobawcą. Bowiem poniżej długiego spisu ziem i nieruchomości można było odczytać zapisane drobnym maczkiem słowa:

„Niech będzie powiedziane, że dobra te należały do szlachcica z klanu Czystej Białej Chorągwi. Szlachcic ten zginął fałszywie oskarżony przez Su Szuna, który pragnął zagarnąć jego dobytek. Pozostawił po sobie małe dziecko, dziewczynkę, którą Su Szun zabrał do

swego domu. Ta dziewczynka - to pani Mei, obecnie dworka Cesarzowej Zachodniego Pałacu”.

Przeczytawszy te słowa, Tz'u Si posłała natychmiast po panią Mei i pokazała jej notatkę. Dama zapłakała, następnie osuszyła oczy białą jedwabną chusteczką i powiedziała:

- Często zastanawiałam się, czemu nie mogę kochać Su Szuna jak ojca. Czułam się taka winna! Teraz mogę uspokoić swoje serce.

Uklękła w podziękę przed Tz'u Si i od tego dnia kochała swą panią jeszcze wierniej niż dotychczas.

- Teraz już jestem sama na świecie - rzekła - i Ty, Czcigodna, jesteś moją matką i ojcem.

Konfiskata dóbr Su Szuna nie zadowoliła jednak Tz'u Si. Nalegała, aby ściśle wykonać zalecenia edyktu. Książęta, ministrowie, członkowie rad pochylili głowy. Tylko Książę Kung ośmielił się zabrać głos.

- Wasza Wysokość - powiedział - cesarzowe wdowy powinny okazać odrobinę litości, jeśli chodzi o sposób, w jaki ma umrzeć Su Szun. Niechby raczej poszedł na ścięcie, niż został poćwiartowany.

Nikt nie śmiał podnieść oczu, by patrzeć na stanowczą i piękną twarz Tz'u Si w chwili, kiedy padły te słowa. Wszyscy wiedzieli, że pragnie czego innego. Minęły minuty, zanim odpowiedziała.

- Okażemy więc litość - powiedziała w końcu - ale kaźń odbędzie się publicznie.

Tak więc nadeszła chwila, kiedy Su Szun miał zostać ścięty na miejskim rynku. Ranek był jasny i słoneczny, a ludzie ściągnęli tłumnie, by zobaczyć, jak umiera. Szedł odważnie wśród gawiedzi i chociaż był złoczyńcą, głowę trzymał wysoko, a jego śmiała twarz była nieporuszona. Dumny do końca położył głowę na pieńku, a kat uniósł pałasz i jednym, szybkim uderzeniem wykonał wyrok. Kiedy głowa Su Szuna toczyła się w kurzu, ludzie wyli z radości, bo wielu doznało od niego krzywd.

Cesarzowa matka poleciła księciu Jui i księciu Liangowi, aby byli świadkami egzekucji i donieśli tronowi, gdy rzecz się dokona, że Su Szun naprawdę nie żyje.

Książęta Yi i Czeng należeli do cesarskiego rodu, nie mogli więc zostać ścięci, ale kazano im udać się do Pustej Komnaty, która była więzieniem cesarskiego dworu, i tam zadać sobie śmierć. Jung Lu wręczył każdemu jedwabny sznur i stał obok, a oni powiesili się na belkach pod sufitem - jeden w południowym końcu komnaty, drugi w północnym. Książę Czeng umierał śmiało i bez wahań, ale książę Yi długo zbierał się na odwagę, aż zmusił się w końcu, płacząc i wzdychając.

Tak zginęli trzej główni spiskowcy, a ci, którzy mieli nadzieję wznieść się wraz z nimi, poszli na wygnanie. Od tej chwili Tz'u Si zaczęła używać publicznie tytułu cesarzowej matki, który przyznał jej w Żeholu umierający cesarz. Tak rozpoczęło się panowanie następcy tronu, ale wszyscy wiedzieli, że mimo form, których przestrzega, i grzeczności, jaką wszystkim okazuje, najwyższa władza należy do cesarzowej matki.



## Cesarzowa Matka

Zima wczółgiwała się od północy i miasto Pekin kurczyło się z zimna. Drzewa w podwórzach, w lecie tak zielone i kwitnące, że tworzyły obszerne tropikalne ogrody, zrzuciły dawno liście. Tylko nagie szkielety, siwe od szronu, majaczyły teraz nad dachami. Lód pojawił się na brzegach jezior i zamarzały ścieki. Ludzie na ulicach wstrząsali się i pochylali głowy, idąc pod wiatr. Sprzedawcom słodkich pieczonych kartofli powodziło się dobrze, bo ziemniaki rozgrzewały ręce i żołądki biednych ludzi. Kiedy człowiek otwierał usta, aby coś powiedzieć, para oddechu wiła się w powietrzu jak dym, a matki nakazywały dzieciom, by nie krzyczały i nie traciły wewnętrznego ciepła.

Nie pamiętano takiego zimna, ale chłód dawał się we znaki nie tylko ciałom. Dreszcze przenikały dusze i serca wszystkich ludzi. Teraz, kiedy ciało zmarłego cesarza oczekiwało na pogrzeb w pałacowej świątyni, kiedy rozstrzygnięta została sprawa sukcesji, trzeba było spojrzeć w przyszłość bez złudzeń - nadchodziły ponure lata. Traktat z białymi najeźdźcami, który podpisał książę Kung, był traktatem uznającym zwycięstwo wroga.

Pewnego zimowego dnia cesarzowa matka siedziała samotnie w swej prywatnej sali tronowej, z pergaminem traktatu rozłożonym przed sobą na stole. Była sama, chociaż nigdy naprawdę sama, bo w zasięgu jej głosu zawsze pozostawał eunuch Li Lien-jing, którego życie upływało w oczekiwaniu na jej gest lub głos. Zapominała o nim, jakby go tam zupełnie nie było.

Tego zimnego poranka odczytywała traktat wielokrotnie, uważnie i bez pośpiechu rozważając każde słowo, a jej wyobraźnia ożywiała każde zapisane w nim postanowienie. Od tej chwili w Pekinie już zawsze przebywać będą mężczyźni z Anglii, Francji i innych krajów, stali reprezentanci obcych rządów. Oznaczało to, że będą z nimi również ich żony i dzieci, służący z rodzinami, strażnicy i kurierzy. Dzicy biali mężczyźni bez wątpienia znajdą sposób, aby obrażając bogów, spać z uroczymi Chinkami.

Co więcej, traktat głosił, że cesarzowa matka, regentka, musi wypłacić obcym tysiące funtów złota jako odszkodowanie za wojnę, którą narzucili najeźdźcy. Czy było to sprawiedliwe, że za wojnę, której nie chcieli, mieli płacić jej ludzie, a nie ci, którzy do niej doprowadzili?

Dalej traktat stanowił, że dla ludzi z Zachodu otworzy się nowe porty, nawet port w Tientsinie, oddalony o niespełna sto mil od samego Pekinu. Czyż nie znaczy to, że pojawi się tu tłum nowych ludzi i nowych towarów? A gdy poddani jej ujrzą obcych z ich dobrami, czy w ich nieoświeconych sercach nie narodzą się szkodliwe pragnienia? Może to być przyczyną

wielkiego zamętu.

Zaś obcy księża, powiadał traktat, przynoszący swe religie, mogą do woli wędrować po kraju, osiedlać się, gdzie zapragną, i przekonywać ludzi do nowych bogów. To bez wątpienia ściągnie klęskę na cały naród.

O wszystkich tych bolesnych sprawach czytała owego pochmurnego dnia cesarzowa matka w swym samotnym pałacu. Nie odzywała się do nikogo. Nie zjadła przyniesionego posiłku. Zapadła noc, ale nie zwracała na to uwagi. Nikt nie śmiał do niej przemówić ani błagać, by poszła spać. Eunuch postawił na stole dzbanek jej ulubionej zielonej herbaty i czarkę postawił tuż obok niej, ale ani nie spojrzęła, ani nie wyciągnęła ręki.

W pewnej chwili, po północy, odłożyła pergamin. Wcięż jednak nie wstawęła z krzesła, by pójść do sypialni. Wielkie czerwone świece wypalały się w złotych lichtarzach, a ich drżące płomienie tworzyły dziwne cienie na malowanych belkach wysokiego sufitu. Eunuch, jak zawsze uważny, pośpieszył włożyć nowe świece i znów się oddalił. Siedziała podpierając podbródek prawę rękę, w zamyśleniu głębszym niż kiedykolwiek. Młody cesarz, jej syn, miał zaledwie pięć lat, do szóstych urodzin brakowało mu jeszcze pół roku. Ona, jego matka, miała lat dwadzieścia sześć. On nie mógł zasiąść na Tronie Smoka przed ukończeniem szesnastego roku życia - więc przez dziesięć lat, dziesięć długich lat swego młodego życia, będzie musiała rządzić za syna. A czym było jej królestwo? Był to kraj większy, niż to sobie mogła wyobrazić, zamieszkaany przez naród starszy od historii, przez ludzi, których nigdy nie zdołano policzyć, dla których była obca. Nawet w czasie pokoju cesarstwo byłoby potwornym ciężarem - a pokoju nie było. Szalała rebelia, kraj był podzielony, bo w Nankinie, południowej stolicy ostatniej chińskiej dynastii Ming, władał buntownik Hung. Cesarskie wojska walczyły z nim nieustannie, ale on nadal utrzymywał się u władzy. Wojna wyniszczała kraj, osaczeni przez obie armie ludzie głodowali. Dobrze wiedziała, że jej wojska nie były wcale lepsze od wojsk buntowników, żołnierzom płacono rzadko, więc broniąc się przed głodem, żerowali na ludności, grabiąc i mordując, tak że wieśniacy, których wioski spalono, a zbiory zrabowano, w równym stopniu nienawidzili buntowników jak cesarskich żołnierzy.

Oto jej brzemię.

Nie dość na tym - w prowincji Junnan wybuchło nowe powstanie. Zbuntowali się muzułmanie, potomkowie plemion środkowo-wschodnich Arabów, którzy przybyli tu we wczesnych wiekach jako kupcy i pozostali, aby poślubić chińskie kobiety i wychowywać mieszane dzieci. Trzymali się swych bogów. A ponieważ ich liczba nieustannie wzrastała - stawali się coraz śmielsi. Chińscy wicekrólowie wyznaczani przez Tron Smoka rządzili

chciwie i twardą ręką, więc buntujący się muzułmanie ślubowali, że odłączą swe ziemie od królestwa i ustanowią własny rząd.

Oto jej brzemię.

Musiała uporać się z jeszcze jednym problemem. Była kobietą. Chińczycy nie mieli zaufania do kobiet jako władczyń. Kobiety, powiadali, są złymi władcami. Cesarzowa matka przyznawała im tu trochę racji. W czasie długich samotnych godzin wiele czytała o historii cesarstwa, wiedziała więc, że w ósmym wieku, za panowania dynastii Tang, cesarzowa Wu, żona wielkiego cesarza Kao Tsunga, zawładnęła tronem należącym prawnie do jej syna, a jej niegodziwości splamiły imię wszystkich kobiet. Mężczyźni powstali przeciwko niej i uwolnili młodego cesarza z więzienia, do którego wtrąciła go własna matka. Nie był jednak nadal bezpieczny, bo z kolei jego żona, cesarzowa Wei, zapragnęła władzy i działając z ukrycia, rozsiewając plotki i spiskując, uczyniła tyle zła, że tylko jej śmierć mogła uratować kraj. Wkrótce po tym, jak rozstała się wreszcie z życiem, a jej grób przywalono dla bezpieczeństwa ciężkim kamieniem, jej dawna nieprzyjaciółka, księżniczka Tai-ping, uknuła spisek, by otruć jej syna, następcę tronu. Ona także została zgładzona. Kiedy zaś następca tronu został cesarzem Sian Tsungiem, znalazł się we władzy pięknej konkubiny Kuei-fei, która tak go oczarowała swą pięknnością i lotnością umysłu, że rujnował się, zaspokajając jej namiętność do klejnotów, jedwabi i pachnidła, aż ludzie powstali powtórnie, a ich przywódca zmusił Kuei-fei, by się powiesiła na oczach swego królewskiego kochanka. Ale chwała dynastii Tang zmarła wraz z nią, bo cesarz nie chciał już rządzić i pogrążył się w nieprzerwanej żałobie. Historia tych kobiet pokazywała zło, jakie może uczynić władczyni, były więc jej wrogami, chociaż zmarły tak dawno. Czy jednak poddani uwierzą teraz, że kobieta może rządzić sprawiedliwie i dobrze?

Oto jej brzemię.

Ale największym zagrożeniem była dla niej ona sama. Zdawała sobie sprawę, że popełnia błędy, choć bardziej wykształcona od wielu uczonych. Była świadoma niebezpieczeństwa - jej młode i gorące serce łatwo mogło ją zdradzić. Wiedziała dobrze, że nie jest z jednej bryły, że nie jest kobietą uformowaną jednolicie. Kryło się w niej wiele różnych kobiet, nie wszystkie były silne i opanowane. Swą miękkość, swe lęki, swą tęsknotę powinna zachować dla kogoś silniejszego od niej, dla mężczyzny, któremu mogła ufać. Gdzie teraz się znajdował?

Tym pytaniem zakończyła swe rozmyślenia. Wstała drżąca, Li Lien-jing podszedł do niej.

- Czcigodna, powinnaś teraz wypocząć.

Mówiąc to podał jej ramię, a ona oparła na nim swą dłoń i pozwoliła odprowadzić się pod zamknięte drzwi sypialni. Otworzył je przed nią i zatrzymał się w progu. Czekająca służąca podała jej dłoń i zamknęła drzwi.

Ostre zimowe słońce zbudziło ją ze snu. Leżała w łóżku, raz jeszcze rozważając to, o czym myślała w nocy. Musiała zmierzyć się z ciężkim brzemieniem, ale czyż nie miała środków, by temu sprostać? Była wprawdzie młoda, ale młodość dawała siłę. Była kobietą, ale urodziła syna, który był teraz cesarzem. Nie pójdzie złą drogą owych zmarłych kobiet, które postawiły się nad wszystkimi, nawet ponad własnymi synami, aby tylko samodzielnie władać. Będzie myślała tylko o swoim synu. W ciągu dziesięciu lat swej regencji będzie mówiła łagodnie, będzie dla wszystkich uprzejma, nie zażąda niczego dla siebie, a gniew okazywać będzie tylko wtedy, gdy ktoś uchybi w czymś jej synowi. Będzie troszczyć się o jego przyszłą władzę. Uczyni dla niego cesarstwo silnym i zdrowym, a kiedy on będzie mógł zająć wreszcie należne mu miejsce, oddali się, bo nikt nie będzie dla niego rywalem, nawet ona. Udowodni, że kobieta może być dobra. Młodość, zdrowie i wola przyszły jej z pomocą, wstała z łóżka odrodzona swą własną energią.

Od tego dnia wszyscy oglądali nową cesarzową, silną, uprzejmą, o łagodnych manierach, damę, która nie spogląda w twarz mężczyzn, odwraca głowę od eunuchów i rozmawia dwornie zarówno z postawionymi wysoko, jak nisko. Trzymała się z dala od wszystkich. Nie miała powiernicy i nikt nie znał jej myśli i marzeń. Żyła samotnie, za niemożliwym do pokonania murem uprzejmości, w którym nie było żadnej furtki.

Jakby chcąc odciąć się od przeszłości, przeniosła się z komnat, które dotąd zajmowała, do odległego pałacu zwanego Zimowym, położonego w tej części cesarskiego miasta, którą nazywano Wschodnią Drogą. Pałac ten i otaczające go ogrody wybudował i wyposażył cesarz Cz'ien Lung. Obok znajdowała się obszerna biblioteka, również dzieło owego przodka, wypełniona trzydziestoma sześcioma tysiącami najstarszych ksiąg, w których zawarte były myśli i idee wszystkich wielkich uczonych. U wejścia do pałacu stał symboliczny parawan, który ozdabiało dziewięć cesarskich smoków wykonanych z różnokolorowej porcelany. Za parawanem znajdowało się wejście do największej z sal, sali audiencyjnej, która wychodziła na szeroki, marmurowy taras. Z salą tą łączyły się inne, mniejsze, każda z własnym podwórcem. Jedną z nich wybrała na swą prywatną salę tronową, w której mogła przyjmować książąt i ministrów pragnących konferować z nią osobno. Tuż za nią znajdowała się sala mieszkalna, a potem sypialnia, mała i cicha, z łóżem, które wbudowano w jedną ze ścian, pokryto materacami z żółtego aksamitu i zaopatrzono w zasłony z żółtej gazy haftowanej w jej ulubione czerwone kwiaty granatu. Następną salą była jej sekretną świątynią. Na

marmurowym ołtarzu stał tam złoty Budda, po jego prawej stronie mała, złota Kuan Yin, a po lewej poślaczany Lohan, duch mądrości. Obok świątyni znajdował się długi pokój, w którym przebywali jej eunuchowie, niewidoczni i niesłyszalni, ale zawsze gotowi na jej wezwanie.

Komnaty, w których żyła teraz cesarzowa, były umeblowane z przepychem, który lubiła, wypełniono je inkrustowanymi stołami, krzesłami i kanapami wyłożonymi poduszkami z purpurowego aksamitu. Tu znajdowały się jej liczne zegary, kwiaty i ptaki, haftowane posłania piesków, jej książki i jej biurko oraz szafy ze zwojami. Do sąsiadujących ze sobą sal prowadziły cynobrowe drzwi ze złożonymi daszkami. Boczne, małe wejście z jednego z prywatnych podwórz wiodło do ogrodu, który najbardziej kochał cesarz Cz'ien Lung. Siadywał tu, kiedy był już stary, i marzył w promieniach słońca przeświecających przez liście bambusa. Drzwi prowadzące do tego ogrodu miały kształt księżyca i osadzone były we framudze z subtelnie rzeźbionego marmuru, a otaczający go mur zbudowano z ułożonych w mozaikę marmurów. Poniżej starych sosen, przygiętych wiekiem do ziemi, rosły głębokie mchy, a kiedy świeciło słońce, zapach igieł sosnowych przenikał powietrze. W odległym rogu ogrodu, gdzie padały promienie gorącego słońca, stał pawilon, do którego klucz miała tylko cesarzowa. Spał w nim w swej trumnie Cz'ien Lung, Wielki Przodek, oczekując dobrze wróżącego dnia pochówku.

W tym cichym, starodawnym pałacu przechadzała się często cesarzowa matka, zawsze sama, dźwigając na barkach ciężar, którego waga zdawała się rosnać. Tylko ktoś mocny mógł znieść życie, które sobie narzuciła. Wstawała codziennie wczesnym rankiem, choćby był chłodny i przykry, i kiedy ją ubrano, udawała się w swej cesarskiej, żółtej lektyce do sali audiencyjnej. Nie przybywała tam jednak sama, nigdy bowiem nie zapomniała o swym postanowieniu, że okazywać będzie zawsze skromność. Rozkazała więc swej siostrze - regentce, aby ta wraz z nią uczestniczyła w audiencjach, śledząc obrady zza zasłony okrywającej tron. Cesarzowa matka nigdy nie zasiadała na tronie bez tej zasłony. Tron Smoka jest pusty i będzie pusty do chwili, kiedy młody cesarz zacznie samodzielnie władać narodem, stwierdziła. Tak więc za jedwabną zasłoną siedziały dwie cesarzowe wdowy, otoczone damami i eunuchami, a po prawej stronie pustego tronu stał książę Kung i wysłuchiwał memoriałów książąt i ministrów oraz przyjmował tych wszystkich, którzy przynosili swe petycje.

Najważniejszymi z tych petentów byli ci, którzy pewnego zimowego dnia przybyli tu, by błagać regentki, aby położyły kres panowaniu buntownika Hunga w południowym mieście Nankinie. Wicekrólowie tych prowincji zostali wyrzuceni i teraz pojawili się, by prosić o zadośćuczynienie.

Starszy z wicekrólów, który od dawna władał prowincją Kiangsu, był stary i gruby. Końce siwych wąsów spływały na rzadką brodę porastającą jego podbródek. Było mu niewygodnie klęczeć, bo chłód marmurowej podłogi przenikał jego kolana mimo poduszki z włosia końskiego. Musiał jednak klęczeć przed pustym tronem osłoniętym jedwabną zasłoną.

„Ów buntownik Hung - stwierdził - rozpoczął swą karierę od przyjęcia nowej wiary. Stał się chrześcijaninem. Nie jest też prawdziwym Chińczykiem. Jego ojciec był rolnikiem, niewykształconym prostakiem, jednym ze śniadoskórych mieszkańców południowych wzgórz, którzy pochodzą z plemienia Hakka. Hung, który ma na imię Siu-cztian, zapragnął awansu, więc podjął się studiów i przystąpił następnie do cesarskich egzaminów w nadziei, że zostanie gubernatorem. Nie powiodło mu się, więc próbował powtórnie, i znów mu się nie powiodło. Zdawał bez powodzenia trzy razy i pewnie wtedy zetknął się z chrześcijanami, którzy opowiedzieli mu o zstąpieniu na ziemię obcego boga - Jezusa, który wcielił się w ludzką istotę i został zabity przez wrogów, lecz zmartwychwstał w chwale. Hung, przybity niepowodzeniem, pozazdrościł temu bogu i zaczął miewać sny i wizje, oznajmił, że jest wcieleniem Jezusa i wezwał wszystkich niezadowolonych i buntujących się, aby szli za nim, a on z ich pomocą obali dynastię i ustanowi nowe królestwo, które pod jego władzą nazywać się będzie Królestwem Wielkiego Pokoju. Przysiągł, że w królestwie tym bogaci staną się biednymi, a biedni bogatymi, stojący wysoko będą poniżeni, a ludzie niskiego stanu wywyższeni. Złożywszy takie przyrzeczenia, uzyskał wielu zwolenników, których liczba urosła do kilku milionów. Dokonując rozbojów i morderstw, zdobył ziemie i złoto i nakupił broni u białych ludzi. Rozmaici przestępcy, a także ludzie niezadowoleni dołączają do niego dzień w dzień, nazywając go Niebiańskim Królem. Pod wpływem jego czarodziejskiej siły zwolennicy jego wpadają w trans i mają wizje. Mówi się, że ów Niebiański Król potrafi tchnąć ducha nawet w żołnierzy wyciętych z papieru, którzy stają się mężczyznami. Dobrzy ludzie szaleją z lęku. Bo rzeczywiście, kraj nasz zginie, jeśli w porę nie unicestwi się tego demona. Kto jednak zdoła go podejść? Bez sumienia, bez lęku, nie zwracając uwagi na prawdę i kłamstwo, wprawia w pomieszanie prawych ludzi”.

Cesarzowa matka ukryta za żółtą, jedwabną zasłoną wysłuchiwała tego memoriału z narastającym gniewem. Czyż jeden człowiek miał zniszczyć cesarstwo, korzystając z tego, że jej syn jest jeszcze dzieckiem? Wojska cesarskie należy zreorganizować. Należy powołać nowych generałów. Kiedy trzeba, umiała być łagodna, ale tego buntownika nie będzie dłużej tolerować, by nie wzrosnął w siłę. Któż go bowiem wtedy stąd wyrzuci?

Kiedy więc tego dnia książę Kung przyszedł jak zwykle, aby naradzać się z nią w jej prywatnej sali tronowej, spotkał kobietę chłodną, wyniosłą, zdecydowaną. Zupełnie inną niż

zwykle. Albowiem pośród wielu twarzy cesarzowej były dwie, różniące się od siebie, jak różni się mężczyzna od kobiety. Potrafiła być łagodna, tak że lud nazywał ją Naszą Łaskawą i Świętą Matką albo Kuan Yin Łagodnego Oblicza, ale mogła być twarda i okrutna, bezlitosna niczym kat. Tego dnia księżę Kung nie zastał Łaskawej Matki ani Łagodnego Oblicza, lecz silną, złą królową, która nie toleruje słabości u swych ministrów.

- Gdzie jest generał, który dowodzi naszymi cesarskimi wojskami? - wołała z wysokości swego tronu. - Gdzie jest Tseng Kuo-fan?

Tseng Kuo-fan, dowódca cesarskich wojsk walczących z chińskimi buntownikami, był synem wielkiej rodziny pochodzącej z południowej prowincji Hunan. Jego dziad nauczył go mądrości i dał mu wykształcenie. Pod wpływem swego przodka młodzieniec uczył się dobrze i stanął do cesarskich egzaminów, które zdał szybko, zdobywając wszelkie możliwe wyróżnienia. Wkrótce po tym został przyjęty w stolicy i uzyskał posadę rządową. Kiedy doszło do rebelii, Tseng Kuo-fana, który zdobył już doświadczenie w sprawach rządowych, wysłano na polecenie tronu na południe, aby zreformował cesarskie wojska rozgromione przez buntowników. Tseng Kuo-fan wyszkolił więc świetnych żołnierzy, zwanych Hunańskimi Dzielnymi, ale zanim wysłał ich do boju przeciw głównym siłom Hunga, hartował ich w walkach z miejscowymi bandytami. Tak długo zwlekał z decydującym uderzeniem, że inni generałowie mieli mu to za złe, albowiem buntownik Hung zdołał w tym czasie zająć połowę prowincji. Generałowie skarżyli się więc na Tseng Kuo-fana, oskarżając go o opieszałość, a teraz sama cesarzowa dołączyła do tych utyskiwań.

- Jak on śmie - rzekła do księcia Kunga - jak śmie powstrzymywać główne siły Dzielnych, kiedy każdego dnia buntownicy odzierają nas z nowych prowincji na południu? Jaką wartość mają jego Dzielni, jeśli królestwo pada?

- Najwyższa - odpowiedział księżę - nawet gdyby Dzielni zaatakowali, nie mogliby znaleźć się we wszystkich miejscach naraz.

- Muszą być wszędzie naraz - stwierdziła cesarzowa matka. - Obowiązkiem ich przywódcy jest wysyłać ich wszędzie tam, gdzie gromadzą się buntownicy, gdzie planują atak, gdzie zagrażają przerwaniem naszych szeregów. Uparty Tseng Kuo-fan chce działać według swego własnego planu!

- Najwyższa - powiedział księżę - ośmielam się zaproponować pewną strategię. Anglicy, z którymi teraz mamy rozejm, naciskają, abyśmy przyjęli ich wojowników dla zorganizowania oporu przeciw buntownikom. Wprawdzie wspierali go z początku, bo ogłaszał się chrześcijaninem, ale teraz uważają go za szaleńca. Uzyskalibyśmy w ten sposób przewagę...

Cesarzowa rozważała słowa księcia Kunga. Jej smukłe ręce spoczywały na rzeźbionych poręczach tronu nieruchomo, jak ptaki, które przysiadły na gałęzi. Wkrótce zaczęła bębnić niespokojnie o drewno poręczy palcami uzbrojonymi w złote ochronne tarcze na paznokciach.

- Czy Tseng Kuo-fan wie o propozycji Anglików? - spytała.

- Wie - odpowiedział Książę Kung - ale jest jej przeciwny. Naprawdę wierzę, że ten uparty generał wolałby raczej oddać cesarstwo rodzimym buntownikom, niż zwyciężyć przy pomocy cudzoziemców.

Nagle zaczął jej się podobać ów Tseng Kuo-fan.

- Dlaczego? - spytała.

- Powiada, że jeśli przyjmiemy pomoc Anglików, z pewnością wystawią nam za nią słony rachunek.

Ozdobione klejnotami ręce cesarzowej zacisnęły się na krześle.

- Prawda, prawda - zawołała. - Będą domagali się ziem, które dla nas ocalili. Cha, zaczynam wierzyć Tseng Kuo-fanowi! Ale nie chcę dalszej zwłoki. Musi skończyć wreszcie przygotowania i zaatakować. Niech otoczy Nankin, niech uderzy na to miasto wszystkimi siłami. Kiedy przywódca Hung zginie, jego zwolennicy rozproszą się.

- Najwyższa - powiedział zimno książę - pozwól mi zauważyć, że nie byłoby z twojej strony rzeczą rozsądną udzielanie Kuo-fanowi rad dotyczących sposobu prowadzenia wojny.

Błysnęła ku niemu swymi wielkimi oczami.

- Nie pytam cię o zdanie, książę.

Jej głos brzmiał łagodnie, ale twarz jej pobieliała z gniewu, a całym ciałem wstrząsnął dreszcz. Pochylił głowę i powściągając własny gniew, zniknął jej z oczu. Kiedy odszedł, zeszła z tronu, podeszła do biurka i napisała dekret, który kurier miał zawieźć oddalonemu generałowi.

„W jakichkolwiek byłbyś opresjach - pisała - nadszedł czas, byś ruszył pełną siłą. Wezwij do siebie swego młodszego brata Tseng Kuo-cz'uana. Niech ruszy z Kiangsi i postępuje wraz z tobą do prowincji Anhuei. Zdobądźcie Ankin, stolicę prowincji. Będzie to pierwszy krok do odzyskania Nankinu. Wiemy, że buntownicy zajmują Nankin od dziewięciu lat i bez wątplenia nazywają to miasto swoim domem. Wypieraj ich, niech poznają, co znaczy walczyć bez osłony obronnych murów. Następnie wezwij zajętego wojną podjazdową generała Pao Cz'ao. Jest to człowiek nieustraszony, śmiały w ataku i lojalny wobec tronu. Pamiętamy, jak uderzał na rebeliantów w Joczou i Wuczang, choć często bywał w opresji.



Trzymaj go w odwodzie, zawsze gotowego do podjęcia walki, aby mógł, kiedy ty dzień po dniu będziesz zaciskał pierścien wokół Nankinu, oddzielić się i pognać z powrotem, jeśli rebelianci na nowo podniosą głowę w Kiangsi. Masz bowiem podwójne zadanie - zgładzić przywódcę Hunga i jednocześnie tłumić każdy bunt, który mógłby wybuchnąć za twymi plecami. Nie donoś tronowi o trudnościach. Nie możesz się skarżyć. Co należy zrobić, będzie zrobione, jeśli nie przez ciebie, to przez innych. Kiedy buntownik Hung zginie, nagroda będzie wielka”.

Takich to słów, zręcznie przetykanych komplementami, użyła cesarzowa matka układając swój dekret. Skończywszy, własnoręcznie przyłożyła do pergaminu cesarską pieczęć, następnie wezwała naczelnego eunucha i kazała mu zanieść dokument księciu Kungowi, aby go skopiował w celu dokumentacji i wysłał przez kuriera na południe do Tseng Kuo-fana.

Naczelnny eunuch powrócił z nefrytową odznaką, co świadczyło o tym, że książę Kung otrzymał dekret i będzie mu posłuszny. Odebrawszy ją, cesarzowa matka uśmiechnęła się, a jej oczy zabłyśły jak ciemne diamenty pod czarnymi rzęsami.

- Czy coś powiedział? - spytała.

- O, pani - odpowiedział naczelnny eunuch - książę linijka po linijce przeczytał dekret i powiedział: „Rozum tej kobiety nie przestaje mnie zadziwiać!”

Cesarzowa matka zaśmiała się delikatnie za haftowanym rękawem. - Powiedział tak naprawdę...? No... no...

Naczelnny eunuch wiedząc, jak bardzo lubi słuchać pochwał, dodał:

- Najwyższa, książę mówi prawdę. Wszyscy powiadamy to samo.

Dotknął koniuszkiem języka swych ładnie wykrojonych warg, wykrzywił twarz w uśmiechu i odszedł, zanim zdążyła go zganić.

Kiedy odszedł, zamyśliła się, choć twarz jej nadal rozświetlał uśmiech. Jakie imię powinien przybrać jej syn w czasie swego panowania? Trzej zdrajcy wybrali mu imię Czai Siang: „Dobrze Wróżąca Szczęśliwość”. Ale nie chciała pustych, nic nie znaczących słów. Pragnęła zdrowego, utrwalonego pokoju, opartego na narodowej jedności, jedności między uległymi poddanymi i łaskawym tronem. Pokój i łaskawość. Podobały się jej słowa dobre, właściwie zastosowane, pasujące do czasów, posiadające dokładne znaczenie. Jej literacki smak kształtowali mistrzowie prozy i poezji, więc po długim namyśle wybrała dwa słowa, które miały być cesarskim imieniem jej syna. Słowo: T’ung - oznaczające „przenikać”, i Czy - oznaczające „pokój”, cichy pokój zakorzeniony głęboko w sercu i umyśle. Był to śmiały

wybór, bo czasy były niespokojne, a kraj rujnowali wrogowie. Jednak imieniem tym oznajmiała wolę pokoju, a dla niej wola oznaczała także działanie. Zdobyła ludzkie zaufanie. Codziennie w sali audiencyjnej rozstrzygała wielkie i małe sprawy, z którymi zwracano się do tronu. Decydowała, jak ukrócić poczynania odległego urzędnika, który bez umiaru gnębił swój region, albo słuchała skarg na ceny ryżu, które nagle podniosły się, bo garstka ludzi wykupiła zeszłoroczne nadwyżki, dekretowała, że ponieważ ostatniej zimy nie było śniegu na polach pszenicznych, śniegu koniecznego dla dobrych plonów, należy publicznie zganić bogów, wyprowadzając ich z wygodnych świątyń, aby przyjrzeni się suchym i zamrażniętym polom. Oprócz spraw drobnych rozstrzygała też problemy wielkiej wagi, jak ochrona wybrzeży przed cudzoziemskimi wrogami oraz obrona przed znienawidzonym handlem opium, prowadzonym przez cudzoziemców. Cesarzowa matka znajdowała cierpliwość dla wszystkich.

Pamiętała również o swoim najbliższym otoczeniu. Zazdrośnie strzegła swego syna, trzymając go przy sobie zawsze, gdy tylko mogła. Pozwalała mu biegać w bibliotece, gdzie czytała memoriały oraz pisała rozkazy. Podnosząc oczy znad papierów, sprawdzała, czy jego ciało jest jędrne i chłodne, a skóra wilgotna, ale nie spocona, czy źrenice są lśniące i czarne, a białka czyste, i zaglądając mu do ust, sprawdzała, czy jego zęby są zdrowe, język czerwony, a oddech świeży. Wsłuchiwała się w jego głos i w jego śmiech. Ale myślała nie tylko o nim. Przeglądała pałacowe rachunki, spisy żywności otrzymywane w daninie, żywności zakupionej, otrzymanych i składowanych jedwabi i atłasów, i ani jedna sztuka jedwabiu nie mogła być wydana z magazynu, jeśli zlecenia nie potwierdzała jej własna pieczęć. Dobrze wiedziała, że nieuczciwość dworu łatwo może rozprzestrzenić się w narodzie, chciała więc, by każdy służący i służąca, każdy książę i minister czuli na sobie jej chłodne, baczne spojrzenie.

Wynagradzała ich jednak często i hojnie. Eunuch, który dobrze jej służył, mógł w nagrodę otrzymać kilka sztuk srebra, wierna służąca - atłasowy kaftanik. Nie zawsze były to kosztowne dary. Czasem, gdy jadła przy cesarskim stole, a damy dworu czekały opodal, wzywała tę, z której była zadowolona, i razem z nią spożywała swe ulubione potrawy. Tą oznaką łaski umacniała pozycję damy w pałacu, bo każdy spieszył z usługami dla tej, którą wyróżniała cesarzowa matka.

Nikt oprócz niej nie wiedział o tym, jak zamierza wynagrodzić tych dwóch - księcia Kunga i Jung Lu. Zwlekała z ogłoszeniem swej cesarskiej woli, bo nie mogła się zdecydować, którego z nich wyróżnić jako pierwszego. Jung Lu ocalił życie jej i cesarza. Ale książę Kung ocalił stolicę. Nie zbrojnie, ale swą umiejętnością rokowania z wrogiem. Wiele stracono, to

prawda. Traktat ciążył tronowi - nie mogła zapomnieć, że w obrębie stolicy mieszkają teraz biali mężczyźni ze swymi pomocnikami i rodzinami. Jednak miasto nie zostało zniszczone, jak wcześniej zapowiadano. O Pałacu Letnim rozsądnie zapomniała. Czasami jednak, zupełnie mimowolnie, przed jej oczami pojawiały się jego ogrody i jeziora, skały i grotty, pagody wiszące na zboczach wzgórz, skarbcze wypełnione darami z czterech stron świata, biblioteki, książki i malowidła, nefryty i przepyszne sprzęty. W takich chwilach twardniało jej serce na myśl o księciu Kungu. Czy nie mógł jakoś zapobiec tej potwornej zbrodni, jaką było zniszczenie tego piękna? Kochała Pałac Letni, ale nie tylko ona poniosła stratę - zgromadzone tam skarby były częścią piękna całego świata. Więc najpierw uhonoruje Jung Lu. On w każdym razie nie dopuścił do zniszczenia. Jednak jej chowające urazę do księcia Kunga serce potrafiło być rozsądne, a rozsądek nakazywał, by wezwała go i starała się przynajmniej sprawić wrażenie, że zamierza zasięgnąć w tej sprawie jego rady.

Czekała więc na sposobny dzień, kiedy miną obfite opady śniegu. Gdyż bogowie, których zaklinano, przynaglano i oskarżano, dostrzegli wreszcie wyschnięte pola i głodnych wieśniaków i zesłali gęsty śnieg, który pokrył miasta i okolice warstwą tak głęboką, że musiały minąć trzy tygodnie, zanim zniknęła ostatnia zaspą. W wysuszone pola spłynęła życiodajna wilgoć i pod śniegiem pojawiła się świeża ruń, a kiedy słońce przygrzało przez kilka łagodnych dni, ozimina wybijała, jak okiem sięgnąć. Składano za to wielkie dzięki cesarzowej matce, ludzie bowiem mówili, że to jej łaska i siła zniewoliły bogów.

Nadszedł wreszcie ów dogodny dzień. Zimowy, ale tak bliski wiosny, że ciepłe mgły wisiały nad miastem, kiedy gorące słońce padało na chłodną ziemię. Cesarzowa matka wysłała naczelnego eunucha, by wezwał księcia Kunga do sali audiencyjnej. Nadszedł wkrótce - wyglądał wspaniale w swej oficjalnej szacie z niebieskiego brokatu spływającej aż do ziemi, ciemnej, bo dwór był wciąż w żałobie i miał być w żałobie jeszcze przez trzy lata po śmierci cesarza. Kiedy zbliżał się do tronu, wyglądał tak dumnie, tak godnie, że mimo woli poczuła się dotknięta. Miała wrażenie, że skłonił jej się zbyt lekko, zbyt zdawkowo, jak gdyby zaczynał się spoufalać. Przeszyło ją uczucie skrytego gniewu, ale odsunęła je od siebie. Jej zadaniem było pozyskanie go dla sprawy, na której jej zależało. Nie był to czas na wyrzucanie mu jego dumy.

- Proszę, nie stójmy tak ceremonialnie - powiedziała głosem, który brzmiał niczym muzyka. - Porozmawiajmy razem. Jesteś bratem mego pana. Cesarz ufał ci, więc i ja mogę na tobie polegać.

Tak zaproszony usiadł po prawej stronie tronu, ale teraz nie spodobała się jej gotowość, z jaką spełnił to, o co go poprosiła. To prawda, że zanim usiadł w jej obecności,

opierał się przez chwilę. Ale zbyt krótko, zbyt zdawkowo.

- Myślę - powiedziała - o wynagrodzeniu komendanta Cesarskiej Straży. Nie zapomniałam, że ocalił mi życie, które zdrajcy chcieli mi odebrać. Jego wierność Smoczemu Tronowi jest niewzruszona jak Góra Omei. Gdybym umarła, zdrajcy zatrzymaliby tron dla siebie i następcą nigdy nie zostałaby cesarzem. Chcę go wynagrodzić nie tylko w swoim imieniu, ale też w imieniu cesarza i całego narodu, bo gdyby zdrajcy wygrali, tron by upadł.

Książę Kung nie patrzył na nią, kiedy mówiła. Jego ostry słuch i bystry umysł pojęły ukryte znaczenie tego, co powiedziała.

- Najwyższa - powiedział - jaką nagrodę masz na myśli?

Śmiało pochwyliła okazję. Nie miała zwyczaju unikać krytycznych momentów.

- Od czasu śmierci Su Szuna stanowisko Wielkiego Radcy jest wolne. Mam niezłomną wolę powierzyć je Jung Lu.

Uniosła głowę, by spojrzeć księciu w twarz, a on, poczuwszy na sobie jej mocne spojrzenie, nie spuścił oczu przed jej wzrokiem.

- To niemożliwe.

Takie były jego słowa, gdy zmierzyli się oczami.

- Nic nie jest niemożliwe, jeśli ja tego chcę.

Tak rzekła w odpowiedzi, a jej spojrzenie zapłonęło gniewem. Był jednak bezlitosny.

- Wiesz, że dwór nadal obiegają plotki. Wędrują z ust do ust, od eunucha do eunucha. Staram się je odierać, broniąc honoru tronu i mojego klanu, ale nie mogę ich zdusić.

Spojrzała niewinnie.

- O jakich plotkach mówisz?

Nie był przekonany o jej niewinności, ale była tak młoda, że być może zachowała jednak niewinność. Powiedziawszy tyle, musiał jednak mówić dalej. Rzekł więc otwarcie:

- Niektórzy wątpią, czy zmarły cesarz istotnie był ojcem twego syna.

Spojrzała w bok, zatrzepotała powiekami, wargi jej zadrżały, przyłożyła do ust jedwabną chusteczkę.

- Och - jęknęła - a ja sądziłam, że moi wrogowie umarli.

- Mówię to dla twojego dobra. Nie jestem twoim wrogiem - odpowiedział.

Jej wilgotne od łez rzęsy wysuszyła wściekłość.

- Powinieneś być skazać na śmierć tych, którzy ośmielili się rzucić takie oszczerstwa! Nie powinieneś być pozwolić, by żyli dłużej niż godzinę. Jeśli nie śmiałeś tego zrobić, trzeba było zostawić to mnie, abym mogła zobaczyć, jak umierają!

Czy była niewinna? Nie wiedział i nigdy nie będzie wiedzieć. Milczał.

Wyprostowała się na tronie.

- Nie proszę cię więcej o radę. Dziś, zaraz po twoim odejściu, ogłoszę Jung Lu mym Wielkim Radcą. A jeśli ktoś wystąpi przeciw niemu...

- Co zrobisz? - spytał. - Co poczniesz, gdy cały dwór powtarza tę plotkę?

Pochyliła się do przodu zapominając o grzeczności.

- Uciszę ich! I rozkazuję ci, książę, bądź cicho!

Nigdy w ciągu minionych lat nie doszło między nimi do tak ostrej wymiany zdań. Przypomnieli sobie teraz o potrzebie wzajemnej lojalności.

Pierwszy ochłonął książę.

- Najwyższa, proszę o wybaczenie. - Wstał i złożył pokłon.

Odpowiedziała najłagodniej, jak potrafiła.

- Nie wiem, dlaczego mówiłam tak do ciebie. To ty nauczyłeś mnie wszystkiego, co potrafię. To ja muszę cię prosić o wybaczenie.

Chciał szybko zaprotestować, ale uniosła rękę, by go powstrzymać.

- Nie, nic nie mów... jeszcze nie. Od dawna nosiłam się z myślą obdarzenia cię najwyższym z możliwych szczytów. Otrzymasz szlachetny tytuł Księcia Doradcy z pełnym wynagrodzeniem. Ponadto wydam też specjalny dekret, a raczej wydadzą go obie regentki - moja siostra i ja, w którym tytuł Księcia Cz'in, przyznany za specjalne zasługi przez mojego pana, zostanie uznany za tytuł dziedziczny.

Tak niespodziewana łaskawość cesarzowej zdumiała księcia Kunga. Znow się pokłonił i odpowiedział po swojemu, grzecznie i uprzejmie:

- Najwyższa, nie pragnę nagrody za to, co jest moim obowiązkiem. Moim pierwszym obowiązkiem było służyć cesarzowi - byłem mu winien podwójny szacunek, był bowiem również mym starszym bratem. Teraz moim obowiązkiem jest służba jego synowi, młodemu cesarzowi. Następnie służba tobie, cesarzowej matce, a także drugiej cesarzowej jako współregentce. Widzisz, ile mam obowiązków. Za ich wykonywanie nie powinienem otrzymywać nagród.

- Tę musisz przyjąć - powiedziała cesarzowa matka, i zaczęła się między nimi grzeczna walka. Ona nalegała, on odmawiał, aż w końcu doszli do porozumienia.

- Pozwól jednak, o pani, by z tego szczytnego tytułu nie korzystali moi synowie - powiedział w końcu książę Kung. - Nie leży w naszej tradycji, by synowie dziedziczyli to, co zdobyli ich ojcowie. Chciałbym, aby moi synowie wynagrodzeni byli za własne zasługi.

Cesarzowa matka nie mogła na to nie przystać.

- Odłóżmy więc tę sprawę na czas bardziej odpowiedni. Tymczasem chciałabym cię,

najczcigodniejszy księżę, prosić w zamian o podarunek.

- Już go otrzymałaś - przyrzekł Księżę Kung.

- Pozwól mi adoptować twą córkę, Jung-czun. Uczynię ją cesarską córką. Daj mi tę radość, abym się uspokoiła i poczuła, że otrzymałaś jakieś drobne zadośćuczynienie za wierną, lojalną pomoc, jakiej mi udzieliłaś w walce ze zdrajcami w Żeholu. Czyż nie odpowiedziałeś na moje wezwanie? Pamiętam, że zrobiłeś to bez zwłoki.

Teraz przyszła kolej na księcia, aby uległ; zrobił to wspaniałomyślnie. Od tego dnia córka jego stała się królewską księżniczką i służyła swej cesarskiej pani tak wiernie, że cesarzowa matka przyznała jej dożywotnio prawo do używania palankinu z zasłonami w kolorze cesarskiej żółci, jak gdyby była księżniczką z urodzenia.

Tak więc cesarzowa matka realizowała swe zamierzenia. Niczego nie robiła bez troski lub w pośpiechu. Plany rodziły się z ziarenka woli, tęsknoty, pragnienia. Ziarno, raz rzucone, mogło leżeć odłogiem przez rok, dwa, dziesięć lat, aż nadejdzie godzina jego wzrostu, aż wreszcie pojawią się kwiaty.

Znów było lato, przyjemna pora z wiatrami wiejącymi z południa i wschodu, przynoszącymi mgiełki i łagodne deszczyki, a nawet zapachy słonych mórz, o których cesarzowa matka słyszała, ale których nie widziała, choć kochała wodę w basenach, fontannach i jeziorach. Kiedy ciężki, senny upał pełnego lata wpełzał w mury Zakazanego Miasta, tęskniła za pałacami Jiian Ming Jiian, którego już nie było. Nigdy nie widziała jego ruin i nie oglądała popiołów, bo tego znieść by nie mogła. Pozostały jednak przecież słynne Morskie Pałace. Dlaczego nie miałyby uczynić z nich miejsca swego odpoczynku i przyjemności?

To pomyślawszy, wyznaczyła dzień wyjazdu. Damy i eunuchowie, jak każe zwyczaj, towarzyszyli jej w swych lektykach, wozach zaprzężonych w muły lub konno w podróży do Morskich Pałaców, oddalonych o niespełna pół mili. Podróż nie była długa, mimo to w cesarskim orszaku panowało zamieszanie i podniecenie, a Gwardia Cesarska oczyściła ulice, by jakiś złoczyńca nie ośmielił się zakłócić spokoju.

Parki Pałaców Trzech Mórz nie były cesarzowej matce obce, bo odwiedzała je wielokrotnie, aby na Ołtarzu Jedwabników złożyć wiosną ofiary Bogu Morwowych Drzew, a w Sali Jedwabników pokłonić się przed samą Boginią Jedwabników. To należało do jej stałych obowiązków, ale czasem przychodziła tu również, by popływać łodzią po jednym z trzech jezior, zwanych morzami, a zimą przypatrywała się przyjęciom na lodzie, które dwór urządzał na jeziorze zwanym Morzem Północnym, i cieszyła się widokiem jaskrawo ubranych

eunuchów ślizgających się wprawnie po grubej lodowej tafli, wygładzonej tuż przed przyjęciem za pomocą gorącego żelaza. Były to starodawne jeziora, stworzone pięćset lat temu przez tatarskich cesarzy, którzy nawet nie marzyli o pięknie, jakiego przydał im Jung Lo, pierwszy cesarz chińskiej dynastii Ming. Kazał je pogłębić i połączył mostami wysepki, na których stały pawilony - każdy bogato rzeźbiony i ozdobiony malowidłami, inny od pozostałych. Z południa i północnego zachodu sprowadzono potężne głazy, dziwnie rzeźbione prądem rzek, aby utworzyć ogrody, w których budowano pałace i hale, sadzono stare, poskręcane drzewa, doglądając ich tak troskliwie, jakby były ludźmi. Niektórym z nich nadano zresztą tytuły, które zwykle nadaje się ludziom. W Sali Jasności znajdował się wielki posąg Buddy, zwany Nefrytowym Buddą, mimo że nie wyrzeźbiono go w nefrycie, lecz w czystym, białym kamieniu z Tybetu. Przodek Cz'ien Lung kochał Morskie Pałace, zbudował między nimi bibliotekę, którą nazwał Wzgórzem Sosnowym, a jej trzy sale: Salą Krystalicznych Wód, Werandą Mycia Orchidei (od obrzędu mycia orchidei w piątym dniu piątego miesiąca księżycowego) oraz Salą Radosnego Śniegu, nazwaną tak na cześć poety Wang Szi-czi, który w jednym ze swych wierszy opowiadał o radości, jakiej doznał na widok nagle spadłego śniegu. Wiersze, które stworzył, choć wykute w marmurze, przepadły na długie lata, aż prosty robotnik znalazł ów marmurowy kamień wśród ruin, i oddał go władającemu wtedy cesarzowi Cz'ien Lungowi, który umieścił go w najbardziej odpowiedniej sali - Sali Radosnego Śniegu.

Każdy zakątek Morskich Pałaców obfitował w takie legendy, które cesarzowa matka, czytając wiele książek, dobrze poznała.

Dla siebie cesarzowa matka wybrała sale i podwórza, baseny i kwiatowe ogrody należące do Pałacu Współczucia, który wznosił się w pobliżu Morza Środkowego. Szczególnie upodobała sobie ogrody. Nie zdecydowała się jeszcze na organizowanie przyjęć i wesołych zebrań, jak to bywało w Pałacu Letnim w Jjian Ming Jlian, kiedy to, zależnie od kaprysu, ona i jej panie zakładały podczas zabawy kostiumy bogiń lub wróżek, jednak po raz pierwszy od śmierci cesarza, swego zmarłego pana, pozwoliła sobie na oglądanie sztuk teatralnych, aczkolwiek niezbyt długich i nie wesołych, lecz smutnych i spokojnych, opiewających prawdy ducha. W tym celu kazała otworzyć bramę między swymi skalnymi ogrodami a nie używanym podwórzem przy zamkniętym pałacowym budynku i poleciła, aby eunuchowie stolarze, malarze i murarze wzniesli dużą scenę obok miejsca, w którym wygodnie i w odosobnieniu mogłaby wraz ze swymi damami oglądać przedstawienie. Jej królewska loża osiągnęła rozmiary sporego pokoju. Na jej polecenie ustawiono ją za wąskim strumieniem, który przecinał dziedziniec, tak że płynąca woda łagodziła głosy aktorów, jak

muzyka mieszała się z ich głosem. Przez strumyk przerzucony był wąski jak ścieżka marmurowy mostek.

Do tego to miejsca, czując, że plan jej dojrzał, cesarzowa matka poleciła wezwać Jung Lu. Pamiętała zawsze o unikaniu zbyt wyraźnego połączenia dwóch działań, aby nikt nie mógł powiedzieć, że „najpierw zrobiła to, a potem to”, odkrywając przypadkiem jej ukryty zamysł. O nie, przeczekala pełne dwa miesiące od chwili, kiedy uczyniła córkę księcia Kunga swym adoptowanym dzieckiem, zanim zrobiła następny krok i posłała po Jung Lu, jakby pod wpływem chwilowego kaprysu, ona, która była zbyt mądra na kaprysy.

Przed jej oczyma rozgrywała się sztuka z rolami obsadzonymi tylko przez eunuchów, bo od czasów cesarza Cz'ien Lunga żadnej kobiecie nie wolno było pokazywać się na scenie, jego matka była bowiem aktorką, i aby oddać jej cześć, nie pozwolił, aby jakaś kobieta była do niej podobna. Tego dnia grano starą sztukę - *Sierota Klanu K'ao*, którą cesarzowa widziała wiele razy, więc śpiewy ją nużyły. Nie chciała jednak zranić aktorów, zatem siedziała słuchając, jedząc powoli słodczyce i myśląc o swym sekrecie. Dlaczego - rozważała - nie miałyby wezwać Jung Lu tutaj, gdzie zgromadzeni byli wszyscy, i w czasie trwania sztuki powiadomić go o swej woli? Musi przecież dowiedzieć się, czy zechce zająć miejsce Su Szuna, zanim wynagrodzi go tym publicznie.

Gestem przyzwała Li Lien-jinga.

- Każ memu krewnemu, aby tu przybył. Mam dla niego rozkazy.

Eunuch wyszczerzył zęby, złożył pokłon i odszedł trzeszcząc palcami w kostkach, a cesarzowa matka odwróciła głowę do sceny i znów wydawała się zaabsorbowana sztuką. Jej panie siedziały wokół niej. Ta, która poczuła na sobie oko cesarzowej, wstawała czekając na wezwanie. W pewnej chwili pani Mei, zawsze uważająca na swą władczynię, poczuła na sobie jej wzrok, a odwracając się od sceny, zobaczyła, że cesarzowa matka mierzy ją długim, zamyślonym spojrzeniem. Natychmiast powstała i skłoniła się. Cesarzowa matka wezwała ją dłonią skierowaną ku dołowi i śliczna dziewczyna podeszła do niej nieśmiało.

- Nachyl do mnie ucho - rozkazała cesarzowa matka. Śpiew ze sceny sprawił, że nie mógł jej słyszeć nikt prócz damy, która pochyliła głowę i posłyszała, jak władczyni mówi jej do ucha:

- Nie zapomniałam o przyrzeczeniu, które ci dałam, moje dziecko. Spełnię je dzisiaj.

Pani Mei stała z głową pochyloną, aby ukryć zapłonioną twarz.

Cesarzowa matka uśmiechnęła się.

- Widzę, że wiesz, o jakie chodzi przyrzeczenie.

- Czy mogłabym zapomnieć o obietnicy Waszej Wysokości? - odpowiedziała pani



Mei.

Cesarzowa matka dotknęła jej policzka. - Ładnie powiedziane, dziecko! Dobrze, zobaczysz...

Tymczasem Jung Lu zbliżał się do łoża królewskiej. Popołudniowe słońce oświetlało jego wysoką postać i padało na wyprostowaną głowę. Był w swym uniformie, ciemnoniebieskim z powodu żałoby po zmarłym cesarzu, u jego pasa połyskiwał szeroki miecz w błyszczącej, srebrnej pochwie. Mocnym krokiem podszedł do podwyższenia i oddał hołd. Cesarzowa matka pochyliła głowę i wskazała, by usiadł obok jej niskiego tronu. Zawahał się i usiadł.

Przez chwilę wydawała się nie zwracać na niego uwagi. Na scenę wszedł główny bohater sztuki, aby odśpiewać swą słynną pieśń. Wszystkie oczy zwrócone były na niego, więc i ona spoglądała z uwagą. Nagle, nie odrywając oczu od sceny, zaczęła mówić:

- Kuzynie, zamierzam hojnie cię nagrodzić za twą służbę dla mnie i młodego cesarza.

- Wasza Wysokość - powiedział Jung Lu - naprawdę nie zrobiłem niczego, co by wykaczało poza mój obowiązek.

- Wiesz, że ocaliłeś nam życie - powiedziała.

- To był mój obowiązek - upierał się.

- Czy myślisz, że zapomniałam? - spytała w odpowiedzi. - Nie zapomniałam niczego, ani wtedy, ani teraz. Wynagrodzę cię, czy tego chcesz, czy nie. Wolą moją jest, byś zajął wolne miejsce po zdrajcy Su Szunie.

- Wasza Wysokość... - zaczął gwałtownie, ale ona uniosła rękę, by go uciszyć.

- Musisz się zgodzić - powiedziała, wciąż wpatrując się w scenę. - Potrzebuję cię obok siebie. Komu mogę wierzyć? Książę Kung, tak... wiem, że na twych wargach jest jego imię. Tak, wierzę mu! Ale czy on mnie kocha? Lub... czyja kocham jego?

- Nie powinnaś tak mówić - wymamrotał.

Głos na scenie wzniósł się wysoko, biły bębny, damy wykrzykiwały pochwały i rzucały kwiaty i słodczyce śpiewającemu eunuchowi.

- Kocham cię zawsze - powiedziała.

Nie odwrócił głowy.

- I ty mnie kochasz - dodała.

Wciąż milczał.

Teraz spojrzała wprost na niego.

- Czy tak nie jest? - spytała otwarcie.

Patrząc na scenę wyjąkał:

- Nie chcę, byś z mojego powodu straciła to, co zdobyłaś z takim trudem.

Uśmiechnęła się, a chociaż znów odwróciła głowę, jej wielkie oczy płonęły.

- Kiedy już będziesz Wielkim Radcą, będę cię mogła wzywać tak często, jak tylko tego zapragnę, bo ciężar rządów spadnie również na ciebie. Regenci opierają się na książętach, Wielkich Radcach i ministrach.

- Nie usłucham tych wezwań, przyjdę tylko w towarzystwie wszystkich doradców.

- Usłuchasz! - powiedziała z mocą.

- I zniszczę twą opinię?

- Zadbam o swą opinię. To proste - poślubisz damę, którą ci wybiorę. Któż ośmieli się powiedzieć coś złego, jeśli będziesz miał młodą i piękną żonę?

- Nikogo nie poślubię! - jego głos zabrzmiał gorzko.

Na scenie słynny aktor złożył ostatni ukłon i usiadł. Rekwizytor wybiegł, aby przynieść czarkę z herbatą. Aktor zdjął ciężki, kolorowy hełm i starł pot jedwabną chustką. W małym teatrze usługujący eunuchowie wyciskali miękkie ręczniki w miskach pełnych perfumowanej, parującej wody i rozdawali je wokół, wprost w wyciągnięte ręce. Eunuch Li Lien-jing przyniósł cesarzowej matce gorący, pachnący ręcznik na złotej tacy. Wzięła go i przytknęła delikatnie najpierw do skroni, potem do dłoni, a kiedy eunuch odszedł, powiedziała ostro, niskim głosem:

- Rozkazuję ci, byś poślubił panią Mei. Nie, nie odpowiadaj. To najsubtelniejsza kobieta dworu, najszersza dusza, i kocha ciebie.

- Czy wolno ci rozkazywać mojemu sercu? - zawołał zduszonym głosem.

- Nie musisz jej kochać - stwierdziła okrutnie.

- Jeśli jest taka, jak mówisz, dopuszczę się niesprawiedliwości, która jest wbrew mej naturze - odparł.

- Nie, jeśli będzie wiedziała, że jej nie kochasz, i mimo to zechce zostać twoją żoną.

Zastanawiał się nad tym przez chwilę. Na scenie młody aktor starał się śpiewać najlepiej, jak potrafił, a tymczasem służący eunuchowie przynieśli tace z przeróżnymi łakociami, które rozdawali wśród widzów. Aktor nie był znany, nie zwracano więc na niego uwagi, kierując spojrzenia w stronę cesarzowej matki. Czują je na sobie i wiedziała, że musi już odprawić Jung Lu.

Powiedziała przez zaciśnięte zęby:

- Nie możesz mnie nie usłuchać. Zdecydowałam już - zgodzisz się na to małżeństwo i tego samego dnia zajmiesz swe miejsce między radcami. A teraz oddal się!

Wstał i złożył głęboki ukłon. Jego milczenie oznaczało zgodę. Skłoniła głowę. Z

wystudiowanym wdziękiem znów ją uniosła i wydawało się, że całą uwagę skupiła na scenie.

W nocy, kiedy była sama, myślami wróciła do tej chwili. Nie mogła przypomnieć sobie, co grali ani co śpiewali aktorzy. Kiedy odszedł, siedziała wachlując się wolno, a scena rozmazywała się przed jej oczami. Z ciałem boleśnie napiętym złożyła wachlarz i pozostała bez ruchu, wciąż wpatrując się w scenę, a ból przenikał całe jej jestestwo. Kochała tylko jego i będzie go kochała do śmierci. On był kochankiem, którego pożądała, mężem, którego sobie odmówiła.

A kiedy jej myśli trzepotały jak ptaki obijające się o pręty klatki, pomyślała nagle o królowej, o angielskiej królowej Wiktorii, o której opowiadał jej kiedyś książę Kung. Szczęśliwa królowa, której pozwolono na poślubienie mężczyzny, którego kochała! Ale Wiktoria nie była konkubina ani wdową po cesarzu. Tron należał się jej z urodzenia, mogła więc wynieść kochanego mężczyznę, aby zasiadł u jej boku. Jednak kobiety nie mogły dziedziczyć Tronu Smoka, mogła go dla siebie jedynie zdobyć.

A więc, mówiła do siebie cesarzowa matka, czy jestem o tyle silniejsza od angielskiej królowej, że zdobywszy tron...

Ale czy siła jest pociechą dla kobiety?

Leżała w swym wielkim łożu, wciąż nie śpiąc, chociaż dozorca uderzył już dwukrotnie w mosiężny gong, oznajmiając tym, że upłynęły dwie godziny po północy. Leżała bez ruchu, podczas kiedy krew tłoczyła w jej ciało ból, a oddech stawał się ciężki i głęboki. Dlaczego nie mogła być tylko kobietą? Dlaczego nie mogła wyrzec się tronu i zostać tylko żoną, żoną tego, którego tak kochała? Cóż to za pycha kazała jej sięgać po najwyższą władzę? Jakież znaczenie może mieć to, czy dynastia przetrwa, czy upadnie?

W końcu ujrzała siebie, kobietę o skrytych potrzebach i tęsknotach, a zarazem już nie kobietę w swej namiętności do czegoś więcej niż tylko miłość. Stanowisko i władza, duma z bycia ponad wszystkimi - to także było jej niezbędne. Ale czyż nie była kobietą oddaną miłości do syna? Jej bezwzględne ja odpowiedziało na to, że chociaż jest on jej dzieckiem, a ona jego matką, to poza więzami krwi istnieją między nimi inne więzy. Był cesarzem, a ona cesarzową matką. Pospolite dobrodziejstwo kobiecości nie wystarczało. Och, przekłeta kobieta, która urodziła się z takim sercem i z takim umysłem!

Przewracała się na poduszce i płakała z żalu nad sobą. Nie potrafię kochać, myślała. Nie potrafię kochać tak, by ulec tej miłości. A dlaczego? Bo znam siebie zbyt dobrze. Gdybym poprzestała tylko na miłości, serce moje umarłoby, i porzuciwszy wszystko, nie miałabym nic prócz nienawiści do niego. A ja go kocham!

Dozorca znów uderzył w gong i ogłosił trzecią godzinę po północy!

Przez chwilę rozmyślała o miłości, szlochając, kiedy myśli stawały się zbyt bolesne. Przypuśćmy, że kiedy Jung Lu ożeni się z panią Mei, zdoła go nakłonić, aby spotkał się z nią w jakimś sekretnym pokoju zapomnianego pałacu. Na straży stałby jej eunuch, opłaciłaby go sownie, a gdyby wydawał się nielojalny, wystarczyłoby jedno słowo, by sztylet utkwił w jego sercu. Jeśli chociaż raz, dwa lub powiedzmy kilka razy w życiu spotka się ze swym ukochanym jak kobieta, będzie szczęśliwa, uzyskawszy tak wiele. Bo czyż jego serce nie należy do niej?

Ach, ale czy zawsze będzie do niej należało? Kiedy ona będzie siedziała na tronie, miejsce w jego łóżu zajmie inna kobieta. Jest przecież tylko mężczyzną, czy będzie pamiętał, że kocha cesarzową, a nie kobietę, którą obejmuje?

Łzy wyschły w ataku nagłej zazdrości. Usiadła na łóżku, odrzuciła jedwabne przykrycie, podciągnęła kolana i złożywszy na nich głowę, zagryzała wargi, łkając cicho, aby nie usłyszała tego służąca.

Dozorca znów uderzył w gong i ogłosił czwartą godzinę po północy!

Kiedy wyczerpał ją gorzki płacz, znów się położyła. Urodziła się taką, jaką jest, kobietą i czymś więcej niż kobietą. Jej zgubą był jej własny geniusz. Znów łzy zadrzały na jej powiekach.

Wtedy gdzieś z głębi jej istoty zaczęła napływać dziwna siła. Zguba? Gdyby uległa swej miłości lub zazdrości, wtedy można by mówić o zgubie, bo okazałoby się, że nie jest dostatecznie wielka, aby sprostać swoim wrodzonym, ogromnym możliwościom.

A przecież jestem silna, mruknęła. Tak, pociechę znajdzie w swej sile. Osuszyła oczy i poczuła, jak powraca jej dawna, niezachwiana wiara w siebie. Uporządkowała myśli, oddzieliła pojęcia słuszne od fałszywych.

Wyobrażanie sobie sekretnego pokoju w jakimś zapomnianym pałacu - to szaleństwo, głupota i próżne rojenie! On nigdy nie zechce być z nią w ten sposób. Jeśli dla miłości nie wyrzeknie się wszystkiego, on będzie zbyt dumny, by stać się jej potajemnym kochankiem. Zgodził się tylko raz, tamtego dnia, kiedy był jeszcze chłopcem, kiedy odkryła, że jeszcze nie miał kobiety. Tak, to ona była tą pierwszą. Zostały jej wspomnienia, ale nie chciała ich rozpamiętywać, lecz zachowując je na zawsze w pamięci iść dalej. Nie ulegnie już nigdy więcej.

Teraz przyszła jej do głowy myśl tak nowa, że aż oszalałajająca. To prawda - nie potrafi pokochać mężczyzny tak, by rzucić wszystko i iść za miłością. Niech tak będzie, taką się urodziła. Ale czyż nie mogła przynajmniej pozwolić, aby kochał ją z całego serca i

okazywał tę miłość wierną służbą?

Być może kocham go najbardziej, pomyślała, kiedy przyjmuję jego miłość, więc to właśnie będzie moją ucieczką.

Wraz z tą myślą w żyły jej wsączył się dziwny spokój, przynosząc ukojenie udreżonemu sercu. Zamknęła oczy.

Znów odezwał się gong dozorczy. Usłyszała jego poranne zawołanie:

- Dnieje. Wszystko jest w należytym porządku.

Szybko wyznaczyła datę ślubu. Niech to się stanie zaraz, aby rzecz stała się już nieodwołalna! Pani Mei nie mogła jednak wprost z cesarskich pałaców trafić do domu pana młodego.

- Wezwij naczelnego eunucha - rozkazała cesarzowa matka.

Li Lien-jing, który stał cicho na swym zwykłym miejscu przy drzwiach cesarskiej biblioteki, gdzie cesarzowa przebywała od czterech dni, z nikim nie rozmawiając, wydając tylko rozkazy, popędził jak najszybciej, by spełnić polecenie. Naczelnny eunuch spożywał właśnie we własnych pokojach późne śniadanie, składające się z różnych mięs, które pochłaniał powoli i ze smakiem. Od śmierci swego władcy szukał pociechy w przyjemnościach stołu. Teraz jednak pośpieszył na wezwanie.

Cesarzowa matka spojrzała na niego znad książki, kiedy się przed nią pojawił, a przyjrzwawszy mu się, rzekła z wielkim niesmakiem:

- An Teh-haiu, ośmielasz się demonstrować zadowolenie z siebie? Przysięgłabym, że obrastasz tłuszczem nawet w tych dniach żałoby.

Spróbował przybrać smutny wygląd.

- Czcigodna, pełno we mnie wody. Ukłuj mnie, a wycieknie płyn. Jestem chory, Wasza Wysokość, a nie tłusty.

Słuchała tego z surowym wyrazem twarzy, który przybierała zawsze, gdy wydawało się jej, że powinna udzielić reprimendy komuś stojącemu niżej. Nic nie mogło ująć jej uwagi, i chociaż jej umysł i serce wypełniały sekretne troski, potrafiła, jak zwykle, zwrócić swe myśli ku sprawom tak drobnym, jak rosnące sadło naczelnego eunucha.

- Nazbyt sobie folgujesz - powiedziała. - Stajesz się coraz bogatszy, musisz to przyznać. Uważaj, byś nie stał się zbyt bogaty. Wiedz, że przyglądam ci się bacznie.

Naczelnny eunuch odpowiedział pokornie:

- Wasza Wysokość, wszyscy wiemy, że doglądasz wszystkiego.

Przez chwilę patrzyła na niego surowo, jej ogromne oczy płonęły, a on, chociaż

zgodnie z zasadami etykiety nie mógł patrzeć jej w twarz, czuł jednak jej wzrok na sobie i zaczął się pocić. Wtedy uśmiechnęła się.

- Jesteś zbyt przystojny na to, by tyć - powiedziała. - Nie będziesz mógł zagrać na scenie bohatera, jeśli pas nie zapnie ci się na brzuchu.

Zaśmiał się. To była prawda - bardzo lubił występować w rolach bohaterów podczas przedstawień pałacowych.

- Wasza Wysokość - przyrzekł - będę się głodził, by zrobić ci przyjemność.

Wtedy, udobruchana już, powiedziała:

- Nie wezwałam cię po to, aby mówić o tobie. Chcę ci oznajmić, że wołą moją jest, byś zajął się przygotowaniem do ślubu pani Mei i Jung Lu, komendanta Gwardii. Czy wiesz, że mają się połączyć?

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedział naczelny eunuch.

Wiedział o tym małżeństwie, tak jak wiedział o wszystkim, co działo się w obrębie ścian pałacowych. Li Lien-jing opowiadał mu o wszystkim, co usłyszał, to samo robili też inni eunuchowie i służące. Cesarzowa matka dobrze o tym wiedziała.

- Pani Mei jest sierotą - ciągnęła dalej. - Powinnam więc zastąpić jej matkę. Ale jako regentka reprezentuję jednak również młodego cesarza, więc moja obecność na ślubie byłaby niestosowna - jest to zaszczyt przysługujący jedynie księżniczkom. Zaprowadź ją więc do domu mego siostrzeńca, księcia Hui. Niech odejdzie ceremonialnie, z wszelkimi honorami. Mój krewny, komendant Gwardii, wyprowadzi ją z tego domu.

- Kiedy to ma nastąpić, Wasza Wysokość? - zapytał.

- Jutro pani Mei uda się do księcia. Ty pójdziesz tam dzisiaj i rozkażesz, by wszyscy przygotowali się na jej przyjęcie. Księżę ma dwie stare ciotki, niech jej towarzyszą zamiast matki. Następnie udasz się do komendanta Gwardii i zakomunikujesz mu, że zdecydowałam, iż ślub odbędzie się za dwa dni. Kiedy będzie po wszystkim i pani Mei zostanie już żoną komendanta Gwardii, przyjdź i opowiedz mi o ceremonii. Wcześniej nie zaprzataj mi tym głowy.

- Wasza Wysokość, jestem twoim sługą. - Skłonił się i odszedł. Ale ona wcześniej zagłębiła się w książce i nie uniosła głowy. Przez całe dwa dni zdawała się koncentrować tylko na książkach. Późną nocą, kiedy służący eunuchowie poprawiali świece i skrywali ziewanie za rękawami, ona wolno i uważnie czytała jedną książkę po drugiej. Były to książki o medycynie, o której nic nie wiedziała, a którą postanowiła zgłębić, im mniej bowiem o czymś wiedziała, tym bardziej pragnęła to poznać. Ale nie kierowała nią jedynie prawdziwa tęsknota za wiedzą czy ciekawość świata - zawsze chciała wiedzieć więcej od tych, z którymi

rozmawiała. W ciągu tych dwóch dni, kiedy odbywał się zarządzony przez nią ślub, wzięła w karby swą wyobraźnię i cały umysł skoncentrowała na starej pracy z dziedziny medycyny sądowej. Dzieło to, złożone z wielu tomów, było dobrze znane w sądach cywilnych, studiowali je także urzędnicy z małych sądów magistrackich, zanim brali się do sądenia wypadków śmierci z nieznanych przyczyn. Ministerstwo Kar opierało na nim swe działania, a osiemnaście lat temu panujący wówczas cesarz T'ao Huang, rozzłoszczony nieporządkiem w poprzednich wydaniach, rozkazał znanemu sędziemu, Sung Tz'u, aby zebrał wszystkie poprzednie wydania w jedno. Cesarzowa studiowała właśnie tę księgę, starając się, by nie miały do niej przystępu inne myśli i uczucia.

Dowiedziała się, że ciało ludzkie ma trzysta sześćdziesiąt pięć kości, tyle, ile jest wschodów i zachodów słońca podczas całego słonecznego roku; że mężczyźni mają po każdej stronie dwanaście żeber - osiem długich i cztery krótkie, a kobiety po czternaście żeber. Czytała, że jeśli rodzice i dzieci lub mąż i żona skaleczą się i pozwolą spływać krwi do naczyń z wodą, ich krew zmiesza się w jedną, ale krew ludzi obcych, nie połączonych takimi więzami, nigdy się nie wymiesza. Poznawała też tajemnice wielu trucizn: jak można ich użyć w przypadku choroby i jak dla spowodowania śmierci. A także, jak zamaskować ich użycie.

Przez dwa dni nie opuszczała cesarskiej biblioteki, wychodziła jedynie w porze posiłków i nocą. Rano trzeciego dnia eunuch Li Lien-jing zakaszał z oddalenia, aby zaznaczyć swą obecność. Oderwała wzrok od stronicy, na której opisana była trucicielska siła mandragory.

- Co się stało? - spytała.

- Wasza Wysokość, wrócił naczelnny eunuch.

Zamknęła księgę, ujęła róg jedwabnej chustki, która zwieszała się z nefrytowego guzika na jej ramieniu, i przytknęła ją do ust.

- Niech wejdzie - powiedziała.

Naczelnny eunuch wszedł i złożył ukłon.

- Stań za mną i powiedz, co masz do powiedzenia - rozkazała.

Stał za nią, a ona słuchając go, patrzyła przez otwarte drzwi na wielki podwórzec, gdzie w spokojnym, jasnym słońcu tego jesiennego dnia płonęły szkarłatne i złote chryzantemy.

- Wasza Wysokość - zaczął - wszystko odbyło się godnie i z właściwym ceremoniałem. Komendant wysłał do pałacu księcia czerwoną lektykę narzeczonej, po czym tragarze odeszli. Dwie stare ciotki księcia, tak jak je poinstruowałem na życzenie Waszej

Wysokości, odprowadziły narzeczoną do lektyki, pomogły jej wejść, zaciągnęły wewnętrzne zasłony i zamknęły drzwiczki na klucz. Zawezwano tragarzy, którzy podnieśli lektykę i zanieśli ją do pałacu komendanta, a dwie starsze panie towarzyszyły jej w tej drodze. W pałacu komendanta dwie inne starsze kobiety, kuzynki jego ojca, przywitały lektykę narzeczonej i wszystkie cztery wprowadziły panią Mei do środka. Tam czekał komendant w otoczeniu rówieśników, bo jego rodzice nie żyją.

- Czy starsi nie upudrowali twarzy narzeczonej mączką ryżową? - badała cesarzowa matka.

Naczelnny eunuch poprawił się natychmiast.

- Wasza Wysokość, zrobiły to i przykryły ją dziewiczym welonem z czerwonego jedwabiu. Następnie, jak tego wymaga rytuał, narzeczona przeszła przez siodło - było to mongolskie siodło komendanta, które odziedziczył po przodkach - a potem przekroczyła żarzące się węgielki i tak wkroczyła do jego pałacu otoczona starszymi paniami. Tam czekał wiekowy śpiewak weselny, który kazał młodej parze uklęknąć dwukrotnie i podziękować Niebu i Ziemi. Następnie starsze panie poprowadziły pana młodego i pannę młodą do sypialni i poprosiły, aby usiedli razem na małżeńskim łożu.

- Czyja szata była na wierzchu? - spytała cesarzowa matka.

- Jego - odpowiedział naczelnny eunuch i zachichotał. - On, Wasza Wysokość, będzie rządził w swym domu.

- No cóż, byłam tego pewna - powiedziała. - Od urodzenia był uparty. Mów dalej!

- Następnie - kontynuował naczelnny eunuch - oboje pili wino z dwóch czarek owiniętych czerwonym aksamitem, wymienili czarki i znów się napili, w ten sam sposób jedli też ciasteczka ryżowe. A potem odbyła się uczta weselna.

- Czy była to wielka uczta? - spytała cesarzowa matka.

- W sam raz - powiedział ostrożnie naczelnny eunuch - ani za duża, ani za mała...

- A na zakończenie podano pewnie - wtrąciła - długie kluseczki w rosole z kury.

- Oznaczające długie życie - powiedział naczelnny eunuch.

Zamilkł oczekując na ostatnie, najważniejsze pytanie. To, które zadaje się zawsze rano po nocy poślubnej. Musiał czekać dłuższą chwilę, zanim padło.

- Czy małżeństwo... zostało spełnione? - powiedziała to cicho, dziwnym głosem.

- Tak - odpowiedział naczelnny eunuch. - Zostałem na noc, a o świcie przyszła do mnie służąca panny młodej, aby mi to powiedzieć. Komendant zdjął welon panny młodej o północy, w sposób określony rytuałem. Służąca usunęła się wtedy, aż wezwano ją na godzinę przed świtem. Starsze kuzynki wręczyły jej poplamione prześcieradło. Panna młoda była



dziewicą.

Cesarzowa matka siedziała w milczeniu, aż naczelny eunuch, czekając na pozwolenie odejścia, zakasłał, by dać znak, że wciąż jest obecny. W końcu przypomniała sobie o jego istnieniu.

- Idź - powiedziała - sprawiłeś się dobrze. Nagrodę prześlę ci jutro.

- Wasza Wysokość jest zbyt łaskawa - odrzekł zadowolony i oddalił się.

Siedziała więc dalej, obserwując, jak światło słoneczne pada na jaskrawe kwiaty. Późny motyl, którego skrzydełka pyszniły się żółtą, cesarską barwą, zawisł trzepocząc nad szkarłatnym kwiatem. Wróżba? Musi pamiętać, aby zapytać astrologów, co może oznaczać taka wróżba, znak z pewnością szczęśliwy, ale pojawiający się w chwili, kiedy serce jej pęka. Nie, nie pozwoli mu pęknąć. To przecież jej serce, a ręką, która zadała ranę, była jej ręka.

Wstała, zamknęła księgę i powróciła do swego pałacu z wiernym, brzydkim eunuchem, który postępował za nią w pewnej odległości.

Od tego dnia cesarzowa matka centrum swego życia uczyniła z syna. Myśl o nim była źródłem wszystkiego, co robiła, wszystkiego, co dotychczas dokonała, wokół niego krążyły wszystkie jej troski i marzenia. Był jej wytchnieniem i jej pociechą. Przez wiele nocy, kiedy nie mogła spać, bo wyobraźnia ukazywała jej sceny, w których nie mogła uczestniczyć, wstawała w samotności i szukała swego chłopczyka. Kiedy spał, siadała przy nim, trzymając jego ciepłą rączkę, a kiedy się budził, korzystała z tego pretekstu, aby wziąć go w ramiona i pozwolić mu zasnąć na swej piersi.

Był silny i piękny, miał skórę tak jasną, że zachwycone damy dworu mówiły, iż powinien być dziewczynką. Ale nie był jedynie piękny, miał jeszcze umysł, o którym cesarzowa wiedziała już, że jest chłonny i błyskotliwy. Kiedy miał cztery lata, wybrała dla niego nauczycieli, a kiedy miał lat pięć, potrafił czytać książki nie tylko w swym rodzinnym języku mandżurskim, ale również książki chińskie. Jego ręka instynktownie trzymała pędzelek w sposób, w jaki trzymają go artyści. W jego wciąż dziecięcym piśmie można było dopatrzeć się śmiałości i siły, które zapowiadały, iż wyrośnie na wielkiego, obdarzonego własnym stylem kaligrafa. Miał cudowną pamięć, wystarczyło przeczytać mu stronę raz lub dwa razy, a już ją znał. Cesarzowa matka nie pozwalała jednak, by nauczyciele psuli go pochwałami. Złajała ich, kiedy usłyszała, jak wychwalają jego rozum i inteligencję.

- Nie możecie porównywać go do innych dzieci - powiedziała. - Możecie jedynie porównywać to, co robi, z tym, co mógłby zrobić. Mówcie mu, że jego przodek Cz'ien Lung w wieku lat pięciu miał znacznie lepsze wyniki.

Instruując w ten sposób nauczycieli, sama wpajała dziecku dumę tak wielką, jak jej

własna. Nikt nie mógł usiąść w jego obecności, nawet nauczyciel. Mogła to robić jedynie ona, jego matka. Jeśli z powodu zachowania, jakiejś skazy w wyglądzie lub ubiorze nie spodobał mu się nauczyciel, natychmiast go odprawiała, nie zezwalając na najmniejsze pytanie lub skargę.

- Taka jest wola cesarza - odpowiadała.

Gdyby miał słabszą naturę, władza dawana mu za młodu mogłaby wyrządzić wiele złego, ale dziecko to obdarzone było szczególnym darem - nie można go było zepsuć. Swą pozycję przyjmował jako rzecz oczywistą, tak jak przyjmował słońce i deszcz, miał przy tym tak czułe serce, że kiedy któryś z eunuchów otrzymywał chłostę za jakieś wykroczenie, mały cesarz pędził, by go ratować. Cesarzowa matka nie mogła nawet wytargać za uszy niezdarnej służącej, bo mały cesarz wybuchał wtedy płaczem.

W takich chwilach wątpiła, czy jest dostatecznie silny, by władać niezmierną ilością poddanych, ale kiedy indziej wybuchał taką pasją i furją, potrafił być tak władczy, że natychmiast się uspokajała. Pewnego razu musiała nawet interweniować, kiedy jej eunuch Li Lien-jing wywołał niezadowolenie Jego Wysokości. Mały cesarz rozkazał, aby mu przyniesiono pozytywkę z cudzoziemskiego sklepu w mieście. Jak to było jego obowiązkiem, eunuch zapytał najpierw cesarzowej matki, czy ma usłuchać polecenia, a ta usłyszawszy, czego życzy sobie jej syn, zabroniła mu tego, mówiąc:

- Oczywiście nie dostanie zagranicznej zabawki. Jednak nie powinniśmy sprzeciwiać się jego woli. Idź na rynek i przynieś mu maskotki - tygrysy i inne zwierzęta, które mu sprawią radość. Zapomni o pozytywce.

Li Lien-jing usłuchał i powrócił do małego cesarza z koszykiem tych zabawek, mówiąc, że nie mógł znaleźć zagranicznego sklepu, ale po drodze natknął się na te zmyślne stworzenia z drewna i kości słoniowej, o oczach z drogich kamieni.

Mały cesarz poczuł się oszukany i przeistoczył się w dziecko-tyrana. Odsunął na bok zabawki, wstał ze swego małego tronu i przemierzał pokój dziecinny z ramionami skrzyżowanymi na piersi, z oczami wielkimi i czarnymi jak oczy matki, które mieniły się z wściekłości.

- Wyrzuć je! - krzyczał. - Czy jestem niemowlęciem, aby bawić się takimi zabawkami? Jak śmiesz, Li Lien-jingu, opierać się swemu władcy? Każę cię za to poćwiartować! Przyślijcie mi moich gwardzistów!

I rzeczywiście wydał rozkaz, aby eunucha poćwiartować, aby oddzielić jego ciało od kości za niesubordynację w stosunku do tronu. Nikt nie śmiał się sprzeciwiać. Gwardziści stali, wahając się wykonać rozkaz, aż któryś z eunuchów pobiegł po cesarzową matkę, która

przyszła natychmiast z rozwianymi szatami.

- Synu - wykrzyknęła - synu mój, nie możesz skazywać człowieka na śmierć... Jeszcze nie, mój synu!

- Matko - odpowiedziało majestatycznie dziecko - twój eunuch okazał nieposłuszeństwo nie mnie, ale cesarzowi Chin.

Tak uderzyło ją to rozróżnienie między nim, a jego przeznaczeniem, że przez chwilę zaniemówiła, jak gdyby zapominając o własnej władzy.

- Synku - powiedziała przymilnie - zastanów się, co robisz! Ten eunuch to Li Lien-jing, który oddaje ci wiele usług! Czy zapomniałeś o tym?

Mały monarcha nie zmienił jednak zdania: eunucha należało poćwiartować. W końcu cesarzowa matka musiała mu tego zabronić.

Ta drobna sprawa uświadomiła jej, że chłopiec potrzebuje prawdziwego mężczyzny, kogoś, kto zastąpiłby mu ojca, którego nigdy nie miał.

Posłała więc śmiało po Jung Lu, który dzięki jej dekretowi był teraz Wielkim Radcą. Od czasu jego małżeństwa nie widziała się z nim twarzą w twarz, zatem by ustrzec przed nim swe serce, włożyła szaty oficjalne i zasiadła w prywatnej sali tronowej w otoczeniu swych pań. Damy stały wprawdzie w oddaleniu, ale były tam, we wspaniałych szatach, błyszczące jak migocące w locie motyle.

Wszedł Jung Lu, który nie miał na sobie munduru komendanta, lecz strój radcy: szatę ze złotego, brokatowego atłasu, sięgającą welwetowych spodni, i długi do pasa łańcuch zdobiony klejnotami. Na głowie miał kapelusz wysadzany guzami z czerwonego nefrytu. Zawsze podziwiała jego królewską postawę, ale teraz na widok Jung Lu jej serce zadrżało jak pochwycony w rękę ptak. Tym bardziej musiała je kontrolować. Pozwoliła mu przed sobą klęczeć i nie kazała mu powstać. Przemówiła na pół niedbale, a jej wzrok był władczy i znużony.

- Syn mój jest już dostatecznie duży, by dosiąść konia i naciągnąć łuk - powiedziała po przywitaniu. - Pamiętam, że dobrze dosiadasz konia i potrafisz nad nim panować. Co do łuku, to zdaje się, że uchodzisz za znakomitego myśliwego. Nakładam więc na ciebie nowy obowiązek. Będziesz uczył mego syna, cesarza, jak trafiać strzałą wprost do celu.

- Zrobię, jak każesz, pani - powiedział nie podnosząc oczu.

Jaki jest dumny i zimny, pomyślała. Doświadczam teraz jego zemsty. Miłość czy nienawiść - nigdy mi nie zdradzi, co dzieje się między nim i jego żoną. Och, jakże jestem samotna!

Nie zmieniła jednak wyrazu twarzy.

- Zaczynj od jutra - rozkazała. - Niechaj nie będzie żadnej zwłoki. Weź go na pole łucznicze. Co miesiąc będę osobiście sprawdzała, jakie poczynił postępy i jak zdolnym jesteś nauczycielem.

- Wasza Wysokość - powiedział - jestem posłuszny.

Odtąd codziennie po porannych lekcjach z nauczycielami mały cesarz spotykał się z Jung Lu. Wysoki, silny mężczyzna instruował chłopca z czułym staraniem. Niepokoił się, kiedy ten śmiało pobudzał araba do galopu, ale nie wołał za nim z lękiem, bo zdawał sobie sprawę, że ów chłopiec nie powinien odczuwać strachu. Z radością stwierdził, że książęce dziecko ma bystre oko i pewną rękę do łuku. Z dumą więc demonstrował umiejętności dziecka, kiedy cesarzowa matka raz w miesiącu przechadzała się ze swymi damami wzdłuż pola łuczniczego!

Ona natomiast, widząc jak mężczyzna i chłopiec z każdym dniem stają się sobie bliżsi, wypowiadała tylko kilka słów chłodnego uznania.

- Syn mój sprawuje się dobrze, właśnie tak, jak powinien - powiedziała.

Z tęsknotą własnego serca nie zdradziła się nawet przez mgnienie oka. Płonęło w jej piersi z bólu i radości, kiedy widziała, że ci, których kocha, są z sobą tak blisko. Niczym ojciec i syn.

- Wasza Wysokość - powiedział pewnego dnia książę Kung - wezwałem do stolicy naszych dwóch wybitnych generałów, Tseng Kuo-fana i Li Hung-czanga.

Cesarzowa matka, która wybierała się właśnie na pole łucznicze, co stało się jej codziennym zwyczajem, zatrzymała się na progu prywatnej sali tronowej. Jej panie otoczyły ją ciasnym półokręgiem. Książę Kung był jedynym mężczyzną, z którym rozmawiała twarzą w twarz, był bowiem jej powinowatym, bratem zmarłego cesarza, więc chociaż był wciąż młody i przystojny, rozmawiając z nim w ten sposób nie gwałciła żadnego obyczaju. Była jednak niezadowolona. Przyszedł bez wezwania. Nawet on nie powinien był sobie na to pozwalać!

Stała dusząc w piersi nagły gniew. Potem z właściwą sobie godnością i wdziękiem odwróciła się i podeszła do małego tronu w środku sali. Zasiadła na nim i przybrała swą zwykłą, pełną majestatu pozę, a opadające na dłonie rękawy złożyła na łonie. Oczekiwała, że książę stanie przed nią, i nie była zadowolona, kiedy złożywszy pokłony, zasiadł bez zaproszenia na krzesło ustawionym po prawej stronie niskiego podium, na którym stał tron. Aby zademonstrować swe niezadowolenie, nie powiedziała ani słowa, ale skierowała na niego przenikliwe spojrzenie swych wielkich, czarnych oczu. Nie spoglądała na jego twarz, byłoby

to bowiem rzeczą nieprzystojną, lecz wpatrywała się w wielki, nefrytowy guz spinający tuż przy szyi jego szatę.

Nie czekał jednak, zanim przemówi pierwsza. Zamiast tego zaczął wyjaśniać w swój zwykły, prosty sposób, dlaczego zjawił się u niej.

- Wasza Wysokość, celowo nie kłopotalem cię sprawami państwowymi, które były zbyt małe, by się z nimi do ciebie zwracać. Każdego dnia otrzymywałem od kurierów przybywających z południa wiadomości o wojnie, którą cesarskie wojska wszczęły przeciw buntownikom.

- Wiem o tej wojnie - powiedziała, a głos jej był chłodny. - Czyż nie rozkazałam przed miesiącem, aby Tseng Kuo-fan zaatakował buntowników ze wszystkich stron?

- Zrobił to - odpowiedział książę Kung, nie dostrzegając jej gniewu - i buntownicy odparli go. Piętnaście dni temu ogłosili, że zaatakują Szanghaj. Wywołało to wielkie poruszenie wśród kupców tego miasta, nie tylko chińskich, ale również białych. Stworzyli teraz swą własną armię, gdyż obawiają się, że nasi żołnierze nie zdołają obronić ich miasta. Posłałem więc po naszych dwóch generałów, aby poznać ich strategię.

- Bierzesz na siebie zbyt wiele obowiązków - odrzekła niezadowolona.

Książę Kunga zdumiała ta wymówka. Dotychczas cesarzowa matka zawsze była mu wdzięczna i aprobowwała to, co robił. Istotnie, w zapale służenia tronowi przyjmował na siebie coraz większą odpowiedzialność, ale ona była mimo wszystko kobietą, a on nie wierzył, by kobieta mogła opanować sprawy państwowe i prowadzić okrutną wojnę, która się teraz toczyła i która wstrząsnęła posadami całego państwa. Buntownicy nadal grasowali po południowych prowincjach, niszcząc miasta i miasteczka, paląc wsie i zbory, a ludzie uciekali w pomieszeniu. Miliony ludzi poległo i mimo wielu lat walki cesarscy żołnierze nie mogli stłumić rebelii, która znów wybuchała jak pożar w lesie. Wiedział, że ową małą armię ochotników z Szanghaju, którą dowodził dotąd biały człowiek o nazwisku Ward, miał teraz wzmacniać i doskonalić nowy dowódca, Anglik Gordon, ponieważ Ward został postrzelony w bitwie. Wiadomości te nie budziłyby w nim takiego niepokoju, gdyby nie pogłoska, że inny cudzoziemiec, Amerykanin o nazwisku Bourgevine, zazdrościł Gordonowi i sam pragnął przejąć dowództwo, w czym popierali go jego amerykańscy towarzysze. Chodziły wieści, że Bourgevine był awanturnikiem i łajdakiem, natomiast Gordon człowiekiem dobrym i wypróbowanym żołnierzem. Jednak gdyby Gordonowi udało się stłumić powstanie, czy Anglicy nie rozgłaszałiby, że odnieśli zwycięstwo, i czy nie domagaliby się nagrody? Nie chodziło więc tylko o wojnę. Przynaglony sytuacją, pełen niepokoju Książę Kung posłał po dwóch cesarskich generałów, Tseng Kuo-fana i Li Hung-czanga, i dopiero kiedy przybyli,

zastanawiać się zaczął nad tym, co zrobił i że może to się nie podobać dumnej cesarzowej matce. Nie chciał się też przyznać, że nurtuje go zazdrość. Powiadano, że cesarzowa matka ponad wszystko ceni sobie teraz rady Jung Lu. Słyszał takie pogłoski, ale nie śmiał pytać o to naczelnego eunucha, bo wszyscy wiedzieli, że An Teh-hai był sojusznikiem cesarzowej matki i wszystko, co robiła, było w jego oczach słuszne.

- Wasza Wysokość - powiedział, zmuszając się do pokory - proszę o wybaczenie, jeśli przeholowałem, ale usprawiedliwiam się tym, że wszystko, co robiłem, robiłem tylko dla twojego dobra.

Nie spodobały się jej te dumne przeprosiny.

- Cóż z tego, że sam się usprawiedliwiasz, skoro ja nie znajduję usprawiedliwienia dla ciebie - rzekła zimno swym pięknym głosem.

Zmieszał się, duma starła się z dumą. Powstał i złożył pokłon.

- Wasza Wysokość, odchodzę. Wybacz, że przyszedłem nie wzywany.

Odszedł trzymając wysoko swą szlachetną głowę. Patrzyła za nim w zamyśleniu. Niech idzie, zawsze przecież może go wezwać. Na razie sama pozna wieści z południa i uzbrojona w tę wiedzę będzie mogła przyjąć lub odrzucić jego rady. Wysłała więc służącego, by przyprowadził naczelnego eunucha. Zaspany pojawił się po kilku minutach i z oczami wciąż zamglonymi klęknął przed nią, kładąc głowę na swej ręce, aby ukryć ziewanie.

- Wezwij jutro do sali audiencyjnej dwóch generałów, Tsen-ga i Li - powiedziała mu.

- Zawiadom księcia Kunga i Wielkiego Radcę Jung Lu, że i oni mają tam być obecni. Poproś, aby Cesarzowa Wschodniego Pałacu przysłała godzinę wcześniej niż zwykle. Będziemy radzić nad ważkimi sprawami.

Następnie zwróciła się do Li Lien-jinga.

- Powiedz Wielkiemu Radcy, że nie będę dziś na polu łuczniczym i żeby dopilnował, aby czarnego konia, na którym jeździ mój syn, nie karmiono ziarnem, bo gotów się znarowić.

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedział eunuch i odszedł wykonać zadanie. Wrócił po kilku minutach, kiedy wciąż siedziała na swym tronie, myśląc o tym, co powiedział książę Kung. Złożył pokłon.

- Cóż znowu - spytała. - Dlaczego nie dajesz mi spokoju?

- Wasza Wysokość - sumitował się - mały cesarz szlocha, że jeśli nie przyjdiesz, nie zobaczysz jego nowego siodła. Wielki Radca błaga, byś się pojawiła.

Natychmiast wstała, bo nie mogła znieść myśli, że jej dziecko płacze, i poszła ze swymi damami na pole łucznicze, gdzie młody cesarz siedział na swym koniu. Obok stał Jung Lu. Jego srebrzystosiwy arab czekał osiodłany, przytrzymywany przez eunucha.

Jak majestatycznie piękny był jej syn! Cesarzowa matka zatrzymała się, by przyjrzeć mu się niezauważenie. Siedział w swym nowym siodle, które sporządzono ze skóry w piaskowym kolorze i położono na czarnej, haftowanej kolorowo, filcowej derce. Jego małe nóżki ledwie mogły objąć szeroki grzbiet konia, a koniuszki atlasowych bucików ledwie sięgały złotych strzemion. Purpurową szatę podtrzymywał i unosił lekko w górę wysadzany klejnotami pas i można było dostrzec sięgające talii żółte, brokatowe pantalony. Zdjął swój cesarski kapelusz i jego włosy, zebrane w dwa warkocze i związane sznurkami, zabawnie sterczały mu na głowie. Jung Lu pochyliwszy nad chłopcem swą przystojną twarz, z miłością i śmiechem wsłuchiwał się w jego wysoki, radosny głos. Nagle mały cesarz ujrzał swą matkę.

- Mamo! - wykrzyknął. - Spójrz na siodło, które mi podarował Jung Lu!

Musiała podejść i przyjrzeć się siodłu, podziwiając jego wszystkie zalety. Jej oczy zetknęły się z oczami Jung Lu we wspólnym uśmiechu i wspólnej dumie. Wtedy, pod wpływem nagłego impulsu, podczas kiedy dziecko wywijalo batem, powiedziała cicho:

- Czy wiesz o tym, że dwóch generałów przybyło z południa?

- Słyszałem o tym - odpowiedział.

- Radzą, bym pozwoliła kupcom z Szanghaju, aby stworzyli silniejszą armię pod nowym cudzoziemskim dowódcą. Czy to mądre?

- Najważniejsze zadanie - odparł - to położyć kres buntowi. Teraz prowadzimy wojnę na dwa fronty - z rebeliantami i z białymi. Atakowani z obu stron nie przetrwamy. Zdławmy więc wszelkimi dostępnymi środkami bunt, a wtedy, znów silni, będziemy mogli wyrzucić białych intruzów.

Uśmiechając się i kiwając głową, jakby cały czas myślała tylko o dziecku, przypatrywała się, jak malec galopuje po polu. Jung Lu także dosiadł konia, aby być przy chłopcu. Stała w pewnej odległości od swych dam w długiej, aksamitnej, trzepoczącej na wietrze szacie, której kolor był niebieski ze względu na wciąż trwającą żalobę po cesarzu. Patrzyła na tych, których kochała - na małe, dzielne dziecko i wyprostowanego, wysokiego mężczyznę. Podziwiała, jak elegancko i gibko trzymają się w siodłach galopujących koni. Mężczyzna zwrócił swą twarz ku dziecku, by je obserwować, dawać mu rady. Nie spuszczał zeń oka, gotów je pochwycić, gdyby się zachwiało. Ale dziecko patrzyło przed siebie z uniesioną głową, trzymając cugle ze sprawnością godną podziwu.

Urodzony cesarz - pomyślała - mój syn!

Kiedy konie zatrzymały się po przeciwnej stronie pola, pomachała chusteczką i wróciła do pałacu, z paniami, które podążały za nią.

Rano, gdy wstawał szary, przejmujący dreszczem świt, cesarzowe wdowy zasiadły na swoich tronach ustawionych na podwyższeniu. Zbliżała się pora wyznaczonej audiencji. Przed dwiema cesarzowymi wisiała cienka zasłona z żółtego jedwabiu, przez którą mogły widzieć, same nie będąc widziane, mgliste sylwetki członków Wielkiej Rady, którzy wchodzili w porządku starszeństwa, prowadzeni przez najstarszego rangą księcia Kunga. Obowiązkiem naczelnego eunucha było anonsowanie każdego radcy, i nawet księżę Kung nie powinien wchodzić, nie zaczekawszy na wezwanie, ale tego dnia nie czekał i Li Lien-jing pochylił się, by szepnąć do ucha cesarzowej matki:

- Wasza Wysokość, to nie moja sprawa, ale w trosce o twój majestat muszę zauważyć, że księżę Kung wszedł bez czekania na wezwanie.

Eunuch był tak wyczulony na każdy nastrój i myśl swej władczyni, że łatwo odgadł jej niezadowolenie z księcia Kunga.

Cesarzowa matka zdawała się nie słyszeć, ale on wiedział, że usłyszała i zanotowała w swej niezawodnej pamięci drugą niegrzeczność księcia. Była zbyt mądra, by działać pośpiesznie, nie poznawszy jej przyczyny. Z pewnością nie był jej wrogiem. Nie mogła jednak wierzyć nikomu, z wyjątkiem Jung Lu, który jednak poślubiony był innej kobiecie.

Odsunęła od siebie te myśli. Ze względu na własne bezpieczeństwo powinna czujnie tropić nawet możliwość spisku, ale nie w tej chwili. Niemniej księżę Kung, który mieszkał na zewnątrz Zakazanego Miasta, mógł przychodzić i odchodzić, gdy tylko mu się podobało, podczas kiedy ona była zamknięta w tych murach. Czyż więc nie mógł bez jej wiedzy intrygować do woli? Jaką miała gwarancję jego uczciwości, prócz jego słowa? Westchnęła, wiedząc, że będzie samotna na wieki. Z tym także musiała się pogodzić. Takie było jej przeznaczenie.

Obok niej siedziała Sakota - zadumana, nie słyszająca i nie widząca niczego. Nienawidziła audiencji o świcie, bo zwykle budziła się dopiero w południe, więc teraz, na pół drzemiąc, marzyła o powrocie do łóżka. Tymczasem Wielka Rada zebrała się. Wszyscy klęczeli z twarzami przy ziemi przed Smoczym Tronem, podczas kiedy księżę Kung zaczął odczytywać memoriał, który trzymał w obu rękach. Czytał dobrze, głosem głębokim i donośnym, a jego słowa brzmiały czysto i wyraźnie, były niczym klejnoty oprawione oddzielnie w złotym łańcuchu.

„W czwartym miesiącu obecnego roku księżycowego - czytał - i piątym miesiącu roku słonecznego chińscy buntownicy zwani tajpingami stali się niezmiernie dokuczliwi w okolicach Szanghaju. Nie zadowolili się ustanowieniem swego królestwa w stolicy południa, Nankinie, podeszli pod Szanghaj i dokonując wypadów atakowali osiedla, pałac



niewielkim skutkiem, bo buntownicy dobrze znali teren pełen rowów i wąwozów, które łatwo pokonywali i uciekali przed pogonią. Tymczasem przerażeni wieśniacy, w liczbie ponad piętnastu tysięcy, tłoczą się teraz w mieście, powodując nieporządek. Cudzoziemscy kupcy są rozgniewani, bo widzą, że między wieśniakami znajduje się wielu młodych, silnych mężczyzn, którzy powinni walczyć z buntownikami, zamiast kryć się z kobietami, dziećmi i starcami. Aby zachęcić wszystkich młodych mężczyzn do oporu, proponują, by dowódcą Wiecznie Zwycięskich został Anglik Gordon, znany z męstwa i wielkiej prawości”.

- Oto memoriał generałów Tsenga i Li - zakończył swą relację książę Kung.

Za jedwabną zasłoną cesarzowa matka przygryzła wargi. Nie była zadowolona, że memoriał przedkładał książę Kung. Powiedziała więc czystym i mocnym głosem:

- Posłuchajmy, co sami generałowie pragną oświadczyć przed Smoczym Tronem.

Zganionemu w ten sposób księciu Kungowi pozostało jedynie wezwać pierwszego z generałów, Tsenga, który jako starszy padł na twarz przed Smoczym Tronem i pozdrowiwszy cesarzową, powiedział:

- Proszę, aby mój brat, generał Li Hung-czang, mógł zabrać głos w naszym imieniu, jest on bowiem sprawującym władzę gubernatorem prowincji Kiangsu, a jego kwatera znajduje się w Szanghaju. Chociaż ma dopiero trzydzieści dziewięć lat, jest najzdolniejszym z moich młodszych generałów i w pełni polecam go tronowi.

Znów nie czekając na rozkaz cesarzowej matki, książę Kung powiedział:

- Niech więc wystąpi Li Hung-czang.

Za parawanem cesarzowa matka nie odezwała się, ale jej tajony gniew wzmógł się jeszcze. Opanowała go jednak, mając na względzie dobro państwa. Li Hung-czang wystąpił, padł na twarz przed pustym Tronem Smoka i wygłosiwszy formuły powitalne, zaczął mówić:

- W trzecim miesiącu tego księżycowego roku albo, jak mówią cudzoziemcy, w czwartym miesiącu roku słonecznego, wprowadzałem pod dowództwem mego przełożonego, generała Tseng Kuo-fana, moją armię do Szanghaju. Tam stwierdziłem, że miasta bronią nie wojska cesarskie, zajęte gdzie indziej, bo prawie cała prowincja znajduje się w rękach rebeliantów, ale Wiecznie Zwycięscy, którzy są najemnikami opłacanymi przez kupców. Dowodził nimi amerykański najemnik o nazwisku Ward. Ward był dobrym żołnierzem, ale na nieszczęście zginął w czasie ataku rebeliantów w dziewiątym miesiącu roku słonecznego, czyli w ósmym roku księżycowego. Jego miejsce zajął inny Amerykanin - Bourgevine, awanturnik i zabijaka. Najemnicy kochali go jednak, bo dzielił się z nimi wszystkimi łupami. Nie chciał niestety słuchać naszych rozkazów. Myślał o sobie jak o królu, a o najemnikach z

Wiecznie Zwycięskiej Armii jak o swym prywatnym wojsku. Mogąc liczyć na ich lojalność, prowadził wojnę tam, gdzie chciał i kiedy chciał. Kiedy rozkazałem mu, by podążył do Nankinu, bo mój przełożony przysłał wiadomość, że sytuacja jest tam krytyczna i wymaga natychmiastowej interwencji, Bourgevine odmówił. Zganiłem go za to i pozbawiłem stanowiska, w odpowiedzi zaatakował skarbcę gildii kupieckiej, która zbiera pieniądze dla Wiecznie Zwycięskiej Armii. Uderzył pięścią strażnika i rozkazał żołnierzom, by wzięli ze skrzyń czterdzieści tysięcy srebrnych taeli, czyli sumę, z którą im rzeczywiście zalegano. Rozdzielił ją między najemników, zyskując tym jeszcze większe poparcie. Wobec tego zwolniłem go i zagroziłem rozwiązaniem Wiecznie Zwycięskiej Armii. Jestem bowiem świadom, że jeśli nie będzie wykonywał moich rozkazów, tak jak ja wykonuję rozkazy moich przełożonych, to jego żołnierze mogą stać się jądrem nowego buntu.

- A zatem Wieczna Zwycięska Armia pozostaje teraz bez dowódcy - zauważył Książę Kung.

- Rzeczywiście tak jest, Wasza Wysokość - odpowiedział Li Hung-czang.

Cesarzowa matka słuchała tego z ogromną uwagą, a chociaż nie mogła wyraźnie widzieć Li Hung-czanga, to jednak zza jedwabnej zasłony dostrzegała sylwetkę wysokiego człowieka i słyszała jego głos, zdecydowany i głęboki, którym mówił prosto i dobrze. Oto człowiek, który może się jej kiedyś przydać, zanotowała w umyśle. Nie powiedziała nic, bo znów była niezadowolona, że książę Kung przemówił, nie czekając najpierw na jej odpowiedź. Nie mogła oskarżać Li Hung-czanga, że odpowiada księciu Kungowi, który był od niego wyższy rangą, ale mogła i oskarżać księcia.

- Czy nadal zamierzasz rozwiązać wojsko najemników? - zapytała po chwili ciszy. Jej czysty jak srebro głos dochodzący zza żółtej zasłony zdumiał dwóch mężczyzn. Obaj patrzyli w jej kierunku, nie mogąc jej ujrzeć.

- Wasza Wysokość - odpowiedział Li - żołnierze ci są dobrze wyszkoleni, a choć są do pewnego stopnia aroganccy, nie możemy pozwolić sobie na to, by ich umiejętności pozostały nie wykorzystane. Ośmielam się więc proponować, byśmy poprosili Anglika Gordona o objęcie dowództwa i zaangażowanie się w walkę.

- Czy ktoś z was zna Gordona? - spytała teraz cesarzowa matka.

Książę Kung złożył głęboki ukłon przed tronem.

- Wasza Wysokość, przypadek sprawił, że wiem coś o nim.

- Jakiż to przypadek? - spytała.

Wszyscy odczuli wyraźne niezadowolenie brzmiące w jej zimnym głosie, ale książę Kung mówił już dalej, nie czyniąc pauzy.

- Wasza Wysokość, kiedy najeźdźcy niszczyli pałace Jlian Ming Jiian, poszedłem tam wiedziony nadzieją, że uda mi się znaleźć jakiś sposób, by uratować nasz narodowy skarb. Niestety, płomienie sięgały już nieba i żaden człowiek nie mógł tu już nic zrobić. Kiedy stałem smutny, z bólem w sercu, zobaczyłem obok wysokiego, bladego człowieka. Nosił mundur oficera angielskiego, opierał się na bambusowej trzcynie, na jego twarzy ujrzałem, ku memu zdumieniu, wyraz żalu. Gdy mnie spostrzegł, podszedł do mnie i mówiąc całkiem znośnie po chińsku, wyznał, że wstydzi się widząc swych ziomków i innych Europejczyków rabujących tak chciwie i niszczących wszystko, czego nie mogą unieść. Zwierciadła, zegary, rzeźbione parawany, parawany z kości słoniowej i koralu, góry jedwabi, skarby z magazynów...

- Zamilcz! - Zza kurtyny dobiegł dziwny, zduszony głos cesarzowej matki.

- Wasza Wysokość - mówił uparcie książę Kung - widziałem, jak francuski żołnierz zapłacił szabrownikowi garstką drobnych monet za sznur cesarskich pereł, który następnego dnia sprzedał za tysiące srebrnych dolarów. Spłonęły zarówno złote ozdoby, jak również te z mosiądzu i hebanu, które ozdabiały salę tronową...

- Milcz! - znów zabrzmiał głos cesarzowej matki.

Książę Kung był jednak nadal zbyt dumny, aby ulec, i nie przestawał mówić.

- Wasza Wysokość, domagam się prawa wypowiedzi. Zapytałem wtedy Gordona: „Nie możesz odwołać swych żołnierzy?” A on odpowiedział: „Dlaczego twój cesarz zezwolił, by torturowano naszych oficerów, którzy w dobrej wierze udali się z białą flagą, aby zawrzeć rozejm? Czternastu z nich po tym zmarło”. Wasza Wysokość, jak miałem mu odpowiedzieć?

- Bądź cicho! - wykrzyknęła raz jeszcze zza zasłony cesarzowa matka. Zapłonęła gniewem, bo rozumiała, iż książę Kung wyrzuca jej publicznie, że namówiła zmarłego cesarza, aby wysłał księcia Senga, mongolskiego generała, by ten zaatakował cudzoziemskich posłów. Przygryzła wargi i milczała przez długą chwilę. W tym czasie książę Kung skłonił się Smoczemu Tronowi i wycofał na swoje miejsce. Wszyscy czekali na rozkazy zza żółtej zasłony.

- Zezwalamy rzeczonemu Anglikowi, by nam służył - powiedziała w końcu cesarzowa matka, starając się, by jej głos brzmiał spokojnie i zdecydowanie. Zamilkła, i kiedy wszyscy znów czekali na jej słowa, dodała: - Wydaje się, że musimy przyjąć pomoc nawet od wroga.

Powiedziawszy to, zakończyła audiencję.

Kiedy wróciła tej nocy do swego pałacu, zasiadła na uboczu i dumiała przez wiele godzin. Nikt nie śmiał zapytać o jej myśli. Zaniepokoiło ją, że książę Kung, któremu wierzyła, zaczął wynosić się ponad nią. Czy było to oznaką, że jej władza słabnie?

Przebiegała myślami wydarzenia ubiegłego roku, poszukując wróżb - dobrych lub złych. Przypomniała sobie, że dwudziestego szóstego dnia czwartego miesiąca roku słonecznego na kraj spadła, zupełnie poza sezonem, dziwna burza piaskowa, tak ciężka, że zapanowała wczesna ciemność. Niebo stało się czarne i potężne słupy ciemnego piasku ześlizgiwały się ze skrzydeł huraganu. Kanał między Pekinem i Tientsinem, którego długość wynosiła prawie pięćdziesiąt mil, szerokość osiemnaście stóp, a głębokość siedem stóp, wypełnił się piaskiem, który pochłoniął wodę, tak że barki leżały na piaszczystych wydmach. Burza trwała szesnaście godzin, wielu podróżnych zaginęło. Niektórych siła wiatru cisnęła do rowów, gdzie leżąc, udusili się w piasku, a wielu z tych, którzy przedarli się w ciemnościach do jakiegoś schronienia, utraciło na zawsze wzrok albo zwariowało. W pałacach o trzeciej po południu zapalono lampy, lecz najdziwniejsze w tej burzy było to, że kiedy przeciągnął jeden słup piasku, na chwilę ukazywało się jasne, błękitne niebo, zanim nie nadeszła następna chmura.

Kiedy burza minęła i uprzątnięto zwały piasku - zadanie, które zajęło wiele dni - Rada Astrologów wysłała raport do tronu, w którym podkreślano, że burza ta jest wyraźnym znakiem, który w połączeniu z gwiazdami zapowiada, że w kraju dojdzie do wielkich zmagañ, w których polegnie wprawdzie wielu, lecz cudzoziemiec z Zachodu przybędzie jak potężny wiatr i przyniesie zwycięstwo armiom cesarskim.

Przypomniawszy to sobie, uspokoiła się i nabrała ducha. Nie, nie przegra. Zwycięstwo zostało przepowiedziane. Czyż to nie o zwycięstwie nad buntownikami z południa mówiła przepowiednia? Czyż to nie Gordon był owym cudzoziemcem z Zachodu? A zatem nie musi się obawiać, powinna raczej udowodnić księciu Kungowi, że to nie on, ale ona jest regentką do czasu, kiedy na tronie zasiądzie jej syn. Tysiące lat temu wicehrabia Ke radził panującemu wówczas cesarzowi Wu w następujący sposób: „W czasach niepokoju rząd powinien być silny. W czasach spokojnych powinien być łagodny. Ale jakiegokolwiek byłyby czasy, nie pozwól księciu ani ministrowi, aby uzurpował sobie królewskie przywileje”.

Kiedy to postanowienie niczym środek wzmacniający pobudziło pulsowanie jej krwi, przyszła jej do głowy myśl jak promień zesłany przez Oko Niebios, spoglądające przez chmury, które się nad nią rozwarły. Zrobi coś więcej. Nie tylko upokorzy dumnego księcia - na Smoczym Tronie posadzi swego syna. Będzie tam siedział, jako cesarz, a ona z za tronu podpowie mu rozkazy, które będzie powtarzał głośno jako swoje.

Do przeprowadzenia swego planu przystąpiła tym szybciej, że już jakiś czas temu przybył do niej w sekrecie naczelnny eunuch, aby ją ostrzec, że ksiązę Kung dwukrotnie odwiedził Sakotę, współregentkę. Służący tam eunuchowie donieśli mu, że ksiązę Kung ostro wyrzucał cesarzowej wdowie jej słabość i przekonywał ją, że nie powinna pozwolić, aby

cesarzowa matka zawsze stawiała na swoim.

Naczelnny eunuch cieszył się z intrygi, udawał jednak, że czuje się niezmiernie obrażony tym, co ma do powiedzenia.

- Poza tym, Wasza Wysokość, księżę Kung powiedział, że ponieważ codziennie słuchasz rad Jung Lu, któremu w dodatku pozwalasz, aby zachowywał się w stosunku do małego cesarza niemal jak ojciec - on zaczyna niestety, choć z najwyższą przykrością, dawać nieco wiary bajce, której przedtem nie chciał słuchać...

- Dość! - zawołała cesarzowa matka. Wstała furkocząc szatami, a wyraz gniewu w jej wielkich, czarnych oczach sprawił, że naczelnny eunuch szybko się usunął. Ale odszedł zadowolony, że udało mu się zasiać ziarno, bo wiedział, że jej żywa wyobraźnia wysnuje z kilku słów całą historię.

Co do cesarzowej matki, to tego samego popołudnia odwiedziła swą kuzynkę Sakotę, cesarzową wdowę. Rozmawiała z nią z początku słodko. I używając zręcznych komplementów, opowiadając mało o drobnych sprawach, nie zdradzała się z tym, co wiedziała. Następnie zmieniając ton i zachowanie powiedziała:

- Sostro, prawdziwym powodem, który sprowadza mnie dzisiaj do ciebie, jest prośba, abys pomogła mi ukrócić dumę księcia Kunga, który doprawdy posunął się za daleko. Przekroczył swe pełnomocnictwa, usiłuje pozbawić cię władzy. Nie mówię już o sobie.

Spostrzegła od razu, że cesarzowa wdowa zrozumiała, o co jej chodzi. Jakaś część dawnej, dziecinnej Sakoty kryła się w tym wyniszczonym ciele. Jej wychudzoną twarz pokrył słaby rumieniec.

- Widzę, że czujesz to co ja - powiedziała cesarzowa matka. - Zauważyłaś, jak księżę odezwał się przede mną w czasie ostatniej audiencji? Teraz, kiedy zaczęłam zwracać na to uwagę, odkryłam wiele innych rzeczy. Nawet do sali tronowej wchodzi nie czekając na anons naczelnego eunucha.

Cesarzowa wdowa zdobyła się na słabą obronę:

- Z pewnością dowiódł jednak swej wierności.

- Nie wybaczę mu tego, że pozwala sobie na tak wiele, bo sądzi, że uratował mi życie  
- odparowała cesarzowa matka.

Cesarzowa wdowa okazała trochę odwagi.

- A czyż nie uratował ci życia? - spytała.

- Jeśli to zrobił, nie powinien o tym pamiętać - powiedziała cesarzowa matka, krzywiąc z pogardą swe czerwone wargi. - Czy wielkoduszny mężczyzna chwali się tym, że spełnił swój obowiązek? Sądzę, że nie. A zresztą, w jaki to sposób uratował mi życie?

Przybywając do Żeholu na mój rozkaz? Nie sędzę. - Zamilkła na chwilę, a potem powiedziała śmiało: - To nasz krewny, Jung Lu, powstrzymał sztylet zabójcy.

Cesarzowa wdowa nic nie powiedziała, a cesarzowa matka, zdając się tego nie zauważać, mówiła dalej pomagając sobie wymownymi gestami pięknych rąk. Jej oczy błyszcząły triumfalnie.

- Czy słyszysz, jak księżę Kung podnosi głos, kiedy do nas mówi? Jakbyśmy były głupimi kobietami!

Cesarzowa wdowa uśmiechnęła się blado.

- Ja jestem głupia, wiem o tym.

- Nie jesteś - stwierdziła cesarzowa matka. - Nie jesteśmy głupie - ani ty, ani ja. Gdybyśmy nawet przyjęły, że tak jest - tak jak mężczyźni, którzy sądzą, że wszystkie kobiety są głupie, choć taka myśl przystoi tylko głupcom - księżę Kung powinien zachowywać się z pokorną kurtuazją, bo jesteśmy regentkami, cesarzowymi, a więc o wiele więcej niż kobietami. Powiadam ci, siostrze, że jeżeli nie poskromimy księcia, pewnego dnia zażąda regencji i uwięzi nas gdzieś w sekretnym pokoju w obrębie tych murów. Kto nas wtedy uratuje? Mężczyźni pójdą za mężczyzną i nikt nigdy nie dowie się o naszej śmierci. Nie, musisz działać wraz ze mną, Sakoto.

Wypowiedziała to dziecięce imię i uniosła swe czarne brwi przybierając srogą minę. Sakota skuliła się, jak zawsze, gdy ktoś budził jej lęk, i zgodziła się pośpiesznie.

- Rób, jak uważasz, że będzie najlepiej, siostrze - powiedziała.

Uzyskawszy to nieśmiałe pozwolenie, cesarzowa matka wstała, złożyła ukłon i odeszła, a jej panie patrzyły na to z daleka. Widząc, lecz nic nie słysząc.

Ale ta śmiała i piękna kobieta potrafiła czekać stosownej chwili, starając się dopiąć swój plan na ostatni guzik. Czekala, a plan z każdą chwilą dojrzywał w jej umyśle. Czekala cały długi rok na stłumienie rebelii w południowych prowincjach. Anglik Gordon nie śpieszył się bowiem z posłaniem swych żołnierzy do walki. Nie, nie chciał ryzykować najmniejszej porażki. Ze szlachetną skromnością poprosił, aby zezwolono mu dokonać wojskowego przeglądu terenów wokół Szanghaju, zanim zostanie dowódcą Wiecznie Zwycięskiej Armii. Pragnął przekonać się, czego może się spodziewać w czasie bitwy. Powściągając swą niecierpliwość, cesarzowa matka dała mu czas. Niestety, kiedy Gordon przygotowywał się powoli, stanowisko dowódcy objął tymczasowo inny cudzoziemiec - nadęty mały człowiek, szukający dla siebie chwały. Ze swym wojskiem, które składało się z dwóch i pół tysiąca najemników z różnych krajów, i dwukrotnie liczniejszą cesarską brygadą zaczął oblężenie otoczonego murami miasta Taitan, w pobliżu Szanghaju, rojąc, że kiedy zdobędzie to miasto,

będzie mógł zaatakować sam Nankin. Był jednak na tyle głupi, że nie pofatygował się sprawdzić, jak usytuowany jest Taitan. Wierzył w to, co powiedzieli mu chińscy mandaryni: że fosa otaczająca miasto jest niczym więcej jak suchym rowem. Kiedy jednak podczas ataku kazał swym ludziom pokonać ją z marszu, ci stwierdzili, że ma ona trzydzieści pięć stóp szerokości, napełniona jest po brzegi wodą i że w pobliżu nie ma łódek. Mimo to rozkazał swym ludziom sforsować ją jakoś, używając bambusowych drabin, które miały im służyć w czasie wspinaczki na mury. Niestety, gdy forsujący rów osiągnęli już połowę drogi, drabiny popękały. Żołnierze wpadli do wody i wielu utonęło, a z miejskich wałów obronnych rebelianci strzelali do tych, którzy usiłowali wyrwać się z topieli, szydząc z tonących mężczyzn.

„Och, jakżeśmy się śmiali! - chwalili się buntownicy po odniesionym zwycięstwie. - Widzieliśmy, jak Wiecznie Zwycięscy zbliżają się do fosy nie przygotowawszy mostów, po których mogliby ją przejść. Jakżeśmy się śmiali widząc, jak drabiny stają się coraz słabsze i w końcu pękają! Nasz Niebiański Król śmiał się najgłośniej! »Cóż to za generał - krzyczał - który wysłał swych ludzi, aby zdobywali miasto, nie sprawdzwszy wpierw, czy w fosie jest woda?« Potem rozzłościł się, widząc, że tak niewielkie siły wróg wysłał nam naprzeciw. »Czy myślą, że jesteśmy tchórzami? - pytał. - Powstańcie! - krzyknął do nas. - Wyrzucicie tych diabłów z naszej ziemi!« Wstaliśmy i krzyknęliśmy jednym potężnym głosem: »Krew - Krew - Krew!« i ruszyliśmy na głupich Wiecznie Zwycięskich, i ścigaliśmy ich, aż wszyscy polegli albo uciekli w popłochu razem ze swymi angielskimi oficerami. Anglicy uczynili źle, przekraczając granice, które sami między nami nakreślili, więc pozwoliliśmy im cierpieć. W rzeczy samej mieliśmy za co dziękować angielskiemu kapitanowi - pozostawił za sobą strzelby i trzydziestodwufuntowe działa, które na dowód zwycięstwa umieściliśmy na murach. Niewiarygodne, jakim okazał się głupcem. Wziął ze sobą najpierw małe działa, pozostawiając ciężkie, i nie miał potem czym osłaniać swego odwrotu. Poza tym niech cesarskie wojska nie myślą, że tylko im pomagają cudzoziemcy. W naszej armii znajduje się również wielu białych ludzi, a w T'aitan ogniem dział kierował Francuz. Jeśli o nas chodzi, to nie przekroczymy granicy, ale ziem, które posiadamy, będziemy bronić i zetrzemy w pył i proch występujące przeciw nam diabły”.

Kiedy te potworne przechwałki przedstawiono przed Tronem Smoka, cesarzowa matka uniosła się gniewem i wysłała swych emisariuszy do Gordona. Rozkazała mu, aby natychmiast przejął dowództwo Wiecznie Zwycięskich i wojsk cesarskich, aby w imieniu tronu pomścił straty w Taitan. Gordon usłuchał, ale nie chodziło mu tylko o zemstę. Naprawdę nie słuchał nikogo. Wykorzystując tyle czasu, ile uznał za konieczne, dążył do

tego, by uderzyć w samo serce buntu. Wyszkolił więc swoich ludzi tak, że zadawali nagłe uderzenia tam, gdzie ich się nie spodziewano. Zmieniał energicznie i szybko miejsca swego pobytu, zawsze wygrywając, aż zmusił buntowników do przyjęcia postawy obronnej. Współpracował ściśle z Li Hung-czangiem, koncentrując wszystkie swe siły wzdłuż linii łączącej miasta Chanzu i Quinsan obok Szanghaju i stamtąd wytrwale dążąc do zwycięstwa. Tymczasem księżę Kung, uspiiony łagodnością cesarzowej matki podczas tego kryzysu, zapomniał o jej wcześniejszym napomnieniu. Znużony troskami, oswojony z jej sposobem bycia, częściej niż zwykle pomijał w jej obecności drobne grzecznościowe gesty. Widziała to i wciąż nic nie mówiła aż do dnia, kiedy podczas audyencji, zaabsorbowany sprawami państwowymi, powstał nie proszony z klęczek. Uderzyła szybko jak tygrysica. Z nieruchomymi oczami pod zmarszczonymi brwiami rzekła majestatycznie:

- Zapominasz się, księżę! Czyż obyczaj i prawo ustanowione przez naszych przodków nie nakazują, że wszyscy powinni klęczeć przed Tronem Smoka? Prawo to ustanowiono, by chronić władców przed nagłym atakiem. A ty ośmielasz się stać, kiedy wszyscy inni muszą klęczeć? Knujesz spisek przeciw regentkom! - Zwróciła się do eunuchów: - Wezwijcie straż, niech gwardziści wyprowadzą księcia!

Księżę Kung był tak zaskoczony, że potrafił się tylko uśmiechnąć, sądząc, że cesarzowa matka żartuje. Ale służący eunuchowie posłuchali rozkazu i szybko wezwali cesarskich strażników, którzy pochwycili księcia, aby go usunąć.

- Jakże... po tych wszystkich latach? - zaprotestował.

Nie zezwoliła mu na ani jedną skargę.

- Nikt, niezależnie od zasług i lat wiernej służby, absolutnie nikt nie może gwałcić bezpieczeństwa Smoczego Tronu.

Posłał jej długie spojrzenie i pozwolił się wyprowadzić. Tego samego dnia wydała dekret podpisany imieniem regentek i potwierdzony cesarską pieczęcią.

„Zważywszy - głosił on - że księżę Kung okazał się niegodny Naszego zaufania i okazał bezprawne względy swoim bratankom, mianując ich na wysokie stanowiska, zwalniamy go z urzędu Wielkiego Radcy oraz pozbawiamy wszelkich stanowisk, którymi został nagrodzony. Aktem tym pragniemy poskromić jego buntowniczego ducha i uzurpatorską ambicję”.

Nikt nie śmiał wstawiać się za księciem, chociaż wielu odwiedzało w sekrecie Jung Lu, błagając, aby przemówił za szlachetnym księciem, w którego nielojalność nikt nie wierzył. Ale Jung Lu nie przemówił - jeszcze nie teraz.

- Pozwólcie ludziom mówić, co myślą - powiedział im. - Kiedy cesarzowa matka



dostrzeże, że poddani nie pochwalają jej decyzji, zmieni ją. Jest zbyt mądra, by się im sprzeciwiać.

Wszyscy czekali więc przez miesiąc. Narzekali z rosnącą zgorą, że cesarzowa matka jest jako regentka niesprawiedliwa w stosunku do brata zmarłego cesarza i jej wiernego poddanego. Przypominali, jak książe Kung ryzykował życiem pozostając w stolicy, podczas gdy zmarły cesarz zbiegł, jak wraz z Kuei Liangiem doprowadził do rozejmu, który przyniósł pokój, i jak zręcznie rokował z cudzoziemcami, aby powstrzymać walkę.

Cesarzowa matka słuchała tych narzekań, pozornie nie zwracając na nie uwagi. Słuchała z twarzą spokojną jak kwiat lotosu. Jednak badała w sekrecie granice swej władzy. Kiedy więc zobaczyła, że książe Kung poddał się wyrokowi i nie czynił żadnych wysiłków, by się jej sprzeciwić, zaznaczając tym, że przyjmuje zarzuty, gdy usłyszała, jak bardzo ludzie na nią szemrzą, wydała dwa następne dekryty, oba podpisane przez cesarzowe regentki. W pierwszym wyjaśniała, że jej obowiązkiem jest karać z równą surowością wszystkich, którzy nie okazują pokory tronowi. W drugim zaś pisała:

„Książe Kung wyraził skruchę i przyznał się do błędów. Nie jesteśmy doń uprzedzone - kierowałyśmy się tylko czystym poczuciem sprawiedliwości. Nie było Naszym pragnieniem traktować ostro radcę tak umiejętnego ani pozbawiać się pomocy tak wybitnego księcia. Przyjmujemy go więc na powrót do Wielkiej Rady, jednak nie na stanowisko Radcy Tronu... Zobowiązujemy go, by od tej chwili odwdzięczał się za Naszą wyrozumiałość jeszcze wierniejszą służbą i radzimy mu, by pozbył się złych myśli i uczucia zazdrości”.

Tak więc książe Kung powrócił i odtąd zawsze wykonywał swe obowiązki z pełną dumy godnością i zarazem z właściwą pokorą.

Od tego czasu cesarzowa matka nie pozwoliła, aby Tron Smoka stał w czasie audiencji pusty. Posadziła na nim syna i nauczyła go, jak trzymać wysoko głowę, jak kłaść ręce na kolanach i słuchać ministrów przemawiających przed tronem. Chłopiec musiał siedzieć w cesarskim kapeluszu na głowie, ubrany w długie, aksamitne, oficjalne szaty koloru żółtego, haftowane w pięciopalczaste smoki i ozdobione na ramionach rubinami. Wczesnym porankiem zimą, a latem tuż przed świtem cesarzowa kazała budzić chłopca i - jeśli pogoda była brzydka - niesiono ich w lektykach albo - gdy było ładnie - szli razem (bo cesarzowa lubiła spacerować) do sali audiencyjnej, gdzie zajmowali swe miejsca - on na tronie, ona za żółtą zasłoną, ale tak blisko, że jej usta były przy jego uchu.

Kiedy jakiś wielomówny książe rozwodził się nad sprawą albo wiekowy minister brnął nudno przez tekst długiego memoriału, mały cesarz odwracał głowę, by szepnąć: „Co mam powiedzieć, matko?” Podsuwała mu odpowiedzi, a on powtarzał je za nią słowo w

słowo. Tak mijały godziny, a on, znużony, pochylał się czasem, by ukręcić guzik czy wodzić palcem po wijących się smokach, zapominając, gdzie jest. Wtedy wdzierał się w jego uszy głos matki.

- Wyprostuj się! Czy zapomniałeś, że jesteś cesarzem? Nie zachowuj się jak zwykłe dziecko!

W każdym innym okolicznościach była dla niego tak czuła, że w takich chwilach, wstrząśnięty, prostował się gwałtownie, ulegając sile, której dotychczas nie znał.

- Co mam teraz mówić, matko?

Zawsze zadawał to pytanie, a ona zawsze mu odpowiadała.

Z ochotą, jakby czytała listy miłosne, studiowała cesarzowa matka codzienne raporty, które przysyłał z południa jej potężny generał Tseng Kuo-fan. Jej wielkość niczym igła magnetyczna nieomylnie odnajdywała wielkość w innych, więc ceniła sobie tego starego generała. Nie był tylko pyszałkowatą masą mięśni, jak to często bywa z żołnierzami, ale uczonym, jak jego ojciec i dziadek, do swej sprawności dodającym mądrość. Nie żywiła jednak ciepłych uczuć do samego generała, To, co ją interesowało, to jego czyny, to podniecenie bitwą, niebezpieczeństwo porażki, duma ze zwycięstwa.

Kiedy przepisowe lata żałoby po zmarłym cesarzu dobiegały końca i zarysowała się możliwość, że dzień pogrzebu cesarza stanie się pierwszym dniem pokoju, cesarzowa matka całkowicie poświęciła się stłumieniu rebelii na południu. Jej kurierzy przebiegali między cesarskim miastem a Nankinem tak szybko, że w ciągu jednego dnia potrafili przemierzyć czterysta mil. Każdej nocy, dokładnie o północy, naczelnny eunuch An Teh-hai dostarczał jej paczkę zawierającą codzienne sprawozdanie od Tseng Kuo-fana, które czytała samotnie w swym pokoju w świetle dwóch wielkich świeczników stojących obok poduszki. Podczas tych chłodnych zimowych miesięcy czytała o jego znakomitej strategii - o tym, jak z pomocą dwóch podległych mu generałów: Tseng Kuo-cz'uana, który był jego bratem, i P'eng Ju Lina atakował buntowników z ładu i wody, odzyskując w ciągu tej zimy więcej niż sto miast w czterech prowincjach: Kiangsu, Kiangsi, Anhuei i Czekiang. Zabito ponad sto tysięcy buntowników, a pozostali zaczęli się powoli wycofywać do swej twierdzy w Nankinie.

Każdego dnia przed świtem, zanim jeszcze rozpoczęła się audiencja, cesarzowa przemykała pałacowymi korytarzami do świątyni Wielkiego Białego Buddy, tego o tysiącu głów i rąk, i klęcząc przed tym wyobrażeniem Nieznanego Źródła, dziękowała i błagała o pomoc dla Tseng Kuo-fana. Podczas jej modlitwy mnisi leżeli z twarzami do ziemi, zastygając w bezruchu, kiedy zapalała kadzidła w złotej popielnicy. Budda wysłuchał jej modlitw, bo w lecie tego roku, w szóstym miesiącu księżycowym i siódmym miesiącu roku

słonecznego, Tseng Kuo-fan - zdobywszy zewnętrzne umocnienia Nankinu - rozkazał, aby pod mury obronne podłożono wielkie bomby wypełnione prochem, robiąc w ten sposób wyłomy, przez które do miasta wlały się tysiące jego żołnierzy. Ich ostatecznym celem był pałac Niebiańskiego Króla, który otaczali zdesperowani obrońcy. Na pałacowe budynki rzucono bombę wypełnioną prochem, aby wzniecić pożar. O pierwszej po południu buchnęły wysokie aż do nieba płomienie i obrońcy pałacu wybiegli chroniąc się przed ogniem. Złapano wszystkich i zabito, z wyjątkiem dowódcy, niejakiego Li Wan-ts'aia, którego utrzymano przy życiu. Człowiek ten wyznał podczas badania, że Niebiański Król zażywając truciznę, pozbawił się życia już trzydzieści dni temu, ale śmierć tę ukrywano przed jego zwolennikami, aby, gdy przyjdzie czas, obwołać następcą jego syna. Teraz jego syn również poległ.

Kiedy cesarzowa matka otrzymała od Tseng Kuo-fana raport o tych wydarzeniach, rozesłała wszędzie edykty, aby każdy mógł się dowiedzieć, że buntownicy nie żyją. Postanowiła również, że uroczystości upamiętniające zwycięstwo będą trwały cały miesiąc. Następnie zarządziła, aby wydobyto z grobu ciało Niebiańskiego Króla, odcięto mu głowę i pokazywano ją we wszystkich prowincjach, aby ujrzeli ją wszyscy poddani i zapamiętali, że taki los spotka wszystkich buntowników. Pozostałych jeszcze przy życiu przywódców buntu kazała sprowadzić do cesarskiego miasta, przesłuchać i przykładowo ukarać, skazując na powolną śmierć w mękach. Sama zaś postanowiła towarzyszyć młodemu cesarzowi, który miał udać się do wszystkich cesarskich kaplic i świątyń, aby podziękować za szczęśliwą pomoc bogom, a cesarskim przodkom za ich stałą opiekę.

Kiedy Tseng Kuo-fan składał osobiście relację przed tronem, opowiedział więcej o dziwnych i żałosnych czynach Niebiańskiego Władcy, o których mówili jeńcy, zanim poszli na śmierć. Ów Niebiański Król, w rzeczywistości pospolity człowiek, którego umysł uległ dawno zamięnieniu, przechwalał się bez miary nawet wtedy, kiedy wiedział, że jego sprawa skazana jest na niepowodzenie. Siedząc na tronie, mówił do swych coraz mniej licznych zwolenników: „Najwyższy zesłał mi to święte polecenie. Bóg Ojciec i mój boski starszy brat, Jezus Chrystus, rozkazali, abym zstąpił na ziemski padół i stał się jedynym prawdziwym panem wszystkich narodów i wszystkich ludzi na ziemi. Czego miałbym się więc obawiać? Zostańcie ze mną lub mnie opuśćcie, jak wasza wola. Moje imperium, moje dziedzictwo obronią inni, jeśli wy go nie obronicie, bo mam po swej stronie milion aniołów, całe niebieskie zastępy. Czyż więc zwykłe sto tysięcy przeklętych cesarskich żołnierzy potrafi zdobyć moje miasto?”

Jednak w połowie piątego miesiąca księżycowego Niebiański Król wiedział już, że jest zgubiony, więc zmieszał z winem śmiertelną truciznę i wypił ją trzema łykami. Wtedy

zawołał: „To nie Bóg Ojciec mnie oszukał, lecz to ja nie posłuchałem Boga Ojca!” Tak umarł, a jego ciało owinięto w żółty atlas haftowany w smoki i pochowano bez trumny, po kryjomu w nocy w jakimś zakątku pałacowych gruntów. Jego zwolennicy planowali osadzenie na tronie jego szesnastoletniego syna, ale gdy inni dowiedzieli się o jego śmierci, stracili nadzieję i oddali miasto.

Wszystko to relacjonował Tseng Kuo-fan w cesarskiej sali audiencyjnej przez Smoczym Tronem, na którym siedział młody cesarz. Za żółtą zasłoną cesarzowa matka wsłuchiwała się w każde słowo, podczas kiedy Sakota siedziała obok niej bez ruchu.

- Czy ciało króla buntowników nie zepsuło się do tego czasu? - spytała cesarzowa matka.

- Było dziwnie czyste - odpowiedział Tseng Kuo-fan. - Jedwab, który spowijał całe jego ciało, nawet stopy, był ścisły, doskonałej jakości - ochronił więc zwłoki.

- Jak wyglądał ów król buntowników? - znów spytała cesarzowa matka. - Był bardzo masywny i wysoki - odpowiedział Tseng Kuo-fang. - Miał okrągłą głowę, dużą twarz i były łysy. Jego rzadka broda była już mocno przyprószona siwizną. Zgodnie z cesarskim rozkazem głowę odcięto, aby obnosić ją po prowincjach. Co do ciała, to kazałem je spalić, i osobiście widziałem popioły. Dwóch starszych braci Niebiańskiego Króla schwytano żywcem, ale potracili zmysły i potrafili tylko nieustannie mamrotać: „Boże Ojczy... Boże Ojczy”, więc rozkazałem, by ścięto im głowy.

Wtedy odezwała się cesarzowa matka. Oświadczyła, że zanim głowę Niebiańskiego Króla zacznie się obwozić po kraju, pragnie zobaczyć ją sama.

- Przez wiele lat - stwierdziła - prowadziłam wojnę przeciw rebelianckiemu królowi i teraz jestem zwyciężcą. Niech zobaczą wroga, którego zwyciężyłam.

Głowę przywiózł jeździec w koszyku zawieszonym u siodła. Odebrał ją, owiniętą w żółty, poplamiony i zakurzony atlas, Li Lien-jing, który osobiście zaniósł ją do prywatnej sali tronowej cesarzowej matki.

Cesarzowa zasiadła na tronie i poleciła Li Lien-jingowi, by głowę wroga położył przed nią na podłodze i odwinął. Wpatrywała się uporczywie w zawiniątko, które rozwijał pracownicy jej eunuch, aż aksamit opadł i ukazała się upiorna twarz. Cesarzowa matka siedziała jak przykuta, zahipnotyzowana wytrzeszczonymi oczami zmarłego, o których zamknięcie nikt się nie zatroszczył. Wpatrywały się w nią - umarłe, czarne i gorzkie w bezkrwistej twarzy. Blade usta zmarłego sprawiały wrażenie jeszcze bledszych ocienione rzadką, czarną brodą przetykaną pasemkami siwizny, a rozchylone wargi odsłaniały duże, białe zęby.

Panie stojące obok tronu zasłoniły oczy rękawami, aby odgrodzić się od straszego widoku, a jednej z dam, zawsze nieśmiałej i lękliwej, zebrało się na wymioty i krzyknęła, że zaraz zemdleje. Nawet Li Lien-jing nie mógł powstrzymać jęku.

- Nikczemnik - wymamrotał - nikczemny nawet po śmierci.

Cesarzowa matka uniesioną ręką nakazała milczenie.

- Dziwna, dzika twarz - zauważyła. - Twarz zrozpaczona, zbyt smutna, by na nią patrzeć. Nie jest to jednak twarz nikczemnika. Nie masz wycucia, eunuchu! To nie jest twarz zbrodniarza. To twarz poety, który zwariował, bo wiara jego okazała się próżna. Ach, to twarz mężczyzny, który od urodzenia wiedział, że jest stracony.

Westchnęła, pochyliła głowę i na chwilę zasłoniła oczy ręką. Potem opuściła dłoń i uniosła głowę.

- Zabierz głowę mego wroga - rozkazała Li Lien-jingowi - i każ, by pokazywano ją wszędzie memu ludowi.

Li Lien-jing znów zawinął głowę w atlas, jeździec włożył ją do koszyka i rozpoczął długą podróż. W każdym mieście, we wszystkich prowincjach głowę umieszczano wysoko na słupie, aby ludzie mogli ją zobaczyć, aż w końcu ciało wyschło, złuszczyło się i została tylko czaszka. A tam, gdzie pokazano głowę, następował pokój.

Tak oto w roku słonecznym 1865 zakończyło się powstanie tajpingów. Przez piętnaście lat ta okrutna wojna przetaczała się przez dziewięć prowincji cesarstwa, dwadzieścia milionów ludzi zginęło lub zmarło z głodu.

Kiedy stłumiono ten wielki bunt, wojska cesarskie, ośmielone nauką, jakiej udzielił im Gordon w sprawach wojskowych, położyły kres dwóm pomniejszych buntom - rebelii w południowej prowincji Jiinnan, skąd jako danina przychodziły pejzaże malowane na marmurze, i buntowi muzułmanów w prowincji Szensi. W porównaniu z powstaniem tajpingów były to drobne niepokoje, z którymi szybko skończono. Cesarzowa matka robiąc przegląd państwa, widziała wszędzie pokój i płynącą z niego pomyślność, a ludzie chwalili ją, bo to dzięki jej radom pokonani zostali rebelianci. Jej siła bardzo wzrosła, wiedziała o tym, więc szybko przystąpiła do umacniania swej władzy na dworze i utwierdzania dynastii.

Nie zapomniała jednocześnie o Angliku Gordonie. Podczas kiedy Tseng Kuo-fan wiódł wojska cesarskie na Nankin, Gordon prowadził Wiecznie Zwycięską Armię przeciw tajpingom broniącym się w okolicy dolnego biegu Jangtsy, gdzie Li Hung-czang dowodził cesarskimi żołnierzami. Gdyby nie zwycięstwa Gordona, Nankin nie padłby tak łatwo - Tseng Kuo-fan okazał się dostatecznie wielki, by przyznać to przed tronem.

Cesarzowej matce niezmiernie teraz zależało na ujrzeniu Anglika, ale nie mogła ulec

swemu osobistemu pragnieniu, bo jeszcze nigdy nie przyjęto cudzoziemca na dworze cesarskim. Czytała jednak każde o nim doniesienie i słuchała wszystkiego, co mówili o nim ci, którzy go widzieli.

„Siła Gordona - pisał w swym memoriale Li Hung-czang - leży w jego prawości. Głosi, że jest jego obowiązkiem położenie kresu buntowi dla dobra naszych ludzi. W rzeczy samej nigdy nie spotkałem człowieka takiego jak Gordon. Wydaje własne pieniądze, by pomóc swym ludziom i tym, którzy zostali okaleczeni i obrabowani przez buntowników. Nawet nasi wrogowie nazywają go człowiekiem „o wielkiej duszy” i mówią, że zaszczytem jest być pokonanym przez takiego przeciwnika”.

Po otrzymaniu tego memoriału cesarzowa matka rozkazała, aby Gordonowi przyznano Order Zasługi Pierwszej Klasy i wręczono dziesięć tysięcy taelów jako udział w zaszczytach rozdzielanych po zwycięstwie. Kiedy jednak tragarze z cesarskiego skarbcza zjawili się przed nim, niosąc na głowach wielkie misy wypełnione złotem, Gordon odmówił przyjęcia daru, a kiedy oni, nie dowierzając, nie chcieli go opuścić, uniósł swą trzcinę i wypędził ich.

Wiść o tej odmowie rozeszła się po całym kraju i nikt z obywateli nie mógł uwierzyć, że ktoś mógł się wyrzec takiego skarbu. Wtedy Gordon wyjaśnił, dlaczego nie przyjmie żadnych podarunków. Przyczyna była następująca. Li Hung-czang, przejęty nadmiernie triumfem po zdobyciu wielkiego miasta Suczou, rozkazał zamordowanie wielu spośród nieprzyjacielskich przywódców, którzy właśnie oddali się w niewolę. Tymczasem Gordon przyrzekł tym dowódcom, że jeśli się poddadzą, życie ich zostanie zachowane, więc kiedy dowiedział się, że go zdradzono, że Li Hung-czang zlekceważył jego przyrzeczenie, wpadł w taką wściekłość, że nawet Li przeraził się i na jakiś czas usunął się do swego domu w Szanghaju.

- Nie wybaczę ci tak długo, jak długo będę żył - krzyczał Gordon. A Li, wlepiając spojrzenie w tę białą, stężałą twarz, istotnie nie mógł dostrzec w jego zimnych, niebieskich oczach nawet nadziei na wybaczenie.

Gordon, który, tak jak obiecał, nigdy o tym nie zapomniał, wysłał dumny list do Smoczego Tronu:

„Major Gordon z wielkim zadowoleniem przyjął wyrazy aprobaty od Jego Wysokości, ale szczerze żałuje, że ze względu na wypadki, do jakich doszło po zdobyciu Suczou, nie jest w stanie przyjąć żadnego dowodu uznania z rąk Jego Wysokości. Prosi więc z szacunkiem Jego Wysokość o przyjęcie podziękowania za zamierzoną łaskę i jednocześnie o pozwolenie uchylecia się od jej przyjęcia”.

Cesarzowa matka przeczytała ten dokument kilka dni później, siedząc w zimowym

ogrodzie Pałacu Środkowego Morza. Przeczytała go dwa razy. Następnie z najwyższą uwagą rozmyślała, jakim człowiekiem jest ów Gordon, który z wzniosłego powodu mógł odrzucić takie wielkie skarby i tak wielkie odznaczenie. Po raz pierwszy przyszło jej na myśl, że nawet wśród zachodnich barbarzyńców znajdują się ludzie cywilizowani, honorowi i nie-przekupni. Tu, w tym cichym ogrodzie, myśl ta przejęła ją do głębi. Jeśli to prawda, że wśród wrogów znajdują się dobrzy ludzie, to powinna się tego lękać. Jeśli byli sprawiedliwi, mogli też być silniejsi, niż myślała. Myśl ta od tej chwili nie opuszczała jej do końca życia.

Cesarzowa matka przez wiele dni zatrzymywała w mieście Tseng Kuo-fana, zastanawiając się, jak go nagrodzić za jego odwagę i odniesione sukcesy. Ta władczą kobietą nie spytała o radę ani książąt, ani ministrów i rozkazała, by uczyniono go wicekrólem wielkiej północnej prowincji Czyli i by od tego czasu przebywał w Mieście Tientsinie. Szesnastego dnia pierwszego księżycowego miesiąca nowego roku wydała przyjęcie, podczas którego Tseng Kuo-fan siedział na najwyższym, honorowym miejscu, cesarscy aktorzy przedstawili aż sześć sławnych sztuk, a goście raczyli się najwykwintniejszymi potrawami. Dopiero po tych radosnych uroczystościach cesarzowa matka kazała Tseng Kuo-fanowi, aby udał się do Tientsinu i tam znalazł spokój.

Nie zaznał jednak spokoju, bo w mieście tym wybuchło nagle powstanie przeciwko pewnym francuskim zakonnikom. Zakonnice te prowadziły sierociniec i ofiarowywały pieniądze każdemu, kto przyprowadził tam dziecko. Doprowadziło to do kłopotów, bo źli ludzie zaczęli porywać dzieci, aby sprzedawać je siostram, a one przyjmowały je, nie pytając, do kogo uprzednio należały, a kiedy zgłaszali się po nie ich rodzice, nie chciały ich oddawać, twierdząc, że za nie zapłaciły.

Cesarzowa matka znów posłała po Tseng Kuo-fana.

- Dlaczego - spytała - ci cudzoziemcy interesują się chińskimi dziećmi?

- Wasza Wysokość - odpowiedział uczonego małż. - Osobiście wierzę, że chodzi im o nawracanie ich na swą wiarę, ale niestety ciemni ludzie z ulicy są pełni przesądów i twierdzą, że magiczne cudzoziemskie lekarstwa wyrabiane są z oczu, serc i wątrób istot ludzkich, więc po to właśnie zakonnice potrzebują tych dzieci.

Wykrzyknęła w przerażeniu:

- Czy to możliwe!

Ale on zapewnił ją:

- Myślę, że nie. Zakonnice często biorą dzieci od żebraków, znajdują je, prawie martwe, na ulicach. Często odszukują nowo narodzone niemowlęta płci żeńskiej, które bardzo

ubodzy rodzice zostawili na poboczach dróg, aby umarły. I choć wiadomo, że większości z tych dzieci nie można uratować, one zabierają je, chrzczą i uważają za nawrócone. Dziecko takie, kiedy umiera, grzebane jest na chrześcijańskim cmentarzu, a siostrą poczytuje się za zasługę ochrzcenie tyłu istot.

Nie wiedziała, czy Tseng Kuo-fan ma rację, czy nie, był bowiem człowiekiem tolerancyjnym, nie doszukującym się zła w swoich wrogach. Niemniej w piątym miesiącu tego samego roku przekleństwo bogów spadło na zakonnice w mieście Tientsinie i wiele dzieci zmarło we francuskim sierocińcu, a wtedy gromady podżegaczy i nicponi, nazywających się Nabrzmiałymi Gwiazdami, zaczęły wszędzie głosić, że cudzoziemskie zakonnice zamordowały znajdujące się pod ich opieką dzieci. Wzburzyło to ludzi, a wyłknięte zakonnice zgodziły się, by wybrani obywatele mogli wejść i stwierdzić, że sierociniec jest przybytkiem miłosierdzia, nie śmierci. Niestety, to z kolei rozzłościło francuskiego konsula, który nie zgodził się na inspekcję i wyrzucił wybranych obywateli, chociaż Cz'ung Hou, naczelnik celników w Tientsinie, ostrzegł go, że jest to niebezpieczne. (Cudzoziemiec ów był jednak zbyt zarozumiały, by z nim rozmawiać, i domagał się, by do konsulatu przysyłano oficerów wyższej rangi.) Chociaż magistrat miejski robił wszystko, by ułagodzić ludzi, ci byli nadal wzburzeni. Udali się do kościoła, a potem do sierocińca zagranicznych sióstr, grożąc, że je ostrzelają. Słyszac to, ów głupi francuski konsul wybiegł na ulicę z pistoletem w ręku, aby bronić sióstr. Ludzie pochwycili go jednak i zabili, nie wiadomo, w jaki sposób, bo nikt go już więcej nie zobaczył.

W tej trudnej sytuacji Tsen Kuo-fanowi przybył z pomocą książę Kung. Zręcznie prowadził rokowania z Francuzami, w czym pomógł mu zbieg okoliczności - między Francją i Prusami wybuchła właśnie wojna i Francuzi, będąc w kłopotach, byli bardziej ustępliwi podczas tych negocjacji. Niemniej cesarzowa matka musiała się zgodzić na zapłacenie Francji czterech tysięcy srebrnych taelów, które miały być ceną za życie zabitego Francuza i za przerażenie, jakiego doświadczyły zakonnice. Zdecydowała też, że Cz'ung Hou, naczelnik celników w Tientsinie, zostanie wysłany do Francji w celu złożenia formalnych przeprosin.

Zanim Tseng Kuo-fan uporał się z tymi kłopotami, cesarzowa matka posłała po niego powtórnie, bo otrzymała z południa memoriał z niedobrymi wiadomościami. Chociaż Niebiański Król nie żył, miasto Nankin i cztery prowincje nie były jeszcze spokojne. Rozprężenie i niezdyscyplinowanie panujące wśród ludności po tylu latach buntu doprowadziło do zamordowania wicekróla. Cesarzowa w pośpiechu posłała więc po Tseng Kuo-fana i kazała mu zająć miejsce po zabitym. Znużony, starzejący się generał zmuszony został do opuszczenia swego posterunku i do udania się do stolicy, gdzie jeszcze raz klęknął o



świecie w cesarskiej sali audiencyjnej na poduszce przed tronem, na którym siedział młody cesarz. Za żółtą zasłoną zasiadły na swych tronach obie cesarzowe, po prawej cesarzowa matka, po lewej jej współregentka.

Kiedy klęczący generał usłyszał głos cesarzowej matki nakazujący mu powrót na południe i podjęcie nowych obowiązków w Nankinie, poprosił, by raczyła go wysłuchać. Tłumaczył jej, że doprawdy nie czuje się dobrze, że wzrok mu się psuje, i dlatego błaga, aby oszczędzono mu tego zadania.

Przerwała mu zza zasłony.

- Chociaż wzrok ci się psuje - stwierdziła - potrafisz dopilnować tych, którzy podlegają twej komendzie. - Dała znak, że nie chce słuchać dłużej jego próśb.

Przypomniał jej wówczas, że jeszcze nie do końca uporał się z kryzysem, który wstrząsnął jego obecną prowincją po tym, jak konsul francuski zamordowany został przez tłum Chińczyków, kiedy usiłował bronić zakonnic, będących jego krajankami.

- Czyżbyś jeszcze nie skrócił o głowę winnych tej zbrodni? - zdziwiła się.

- Wasza Wysokość - odpowiedział Tseng Kuo-fan - poseł francuski i jego przyjaciel poseł rosyjski domagają się, by egzekucję obserwowali ich przedstawiciele, którzy jeszcze nie nadjechali. Zleciłem generałowi Li Hung-czangowi, by doprowadził sprawę do końca. Kaźń miała się odbyć wczoraj.

- Och, ci cudzoziemscy misjonarze i księża! - zawołała cesarzowa matka. - Szkoda, że nie zakazaliśmy im wstępu do cesarstwa! Kiedy przejmiesz swe obowiązki w Nankinie, musisz utrzymywać dużą, zdyscyplinowaną armię, aby panować nad ludnością nienawidzącą obcych.

- Wasza Wysokość, zamierzam zbudować forty wzdłuż całej rzeki Jangtasy - odpowiedział Tseng Kuo-fan.

- Traktaty, które zawarł książę Kung z cudzoziemcami, są zbyt dokuczliwe - mówiła dalej cesarzowa matka. - Szczególnie dokuczliwi są chrześcijanie, którzy kręcą się wszędzie, jakby byli w swym kraju.

- Wasza Wysokość, to prawda - odpowiedział Tseng Kuo-fan.

Wciąż klęczał, a ponieważ zwyczaj dworski nakazywał, by klęczał bez kapelusza na głowie, czuł, jak chłód zimowego poranka przenika go do szpiku kości. Mimo to nadal grzecznie zgadzał się z cesarzową.

- To prawda, że misjonarze wszędzie są przyczyną kłopotów. Nawróceni na ich wiarę napastują tych, którzy nie przyjmują ich religii, misjonarze zawsze ochraniają nawróconych, a konsulowie ochraniają misjonarzy. W przyszłym roku, kiedy nadejdzie czas rewizji traktatu z

Francją, musimy bardzo uważnie rozpatrzyć sprawę zezwolenia na propagowanie wiary chrześcijańskiej wśród ludności.

Cesarzowa matka odezwała się z wciąż narastającą irytacją:

- Nie rozumiem, po co nam obca religia, skoro sami mamy tu trzy różne wyznania.

- Ja również nie rozumiem, Wasza Wysokość - odpowiedział stary generał.

Po chwili milczenia audiencja zakończyła się, a ponieważ był to rok sześćdziesiątych urodzin Tseng Kuo-fana, cesarzowa matka znów wydała na jego cześć wielkie przyjęcie i obdarzyła go wieloma bogatymi darami. Na jego cześć napisała i własnoręcznie wykaligrafowała poemat, w którym chwaliła jego wiek i osiągnięcia. Wraz z poematem przysłała mu rzeźbiony stolik, na którym znalazły się słowa: „Temu, Który Jest Naszym Wyniosłym Filarem i Naszą Skałą Obrony”. Wysłała mu również złoty wizerunek Buddy, berło z drewna sandałowego wysadzone nefrytami, szatę haftowaną w złote smoki, dziesięć bel cesarskiego jedwabiu i dziesięć bel jedwabnej krepy.

Sława Tsen Kuo-fana była tak wielka, że w chwili kiedy wstąpił na tron wicekróla w Nankinie, niepokój wśród ludności ustał. Nowy władca prowincji zaczął swoje rządy od wykrycia zabójcy poprzedniego wicekróla i skazania go na śmierć przez poćwiartowanie. Egzekucję wykonano publicznie, aby ludzie sami zobaczyli, jaki los czeka złoczyńców. Patrzyli w milczeniu, kiedy ostrze katowskiego noża krajało żywe ciało skazańca, zamieniając je w pasy mięsa i pogruchotanych kości.

Wkrótce jednak ludzie wrócili do swych codziennych zajęć i zwykłych rozrywek. Znów przystrojone kwiatami łodzie płynęły po Lotosowym Jeziorze, a uroczym kurtyzany śpiewały pieśni grając na lutniach, podczas kiedy ich klienci słuchali i ucztowali. Tseng Kuo-fan cieszył się, że powróciło dawne, spokojne życie, i donosił tronowi, że Południe jest teraz takie, jakim było przed wielką rebelią tajpingów.

Ale Tseng Kuo-fanowi nie dane było długo cieszyć się zaszczytami i wysoką pozycją. Wczesną wiosną następnego roku dosięgła go ręka bogów. Siedział właśnie w lektyce, podążając na spotkanie posła, którego cesarzowa matka posłała z wiadomościami z Pekinu, i recytował, jak to miał w zwyczaju, kiedy był sam, fragmenty z klasycznych pism Konfucjusza, kiedy poczuł, że język mu drętwieje. Dał znak swym ludziom, by zanieśli go z powrotem do pałacu. Czuł się oszołomiony i dezorientowany, mroczyło mu się w oczach. Przez trzy dni leżał, nie odzywając się do nikogo.

Jeszcze dwukrotnie doznał udaru i w końcu wezwał do łoża swego syna, któremu z trudem wydał następujące polecenie:

- Niedługo zjawię się u Żółtych Źródeł. Niestety, zostawiam po sobie wiele nie

rozwiązanych problemów i nie dokończonych przedsięwzięć. Rozkazuję ci, abyś polecił cesarzowej matce mego druha, Li Hung-czanga. Sam jestem teraz jak poranna rosa, która szybko zanika. Kiedy przyjdzie koniec i złożycie mnie w trumnie, niech pogrzeb odbędzie się zgodnie ze starym rytuałem, przy śpiewach buddyjskich.

- Ojcze, nie mów o śmierci - wykrzyknął syn, któremu łzy napłynęły do oczu i potoczyły się po policzkach.

Na ten widok Tseng Kuo-fan jakby zebrał się w sobie i poprosił, aby go zanesiono do ogrodu, by mógł spojrzeć na kwitnące śliwy. Tam znów krew uderzyła mu do głowy, ale nie chciał wrócić do łóżka. Dał znak, by zanesiono go do sali audiencyjnej wicekróla i posadzono na tronie. Przez chwilę siedział na nim, jakby udzielał audiencji, i tak umarł.

W chwili jego śmierci w mieście podniósł się wielki krzyk, bo na niebie ukazała się spadająca gwiazda, którą widzieli wszyscy i zlekli się katastrofy. Każdy, kto dowiedział się o zgonie wicekróla, czuł się tak, jakby utracił ojca.

Cesarzowa matka, która otrzymała tę złą wiadomość po dwóch dniach, pochyliła głowę i przez chwilę płakała w milczeniu. Następnie powiedziała:

- Niech przez trzy dni żałoby ustaną wszelkie zabawy, uczty i przedstawienia.

Następnie rozesłała po całym kraju dekret, nakazujący, aby w każdej prowincji zbudowano świątynię ku czci tego wielkiego, dobrego człowieka, który przyniósł pokój cesarstwu.

Wieczorem trzeciego dnia posłała po Jung Lu, który przyszedł do jej prywatnej sali audiencyjnej i klęknął przed nią. Spytała go krótko:

- Co myślisz o Li Hung-czangu, którego Tseng Kuo-fan polecił mi na swoje miejsce?

- Wasza Wysokość - odpowiedział Jung Lu - możesz na nim polegać bardziej niż na jakimkolwiek Chińczyku. Jest odważny i oświecony, a im bardziej będziesz się na nim opierać, tym wierniejszy będzie tronowi. Jednak nagradzaj go często i hojnie.

Słuchała tych słów, wpatrując się chciwie swymi wielkimi oczami w jego twarz, następnie powiedziała:

- Tylko ty nie starasz się o nagrody za to, co robisz dla mnie.

Klęczał przed nią w milczeniu. Gdy cisza przedłużała się, dotknęła jego ramienia zwiniętym wachlarzem i powiedziała:

- Proszę, byś dobrze dbał o swe zdrowie, kuzynie. Poza tobą najbardziej ceniłam sobie Tseng Kuo-fana, a kiedy odszedł, drzę, aby bogowie w jakimś niezrozumiałym dla mnie gniewie nie pozbawili mnie wszelkiego oparcia.

- Wasza Wysokość - odpowiedział - zawsze będziesz dla mnie tym, czym byłeś od

czasu naszego wspólnego dzieciństwa.

- Wstań - rzekła. - Nie odchodź, niech przyjrzę się twojej twarzy.

Stał więc, zdecydowany i silny. Przez krótką chwilę ich oczy spotkały się i przemówiły.

Jesienią następnego roku Rada Astrologów wyznaczyła dzień pogrzebu zmarłego cesarza. Przez ostatnich kilka lat jego ozdobiona klejnotami trumna spoczywała w świątyni, w odległej części pałacu. Teraz rozpoczęto uroczyste przygotowania do cesarskiego pogrzebu. Budowa nowego grobowca zajęła pięć lat, a cesarzowa matka nakazała księciu Kungowi - na dowód, że znów mu ufa - by zajął się gromadzeniem ogromnych sum, które były do tego potrzebne. Książę Kung zabrał się bez szemrania do dzieła, ale było to w istocie trudne zadanie, albowiem prowincje południowe, najbogatsze w cesarstwie, z których pochodziła zwykle większość pieniędzy uzyskanych z danin, teraz zbiedniały z powodu wojen i buntów. Siłą i perswazją zgromadził dziesięć milionów srebrnych taelów, nakładając podatki na każdą prowincję i każdy cech, ale z tej sumy musiał odjąć prowizję dla wysokich i niższych urzędników - od ministrów i pomniejszych książąt i wicekrólów poczynając, na eunuchach i poborcach podatkowych kończąc. Każdemu należało zapłacić za jego starania. W zaciszu swego własnego pałacu książę Kung skarżył się swej subtelnej żonie, z którą jedną mógł rozmawiać szczerze.

- Muszę jednak słuchać tej smoczycy - westchnął - bo jeśli znów ją urażę, zniszczy nas wszystkich.

- Niestety - odpowiedziała jego pani - żałuję, że nie jesteśmy biednymi ludźmi - moglibyśmy żyć spokojnie.

Ale urodził się księciem i musiał zachowywać się jak książę, co też i czynił.

Przy budowie grobowca książę Kung spędził aż cztery lata, bo czasu było potrzeba nie tylko na zebranie funduszy, ale także na wyrzeźbienie w marmurze wielkich posągów zwierząt i wojowników, które stojąc parami miały strzec wejścia do grobowca.

Grobowiec wykonany był z marmuru i przykryty kopułą. Wewnątrz stał duży, złoty piedestał wysadzany klejnotami, na którym miała spocząć cesarska trumna. Tutaj pewnego czystego, jesiennego dnia przyniesiono trumnę zmarłego cesarza, której towarzyszyli liczni żałobnicy. Przy blasku płonących świec, w dymach kadzideł, w obecności cesarzowej matki i cesarzowej wdowy, młodego cesarza, książąt i ministrów postawiono ją na piedestale. Trumna zrobiona była z doskonale wygładzonego i wypolerowanego drzewa surmiowego. Zanim ją zamknięto, szaty zmarłego cesarza ozdobiono klejnotami, wśród których znalazły

się rubiny, nefryty i szmaragdy z Indii oraz sznur nieskazitelnych pereł. Następnie wieko trumny zapieczętowano smołą i sporządzonym z drzewa tamaryszku klejem, który zastygając, tworzy substancję twardą jak kamień. Na trumnie wyrzeźbione były buddyjskie sutry, a wokół niej eunuchowie umieścili figury klęczących ludzi. Figury te wykonano, oklejając bambusowy szkielet papierem i jedwabiem. Miały one symbolizować tych, którzy w dawnych, mniej cywilizowanych czasach musieliby zostać pochowani wraz ze swym panem, aby nie był on samotny za Żółtymi Źródłami. Ze zmarłym cesarzem pochowano również jego pierwszą małżonkę, starszą siostrę cesarzowej wdowy, która również miała na imię Sakota. Przez piętnaście lat ciało cesarskiej małżonki spoczywało w cichej świątyni, we wsi oddalonej o siedem mil od miasta, czekając na śmierć cesarza. Teraz dołączyła do swego pana, a jej trumnę umieszczono na niskim i prostym piedestale u jego stóp.

Kiedy mnisi śpiewnie recytowali modlitwy, a regentki i młody cesarz leżeli przed zmarłym, wszyscy usunęli się z grobowca. Tylko świece płonęły, a ich chybottliwe światło odbijało się od wysadzanych klejnotami ornamentów i malowanych tablic zdobiących ściany grobowca. Potem cesarscy żałobnicy opuścili grobowiec i wielkie drzwi z brązu zostały zamknięte i zapieczętowane.

Dzień po pogrzebie cesarzowa matka wydała dekret o zupełnym przebaczeniu dla księcia Kunga.

„Księżę Kung przez ostatnie pięć lat trudził się pod Naszym kierunkiem nad zorganizowaniem pogrzebu zmarłego cesarza. Odznaczył się pracowitością i godną postawą, a Nasz ból złagodzony został świetnością cesarskiego grobowca i uroczystym przebiegiem ceremonii pogrzebowych. Aby więc zapisy w kronikach Naszego panowania nie plamiły białego nefrytu nieskazitelnego imienia księcia Kunga, nakazujemy wymazanie zapisu o jego uprzedniej dymisji i zwrócenie mu wszystkich odznaczeń. Niech to będzie nagrodą dla tego wiernego sługi, oby jego imię było na zawsze oczyszczone”.

Pod koniec tego dnia cesarzowa matka przechadzała się samotnie w swym ulubionym ogrodzie. Był to łagodny jesienny wieczór, niebo było szarawe, lekko zaróżowione na zachodzie. Była w nastroju melancholijnym, ale nie cierpiała, bo nie odczuwała bólu. Jej duch był samotny, ale zdążyła się do tego przyzwyczaić. Była to cena wielkości i płaciła ją dzień po dniu, noc po nocy. Była jednak kobietą i w swej zbyt żywej wyobraźni zobaczyła przez chwilę dom, w którym mężczyzna żył z kobietą, w którym spłodził dziecko. Właśnie tego dnia jej eunuch doniósł, że Jung Lu narodził się syn. O trzeciej nad ranem pani Mei wydała na świat zdrowe dziecko. W tym dniu smutku cesarzowa matka raz po raz wracała myślami do tego dziecka. Jednak na twarzy stojącego między żałobnikami Jung Lu nie zauważyła ani

cienia radości. Nieokazywanie radości było jego obowiązkiem, ale teraz, wieczorem, kiedy powrócił do domu, czy mógł się od niej powstrzymać? Nigdy nie będzie tego wiedziała.

Przemierzała wolnym krokiem, tam i z powrotem, ogrodową ścieżkę biegnącą między kwitnącymi, późnymi chryzantemami, a za nią postępowały wiernie jej psy, silne mongolskie zwierzęta, które chroniły ją w dzień i w nocy, oraz miniaturowe pieski do zabawy. Potem jednak, jak to już nieraz robiła, wezwała na pomoc swą wolę: powściągnęła swe myśli i wyobraźnię, aby stawić czoło trudom sprawowania władzy.

Dwa lata później cesarzowa matka siedziała na tronie w cesarskim teatrze oglądając przedstawienie. Było to w Morskim Pałacu, do którego przeprowadziła dwór, aby cieszyć się ogrodami. Nie była to sztuka stara, napisał ją zaledwie dwieście lat temu pewien dowcipny uczonek. Czarnym charakterem był w niej długonosy Europejczyk, portugalski kapitan statku z wielkim mieczem u pasa i z wąsami jak rozpostarte skrzydła kruk, a bohaterem pozytywnym premier chińskiego dworu. Rolę tę grał naczelnny eunuch, An Teh-hai, który był znakomitym aktorem.

Nagle Li Lien-jing, który śmiał się głośno, zamilkł niespodziewanie. Wstał z krzesła stojącego nie opodal cesarzowej i próbował wymknąć się po cichu. Jednak cesarzowa matka, która zawsze wszystko widziała, skinęła, by do niej wrócił, co zrobił trochę zawstydzony.

- Dokąd idziesz? - zapytała. - Czy to uprzejmiem z twojej strony opuszczać teatr, kiedy twój zwierchnik jest na scenie?

- Wasza Wysokość - powiedział szeptem Li Lien-jing - widok tego cudzoziemskiego łotra przypomniał mi o obietnicy, którą złożyłem wczoraj młodemu cesarzowi i nie pamiętałem o niej do tej chwili.

- Co to za obietnica? - spytała.

- Usłyszałem gdzieś o zagranicznym wozie, zabawce, która może jeździć, mimo że nie zaprzęgnięto do niej koni ani ludzi. Prosił, bym mu ją kupił, bo chciałby ją obejrzeć. Ale gdzie mógłbym znaleźć taki wóz? Spytałem o to naczelnego eunucha, a on powiedział, że być może znajdzie go w sklepie cudzoziemca na ulicy, gdzie znajdują się obce poselstwa. Właśnie tam idę.

Cesarzowa matka ściągnęła swe piękne, czarne brwi.

- Zakazuję ci tego - powiedziała z naciskiem.

- Wasza Wysokość - przekonywał ją łagodnie eunuch. - Proszę pamiętać, że młody cesarz ma gorący temperament - dostanę baty.

- Powiem mu, że nadal mu zabraniam zagranicznych zabawek - zobowiązała się

cesarzowa. - Zabawka, coś takiego, przecież nie jest już dzieckiem!

- Wasza Wysokość - błagał eunuch - to ja powiedziałem o zabawce, gdyż wiem, że w całym państwie nie udałoby się nam znaleźć prawdziwego wozu, który porusza się sam.

- Zabawka czy nie, jest to rzecz zagraniczna - upierała się cesarzowa matka. - Zakazuję tego. Usiądź więc.

Li Lien-jingowi nie pozostało nic innego, jak usłuchać, więc usiadł, ale już się nie śmiał, choć An Teh-hai przechodził na scenie samego siebie, aby rozśmieszyć cesarzową matkę. Ale ona także się nie śmiała. Po około godzinie, z twarzą nadal ponurą, dała znak swym paniom, że odchodzi, i udała się do pałacu, skąd po namyśle posłała po naczelnego eunucha.

Nadszedł więc, mężczyzna wysoki i przystojny mimo nadmiernej tuszy. Miał śmiałe, czarne oczy, które opuszczał, gdy stawał przed swą cesarską panią, a ona choć wiedziała, że w innych okolicznościach oczy te potrafią być bezczelne, nie przestawała go lubić. Krążyły plotki, że An Teh-hai nie jest prawdziwym eunuchem, że spłodził nawet dzieci w pałacowych murach, ale cesarzowa matka nauczyła się nie przeprowadzać dochodzeń w sprawach, o których nie chciała wiedzieć. Teraz spojrzała na niego surowo.

- Jak śmiesz spiskować z Li Lien-jingiem? - zapytała.

- Wasza Wysokość - zachnął się. - Ja? Spiskować? Wasza Wysokość!

- Starasz się z Li Lien-jingiem zdobyć zagraniczny wóz samobieżny dla mego syna!

Próbował się zaśmiać.

- Wasza Wysokość, czy to spisek? Chciałem po prostu go zabawić.

- Wiesz, że nie chcę, aby dostarczano mu cudzoziemskie przedmioty - powiedziała surowym tonem. - Czy duch jego ma się oddalać od własnego ludu?

- Wasza Wysokość - usprawiedliwiał się naczelny eunuch - przysięgam, że nie miałem tego na myśli. Robimy wszystko, czego zażyczy sobie cesarz, czyż nie jest to naszym obowiązkiem?

- Nie, jeśli życzy sobie czegoś nieodpowiedniego - powiedziała nie udobruchana. - Powiedziałam ci, że nie chcę, aby wpojono weń złe nałogi, tak jak to się stało z jego ojcem. Jeśli jesteś tak głupi, by mu w tym ulegać, czy jest jeszcze coś, w czym mu nie ulegasz?

- Wasza Wysokość... - zaczął.

Cesarzowa matka zmarszczyła czoło.

- Zejdź mi z oczu, niewierny sługo!

Przeraziło to naczelnego eunucha. Od dawna był jej faworytem, ale każdy eunuch wie, że łaska władcy jest mniej pewna od słońca wczesną wiosną. Cofnięta może zostać w każdej

chwili, a wtedy należy się lękać o własną głowę.

Rzucił się jej do kolan i zaszlochał.

- Wasza Wysokość, całe moje życie należy do ciebie! Twój rozkaz jest dla mnie wszystkim!

Odsunęła go jednak nogą.

- Precz z moich oczu... precz z moich oczu!

Wyczołgał się na rękach i kolanach, a kiedy znalazł się za drzwiami, popędził do jedynej osoby, o której wiedział, że może go uratować od gniewu cesarzowej. Biegąc cały czas, przybył do odległego o milę pałacu Jung Lu.

O tej porze dnia Jung Lu miał zwyczaj przeglądać memoriały, które następnego dnia miały być odczytane przed tronem. Kiedyś było to zadaniem księcia Kunga, ale teraz Jung Lu jako Wielki Radca musiał go w tym zastąpić. Siedział sam w swej bibliotece przy wielkim biurku z czarnego drewna z głową schyloną nad papierami.

Naczelnny eunuch wszedł tuż za służącym, który go zaanonsował, szybko złożył ukłon i wypowiedział słowa pozdrowienia.

- Co cię sprowadza? - spytał Jung Lu.

An Teh-hai opowiedział pokrótce o swym kłopotcie.

- Błagam, uchron mnie od gniewu cesarzowej - prosił.

Jung Lu nie od razu odpowiedział na to błaganie. Wskazał, by naczelnny eunuch zajął stojące nie opodal krzesło, i rzekł do niego:

- Ostatnimi czasy niepokoi mnie to, co widzę w pałacu cesarza.

- A co widzisz, Czcigodny? - spytał naczelnny eunuch, błąd w świetle świec.

Jung Lu nachmurzył twarz.

- Ojca młodego cesarza, Sien Fenga, zdeprawowali eunuchowie, a jednym z nich byłeś ty, An Teh-haiu. To prawda, że w owym czasie nie byłeś naczelnym eunuchem, ale było w twojej mocy pobudzać cesarza do czystych myśli i szlachetnych czynów. Zamiast tego byłeś pośrednikiem dostarczającym uciech, a on kochał cię, bo byłeś młody i przystojny. Lecz ty zamiast prowadzić go drogą prawości, pchałeś go w dół, grając na jego słabościach i żądach, aż umarł jako starzec przed czterdziestym rokiem życia. Teraz masz w swoich rękach jego syna...

Przerwał. Na jego twarzy odbiło się poruszenie, zakrył usta prawą ręką. Mocne usta, mocną ręką.

An Teh-hai zatrzęsł się ze strachu. Przyszedł w nadziei, że otrzyma wsparcie,



tymczasem znów został zaatakowany.

- Czcigodny - powiedział - trudno być eunuchem i nie słuchać swego pana.

- A jednak można to zrobić - powiedział Jung Lu. - W końcu zyskałbyś szacunek. W każdym bowiem człowieku, nawet w cesarzu, istnieje dobro i zło. W dzieciństwie można ugruntować jedno lub drugie. Wybrałeś zło.

- Czcigodny - wyjąkał eunuch. - Nie dokonałem takiego wyboru... nie dano mi możliwości wyboru.

- Wiesz, co mam na myśli - jeszcze mocniej powiedział Jung Lu. - Pamiętasz, że kiedy zmarły cesarz odczuwał ból, karmiłeś go opium. Kiedy był niespokojny, używałeś złych sposobów, by przynieść mu ulgę. Uczyłeś go szukać ucieczki w nałogach, gdy pojawiły się kłopoty czy choroba. Nim stał się mężczyzną, męskość jego została zniszczona.

An Teh-hai nie był tchórzem, ale nie był też głupcem. Nadszedł czas, by użyć groźnej broni.

- Czcigodny - powiedział - jeśli męskość cesarza została zniszczona, to jak się mogło stać, że począł syna, i to tak mocnego jak młody cesarz?

Twarz Jung Lu nie zmieniła się. Patrzył nieugięcie na eunucha.

- Jeśli dom cesarski padnie - powiedział - ty padniesz z nim, ja także, a z nami dynastia. Czy mamy więc zniszczyć tego chłopca, który jest naszą jedyną nadzieją?

W ten sposób Jung Lu odparował zdradzieckie pchnięcie zadane przez An Teh-haia. Natomiast naczelny eunuch zrozumiał, że będą nie wrogami, lecz sojusznikami, udał więc zmieszanie i wymamrotał:

- Przyszedłem tu tylko po ratunek przed gniewem cesarzowej matki. Z całego zamieszania rozumiem tyle tylko, że wszystko zaczęło się od zabawki, od pojazdu, który Szewska Smoła Li zapomniał kupić młodemu cesarzowi. Nie wiem, jak to się dzieje, że w tych murach mała rzecz urasta do rozmiarów większych niż ludzkie życie.

Jung Lu znużonym ruchem przetarł ręką zmęczone powieki.

- Wstawię się za tobą - obiecał.

- Czcigodny, o to tylko proszę - powiedział naczelny eunuch i złożywszy pokłon, wyszedł szybko. Był bardzo zadowolony. Rzucone przez niego pytanie okazało się skuteczniejsze od miecza, a Jung Lu jedynie uchylił się od ciosu.

Jung Lu długo siedział samotnie w swej bibliotece, tak długo, że jego delikatna żona przysłała spojrzeć na niego przez szparę w kurtynie, po czym widząc jego ponurą twarz, odeszła nie śmiąc do niego przemówić. Wiedziała, że nigdy nie zdobędzie jego prawdziwej miłości, ale kochała go tak bardzo, że zadawała się tym, co od niego otrzymywała:

łagodnym uczuciem, czułością uprzejmą i cierpliwą. Nigdy nie był z nią blisko, nawet wtedy, kiedy spał w jej łóżu i trzymał ją w swych ramionach. Nie bała się go, bo jego uprzejmość nigdy nie uległa zmianie, ale nie mogła pokonać dzielącego ich dystansu.

Noc była już tak późna, że niepokój przywiódł ją z powrotem. Poruszając się bezszelestnie w atlasowych pantofelkach, położyła mu rękę na ramieniu tak lekko, że jej nie poczuł.

- Jest prawie świt - powiedziała - a ty wciąż nie idziesz do łóżka? - Zaskoczony odwrócił do niej swą twarz. Zobaczyła na niej wyraz tak wielkiego bólu, że zarzuciła mu rękę na szyję.

- Och, kochanie - wykrzyknęła - co się stało?

Zesztywniał i po chwili wymknął się z jej ramion.

- Stare kłopoty - wymamrotał - stare kłopoty, które nigdy się nie skończą! Jestem głupi, że o nich myślę. Chodź, idziemy spać.

Ramię w ramię szli korytarzami do swych pokoi. Przed wejściem do sypialni żony Jung Lu powiedział na odchodnym, jakby przyszło mu to nagle na myśl:

- Czy to dziecko dokucza ci mniej niż pierwsze? - Była bowiem znów w ciąży.

- Dziękuję, czuję się dobrze - powiedziała.

Uśmiechnął się na to i rzekł:

- A więc będziemy mieli córkę, bo jeśli dobrze pamiętam, co mówiły stare kobiety, kiedy byłem dzieckiem, to synowie zmagają się z łonem matki.

- A czy będziesz miał coś przeciwko córce? - spytała.

- Nie, jeśli będzie do ciebie podobna - powiedział z wielką atencją, skłonił się i odszedł.

Następnego dnia, kiedy zegar wodny wskazał godzinę trzecią po południu, eunuch Li Lien-jing, który przez cały dzień wychodził ze skóry, aby zadowolić swą królewską panią, oznajmił, że Wielki Radca Jung Lu prosi, by udzielono mu audiencji, kiedy cesarzowa matka znajdzie chwilę czasu.

Odpowiedziała bez zwłoki:

- Czyż kiedykolwiek nie znalazłam czasu, by przywitać mego krewnego? Każ mu przyjść teraz.

Po chwili więc Jung Lu znalazł się w jej prywatnej sali audiencyjnej, w której oczekiwała na jego przybycie. Dała znak eunuchowi, by stanął w większej odległości od tronu, a Jung Lu kazała powstać z klęczek i usiąść u jej stóp.

- Teraz, proszę, bądźmy swobodni - powiedziała. - Odłóż na bok ceremoniał i

powiedz, o co ci chodzi. Wiesz przecież, że pod majestatem cesarzowej kryje się zawsze ta, którą znalazłeś dzieckiem, a potem dziewczyną.

Mówiła swobodnie, a on, pamiętając insynuacje naczelnego eunucha, poczuł się zaniepokojony. Odwracał głowę to w tę, to w tamtą stronę, aby sprawdzić, czy zasłona się nie porusza albo czy Li Lien-jing nie nadstawia ucha. Lecz eunuch czytał jakąś książkę, a zasłona nie drżała. Sala była tak duża, że jeśli ktoś nie stał w pobliżu tronu, nie mógł słyszeć, co mówiła jego ukochana, której głos był cichy i słodki. Nie pozwolił sobie jednak na nic więcej niż długie spojrzenie. Wpatrywał się w jej oczy, zakrywając usta dłonią.

- Odsłoń usta - powiedziała.

Opuścił rękę. Ujrzała wtedy, że przygryza dolną wargę.

- Twoje zęby - powiedziała - są białe i mocne jak zęby tygrysa. Oszczędź się, proszę... nie kalecz tak okrutnie swej wargi.

Zmusił się, by oderwać od niej wzrok.

- Przyszedłem porozmawiać o cesarzu.

Użył podstępu, wiedząc, że tylko syn mógł zdjąć z jego twarzy spojrzenie jej czarnych oczu.

- Co z nim? - krzyknęła. - Czy stało się coś złego?

Był znów wolny, milcząca więź, która zawsze była między nimi obecna, rozluźniła się trochę.

- Nie jestem zadowolony. Obawiam się, że owi eunuchowie o usługowych rękach mogą wypaczyć młodzieńca swym własnym zbroczeniem. Wasza Wysokość wie, co mam na myśli. Widziałas ich mściwy, zgubny wpływ na zmarłego cesarza, to obrzydliwe zepsucie. Twego syna trzeba ocalić, zanim będzie za późno.

Zaczerwieniła się i nie odpowiedziała od razu. Następnie rzekła cicho:

- Cieszę się, że mówisz jak ojciec o moim pozbawionym ojca synu. Ja również bardzo się niepokoję, ale cóż mogę zrobić, będąc tylko kobietą? Czy mam kalać usta rozmową o rzeczach, o których nawet nie powinnam wiedzieć? To są męskie sprawy.

- Dlatego tu jestem - powiedział - i radzę ci, byś wcześniej zaręczyła swego syna. Niech za twoją zgodą wybierze tę, która mu się spodoba. I chociaż jest zbyt młody, by się żenić w ciągu najbliższych dwóch lat, bo powinien czekać do szesnastego roku życia, to jednak wyobrazenie tej, którą wybrał, pozwoli mu zachować czystość.

- Skąd o tym wiesz? - spytała.

- Wiem - powiedział krótko i nie rzekł ani słowa więcej, a kiedy próbowała znów pochwycić jego spojrzenie, odwrócił głowę.

Westchnęła w końcu, ulegając jego upartej cnocie.

- Dobrze, zrobię, jak mi radzisz. Trzeba wkrótce zebrać dziewczyny i przygotować je, tak jak ja byłam przygotowywana. O nieba, jakże przeleciały te lata - teraz ja zasiądę przy cesarzu, aby czuwać nad jego wyborem, tak jak to robiła cesarzowa wdowa! Czy pamiętasz, że się jej nie spodobałam?

- Zdobyłaś ją potem, tak jak zdobywałeś wszystkich - wykrztusił, wciąż nie zwracając do niej głowy.

Zaśmiała się miękko, jej czerwone usta zdrząły, jakby chciała powiedzieć coś figlarnego, ale powstrzymała się i wstała, znów stając się cesarzową.

- Niech więc tak będzie, kuzynie! Dziękuję ci za twą radę.

Powiedziała to tak wyraźnie, że Li Lien-jing usłyszał to ze swego miejsca, schował książkę za pazuchę i podszedł, aby odprowadzić Wielkiego Radcę. Jung Lu skłonił się do ziemi, cesarzowa matka skinęła głową i znów się rozstali.

Tymczasem naczelnny eunuch nadal się niepokoił. Swą pozycję przywykł uważać za tak bezpieczną i pewną jak sam tron. Cesarzowie przychodzili i odchodzili, ale eunuchowie pozostawali, a nad wszystkimi eunuchami stał naczelnny eunuch. Jednak cesarzowa matka potrafiła się rozgniewać nawet na niego! Był wstrząśnięty, nie czuł się pewnie i marzył, by na jakiś czas uciec za mury Zakazanego Miasta, w którym spędził swe życie.

„Cały czas żyłem tutaj - mówił do siebie - i nie widziałem niczego poza tym miastem”. Przypomniawszy sobie stare, zapomniane marzenie i udał się z nim do cesarzowej matki.

- Wasza Wysokość - powiedział - wiem, że to niezgodne z przepisami dworskimi, by eunuch opuszczał stolicę. Jednak przez wszystkie te lata moim ukrytym marzeniem było żeglować Wielkim Kanałem na południe i oglądać cuda naszej ziemi. Błagam, byś pozwoliła mi na tę wielką przyjemność. Wróć z całą pewnością.

Cesarzowa matka po usłyszeniu tej prośby milczała jakiś czas. Wiedziała, że książęta, ministrowie i damy dworu krytykują ją między sobą za to, że nadmiernie wynosi eunuchów i obsypuje ich zaszczytami. Tylko raz za panowania tej dynastii eunuchowie osiągnęli aż taką pozycję i mieli takie wpływy. Było to dwieście pięćdziesiąt lat temu, kiedy panujący wówczas cesarz Fu Lin oddał w ich ręce sprawy dworu. Cesarz ów, mający słabość do ksiąg i medytacji, pragnący zostać mnichem, oszukiwany był przez owych chciwych, potężnych eunuchów, którzy stali się panami w pałacu, zarażając zepsuciem wszystko, czego się tknęli. Pewnego dnia książę Kung położył bez słowa przed cesarzową matką książkę opisującą historię panowania owego nieszczęsnego władcy. Cesarzowa przeczytała ją, a czytając

czerwieniła się z gniewu. Kiedy ją zakończyła, bez słowa oddała ją księciu Kungowi, a chociaż wpatrywała się w niego surowo, nie podniósł głowy, by spotkać się z jej spojrzeniem.

Niemniej rozmyślała nad obecną siłą eunuchów. Często korzystała z ich usług - byli jej szpiegami, a ona hojnie obdarowywała ich za każdą przyniesioną plotkę. Najszczodrzej nagradzała An Teh-haia, naczelnego eunucha, bo nie tylko był w stosunku do niej lojalny, ale był także przystojny i miał talent aktorski, a jako muzyk wiedział, jak odegnać smutek z jej duszy. Dumając tak, usprawiedliwiała się ze swej zależności od eunuchów. Mówiła sobie, że jest kobietą, a kiedy władczynią jest kobieta, nie może ufać nikomu, bo jakkolwiek mężczyźni na tronie mają swych wrogów, mają także wiernych sobie przyjaciół. A na to kobieta liczyć nie może. Potrzebowała szpiegów - musiała wiele wiedzieć, żeby rozpoczynać przeciwdziałania, zanim jeszcze wrogowie zaczęli podejrzewać, że w ogóle wie cokolwiek.

- Cóż za kłopot mi sprawiasz! - zawołała do An Teh-haia. - Jeśli pozwolę ci wyjechać, wszyscy będą mnie oskarżali o łamanie prawa i tradycji.

Westchnął smutno:

- To rzeczywiście było poświęcenie - oddać swą męskość, pozbawić się żony i dzieci. W dodatku wydaje się teraz, że do końca życia będę musiał zadowolić się murami tego jednego miasta.

Był jeszcze dostatecznie młody, by ze swym słusznym wzrostem, twarzą dumną i śmiałą uchodzić za przystojnego. Zepsucie zrobiło wprawdzie swoje i uwidoczniło się w zmysłowych liniach prostych ust, w zatartych płaszczyznach policzków, w nadmiarze tłuszczu. Głos miał jednak melodyjny, nie taki wysoki, jak głosy pozostałych eunuchów. Wysławiał się w sposób klasycznie doskonały, dobierając odpowiedni dźwięk i akcent do każdego słowa, tak że wszystko, co mówił, brzmiało jak muzyka. Do tych zalet dodał nadzwyczajną grację w ruchach i piękno gestów swych dużych dłoni.

Cesarzowa matka nie ukrywała przed sobą, że jego uroda przemawia za nim, a pamiętając jego nieustanną lojalność, nie tylko posłuszeństwo, ale także umiejętność zabawiania jej i uspokajania, uległa jego prośbie.

- Mogłabym cię wysłać na południe, do Nankinu, abyś sprawdził, jak postępują prace nad cesarskimi tkaninami. Zleciłam utkanie specjalnych materiałów dla mego syna, cesarza, na dzień jego ślubu i wstąpienia na tron, bo owa praca wymaga wiele czasu. A chociaż wysłałam dokładne instrukcje, wiem, jak łatwo o pomyłkę. Pamiętam, że za naszych przodków zdarzyło się, iż tkacze nankińscy przysłali bele żółtego aksamitu zbyt bladego, by mógł uchodzić za cesarski. Tak, jedź tam i upewnij się, że kolor żółty ma naprawdę odcień złota, a niebieski nie jest zbyt blady, wiesz bowiem, że najbardziej lubię żywe, ostre barwy.

Kiedy już cesarzowa matka podjęła tę decyzję, nie pozwoliła sobie na najmniejsze wahania, trzymając wysoko głowę w obliczu wszystkich, którzy mogliby narzekać na to, co zrobiła. W ciągu kilku dni naczelnny eunuch wyruszył w drogę z całą świtą, mieszczącą się na sześciu wielkich barkach, które płynęły pod cesarskimi chorągwiami. Tę zaś, na której przebywał on sam, kazał zaopatrzyć w cesarskie insygnia. Kiedy barki mijaly jakiegokolwiek miasto lub miasteczko położone nad Wielkim Kanałem, urzędnicy miejscy, widząc chorągwie i insygnia, śpieszyli z darami dla An Teh-haia i składali mu hołdy, jakby był cesarzem. Dumny eunuch, bardzo tym ośmielony, nie zadowalał się pieniędzmi - żądał też, by mu przyprowadzano piękne dziewczęta, bo chociaż sam był eunuchem, wykorzystywał je na swój ohydny sposób. Tak więc barki stały się siedliskiem zła, bo jego przykład zachęcał innych eunuchów do rozwiązłości.

Wieści o tym docierały na północ, do księcia Kunga, bo miejscy urzędnicy, wiedząc, że cesarzowa matka faworyzuje eunuchów, jemu przesyłali tajne memoriały. Oprócz tego eunuchowie, którzy nienawidzili An Teh-haia za jakieś dawne okrucieństwa czy niesprawiedliwość, donosili o jego obecnych postępках Sakocie, Cesarzowej Wschodniego Pałacu, która posłała prywatnie po księcia Kunga, a kiedy ten przyszedł do jej pałacu, powiedziała wzdychając:

- Nieczęsto sprzeciwiam się temu, co robi moja siostra. Jest silnym, oślepiającym słońcem, ja zaś bladym księżycem. Zawsze jednak żałowałam, że w ten sposób wyróżnia eunuchów, a szczególnie An Teh-haia.

Książę Kung wiedział, że doszły do niej pogłoski dotyczące naczelnego eunucha, powiedział więc śmiało:

- Nadszedł czas, Wasza Wysokość, by cesarzowa matka otrzymała wreszcie lekcję, której próbowałaś jej udzielić. Za twoją zgodą aresztuję tego nikczemnego An Teh-haia i każę ściąć mu głowę. Nie zdąży nawet zaprotestować, kiedy jego głowa potoczy się w kurzu.

Cesarzowa wdowa pisnęła słabo i przytknęła do ust zaciśnięte ręce.

- Nie chcę żadnego zabijania - zawahała się.

- To jedyny sposób, by pozbyć się z dworu zbyt wpływowego faworyta. Tak uczy historia - odpowiedział książę Kung. Zachowywał się spokojnie, głos miał zdecydowany. - Ponadto - kontynuował - An Teh-hai jest winien zdemoralizowania dwóch kolejnych cesarzy. Nasz zmarły cesarz został zdeprawowany, kiedy był jeszcze dzieckiem, przez tego właśnie eunucha. Teraz słyszę - ba, widzę to na własne oczy - że również młodego cesarza sprowadza na złą drogę. Wyciąga go w głupim przebraniu nocą na ulice, do burdeli i sprośnych teatrzyków.

Cesarzowa wdowa westchnęła i wyjąkała, że nie wie, co robić. Wtedy ksiązę Kung postawił śmiało pytanie.

- Jeśli przygotuję dekret, czy Wasza Wysokość przyłoży doń swą cesarską pieczęć?

Jej wątłe ciało zaczęło drżeć.

- Mam... stawić czoło mej siostrze? - spytała płaczącym głosem.

- Cóż może ci zrobić, Wasza Wysokość? - nalegał ksiązę Kung. - Cały dwór, a nawet cały naród ją potępi, jeśli spróbuje zrobić ci krzywdę.

Przekonana podpisała przygotowany przez księcia Kunga dekret, który wysłano szybko przez kuriera.

W tym czasie An Teh-hai minął Nankin i osiągnął niebiańskie miasto Hangczou. Tutaj zagarnął wielki dom bogatego kupca i zaczął egzekwować daniny od ludności, domagając się pieniędzy, kosztowności i pięknych dziewcząt. Wszyscy obywatele trzęśli się ze złości i pałali pragnieniem zemsty, ale nikt nie śmiał mu odmówić, bo miał przy sobie eunuchów i sześciuset uzbrojonych mężczyzn ochrony osobistej. Tylko naczelnny urzędnik tego miasta ośmielił się narzekać i wysłał potajemnie memoriał do księcia Kunga, w którym opisywał orgie i złe uczynki bezczelnego, przystojnego eunucha. Do tego więc urzędnika ksiązę Kung wysłał tajny dekret o karze śmierci. Ten zaś nie zwlekając zaprosił An Teh-haia na wielki bankiet, na którym - obiecywał - pojawią się najpiękniejsze dziewice tego miasta. An Teh-hai z wielką radością oczekiwał na tę ucztę. Kiedy jednak wszedł do sali balowej pałacu naczelnego urzędnika, pochwycono go i rzucono na kolana, podczas kiedy jego eunuchów i ochronę zatrzymano na dziedzińcu. Urzędnik pokazał mu dekret, oświadczając, że wyrok zostanie wykonany niezwłocznie. An Teh-hai wrzeszczał, że pod dekretem znajduje się pieczęć cesarzowej wdowy, a nie cesarzowej matki, która jest rzeczywistą władczynią i jego protektorką. Urzędnik odpowiedział jednak na to:

- Zgodnie z prawem stanowią one jedność, a ja nie wiem, która stoi wyżej.

Powiedziawszy to uniół rękę i kciuk zaciśniętej pięści skierował do dołu. Na ten znak wystąpił jego kat i jednym cięciem pałasza odrąbał głowę An Teh-haia, która spadła z takim impetem, że z rozbitej czaszki na wyłożoną kafelkami podłogę wyprysnął mózg.

Kiedy cesarzowa matka dowiedziała się, że jej faworyt i wierny sługa nie żyje, wpadła w taką wściekłość, że przez cztery dni była chora. Nie jadła i nie spała. Kipiała gniewem przeciw swej siostrze, współregentce, ale jeszcze gorętszym przeciw księciu Kungowi.

- Tylko on mógł zrobić z tej myszy lwicę! - krzyczała. Miała już nawet wydać rozkaz ścięcia księcia Kunga, tylko że Li Lien-jing przerażony tym szaleństwem udał się potajemnie do Jung Lu.

Ten bez zwłoki pojawił się w pałacu i bezceremonialnie stanął w drzwiach sypialni, gdzie cesarzowa matka leżała niespokojna na swym łożu. Przez dzielącą ich kurtynę powiedział chłodno, spokojnie, z odcieniem smutnej cierpliwości:

- Jeśli cenisz sobie swoją pozycję, nie zrobisz nic. Wstaniesz z łóżka i będziesz się zachowywać tak jak zwykle. Jest bowiem prawdą, że naczelnny eunuch był człowiekiem niezmiernie złym, a ty okazałaś mu swą łaskawość. Jest również prawdą, że złamałaś prawo i tradycję, kiedy dałaś mu pozwolenie na opuszczenie stolicy.

Usłyszała jego głos, w którym brzmiała nagana, i przez chwilę nic nie mówiła. Po czym odezwała się, jakby prosząc o jego współczucie.

- Wiesz przecież, dlaczego otaczam się eunuchami. Jestem tu samotna... jestem samotną kobietą.

Odpowiedział na to tylko dwoma słowami.

- Wasza Wysokość...

Czekała, ale dalszych słów nie było. Odszedł. Wstała w końcu i kazała się wykapać i ubrać, przyjęła także trochę pożywienia. Damy dworu milczały, żadna nie ośmieliła się odezwać, ale ona zdawała się nie zwracać uwagi na to, czy milczą, czy też mówią. Wolnym, znużonym krokiem poszła do biblioteki i przez wiele godzin czytała memoriały, które czekały na nią na stole. Kiedy dzień pracy minął, posłała po Li Lien-jinga i rzekła do niego:

- Od tego dnia jesteś naczelnym eunuchem. Ale twoje życie zależy od tego, czy będziesz mi wierny. Nikomu innemu - tylko mnie.

Nie posiadał się z radości i podnosząc głowę z podłogi, na której klęczał w hołdzie, poprzysiągł wierność.

Od tego czasu cesarzowa matka pozwoliła sobie na nienawiść w stosunku do księcia Kunga. Przyjmowała jego służbę, ale go nienawidziła i czekała na sposobną chwilę, żeby na zawsze zniszczyć jego dumę.

Mimo tych kłopotów cesarzowa matka nie zapomniała rady Jung Lu, aby szybko zaręczyć młodego cesarza. Im dłużej zastanawiała się nad tym, co powiedział jej krewny, tym bardziej jej się to podobało, a to z pewnego, jej tylko znanego powodu. Syn, który tak bardzo ją przypominał urodą i dumą serca, od dawna już ranił ją tak boleśnie, że nie potrafiła mówić o tym otwarcie nawet z nim samym. Musiała bronić się innymi sposobami, bo rozmawiając z nim, mogłaby go jedynie utwierdzić w tym, czego nie śmiała oblec w słowa. Od dzieciństwa wolał pałac Sakoty, cesarzowej wdowy, od pałacu swojej matki. Często, kiedy był małym dzieckiem, nie mogła go znaleźć w jego pałacu, a kiedy pytała, gdzie jest, eunuch



odpowiadał, że bawi się u cesarzowej wdowy. Teraz zdarzało się to jeszcze częściej - kiedy po niego posyłała lub szła go odwiedzić, on był właśnie tam.

Zbyt dumna, by okazać, że ją to rani, nigdy nie robiła mu wyrzutów, ale zastanawiała się w swym sercu, dlaczego jej syn woli cesarzową wdowę. Kochała go z dziką zachłannością, ale nie śmiała go zapytać, aby nie usłyszeć tego, czego się obawiała. Nie mogła się też upokorzyć i rozmawiać o tej głębokiej ranie z księciem Kungiem lub Jung Lu. W rzeczy samej nie musiała pytać. Wiedziała, dlaczego syn jej często chodził do drugiego pałacu i zostawał tam długo, podczas kiedy do niej przychodził tylko na wezwanie i opuszczał ją szybko. Okrucieństwo dziecka! Ona, jako matka, musiała często stawać w poprzek jego woli, aby go uczyć i przygotowywać dla przyszłości. Z surowego materiału młodości musiała ukształtować cesarza i mężczyznę, a on opierał się tej obróbce. Natomiast jego przybrana matka, współregentka, ta łagodna Sakota, nie czuła się w obowiązku zwracać mu uwagi czy pouczać go. Mógł z nią być takim, jakim był - wesołym dzieckiem, nonszalanckim chłopcem, kpiącym młodzieńcem, a ona tylko się uśmiechała. Kiedy był samowolny, mogła mu zawsze ulec, bo nie dźwigała ciężaru odpowiedzialności za niego.

Tu cesarzowa matka poczuła zazdrosny gniew. Bardzo możliwe, że Sakota kupiła mu tę wymarzoną zagraniczną kolejkę i ukryła ją w swych pokojach, gdzie potajemnie mógł się nią bawić. Czy rzeczywiście tak było? Bez wątpienia, bo tego dnia rano, po audiencji, syn aż się palił, aby ją opuścić, i starał się jak najszybciej uporać ze swymi obowiązkami. Zmusiła go jednak, by został z nią przez chwilę w bibliotece, gdzie go przeegzaminowała, aby sprawdzić, czy słuchał przedstawianych tego dnia memoriałów. Nie słuchał, a na jej wymówki wykrzyknął niegrzecznym tonem:

- Czy muszę każdego dnia pamiętać, co jacyś starcy mamrocą do mnie pod nosem?!

Jego bezczelność w stosunku do niej, jego matki, tak ją rozgniewała, że chociaż był cesarzem, wyciągnęła rękę i uderzyła go w policzek. Nic nie powiedział, nie drgnął nawet, tylko z wściekłością utkwiał w niej swe wielkie oczy, a ona zauważyła, że jego policzek czerwieni się w miejscu uderzenia. Wtedy, wciąż bez słowa, uklonił się sztywno, odwrócił się i odszedł. Bez wątpienia poszedł prosto do swej przybranej matki. Bez wątpienia Sakota uspokoiła go i pocieszyła, opowiadając mu, że jego matka zawsze miewała napady wściekłości, że kiedy były dziewczynkami i przebywały pod jednym dachem, jej również, jako słabszej, często się dostawało.

Tu cesarzowa matka nagle zaszlochała. Jeśli nie posiada serca swego syna, nie posiada niczego. Niestety, jak nikłą pociechą jest dziecko! A ona poświęciła mu wszystko, oddała mu swoje życie, uratowała dla niego państwo, utrzymała dla niego tron.

Smucąc się tak, szlochała przez chwilę. W końcu jednak otarła łzy chustką zaczepioną na diamentowym guziku jej szaty i zaczęła zastanawiać się, w jaki sposób postawić na swoim i odzyskać syna. Sakotę musi zastąpić inna kobieta, młoda i urocza żona, która potrafi urzec budzącego się w nim mężczyznę. Tak, rada Jung Lu była mądra. Zaręczy swego syna, lecz nie w obronie przed eunuchami, będącymi mężczyznami tylko w połowie, ale w obronie przed tą cichą kobietą, która matkowała łagodnie dziecku nie będącemu jej własnym.

Nie pozwolę, powiedziała sobie, by Sakota zastępowała matkę mojemu synowi. Sakota, która urodziła tylko niedorozwiniętą umysłowo córkę!

Gniew jak zwykle dodał jej energii, klasnęła w ręce, wzywając swego eunucha, którego posłała po Li Lien-jinga. Przez godzinę wydawała polecenia dotyczące przeglądu dziewcząt. Zdecydowała, kiedy i gdzie ma się odbyć i na czym mają polegać wstępne testy. Przede wszystkim należy pominąć dziewczęta spoza cesarskich klanów mandżurskich, a także dziewczęta o pospolitej twarzy i starsze od cesarza o więcej niż dwa lata. Żona starsza o rok lub dwa - tak, to jest nawet rozsądne: może wtedy doradzać i kierować mężem - ale nie więcej, musi jaśnieć świeżością i blaskiem pierwszej młodości.

Naczelnny eunuch słuchał i przytakiwał. Tak, wiedział, co lubi młody cesarz, prosił więc o sześć miesięcy, aby wszystko przygotować jak najlepiej. Cesarzowa matka nie zgodziła się jednak na czas tak długi, dała mu trzy miesiące i odprawiła go.

Podjąwszy tę dotyczącą syna decyzję, wróciła znów do absorbujących ją spraw państwowych. Były one różnej wagi - teraz największy kłopot sprawiali zachodni najeźdźcy, którzy domagali się, by ich wysłannicy mogli stawać przed Smoczym Tronem, ale odmawiali podporządkowania się prawom uprzejmości i posłuszeństwa, zgodnie z którymi powinni padać na twarz w obecności cesarza. Nieraz traciła cierpliwość, kiedy przedstawiano jej jako regentce tego typu żądania.

- Czyż możemy przyjąć emisariuszy, którzy nie klękają? Czy mamy poniżyć cesarstwo, zezwalając, by niżsi od nas stali przed nami? Nigdy nie pozwolę, by ktoś zbliżył się do Smoczego Tronu, nie okazując należnego szacunku - powiedziała stanowczo - bo zachowanie takie mogłoby stać się zachętą do buntu.

W głębi duszy była zdecydowana nie wpuścić nigdy cudzoziemców do Zakazanego Miasta. Tym bardziej że z każdym dniem stawali się przyczyną nowych kłopotów w cesarstwie. Przypomniała sobie, co opowiadał jej kiedyś wielki generał Tseng Kuo-fan o ludziach z miasta Jangczou nad rzeką Jangtsy. Powstali oni przeciw obcym księżom, niszcząc ich domy i świątynie i wyrzucając ich z miasta, bo ci nauczali, że młodzi nie powinni słuchać rodziców ani swych bogów, tylko oddawać cześć jednemu, obcemu bogu, którego chwałę

głosili. Przypomniała też sobie, jak głęboko poczuli się urażeni mieszkańcy Tientsinu, kiedy emisariusze francuscy urządzili w konsulacie swą świątynię, usuwając bogów i wyrzucając ich na kupę gnoju.

Sprawy te, które kiedyś cesarzowa matka traktowała jako błahe, nie zasługujące na dłuższe zastanowienie, były teraz dla niej oznaką największego niebezpieczeństwa, jakie zagrażało cesarstwu - mówiły o nasilającej się inwazji chrześcijan, którzy wędrowali po całym kraju, ucząc i ogłaszając swego boga jedynym prawdziwym bogiem. Chrześcijańskie kobiety wcale nie były mniej groźne od mężczyzn - nie pozostawały za furtkami swych domów, spacerowały swobodnie nawet w obecności mężczyzn i zachowywały się tak, jak się mogą zachowywać jedynie kobiety złego prowadzenia. Nigdy przedtem nie pojawili się w cesarstwie ludzie, którzy głosiliby, że ich religia jest jedną jedyną. Przez czterysta lat wyznawcy Konfucjusza, Buddy i Lao-tsy żyli razem w pokoju i wzajemnym szacunku, poważając wzajemnie swych bogów i nauki. Ale nie chrześcijanie, którzy odrzucali wszystkich bogów z wyjątkiem własnego. Wszyscy zdążyli się już przekonać, że tam, gdzie zjawiają się chrześcijanie, pojawiają się też cudzoziemscy kupcy i wojenne statki.

Pewnego dnia, kiedy do tronu dotarły tego rodzaju pogłoski, cesarzowa matka powiedziała do księcia Kunga:

- Wcześniej czy później musimy przepędzić cudzoziemców, ale najpierw musimy uwolnić się od chrześcijan.

Księżę Kung, który zawsze niepokoił się, kiedy mówiła o przepędzaniu cudzoziemców, zaczął ją ostrzegać, mówiąc:

- Wasza Wysokość, proszę, nie zapominaj, że mają oni broń, o jakiej my nie mamy nawet pojęcia. Pozwól mi ułożyć zbiór zasad, do których powinni stosować się chrześcijanie, tak by nie nękali już naszego ludu.

Zezwoliła mu na to, a on wkrótce przedstawił jej memoriał, który zawierał osiem reguł. Spotkali się w jej prywatnej sali audiencyjnej. Siedząc na tronie, przyjęła jego pokłon i dowiedziawszy się, z czym przychodzi, powiedziała:

- Dziś boli mnie głowa. Oszczędź moje oczy i przedstaw mi to, co napisałeś.

Powiedziawszy to, zamknęła oczy, aby słuchać, on zaś zaczął:

- Wasza Wysokość, po tym, jak w Tientsinie Chińczycy powstali przeciw francuskim zakonnikom, sugeruję, by chrześcijanom nie wolno było umieszczać w swoich sierocińcach innych dzieci, prócz dzieci współwyznawców.

Skinęła z aprobatą głową, nie otwierając wciąż oczu.

- Proponuję również - kontynuował księżę Kung z głową pochyloną przed cesarzową

matką - żeby chińskim kobietom nie było wolno zasiadać w cudzoziemskich świątyniach w towarzystwie mężczyzn. Jest to wbrew naszym obyczajom i tradycji.

- A przy tym wymaga tego przyzwoitość - zauważyła cesarzowa matka.

- Ponadto - mówił dalej książę Kung - proszę, aby obcy misjonarze nie wykraczali poza granice swego powołania - to jest, aby nie bronili ochrzczonych Chińczyków przed prawami naszego kraju, jeśli ci popełnią jakieś przestępstwo. Znaczy to, że cudzoziemscy księża nie będą mogli wtrącać się do spraw neofitów, jeśli ci zostaną postawieni przed sądem.

- Bardzo rozsądne - powiedziała aprobująco cesarzowa matka.

- Domagam się - kontynuował książę - aby misjonarze nie uzurpowali sobie przywilejów należnych oficjelom i emisariuszom z ich krajów.

- Oczywiście, nie powinni tego robić - zgodziła się cesarzowa matka.

- Przestępcy - mówił dalej książę Kung - nie powinni znajdować w ich kościołach ucieczki przed sprawiedliwą karą.

- Tak, sprawiedliwość nie może mieć skrepowanych rąk - stwierdziła cesarzowa matka.

- Żądania te przedstawiłem obcym poselstwu, które rezydują w naszej stolicy - powiedział książę Kung.

- Bez wątplenia są to żądania łagodne - zauważyła.

- Wasza Wysokość - odpowiedział Książę Kung z twarzą ponurą bardziej niż zwykle - z przykrością muszę powiedzieć, że cudzoziemscy posłowie nie przyjęli ich. Nalegają, by wszyscy cudzoziemcy mogli swobodnie poruszać się po kraju i robić, co im się podoba, nie podlegając krytyce ani tym bardziej aresztowaniu. Co gorsza, nie chcieli nawet przeczytać tego dokumentu, choć został im przesłany z zachowaniem wszelkich reguł grzeczności. Był tylko jeden wyjątek - odpowiedział osobiście poseł Stanów Zjednoczonych, wprowadzając nie wyrażając zgody, ale przynajmniej w grzecznej formie.

Cesarzowa matka nie potrafiła powściągnąć gniewu w obliczu tak potwornej obrazy. Szeroko rozwarła oczy, gwałtownie zacisnęła ręce i wstawszy z tronu przemierzała salę, z trudem powstrzymując ostre słowa.

Nagle zatrzymała się i odwróciła do księcia Kunga.

- Czy powiedziałaś im, że w granicach naszego państwa zbudowali cudzoziemskie państwo? Mało tego, budują wiele państw, bo każda sekta ich różnych wyznań tworzy własne prawo, nie zważając na nasze państwo i nasze prawa.

Książę Kung odpowiedział cierpliwie i ponuro:

- Wasza Wysokość, mówiłem to wszystkim rezydującym tutaj posłom.

- A czy spytałeś ich - krzyczała cesarzowa matka - jak oni by nas potraktowali, gdybyśmy przybyli do ich krajów i zachowywali się tak jak oni, gdybyśmy nie uznawali ich praw i domagali się takiej wolności, jakby wszystko należało do nas?

- Zadałem to pytanie - powiedział książę Kung.

- I jaka była ich odpowiedź?

W jej oczach płonął ogień, policzki miała purpurowe.

- Mówią, że nie można porównywać ich cywilizacji z naszą, że prawa nasze stoją niżej od ich praw, w związku z czym muszą chronić swoich obywateli.

Zazgrzytała zębami.

- Ale mieszkają tutaj, chcą tu mieszkać i nie chcą nas opuścić!

- Nie chcą, Wasza Wysokość - potwierdził książę Kung.

Zasiadła na tronie.

- Widać jasno, że nie spoczną, póki nie wezmą w posiadanie naszego kraju, tak jak wzięli w posiadanie inne: Indie, Birmę, Filipiny i Jawę oraz wyspy na morzach.

Książę Kung nic na to nie odpowiedział, bo odpowiedzieć nie mógł. Sam się obawiał, że może to być prawdą.

Uniosła głowę, twarz miała zaciętą i bladą.

- Powiadam ci, że musimy wyrzucić tych cudzoziemców!

- Ale jak? - spytał.

- Musimy znaleźć jakiś sposób! - powiedziała. - Sprawie tej poświęcę wszystkie swoje myśli i całe swoje serce, aż po kres moich dni.

Wyprostowała się sztywno. Przez długą chwilę nie powiedziała ani słowa, aż zrozumiał, że może odejść.

Od tego czasu cokolwiek cesarzowa matka robiła, bawiąc się czy pracując, zawsze miała w umyśle i sercu to jedno pytanie - jak uwolnić cesarstwo od cudzoziemców?

Jesienią, gdy młody cesarz T'ung Czy ukończył szesnasty rok życia, cesarzowa matka zdecydowała, że powinien już wybrać sobie małżonkę, a podjąwszy tę decyzję, skonsultowała ją z Wielką Radą, książętami i przedstawicielami klanów, którzy skwapliwie przyklasnęli temu zamiarowi. W dniu zaleconym przez Radę Astrologów wezwano więc sześćset pięknych dziewcząt, spośród których naczelny eunuch Li Lien-jing wybrał sto jeden, które miały przedefilować przed młodym cesarzem i jego cesarską matką.

Była jesień, dzień pełen słonecznego blasku. Pałacowe dziedzińce i tarasy płonęły chryzantemami. Cesarzowa i współregentka zasiadły w Pałacu Wiecznej Wiosny, aby

przyjrzeć się dziewczynom. Była to ulubiona sala cesarzowej matki, bo malowidła ściennie na werandach były ilustracjami do *Snu Czerwonej Komnaty*, książki, którą tak chętnie czytała; przy tym artysta namalował je tak zręcznie, że wydawało się, jakby ściany otworzyły się na widoki znajdujące się poza nimi.

W tym pięknym miejscu ustawiono centralnie trzy trony - na środkowym, najwyższym, zasiadł cesarz, a po obu jego stronach zasiadły obie regentki: matka i przybrana matka. Młody cesarz ubrany był w żółte cesarskie szaty haftowane w smoki, na głowie miał okrągły kapelusz, do którego za pomocą guza z czerwonego nefrytu przymocowano święte, pawie pióro. Siedział wyprostowany, głowę trzymał wysoko, ale matka wiedziała, że jest podniecony i zadowolony. Policzki mu pały, a jego wielkie, czarne oczy pełne były blasku. Pomyślała, że jest najpiękniejszym młodzieńcem na ziemi, i była dumna, że jest jej synem. Jednak duma walczyła w niej z miłością, bo trawiła ją zazdrość, że jedna z dziewcząt okaże się tak piękna, że zawładnie jego sercem, a jednocześnie pragnęła, aby był szczęśliwy, dostając najpiękniejszą.

Trzykrotnie zabrzmiała złota trąbka, dając znak, że przegląd zaraz się zacznie. Naczelnny eunuch przystąpił do wyczytywania imion dziewcząt, które przechodząc, miały zatrzymać się przez chwilę przed tronem, skłonić się głęboko, a potem podnieść twarz. Jedna po drugiej szły teraz na drugi koniec sali, zbyt odległe, by dało się którąś wyodrębnić z tłumu odzianego w jasne, kolorowe stroje, przystrojonego w przybrania głowy migocące i iskrzące się w porannym słońcu, które wpadało przez otwarte wielkie drzwi.

Znów z trąbek popłynęły złote dźwięki. Cesarzowa matka słysząc je nie odwróciła głowy, lecz patrząc na kwiaty na szerokim tarasie na zewnątrz sali, przypominała sobie ten dzień, kiedy - zdałoby się wieki temu, a przecież mniej niż przed dwudziestu laty - sama była jedną z dziewcząt stojących przed cesarzem.

Lecz jakaż była różnica między cesarzem a jej przystojnym synem! Jakież mróz ścisnął jej niepocieszone serce, kiedy ujrziała skurczoną postać i przezroczyście policzki cesarza! A którą z dziewcząt mogłaby nie pokochać jej syna? Zatopiła w nim swe spojrzenie, ale on zerkał ukradkiem w drugi koniec sali. Dziewczęta nadchodziły jedna po drugiej, drobnym krokiem posuwając się po gładkich kafelkach podłogi, tworząc ruchomą, migotliwą linię piękna. Oto pierwsza z nich, jej imię... niemożliwe było spamiętać ich imiona. Cesarzowa matka spoglądała na spis, który eunuch umieścił przed nią na małym stolyczku - imię, wiek, pochodzenie. Nie, ta nie! Dziewczyna przeszła, opuszczając głowę.

Przechodziły jedna za drugą, niektóre wysokie, niektóre niskie, niektóre dumne, niektóre dziecinne, niektóre w piękności swej filigranowe, niektóre po chłopięcemu

przystojne. Młody cesarz wpatrywał się w każdą z nich i nie dawał znaku. Powoli skończył się poranek, słońce wzniosło się wysoko i szerokie, lśniące pasy na podłodze zwęziły się i zniknęły. Łagodne, szare światło wypełniło salę, a na tarasach wciąż oświetlone blaskiem słońca chryzantemy jarzyły się jak ruchliwe płomienie. Ostatnia z dziewcząt przeszła późnym popołudniem i wtedy trębacz zagrał trzy zamykające nuty. Cesarzowa matka zapytała:

- Czy spodobała ci się któraś, mój synu?

Cesarz przewrócił kartki spisu, który trzymał w dłoni, i położył palec na jednym z imion.

- Ta - wskazał.

Matka zaczęła czytać opis dziewczyny.

„Aluta, lat szesnaście, córka księcia Czung Yi, jednego z pierwszych chorążych i wielkiego uczonego. Chociaż jest Mandżurem, pochodzącym z rodziny, której spisany rodowód liczy trzysta sześćdziesiąt lat, książę Czung Yi studiował chińskich klasyków i osiągnął wysoką naukową rangę Han Lin. Dziewczyna spełnia wszystkie kryteria absolutnej piękności. Wymiary ma prawidłowe, ciało zdrowe, oddech słodki. Co więcej, zna książki i uprawia sztuki piękne. Ma dobrą reputację, imię jej nie jest znane poza rodziną. Ma łagodny charakter, skłonna raczej do milczenia niż rozmowy. Wynika to z jej wrodzonej skromności”.

Cesarzowa matka przeczytała te pochlebne słowa.

- Niestety, synu - powiedziała - nie przypominam jej sobie wśród tylu innych. Każ jej znów pojawić się przed nami.

Cesarz odwrócił się do siedzącej po jego lewej stronie cesarzowej wdowy:

- Przybrana matko, czy przypominasz ją sobie?

Ku zdziwieniu wszystkich cesarzowa wdowa odpowiedziała:

- Tak, pamiętam ją. Ma miłą, pozbawioną dumy twarz.

Cesarzowa matka była po cichu niezadowolona, że nie udało się jej to, co udało się tej drugiej, ale odpowiedziała dwornie:

- Masz o wiele lepsze ode mnie oczy, siostrze! Więc to tylko ja muszę zobaczyć tę dziewczynę powtórnie.

Mówiąc to skinęła na eunucha, który przekazał jej polecenie naczelnemu eunuchowi. Aluta wróciła na miejsce przeglądu. Cesarska trójka wpatrywała się w nią uważnie, kiedy pokonywała odległość dzielącą drzwi od tronu. Młoda, zwiewna dziewczyna szła z wdziękiem, sprawiając wrażenie, że płynie do nich z głową pochyloną i rękami ukrytymi do połowy w rękawach.

- Podejdź do mnie bliżej, dziecko - rozkazała cesarzowa matka.

Dziewczyna usłuchała wprawdzie bez nieśmiałości, ale z wielką skromnością. Cesarzowa matka wyciągnęła swą rękę, chwyciła dłoń dziewczyny i ścisnęła ją delikatnie. Była miękka, lecz mocna. Chłodna, ale nie zimna. Jej wnętrze było suche, paznokcie gładkie i czyste. Trzymając wciąż jej wąską rękę, cesarzowa matka przyjrzała się badawczo twarzy dziewczyny. Była to twarz owalna, gładko zaokrąglona, o dużych oczach i długich, prostych, czarnych rzęsach. Była blada, ale bladość ta nie miała ziemistego odcienia, odwrotnie, skóra jej błyszczała zdrowiem. Miała niezbyt duże usta, wargi delikatnie wykrojone, z głębokimi, słodkimi kącikami. Czoło szerokie - ani zbyt wysokie, ani zbyt niskie. A jej głowa osadzona była na szyi nieco dłużej, ale pełnej gracji i niezbyt szczupłej. Piękność jej leżała w doskonałych proporcjach - wszystkie części jej ciała pozostawały względem siebie we właściwym stosunku, a cała postać nie była ani wysoka, ani niska, sprawiając wrażenie smukłej, ale nie chudej.

- Czy jest to wybór odpowiedni? - cesarzowa matka zapytywała niepewnie.

Nadal wpatrywała się w dziewczynę. Czy broda nie sugeruje aby stanowczości? Wargi są miłe, ale nie dziecinne. W rzeczywistości twarz mądrzejsza jest od twarzy kogoś, kto ma tylko szesnaście lat.

- Jeśli dobrze czytam z tej twarzy - powiedziała - znamionuje ona uparty charakter. Wołałabym dziewczynę o twarzy bardziej miękkiej, nie tak szczupłej jak ta. Nawet dla pospolitego mężczyzny najlepszą żoną jest żona uległa, a małżonka cesarza powinna być uległa ponad wszystko.

Aluta stała z uniesioną głową i opuszczonymi oczami.

- Wygląda na bystrą, siostrze - odważyła się powiedzieć współregentka.

- Nie chciałabym, aby mego syna spotkało przekleństwo zbyt bystrej żony - powiedziała cesarzowa matka.

- Ale ty, matko, masz bystrości za nas wszystkich - powiedział śmiejąc się młody cesarz.

Cesarzowa matka nie mogła powstrzymać się od uśmiechu na tę ripostę, a chcąc w tym dniu okazać się dobroduszną, a nawet hojną, powiedziała:

- Dobrze, wybierz więc tę dziewczynę, synu, ale nie miej do mnie żalu, jeśli okaże się, że jest uparta.

Dziewczyna uklękła powtórnie i położyła głowę na rękach złożonych na podłodze. Trzykrotnie pochyliła głowę przed cesarzową matką, trzykrotnie przed cesarzem, od tej chwili jej panem, i trzykrotnie przed cesarzową współregentką. Następnie powstała i idąc tym samym jak wprzód płynnym, wdzięcznym krokiem, zniknęła im z oczu.



- Aluta - zadumała się cesarzowa matka. - To miłe imię... A co z konkubinami? - zwróciła się do syna. Było bowiem w zwyczaju, że cztery najpiękniejsze poza wybranką dziewczyny zostawały cesarskimi konkubinami.

- Proszę cię, matko, byś je dla mnie wybrała - odpowiedział beztrąsko cesarz.

Cesarzowa matka była z tego zadowolona, bo jeśli kiedyś zechciałyby osłabić związek syna z jego małżonką, mogłyby tak pokierować wybraną przez siebie konkubiną, która czułaby się wobec niej zobowiązana, że ta starałaby się oderwać cesarza od małżonki.

- Jutro - obiecała. - Na dziś mam już dosyć tych dziewczęcych piękności!

Mówiąc to wstała i uśmiechnęła się do syna. Dzień wyboru zakończył się.

Kiedy cesarzowa matka wybrała następnego dnia konkubiny, pozostawało tylko czekać na Radę Astrologów, aby poradziwszy się nieba i zbadawszy gwiazdy, podała szczęśliwy dzień zaślubin. Astrologowie ogłosili, że ma to nastąpić szesnastego dnia dziesiątego miesiąca roku słonecznego dokładnie o północy. Tego dnia członek Rady Astrologów, pilnując, by godzina była właściwa, szedł przed ślubną lektyką Aluty, którą niesiono za purpurowymi zasłonkami od domu jej ojca do pałacu cesarza, a w rękę trzymał grubą, czerwoną świecę, na której zaznaczone były godziny. Dokładnie o określonej godzinie - ba, o określonej minucie i sekundzie - cesarz oczekujący z dworzanami, cesarzową matką i cesarzową wdową przywitał Alutę jako pannę młodą. Z dwoma matronami podtrzymującymi ją za łokcie zstąpiła z weselnego krzesła, a dwie inne matrony (wszystkie cztery nazywano Nauczycielkami Małżeńskiego Łoża) wystąpiły, by ją przejąć i oddać cesarzowi.

Nastąpiło trzydzieści dni uroczystości z popołudniami i nocami wypełnionymi zabawą i muzyką. Ludziom w całym kraju zabroniono pracować i kłopotać się, nakazano cieszyć się wolnym czasem i rozrywkami. Kiedy zakończyły się te dni, cesarz z cesarzową gotowi byli do przejęcia władzy nad narodem, ale przedtem regentki musiały zrezygnować z funkcji, którą pełniły przez całych dwanaście lat, a chociaż cesarzowa matka mówiła o sobie jako o jednej z dwóch, wszyscy wiedzieli, że była jedyną władczynią. Znowu Rada Astrologów miała wybrać szczęśliwy dzień i po przestudiowaniu gwiazd i znaków wybrała dwudziesty szósty dzień pierwszego miesiąca księżycowego. Dwudziestego trzeciego dnia tegoż miesiąca cesarzowa matka wysłała edykt opatrzony wielką pieczęcią, którą zawsze trzymała u siebie, w którym regentki prosiły cesarza, aby wstąpił na tron, one pragną bowiem zakończyć swą regencję. Na pismo to cesarz odpowiedział własnym edyktem, w którym ogłaszał, że pełen uczuć synowskich przyjmuje prośbę regentek jako rozkaz starszego pokolenia. Edykt swój zakończył w sposób następujący: „Z pełnym szacunkiem i posłuszeństwem wobec rozkazów Waszych Wysokości dwudziestego szóstego dnia pierwszego miesiąca roku księżycowego, w

dwunastym roku panowania cesarza T'ung Czy, podejmujemy osobiście wykonywanie przypisanych nam trudnych obowiązków”.

Wtedy Cesarzowa matka oznajmiła, że usuwa się, aby cieszyć się w całej pełni życiem. I tak też zrobiła, pozwalając synowi rządzić samodzielnie. Oświadczyła też, że osiągnęła swój cel, spełniając obowiązek przekazania nietkniętego cesarstwa swemu synowi, cesarzowi.

Były to dla niej dni radości i spokoju. Nie wstawiała już więcej w ciemnościach poprzedzających świt, aby przyjmować podczas audyencji tych, którzy z daleka i bliska przychodzili z apelacjami do tronu. Nie musiała już więcej zastanawiać się nad sprawami państwowymi, sprawować sądów i decydować o nagrodach lub karach.

Spała do późna, wstając, kiedy miała na to ochotę, a kiedy się budziła, leżała jeszcze przez chwilę, myśląc o nadchodzącym dniu, o pięknym, pustym dniu, w którym nie czekał na nią żaden obowiązek, prócz tego, by być sobą. Przez całe lata żyła w trosce o losy państwa, teraz budząc się, myślała o swoich piwoniach. W największym z pałacowych podwórców kazała zbudować pagórek, na którego tarasach zasadzono piwonie. Ich liście były już w pełni rozwinięte, a pączki przeistaczały się w wielkie kwiaty o kolorze różowym, szkarłatnym i białym. Każdego poranka czekała ją radość odkrywania setek nowych kwiatów, więc wstawiała chętniej niż kiedyś, kiedy śpieszyła się do sali tronowej. Tego dnia spała jak zwykle w białej bieliźnie składającej się z długich pantalonów związanych w kostkach i miękkiej, jedwabnej bluzy z szerokimi rękawami. Kiedy ją wykapano, nałożyła świeże pantalone i bluzę z różowego jedwabiu oraz krótką szatę zewnętrzną z brokatowego, niebieskiego jedwabiu, która sięgała tylko do kostek. Zamierzając bowiem spędzić dzień wśród kwiatów i ptaków, nie chciała krępować sobie ruchów długą szatą. Podczas kiedy stary eunuch układał jej włosy, przyglądała się, jak damy dworu ścielą jej obszerne łoże, nie pozwalając bowiem tknąć łóżka służącym, eunuchom ani starym kobietom, powiadając, że są zbyt brudne, że mają zepsuty oddech lub wynajdując jakiś inny powód. Tylko młode i zdrowe damy dworu mogły podchodzić do jej łoża.

Kiedy eunuch uczesał jej włosy, rozdzielając je pośrodku, splatając w warkocze i upinając z nich kok na szczycie głowy, nałożyła mandzurski stroik, który umocowała na głowie długimi szpilkami wbitymi w kok. Cesarzowa matka sama przyozdabiała stroik swymi ulubionymi, świeżymi kwiatami, a dziś wybrała dopiero co zerwane, wonne orchidee. Kiedy przybranie głowy było gotowe, znów umyła twarz, tym razem sama, wcierając w swą kremowo-białą skórę pianę perfumowanego mydła, którą następnie zmywała gorącą wodą. Potem natarła twarz balsamem z miodu, oślego mleka i wyciągu ze skórki pomarańczy. Kiedy

balsam się wchłonał, posypała twarz blad różowym pudrem, bardzo drobnym, delikatnym i pachnącym.

Pozostał jeszcze wybór biżuterii. W tym celu posyłała zwykle po swoje spisy i czytała potem głośno numer pudełka z klejnotami. Pani, której obowiązkiem było doglądanie biżuterii, wchodziła do pokoju sąsiadującego z sypialnią, w którym trzymano klejnoty. Ściany pokoju zastawione były półkami, na których stały hebanowe pudełka - zamykane na złote kluczyki i opatrzone napisem mówiącym, jakie zawierają klejnoty.

Było tych pudełek około trzech tysięcy, mieściła się w nich biżuteria, którą cesarzowa nosiła w dni powszednie. W innym pokoju, mocno zabezpieczonym kłódkami, trzymano biżuterię państwową, którą cesarzowa matka nosiła tylko podczas pełnienia cesarskich funkcji. Dzisiaj, ponieważ jej szata była niebieska, wybrała szafiry i drobne perełki, które połyskiwały w kolczykach. Zdecydowała się też na obrączki, bransolety i długi łańcuch na szyję.

Na koniec, kiedy ustroiła się już w klejnoty, musiała jeszcze wybrać chusteczkę. Było to niczym ostatnie muśnięcie pędzla wieńczące arcydzieło. Tego dnia, po namyśle, wybrała chusteczkę z białej indyjskiej gazy w niebieskie i żółte kwiaty, którą przymocowała do szaty, zawieszając ją na szafirowym guziku. Teraz była gotowa do porannego posiłku, który czekał na nią w jej pawilonie. Pod każdym daniem palił się kaganek utrzymujący odpowiednią temperaturę jedzenia. Przesuwała się od potrawy do potrawy, wybierając to i owo, aż z dwudziestu dań skompletowała lekkie śniadanie. Były to głównie słodczyce, po których przełykała nieco kleiku z prosa. Damy dworu stały w tym czasie w oddaleniu. Dopiero kiedy kończyła jeść, damy podchodziły, aby wybrać nieśmiało coś z tego, co pozostawiła, uważając, aby nie jeść z talerzy, które wybrała.

Dzisiaj cesarzowa matka była w świetnym nastroju. Nikogo nie strofowała, bawiła się z psami, czekając uprzejmie z ich karmieniem, aż pożywią się jej panie. Nie zawsze była taka wspaniałomyślna, bo kiedy gniewała się z jakiegoś powodu, psy karmiła przed damami, mówiąc, że tylko swym psom może ufać, gdyż są przyjaciółmi zawsze kochającymi i wiernymi.

Kiedy wszyscy zjedli, wyszła do ogrodu przyjrzeć się swoim piwoniom. Był to czas ptasich powrotów, więc idąc słuchała tej słodkiej, dzikiej muzyki, którą kochała. Układając odpowiednio wargi, umiała tak znakomicie odpowiadać na zew ptaków, że po chwili - kiedy stała bez ruchu pośrodku ogrodu, z damami trzymającymi w oddali psy na smyczy - spomiędzy bambusów przyleciała z trzepotem mała zięba z żółtymi piórami na piersi, którą przyzywającymi, gruchającymi dźwiękami cesarzowa matka zwabiła na swą wyciągniętą

rękę. Ptak przysiadł na niej, w połowie zaniepokojony, w połowie oczarowany, podczas kiedy twarz cesarzowej matki nabrała wyrazu tak czulego, tak urzekającego, że damy patrząc na nią były poruszone i dziwiły się, że czasami twarz ta potrafi być tak ostra i okrutna. Kiedy ptak odleciał, cesarzowa matka przyzywała damy i pouczyła je z przyjemnością:

- Spójrzcie, jak miłość i uprzejmość pokonuje strach, nawet w zwierzętach. Niech ta lekcja zapisze się w waszych sercach.

- Tak, Wasza Wysokość - szeptały, znów w zadziwieniu, bo cesarzowa potrafiła być tak zmienna: tak hojna i uprzejma, a jednocześnie, jak o tym dobrze wiedziały, tak mściwa i bezlitosna.

Był to jednak dobry dzień, jej dobry nastrój trwał i kobiety gotowe były cieszyć się wraz z nią. Był to trzeci dzień trzeciego księżycowego miesiąca i cesarzowa matka pomyślała o sztuce, którą napisała. Bo teraz, kiedy najcięższe państwowe obowiązki leżały na barkach jej syna, cieszyła się swym wolnym czasem nie tylko malując i kaligrafując, ale także pisząc sztuki. Ta kobieta, której geniusz był tak różnorodny i bogaty, mogłaby osiągnąć wielkość w każdej wybranej przez siebie dziedzinie, gdyby potrafiła wyróżnić któryś ze swych talentów. Nie potrafiła jednak określić, co kocha najbardziej, więc uprawiała wszystko po trochu, we wszystkim celując. Co do spraw państwowych, które tak ją pochłaniały, zanim na Tronie Smoka zasiadł jej syn, to mogło się wydawać, że je ignoruje lub zgoła o nich zapomniała, ale eunuchowie nadal pełnili rolę jej szpiegów i dzięki nim wiedziała o wszystkim.

Pochodzący przez godzinę po ogrodach, następnie odpocząwszy i powtórnie zjadłszy posiłek, rzekła miło do swych dam:

- Mamy dziś dobre powietrze, nie ma wiatru i słońce grzeje ciepło, przyjemnie więc będzie popatrzeć, jak nasi dworscy aktorzy grają moją sztukę *Bogini Miłosierdzia*. Co na to powiecie?

Wszystkie damy zaklaskały, ale naczelny eunuch Li Lien-jing skłonił się głęboko i powiedział:

- Wasza Wysokość, ośmielam się wyrazić obawę, że aktorzy nie opanowali jeszcze tekstu. Jest to bardzo subtelna sztuka, jej wiersze należy wypowiadać pewnie i czysto, aby nie zaprzepaścić jej wdzięku i fantazji.

Cesarzowa matka nie zgodziła się z tym.

- Aktorzy mieli czas, mieli mnóstwo czasu - stwierdziła. - Idź natychmiast i powiedz im, że kurtyna ma pójść w górę, zanim na zegarze wodnym zacznie się następny okres. Ja zmówię w tym czasie swe codzienne modlitwy.

Powiedziawszy to, przeszła z wdziękiem przez pawilon do swej prywatnej świątyni, w

której na wielkim liściu lotosu z zielonego nefrytu siedział Budda z białego nefrytu, trzymając w prawej ręce uniesiony ku górze kwiat lotosu z nefrytu różowego. Po jego prawej stronie stał wysmukły posązek Kuan Yin, a po jego lewej stronie figura Boga Długiego Życia. Cesarzowa matka stała przed Buddą. Nie klękła, lecz kiedy przesuwiała paciorki różańca z drzewa sandałowego, który wzięła z ołtarza, jej dumna głowa była pochylona.

„O mi t' o fu” - szeptała dotykając każdego, kolejnego paciorka, aż odmówiła cały święty różaniec, który składał się ze stu ośmiu modlitw. Następnie odłożyła różaniec, zapaliła pałeczkę kadzidła w popielnicy na ołtarzu i znów stanęła z pochyloną głową, kiedy wonny dym wił się w powietrzu. Zawsze pamiętała, by modlić się każdego dnia, a oddając cześć najpierw Buddzie, który był Panem Niebios, nigdy nie opuściła świątyni, nie pokłoniwszy się następnie Bogini Miłosierdzia. Otaczała ją głębokim uwielbieniem, wyobrażając sobie skrycie, że obie są siostrami - jedna jest Królową Nieba, druga Królową Ziemi. Czasem nawet zwracała się tak do niej, szepcząc o północy za zasłonami swego łóża:

„Siostrze w niebie, poradź mi w moich kłopotach. Ach, ci eunuchowie...! Ale czy masz w niebie eunuchów, siostrze? Wątpię, bo czyż w niebie potrzebni są eunuchowie? A jednak, kto służy tobie i twoim aniołom, niebiańska siostrze? Z pewnością żaden mężczyzna nie jest dostatecznie czysty, by być w pobliżu ciebie”.

Czasem, teraz zwłaszcza, kiedy miała czas, by o tym pamiętać, pytała boginię, czy kiedyś wreszcie będzie mogła przyjąć wiernego kochanka. Ba, wspomniała nawet jego imię.

„Siostrze, ty znasz mego krewnego, Jung Lu. Wiesz, że bylibyśmy mężem i żoną, gdyby nie moje przeznaczenie. Powiedz, czy będziemy mogli pobrać się w jakimś innym wcieleniu, czy też nadal będę dla niego zbyt wielka? Proszę cię, siostrze, o jedno - kiedy będę już siedziała w niebie po twojej prawicy, wynieś go tak, byśmy w końcu byli sobie równi; tak jak moja siostra, angielska królowa Wiktoria, wyniosła kiedyś swego małżonka”.

Wyszędłszy ze świątyni, prowadziła swe panie i swoje psy przez wielki dziedziniec, na którym w dwu ogromnych koszach z cedrowego drzewa rosły wiekowe pnącza purpurowej wistarii. Kwiaty były w pełnym rozkwicie, powietrze przenikała ich woń, która rozchodziła się po pawilonach i korytarzach pałacu. Cesarzowa matka przychodziła każdego dnia, by popatrzeć, jak kwitną. Nasyciwszy się kwiatami przeszła z całą trzymającą się z tyłu świtą przez korytarz, który wbudowany był w zbocze wzgórza, do swego teatru.

Teatr ten nie miał sobie równych w całym cesarstwie i, jak wierzyła, w całym świecie. Ogromny budynek z cegieł wysoki na pięć pięter otwarty był z przodu na wielki dziedziniec. Trzy górne piętra mieściły pomieszczenia na kostiumy i dekoracje, zaś dwa niższe zajmowały położone jedna nad drugą sceny. Wyższa przypominała swą konstrukcją świątynię, dzięki

temu można było na niej wystawiać sztuki o życiu bogiń i bogów, które cesarzowa matka lubiała oglądać najbardziej, ciekawa żywotów niebiańskich istot. Na samym dziedzińcu wznosiły się dwa budynki. Znajdowały się w nich pokoje gościnne i inne pomieszczenia, w których mógł odpoczywać dwór zaproszony przez cesarzową matkę. Budynki te wydzwignięto do poziomu sceny i oszklono, tak że cesarzowa matka mogła oglądać sztuki podczas wiatru i chłodu. W lecie usuwano szyby i zawieszano gazę tak cienką, że wzrok się na niej nie zatrzymywał, ale dostatecznie mocną, by chronić przed muchami i komarami. (Przede wszystkim przed muchami, bo cesarzowa matka nie znosiła much w swym otoczeniu, a jeśli któraś siadła na miseczce z jedzeniem, nie pozwalała z niej jeść nawet psom.) W budynku tym znajdowały się także trzy pokoje do jej wyłącznego użytku. Były to dwa saloniki, z których jeden służył jako biblioteka - cesarzowa mogła więc sięgnąć po książkę, jeśli sztuka była nudna, i trzeci pokój, służący jako sypialnia - cesarzowa mogła się w nim zdrzemnąć, kiedy miała na to ochotę, budząc się, kiedy sztuka stawała się żywsza.

Dziś, o popołudniowej porze, wybrała pokój gościnny, w którym zasiadła w otoczeniu swych pań, aby oglądać napisaną przez siebie sztukę. Widziała ją nie po raz pierwszy, ale nie była dotychczas zadowolona z gry aktorów i zarządziła pewne zmiany. Po kryjomu aktorzy uskarżali się, że spodziewa się po nich cudów, ale nie mieli wyjścia i robili wszystko, co mogli. Na środku sceny wznosił się teraz wielki kwiat lotosu, w którym siedziała żywa Bogini Miłosierdzia, grana przez młodego, delikatnego eunucha o twarzy tak uroczej, że wydawało się, iż jest on naprawdę dziewczyną. Kiedy bogini w środku lotosu podniosła się, po jej prawej stronie powstał chłopiec, a po lewej dziewczynka - jej pomocnicy. Dziewczynka trzymała nefrytową butelkę z wetkniętą w nią gałązką wierzbową. Było to związane z legendą, że jeśli bogini umoczy wierzbową gałązkę w nefrytovej butli, a następnie uniesie ją nad ciałem zmarłego, to powróci on do życia. Cesarzowa matka umieszczała w swych sztukach wiele motywów czarodziejskich, urzekała ją bowiem wszelkiego rodzaju magia. Z ochotą słuchała baśni opowiadanych przez stare kobiety albo wysłuchiwała legend zapamiętanych przez buddyjskich mnichów z cesarskiej świątyni. Najbardziej lubiała czarodziejskie opowieści, które przed tysiącami lat przynieśli z Indii wędrowni buddyjscy mnisi. Mówiły one o runach, świętych rymach, talizmanach i tajemniczych słowach, które, gdy się je wypowiedziało lub zaśpiewało, mogły ochronić ludzką istotę przed ciosem włóczni lub innym niebezpieczeństwem. Wbrew swej wrodzonej bystrości i nieufności wierzyła w podobne bajki, bo czuła się zbyt silna na to, by umrzeć, i zastanawiała się często, czy istnieją takie czary, które mogłyby ją uczynić nieśmiertelną. Wszystkie te cuda, nadzieje i tęsknotę za mocą sił niebieskich - te po trosze marzenia, po trosze przekonania - umieszczała w swoich

sztukach, wymagając prawie czarodziejskiej sprawności w grze. Sama przygotowywała zresztą inscenizacje - łącznie ze scenografią, projektami kurtyn, przesuwanych dekoracji i zapadni, o których nigdy nie słyszała, lecz wymyśliła je dzięki swej płodnej wyobraźni.

Kiedy sztuka skończyła się, klasnęła w ręce, bo rzeczywiście wykonanie było dobre, a sama zadowolona była z siebie jako autora. Jak zwykle, kiedy była wesoła, oświadczyła, że jest głodna, więc służący eunuchowie przyszedli zastawić stoły do następnego posiłku. Zwyczajem cesarzowej matki było jedzenie posiłku tam, gdzie się właśnie znajdowała. Czekając na wniesienie potraw, rozmawiała teraz ze swymi damami, zadając im pytania dotyczące sztuki, wypytyując, co o niej myślą, i zachęcając do wskazywania błędów, bo umysł miała zbyt otwarty, by lękać się ich sądów. Płoneła jedynie ochotą do ulepszania tego, co zrobiła. Kiedy nakryto stoły, służący eunuchowie ustawili się w dwa długie rzędy prowadzące aż do kuchni, która znajdowała się o kilka dziedzińców dalej, i z rąk do rąk przekazywali sobie z dużą szybkością półmiski z gorącymi daniami, które przyjmowało czterech najwyższych eunuchów i stawiało je na stołach. Damy stanęły teraz w oddaleniu, a cesarzowa matka wybierała sobie to, co jej najbardziej smakowało, jedząc z wyjątkowym apetytem. Będąc w świetnym nastroju, uzależniła się nad wciąż głodnymi damami - powiedziała eunuchom, że herbatę wypije w bibliotece, i oddaliła się. Towarzyszyli jej dwaj służący - jeden niósł na złotym spodeczku jej białą nefrytową filiżankę, zaopatrzoną w złotą przykrywkę, a drugi srebrną tacę z dwoma nefrytowymi czarkami. Jedną wypełniały suszone kwiaty kapryfolium, drugą płatki róży, leżały też na niej dwie pałeczki z kości słoniowej ze złotymi końcami. Kwiaty te cesarzowa matka dodawała do herbaty w proporcjach tak subtelnych, że musiała to robić sama.

Teraz, kiedy sączyła swą herbatę, poczuła, jak cień jej dawnego życia znów pada na jej głowę. Siedząc na miękkiej kanapce, posłyszała bowiem suchy kaszel przy drzwiach i rozpoznała głos naczelnego eunucha, Li Lien-jinga.

- Wejdz - rozkazała.

Wszedł i złożył pokłon.

- Dlaczego mi przeszkadzasz? - spytała cesarzowa matka. Obok niej stali eunuchowie. Li Lien-jing uniósł głowę.

- Wasza Wysokość, proszę o rozmowę na osobności.

Postawiła filiżankę i dała znak prawą ręką. Wszyscy się usunęli, a eunuch zamknął drzwi i ukląkł.

- Wstań - powiedziała do Li Lien-jinga. - Siądź tam. Cóż znowu zrobił cesarz?

Wysoki, chudy eunuch powstał, usiadł na brzegu rzeźbionego krzesła i odwrócił od

władczyni swą brzydką, pomarszczoną twarz.

- Wykradłem ten memoriał z archiwum - powiedział. - Muszę go zwrócić w ciągu godziny.

Wstał i wyciągnął spod szaty długą wąską kopertę, z której wyjął złożony papier, i klękając wręczył go oburącz swojej pani. Milczał, podczas gdy ona szybko przebiegła wzrokiem dokument. Znała charakter pisma. Należało ono do Wu K'o-tu, tego samego członka Rady Cesarskich Cenzorów, który wcześniej chciał przedstawić tronowi sprawę przyjmowania cudzoziemców, ale któremu wtedy odmówiła. Obecny memoriał adresowany był do jej syna, cesarza.

„Ja, najpokorniejszy niewolnik, przedstawiam tronowi ten tajny memoriał, aby błagać o zakończenie oficjalnego sporu i zezwolenie, by posłowie obcych rządów mogli w obliczu Smoczego Tronu stać, a nie klęczeć. Zezwolenie takie byłoby dowodem wielkoduszności i umocniłoby prestiż Ludzi Wyższych. Do tego czasu nie osiągnięto niczego, upierając się przy tradycji, co może jedynie zrazić obcych posłów”.

Cesarzowa matka czuła, jak w jej piersi wzbiera stary gniew. Więc znów jej wola zostanie poddana w wątpliwość? Jej własny syn ma powstać przeciwko niej? Jeżeli nie będzie się już czcić Tronu Smoka, jaka jeszcze utrzyma się cnota?

Czytała szybko, linijka po linijce, aż zatrzymała się na cytacie ze starożytnego mędrca: „Jak pisze Mencjusz: »Dlaczego Człowiek Wyższy miałby wdawać się w kłótnie z niższymi gatunkami ptaków i zwierząt?«,

Wykrzyknęła z pasją:

- Ten przeklęty cenzor nagina dla własnego celu nawet słowa wielkiego mędrca!

Czytała jednak dalej, by dowiedzieć się, co napisał Wu K'o-tu.

„Słyszałem, że władcy obcych nacji usuwani są przez swych poddanych jak kukielki. Czy nie dzieje się tak dlatego, że wszyscy oni są po prostu ludźmi i żaden z nich nie jest Synem Niebios? Na własne oczy widziałem obcokrajowców chodzących pieszo po ulicach Pekinu jak służący, a ich kobiety idące bezwstydnie przed nimi, a nawet niesione w lektykach. We wszystkich układach, które zawarli z nami cudzoziemcy, nie ma ani jednego słowa o czci dla rodziców i ludzi starszych ani o przestrzeganiu dziewięciu cnót. Nie ma też wzmianki o czterech zasadach, które mówią o przestrzeganiu obyczajów, o obowiązkach każdej osoby w stosunku do innych ludzi, o prawości charakteru i o poczuciu wstydu. Zamiast tego wspomina się tylko i wyłącznie o handlowych zyskach. Ludzie tacy nie wiedzą, co znaczy obowiązek i ceremonia, mądrość i dobra wiara. Mimo tego oczekujemy, by zachowywali się jak ludzie cywilizowani. Nie znają znaczenia pięciu zależności, z których na



pierwszym miejscu stoi zależność między władcą i poddanym, a jednak spodziewamy się po nich, że będą się zachowywali tak, jakby je znali. Równie dobrze moglibyśmy przyprowadzić do sali audiencyjnej świnię i psy, żądając, by padły na twarz przed Tronem Smoka. Jeśli będziemy nalegali, by tacy ludzie klęczeli, to czy podniesie to świetność tronu?

Nadto cudzoziemcy ci śmiało twierdzić, że ich groteskowi władcy, których nazywają cesarzami, stoją na równi z Jego Świętym Majestatem. Jeśli stać nas na tolerowanie takiego bezwstydu, dlaczego mamy kłopotać się tym, że ich posłowie nie chcą klękać? Co więcej, kiedy dwa lata temu rosyjscy barbarzyńcy zaatakowali nas od północnego zachodu, zajmując wielkie obszary ziemi w akcie agresji, jakiej nigdy nie znaleźliśmy, nasi mężowie stanu nie okazywali oburzenia. Dlaczego więc mówimy o upokorzeniu, kiedy cudzoziemcy nie chcą klękać przed Tronem Smoka? A czy, w rzeczy samej, potrafimy ich do tego zmusić? Czy mamy wojsko i uzbrojenie, aby ich do tego przywieść? To należy również wziąć pod uwagę. Największy mędrzec Konfucjusz, kiedy go spytano, na czym polega sztuka dobrego rządzenia, odpowiedział, że konieczne są do tego trzy rzeczy: dużo jedzenia, duża armia i zaufanie ludzi. Spytany, z czego można zrezygnować w razie konieczności, mistrz odpowiedział: „Pozbądź się najpierw żołnierzy, potem zaś żywności”. Jeśli więc rząd nasz nie jest zdolny nagiąć cudzoziemców do swej woli, lepiej, żeby zademonstrował raczej hojność, niż wzbudzał wątpliwości wśród ludzi.

Wydaje się więc, że tron powinien wydać dekret zwalniający zagranicznych posłów z obowiązku przestrzegania dworskich zasad ceremonii. A jeśli w przyszłości cudzoziemcy zachowają się z powodu swej niewiedzy obraźliwie, zachowania takiego powinno się nie dostrzegać, bo z tymi ludźmi nie warto dyskutować. Jednocześnie należy wyjaśnić i cudzoziemcom, i ludowi, że dekret ten nie jest w żadnym razie precedensem, lecz tylko aktem łaski. Zajmijmy się budową naszej siły, zyskując na czasie.

Ja, autor tego bezwartościowego memoriału, jestem jedynie ciemnym mieszkańcem dzikiego i odległego regionu i nie wiem nic o sprawach państwowych. Ten wielce zuchwały memoriał z niebacznymi wypowiedziami przedstawiam świadom tego, że czyniąc to ryzykuję głową”.

Do gniewu, który budziła w niej zawsze bezczelność cudzoziemskich posłów, dołączył teraz gniew wzbudzony radą udzieloną przez cenzora. Cesarzowa matka miała wielką ochotę podrzeć ów memoriał na tysiąc strzępów i wyrzucić je na zatrącenie, ale była zbyt rozsądna, by ulec temu pragnieniu. Ów Wu K'o-tu był człowiekiem mądrym, starym i wielkiego honoru. Nie tylko uczył obowiązków i przestrzegania obyczajów, lecz przede wszystkim praktykował je, nie zwalniając się z żadnego, choćby okazał się najcięższym.

Kiedy dwór uciekł do Żecholu, a stolicę zagarnęli cudzoziemcy, Wu K'o-tu pozostał w mieście przy swej starej, śmiertelnie chorej matce. Ryzykując życiem, pozostał u jej boku, zamawiając jednocześnie najlepszą trumnę, jaką można było wykonać w tak trudnych okolicznościach. Kiedy umarła, zamknął jej oczy i dopilnował, aby ułożono ją wygodnie w trumnie. Nawet wtedy nie chciał jej opuścić, ale zapłaciwszy wiele pieniędzy, wynajął wóz i towarzyszył jej do znajdującej się w innym mieście świątyni, w której mogła leżeć spokojnie i bezpiecznie do czasu, kiedy mógł się odbyć jej pogrzeb.

Cesarzowa matka wiedziała, że taka cnota jest rzeczą bardzo rzadką, powstrzymała więc gniew i złożony memoriał, zwróciła go naczelnemu eunuchowi.

- Umieść ten memoriał tam, gdzie go znalazłeś - powiedziała, a nie śmiać zdradzić mu swych myśli, kazała mu odejść.

Jednak przyjemny nastrój zniknął. Tego dnia nie mogła już cieszyć się teatrem. Aktorzy grali nadal, ale ona siedziała zadumana i nie podnosiła głowy, aby zobaczyć, co robią, ani nie słuchała najbardziej uwodzicielskich pieśni. W środku ostatniej sceny (był to wspaniały popis, wszystkich aktorów, którzy przebrani za istoty niebiańskie śpiewali wokół Królowej Niebios, otoczonej przez żywe małe małpki wytresowane do roli diabłów ulegających jej dobrej sile) cesarzowa matka wstała bez słowa i wyszła tak szybko, że oczarowane sztuką damy dworu nie spostrzegły tego i dopiero po chwili zorientowały się, że jej nie ma. Pośpieszyły za nią w pomieszczeniu, ale władczy ruchem powstrzymała je i sama powróciła do pałacu. Przemówiła dopiero po to, by powtórnie wezwać Li Lien-jinga.

Naczelny eunuch, stawiając swe długie kroki, wkrótce pojawił się przed nią. Siedziała w wielkim, rzeźbionym krześle w swej bibliotece. Nie czytała jednak, siedziała nieruchoma niczym bogini. Jej twarz była blada, a oczy błyszczące i zimne.

- Poproś mego syna, by do mnie przyszedł - powiedziała, kiedy ujrzała eunucha. Głos jej był również zimny, zimny jak srebro.

Złożył pokłon i odszedł, a ona czekała. Kiedy któraś z dam otworzyła drzwi, machnęła ręką, każąc jej odejść, i drzwi znów się zamknęły.

Mijały minuty, a naczelny eunuch nie wracał. Minuty zamieniły się w godzinę, a naczelnego eunucha wciąż nie było, nie było też wiadomości od cesarza. Cesarzowa matka czekała nadal, tymczasem światło popołudnia bladło w podwórzach i do obszernej biblioteki zaczynał wkradać się półmrok. Wciąż czekała. Służący eunuch wszedł bezszelestnie, aby zapalić świece w wiszących lampach. Milcząc pozwoliła mu to robić i nie odezwała się, póki ostatnia świeca nie została zapalona.

Wtedy powiedziała swym srebrnym, zimnym głosem:

- Gdzie jest naczelny eunuch?

- Wasza Wysokość - odpowiedział służący kłaniając się - jest na zewnątrz w pawilonie przeznaczonym dla oczekujących.

- Dlaczego nie wchodzi? - spytała.

- Boi się, Wasza Wysokość - głos eunucha zadrżał.

- Przyślij go do mnie - rozkazała.

Po chwili oczekiwania wszedł Li Lien-jing, skradając się niczym długi cień z ciemniejącego ogrodu. Rzucił się przed nią na podłogę.

- Gdzie jest mój syn? - spytała zdawałoby się bez gniewu, ale głosem zimnym jak sopel lodu.

- Wasza Wysokość, nie śmiem... - zająknął się i zamilkł.

- Nie śmiesz przekazać mi jego odpowiedzi? - spytała.

- Wasza Wysokość, cesarz powiedział, że jest niedysponowany. - Głos eunucha tłumili jego wielkie jak talerze dłonie, którymi zasłonił twarz.

- A czy jest niedysponowany? - Usiłowała nadać temu pytaniu ton niedbały.

- Wasza Wysokość... Wasza Wysokość...

- Nie jest niedysponowany - powiedziała.

Wstała. Była opanowana i jak zawsze pełna wdzięku.

- Jeśli on do mnie nie przychodzi, ja muszę pójść do niego - oświadczyła i wyszła z sali tak szybko, że eunuch musiał zerwać się z kolan, by za nią nadążyć. Nie zwracała na niego uwagi, nie oglądała się do tyłu, a ponieważ wcześniej zwolniła swoje panie, nikt nie wiedział, że odeszła, z wyjątkiem naczelnego eunucha i służących, którzy stali na swych stanowiskach w pawilonach, korytarzach i przejściach. Żaden z nich nie śmiał się ruszyć, choć kiedy już przeszła, odwracali się i spoglądali na siebie. Cesarzowa matka szła bowiem jak uskrzydłona, z płonącymi, czarnymi oczami, z twarzą skierowaną prosto przed siebie. Za nią biegł prawie Li Lien-jing, który nie śmiał przystanąć, by wytłumaczyć komukolwiek, co się stało, bo nawet jego długie nogi nie mogły dotrzymać kroku tej władczej postaci w pięknych szatach o kolorze niebieskim i złotym.

Szła prosto do pałacu cesarza, a kiedy dostała się na wspaniałą dziedziniec, weszła marmurowymi schodami na marmurowy taras. Drzwi były zamknięte, ale przez okna zasłonięte jedwabną gazą sączyło się światło, więc zajrzała do środka. Syn jej siedział na wielkim, wyściełanym krześle, a nad nim stała pochylona Aluta. Młoda małżonka trzymała przy ustach cesarza grona jego ulubionych, przysyłanych z południa wczesnych wiśni, a on próbował dosięgnąć ich z głową odrzuconą do tyłu, śmiejąc się beztrudnie. Cesarzowa matka

nigdy nie słyszała, by śmiał się w ten sposób. Wokół niego stali jego eunuchowie i panie młodej cesarzowej - wszyscy rozbawieni jak dzieci.

Siłą otworzyła drzwi i stanęła jasna jak bogini w ciemnościach nocy. Światło tysiąca świec padło na jej mieniące się szaty, na przybranie głowy i na piękną, gniewną twarz. Jej długie oczy, wielkie i błyszczące, przebiegły po nich wszystkich, aż zatrzymały się na jej synu i na Alucie.

- Synu mój, słyszałam, że jesteś chory - powiedziała słodkim, okrutnym głosem. - Przyszłam zobaczyć, jak się czujesz.

Zerwał się na równe nogi, Aluta znieruchomiła jak posąg z zaciśniętymi w dłoni wiśniami.

- Widzę, że rzeczywiście jesteś bardzo chory - powiedziała cesarzowa matka, nie spuszczać oczu z twarzy syna. - Rozkażę lekarzom pałacowym, aby natychmiast cię odwiedzili.

Nie był w stanie wydobyć z siebie głosu. Wpatrywał się w matkę oczyma rzeczywiście chorymi z lęku.

- A ty, Aluto - mówiła cesarzowa matka, a każde jej słowo było zimne i czyste jak sopel lodu - dziwię się, że nie zwracasz uwagi na zdrowie swego pana. Nie powinien, będąc chorym, jeść świeżych owoców. Zaniebujesz się w swych obowiązkach w stosunku do Syna Niebios. Każę cię ukarać.

Cesarz zamknął usta i głośnie przełknął ślinę.

- Matko - wyjąkał. - Proszę cię, nie ma w tym żadnej winy Aluty. Byłem znużony... audiencja trwała cały dzień... prawie. Rzeczywiście czułem się chory.

Znów skierowała na niego swój płomienny wzrok, czując, jak palą ją jej własne oczy. Zrobiła trzy kroki do przodu.

- Na kolana - zawołała. - Czy sądzisz, że będąc cesarzem, przestałeś być moim synem?

Przez cały ten czas Aluta nie poruszyła się. Stała wyprostowana, wysoka, z dumną, delikatną twarzą i oczami nie zdradzającymi lęku. Teraz upuściła wiśnie, które zapomniała odłożyć, i chwyciła cesarza za ramię.

- Nie - zawołała cichym, miękkim głosem. - Nie będziesz klękał.

Cesarzowa matka zrobiła następne dwa kroki do przodu. Wyrzuciła przed siebie prawą rękę z palcem wskazującym skierowanym ku dołowi.

- Klękaj! - rozkazała.

Cesarz wahał się przez dłuższą chwilę. Następnie uwolnił ramię od ręki Aluty.

- To mój obowiązek - powiedział i padł na kolana.

Cesarzowa matka znów zatrzymała na nim wzrok. Zapadła cisza. Powoli opuściła rękę.

- Dobrze, że pamiętasz o swym obowiązku w stosunku do starszych. Nawet cesarz jest wobec matki tylko dzieckiem tak długo, jak ona żyje.

Uniosła głowę i rzuciła badawcze spojrzenie na eunuchów i damy.

- Odejdźcie wszyscy - zawołała. - Zostawcie mnie z moim synem.

Wysunęli się jedno po drugim, aż została tylko Aluta.

- Ty też - powiedziała nieustępliwie cesarzowa matka.

Aluta zawahała się, jej spojrzenie sposepniało, ale w końcu wyszła, stawiając cicho stopy obute w atlasowe pantofelki.

Kiedy wszyscy odeszli, cesarzowa matka zmieniła się nagle jak wiosenny dzień. Uśmiechnęła się, podeszła do syna i przeciągnęła swą pachnącą dłonią po jego policzku.

- Wstań, mój synu - powiedziała łagodnie. - Siądźmy i wspólnie się zastanówmy.

Zajęła jednak jego krzesło przypominające tron, a on usiadł na mniejszym krześle Aluty. Trząśł się, dostrzegła jego drżące wargi i niespokojne ręce.

- Nawet w pałacu należy przestrzegać pewnego porządku - powiedziała. Mówiła głosem łagodnym i przyjacielskim. - Uważałam za konieczne ustalenie hierarchii pokoleń przed eunuchami i w obecności twej małżonki. Dla mnie jest ona tylko żoną mego syna.

Nic nie odpowiedział. Wysunął tylko mimowolnie język i zwilżył zaschłe wargi.

- A zatem, mój synu - kontynuowała - powiedziano mi, że chcesz w sekrecie przeciwstawić się mej woli. Czy to prawda, że zamierzasz przyjąć zagranicznych posłów, nie żądając, by złożyli należny ci hołd?

Zebrał całą swą dumę.

- Tak mi doradzono - powiedział - nawet mój stryj, księżę Kung...

- I zrobisz to? - dopytywała się. Któż lepiej od niego wyczuwał ostrze w jej pięknym, srebrnym i groźnym głosie?

- Zrobię to - odpowiedział.

- Jestem twą matką - rzekła. - Zabraniam ci tego.

Serce jej miękło wbrew jej woli, kiedy wpatrywała się w tę młodą, przystojną twarz, w zbyt delikatne usta, w oczy wielkie i wilgotne. Odkrywała teraz, jak wtedy, kiedy był jeszcze dzieckiem, że mimo swej samowoli i uporów w postępowaniu odczuwał przed nią skryty lęk. Poczwała w swym sercu nagły skurcz smutku. Chciałaby, aby był silny, by nie bał się nawet jej, bo każdy lęk jest słabością. Jeśli czuje strach przed nią, może również lękać się Aluty.

Może jej ulegać, aż pewnego dnia jego żona stanie się od niego silniejsza. Czyż kiedyś nie chodził w sekrecie po pociechę do Sakoty? A teraz prawdopodobnie uciekał do Aluty, bo bał się swej matki. Tej, która kochała go tak, że nawet Aluta nie mogłaby sobie wyobrazić takiej miłości. Poświęciła dla niego swą kobiecość, jego los uczyniła swym losem.

Opuścił oczy pod jej badawczym spojrzeniem. Rzęsy, które rzuciły cień na jego policzki, były zbyt długie jak na mężczyznę, ale to ona mu je dała, były jak jej własne. Ach, dlaczego kobieta dając swemu synowi piękność, nie może dać mu swej siły?

Westchnęła, zagryzła brzeg wargi i zdawała się ustępować.

- Cóż może mnie obchodzić to, czy cudzoziemcy będą klęczeć przed Smoczym Tronem? Myślę tylko o tobie, mój synu.

- Ja wiem - powiedział - wiem o tym, matko. Cokolwiek robisz, robisz to dla mnie. Chciałbym i ja uczynić coś dla ciebie. Nie w sprawach państwowych, matko, ale coś, czego byś bardzo chciała. Czego byś chciała? Co sprawiłoby ci radość...? Ogród, góra zamieniona w ogród? Mógłbym kazać przynieść górę...

Wzruszyła ramionami.

- Mam ogrody i góry. - Wzruszyła ją jednak jego chęć sprawienia jej przyjemności i powiedziała powoli: - To, do czego tęsknię, nie może być przywrócone do życia.

- Powiedz mi - nalegał. Chciał znów czuć jej akceptację, wiedzieć, że nie grozi mu jej gniew.

- Po co? - odpowiedziała w zamyśleniu. - Czy potrafisz przywrócić życie popiołom?

Wiedział, co miała na myśli. Myślała o obróconym wniwecz Pałacu Letnim. Opowiadała mu dawniej często o jego pagodach i pawilonach, ogrodach i skalnych ogródkach. Ach, nigdy nie wybaczy cudzoziemcom jego zniszczenia.

- Możemy zbudować nowy Pałac Letni, matko - powiedział wolno - Tak podobny do starego, jak pozwoli ci na to twoja pamięć. Zażądam od prowincji specjalnej daniny. Nie powinniśmy brać pieniędzy ze skarbu państwa.

- Ach - powiedziała bystrze - przekupujesz mnie, abym dała spokój tobie... i twoim doradcom!

- Być może - odpowiedział. Uniósł swe proste brwi i spojrzał na nią z ukosa.

Nagle zaśmiała się.

- Ach, dobrze - powiedziała. - Dlaczego się kłopotę? Nowy pałac? Dlaczego nie?

Wstała, on wstał także. Podnosząc do góry ręce, znów pogładziła go po policzkach swymi miękkimi, pachnącymi dłońmi i odeszła. Li Lien-jing oderwał się z cienia i poszedł za nią.

Nie ma końca troskom, które przynoszą dzieci swym rodzicom, czy to w lepiankach, czy w pałacach. Cesarzowa matka, odwiedzana często przez Li Lien-jinga, jej głównego szpiega, dowiedziała się wkrótce, że cesarz skłamał jej, mówiąc, że książe Kung radził, aby przyjął zagranicznych posłów nie wymagając hołdu. W rzeczywistości książe Kung przypomniał cesarzowi, że jego przodkowie odmawiali cudzoziemcom przywileju, którego nie udzielali własnym obywatelom. Tak więc w czasach cesarza Cz'ien-Lunga zażądano, aby angielski lord, Macartney skłonił się do ziemi przed Smoczym Tronem, aczkolwiek w rewanżu mandżurski książe musiał skłonić się w ten sam sposób przed obrazem angielskiego monarchy, króla Jerzego. Książe Kung starał się grać na zwłokę, śląc odpowiedzi na nalegania zagranicznych posłów, którzy chcieli być przyjęci u dworu. Wymawiał się chorobą ministra w Urzędzie Spraw Zagranicznych. Choroba ta ciągnęła się już cztery miesiące, kiedy sam cesarz przeciął tę grę, rozkazując, by posłowie Zachodu stawili się przed Smoczym Tronem. Udowodnił w ten sposób, że to on i tylko on okazał się zbyt łagodny i słaby.

Cesarzowa matka wysłuchiwała tych wiadomości w ogrodzie pełnym orchidei. Przeminięły wiosenne miesiące, nadeszło wczesne lato, najpiękniejsza z pór roku. Nie miała głowy do spraw państwowych. Oczarowana jasnym światłem tego dnia weszła do swej biblioteki, gdzie na zainstalowanym tam wielkim stole kreśliła plan nowego pałacu, aby dopiero potem zawezwać architektów i budowniczych, którzy wcieliliby jej marzenia w marmury i cegły. Tu przybył Li Lien-jing.

- Idź i przyprowadź mi księcia Kunga - rozkazała, wysłuchawszy jego sprawozdania. Czekaając na przyjście księcia, odłożyła niecierpliwie pędzelki.

Książe zastał ją, gdy chodziła tam i z powrotem przed drzwiami otwartymi szeroko na dziedziniec. Drzewa granatu były w pełnym rozkwicie, ich czerwone kwiaty pyszniły się pośród gęstwiny ciemnozielonych liści. Cesarzowa matka bardzo lubiła granaty, zarówno kwiaty, jak owoce. Lubiała pomarańczowoczerwony kolor kwiatów i słodko-kwaśny smak soczystego miąższu otaczającego każde z tysiąca ziarenek owocu obleczonego ciasną, zieloną skórką. Książe Kung znał jej upodobanie, więc kiedy przyszedł i złożył pokłon, najpierw mówił o granatach.

- Wasza Wysokość, twoje drzewa są istotnie piękne. Nie widziałem takich jak te. Wszystko, co znajduje się wokół ciebie, nabiera nowego blasku.

Dawno już nauczył się mówić do niej z wdziękiem i z oddaniem.

Skłoniła głowę, zadowolona jak zwykle z pochwały i gotowa do nowej wobec niego wielkoduszności, bo nie zgadzał się z wolą cesarza.

- Pomówmy tu, w podwórku - powiedziała.

Usiedli więc, ona na porcelanowym, ogrodowym siedzeniu, a on, udając wpierw, że się wzdryga, na bambusowej ławeczce.

- Nie powinnam zajmować ci czasu - zaczęła - ale słyszę, że cesarz, mój syn, chce przyjąć cudzoziemskich posłów, nie żądając od nich hołdu, a to bardzo mnie niepokoi.

- Wasza Wysokość, jest on ciekawy jak dziecko - odpowiedział książę Kung. - Nie może się doczekać zobaczenia obcych twarzy.

- Czy mężczyźni zawsze muszą być dziećmi? - zawołała. Sięgnęła ręką nad głowę, zerwała purpurowy kwiat granatu, powyrywała płatki i pozwoliła im opaść.

Nie odpowiedział na to, milczał, aż straciła cierpliwość.

- A ty, książę - wykrzyknęła - czyż mu tego nie zakazałeś? Przecież należysz do starszego pokolenia.

Książę Kung uniósł brwi.

- Wasza Wysokość, jak mogę sprzeciwić się cesarzowi, kiedy ten ma moc pozbawienia mnie głowy?

- Wiesz, że nie pozwoliłabym na to - odparła.

- Dzięki ci, pani - odpowiedział Książę Kung. - Powinnaś jednak wiedzieć, że małżonka cesarza z każdym dniem wywiera na niego coraz głębszy wpływ. Wpływ dobry, muszę przyznać, bo odciąga go od towarzystwa eunuchów i od podłych kwiatnych domów, do których zwykli go prowadzić w przebraniu.

- Któż jednak wpływa na małżonkę? - spytała ostro cesarzowa matka. - Nie pojawia się ona u mnie, chyba że obowiązek wzywają do okazania szacunku. Milczy, kiedy na nią patrzę.

- Nie wiem, Wasza Wysokość - odpowiedział.

Strzepnęła płatki z poły swej aksamitnej szaty.

- Myślę, że dobrze wiesz. To cesarzowa wdowa... moja kuzynka Sakota.

Pochylił głowę i milczał przez chwilę. Następnie rzekł pojednawczo:

- Wasza Wysokość, w każdym razie zagraniczni posłowie nie powinni zostać przyjęci w cesarskiej sali audiencyjnej.

- Z całą pewnością - zgodziła się, zmieniając, jak tego chciał, temat. Zastanawiała się przez chwilę. Promienie słońca spływały po gałęziach drzewa granatu i wyłączały jej leżące teraz spokojnie na połach szaty ręce. Nagle uśmiechnęła się.

- Mam! Niech zostaną przyjęci w Pawilonie Purpurowego Światła. Nie będą wiedzieli, że nie jest to właściwy pałac. Tak więc sami trzymać się będziemy rzeczywistości, a im damy



iluzję.

Książę, aczkolwiek niechętny, nie mógł się jednak oprzeć tej psocie. Pawilon Purpurowego Światła znajdował się bowiem po drugiej stronie Środkowego Jeziora, będącej częścią zachodniej granicy Zakazanego Miasta. W pawilonie tym cesarz, zgodnie z tradycją, przyjmował raz do roku wyłącznie posłów zewnętrznych plemion.

- Wasza Wysokość - powiedział książę Kung - jesteś tak sprytna, jak najsprytniejszy z mężczyzn. Podziwiam twą zręczność i dowcip. Rozkażę, by wszystko zorganizowano w ten właśnie sposób.

Była teraz w wyśmienitym nastroju; poruszona jego pochwałą zaprosiła go, by obejrzał jej plany nowego, letniego pałacu.

Przez godzinę przechadzał się wokół długiego, szerokiego stołu - rozciągnięty był na nim zwój, na którym rysowała swoje sny. Oglądając, słuchał jej opowieści. Dowiadywał się o rzekach wijących się między skalnymi kompozycjami i rozlewającymi się w jeziora, o górach przeniesionych z zachodnich prowincji i obsadzonych drzewami, o pałacach ze złotymi dachami, o połączonych pagodach na zboczach gór i brzegach wielkiego jeziora. Przerazenie jego było tak wielkie, że nie powiedział ani słowa, nie śmiać otworzyć ust, aby nawet mimowolnie nie zdradzić się z gniewem, jaki budziła w nim podobna rozrzutność. Mogłaby go za to skazać nawet na śmierć. W końcu zmusił się, by wycedzić przez zęby:

- Któż inny niż Wasza Wysokość potrafiłby wymyślić pałac tak majestatyczny?

Następnie poprosił o usprawiedliwienie i opuścił ją szybko. Poszedł wprost do wielkiego Radcy Jung Lu, czego cesarzowa matka domyśliła się natychmiast, kiedy tego samego dnia wieczorem, przed ogłoszeniem nocnej godziny, wszedł jej eunuch, aby powiedzieć, że Jung Lu oczekuje na audiencję.

Pochylała się właśnie nad mapą, aby cienko zakończonym pędzelkiem pociągnąć smukłe linie wysokiej pagody.

- Niech Wielki Radca wejdzie - powiedziała nie unosząc głowy. Wiedząc, że Jung Lu nie zaaprobuje tego, co robiła, kazała mu chwilę czekać za swymi plecami.

- Kto tam? - spytała po pewnym czasie.

- To ja, Wasza Wysokość.

Jego głęboki głos jak zawsze przejął jej serce dreszczem, ale udawała, że tak nie jest.

- Ach - powiedziała obojętnie - dlaczego przyszedłeś? Nie widzisz, że jestem zajęta?

- Mam ważny powód - powiedział. - Błagam, aby Wasza Wysokość wysłuchała mnie, bo nie zostało wiele czasu do zamknięcia bram.

Pamiętała o władzy, jaką miał nad nią. Na całym świecie lękała się tylko tego

mężczyzny, bo ją kochał i jej nie ulegał. A jednak nie chciała mu się poddać, uparta jak wtedy, gdy była zaręczoną z nim dziewczyną. Starła się zyskać na czasie. Zmusiła go, by czekał, kiedy kładła nefrytową przykrywkę na pojemnik z tuszem, kiedy myła pędzelek w małej miseczce z wodą, robiąc wiele zachodu z drobnymi czynnościami, które zwykle zostawiłaby służącemu eunuchowi.

W końcu podeszła wolno przez obszerną salę do swego tronowego krzesła i usiadła na nim. Podeszedł do niej i klęknął, jak tego wymagał obyczaj, a kiedy pozwalała mu tak klęczeć, jej czarne oczy były zarazem okrutne, pełne śmiechu i czułe.

- Czy bolą cię kolana? - spytała po chwili.

- Nie ma to żadnego znaczenia, Wasza Wysokość - odpowiedział spokojnie.

- Wstań - powiedziała. - To, że klęczysz przede mną, nie sprawia mi radości.

Podniósł się z godnością i stał, kiedy mierzyła go swym spojrzeniem od stóp do głów. Kiedy jej oczy spotkały się z jego oczami, nie odwróciła głowy. Byli sami i mogła spotkać jego wzrok, nie narażając się na niczyje wyrzuty. Jej eunuch stał na straży daleko z tyłu w przedsionku.

- Cóż złego zrobiłam tym razem? - Głos jej był słodki jak głos błagającego dziecka.

- Wiesz, co robisz - odpowiedział.

Wzruszyła swymi aksamitnymi ramionami.

- Nie mówiłam ci o letnim pałacu, bo wiedziałam, że i tak ktoś ci o nim powie... bez wątplenia książkę Kung. Ale nowy pałac otrzymuję w darze od mojego syna. To jego wola.

Jung Lu odpowiedział na to jak najpoważniej:

- Wiesz, że w tych czasach nie ma w skarbcu pieniędzy na nowy pałac. Ludzie już teraz obłożeni są zbyt ciężkimi podatkami. Jeśli ten pałac ma być wzniesiony, każda prowincja będzie musiała zapłacić większą daninę.

Znów wzruszyła ramionami.

- To nie muszą być pieniądze. Może to być kamień i drzewo, nefryt i rzemieślnicy. A to jest wszędzie.

- Ludziom trzeba zapłacić - powiedział.

- Nie trzeba - odpowiedziała beztrosko. - Pierwszy cesarz nie płacił wieśniakom, którzy budowali Wielki Mur. Kiedy umierali, kości ich kazał wkładać między cegły i nie trzeba było nawet pieniędzy na pochówek.

- W tamtych dniach - powiedział tym samym poważnym głosem - dynastia była silna. Ludność nie śmiała się buntować. Cesarz był Chińczykiem, nie Mandżurem, a mur miał chronić jego ludzi przed najazdami wrogów z północy. Czy sądzisz, że prowincje będą teraz

skłonne wysłać pieniądze, dobra i ludzi na budowę twojego nowego pałacu? A poza tym, czy rzeczywiście sprawiłoby ci przyjemność miejsce, którego mury wypełnione są kośćmi ludzi, którzy umarli dla twego kaprysu? Myślę, że nawet ty nie jesteś aż tak twarda.

Na całym świecie tylko on mógł doprowadzić ją do łez. Odwróciła głowę, by je ukryć.

- Nie jestem twarda... - powiedziała szeptem. - Jestem... samotna.

Sięgnęła po chusteczkę z wyszywanej w kwiaty gazy wiszącą u nefrytowego guzika przy szacie i wytarła oczy. Czowała, że niewidzialna nić, która zawsze łączyła ich ze sobą, napina się. Zapragnęła, by podszedł do niej, by jego ręka dotknęła jej dłoni.

Nie poruszył się. Głos jego był nadal poważny.

- Powinnaś była powiedzieć swemu synowi, cesarzowi, że nie wypada mu darować ci pałaców, kiedy naród udręczony jest groźbą wojny, nędzą i powodziami w środkowych prowincjach. Przypomnieć mu o tym było twoim obowiązkiem.

Odwróciła na to głowę, na długich, czarnych rzęsach zamigotały łzy, które lśniły w jej ciemnych oczach.

- Och, to cesarstwo - wykrzyknęła - zawsze nieszczęścia! - Wargi jej zadrżały, załamała ręce. - Dlaczego ty mu tego nie powiesz? - zawołała. - Jesteś dla niego ojcem...

- Sza - wycedził przez zęby. - Mówimy o władcy tego kraju.

Opuściła głowę, na różowoczerwony aksamit jej sukni padły łzy.

- Co cię dręczy? - spytał. - Masz to, czemu poświęciłaś życie. Czego chcesz więcej? Czy jest na świecie kobieta stojąca wyżej od ciebie?

Nie odpowiedziała, jej łzy nie przestawały płynąć, kiedy mówił dalej:

- Dynastia jest bezpieczna, przynajmniej dopóki ty żyjesz. Stworzyłaś cesarza, dałaś mu małżonkę. Kocha ją, a ona, młoda i kochająca, da mu dziedzica.

Uniosła głowę spoglądając ze zdumieniem.

- Czy już?

- Nie wiem - odpowiedział - ale będzie tak niewątpliwie, bo znam ich wzajemną miłość.

Spotkał jej oczy, jego wzrok był pełen współczucia.

- Kilka dni temu, nie wiedząc, że są w pobliżu, zauważyłem ich przypadkiem. Godzina była późna, szedłem do wielkiej bramy, śpiesząc się przed jej zamknięciem. Byli w Pawilonie Pomyślnych Wiatrów.

- Blisko pałacu cesarzowej wdowy... - mruknęła.

- Furtka była otwarta - ciągnął - i moje oczy podążyły tam bezmyślnie. Wtedy zobaczyłem ich w zapadającym mroku - szli jak dzieci, obejmując się wzajemnie ramionami.

Zagryzła wargi, jej krągła twarz zadrżała i do oczu znów napłynęły łzy. Na widok tej twarzy tak pięknej w smutku nie mógł się powstrzymać. Zrobił trzy kroki, następnie jeszcze dwa, zbliżając się do niej tak blisko, jak jeszcze nigdy w ciągu tych wielu lat.

- Moje serce - powiedział tak cicho, że tylko ona mogła to dosłyszeć - mają to, czego my nigdy nie mieliśmy. Pomóż im to utrzymać. Radź im dobrze. Całą swą siłę i władzę przelej na to panowanie, bo oparte jest ono na miłości.

Ale ona nie mogła już tego znieść. Zasłoniła rękami twarz i szlochała głośno.

- Ach, idź - łkała. - Zostaw mnie... zostaw mnie samą, taką, jaką byłam zawsze!

Łkała tak gwałtownie i rozdzierająco, że musiał jej usłuchać, aby nie usłyszeli jej inni i nie zaczęli się dziwić, dlaczego płacze. Zawahał się, westchnął i zrobił krok do tyłu, aby ją opuścić, jak go o to prosiła.

Płacząc, spoglądała jednak na niego ukradkiem i kiedy zauważyła, że opuszczają bez pociechy, odrzuciła ręce z twarzy w gniewie tak gorącym, że łzy jej wyschły natychmiast.

- Przypuszczam... przypuszczam... że nie kochasz teraz nikogo, z wyjątkiem swych dzieci! Ile masz dzieci z tą...

Zatrzymał się i złożył ręce.

- Troje, Wasza Wysokość - powiedział.

- Synów? - dopytywała się.

- Nie mam prawdziwych synów - odpowiedział.

Ich oczy pełne bólu i tęsknoty spotkały się ze sobą. Wtedy odszedł, a ona pozostała sama.

Pod koniec szóstego miesiąca słonecznego cesarz Tung Czy przyjął posłów z Zachodu. Cesarzowa matka wysłuchała relacji o tym wydarzeniu od spełniającego swój obowiązek Li Lien-jinga i nic nie powiedziała.

Audiencja odbyła się o godzinie szóstej, opowiadał, wkrótce po wschodzie słońca w Pawilonie Purpurowego Światła. Na wzniesionym specjalnie podium za niskim stołem siedział cesarz ze skrzyżowanymi nogami. Wpatrywał się w dziwne, białe twarze wysokich mężczyzn, posłów z Anglii, Francji, Rosji, Holandii i Stanów Zjednoczonych. Wszyscy, z wyjątkiem Rosjan, nosili proste, czarne ubrania z wełny, na nogach mieli obcisłe spodnie, a ich tułów okrywały ciasne kaftany, jakby byli robotnikami. Co ciekawe - nie nosili wcale zewnętrznych szat. Po kolei występowali do przodu ze swego miejsca w szeregu, każdy skłaniał głowę przed cesarzem, ale żaden z nich nie klęknął i nie bił czołem przed cesarskim majestatem. Stojąc podawali księciu Kungowi pisma, które ten głośno odczytywał. Wszystkie

były napisane po chińsku i nie różniły się między sobą treścią. Każde z nich zawierało pozdrowienia dla cesarza w związku z jego wstąpieniem na tron oraz życzenia pomyślnego, pokojowego panowania.

Cesarz musiał odpowiedzieć każdemu w podobny sposób. Księżę Kung wchodził na podium, a następnie niezmiernie ceremonialnie padał na kolana, a jego cesarski bratanek wręczał mu wcześniej przygotowane pisma. Po zejściu z podium księżę za każdym razem bardzo uważał, aby w obecności tych cudzoziemców przestrzegać wszystkich reguł zachowania, ustalonych przed wiekami przez mędrca Konfucjusza. Gorliwie spełniał swój obowiązek, rozpościerał ramiona jak skrzydła, szaty jego fruwały, twarz miał zatroskaną, ukazując tym przejęcie, z jakim służy swemu władcy. Każdemu zagranicznemu posłowi wręczał cesarskie pismo. A oni kładli listy uwierzytelniające na przyszykowanym stole i usuwali się tyłem sprzed oblicza cesarza, myśląc bez wątpienia z zadowoleniem, że postawili na swoim, nieświadomi, że przebywają nie w pałacu, lecz zwykłym pawilonie.

Cesarzowa matka słuchała o tym w milczeniu, z ustami skrzywionymi, z pogardliwym wyrazem oczu, a serce twardniało w jej piersi. Czyż jej syn śmiałby oprzeć się jej woli - choćby tylko w takim stopniu - gdyby nie umocniła go Aluta, z którą teraz liczył się bardziej niż z własną matką? Myślała o nich obojgu, o tym, jak obejmowali się ramionami, co widział Jung Lu, i jej serce, znów zranione, stwardniało jeszcze bardziej. Dlaczegoż by i ona nie miała mieć tego, czego pragnie? Będzie miała swój letni pałac i uczyni go wspaniałym, bo jej syn kocha Alutę.

Nagle niczym strzała przeszła ją straszna myśl. Jeśli Aluta urodzi syna, a Jung Lu powiedział, że urodzi go bez wątpienia, bo z wielkiej miłości zawsze rodzą się synowie, wtedy ona, Aluta, będzie cesarzową matką!

- Och, ja głupia - wymamrotała. - Jak mogłam nie domyślić się, że Aluta naprawdę chce mnie usunąć? Kimże wtedy będę? Tylko starą kobietą zamieszkałą w pałacu.

- Precz mi z oczu! - krzyknęła do eunucha.

Posłuchał natychmiast, w jego uszach jeszcze długo dźwięczał ten krzyk, a ona siedziała jak posąg, znów knując w swej samotności, jak utrzymać władzę.

Musi więc zniszczyć tę miłość, o której ochronę prosił ją Jung Lu. Ale jak to zrobić?

Przypomniała sobie nagle o czterech konkubinach, które wybrała dla cesarza w dniu jego ślubu. Mieszkały teraz razem w Pałacu Zebranego Wykwintu, czekając na wezwanie. Jednak żadna z nich nie została jeszcze wezwana i małe było prawdopodobieństwo, że to kiedykolwiek nastąpi, bo Aluta zawładnęła sercem cesarza. Jedna z tych konkubin, jak sobie teraz przypominała cesarzowa matka, była bardzo piękna. Trzy z nich wybrała ze względu na

urodzenie i rozsądek, ale czwarta była tak ładna, że nawet ją oczarowała jej świeża, promienna młodość. Dlaczego nie miałyby zgromadzić wokół siebie tych młodziutkich konkubin? Zrobi to, będzie je sama pouczała i jakoś wprowadzi w otoczenie cesarza pod pozorem, że należy mu się odmiana, gdyż Aluta jest zbyt poważna, że zbyt wielkim zapalem zmusza go do pracy dla dobra państwa, słowem - jest osobą o zbyt twardym sumieniu dla mężczyzny tak młodego i lubiącego przyjemności. Czwarta konkubina nie imponowała wysokim urodzeniem. W rzeczywistości pochodziła z rodu zbyt niskiego jak na konkubinę i tylko jej wielka piękność była powodem, że książęta i ministrowie umieścili ją pośród mandzurskich dziewic. Piękność tę można wykorzystać. Dziewczyna mogłaby znów zwabić cesarza do jego dawnych spelunek poza murami pałacu. Aluta utraciłaby go wówczas.

Rozważając w myślach ten pomysł, cesarzowa matka przez cały czas wiedziała, że robi źle, ale zdecydowana była to uczynić. Czyż nie była sama na całym świecie? Nikt nie śmiał jej kochać, jej jedyną bronią był strach. A jeśli nikt nie będzie się jej bał, stanie się w pałacu jedynie starą kobietą okrytą czarnym welonem lat, kryjącą swój umysł i serce pod zniszczonym ciałem. Teraz, kiedy jest jeszcze piękna, jeszcze silna, musi ratować się przed śmiercią za życia - jeśli będzie trzeba, znów zdobędzie tron.

Pamięć prowadziła ją wolno wstecz, przez wszystkie lata. Znów zobaczyła siebie jako małą dziewczynkę, pracującą zawsze ponad siły w wielkim domowym gospodarstwie swego stryja Muyangi, w którym jej matka była tylko owdowiałą szwagierką, a ona sama niczym więcej niż posługującą dziewczyną. Gdziekolwiek się ruszyła, zawsze dźwigała na plecach młodszą siostrę lub brata, i nie wcześniej mogła swobodnie biegać i bawić się, niż one nauczyły się chodzić samodzielnie. Wtedy jednak - jako że była szybka i bystra - musiała pomagać w kuchni i w pokojach. Prawie nie wypuszczała miotły z rąk, chyba że kazano jej gotować lub iść na targowisko i targować się o ryby lub ptactwo. W nocy zasypiała natychmiast po wczłganiu się do łóżka, które dzieliła ze swą siostrą. Nawet Jung Lu nie mógł ulżyć jej w dźwiganiu codziennych ciężarów, bo był chłopcem, który wyrastał na mężczyznę, i nic nie mógł dla niej zrobić. Gdyby za niego wyszła, nadal byłby gwardzistą, a ona w jego domu nadal pracowałaby w kuchni i podwórzu, rodząc dzieci, kłócąc się ze służącym i niewolnikiem, uważając na drobne kradzieże. O ileż więcej dobrego zrobiła dla swego ukochanego zostając jego władczynią miast żoną! Nie był jej jednak za to wdzięczny, a swej władzy używał tylko po to, by ją ganić.

A jej syn, który powinien zawsze ją kochać - zarówno z wdzięczności, jak i z obowiązku, bardziej od swej matki kochał swoją żonę. Nie mogła zapomnieć, że nawet swą przyszywaną matkę, Sakotę, kochał bardziej od niej, od własnej matki. A przecież spędziła

tyłe nużących godzin z tamtym, dziecinnym cesarzem, który nigdy nie był dla niej mężem, tylko dlatego, że pragnęła zdobyć tron dla niego, dla syna. Och, te nużące godziny! Przypominała sobie jego bladą, żółtą twarz i gorące, chore ręce zawsze gmerające przy jej ciele, i znów zrobiło się jej mdło.

A jak nieustępliwie broniła tronu podczas tych dwunastu lat regencji, aby synowi jej, kiedy zostanie cesarzem, oszczędzone było niebezpieczeństwo buntu i podboju! To ona, tylko ona stawiała czoło białym ludziom i zmusiła do płacenia danin nawet dzikie plemiona mongolskie. Ona stłumiła powstanie muzułmanów w prowincji Junnan i Szen-kan. Syn jej panował teraz bezpiecznie, w pokoju, ale chociaż znał jej mądrość, nie przychodził do niej po radę.

Myśli takie napełniły jej umysł ciemną, samotną siłą. Krew napływała żywiej do serca i cała jej istota powstawała do walki przeciw jej obecnemu losowi. Była tak zraniona, tak obolała i tak przytłoczona nieszczęściem, że zupełnie zapomniała o miłości i całą mocą swej żelaznej woli postanowiła przebić sobie drogę do władzy.

Była jednak zbyt sprawiedliwa z natury, by ulegać tylko zemście, musiała więc znaleźć inny powód dla przejęcia władzy. Kiedy rok temu syn jej rozpoczął panowanie, w cesarstwie po raz pierwszy od wielu, wielu lat panował pokój. Teraz pojawiły się nagle nowe kłopoty. Na daleką wyspę Tajwan, zamieszkałą przez dzikie plemiona, trafiło przypadkiem kilku marynarzy rozbitków. Dzicy, ujrawszy obcych, rzucili się na nich. Wszyscy rozbitkowie zginęli. Byli to żeglarze japońscy, więc kiedy cesarz Japonii dowiedział się o zamordowaniu swych poddanych, wysłał na wyspę statki wojenne pełne żołnierzy. Ci zagarnęli wyspę w jego imieniu, zajmując przy okazji i inne, pobliskie wysepki. Kiedy książe Kung, który stał na czele Ministerstwa Spraw Zagranicznych, zaprotestował przeciw tej inwazji, cesarz japoński ogłosił, że wypowie wojnę Chinom.

To nie było wszystko. Przez piętnaście stuleci cesarze Chin trzymali zwierzchnictwo nad wewnętrzną krainą Annamu, a ludzie tamtejsi wdzięczni byli za obronę, która dawała wolność ich władcom i zabezpieczała przed łupieżcami, bo Cesarstwo Chińskie było tak potężne, że nikt nie ośmielał się atakować jego lenników. Nikt prócz białych ludzi! Przez ostatnie sto lat do Annamu powoli przenikali Francuzi, którzy w ciągu ostatnich dwudziestu lat tak się tam umocnili przy pomocy kupców i kleru, że Francja zmusiła króla Annamu do podpisania traktatu, w którym zrzekał się on zwierzchności nad północno-wschodnią prowincją Tonkin. Odtąd wszystkie wyrzutki, bandyci i wyjęci spod prawa mogli bez przeszkód pojawiać się tam, aby czynić swą brudną robotę.

Cesarzowa matka wiedziała już o tym od dawna, ale uważała, że sprawy te jej nie

dotyczą, i wolała zajmować się nowym pałacem. Teraz nagle zdecydowała, że sprawy te dotyczą również i jej. Oświadczyła, że syn jej nie zrobił nic, że księżęta oddają się gnuśnej beczynności, że o ile nie skończy się ta apatia, cesarstwo upadnie, zanim jeszcze ona zakończy życie. Dlatego też jej oczywistym obowiązkiem jest wzięcie władzy w swoje ręce.

Pewnego letniego dnia rozkazała więc, by przybyły do niej cesarskie konkubiny. Pojawiły się w jej pałacu podekscytowane jak wypuszczone z klatek ptaki. Straciły już nadzieję, że cesarz wezwie je kiedyś, ale teraz znów ta nadzieja odżyła, więc w uwielbieniu otaczały cesarzową matkę, jak anioły otaczające boginię. Cesarzowa matka nie mogła oprzeć się uśmiechowi radości na widok ich oddania, choć wiedziała bardzo dobrze, że to nie ją kochają, ale siebie i swoją nadzieję. Tylko ona, cesarzowa, mogła je wprowadzić do sypialni cesarza. Współczuła im i dając znak, by podeszły bliżej, powiedziała:

- Moje ptaszyny, zdajecie sobie sprawę, że nie mogę wysłać do cesarza wszystkich jednocześnie. Małżonka byłaby zła i kazałaby wam odejść. Pozwólcie więc, że wybierzemy spośród was tę, która pójdzie pierwsza, a rozsądek nakazuje, by pierwszą była najładniejsza.

Polubiła natychmiast te cztery zgromadzone wokół niej dziewczyny. Sama była taką młodą dziewczyną, kiedy przybyła tu po raz pierwszy, aby mieszkać za murami pałacu. Spoglądała kolejno na ich twarze o błyszczących oczach, które wpatrywały się w nią z ufnością i nadzieją, i nie miała serca zranić którejkolwiek z nich.

- Jak mam wybrać tę najpiękniejszą? - spytała. - Same musicie ją wybrać spośród siebie.

Cztery młode głosy połączyły się we wspólnym śmiechu.

- Czcigodna matko - wykrzyknęła najwyższa z nich, najmniej ładna - jak możesz udawać, że nie wiesz? Jaśmina jest najpiękniejsza.

Wszyscy obrócili się, by spojrzeć na Jaśminę, która zaczerwieniła się, potrząsnęła głową i zakryła twarz chusteczką.

- To ty jesteś tą najpiękniejszą? - spytała cesarzowa matka, uśmiechając się figlarnie. Cieszyła ją obecność młodych istot - zarówno ludzi, jak i zwierząt.

W odpowiedzi Jaśmina potrząsnęła tylko głową i zawstydzona zakryła twarz rękami. Stojące obok niej dziewczęta wybuchnęły głośnym śmiechem.

- No, no - powiedziała w końcu cesarzowa matka. - Odsłoń swą buzię, dziecko, abym sama mogła się tobie przyjrzeć.

Dziewczęta chwyciły ręce Jaśminy i cesarzowa matka spojrzała uważnie na zawstydzoną, zaróżowioną twarz. Była to twarz nie tyle nieśmiała, co figlarna, a może tylko wesoła. Nie była to także twarz łagodna. Rys zuchwałości krył się w jej pełnych, wygiętych



ustach, w wielkich oczach, lekko wypukłych nozdrzach małego, lekko zadartego nosa. Aluta podobna była do swego ojca, dawnego asystenta cesarskiego nauczyciela. Był on mężem o delikatnej, przystojnej twarzy i cieszył się dobrą sławą. Przy kobiecie takiej jak Aluta Jaśmina mogła być tylko tłem. W przeciwieństwie do smukłej, pełnej wdzięku Aluty, wysokiej jak na kobietę, Jaśmina była mała i pulchna, a jej największą zaletą była piękna cera przypominająca cerę niemowlęcia - bez najmniejszej skazy, gładka i nieskazitelnie biała, jeśli nie liczyć czerwieni warg i zaróżowionych policzków.

Dobry nastrój cesarzowej matki nagle prysnął. Dała znak ręką, by konkubiny odeszły, i ziewnęła, przykrywając usta upierścienioną ręką.

- Przyślę po ciebie, kiedy nadejdzie ten dzień - zwróciła się z pewną niedbałością do Jaśminy i konkubiny mogły już tylko odejść, przytrzymując haftowane rękawy swych szat podobne do kolorowych skrzydeł.

Potem należało jeszcze dopilnować, aby naczelny eunuch wypytał kobietę Aluty o dni, w których cesarska małżonka nie może wchodzić do sypialni swego pana. Miały one nadejść za siedem dni, więc cesarzowa matka posłała słowo do Jaśminy, by ósmego dnia była gotowa na wezwanie. Rozkazała, by włożyła brzoskwinoworóżową szatę i nie używała perfum, bo perfumy wybierze dla niej sama z własnych zapasów.

W oznaczonym dniu Jaśmina pojawiła się tak właśnie ubrana, a cesarzowa matka przyjrzała się jej uważnie od stóp do głów. Najpierw rozkazała, by zdjęto z niej małe, tanie klejnoty.

- Przynieście mi z mojego pokoju z biżuterią pudełko oznaczone numerem trzydzieści dwa - powiedziała do swoich dam, a kiedy pudełko zostało przyniesione, wyjęła z niego dwa kwiaty w kształcie piwonii uformowane z rubinów i pereł i dała je Jaśminie, aby przypięła je nad uszami. Dała jej również bransolety i pierścionki, tak że dziewczyna nie posiadała się z zachwytu, przygryzając swe purpurowe wargi i strzelając z radości czarnymi oczami.

Następnie cesarzowa matka zawołała o ciężkie, piżmowe perfumy i kazała Jaśminie wetrzeć je w dłonie, pod brodę, za uszami oraz między piersiami i łędźwiami.

- Całkiem dobrze - powiedziała cesarzowa matka, kiedy zrobiono już wszystko. - A teraz pójdiesz ze mną i z moimi paniami. Idziemy do mego syna, do cesarza.

W chwili gdy wymawiała te słowa, przyszło jej do głowy, że nie powinny iść do pałacu cesarza. Aluta dowie się o jej obecności, bo bez wątpienia ma swych szpiegów, i znajdzie jakiś pretekst, by pokłonić się cesarzowej matce. Nie będzie jednak śmiała przyjść nie zaproszona tutaj, do jej własnego pałacu.

- Stójcie... - cesarzowa matka wyciągnęła rękę. - Wiem, że mój syn jest dziś samotny,

więc zaproszę go tutaj. Rozkażę kucharzom, by przygotowali ulubione potrawy cesarza. Syn będzie biesiadował ze mną. Dzień jest jasny. Niech stoły staną pod drzewami na dziedzińcu, niech przyjdą dworscy muzycy, a kiedy skończymy jeść, dworscy aktorzy zabawią nas jakąś sztuką.

Rzucała swe rozkazy jeden po drugim, w powietrze, podczas kiedy eunuchowie biegali je spełniać, a damy krzętały się wokoło.

- A ty, Jaśmino - powiedziała następnie - będziesz stała przy mnie i zajmowała się moją herbatą. Nie mów nic, póki ci nie każę.

- Tak, Czcigodna - powiedziała dziewczyna z wyrazem ożywienia w wielkich oczach i ciemnym rumieńcem na policzkach.

Nadeszła wreszcie chwila, kiedy po godzinie dźwięk rogów obwieścił nadejście orszaku cesarza, i zaraz po tym jego lektyka pojawiła się na wielkim zamkowym dziedzińcu, gdzie eunuchowie zajęci byli właśnie przygotowaniem stołów, a muzycy swymi instrumentami.

Cesarzowa matka siedziała na swym małym tronie w prywatnej sali audiencyjnej, a obok niej stała Jaśmina, z głową opuszczoną, bawiąc się wachlarzem. Za nimi stały półkołem damy.

Cesarz w błękitnej szacie haftowanej w złote smoki, w kapeluszu ozdobionym kitą, dzierżąc kawałek nefrytu dla ochłody dłoni, wszedł do środka i skłonił głowę, ale bez głębokiego pokłonu, bo to on był władcą. Cesarzowa przyjęła to powitanie, lecz nie wstała. Miało to symboliczne znaczenie, bo wszyscy powinni wstawać przed cesarzem, i damy spoglądały na siebie wzajemnie, pytając, dlaczego cesarzowa matka siedzi. Jednak cesarz zdawał się tego nie zauważać i zasiadł na małym tronie po prawej ręce swej matki, natomiast jego eunuchowie i gwardziści wycofali się do zewnętrznych pomieszczeń.

- Słyszałam, że jesteś dziś samotny, mój synu - powiedziała cesarzowa matka - i by obronić cię przed melancholią, zanim powróci twoja małżonka, pomyślałam, że zatrzymam cię tu przez chwilę. Słońce nie jest tak gorące, byśmy nie mogli biesiadować pod drzewami na dziedzińcu, a muzycy rozerwą nas w czasie jedzenia. Wybierz, synu, sztukę, którą odegrają dla nas potem aktorzy, aby nas zabawić. A później zajdzie słońce i tak minie jeden dzień.

Mówiła to głosem słodkim, pełnym miłości, spoglądając na niego ciepłym spojrzeniem wielkich oczu i wyciągając swą piękną dłoń, by dotknąć jego spoczywającej na kolanach ręki.

Cesarz uśmiechał się i, jak to każdy mógł zauważyć, był zdumiony, bo jego cesarska matka od dawna nie była dla niego tak uprzejma. W rzeczy samej często go ganiła, i chciał

nawet wymówić się od dzisiejszej wizyty, bo nie lubił znosić samotnie jej gniewu. Aluta, kiedy była przy nim, dodawała mu siły.

- Dziękuję ci, matko - powiedział, oddychając z ulgą i zadowoleniem, że nie jest na niego zła. - To prawda, że czułem się osamotniony, prawdą jest również, że starałem się zająć umysł czymkolwiek i wymyślić, jak spędzić ten dzień.

Cesarzowa matka powiedziała do Jaśminy:

- Nalej, dziecko, herbaty swemu panu.

Na te słowa cesarz uniósł głowę i zaczął wpatrywać się w Jaśminę, nie zdejmując z niej wzroku, kiedy z wdziękiem odebrała czarbkę z herbatą z rąk eunucha i podała mu ją obiema rękami.

- Kim jest ta dama? - spytał cesarz, jakby jej nie było.

- Co? - zawołała cesarzowa matka z udanym zdziwieniem. - Nie poznajesz swej własnej konkubiny? Jest jedną z czterech, które dla ciebie wybrałam. Czy to możliwe, że ich nie znasz?

Cesarz z pewnym zmieszaniem potrząsnął głową i znów się uśmiechnął, ale smutno.

- Nie wzywałem ich. Czas jeszcze nie nadszedł...

Cesarzowa matka zasznurowała usta.

- Ze zwykłej kurtuazji powinienes zavezwać każdą z nich co najmniej raz - powiedziała. - Aluta nie powinna być zbyt samolubna, kiedy jej młodszym siostrom życie upływa na oczekiwaniu.

Cesarz nic na to nie odpowiedział. Uniósł czarbkę i poczekał, aż ona napije się ze swojej, wtedy sam się napił, a Jaśmina uklękła i odebrała od niego czarbkę. Kiedy to zrobiła, podniosła na niego oczy, a w tej samej chwili on spojrział w dół na jej twarz, tak wesołą i żywą, tak dziecinną w swym kolorycie - śmietankowej bieli i czerwieni pod czernią miękkich włosów, że długo nie mógł oderwać od niej wzroku.

Tak rozpoczął się dzień, a zanim minął, cesarzowa matka często jeszcze wzywała Jaśminę, aby ta służyła cesarzowi - by go wachlowała albo odganiała zabłąkaną muchę, by mu usługiwała, kiedy w południe obiadowali pod drzewami, czy też przyniosła mu herbatę i wybrała słodycze, kiedy rozpoczynało się przedstawienie, żeby podsunęła mu stółek pod nogi lub poduszki pod łokcie - i tak aż do zachodu słońca. W końcu cesarz otwarcie uśmiechał się do Jaśminy, a ona podchodząc, by mu usłużyć, nie uśmiechała się do niego ani nieśmiało, ani wyzywająco, lecz tak, jak dziecko uśmiecha się do towarzysza zabaw.

Cesarzowa matka była zadowolona widząc te uśmiechy, i kiedy zapadł zmrok i dzień się zakończył, odezwała się do cesarza:

- Zanim mnie opuścisz, synu, chciałabym cię prosić, byś spełnił jedno moje życzenie.

- Mów, matko - odpowiedział. Był w znakomitym nastroju, żołądek miał pełny ulubionych potraw, serce lekkie, a jego wyobraźnię pobudzała ładna dziewczyna, która do niego należała, którą mógł mieć, jeśliby tylko sobie tego zażyczył.

- Wiesz, jak marzę o opuszczeniu miasta, kiedy nadchodzi wiosna - powiedziała cesarzowa matka. - Przez wiele miesięcy nie ruszyłam się z tego miejsca. Dlaczego nie mielibyśmy razem, ty i ja, pomodlić się u grobów naszych przodków? To tylko osiemdziesiąt mil stąd, a ja poproszę wicekróla prowincji, Li Hung-czan-ga, aby wysłał swą własną straż, by nas chroniła podczas podróży. Dwa pokolenia możemy reprezentować tylko my, ty i ja, bo nie byłoby rzeczą odpowiednią, byś w tę smutną podróż brał z sobą swą małżonkę.

Umyśliła już sobie w sekrecie, że zabierze z sobą Jaśminę pod pretekstem, że potrzebuje służącej, a wtedy łatwo będzie ją posłać w nocy do namiotu syna.

Cesarz zastanawiał się, dotykając palcem dolnej wargi.

- Kiedy mielibyśmy ruszyć? - spytał.

- Równo od dziś za miesiąc - powiedziała cesarzowa matka. - Będiesz wtedy sam jak teraz. Właśnie te dni, w których małżonka nie może cię odwiedzać, wykorzystamy na naszą podróż. Tym chętniej przywita cię, kiedy wrócimy.

Cesarz znów nie mógł nadziwić się zmianie, jaka zaszła w jego matce. Nigdy nie mówiła tak miło o Alucie. Ale czy kiedykolwiek ktoś mógł ją zrozumieć? Było prawdą, że choć często była okrutna i potrafiła nienawidzić, umiała również być w stosunku do niego prawdziwie czuła i kochająca, a on przez całe życie kluczył niepewnie między tymi dwiema stronami jej natury.

- Pójdziemy tam, matko - rzekł - bo jest istotnie moim obowiązkiem pomodlić się nad grobami przodków.

- Któż odpowiedziałby inaczej? - odparła cesarzowa matka, jeszcze raz zadowolona ze swej przebiegłości.

Wszystko poszło tak, jak zaplanowała. Pewnej nocy, z dala od murów Pekinu, w cieniu grobowców przodków, cesarz posłał eunucha po Jaśminę. Cały dzień spędził przy grobach, matka stojąca u jego boku udzielała mu instrukcji podczas składania hołdów i przy modlitwach. Dzień wstał słoneczny, ale po południu nadeszła burza z piorunami, a po niej nastął deszcz, który padał aż do nocy. Młody cesarz leżał nie śpiąc pod skórzanym dachem namiotu i czuł się opuszczony. Nie wypadało prosić eunucha, by zagrał coś lub zaśpiewał, bo były to dni żałoby i czas oddawania hołdu ośmiu cesarskim przodkom, którzy spoczywali w swych grobowcach. Leżał wsłuchując się w deszcz i zaczął nagle myśleć o zmarłych, o tym,

że pewnego dnia będzie tym dziewiątym, leżącym na zewnątrz w deszczu. A kiedy o tym myślał, ogarnęła go straszna melancholia, lęk i przerażenie, że nie będzie żył długo, lecz umrze młodo. Przebiegł go dreszcz i zateśknił do swej młodej żony, która była tak daleko. Kiedyś przyrzekł był jej wierność i właśnie owo przyrzeczenie powstrzymywało go dotychczas przed wezwaniem do sypialni choćby jednej konkubiny. Nie składał jednak nowego przyrzeczenia, które dotyczyłoby tych dni spędzonych przy grobowcach, bo w istocie ani on, ani Aluta nie mogli przewidzieć, że jego cesarska matka weźmie do towarzystwa Jaśminę. Cesarzowa nie wspominała o niej. On też przez cały dzień nie dał po sobie poznać, że ją zauważył. Ale widział ją, patrzył, jak się krząta w pobliżu namiotu matki, w którym spożył wieczorny posiłek po uroczystym poście. Teraz myślał o niej i przez cały czas miał pod powiekami jej obraz.

Swemu eunuchowi powiedział tylko, że jest mu zimno.

- Przemarznięty jestem do szpiku kości - powiedział. - Nigdy dotychczas nie odczuwałem takiego niemal śmiertelnego chłodu.

Eunuch cesarza był dobrze opłacony przez Li Lien-jinga, więc odpowiedział natychmiast:

- Panie, dlaczego nie pošlesz po swoją konkubinę? Ogrzeje ci łóżko i szybko wyciągnie z ciebie cały chłód.

Cesarz udał niechęć.

- Jakże to? Jesteśmy przecież w pobliżu grobów moich przodków.

- To tylko konkubina - nalegał eunuch - konkubina jest nikim.

- Dobrze... niech i tak będzie - zgodził się cesarz, wciąż udając, że nie ma na to ochoty.

Leżał drżąc, kiedy eunuch pognął w mokrą ciemność nocy, a deszcz bębnił o napiętą skórę namiotu nad jego głową. Po chwili ujrzał błysk latarni i drzwi namiotu rozchyliły się jak kurtyna. Stała tam Jaśmina owinięta w płachtę z powleczonego tłuszczem jedwabiu dla ochrony przed deszczem. Deszcz zwilżył jednak rozwiane pasemka jej miękkich włosów wokół twarzy, błyszcząc na jej policzkach i na rzęsach. Wargi jej były czerwone i ciemny rumieniec zabarwił jej policzki.

- Wysłałem po ciebie, bo jest mi zimno - mruknął cesarz.

- Oto jestem, panie mój - odpowiedziała. Odłożyła płachtę, a następnie uwolniwszy się z szat, weszła do jego łóżka, a jej ciało przy jego drżącym ciele było całe gorące.

Cesarzowa matka leżała nie śpiąc w swym namiocie i w ciemności wsłuchiwała się w miarowe bębnienie deszczu, w dźwięki pełne spokoju. Spokój wypełniał jej serce i umysł.

Eunuch powiedział jej, czego dokonał, a ona dała mu natychmiast uncję złota. Nie potrzebowała robić niczego więcej. Jaśmina i Alu ta prowadzi teraz będą ze sobą wojnę miłości, a znając swego syna, wiedziała, że Jaśmina już zwyciężyła.

Lato minęło, cesarzowa matka wzdychała, że się starzeje, że kiedy zostanie zbudowany letni pałac, oddali się tam, by wypoczywać przez ostatnie lata swego życia. Mówiła, że bolą ją kości, że jej zęby się rozchwiały, i zdarzały się dni, kiedy nie wstawała rano z łóżka. Jej panie nie wiedziały, co począć z tą rzekomą chorobą i starzeniem, bo naprawdę cesarzowa matka była jak odrodzona - kwitła młodością i siłą. Kiedy leżała w łóżku, twierdząc, że ją boli głowa, oczy jej były tak jasne, skóra tak czysta, że damy spoglądały na siebie i zastanawiały się, cóż takiego knuje ta kształtna główka. Nigdy jeszcze cesarzowa matka nie jadła tak dobrze i z takim apetytem - i to nie tylko posiłki, ale i słodczye między posiłkami. Kiedy się poruszała, nie powłóczyła nogami, lecz kroczyła rażno, promieniając młodzieńczym wdziękiem.

Twierdziła jednak, że jest chora, i kiedy Jung Lu poprosił o audiencję, odmówiła mu. Nie uległa również księciu Kungowi, który domagał się pilnego spotkania.

Wezwała zamiast tego naczelnego eunucha i spytała go:

- Czego ten tyran księżę chce teraz ode mnie?

Naczelnny eunuch wyszczerzył zęby. Wiedział dobrze, że jej choroba jest udawaniem, którego celu on także nie znał.

- Wasza Wysokość - odpowiedział - księżę Kung jest zaniepokojony obecnym zachowaniem cesarza.

- Dlaczego? - spytała, choć wiedziała dobrze.

- Wasza Wysokość - zaczął - wszyscy powiadają, że cesarz zmienił się. Przez całe dni oddaje się rozrywkom lub śpi, a późną nocą włóczy się po ulicach miasta przebrany za pospolitego człowieka, a towarzyszy mu tylko dwóch eunuchów i Pierwsza Konkubina.

Cesarzowa Matka dała wielki popis przerażenia.

- Pierwsza Konkubina? To niemożliwe!

Uniosła się na poduszkach, a następnie padła do tyłu, zamknęła oczy i wybuchnęła skargą:

- Och, jestem chora... bardzo chora! Powiedz księciu, że mogę umrzeć od tych złych wieści. Nic nie mogę zrobić, powiedz mu. Mój syn jest teraz cesarzem i radzić mogą mu tylko książęta. Mnie nie słucha. Cóż robią cesarscy cenzorzy? Powinni zwrócić mu uwagę!

I nie udzieliła księciu Kungowi audiencji.

Ten zaś wziął sobie jej słowa głęboko do serca i z taką gwałtownością czynił wyrzuty

cesarzowi, że wzbudził tym wściekłość w swym cesarskim bratanku, który dziesiątego dnia dziewiątego miesiąca słonecznego wydał dekret - własnoręcznie podpisany i opatrzony cesarską pieczęcią - głoszący, że księżę Kung i jego syn, Ts'ai Cz'ing, pozbawieni zostają wszystkich godności i tytułów, ponieważ ośmielili się zachować niestosownie wobec Smoczego Tronu.

Na to cesarzowa matka powstała z łoża i następnego dnia wydała inny dekret w imieniu swoim i Sakoty jako współregentki, nakazujący, aby księciu Kungowi i jego synowi Ts'ai Cz'ingowi przywrócono wszystkie godności i tytuły. Zrobiła to sama, bez wiedzy Sakoty, wiedząc, że jej słaba siostra, cesarzowa wdowa, nie będzie śmiała zaprotestować przeciwko użyciu jej imienia. Taki był szacunek dla pozycji cesarzowej matki, że nikt nie śmiał kwestionować tego dekretu, a ona swą stanowczością i pozornymi względami dla księcia Kunga zbliżyła się w dużym stopniu do odzyskania władzy, bo księżę Kung należał do starszego pokolenia i był przez wszystkich bardzo szanowany.

Zanim cesarz zdążył zdecydować, co robić dalej, zapadł na czarną ospę, którą chwycił gdzieś w mieście, kiedy wychodził w przebraniu, aby się zabawić. W dziesiątym miesiącu owego roku, po wielu dniach niespokojnej gorączki, ze skórą pokrytą wykwitami ospowymi, leżał wciąż bliski śmierci. Cesarzowa matka często przychodziła do jego łoża, bo jako małe dziecko przeszła już ospę, która uczyniła ją odporną, nie pozostawiając ani jednej blizny na jej skórze. Cała była teraz matką, czułą i troskliwą, ale rozdieraną dziwnym, pokrętnym bólem. Pragnęła się smucić całym sercem, jak powinna smucić się matka, uwalniając się w tym smutku od potajemnego cierpienia. Ale nie mogła być tylko matką, nawet teraz. Tak, jak nigdy nie była po prostu żoną. Jej przeznaczenie wciąż było jej brzemieniem.

Jednak dwudziestego czwartego dnia tego samego miesiąca cesarz poczuł się lepiej, gorączka opadła, umęczona skóra stała się chłodna, a cesarzowa matka wydała edykt głoszący, że można już mieć nadzieję. Tego samego dnia cesarz posłał po małżonkę, której dotychczas nie wolno było wchodzić do jego pokoju, bo nosiła w sobie dziecko. Teraz, kiedy skóra cesarza oczyściła się i gorączka odeszła, cesarscy lekarze orzekli, że może bezpiecznie go odwiedzić. Popędziła szybko, jak tylko mogła, bo po tylu tygodniach rozłąki serce jej pożerała tęsknota. Dni te spędzała modląc się w świątyni, noce mijały jej bezsennie i nie mogła jeść. Kiedy weszła do cesarskiej sypialni, była blada i chuda, piękność jej, tak zależna od nastroju i zdrowia, zniknęła bez śladu. Nie zdążyła się przebrać, przybiegła niecierpliwa w swej szarej, nieodpowiedniej szacie, sądząc, że obejmie swego ukochanego, ale zatrzymała się u progu. Przy wielkim łożu, na którym leżał jej pan, siedziała cesarzowa matka.

- Niestety - wyszeptła Aluta, kładąc na sercu niespokojne ręce.

- Dlaczego niestety? - odpowiedziała ostro cesarzowa matka. - Dlaczego mówisz „niestety”, skoro poczuł się lepiej To ty jesteś niestety blada i żółta niczym stara kobieta. I mam ci to za złe, bo nosisz w sobie jego dziecko. Przysięgam, że jestem na ciebie zła.

- Matko - błagał słabo cesarz - proszę cię, oszczędź ją...

Ale Aluta nie mogła pohamować gniewu. Po tych wszystkich dniach wyczekiwania i lęku jej zwykła cierpliwość pękła. Nigdy zresztą nie była naprawdę cierpliwa, bo naturę miała silną, umysł jasny i zdyscyplinowany, a poczucie prawdy nawet zbyt wielkie, niż potrzeba.

- Nie broń mnie - powiedziała stojąc w drzwiach, wyprostowana i smukła. - Nie proszę o względy cesarzowej matki. Niech gniew jej spadnie na mnie, zamiast na ciebie, panie mój. Nie możemy go uniknąć, bo nie potrafimy jej zadowolić. - Takie słowa spływały z jej wąskich ust, każde wypowiedziane dobitnie i z naciskiem.

Cesarzowa matka powstała i unosząc obie ręce ruszyła z impetem w kierunku nieszczęsnej dziewczyny, a kiedy stanęła tuż przed nią, spoliczkowała ją raz i drugi, aż jej ozdobne ochraniacze na paznokcie zaczerwieniły się od krwi.

Cesarz płakał głośno na swym łożu z bezsilności i rozpacz.

- Och, pozwólcie mi obie umrzeć - szlochał. - Jak mam żyć, skoro jestem jako mysz między dwoma młyńskimi kamieniami.

Odwrócił twarz do ściany i nie mógł się uspokoić. Szlochał dalej, choć obie kobiety przyfrunęły do jego boku, chociaż przybiegli służący eunuchowie i cesarzowa matka posłała po dworskich lekarzy. Płakał i płakał, aż stracił rozum i nie wiedział, dlaczego płacze, ale przestać nie mógł. Nagle w krańcowym osłabieniu puls jego osłabł i stał się prawie niewyczuwalny. Wtedy naczelnny lekarz pokłonił się cesarzowej matce, która czekała przy łóżku, siedząc na rzeźbionym krześle.

- Wasza Wysokość - powiedział smutno. - Obawiam się, że nie pomoże tu już żadna ludzka umiejętność. Zło zawładnęło losem Syna Niebios i nie znamy środków, które mogłyby zapobiec jego odejściu. My, lekarze nadworni, obawialiśmy się tego, bo w dziewiątym dniu dziesiątego miesiąca roku słonecznego, zaledwie dwa dni temu, do naszego miasta przybyło dwóch cudzoziemców, Amerykanów. Mieli ze sobą wielki przyrząd, który ustawili na ziemi, i odważyli się patrzeć na niebo przez jego długą rurę. W tej samej chwili weszła w pięknym blasku gwiazda wieczorna, a na jej lśniącej powierzchni odkryliśmy czarną plamkę, intensywniejszą nieco od cienia. Wyrzuciliśmy więc cudzoziemców, ale było niestety za późno. Ich złe czary zostały już rzucone na gwiazdę, więc my, dworscy lekarze, spoglądaliśmy na siebie z lękiem w sercach. Tak zapowiedziane zostało dzisiejsze nieszczęście.



Kiedy cesarzowa matka wysłuchała tej opowieści, zakrzyknęła, że nie może w to uwierzyć, i wezwała Li Lien-jinga, pytając go z krzykiem, czy relacja lekarza jest zgodna z prawdą. Naczelnny eunuch mógł jedynie potwierdzić jego słowa i bił czołem o posadzkę.

Tak zakończyło się krótkie życie cesarza. Kiedy przestał oddychać i ciało jego zaczęło robić się zimne, cesarzowa matka odesłała wszystkich, którzy przybyli, aby być świadkami zgonu - ministrów, księżęta, eunuchów i służących. Odesłała nawet Alutę.

- Odejdź - powiedziała - zostaw mnie z moim synem. - Spojrzenie, które spoczęło na młodej wdowie, nie było okrutne, lecz odległe i zimne, jak gdyby boleść matki wykraczała daleko poza boleść żony.

Cóż innego mogła zrobić Aluta, niż usłuchać? Matka jej zmarłego pana była teraz jej władczynią.

A kiedy wszyscy odeszli, cesarzowa usiadła obok syna i rozmyślała o jego życiu i śmierci. Nie roniła łez, jeszcze nie, bo cierpienie jej musiało dojrzeć. Najpierw pomyślała o sobie, że jeszcze raz stanęła na szczycie władzy - samotnie unosząc się nad ziemią, przekraczając granice kobiecości, na wysokościach nie znanych przedtem nikomu. Patrzyła w osamotnieniu na twarz syna, którego zrodziła, na przystojną twarz młodego mężczyzny, dumną i spokojną po śmierci. A kiedy patrzyła, twarz jej syna młodniała. Wyobrażała sobie, że znikają z niej wszystkie bruzdy, które znaczył czas, aż ujrzała chłopczyka, dziecko, które uwielbiała. Łzy napłynęły jej gwałtownie do oczu, a serce, dotychczas nieporuszone, zmiękło i zadrżało, stając się w końcu zwykłym, kobiecym sercem. Załkała, łzy popłynęły jej po policzkach i padły na atlasową narzutę. Wzięła w obie ręce jego martwą rękę i pieściła ją, położyła ją sobie na policzku, jak to zwykła robić, kiedy był mały. Nadchodziły dziwne słowa, wzbierające jak wypływająca z serca krew.

- Och, dziecko - łkała - gdybym ci dała tę małą kolejkę... zagraniczną kolejkę... zabawkę, do której tęskniłeś, której nigdy nie miałeś!

Ból jej skoncentrował się nagle i bez przyczyny na zabawce, której mu odmówiła lata temu, i płakała nieprzerwanie, zapominając, kim jest, prócz tego, że jest matką, która utraciła jedyne dziecko.

Nocą, głęboką nocą, o zapomnianej godzinie otworzyły się drzwi i wszedł mężczyzna. Nie usłyszała kroków - pochylona nad łóżkiem łkała wciąż bezgłośnie. Nagle poczuła, że ktoś chwycił ją za ramiona i unosi mocno, stawiając na nogi. Odwróciła głowę i ujrzała jego twarz.

- Ty - wyszeptwała.

- Ja - powiedział Jung Lu. - Czekałem za drzwiami przez ostatnie trzy godziny. Dlaczego zwlekasz? Wszystkie klany ruszyły, by jeszcze przed świtem osadzić na tronie

następcę. Zanim ludzie dowiedzą się, że cesarz nie żyje. Musisz działać pierwsza.

Natychmiast opanowała swoje serce, a jej umysł odzyskał sprawność. Przypomniała sobie plan, który przygotowała dawno temu na wypadek sytuacji takiej jak ta.

- Najstarszy syn mojej siostry ma trzy lata - powiedziała. - On jest wybranym przeze mnie dziedzicem. Ojcem jego jest siódmy brat mego zmarłego pana.

Spojrzał prosto w jej oczy. Na tle jej bladej twarzy błyszczały dramatyczną czernią. Były jednak nieustraszone, a śmiały wykrój jej warg znamionował siłę.

- Tej nocy wyglądasz straszliwie pięknie. - W jego głosie brzmiało zdumienie. - W niebezpieczeństwie stajesz się piękniejsza. Jakaś magia w tobie...

Słyszając to uniosła głowę, rozchyliła smutne wargi, a jej tragiczne oczy złagodniały.

- Mów - wyszeptwała. - Och, ukochany, mów dalej!

Potrząsnął głową i delikatnie wziął ją za rękę. Stojąc ramię przy ramieniu patrzyli na wielkie łożo, na którym leżał zmarły cesarz, ich ręce spotkały się. Czuli, że jego ręka drży w jej dłoni, że jego ciałem wstrząsa mimowolny dreszcz. Odwróciła się do niego.

- Och, ukochany - wyszeptwała - on jest naszym...

- Sza... - odpowiedział. - Nie wolno nam mówić ani słowa o tym, co przeminęło. Ściany pałacu mają uszy...

Nie powinni rozmawiać, nie mogli rozmawiać. Po długiej chwili milczenia rozpletli dłonie, on odstał do tyłu i złożył głęboki pokłon. Znowu była cesarzową, a on jej poddanym.

- Wasza Wysokość - powiedział cicho w obawie przed słyszającymi ścianami - idź natychmiast i przyprowadź dziecko. Na razie, przewidując tę chwilę, wezwałem w twym imieniu wicekróla Li Hung-czanga. Jego wojsko jest już w pobliżu bram miasta. Nikt o tym nie wie. Kopyta końskie wyciszono, ludziom kazano włożyć do ust kawałki drewna, aby nie wypowiadali nieopatrnych słów. Do wschodu słońca będziesz już miała dziecko tutaj, w pałacu, a wierni tobie żołnierze będą wypełniali ulice. Kto ośmieli się wówczas poddać w wątpliwość twoją władzę?

Nieugięte serce napotkało inne nieugięte serce. Rozstali się, by działać we wspólnym celu, w harmonii, którą skrywana miłość uczyniła idealną. Kiedy Jung Lu odszedł, cesarzowa natychmiast opuściła sypialnię zmarłego. Za drzwiami czekał na nią naczelny eunuch i kiedy się pojawiła, podążył za nią natychmiast, a z nim niżsi rangą eunuchowie i jej wierne damy. Nikt nie spytał, w jaki sposób Jung Lu przekroczył bramy Zakazanego Miasta, do którego po zapadnięciu nocy nie mógł się dostać żaden mężczyzna. W tę dziwną, pełną zamieszania noc nikt o nic nie pytał.

Cesarzowa śpieszyła się teraz, by przeprowadzić swą wolę.

- Wezwij moją lektykę - rozkazała Li Lien-jingowi. - Nie pozwól nikomu na rozmowy lub szepty i każ tragarzom, by owinęli stopy szmatami.

W ciągu kilku minut otuliła się płaszczem i nie mówiąc ani słowa garderobianej i swoim paniom, wyminęła je wszystkie, wślizgnęła się do lektyki i skryła się za zasłonami. Na tyłach pałacu czekała na nią otwarta tajna furtka. Naczelny eunuch poprowadził ją do niej, a następnie wiódł przez ciemne i puste ulice. Cały dzień padał śnieg, który leżał głęboką warstwą na bruku tłumiąc każdy krok. Obok lektyki w padającym śniegu biegła chuda, milcząca postać naczelnego eunucha. W ten sposób doszli do pałacu księcia Cz'una. Tragarze postawili lektykę, naczelny eunuch zastukał w furtę, a kiedy się otworzyła, wcisnął się do środka, tłumiąc okrzyk strażnika ręką położoną na jego ustach. Za nim z rozwianymi szatami szła cesarzowa matka. Przeszli tak przez wiele podwórz i weszli do domu. Spali wszyscy prócz stróża, który stanął jak oniemiały, aby przepuścić cesarzową matkę.

Pierwszy wbiegł naczelny eunuch, który obudził księcia, a następnie jego panią. Wyszli pośpiesznie narzucając odzież i z przerażonymi twarzami padli przed nią na kolana.

Cesarzowa matka rzekła:

- Siostrze, nie mam czasu, by wszystko ci opowiedzieć. Powiem więc krótko: mój syn nie żyje - daj mi swego syna, aby stał się jego dziedzicem...

Na te słowa księżę Cz'un wykrzyknął:

- Och, Wasza Wysokość, błagam, nie zabieraj dziecka, nie gotuj mu takiego losu...

- Jak śmiesz tak mówić? - zawołała cesarzowa matka. - Czyż los, który mu przypadnie, mógłby być świetniejszy? Zostanie cesarzem...

- Och, ja przeklęty - odpowiedział księżę Cz'un. - Każdego dnia będę musiał bić pokłony przed własnym synem! Przeze mnie będą pomieszane pokolenia i niebo ukarze cały mój dom.

Płakał i bił głową o posadzkę tak niezmordowanie, że z czoła zaczęła mu spływać krew, a on sam popadł w omdlenie.

Cesarzowa matka nie miała jednak zamiaru zważać ani na niego, ani na żadnego mężczyznę. Odepchnęła swą siostrę i pomknęła do pokoju dzieciennego. Pochyliła się nad łóżeczkiem i zwinąwszy dziecko w koce, chwyciła je w swe ramiona. Chłopiec spał i chociaż zakwilił, nie obudził się, kiedy go wynosiła.

Siostra pobiegła jednak za nią i pochwyciła ją za trzepocący rękaw.

- Dziecko będzie płakać, kiedy obudzi się w obcym miejscu. Pozwól mi iść z nim, choćby na kilka dni - błagała.

- Idź za mną - rzuciła przez ramię cesarzowa matka. - Ale mnie nie zatrzymuj.

Chłopiec musi być bezpieczny w pałacu przed wschodem słońca.

I tak się stało. Minęła noc. Kiedy wstało słońce i mnisi w świątyni bili w mosiężne bębny wzywając na ranne modły, wszystkimi ulicami biegli już dworscy heroldowie, obwieszczając śmierć cesarza Mu Tsunga, jak brzmiało dynastyczne imię T'ung Czy, a zaraz potem oznajmiając o wstąpieniu na tron nowego cesarza.

W obcym dziecinnym pokoju malutki cesarz wył z przerażenia. Nawet matka, choć tuliła go stale w ramionach, nie mogła go uspokoić. Za każdym razem, kiedy podnosił głowę z jej piersi, widział rzeźbione i złocone smoki czołgające się po belkach sklepienia i znów zaczynał płakać w świeżym lęku, a jednak nie mógł powstrzymać się od patrzenia. W końcu, kiedy minęły dwa dni, jego matka wysłała eunucha do cesarzowej, donosząc, że dziecko rozchoruje się od tego płaczu.

- Niech płacze - brzmiała odpowiedź cesarzowej matki. Była właśnie w swej bibliotece, pracując nad planami swego pałacu. Nie odwracając głowy dodała: - Niech się nauczy wcześniej, że płaczem niczego nie osiągnie, mimo że jest cesarzem.

Pracowała dalej nie podnosząc głowy, aż przygasło jasne światło śnieżnego dnia. Kiedy mrok zgęstniał, odłożyła pędzelek i siedziała dumając. Następnie skinęła na czekającego eunucha.

- Przyrowadź mi małżonkę zmarłego cesarza - powiedziała. - I niech przyjdzie sama.

Eunuch pognął szybko, aby okazać swą gorliwość, i po kilku minutach wrócił z Alutą, która złożyła głęboki pokłon. Cesarzowa matka ręką odprawiła eunucha i kazała młodej wdowie, by wstała z kolan i siadła obok na rzeźbionym krześle. Następnie patrzyła przez chwilę na młodą, przygarbioną sylwetkę w białej, luźnej szacie żałobnej.

- Nie jadłaś - powiedziała w końcu.

- Czcigodna matko, nie mogę jeść - odrzekła Aluta.

- Nie ma już niczego w twoim życiu.

- Nie ma, matko.

- I nigdy już niczego nie będzie - ciągnęła cesarzowa matka - gdybym była tobą, poszłabym tam, gdzie znajduje się mój pan.

Aluta uniosła na to swą pochyloną głowę i wpatrzyła się w surową, piękną kobietę, siedzącą tak spokojnie w swym podobnym do tronu krześle. Wstała wolno i stała tak przez chwilę, po czym znów osunęła się na kolana.

- Proszę, byś pozwoliła mi umrzeć - wyszeptała.

- Masz moje pozwolenie - rzekła cesarzowa matka.

Wymieniły jeszcze jedno, długie spojrzenie i Aluta wstała i poszła do drzwi jak

smutny, młody duch, a kiedy wyszła, eunuch zamknął za nią drzwi.

Cesarzowa matka siedziała przez chwilę w bezruchu, jakby była z marmuru, następnie zaklaskała w dłonie przyzywając eunucha.

- Zapal wszystkie lampy - rozkazała. - Mam jeszcze sporo do zrobienia.

Znów wzięła pędzelek. Noc stawała się coraz ciemniejsza, a ona maczała pędzelek w stojących przed nią farbach i kończyła swój projekt. Wreszcie odłożyła pędzelek i zaczęła przeglądać wielki zwój. Pałace ze snów wyrastały na brzegach szerokiego jeziora, między nimi kwitły ogrody, a nad strumieniami zasilającymi jezioro rozpięte były marmurowe mosty. Uśmiechała się, patrząc na ten jasny obraz, ale po chwili znów porwała pędzelek, umoczyła go w najjaśniejszych farbach i naprzeciw wzgórze za pałacami umieściła pagodę, wysoką i smukłą, o bokach z błękitnej porcelany i dachach ze złota.

O północy naczelný eunuch zakaszał u jej drzwi. Wstała z łóżka i podeszła cicho, by je otworzyć.

- Nie ma już Aluty - powiedział.

- Jak umarła? - spytała cesarzowa.

- Zażyła opium.

Oczy ich zetknęły się w długim, pełnym znaczenia spojrzeniu.

- Cieszę się, że obyło się bez bólu - powiedziała cesarzowa matka.

## Cesarzowa

W czwartym miesiącu księżycowym zakwitła wistaria. Do obowiązków głównego dworskiego ogrodnika należało powiadamianie cesarzowej o dniu, w którym krzew zakwitnie, więc zameldował o tym, jak należało. Cesarzowa matka ogłosiła wówczas, że w dniu tym nie pojawi się w sali audiencyjnej i nie będzie wysłuchiwała żadnych spraw państwowych. Zamiast tego dzień ten spędzi wraz ze swymi paniami w ogrodach, podziwiając kwitnącą wistarię, ciesząc się kolorem i zapachem kwiatów. Zaprosiła również z należną grzecznością swą kuzynkę, cesarzową wdowę, bo wraz z Sakotą były znów współregentkami.

W dniu tym przed południem zasiadła swobodnie w wistariowym pawilonie na swym wielkim, rzeźbionym krześle, ustawionym na podwyższeniu jak mały tron. Nie udawała już, że ktoś może być jej równy, bo zrozumiała w końcu, że jej władza zależy tylko od niej samej, od jej wewnętrznej siły. Damy stały wokół niej.

- Bawcie się, maleńkie - powiedziała. - Przechadzajcie się, gdzie chcecie, oglądajcie złote rybki w stawach, rozmawiajcie do woli, czy to szeptem, czy głośno. Pamiętajcie tylko o tym, że przyszliśmy tu cieszyć się wistarią, i nie wspominajcie o smutkach.

Dziękowały jej półgłosem. Były młode i piękne, odziane w szaty o jasnych, intensywnych barwach. Słońce padało na ich nieskazitelne ciała i piękne ręce, rozświetlając ich czarne oczy i połyskując na ozdobionych kwiatami przybraniach głowy.

Usłuchały jej, ale roztropnie baczyły, by zawsze ktoś przy niej pozostawał. Kiedy oddalało się dwadzieścia dam, następne dwadzieścia gromadziło się wokół niej. Cesarzowa matka zdawała się ich nie widzieć. Jej oczy stałe spoczywały na małym cesarzu, jej siostrzeńcu, który bawił się zabawkami na pobliskim tarasie. Czuwało nad nim dwóch młodych eunuchów, na których nie zwracała uwagi. Nagle uniosła prawą rękę i skierowaną w dół dłonią wezwała do siebie dziecko.

- Chodź tu, synu - powiedziała.

Nie był jej synem i kiedy wypowiadała te słowa, serce jej buntowało się przeciw niemu. Wypowiadała je jednak, bo wybrała go, aby zajął miejsce jej syna na Smoczym Tronie.

Chłopiec spojrzał na nią i popychany przez starszego z dwóch młodych eunuchów podchodził do niej wolno.

- Nie dotykaj go - powiedziała ostro cesarzowa. - Musi przyjść do mnie z własnej woli.

Jednak dziecko ociągało się. Chłopiec włożył palec do ust i wpatrywał się w nią, a zabawka, którą się bawił, upadła na wyłożoną kafelkami ścieżkę.

- Podnieś to - powiedziała - i przynieś mi, żebym mogła zobaczyć, co tam takiego masz.

Nie zmieniła wyrazu twarzy. Piękna i spokojna nie uśmiechała się, ale też nie była zła. Czekala, aż chłopiec zmuszony jej władczyim milczeniem schylił się, podniósł zabawkę i podszedł do niej. Chociaż był małym dzieckiem, klęknął przed nią, podnosząc zabawkę, aby ją obejrzała.

- Co to jest? - spytała.

- Maszyna - odpowiedział tak cichutko, że prawie go nie dosłyszała.

- Maszyna - zdziwiła się, nie wyciągając ręki, aby wziąć zabawkę. - A kto dał ci tę maszynę?

- Nikt - odpowiedziało dziecko.

- Nonsens - powiedziała. - Czy urosła ci w ręce? - Skinęła głową na eunucha, aby mówił za niego.

- Wasza Wysokość - tłumaczył - mały cesarz jest zawsze samotny. Tu w pałacu nie ma dzieci, z którymi mógłby się bawić. Aby nie zapłakał się aż do wymiotów, przynosimy mu wiele zabawek. Najbardziej lub zabawki z zagranicznego sklepu znajdującego się w dzielnicy poselstw.

- Zagraniczne zabawki? - zapytała ostrym tonem.

- Sklep prowadzi Duńczyk, Wasza Wysokość - wyjaśniał eunuch - i ów Duńczyk ściąga dla naszego małego cesarza zabawki z całej Europy.

- Maszyna - powtórzyła.

Teraz wyciągnęła rękę i wzięła zabawkę. Zrobiona była z żelaza, była mała, ale ciężka. Pod prostokątnym korpusem znajdowały się koła, a na wierzchu był komin.

- Jak się tym bawisz? - spytała małego cesarza.

Zapomniał o lęku przed nią i stanął na nogi.

- O tak, matko! - Chwycił zabawkę i otworzył małe drzwiczki. - Tu w środku mogę napalić kawałeczkami drewna. A tutaj nalewam wodę, a kiedy woda się zagotuje, wychodzi para i koła się kręcą. Doczepiam z tyłu wagoniki i maszyna je ciągnie. To się nazywa kolej.

- Rzeczywiście - podziwiła.

W zamyśleniu spoglądała na dziecko. Zbyt blady, zbyt szczupły, ze zbyt wątlą twarzą, chłopiec jak trzcinka...

- Czy masz coś jeszcze? - spytała.

- Mam jeszcze inne kolejki - powiedziało z zapalem dziecko. - Niektóre nakreca się kluczem, i mam całą wielką armię żołnierzy.

- Jakich żołnierzy? - spytała.

- Różnych, matko - odpowiedział. Zapomniał o strachu i podszedł nawet tak blisko, że oparł się o jej kolana. Poczula dziwny ból w miejscu, gdzie spoczęło jego ramię, a w sercu odezwała się tęsknota za czymś utraconym.

- Moi żołnierze noszą karabiny - mówił - i mają mundury, oczywiście namalowane, bo to są żołnierze z blachy, nie prawdziwi.

- A masz chińskich żołnierzy? - spytała.

- Nie mam chińskich - powiedział - mam tylko angielskich, niemieckich, rosyjskich i amerykańskich. Rosyjscy noszą...

- A możesz odróżnić jednych od drugich? - spytała.

Zaśmiał się głośno.

- Bardzo łatwo, matko! Rosjanie mają długie brody... aż do.. - Pokazał ręką talię. - A Francuzi mają brody tylko takie... - dotknął palcem swej górnej wargi. - A Amerykanie...

- Wszyscy, wszyscy mają białe twarze - powiedziała dziwnym głosem.

- Skąd wiesz? - spytał zdumiony.

- Wiem - odpowiedziała.

Odepchnęła go, trzymając rękę na jego łokciu. Cofnął się i światło w jego oczach zgasło. W tej właśnie chwili weszła Sakota, cesarzowa wdowa, w otoczeniu swoich czterech dworek. Szła wolno, schylając głowę pod ciężarem przybrania głowy, które twarz jej czyniło tak drobną.

Mały cesarz pognał, aby się z nią spotkać.

- Mamo! - wykrzyknął - myślałem, że już nigdy nie przyjdiesz!

Jego czule ręce sięgnęły do jej rąk, a ona położyła dłonie na jego policzkach. Spomad jego czarnej głowy spojrziała na dziedziniec i napotkała utkwione w nią cesarskie spojrzenie.

- Puść mnie, dziecko - powiedziała półgłosem.

Ale on nie pozwolił jej odejść. Cesarzowa widziała, jak przylgnął do Sakoty i szedł przy niej, kiedy posuwała się, dzierżąc w rękach fałd swej szaty z szarego jedwabiu.

- Chodź i siadaj przy mnie, siostrze - powiedziała cesarzowa. Wskazała upierścienionym kciukiem na rzeźbione krzesło, stojące obok jej krzesła, a Sakota podeszła bliżej, skłoniła się i zajęła wskazane miejsce.

Maleńki cesarz wciąż stał przy niej, przywierając do jej ręki. Cesarzowa widziała to, jak widziała wszystko, choć mogło się wydawać, że niczego nie zauważyła. Jej piękne,



spokojne oczy spoczęły na dziecku i przesunęły się następnie na krzewy wistarii. Aby kwiaty były jak najdorodniejsze, krzew męski, ogromny i stary, zasadzono tuż przy krzewie żeńskim. Razem oplatały bliźniacze pagody i pieniały się bielą i purpurą nad dachami z żółtych, porcelanowych płytek. Słońce grzało i pszczoły oszalałe od zapachu uwijały się nad kwiatami.

- Te pszczoły - zauważyła cesarzowa - przylatują tu z całego miasta.

- Rzeczywiście, siostrze, przylatują - odpowiedziała Sakota. Nie patrzyła jednak na kwiaty. Miast tego gładziła dziecinną rączkę, którą trzymała w swojej, rączkę cienką i małą, z żyłkami zbyt wyraźnymi pod delikatną skórą.

- Mały Syn Niebios - powiedziała cicho - je zbyt mało.

- Je złe potrawy - odpowiedziała cesarzowa.

Był to stary spór. Cesarzowa uważała, że zdrowie zależy od prostych pokarmów, od lekko ugotowanych warzyw, od mięsa pozbawionego tłuszczu, od niewielkiej ilości słodczy. Wiedziała jednak dobrze, że kiedy tylko odwróciła uwagę, odrzucał to jedzenie i biegł do Sakoty, gdzie zjadał słodkie pączki, tłuste knedle i pieczoną wieprzowinę ociekającą słodkim sosem. Wiedziała, że kiedy bolał go brzuch, Sakota kierowana czułą, ślepą miłością podawała mu małe dawki opium w swej własnej fajce. Cesarzowa miała za złe swej kuzynce, że uległa obcemu zwyczajowi palenia opium, że w tajemnicy zażywa szkodliwą czarną substancję, która pod obcymi banderami przybywa tu z Indii. Jednak Sakota, smutna i niemądra kobieta, wierzyła, że to tylko ona prawdziwie kocha małego cesarza!

Myśli takie powlekły chmurami jasność poranka i Sakota, widząc, że cesarskie oblicze staje się surowe, przestraszyła się. Przyzwała gestem eunucha.

- Zabierz małego cesarza, niech się pobawi - wyszeptała.

Cesarzowa usłyszała to, bo zawsze słyszała każdy szept.

- Nie zabieraj dziecka - rozkazała. Odwróciła głowę. - Wiesz siostrze, że nie życzę sobie, aby chłopiec przebywał sam z tymi małymi eunuchami. Nie ma wśród nich ani jednego, który byłby czysty. Zanim cesarz dorośnie, ulegnie zepsuciu. Iluż cesarzy zdemoralizowano w ten sposób!

Na te słowa służący eunuch, wyrostek piętnasto czy szesnastoletni, odszedł zgnębiony.

- Siostrze - szepnęła Sakota. Jej blada twarz pokryła się purpurowymi cętkami.

- Co znowu? - spytała cesarzowa.

- Mówisz to tak otwarcie przy wszystkich - powiedziała Sakota z nieśmiałym wyrzutem.

- Mówię prawdę - powiedziała twardo cesarzowa. - Myślisz, że nie Kocham tego

królewskiego dziecka. Ale kto je kocha bardziej - ty, która pośredniczysz w zaspokajaniu jego zależnych od humoru życzeń, czy ja, która naprawiam jego zdrowie dobrym pożywieniem i zdrową zabawą? Ty, która przekazujesz je tym małym diabłom eunuchom, czy ja, która chronię je przed ich zepsuciem?

W odpowiedzi Sakota zaczęła cicho płakać, kryjąc twarz za rękawem. Damy dworu podbiegły do niej, ale cesarzowa odgoniła je ręką, wstała, wzięła Sakotę za rękę i zaprowadziła ją do sali po prawej stronie dziedzińca. Tam usiadła na złoconej kanapie i zmusiła Sakotę, aby ta usiadła przy niej.

- Teraz - powiedziała - jesteśmy same. Powiedz, dlaczego stale się na mnie gniewasz.

Sakota trwając we właściwym sobie łagodnym uporze nie chciała mówić. Nadal płakała, aż cesarzowa, która nigdy nie była nazbyt opanowana, zaczęła się niecierpliwić, słysząc buczące tłumione szlochy tej słabej kobiety.

- Lamentuj - powiedziała bezlitośnie. - Płacz, aż staniesz się znów szczęśliwa. Myślę, że nie umiesz być szczęśliwa, jeśli łzy nie leją się z twoich oczu. Dziwię się, że ich jeszcze nie wypłakałaś.

Powiedziawszy to, wstała i wyszła z pawilonu, a potem opuściła ogród i udała się do swej biblioteki. Rozkazała, by nikt jej nie przeszkadzał, i spędziła tam resztę jasnego, wiosennego dnia z książkami przed sobą, a zapach wistarii płynął przez szeroko otwarte drzwi.

Nie rozmyślała jednak o książkach. Chociaż siedziała nieruchomo jak statuetka wyrzeźbiona z kości słoniowej, myśli zaprzatające jej piękną głowę były pełne niepokoju. Czy nigdy już nie będzie kochana? Pośród wypełnionych troskami dni coraz częściej zadawała sobie to pytanie. Miliony ludzi zależne były od jej mądrości. Tutaj w pałacu życie każdego zależało od jej woli. Była sprawiedliwa, troskliwa, nagradzała tych, którzy byli jej wierni, a karała tylko zło. Jednak w żadnej z otaczających ją twarzy nie znajdowała miłości, nawet w twarzy małego cesarza, chociaż był jej siostrzeńcem, krewnym i wybranym synem. Nawet ten, którego kochała, którego nadal kocha w głębi swej istoty, nawet Jung Lu, nie rozmawiał z nią przez ostatnie dwa, a może trzy lata, chyba że jako dworzanin zwracający się do swej władczyni. Nigdy już nie pojawił się u niej tak, jak to kiedyś uczynił, nie szukał pretekstów, by być przez nią przyjętym, a kiedy go wzywała, zachowywał się wyniośle i z dystansem jak każdy książę, skrupulatnie wykonując swe obowiązki, lecz poza tym nie dając z siebie nic więcej. Był przy tym nadal mężczyzną nie mającym sobie równych - plotka głosiła, że panny w mieście wybierając mężów, starały się, by byli tak przystojni jak książę Jung Lu. Cesarzowa wyniosła go już bowiem do godności księcia, ale choć był tak wysoko,

nie zbliżył się przez to do niej. Nadal jednak pozostał jej wierny, wiedziała, że jest jej wierny, ale to jej nie wystarczało. Czyjej serce nigdy już nie będzie uleczone z tęsknoty?

Westchnęła i zamknęła książki. Ze wszystkich ludzkich istot siebie znała najmniej. Lecz znając siebie tak mało, próbowała odgadnąć, dlaczego znów była dziś okrutna dla Sakoty. Siedziała bez ruchu, zbyt uczciwa, by unikać odpowiedzi na własne pytanie, i badając się z całą bezwzględnością, odkryła, że była zazdrosna o miłość dziecka - dziwną, starą zazdrością sięgającą przeszłości, kiedy jej zmarły syn był chłopcem i tak samo jak to żyjące dziecko uciekał od niej, kochając Sakotę zamiast niej, która była jego matką.

Ale to ja go kochałam, myślała, i moim obowiązkiem było uczyć go i wychowywać. Gdyby żył dłużej, może by zrozumiał...

Ale nie żył. Wstała niespokojnie, nie mogąc jak zawsze znieść myśli o tym, że syn jej umarł i leży w swym grobowcu. Znów błądziła po ogrodach, zdając się nie zauważać swych cierpliwych dam dworu, które czekały godzinami pod drzwiami. Powietrze w zachodzącym słońcu było chłodne, zapach wistarii zniknął. Wstrząsnęła się i stanęła na chwilę, ciesząc oczy widokiem otaczających ją wspaniałości. Patrzyła na mieniące się baseny, na ocieźałe od purpury przetykanej bielą krzewy, na jasne, złote dachy z rzeźbionymi zwierzętami na zwieńczeniach, na wyłożone kafelkami dróżki i szkarłatne mury. Czyż nie powinno jej wystarczyć, że wszystko to należy do niej? Czegóż więcej mogła oczekiwać? Miała dziedzica, którego sama wybrała. Mały cesarz miał dziewięć lat, był wysoki i smukły jak młody bambus. Jego blada skóra była przezroczysta i zbyt delikatna, ale wolę miał mocną, nie krył, że bardziej kocha Sakotę niż swą cesarską ciotkę i matkę. Dumniejsza od niego była tylko sama cesarzowa. Nie pochylała się, aby zwabić chłopca, nie ukrywała również, że z każdym dniem rośnie w niej niezadowolenie, wywołane zawodem, jaki sprawił jej sercu. Narastający konflikt między piękną, starzejącą się cesarzową i młodym cesarzem wpłynął też na cały dwór, dzieląc dworzan i eunuchów, stawiając jednych przeciw drugim, a w tym podziale ta głupia kobieta, Sakota, zaczynała śnić blade sny o władzy. Ona, która zawsze była najsłabszym, najbardziej nieśmiałym stworzeniem w pałacu! Li Lien-jing któregoś dnia przyniósł cesarzowej plotkę, że jej kuzynka cesarzowa pragnie zająć należne jej miejsce jako małżonka cesarza Sien Fenga, miejsce, które, jak mawiała prywatnie, zagarnięte zostało przez jej kuzynkę.

Cesarzowa śmiała się z tego opowiadania. Śmiała się śmiechem jeszcze serdeczniejszym, kiedy uświadomiła sobie, jakie to absurdalne.

- Doprawdy, kociątko przeciw tygrysowi - powiedziała i nie myślała o tym ani chwili dłużej, nie zganiła również eunucha, który przyłączył się do jej śmiechu.

Jednak w roku tym Sakota spróbowała zaatakować. Zdarzyło się to owego dnia, w którym cały dwór miał oddać hołd przed Wschodnimi Cesarskimi Grobowcami. Kiedy cesarzowa przybyła w południe z całą swą świtą, stwierdziła ze zdumieniem, że Sakota zamierza pierwsza złożyć ofiary przed zmarłym cesarzem Sien Fengiem i tym samym przewodzić wszystkim ceremoniom tego dnia. Cesarzowa przybyła na miejsce uroczystości po starannym przygotowaniu. Pościła poprzedniego dnia, nie przyjmując ani pokarmów, ani wody. Wstała o świcie. Na zewnątrz sali, w której medytowała przez całą długą, samotną noc, czekał Jung Lu z innymi książętami i ministrami, by odprowadzić ją do grobowców. Przez głębokie, wielkie lasy, które otaczały grobowce ośmiu cesarzy, niesiono palankin cesarzowej. Wszyscy podróżowali w milczeniu i przez cały mglisty poranek do jej uszu nie dotarł nawet śpiew ptaka. Zbliżała się z czcią i szacunkiem, rozmyślając o swojej pozycji, o wielkiej ilości ludzi zależnych tylko od niej i o spoczywającym tylko na niej obowiązku obrony ich przed rosnącym w siłę cudzoziemskim wrogiem. Ona, rzadko modląca się do niebios, teraz czyniła to z całego serca, prosząc o mądrość i siłę. Modliła się również, przebierając nefrytowe paciorki buddyjskiego różańca, do cesarskich przodków, aby przewodzili jej w tych zamierzeniach.

Jakież więc czekał ją szok, gdy pogrążona w tym podniosłym nastroju dotarła na miejsce i odkryła, że ta głupia Sakota, namówiona przez księcia Kunga, zawsze teraz zazdrosnego o Jung Lu, znalazła się przed grobami wcześniej. W rzeczy samej Sakota stała już gotowa przed marmurowym ołtarzem, zajmując centralne miejsce, a kiedy cesarzowa zstąpiła z palankinu, uśmiechnęła się lekko złym uśmiechem i wskazała jej ręką, by zajęła miejsce po jej prawej stronie, podczas gdy miejsce po lewej miało pozostać puste.

Cesarzowa rzuciła jedno wyniosłe spojrzenie swych szeroko otwartych czarnych oczu i ignorując zaproszenie Sakoty, weszła bez cienia pośpiechu do pobliskiego pawilonu. Tam usiadła i gestem przyzywała Jung Lu.

- Nie zamierzam nikogo o nic pytać - powiedziała, kiedy przed nią ukląkł - rozkazuję ci jedynie, abys zaniósł wiadomość mojej współregentce, że jeśli natychmiast nie opuści swego miejsca, rozkażę Gwardii Cesarskiej, aby ją pojmała i wtrąciła do więzienia.

Jung Lu zgiął się do ziemi. Następnie z dumą i chłodem, które jak zwykle w tych dniach malowały się na jego przystojnej, choć starzejącej się twarzy, wstał i zaniósł wiadomość Sakocie. Szybko od niej powrócił, padł na kolana przed cesarzową i powiedział:

- Współregentka otrzymała przesłaną przez ciebie wiadomość, Najwyższa, i odpowiada, że miejsce to słusznie się jej należy, ty jesteś bowiem tylko starszą konkubiną. Puste miejsce po jej lewej stronie należy zaś do zmarłej małżonki, jej starszej siostry, która po

śmierci podniesiona została do rangi starszej cesarzowej.

Cesarzowa wysłuchała tego i uniosła głowę wpatrując się w odległe ciemne sosny i rzeźbione w marmurze bestie. Rzekła swym najspokojniejszym głosem:

- Wróć do współregentki z tym samym poleceniem. Jeśli nie ulegnie, rozkaż cesarskim gwardzistom, aby ją zatrzymali, jak również księcia Kunga, w stosunku do którego zawsze byłam zbyt łagodna. Od tej chwili nie będę miała litości dla nikogo.

Jung Lu powstał, wezwał gwardzistów, którzy kroczyli za nim w swych niebieskich uniformach z błyszczącymi włóczniami uniesionymi w rękach, i powtórnie podszedł do Sakoty. Po kilku minutach powrócił oznajmiając, że ustąpiła.

- Najwyższa - powiedział głosem spokojnym i chłodnym - twoje miejsce czeka na ciebie. Współregentka przesunęła się w prawo.

Cesarzowa zeszła wówczas z wysokiego krzesła, majestatycznie podeszła do grobowca i nie patrząc ni w lewo, ni w prawo, zajęła miejsce pośrodku i z pełnym godności wdziękiem spełniała obrzędy. Kiedy je ukończyła, powróciła w milczeniu do pałacu, nie odpowiadając na pozdrowienia ani też nikogo nie pozdrawiając.

Po tym starciu życie w pałacu potoczyło się dalej w pozornym pokoju. Wszyscy jednak wiedzieli, że nie mogło być pokoju między tymi dwiema kobietami, z których każda miała swych zwolenników. Przy cesarzowej stał Jung Lu, a oprócz niego naczelny eunuch, zaś po stronie Sakoty opowiedział się książę Kung - wciąż dumny i nieustraszony, choć stary.

Wynik był pewien, ale czy byłby taki, jaki był, gdyby Jung Lu nie popełnił nieprzewidzianego, nienaturalnego szaleństwa, któż to może wiedzieć? Na jesieni tego roku zaczęła się bowiem szerzyć jak cuchnący wyziew pogłoska, że ten wierny, szlachetny Jung Lu, tak zawsze godny zaufania, uległ miłosnym faworom młodej konkubiny zmarłego cesarza Tung Czy, która pozostała dziewicą, bo pan jej kochał tylko Alutę. Kiedy cesarzowa po raz pierwszy usłyszała z wąskich ust swego eunucha o tej obrzydliwej sprawie, nie chciała uwierzyć.

- Mój krewny?! - zawołała. - Równie dobrze mógłbyś powiedzieć, że to ja robię z siebie głupca!

- Czcigodna - wymruczał Li Lien-jing z obleśnym uśmiechem na twarzy - przysięgam, że to prawda. Cesarska konkubina robi do niego słodkie oczy, kiedy dwór się spotyka. Nie zapominaj, że jest dość ładna i wciąż młoda, w rzeczy samej tak młoda, że mogłaby być jego córką, a on jest w wieku, w którym mężczyźni lubią mieć właśnie kobiety tak młode jak ich córki. Niech Wasza Wysokość pamięta, że nigdy nie kochał kobiety, którą mu dałaś za żonę. Nie - trzy i trzy to zawsze sześć, a pięć i pięć zawsze daje dziesięć.

Cesarzowa nadal jednak śmiała się i kiwała głową, wybierając słodycze z porcelanowej tacy, leżącej na stoliku obok niej. Kiedy jednak kilka miesięcy później eunuch dostarczył jej dowodu, nie potrafiła się śmiać. Li Lien-jing opowiedział, jak jego własny służący podpatrzył kobietę, która ukrywała złożony papier na ołtarzu w jednym z wewnętrznych pomieszczeń cesarskiej świątyni buddyjskiej. Przejął go stąd przekupiony mnich i wrzucił do kadzielnicy, gdzie znalazł go mały eunuch i za opłatą zaniósł do bramy, a tam odebrał go służący Jung Lu. Wszyscy opłacani byli przez konkubinę, która z miłości zrobiła takie głupstwo.

- Wasza Wysokość, racz sama przeczytać - prosił eunuch.

Cesarzowa wzięła pachnącą kartkę. Był to rzeczywiście liścik umawiający schadzkę.

„Przyjdź do mnie godzinę po północy. Dozorca jest przekupiony i otworzy trzecią księżycową furtkę. Tam, za drzewem kasji będzie czekała moja kobieta, która zaprowadzi Cię do mnie. Jestem kwiatem oczekującym deszczu”.

Cesarzowa przeczytała list, złożyła go i ukryła w rękawie. Kiedy się zastanawiała, Li Lien-jing trwał przed nią na kolanach. Na co czeka, pytała samą siebie, skoro ma już dowód w ręce? Była przy Jung Lu tak blisko ciałem i sercem, że każde słowo wypowiedziane przez jedno z nich, przesywało to drugie niczym strzała z łuku. A mur, który pomiędzy nimi wznosiły czas i wydarzenia, rozpadał się natychmiast, kiedy jej serce przemawiało do jego serca. Teraz jednak nie mogła mu wybaczyć.

- Przyrowadź tu Wielkiego Radcę - rozkazała oczekującemu eunuchowi. - Kiedy przyjdzie, zamknij drzwi, zaciągnij zasłony i nie pozwól, aby ktoś wszedł, póki nie usłyszysz, jak uderzam w ten bęben z brązu.

Wstał, zawsze gotów do złośliwości, i pognął z takim pośpiechem, że szaty rozpostarły się za nim jak skrzydła. W czasie krótszym, niż był jej potrzebny na powściągnięcie gniewu, wszedł Jung Lu w długich, niebieskich szatach z kwadratem złotego haftu na piersi, na głowie miał wysoką czapkę koloru złota, a w rękach trzymał długi kawałek rzeźbionego nefrytu, który unosił przed twarzą, kiedy zbliżał się do cesarzowej. Nie dostrzegła jednak jego wspaniałej urody. Siedziała na swym prywatnym tronie w wielkiej bibliotece, ubrana w opadające jej do stóp szaty z purpurowego atłasu haftowanego w cesarskie smoki, w przybraniu głowy ozdobionym świeżymi, białymi kwiatami jaśminu, które roztaczały wokół niej niezrównany zapach, i patrzyła na niego jak na wroga. Nawet on!

Jung Lu chciał klęknąć jak każdy dworzanin, ale cesarzowa zabroniła mu tego.

- Siądź, książę - powiedziała głosem jak najbardziej srebrzystym - i proszę, byś odłożył nefryt. Nie jest to oficjalne wezwanie. Rozmawiam z tobą prywatnie, aby zapytać cię

o list, który wręczyli mi godzinę temu moi pałacowi szpiedzy, którzy, jak wiesz, są wszędzie.

Nie usiadł nawet na jej wezwanie, ale też nie klęknął. Stał przed nią, a kiedy wyjęła z rękawa pachnący list, nie wyciągnął ręki, by go wziąć.

- Czy wiesz, co to jest? - spytała.

- Wiem - odpowiedział, nie zmieniając wyrazu twarzy.

- Nie czujesz wstydu? - spytała.

- Żadnego - odpowiedział.

Upuściła list na podłogę i złożyła ręce na połach swej atlasowej szaty. - Czyż nie czujesz, że jesteś wobec mnie niewierny? - spytała.

- Nie, bo nie jestem niewierny - odparł. A potem dodał: - Daję ci wszystko, czego ode mnie chcesz. Sobie pozostawiam tylko to, czego nie chcesz lub nie potrzebujesz.

Słowa te zmieszały cesarzową tak bardzo, że nie potrafiła znaleźć na nie odpowiedzi. Jung Lu czekał w milczeniu, następnie skłonił się i odszedł, a ona nie zawołała, by został. Siedziała w samotności nieruchoma jak obraz, zastanawiając się nad tym, co powiedział. Nawykła tak bardzo do sprawiedliwego postępowania, że teraz, na przekór swemu sercu, ważyła w umyśle jego słowa. Czyż nie powiedział prawdy? Nie powinna iść tak szybko za podszeptem eunucha. Nie było w królestwie kobiety, której serce nie zabiłoby żywiej na dźwięk imienia Jung Lu. Czy był temu winny? Nie, z pewnością stał ponad miłośkami i animozjami osób z pałacu. Była więc bardzo niesprawiedliwa, dając łatwo wiarę temu, że był niewierny w stosunku do niej, swej władczyni. A czy mogła oskarżać go sprawiedliwie o to, że był mężczyzną? Siedziała zastanawiając się, jakimi nowymi zaszczytami go nagrodzić i zobowiązać w ten sposób do wierności.

Przez dzień czy dwa była nawet niegrzeczna i opryskliwa w stosunku do Li Lien-jinga, który usunął się rozsądnie i postanowił znaleźć inny sposób na zdobycie jej przychylniej uwagi. W kilka tygodni później, w dzień po audiencji, której cesarzowa udzieliła jak zwykle swym księżętom i ministrom, inny eunuch, nie Lin Lien-jing, wręczył jej prywatny memoriał cesarskiego gubernera, Weng T'ung-ho, w którym ów urzędnik pragnął donieść jej o pewnej sprawie natury poufnej. Natychmiast powzięła podejrzenie, że musi to mieć związek z młodą konkubiną, ów gubernier bowiem nienawidził Jung Lu, który kiedyś odniósł się do niego pogardliwie w czasie zawodów łuczniczych, kiedy ten przechwalał się swymi wyczynami, by doznać potem żalosego niepowodzenia, był bowiem skromnej postury uczonym, nie łucznikiem.

Niemniej jednak cesarzowa przeczytała memoriał przesłany w takiej tajemnicy przez gubernera. Człowiek ten pisał, że jeśli o pewnej godzinie pójdzie do prywatnego pokoju

pewnej konkubiny, ujrzy widok, który ją zaskoczy. On, Weng T'ung-ho nie ryzykowałby głową, aby wyjawić tę tajemnicę, gdyby nie zmuszał go do tego obowiązek. Jeśli bowiem skandal w pałacu cesarskim pozostałby nie ujawniony, do czego mogłoby dojść w narodzie, pośród ludzi, dla których cesarzowa jest boginią?

Kiedy cesarzowa przeczytała ten memoriał, odprawiła eunucha uniesieniem ręki i wraz ze służącą udała się szybko do Pałacu Zapomnianych Konkubin, do pokoju, w którym mieszkała młoda dama, konkubina, którą kiedyś wybrała dla swego syna, a której on nigdy nie wezwał.

Cicho otworzyła drzwi, podczas kiedy służące i eunuchowie porażeni jej niespodziewanym pojawieniem się padli na kolana i ukryli twarze w rękawach. Rozwarła szeroko drzwi i ujrzała straszny widok, którego skrycie się obawiała: Jung Lu siedział na wielkim krześle obok stołu, na którym stały tace ze słodyczami i dzban parującego wina. U jego boku klęczała konkubina z rękami złożonymi na jego rękach, podczas kiedy on spoglądał z uśmiechem w dół na jej zakochaną twarz.

Taki widok ukazał się cesarzowej. Poczowała pulsowanie wzburzonej gniewem krwi i ból w piersiach tak silny, że położyła ręce na sercu, by je chronić. Jung Lu podniósł oczy i zobaczył ją. Przez chwilę siedział wpatrując się w nią, a następnie zdjął ręce dziewczyny ze swych kolan, powstał i czekał z rękami założonymi na piersiach, aż spadnie na niego cesarski gniew.

Cesarzowa nie mogła mówić. Stała nieruchomo. I patrzyli tak na siebie, mężczyzna i kobieta, wiedząc w tej chwili, że kochają się wzajemnie miłością tak beznadziejną, nieskończoną i silną, że nic nie zdoła zniszczyć tego, co jest między nimi. Widziała, że jego dumny duch nadal się nie zmienił, że jego miłość jest wciąż nieskazitelna, a to, co robił w tym pokoju, było bez znaczenia w porównaniu z tym, co było między nimi. Zamknęła drzwi tak cicho, jak je otworzyła, i powróciła do swego pałacu.

- Zostawcie mnie w spokoju - rozkazała eunuchom i służącym i dumiała w samotności nad sceną, którą ujrzała. Nie, nie wątpiła w jego miłość i wierność. Ale raniło ją to, że był w pewnej mierze człowiekiem pospolitym - prócz ducha miał także ciało, które domagało się swych praw również od niego, a on mu uległ. - Nawet on - szeptała - nawet on nie jest dostatecznie wielki, by znieść samotność równą mojej.

Czuła ból w skroniach. Ciężko jej przybranie głowy, więc je zdjęła i położyła na stole, gładząc czoło rękami. Słodko byłoby wiedzieć, że dla niej mógłby się oprzeć, że oparł się pokusom, na jakie naraża go ciało. Jej samotność byłaby lżejsza, gdyby wiedziała, że stojąc od niej niżej, dorównał jednak jej swą wielkością.



Tu myśli jej poszybowały wokół świata i odnalazły Wiktorię, angielską królową, której nigdy nie widziała, lecz o której myślała jak o siostrze i zwracała się do niej w sekretnym porozumieniu: „Nawet jako wdowa, siostrze cesarzowo, jesteś szczęśliwsza ode mnie. Śmierć wzięła twą miłość nie splamioną. Nie oszukiwano cię dla głupiej kobiety”.

Ale Wiktorie nie mogła tego słyszeć. Cesarzowa westchnęła, łzy spływały po jej policzkach, spadały jak perły na jej łono i miłość odpływała z jej serca.

Myślałam przedtem, że jestem samotna, mówiła do siebie pośpnie. Ale dopiero teraz wiem, czym jest prawdziwa samotność.

Czas mijał, siedziała dumając i z każdą chwilą mroczna świadomość zupełnego osamotnienia wsączała się do jej duszy, aż wypełniła ją po brzegi goryczą. Znow westchnęła, wytarła łzy i przerywając ten dziwny trans, wstała z tronu. Przemierzała wzdłuż i wszerz wielką salę, nie mogąc jednak myśleć o swym obowiązku i o karze, jaką musi wyznaczyć Jung Lu, jeśli sprawiedliwości ma się stać zadość. A sprawiedliwa była zawsze. I nadal będzie sprawiedliwa w stosunku do wszystkich bez wyjątku.

Następnego dnia, podczas audiencji, która odbywała się wczesnym rankiem przed wschodem słońca, odczytała cesarski edykt głoszący, że Wielki Radca Jung Lu od tej chwili pozbawiony jest wszystkich swych stanowisk i tym samym zwolniony całkowicie z obowiązków na dworze cesarskim. Nie wysunęła przeciw niemu żadnego oskarżenia, nie musiała tego robić, bo wieść o jej odkryciu rozeszła się daleko poza mury pałacu.

Siedziała na Smoczym Tronie, którym zawładnęła, kiedy zmarł jej syn, a ustawieni według swej rangi ministrowie i książęta stali przed nią i słuchali wyroku na swego towarzysza. Nie odzywali się ani słowem. Spojrzenia ich były ponure, bo jeśli mógł upaść ktoś stojący tak wysoko jak Jung Lu, to nikt nie mógł czuć się bezpieczny.

Cesarzowa widziała te spojrzenia, lecz nic nie rzekła. Jeśli nie chroniła jej już miłość, jej bronią musiał być strach. I tak władała samotnie, nie mając nikogo blisko siebie, i bali się jej wszyscy.

A jednak lęk ten nie był jeszcze dostatecznie wielki. W drugim miesiącu księżycowym następnego roku książę Kung podjął się zadania, które było mu nienawistne, ale do którego, jak twierdził, został zmuszony. Pewnego chłodnego wiosennego dnia po audiencji książę Kung prosił o prywatne posłuchanie, łaskę, o którą nie prosił już od dawna. Cesarzowej było to nie w smak - pragnęła szybko opuścić salę audiencyjną i powrócić do własnego pałacu, bo zamierzała spędzić dzień w ogrodach, gdzie pączki śliw zaczęły właśnie nabrzmiewać od wiosennego ciepła. Musiała jednak ulec księciu, bo był jej głównym doradcą i pośrednikiem między nią a coraz bardziej wymagającymi ludźmi Zachodu. Cudzoziemcy lubili księcia

Kunga, wierzyli mu, a cesarzowa kierowana zdrowym rozsądkiem wykorzystywała tę ich wiarę. Dlatego też została w komnacie, a kiedy inni książęta i ministrowie odeszli, książę Kung podszedł i złożony swój zwykły, krótki ukłon, przedstawił, co następuje:

- Wasza Wysokość, nie przychodzę we własnej sprawie, bo dostatecznie mnie wynagrodziłaś swą dotychczasową szczodrobiwością. Teraz odwołuję się do twojej potęgi w imieniu cesarzowej wdowy, twojej współregentki.

- Czy jest chora? - spytała cesarzowa bez większego zainteresowania.

- Istotnie, Wasza Wysokość, można by powiedzieć, że jest chora z powodu wielkiego strapienia. - powiedział książę Kung.

- Cóż to za strapienie? - spytała cesarzowa, wciąż zachowując dystans.

- Wasza Wysokość, nie wiem, czy doszło do twoich uszu, że eunuch Li Lien-jing stał się bezczelny w sposób niemożliwy do zniesienia. Każe nazywać siebie Panem Dziesięciu Tysięcy Lat, tak samo, jak kiedyś nazywano najbardziej zbrodniczego eunucha cesarza Czu-Ju-ciao z dynastii Ming. Wasza Wysokość wie, że tytuł ten oznacza, iż eunuch Li Lien-jing stawia się na drugiej pozycji, zaraz za cesarzem, który jest Panem Dziesięciu Tysięcy Lat.

Cesarzowa uśmiechnęła się chłodno.

- Czy mam być obwiniana za to, jak pałacowy ludek nazywa tego, który jest jego panem? Ten eunuch rządzi nimi dla mnie. To jego obowiązek. Jak bowiem mogę zajmować się drobnymi sprawami mego królewskiego domu, dźwigając ciężar władania państwem i moim ludem? Zawsze znienawidzony jest ten, który rządzi dobrze.

Książę Kung złożył ramiona i nie podniósł oczu wyżej cesarskiego podnóżka, ale jego usta miały zacięty wyraz.

- Wasza Wysokość, gdyby buntował się tylko pałacowy ludek, nie stanąłbym przed Smoczym Tronem. Ale tą, w stosunku do której ów eunuch jest najbardziej grubiański, najokrutniejszy i najbardziej arogancki, jest sama współregentka, cesarzowa wdowa.

- W takim razie - zauważyła cesarzowa - dlaczego moja siostra regentka nie poskarżyła mi się sama? Czy na wiele sposobów nie okazuję jej swej hojności, czy kiedykolwiek nie dopełniłam swych obowiązków w stosunku do niej? Myślę, że nie! Jeśli nie może przewodzić uroczystościom i odprawiać obrzędów, to dzieje się tak dlatego, że zdrowie jej jest słabe, ciało wątłe, a umysł w depresji. Muszę robić za nią to, czego ona robić nie może. To konieczne. Jeśli się uskarża, niech skarży się raczej na mnie.

Podniesioną ręką odprawiła księcia, a on, świadom jej niezadowolenia, nie mógł zrobić nic innego, jak odejść.

Dla cesarzowej dzień był jednak zepsuty. Nie miała już serca do spacerów po

ogrodach, chociaż powietrze odświeżyły niedawne piaskowe burze i między ziemią a niebem nie było nawet chmurki, która zatrzymywałaby promienie słońca. Miast tego schroniła się w odległym pałacu, gdzie rozmyślała otulona płaszczem swej wielkiej samotności. Nie marzyła więcej o miłości, pragnęła już tylko wzbudzać lęk. Jednak lęk musiał być absolutny, jeśli miał być skuteczny. Nie powinna słyszeć nawet słowa skargi - ani na siebie, ani na tych, którzy jej służyli. Uciszy każdy język, który nie będzie jej chwalił. Wciąż jednak wołała posługiwać się łaską, jeśli łaska wystarczała.

Wciąż o tym myśląc, udała się ze swymi paniami do buddyjskiej świątyni w obrębie pałacowych murów i zapaliła kadzidła przed swą ulubioną Kuan Yin. Teraz uciszywszy swe serce, modliła się do bogini, aby ją oświeciła i uczyła łaskawości, by Sakota przebudziła się wreszcie i doceniła okazaną jej łaskawość, tak aby mogła ocalić jej życie.

Wzmocniona modlitwami cesarzowa posłała gońców do pałacu współregentki, anonsując swe przybycie. Udała się tam o zmierzchu i zastała Sakotę leżącą w łóżku pod kołdrą z bursztynowego ałasu.

- Wstałabym, siostrze - powiedziała Sakota swym wysokim, nabrzmiałym skargą głosem - gdyby nie to, że nogi odmówiły mi dzisiaj posłuszeństwa. Mam takie bóle stawów, że nie śmiem się poruszać.

Cesarzowa usiadła na wielkim krześle, które jej podsunięto, i odesłała swe panie, aby być sam na sam z tą słabą kobietą. Kiedy wszyscy wyszli, odezwała się do niej otwarcie, jak wtedy, kiedy były dziewczętami mieszkającymi pod jednym dachem.

- Sakoto - rzekła - nie będę dłużej znosić twego wiecznego uskarżania się przed innymi. Jeśli będziesz z czegoś niezadowolona, przyjdź do mnie, a ja zrobię dla ciebie wszystko, co będę mogła. Nie pozwolę jednak, byś rozsadzała ten pałac od środka.

Czy to książę Kung wlał w tę nierozsądną kobietę jakąś obcą jej siłę, czy też pobudziła ją rozpacz, któż to może wiedzieć? Kiedy bowiem posłyszała te słowa, uniosła się na łokciu, spojrzała na cesarzową pochmurnym wzrokiem i powiedziała:

- Zapominasz, że według prawa stoję ponad tobą, Orchideo. Jesteś uzurpatorką - są tacy, którzy mi o tym mówią. Mam swych przyjaciół i zwolenników, choć tobie się wydaje, że nie mam nikogo!

Gdyby kotka skoczyła na tygrysię, cesarzowa nie byłaby bardziej zdumiona. Powstała z krzesła, podbiegła do Sakoty, chwyciła ją za uszy i potrząsnęła.

- Ty... ty słaby robaku! - wykrzyknęła zgrzytając zębami. - Ty niewdzięczna, nędzna idiotko, dla której jestem nazbyt grzeczna...

Sprowokowana tym Sakota wyciągnęła szyję i ugryzła cesarzową w mięsistą

podstawę kciuka, wczepiając się w nią zębami tak, że cesarzowa musiała rozewrzeć jej szczęki siłą. Krew spływała po jej nadgarstku i padała kroplami na żółtą, cesarską szatę.

- Wcale nie jest mi przykro - bełkotała Sakota. - Cieszę się. Teraz widzisz, że nie jestem bezbronna.

Cesarzowa nie odrzekła ani słowa. Ściągnęła jedwabną chustkę z nefrytowego guzika na ramieniu i owinęła ją wokół zranionej ręki. Potem, wciąż bez słowa, odwróciła się i majestatycznym krokiem skierowała do wyjścia. Na zewnątrz z uszami przyciśniętymi do drzwi tłoczyli się eunuchowie i służące. Teraz wszyscy odskoczyli do tyłu, a jej panie, stojące w pobliżu z ponurymi minami i przerażonymi oczami, skłoniły się w milczeniu, kiedy przechodziła, i ruszyły za nią, bo któż śmiałby nie okazać szacunku, kiedy królewska tygrysica ruszała do walki?

Cesarzowa wróciła do swego pałacu. Głęboką nocą, po długich, samotnych rozmyślaniach, przyciskając zranioną dłoń do piersi, uderzyła w srebrny gong, którym przyzywała Li Lien-jinga. Wszedł i stanął przed nią. Byli z sobą tak związani, że zawsze znajdował się gdzieś blisko niej. Teraz dzięki usługom uszom wiedział już, co ją spotkało.

- Wasza Wysokość, ręka musi sprawiać ci ból - powiedział.

- Tak - rzekła. - Zęby tej kobiety zawierały chyba jad żmii.

- Pozwól, bym opatrzył twą ranę - powiedział. - Nauczyłem się tego od mojego zmarłego wuja, który był lekarzem.

Zezwoliła więc, aby zdjął chustkę - zrobił to nad wyraz delikatnie. Najpierw nalał do miski gorącej wody z kociołka stojącego na koszu z płonącymi węglami, następnie dolał zimnej, by uzyskać temperaturę nie wyższą od temperatury ciała. Kiedy woda rozpuściła i wypłukała skrzepłą krew, wymył jej rękę do czysta i osuszył ręcznikiem.

- Czy Wasza Wysokość zniesie więcej bólu? - spytał.

- Musisz pytać? - odpowiedziała.

- Nie - odrzekł.

Wziął z kosza węgielek, chwytając go kciukiem i palcem wskazującym i przycisnął go do jej rany, by ją oczyścić. Nie skrzywiła się i nie jęknęła. Następnie upuścił węgielek, otworzył pudełko, które wskazała, wybrał z niego czystą, białą jedwabną chustkę i znów zawinął jej rękę.

- Trochę opium tej nocy, Wasza Wysokość - powiedział - a do jutra ból zniknie.

- Tak - powiedziała niedbale.

Stał więc czekając, podczas kiedy ona wydawała się o czymś dumać, jak gdyby zapomniała o palącej ręce. W końcu powiedziała:

- Kiedy w ogrodzie znajduje się szkodliwe zielsko, czyż nie należy go wyrwać z korzeniami?

- Istotnie, tak należy uczynić - zgodził się.

- Niestety - rzekła - mogę polegać jedynie na tym, który jest mi najwierniejszy.

- To ja nim jestem - odpowiedział.

Ich spojrzenia skrzyżowały się. Patrzyli na siebie przez krótką chwilę, po czym eunuch skłonił się i wyszedł.

Wezwała wówczas swą służącą, która przygotowała jej fajkę z opium i pomogła jej się położyć. Cesarzowa wdychając słodki dym zapadła w sen bez marzeń.

W dziesiątym dniu tego samego miesiąca Sakota, cesarzowa wdowa, zapadła na dziwną, gwałtowną chorobę, której nie mogły powstrzymać żadne wysiłki nadwornych lekarzy. Zanim ich remedia zdążyły dotrzeć do najważniejszych organów, zmarła cierpiąc niewysłowione męki. Na godzinę przed śmiercią, kiedy wiedziała już o czekającym ją losie, ożywiła się i wezwała pisarza - podyktowała mu edykt, który miał być rozesłany po jej śmierci. Pisała w nim:

„Chociaż ciało mam silne i wyobrażałam sobie, że dożyję późnego wieku, powaliła mnie wczoraj nieznana, niezmiernie bolesna choroba, a teraz okazuje się, że muszę opuścić ten świat. Nadchodzi noc, przysły wszelkie nadzieje, mam czterdzieści pięć lat. Przez dwadzieścia lat zajmowałam wysokie stanowisko regentki cesarstwa. Otrzymałam wiele tytułów i nagród za cnotę i łaskawość. Dlaczego miałabym więc lękać się śmierci? Proszę tylko, by dwadzieścia siedem dni zwykłej żałoby zmniejszono do dwudziestu dni, aby oszczędność i wstrzeźliwość, w jakich żyłam, naznaczyły również mój koniec. Nie życzyłam sobie przepychu i próżnej okazałości, kiedy żyłam, nie chcę ich podczas mojego pogrzebu”.

Edykt rozesłał książę Kung w imieniu zmarłej. Cesarzowa nic na to nie powiedziała, chociaż wiedziała, że ostatnie słowa Sakoty wyrzucały jej rozrzutność i miłość piękna. W głębi serca zachowała jednak urazę i kiedy któregoś roku nowa klęska spadła na naród, skorzystała z tej okazji, by oskarżyć księcia Kunga. Okoliczności były następujące. Francuzi rościli sobie prawo do prowincji Tong-king, którą uważali za swą zdobycz, a kiedy cesarzowa wysłała rzeką Min flotyllę chińskich dżonek, aby ich wyprzeć, Francuzi zniszczyli flotę i odnieśli zwycięstwo. Cesarzowa zawrzała strasznym gniewem i własnoręcznie napisała edykt, w którym oskarżyła księcia Kunga o nieudolność, jeśli nie o zdradę, a chociaż słowa jej były łagodne i pełne miłosierdzia, cios zadała poważny. Pisała tak:

„Uznajemy dawne zasługi księcia Kunga, i dlatego, w drodze łaski, pozwolimy, by

zatrzymał swój dziedziczny tytuł książęcy i związane z nim dochody, ale pozbawiamy go wszystkich urzędów i podwójnego wynagrodzenia”.

Oprócz księcia Kunga cesarzowa zdymisjonowała także kilku jego kolegów. Na jego miejsce powołała księcia Cz’una, męża swej siostry i ojca małego cesarza, a z nim awansowała wybranych przez siebie książąt. Członkowie jej klanu nie byli zadowoleni, bo w ten sposób książę Cz’un został naczelnikiem państwa, podległym jej rozkazom. Bali się, że ustanowi on własną dynastię, prze-chwytyjąc dynastię T’ung Czy. Ale cesarzowa nie bała się nikogo na ziemi i na niebie. Jej wrogowie odeszli, a ona w swej samotnej dumie uciszała wszystkich, którzy się jej sprzeciwiali. Była jednak zbyt rozsądna, by srożyć się bez przyczyny, więc kiedy cenzor Er-siin przysłał jej memoriał, w którym stwierdzał, że jeśli książę Cz’un otrzyma tak dużą władzę, to Wielka Rada będzie bezużyteczna, pamiętała, że ów cenzor był dobrym, prawym człowiekiem, bardzo doświadczonego, gdyż zajmował ongiś stanowiska wicekróla Mandżurii i Seczuanu, i odpowiedziała mu łagodnie. W edyktie, który kazała rozesłać do wszystkich prowincji cesarstwa, zwróciła uwagę, że książę krwi nigdy nie powinien mieć takiej władzy, jaką dała księciu Kungowi. Była jednak zmuszona uciec się do wszelkich możliwych sposobów, by wykonać swe wielkie zadanie i przywrócić narodowi jego dawną siłę i chwałę. Powiedziała ponadto, że książę Cz’un mianowany został tylko czasowo. Swój edykt zakończyła w sposób następujący:

„Nie zdajecie sobie sprawy, wy, książęta i ministrowie, jak wielkie i liczne są problemy, które cesarzowa musi rozwiązywać w samotności. Wielka Rada nie powinna więc traktować wyniesienia księcia Cz’una jako wymówki dla zawężenia zakresu swej odpowiedzialności. Na koniec zaś życzymy sobie, aby w przyszłości ministrowie zwracali większą uwagę na motywy leżące u podstawy działań ich władczyni i wstrzymali się z kłopotaniem jej swymi kłótliwymi skargami. Tym samym wystąpienie autora memoriału zostaje odrzucone”.

Miała zwyczaj pisać językiem prostym i dosadnym, bez zbędnych ceremonialnych słów, więc kiedy ministrowie i książęta otrzymali ów edykt, zaniemówili. I trwali w tym milczeniu, a ona rządziła przez następnych siedem lat jako władca absolutny i łaskawy.

Były to dobre lata. Cesarzowa, otoczona ciszą książąt i ministrów, udzielała niewielu audiencji. Niemniej troskliwie przestrzegała etykiety i brała pod uwagę życzenia swego ludu. Ogłaszała tradycyjne uroczystości i zezwalała na wiele świąt, a niebiosa patrzyły przychylnie na jej panowanie, bo przez wszystkie te lata nie było powodzi ani suszy, a plony były obfite. Nigdzie też, na całym obszarze cesarstwa, nie toczyła się wojna. Na rubieżach imperium jej cudzoziemscy wrogowie utrzymywali swe pozycje, ale nie przystępowali do walki. A

ponieważ władała wzbudzając lęk, poddani nie przesyłali jej niepokojących wieści, a doradcy kryli się ze swymi wątpliwościami.

Ciesząc się takim spokojem, cesarzowa mogła wreszcie przystąpić do realizacji swego marzenia - budowy nowego letniego pałacu. Kiedy ogłosiła wszędzie o swym życzeniu, poddani pośpieszyli wysyłać dary ze złota i srebra, a prowincje podwoiły swoje daniny. Nie pozwoliła jednak, aby ktokolwiek pomyślał, że jej marzenie służyć ma tylko jej samej. W edyktach, które pisała w formie listu do poddanych, przesyłała im podziękowania i podkreślała, że letni pałac będzie jej schronieniem, kiedy odda tron prawemu dziedzicowi, Kuang Sii, młodemu cesarzowi, jej siostrzeńcowi i adoptowanemu synowi. Zapowiedziała, że uczyni to, kiedy tylko skończy on siedemnasty rok życia.

W ten sposób udało się jej przekonać poddanych, że kierują nią wyłącznie czyste i szlachetne pobudki, sama zresztą głęboko w to wierzyła. Kiedy więc spędzała czas na projektowaniu i doglądaniu budowy radujących serce, wspaniałych, pięknych gmachów, czuła, że spełnia przyjemny obowiązek. Postanowiła wznieść swój letni pałac tam, gdzie kiedyś znajdował się pałac cesarza Cz'ien Lunga. Cesarz ów stworzył te przeznaczone do wypoczynku budowle na życzenie swej matki, która odwiedziła kiedyś Hangczou, miasto najwyższej piękności, i zachwyciła się tamtejszymi cudownymi gmachami. Syn jej, Cz'ien Lung, obwieścił, że zbuduje dla niej podobne pałace poza murami Pekinu. W ten sposób powstał ów niezapomniany Pałac Letni, który cesarz wyposażył we wszystkie wygody i ozdobił, gromadząc w nim skarby pochodzące z całego świata. Jednak wszystko zniszczyli cudzoziemscy żołnierze, pozostawiając jedynie niepokorne ruiny.

Właśnie to miejsce wybrała cesarzowa, spełniając nie tylko swoje marzenie, ale wskrzeszając marzenia cesarskich przodków. Z niezrównanym smakiem włączyła do swego projektu Świątynię Dziesięciu Tysięcy Budd, którą wzniósł Cz'ien Lung, a której cudzoziemcy nie zniszczyli, oraz pawilony z brązu, których nie strawiły płomienie. W projekcie swym ujęła również jasne, spokojne jezioro. Pozostałych ruin nie chciała zabudować ani usuwać. Niech zostaną, powiadała, na pamiątkę. Niech skłaniają ludzkie umysły do zadumy nad końcem życia i nad tym, że każdy pałac zniszczyć może czas i nieprzyjaciel.

W pobliżu południowo-wschodniego krańca jeziora postanowiła wznieść swój własny pałac, w którym ona i cesarz mogliby mieszkać osobno, ale w niewielkim tylko oddaleniu. Umieściła tam również duży teatr, aby gdy nadejdzie starość, mogła oddawać się ulubionym rozrywkom, a w pobliżu marmurowych bram z dachami z niebieskiej dachówki zbudowała salę audiencyjną, bo nawet w czasie wakacji, mówiła, władca musi być gotowy do

wysłuchania głosów ministrów i książąt.

Po stronie zachodniej cesarska pani wzniosła swój dom. Komnaty zakończone wysuniętymi werandami podparte zostały filarami, między którymi lubiła spacerować w zamyśleniu. Kiedy padał deszcz, przystawała przy oknach, aby przypatrywać się parującym wodom i mokrym cyprysom. Poleciała, aby w lecie wonne dywany świeżej trawy pokrywały dziedzińce, które uważała niemal za swe zewnętrzne pokoje. Ozdobiła je skalnymi ogródkami i mnóstwem kwiatów, spośród których wciąż lubiła najbardziej małe, zielone orchidee, których imię nosiła będąc dzieckiem. Wzdłuż jeziora zbudowała długi na milę, obrzeżony filarami korytarz. Lubiła się nim przechadzać, przypatrując się wzgórzom piwonii, dzikim jabłoniom, oleandrom i granatom. Z rosnącą namiętnością kochała piękno, bo piękno, mówiła sobie, tylko piękno jest czyste i zasługuje na jej miłość.

Zachęcona przyzwoleniem swego ludu cesarzowa beztriosko otaczała się przepychem. Jej cesarskie łoże zasłane było złotym ałtusem, na którym najznakomitsze hafciarki wyszyły chmurę frunących feniksów. Z całego Zachodu ściągala dla swej rozrywki złote zegary inkrustowane klejnotami. Niektóre z nich skonstruowano nad wyraz przemyślnie - wyposażono w ptaki, które śpiewały, koguty, które piały, inne zaś stały nad strumykami z bieżącą wodą poruszającą ukryte koła. Jednak oprócz takich zabawek gromadziła również bibliotekę, której zazdrościli jej najwięksi uczeni, i nigdy nie zaprzestała czytania książek.

Ukołysana pięknem pozwoliła przemykać latom, aż pewnego dnia eunuch, którego obowiązkiem było przypomnianie jej o sprawach, którym powinna poświęcić swą uwagę, poprosił, by nie zapomniała, że młody cesarz, jej siostrzeniec, jest bliski ukończenia siedemnastego roku życia i że powinna wybrać mu małżonkę. Cesarzowa zajęta była tego dnia doglądaniem postępów w budowie nowej pagody, którą zaprojektowała, aby podkreślić piękno wzniesienia znajdującego się za pałacem. Mimo tego zrozumiała natychmiast, że Li Lien-jing ma rację i że nie powinna dłużej zwlekać z małżeństwem następcy tronu. Ileż troski poświęciła wyborowi małżonki dla swego prawdziwego syna! Teraz nie przywiązywała do tego takiej wagi, wiedząc jedynie, że musi wybrać dziewczynę, która będzie zawsze wierna jej jako cesarzowej, dziewczynę niepodobną do Aluty, która nazbyt kochała swego pana.

- Chcę już tylko spokoju - powiedziała cesarzowa do Li Lien-jinga. - Wymień mi kilka znanych ci dziewcząt, które nie będą kochały mego siostrzeńca tak, jak Aluta kochała mego syna. Nie zniosę już zmagania. Nie chcę kłopotać się ani miłością, ani nienawiścią.

Widząc, że Li Lien-jingowi, który stawał się otyły, klęczenie sprawia trudność, kazała mu usiąść i odpoczywając przez chwilę, pomyśleć o nazwiskach, które ma polecić. Wielki eunuch usłuchał z zadowoleniem, wachlował się sapiąc i wzdychając, bo było zbyt gorąco jak



na wiosnę, a wszystkie krzewy i drzewa obsypały się już wczesnym kwieciami.

- Wasza Wysokość - powiedział po namyśle - czyż małżonką cesarza nie mogłaby zostać ta dobra, prosta dziewczyna, córka twego brata, księcia Kuei Hsianga?

Cesarzowa klasnęła z aprobatą w dłonie, rzucając na brzydką twarz swego niewolnika spojrzenie pełne uznania.

- Dlaczego o niej nie pomyślałam? - odpowiedziała. - To najlepsza spośród moich młodszych dam dworu, cicha i usłużna, skromna i zawsze bardzo mi oddana. Jest moją ulubienicą... dlatego, mówiąc otwarcie, że mogę zapomnieć, że żyje!

- A cesarskie konkubiny? - dopytywał się Li Lien-jing.

- Wymień mi kilka ładnych dziewczyn - powiedziała niedbale, podnosząc oczy na wysoką iglicę pagody górującą nad sosnami. - Byleby były głupie - dodała.

Eunuch odrzekł po namyśle:

- Wicekról Kantonu, Wasza Wysokość, zasługuje na nagrodę za poskramianie buntowników, którzy niepokoją południowe prowincje. Ma on dwie córki, jedną ładną, drugą otyłą, obie głupie.

- Mianuję je - powiedziała cesarzowa tym samym niedbałym tonem. - Proszę, sporządź dekret - dodała.

Otrzymawszy to polecenie, Li Lien-jing podniósł się sapiąc i wzdychając, a ona uśmiechała się do niego. Był z tego bardzo rad i zapewniał ją, że ona, Stary Budda, nie musi się kłopotać, bo zorganizuje wszystko tak, aby mogła ukazać się dopiero w dniu zaślubin.

- Cóż to - pogroziła mu palcem ozdobionym inkrustowaną rubinami tarczką ochronną na paznokcie. - Jak śmiesz nazywać mnie Starym Buddą!

- Wasza Wysokość - powiedział sapiąc - tak nazywają cię poddani od czasu, kiedy zeszłego lata wymodliłaś deszcze.

Prawdą było, że ostatniej zimy nie spadł śnieg, a przez całą wiosnę niebo miało barwę niebieskiego szafiru i nawet w lecie nie spadły deszcze. Cesarzowa zarządziła wówczas modły i posty. Sama modliła się i pościła, każąc to robić również całemu dworowi. Na trzeci dzień Budda uległ, niebo zaciągnęło się i spadły gwałtowne deszcze. Szczęśliwi ludzie wybiegli na ulicę, łowiąc ustami błogosławione krople deszczu, opłukując ręce i twarze. I wielbiąc cesarzową za jej moc zdolną pokonać nawet bogów, wykrzykiwali:

- Ona jest naszym Starym Buddą!

Od tego czasu naczelny eunuch zawsze nazywał ją Starym Buddą. Wiedziała, że to tylko pochlebstwo, ale lubiła je. Stary Budda! Było to najwyższe miano, jakie ludzie mogli nadać swemu władcy, oznaczało bowiem, że uważają go za boga. A ona zdążyła już dawno

zapomnieć, że kiedykolwiek była kobietą. W wieku lat pięćdziesięciu pięciu była istotą, która wzniosła się ponad wszystkich, ponad kobiety i mężczyzn, tak jak Budda.

- Wynoś się - powiedziała, śmiejąc się. - Co jeszcze wymyślisz, ty potworze!

Kiedy odszedł, błąkała się samotna pośród bajkowych ogrodów, które stworzyła, a słońce padało na jej piękną, starzejącą się twarz i połyskliwe szaty, jakie lubiła nosić. W pewnej odległości za nią - jak tego teraz zawsze wymagała, postępowały jej damy dworu przypominające rój unoszących się motyli.

Zbliżał się dzień ślubu, dzień fatalny, któremu nie pobłogosławiły niebios. Znaki nie były dobre. Poprzedniej nocy potężny wiatr z północy poszarpał dach z rogoży, który eunuchowie wzniesli nad wielkim wejściowym dziedzińcem Zakazanego Miasta, gdzie z rozkazu cesarzowej miały się odbyć ceremonie ślubne. Świt wstał szary i ciemny, wcześniej zaczął padać deszcz, niebo było bezlitosne. Czerwone weselne świece nie chciały się zapalić, a słodycze były miękkie od wilgoci. Kiedy panna młoda weszła na wielki dziedziniec i zajęła miejsce obok pana młodego, ten odwrócił głowę, aby pokazać swe niezadowolenie, a cesarzowa widząc, jak obraził tę, którą dla niego wybrała, z takim wysiłkiem starała się opanować, że poczuła, jak krew wrze w jej żyłach, a gniew wnika w głąb jej serca i zamienia się w gorzką, śmiertelną nienawiść do bratanka za to, że mógł się jej sprzeciwić. Siedział tam, wysoki, blady, trzciniowaty słabeusz, z twarzą bez zarostu, z rękami zbyt delikatnymi i zawsze drżącymi, a jednak uparty! Oto następca tronu, którego wybrała! Jego słabość była dla niej wyrzutem, jego uparta wola była jej nieprzyjacielem. Tak oto, kiedy łzy spływały po ziemistych policzkach panny młodej, ją samą trawił potajemny gniew.

Przystąpiono do obrzędów. Cesarzowa przez cały czas sprawiała wrażenie obojętnej, a kiedy dzień się skończył, opuściła Zakazane Miasto i powróciła do Pałacu Letniego, który odtąd miał być jej domem.

Stamtąd, gdy rozpoczął się pierwszy miesiąc jej pięćdziesiątego szóstego roku życia, ogłosiła w deklaracji do narodu, że po raz drugi rezygnuje z regencji. Odtąd cesarz będzie władał samodzielnie z wyżyn Smoczego Tronu, ona zaś usunie się z Zakazanego Miasta. Tak też zrobiła. Jeszcze w tym samym miesiącu przeniosła do Pałacu Letniego wszystkie swoje skarby, sądząc, że przyjdzie jej tam żyć i umrzeć, mimo że wielu książąt i ministrów starało się odwieść ją od tej decyzji. Błagali ją, aby choćby jedną ręką trzymała wodze imperium, bo cesarz, twierdzili, jest uparty i miękki zarazem, co stanowi groźne połączenie samowoli i uległości.

- Za bardzo ulega wpływowi swych nauczycieli, K'ang Ju-weiowi i Liang Cz'i-Cz'ao - mówili.

- A ponadto zbyt wiele czasu poświęca swym zagranicznym zabawkom - dodawał naczelny cenzor. - Jeszcze teraz, choć jest już mężczyzną żonatym, młody cesarz siedzi przy swych kolejkach, nakręcając je kluczem lub rozpalając ogień w ich małych kotłach, aby zobaczyć, jak jada po swych drogach. Wątpimy, by to była tylko zabawa. Obawiamy się, że planuje wybudowanie zagranicznych żelaznych dróg na naszej starodawnej ziemi.

Zaśmiała się z nich, myśląc z radością, że strząsnęła z siebie troski i obowiązki.

- Teraz jest to wasza sprawa, moi panowie i książęta - oświadczyła. - Róbcie, co chcecie ze swym młodym władcą i pozwólcie mi odpocząć.

Spoglądali po sobie ponuro, zmartwieni tym bardziej, że książę Kung i Jung Lu nie mieli wstępu na dwór.

- Czy zechcesz jednak nam pomóc, jeśli nasz młody cesarz będzie nas zupełnie ignorował? - dopytywali się. - Racz pamiętać, Wasza Wysokość, że on lęka się tylko ciebie.

- Nie jestem w innym kraju - powiedziała kpiąco. - To tylko dziewięć mil stąd. Mam swych eunuchów, szpiegów i dworzan. Nie pozwolę, aby cesarz ściał wasze głowy dopóty, dopóki będę wiedziała, że jesteście mi wierni.

Jej wielkie oczy błyszczały i rzucały iskry, a wargi, wciąż czerwone jak sama młodość, uśmiechały się, kiedy mówiła do nich żartobliwie i kpiąco. Widząc ją w tak wysmienitym humorze, uspokoili się i odeszli.

Znów pozwoliła spokojnie przebiegać latom, chociaż potajemnie czuwała nad wszystkim, trzymając swych szpiegów w każdym pałacu. Wiedziała więc, że młody cesarz nie kocha swej pospolitej małżonki, że kłóci się z nią i że zwrócił się ku swym dwom konkubinom, Perle i Lśnieniu.

- Ale one są głupie - donosił jej Li Lien-jing w swym codziennym sprawozdaniu. - Nie musimy się ich obawiać.

- Zdeprawują go - powiedziała obojętnie. - Nie wiąże z nim żadnych nadziei, jak zresztą z żadnym mężczyzną. - Powiedziała to tonem obojętnym, ale przez chwilę jej wielkie oczy zblakły i utraciły światło. - No cóż - westchnęła, podniosła się i odwróciła głowę.

Jej rozkazy potrafiły jednak być równie stanowcze jak rozkazy każdego innego władcy. Kiedy książęta jej własnego Klanu Jehonala domagali się w memoriale, by nadała wyższy tytuł księciu Cz'unowi, ojcu cesarza - dzięki temu cesarz mógłby okazać mu swe synowskie przywiązanie i zgodnie z prawem pokoleń uznać go za stojącego wyżej od siebie - nie zgodziła się na to. Nie, cesarska linia miała iść przez nią, a nie przez kogoś innego; Kuang Su był jej synem przez adopcję, ona zaś była cesarską antenatką. Zrobiła to jednak z dawnym wdziękiem, nie raniąc księcia Cz'una, którego wiele lat temu wybrała na męża dla swej

siostry. Chwaliła księcia, mówiła o jego niezmiennej wierności, podkreślając, że on sam, będąc tak skromnym, nie przyjąłby takiego wyróżnienia.

„Zawsze, gdy chciałam mu udzielić specjalnego przywileju - pisała w królewskim dekrete - odmawiał mi ze łzami w oczach. Dawno temu zezwoliłam mu na używanie lektyki z jedwabnymi zasłonami w cesarskich, złotomorelowych barwach, by podnieść jego rangę, ale on nigdy z tego nie skorzystał. Dowodzi to jego skromności i wierności w stosunku do mojego ludu i w stosunku do mnie”.

Niestety, w kilka lat po ukazaniu się tego dekretu znakomity książę zachorował śmiertelnie. Cesarzowa tak bardzo przywykła do spokoju i wypoczynku, że nie pofatygowała się nawet, by go odwiedzić, chociaż był jej cesarskim szwagrem. Cenzorzy przypomnieli jej o tym obowiązku, co tak ją rozzłościło, że kazała im pilnować własnych spraw, bo sama wie najlepiej, co powinna, a czego nie powinna robić. Niemniej pobudzona własnym gniewem odwiedziła księcia Cz'una i odwiedzała go potem często, dopóki nie zmarł następnego lata. W dekrete, który wydała po jego śmierci, chwaliła go za znakomite wykonywanie obowiązków cesarskiego szambelana, dowódcy floty i dowódcy Mandżurskich Oddziałów Lądowych, którymi to obowiązkami sama go kiedyś obciążyła.

Mijały lata i zbliżał się ów poranek, w którym cesarzowa miała świętować swe sześćdziesiąte urodziny. Z niezrównanym zapalem kończyła budowę letniego pałacu, gdzie otoczona pięknem i spokojem chciała przeżyć swe ostatnie lata. Na jej życzenie, któremu nawet cesarz nie śmiał odmówić, opróżniano skarbce wszystkich ministerstw, aż na koniec, kiedy budowa zbliżała się już do końca, przyszedł jej do głowy jeszcze jeden pomysł. Zapragnęła zbudować na środku jeziora wielki, biały, marmurowy statek, połączony z brzegiem marmurowym mostem. Ale skąd wziąć na to pieniądze? Cesarz wzdychał i zatroskany potrząsał głową, kiedy otrzymywał od niej monity.

Tym razem ośmielił się przekazać jej swe wątpliwości, ubierając je w słowa pełne synowskiego oddania. Jednak ona wpadła w gniew tak potężny, że podarła kartki welinowego papieru, rzuciła je wysoko nad głowę, a kiedy trzepocząc spłynęły na ziemię, rozkazała eunuchowi, by je zmiotł i wyrzucił do kuchennego pieca.

- Mój leniwy bratanek wie, gdzie są pieniądze - krzychała.

Kiedy odmawiano jej czegoś albo zwlekano z wykonaniem jakiegoś jej polecenia, pozwalala sobie teraz, na progu starości, na taką gwałtowność i napady złego humoru, jakie kiedyś zdarzały się jej tylko w dzieciństwie. Wszyscy zdumiewali się, widząc ją w tym stanie, i tylko Li Lien-jing potrafił ją uspokoić.

- Powiedz, Wasza Wysokość - powiedział, oddychając ciężko i astmatycznie -

powiedz tylko, gdzie są pieniądze, a dostaniesz je.

- Jak to, ty wielki, świszczący worze - zawołała. - Przecież istnieją nie wykorzystane fundusze w skarbcu marynarki wojennej.

Istotnie - w skarbcu tym leżały miliony dolarów, ulokowane w srebrnych sztabach: Znalazły się tam nie bez przyczyny. Otóż właśnie w tych latach karły zamieszkujące wyspy wschodnich mórz zaczęły zagrażać wybrzeżom. Wyspiarze ci obeznani byli ze statkami i z wodą, podczas kiedy Chińczycy jako mieszkańcy lądu nie mieli zbyt wielu statków poza ciężkimi dżonkami, na których żyły rybackie rodziny lub przybrzeżni kupcy. Dżonki te potrafiły jedynie pływać ociężale wzdłuż wybrzeży. Tymczasem karły, jak Chińczycy nazywali Japończyków, nauczyły się budować zachodnie, żelazne parowce, na których, tak jak biali ludzie, umieszczali działa. Zaalarmowani tym bogaci Chińczycy z całego kraju zebrali wiele pieniędzy i ofiarowali je swym władcom - najpierw cesarzowej, kiedy była regentką, a teraz cesarzowi - mówiąc, że pieniądze owe powinny zostać przeznaczone na wybudowanie nowej floty, składającej się wyłącznie z żelaznych okrętów z zagranicznymi działami na pokładach, aby można było odeprzeć wyspiarzy, kiedy zaatakują.

- Dlaczego mielibyśmy obawiać się tych karzełków? - powiedziała cesarzowa z wielką pogardą. - Jedyne, co mogą zrobić, to niepokoić nasze wybrzeża, bo nasz lud nie pozwoli im na marsz w głąb kraju. To szaleństwo wydawać dobre złoto na zagraniczne okręty, nie bardziej pożyteczne od zabawek, którymi tak lubił bawić się mój siostrzeniec, kiedy był dzieckiem - i którymi, jak słyszałam, wciąż się bawi.

Kiedy przeczytała wiadomość od cesarza i podarła ją na fruujące strzępki, powiedziała:

- Śmiem twierdzić, że mój siostrzeniec pragnie tych okrętów, bo są dla niego niczym zabawki, którymi można pływać po morzach. Chce w ten sposób zmarnować cesarskie skarby.

Była tak uparta, że cesarz uległ w końcu wbrew radom swych nauczycieli i otrzymała swą marmurową łódź. Planowała urządzić na niej uroczystości związane ze swymi sześćdziesiątymi urodzinami. W dziesiątym miesiącu księżycowym tego roku wszystko było już zaplanowane: trzydzieści dni zabaw, dekret ogłaszający święto dla całego narodu oraz wiele nagród i odznaczeń dla jej wiernych poddanych. Aby opłacić tak wielkie uroczystości, poproszono urzędników państwowych, by ofiarowali cesarzowej jedną czwartą swych rocznych zarobków, a sama cesarzowa oświadczyła, że gotowa jest przyjąć podarki pieniężne jeszcze przed urodzinami, aby wszyscy mogli się cieszyć ucztami i sztukami teatralnymi.

Sama zaś postanowiła w swym sercu ofiarować sobie specjalną przyjemność. Przez

wszystkie te lata, które minęły od czasu, gdy Jung Lu musiał opuścić dwór, przyjąwszy miłość samotnej konkubiny, nie widziała nawet jego twarzy. Teraz konkubina nie żyła, a cesarzowa odkryła, że jej gniew również umarł i został pochowany wraz z tą kobietą, więc nie było powodu, by się dłużej karała, karząc tego jedyne, którego nadal kochała ponad wszystko. Przekroczyła już wiek kochanków, więc ona i Jung Lu znów mogliby zostać przyjaciółmi, dwojgiem krewnych. Pozwoliła w końcu, by jej przenikliwym umysłem zawładnęło uczucie. Słabe echo ciepła poruszyło nawet popioły jej serca i słodko jej było myśleć o tym, że znów zobaczy jego twarz, że będą mogli usiąść i zapominając o swych wzajemnych szaleństwach, rozmawiać o tym, kim są teraz - ona zbliżająca się do sześćdziesiątego roku życia, on już poza tą granicą. Wysłała do niego pismo, ale nie w formie dekretu.

„Nie chcę nazywać tego listu dekretem - pisała, znacząc stronę zdecydowanymi, ale delikatnymi pociągnięciami pędzelka. - Niechaj będzie pozdrowieniem i zaproszeniem, nadzieją, że znów spotkamy się ze spokojnymi sercami i z mądrą myślą. Przybądź więc przed uroczystością moich sześćdziesiątych urodzin. Spędźmy razem godzinę, zanim znów wrócę do swych obowiązków”.

Postanowiła, że to spotkanie odbędzie się jeszcze przed jej urodzinami, po południu w jej prywatnej bibliotece. A ponieważ wiedziała, że Jung Lu gardzi eunuchami, pod pretekstem pilnych zakupów oddaliła od siebie nawet Li Lien-jinga, prosząc, aby przyjrzał się nowym nefrytom, które nadeszły z Turkiestanu. Było jasne popołudnie, późna jesień, dzień ciepły i bezwietrzny. Słońce zalewało złotem pałacowy dziedziniec i lśniło na tysiącach późnych chryzantem. Był już wprawdzie dziesiąty miesiąc roku, ale pałacowi ogrodnicy powstrzymywali rozwój pączków, aby na cesarskie urodziny kwiaty były w największym rozkwicie. Cesarzowa siedziała spokojnie w bibliotece, w szatach z żółtego aksamitu wyhaftowanego w niebieskie feniksy, trzymając na kolanach złożone ręce.

O godzinie trzeciej usłyszała odgłos kroków. Panie jej otwały szeroko drzwi i w korytarzu, ponad ich głowami, ujrzała wysoką postać Jung Lu. Ku swemu przerażeniu poczuła, że jej stare serce znów obudziło się do życia. „Och, ucisz się serce” - wyszeptała, patrząc, jak nadchodzi. Wciąż jest najpiękniejszym z mężczyzn, wołało jej serce. Ale on był poważny, zauważyła to, miał na sobie długą, ciemną szatę, a na głowie czarny kapelusz z piórem. Na piersi nosił ozdobę ze szkarłatnego nefrytu, a trzymane przez niego książęce berło stwarzało między nimi mur. Siedziała bez ruchu, dopóki przed nią nie stanął. Oczy ich spotkały się - pochylił się, by klęknąć przed nią w dawnym hołdzie. Wyciągnęła jednak prawą ręką, aby go powstrzymać. Zeszła z tronu i wskazując na dwa krzesła stojące w pobliżu,

chwyciła lekko jego rękaw między kciuk i palec wskazujący i powiodła go w ich stronę. Usiedli oboje.

- Odlóż swój kawałek nefrytu - powiedziała władczo.

Odłożył berło na mały stolik między nimi, jakby to był miecz, i czekał, aż znów się do niego odezwie.

- Jak ci się wiodło? - spytała i spojrzała na niego słodko, a jej gorejące oczy stały się nagle miękkie i czułe.

- Wasza Wysokość... - zaczął.

- Nie nazywaj mnie Waszą Wysokością - powiedziała.

Pochylił głowę i znów zaczął:

- To ja powinienem był spytać, jak się miewasz - rzekł - ale widzę to na własne oczy. Nie zmieniłaś się. Twarz twoja jest tą twarzą, którą niosłem w sercu przez wszystkie te lata.

Żadne z nich nie mówiło o minionych latach. Nie było teraz potrzeby mówić o tym, co minęło. Żadna dusza nie mogłaby udźwignąć miłości ich dusz. Kiedy byli razem, nie istniał dla nich nikt inny. Wpatrując się w niego otwarcie swymi wciąż młodymi oczami, mówiła sobie, że wciąż należy do niej, jest jej miłością, jedyną ludzką istotą, której ciało połączyło się z jej ciałem. Dziwnie było kochać go znów tak bardzo, ale teraz już bez pożądania, miłością kojącą i spokojną. Westchnęła, czując, jak przenika ją łagodne szczęście.

- Dlaczego wdychasz? - spytał.

- Myślałam, że będę ci miała wiele do powiedzenia - odpowiedziała. - Teraz jednak, kiedy widzimy się twarzą w twarz, czuję, że wiesz o mnie wszystko.

- I ty wiesz o mnie wszystko. Nie zmieniłem się... nie zmieniłem się od tego dnia, kiedy po raz pierwszy zrozumieliśmy, kim jesteśmy dla siebie.

Nic na to nie rzekła. Powiedzieli już dosyć. Lata spędzone w pałacu, którego ściany miały uszy, wyrobiły w nich nawyk milczenia, więc siedzieli cicho, nie poruszając się. Czuli, jak ich dusze odradzają się w tym akcie zjednoczenia. Kiedy odezwała się, aby zadać pytanie, głos jej był słodki i pokorny.

- Masz dla mnie jakąś radę? Przez wszystkie te lata nie słuchałam rad książąt i bardzo brakowało mi twojej.

Potrząsnął głową.

- Robiłaś wszystko dobrze.

Zauważyła jednak, że coś leży mu na sercu, jakieś niewypowiedziane słowa zamarły na jego wargach.

- Mów - powiedziała - czy nie rozmawialiśmy zawsze szczerze? Czy zrobiłam coś,

czego nie apróbujesz?

- Nie - powiedział - nic! Nie będę psuł twego święta. Najmniejszy z twoich poddanych cieszy się przywilejem świętowania swych urodzin, czyż ty nie możesz cieszyć się swoimi?

Zwróciła uwagę na to, co powiedział. Jej urodziny? - Mów - naciskała. - Chcę prawdy, tylko prawdy!

- Ufam twej wrodzonej mądrości - odpowiedział niechętnie - lecz jeśli przypadkiem nasze siły zostaną pokonane przez Japończyków, którzy od ostatniej inwazji na słabą Koreę znacznie wzrosli w siłę, to może się zdarzyć, że w takim trudnym dla narodu czasie nie zechcesz cieszyć się swym świętem.

Przez chwilę zastanawiała się nad tym. Siedziała zadumana, bez ruchu i wzdychała opuściwszy oczy. Następnie powstała wolno i po wykładanej kafelkami podłodze przeszła do swego tronu. On także powstał, poczekał, aż na nim zasiądzie, po czym podszedł i jak dawniej klęknął przed nią w holdzie, a ona tym razem nie zakazała mu tego. Spojrzała w dół na jego szerokie, pochylone plecy i powiedziała:

- Czasami zdarza mi się widzieć przed sobą takie trudności, że nie wiem, gdzie zwrócić się po pomoc. Budzę się w ciemnościach nocy i spoglądam w przyszłość, czując, jak tuż nad moją głową gromadzą się chmury. Co przytrafi się memu królestwu? Myślę, że po moich urodzinach powinnam wezwać wróżbitów. Muszę poznać to przeczuwane przeze mnie zło, choćby było najpotworniejsze.

Odpowiedział na to swym silnym, głębokim głosem:

- Zamiast wzywać wróżbitów, Wasza Wysokość, lepiej być przygotowanym.

- A więc obejmij dowództwo moich sił tutaj, w stolicy - ponagliła go. - Bądź blisko mnie i chroń mnie, jak to zwykłeś czynić. Nie zapomnę tej nocy, kiedy przyszedłeś do mego namiotu, gdy byliśmy w dzikich górach w pobliżu Żeholu. Tamtej nocy twój miecz ocalił moje życie... i życie mego syna.

Chłodne, gorzkie pragnienie, aby głośno wypowiedzieć słowa, które pomyślała, opanowało jej serce. „Uratowałeś naszego syna”. Nie wypowie ich jednak. Ich syn był martwy, pochowano go jako cesarza i cesarskiego syna - niech więc spoczywa w swym cesarskim grobie.

- Przyjmuję ten obowiązek - powiedział Jung Lu. Podniósł się, chwycił mocno obiema rękami swe książęce berło i opuścił ją.

Niestety, nigdy nie miało dojść do obchodów jej urodzin! Poddani ofiarowali wiele pieniędzy na wzniesienie triumfalnych łuków na drodze z cesarskiego miasta do siedziby cesarzowej, zbudowano wielkie ołtarze, przy których opaci buddyjskich świątyń mieli



recytować sutry. Cały naród, ludność wszystkich prowincji i odległych terytoriów cieszyła się na myśl o miesiącu świąt z okazji urodzin swej najczcigodniejszej władczyni. Lecz nagle, zanim nadeszły dni radości, wróg z wysp japońskich napadł na flotę chińskich dżonek niszcząc ją całkowicie; równocześnie ludność Korei podległa Smoczemu Tronowi wołała głośno o pomoc, bo japońscy wojownicy znów najechali ten kraj i zostawione bez pomocy państwo koreańskie mogło przestać istnieć.

Cesarzowa, która wiadomości o klęsce otrzymywała przez przybywających co godzinę kurierów, i to na kilka dni przed urodzinami, wpadła w szal. Wiedziała, że to ona ponosi winę za tę porażkę - gdyby nie wydała pieniędzy ze skarbca floty cesarskiej, można by było wybudować okręty zdolne pokonać wroga. Zawsze jednak postępowała tak, że chociaż wiedziała o popełnionym przez siebie błędzie, to nie przyznawała się do tej wiedzy przed innymi, aby nie osłabić swej cesarskiej władzy. Tron musi pozostać nietknięty, ponad wszystkim. Przygotowała się więc, by błyskawice gniewu cisnąć na swych wrogów. Najpierw przez cały dzień odmawiała przyjmowania pokarmu. Następnie odmówiła sobie snu i odpoczynku. Cały dzień postu spędziła chodząc po pałacu. Nie pozwoliła, by jej uwagę rozpraszały ulubione domowe zwierzęta, kwiaty czy też śpiew ptaków w klatkach. Nie otworzyła książki ani zwoju, odrzuciła wszystkie ulubione przez siebie rozrywki. Przemierzała wzdłuż i wszerz swą wielką bibliotekę, krążyła po korytarzach - aż po całym Zakazanym Mieście rozeszła się jak zły wiatr wieść, że cesarzową ogarnęła furia. Nikt nie wiedział, na kogo spadnie jej gniew, ale każdy wiedział, że na kogoś spaść musi.

Ciągle wzburzona, nie mogąc uwolnić się od myśli, które krążyły wokół oczywistej i przeraźliwie jasnej przyczyny klęski, wybrała dwie osoby, na które postanowiła zrzucić winę, ale żadną z tych osób nie była ona sama. Zdecydowała, że wezwie najpierw mniej znaczącego z tej dwójki - generała, któremu dotąd ufała najbardziej, Li Hung-czanga. To on miał być pierwszą ofiarą jej złości. Podjąwszy postanowienie, wysłała po niego naczelnego eunucha i o oznaczonej godzinie czekała w swej prywatnej sali audiencyjnej, ale wszystkie drzwi kazała zostawić otwarte, aby każde ciekawe ucho mogło słyszeć gromy padające na głowę generała. Zależało jej, by wieść o tym szybko rozeszła się po mieście i całym kraju.

- Ty! - krzyczała na stojącego przed nią wysokiego, mocno zbudowanego generała. Nie raczyła wytknąć go palcem wskazującym, lecz użyła tylko małych palców swych wyciągniętych rąk. - To ty śmiałeś utracić nasze statki, nawet ów słynny *Kowshing*, który wynajęliśmy do przewozu żołnierzy! Leży teraz na dnie morza. Gdzie znajdziemy pieniądze, by za niego zapłacić? Spójrz, jak twoja głupota przysłużyła się naszemu państwu!

Generał dobrze wiedział, że nie wolno mu wypowiedzieć ani słowa. Klęczał w

pokłonie, a jego wspaniała szata leżała rozpostarta na podłodze. Wiedziała, że nie będzie śmiała odpowiadać, więc runęła na niego świeżą falą gniewu.

- Ty! - znów krzyczała, a słowa jak przekleństwo padały z jej ust. Skierowała w jego stronę dwa małe palce, jak gdyby chciała go nimi przebić. - Gdzie był twój rozum przez te lata i do czego lgnęło twoje serce? Zapomniałeś o swych obowiązkach względem narodu! Zajmowałeś się jedynie kupieckimi statkami parowymi, które spuszczałeś na nasze rzeki, i zagranicznymi żelaznymi drogami, które budowałeś, choć wiedziałeś dobrze, że nienawidzę tych zagranicznych obiektów. Słyszałam również, że wybudowałeś w Szanghaju zagraniczną fabrykę włókienniczą, ciągnąc z niej zyski! Czy nie wiesz, że właściwa służba Tronowi Smoka wymaga od ciebie całego twego czasu i wszystkich twoich myśli? Jak śmiesz myśleć tylko o sobie?

Wciąż nie odpowiadała, chociaż cesarzowa czekała, wyciągając ku niemu dwa małe palce. Więc znów rozpoczęła, dziurawiąc palcami powietrze nad jego głową.

- Jak wiele zostało stracone przez twe samolubstwo i chciwość w ciągu ostatnich dziesięciu lat! Francja zagarnęła Annam i zaatakowała Tajwan. Jedyne z największym trudem zdołaliśmy zapobiec wojnie z tym krajem, która groziła nam w czasie, kiedy zmęczeni byliśmy walką z Japończykami w Korei. A jak to się dzieje, że wszystkie te obce narody śmiają nam grozić i śmiają nas atakować? Dzieje się tak, bo nasza armia i nasza flota są słabe, a czyja to wina, jeśli nie twoja? Zostaniesz na swym stanowisku, ty odstępco i zdrajco, bo czego nie zdołałeś dotychczas zrobić, będziesz musiał wykonać teraz - ale pozbawię cię wszystkich odznaczeń. Będziesz służył nam jak niewolnik i jak niewolnik będziesz karany.

Opuściła ręce, kilka razy wciągnęła głęboko powietrze w płuca i wypuściła je z głębokim westchnieniem. Rozkazała, by ją opuścił.

- Wstań - powiedziała. - Idź do swych obowiązków. Wszelkimi sposobami staraj się naprawić to, co zepsułeś. Musisz zawrzeć pokój, który nie splamiłby honoru twego władcy.

Powstał, otrzepał kurz z kolan i cofał się tyłem, wciąż się zginając, a ona dojrzała na jego pełnej, szczerej twarzy wyraz cierplivej pokory, który chwycił ją za serce. Mężczyzna ten nieraz ją bowiem uratował i zawsze posłuszny był jej rozkazom. Wiedziała, że jest jej wciąż wierny. Któregoś dnia okaże mu swą wyrozumiałość, ale nie dzisiaj. Nie pozwoli, by jej serce zmiękło w stosunku do nikogo. A prawdziwy gniew miała dopiero okazać. Następny miał być cesarz - napisała do niego własnoręcznie i opatrzyła wezwanie cesarską pieczęcią.

Jednak w dniu, w którym wysłała rozkaz, dziwny, dziki zamęt wdarł się do Pałacu Letniego. Pod wieczór, kiedy cesarzowa odpoczywała w Pawilonie Orchidei, przez okrągłą marmurową bramę wbiegła z włosami w nieładzie, furkocąc szatami, jedna z dam dworu.

Służąca, która klęczała obok cesarzowej odganiając wachlarzem muszki, podniosła rękę, nakazując ciszę, bo cesarzowa spała. Jednak dama była zbyt przestraszona, by zwrócić na to uwagę, i krzyknęła wysokim, przenikliwym głosem:

- Wasza Wysokość, Wasza Wysokość... widziałam... widziałam...

Cesarzowa obudziła się natychmiast - jak zwykle trzeźwa i przytomna. Siadła na otomanie i uważnie spojrzała na kobietę.

- Cóż takiego widziałas? - spytała.

- Mężczyznę ogolonego jak mnich - mówiła dama, z trudem chwytając powietrze. Położyła rękę na sercu i zaczęła płakać ze strachu.

- Uspokój się - odparła cesarzowa - to zapewne mnich...

- To nie był mnich, Wasza Wysokość - upierała się dama - był tylko łysy jak mnich. Może to mnich tybetański... ale, och, nie miał żółtej szaty! Nie, był czarny od szyi po stopy i był wyższy od jakiegokolwiek mężczyzny, którego widziałam w życiu, i miał takie ogromne ręce! A przecież, Wasza Wysokość, bramy są zamknięte i w obrębie murów nie ma nikogo prócz eunuchów!

Cesarzowa zwróciła oczy na niebo. Słońce właśnie zaszło i delikatna czerwona poświata wlewała się na dziedziniec pawilonu. Rzeczywiście, nie powinno tu być teraz żadnego mężczyzny.

- Śniesz - powiedziała do nierozsądnej damy. - Eunuchowie są na straży. Żaden mężczyzna nie może tu wejść.

- Widziałam go, widziałam, Wasza Wysokość - upierała się dama.

- W takim razie musimy go odnaleźć - oświadczyła zdecydowanie cesarzowa.

Powiedziawszy to, posłała służącą po naczelnego eunucha, który usłyszawszy opowieść, wezwał dwudziestu niższych rangą eunuchów, a oni zapaliwszy latarnie i wyciągnawszy miecze, otoczyli nieustraszoną cesarzową i zaczęli długie poszukiwania, ale nikogo nie znaleźli.

- Jesteśmy głupcami! - wykrzyknęła wreszcie cesarzowa. - Tej kobiecie coś się przywidziało albo była pijana. Każ więc, Li Lien-jingu, aby eunuchowie prowadzili dalej poszukiwania, a ty weź latarnię i odprowadź mnie do pałacu.

Tak więc poszli we dwoje z powrotem, eunuch szedł przodem oświetlając drogę, aż powróciła do biblioteki. Zaledwie przekroczyła próg, kiedy podnosząc głowę zobaczyła na biurku wąski pasek czerwonego papieru, na którym wielkimi, zdecydowanymi pociągnięciami pędzelka namalowane były następujące słowa: „Trzymam twoje życie w zagłębieniu mojej ręki”.

Pochwyciła papier, przeczytała go dwukrotnie i rzuciła nim w oczekującego eunucha.

- Spójrz na to! - wykrzyknęła. - Ukrywa się tutaj... zabójca! Wracaj do poszukiwań.

Damy dworu zdążyły się już zgromadzić wokół niej i kiedy Li Lien-jing odszedł szybko, pocieszały cesarzową nie szczędząc słów otuchy.

- Wasza Wysokość może być pewna, że eunuchowie go znajdą - mówiły. Utrzymały, że teraz, kiedy wiadomo, iż bezwłosy mężczyzna rzeczywiście istnieje i nie jest przywidzeniem, będzie go można szybko odnaleźć.

Zapaliły około dwudziestu świec i poprowadziły cesarzową do sypialnych pokoi, prosząc, by usnęła spokojnie, bo one będą z nią przez całą noc. Kiedy jednak weszły do sypialni, zobaczyły kartkę czerwonego papieru przypiętą do żółtej, aksamitnej poduszki. Ta sama ręka nakreśliła śmiałymi pociągnięciami pędzelka słowa:

„Kiedy nadejdzie godzina, przyjdę z mieczem. Śpiąca czy czuwająca - musisz umrzeć”.

Damy krzyknęły ze strachu, ale cesarzowa była tylko zła. Nagle pochwyciła czerwony papier, ugniotła go w kulkę i rzuciła w poprzek sali. Zaśmiała się błyskając czarnymi oczami.

- A teraz bądźcie cicho, moje dzieci. Ten człowiek jest błaznem, który lubi się przekomarzać. Idźcie spać do swych łóżek, ja zrobię to także.

Sprzeciwiły się jej zgodnym chórem.

- Nie, Wasza Wysokość, nie, nie... nie opuścimy cię.

Uległa im, wciąż się śmiejąc, i ze zwykłym swym wdziękiem pozwoliła, by ją rozebrały i położyły do łóżka. Sześć pań położyło się na materacach, które przyniosły służące, podczas kiedy pozostałe poszły do swoich pokojów. Po północy nastąpiła zmiana - czuwające przy cesarzowej damy odeszły, a ich miejsce zajęły inne. W tym czasie Li Lien-jing wezwał eunuchów, którzy otoczyli salę sypialną i stali z wyciągniętymi mieczami, aż noc przeszła.

O świcie cesarzowa obudziła się i ziewnęła z przyjemnością, zasłaniając usta ręką. Uśmiechnęła się i powiedziała, że dzięki poruszeniu, które wywołał bezwłosy mężczyzna, czuje się jeszcze lepiej.

- Jestem ożywiona - oświadczyła. - Zbyt nas rozleniwiło piękno naszego pałacu.

Tego ranka opuściła swe pokoje wykąpana i ubrana, ze świeżymi kwiatami we włosach, i udając się na swój wczesny posiłek, spoglądała wszędzie, czy wszystko znajduje się w należytym porządku. Nagle zobaczyła leżącą na talerzu czerwoną kartkę papieru. Taką samą jak poprzednie.

„Czekałem, kiedy spałaś” - głosiły czarne znaki.

Damy znów krzyknęły, niektóre głośno zapłakały, a służące biły się dłońmi w

policzki.

- Talerze postawiłyśmy przed chwilą i nie widziałyśmy, by wchodził jakiś mężczyzna!

- Zostanie odnaleziony - powiedziała lekko cesarzowa, która znów zmięła papier i rzuciła go na podłogę. Nie pozwoliła również zabrać potraw, chociaż damy drżały z obawy, że mięsa mogą być zatrute. Nie, zjadła jak zwykle i nie odczuwała żadnych dolegliwości, a poszukiwania trwały nadal przez cały dzień. Nikt nie zobaczył mężczyzny, ale tu i tam znaleziono jeszcze cztery czerwone kartki z groźbami.

Przez pełne dwa miesiące w dzień i w nocy prowadzono poszukiwania, poszukiwania bardzo gorliwe, bo od czasu do czasu dama lub eunuch przez mgnienie oka widzieli bezwłosego człowieka, jego czarny strój, bladą twarz i trupią głowę. Jedna z dam zachorowała i zapadła na umyśle, bo kiedy budząc się rano otworzyła oczy, zobaczyła wpatrującą się w nią twarz człowieka, odwróconą tak, jakby zwieszał się z dachu, a kiedy wrzasnęła, głowa znikła w górze.

Cesarzowa nie lękała się, ale eunuchowie stali na straży w dzień i w nocy. Nikt poza murami pałacu nie wiedział o tej sprawie, bo cesarzowa nie pozwoliła powiedzieć o tym ani słowa, aby nie budzić w mieście niepokoju, który mogliby wykorzystać złoczyńcy dla wywołania zamieszania.

Pewnej nocy cesarzowa spała w swym pokoju, a czujni eunuchowie stali na straży w holu na zewnątrz i w pobliskich podwórzach. O cichej godzinie między północą a świtem usłyszeli, jak skrzypnęły otwierające się powoli drzwi i w bladym świetle księżycy ukazała się czarna stopa, noga i wreszcie wciskające się w szparę biodro. Eunuchowie skoczyli zgodnie, aby pochwycić tajemniczego osobnika. Uciekł, ale wszędzie czuwali strażnicy i wreszcie w ogrodzie, za wielką skałą, którą cesarzowa sprowadziła z odległej prowincji, pochwycili bezwłosego mężczyznę.

Cesarzową obudziły krzyki i nawoływania eunuchów. Szybko wstała z łóżka, bo zarządziła uprzednio, że jeśli ów człowiek zostanie schwytany, to niezależnie od pory dnia czy nocy należy go niezwłocznie do niej przyprowadzić. Kobiety narzuciły na nią szaty, umocowały przybranie głowy i po chwili siedziała już na tronie w swej sali audiencyjnej. Tutaj eunuchowie przywiedli skrępowanego linami człowieka.

Stał przed cesarzową i nie skłonił się, chociaż eunuchowie chwycili go za kark i próbowali rzucić na kolana.

- Niech stoi - powiedziała cesarzowa spokojnym, zimnym głosem.

Spoglądała w dół na wysoką, śmiałą postać młodego mężczyzny z ogoloną głową i widziała jego dziwną tygrysią twarz o skośnych oczach. Stał pochylając czoło i zaciskając

usta. Czarny strój, dopasowany do figury, przylegał do jego chudego ciała jak skóra.

- Kim jesteś? - spytała.

- Jestem nikim - odpowiedział człowiek - bez imienia, bez znaczenia.

- Kto cię tu przysłał? - spytała.

- Zabij mnie - powiedział niedbale - bo niczego ci nie powiem.

Na taką bezczelność eunuchowie krzyknęli i ruszyli na niego ze swymi mieczami, ale cesarzowa uniosła rękę.

- Zobaczcie, co ma przy sobie - rozkazała.

Przeszukali człowieka, który stał spokojnie i niedbale, nie zwracając na nich uwagi, i nie znaleźli niczego.

- Wasza Wysokość - powiedział teraz Li Lien-jing - pozwól, bym ja zajął się tym typem. Przemówi na torturach. Przypilnuję, aby bito go powoli cienkim i ostrym bambusem. Nie poruszy się, bo jego rozłożone na ziemi ręce i nogi przy wiążemy drutem do kołków. Racz mi go zostawić, Wasza Wysokość.

Wszyscy wiedzieli, jak Li Lien-jing przeprowadza tortury, więc poparli go teraz pomrukiem aprobaty.

- Weź go i rób z nim, co chcesz - powiedziała cesarzowa. Mówiąc to napotkała oczy tajemniczego człowieka i spostrzegła, że nie były czarne jak oczy innych ludzi, lecz żółte i zuchwałe - jak oczy dzikich zwierząt, które nie boją się żadnej ludzkiej istoty. Nie mogła odwrócić wzroku - zafascynowana ich brzydotą i pięknem zarazem.

- Sprawcie się dobrze - nakazała eunuchom.

Po dwóch dniach Li Lien-jing powrócił, aby złożyć sprawozdanie.

- Jakie zdradził nazwiska? - spytała cesarzowa.

- Żadnych, Wasza Wysokość - odpowiedział.

- Więc torturuj go dalej i rób to dwa razy wolniej. Taki był jej rozkaz, ale Li Lien-jing potrząsnął głową.

- Za późno, Wasza Wysokość - powiedział. - Umarł, jakby sam tego chciał, i niczego nie powiedział.

Pierwszy raz w życiu cesarzowa poczuła lęk. Dziwne żółte oczy zdawały się nadal na nią patrzeć. Ale czy kiedykolwiek pozwoliła sobie na lęk? Wyciągnęła prawą rękę, zerwała kwiat jaśminu z krzewu stojącego obok w porcelanowej donicy i wciągnęła w nozdrza jego uspokajający zapach.

- Zapomnijmy o nim - powiedziała.

Ale nie mogła zapomnieć bezwłosego mężczyzny. Zostawił po sobie mroczny cień

wątpliwości. Piękno pałacu straciło dla niej dawny blask. I chociaż codziennie chodziła po ogrodach, okazując stare zainteresowanie każdym kwiatem i owocem, chociaż codziennie kazała dworskim aktorom wystawiać wesołe sztuki, jej spokojna radość zniknęła. Nie bała się śmierci, ale odczuwała ciężki smutek, bo gdzieś ukrywali się ci, którzy chcieli, aby umarła. Gdyby mogła odnaleźć swych wrogów, zabiłaby ich, ale gdzie ich szukać? Nikt tego nie wiedział i wszyscy byli niespokojni.

Pewnego dnia, gdy późnym popołudniem siedziała w otoczeniu swych pań w wielkiej marmurowej łodzi, zobaczyła zbliżającego się Li Lien-jinga. Cały dzień oddawała się hazardowi i teraz grała nadal, trzymając w jednej ręce czarkę z herbatą, a w drugiej sztony, które stawiała tu i tam, aby wygrać.

- Wasza Wysokość, twoja herbata jest już zimna - powiedział eunuch. Wziął od niej czarkę i kazał ją napełnić służącemu eunuchowi. Kładąc ją następnie na stojącym tuż przy niej stoliku, wyszeptał, że ma wiadomości.

Zdawała się tego nie słyszeć, dokończyła grę i wtedy dopiero wstała, nakazując wzrokiem, by podążył za nią.

Kiedy znaleźli się w jej pałacu, damy stanęły w oddaleniu, bo wiedziały, że eunuch ma jej do przekazania jakieś wieści. Cesarzowa wachlarzem dała mu znak, by nie klękał, i skinęła, by powiedział, z czym do niej przyszedł.

- Wasza Wysokość - powiedział syczącym szeptem tuż przy jej uchu.

Uderzyła go wolno wachlarzem.

- Cofnij się - zawołała władczo. - Twój oddech cuchnie jak padlina.

Podniósł więc rękę, aby przysłonić usta, i zaczął opowieść.

- Wasza Wysokość, dowiedziałem się o spisku...

Odwróciła głowę i zasłoniła nos wachlarzem. Och, przekłeta wrażliwość, która powoduje, że wszelkie przykre wonie odczuwa dwa razy silniej od innych! Gdyby ten eunuch nie służył jej z takim oddaniem, nie trzymałaby go przy sobie.

- Wasza Wysokość - rozpoczął powtórnie i zaczął przed nią rozplątywać nici spisku. - Otóż młody cesarz słucha teraz swego nauczyciela Weng Tung-ho, który nalega, by wzmocnić naród, bo w przeciwnym razie cesarstwo padnie ofiarą czyhających na nie wrogów, którzy z rozwartymi szczękami i kapiącą śliną szykują się do pożarcia Chińczyków. Cesarz - kontynuował Li Lien-jing - spytał, jak temu zaradzić, na co nauczyciel odpowiedział, że należy zasięgnąć rady wielkiego uczonego K'ang Ju-weia, bo uczonego ów, zna się nie tylko na historii, ale także na osiągnięciach Zachodu. On jeden może poradzić, jak zbudować statki i koleje żelazne oraz szkoły dla młodych ludzi, którzy przywrócą chwałę krajowi. Cesarz

posłał tedy po K'ang Ju-weia.

Cesarzowa zwróciła lekko głowę w jego stronę, choć nadal osłaniała się wachlarzem.

- Czy ów K'ang jest już w Zakazanym Mieście? - spytała.

- Wasza Wysokość - odpowiedział eunuch - jest on u cesarza codziennie. Spędzają razem całe godziny. Sam słyszałem, jak głosi, że na początek, żeby rozpocząć reformy, chińscy mężczyźni powinni ściąć swe warkocze. Na to cesarzowa opuściła wachlarz.

- Ale te warkocze od dwustu lat są oznaką ich podległości wobec naszej dynastii!

Li Lien-jing trzykrotnie pokiwał swą ciężką głową.

- Wasza Wysokość, K'ang Ju-wei jest chińskim rewolucjonistą z Kantonu. Spiskuje przeciw tobie, Wasza Wysokość! Lecz najgorsze zostawiłem na koniec: uprosił on cesarza, aby ten posłał po Jjian Szy-k'aia, generała, który, jak Waszej Wysokości wiadomo, kieruje naszymi wojskami pod dowództwem Li Hung-czanga. Jjian Szy-k'ai otrzymał teraz cesarskie rozkazy, aby pojmać cię siłą, Wasza Wysokość, i uwięzić.

Eunuch wydał potężne westchnienie, tak cuchnące, że cesarzowa pośpiesznie uniosła wachlarz, by się osłonić.

- Mój siostrzeniec z pewnością knuje teraz, jak mnie zabić - powiedziała tonem aż nadto spokojnym.

- Nie, nie - zaprzeczył eunuch - nasz cesarz nie jest taki zły. Być może K'ang Ju-wei doradzał mu to, ale moi szpiedzy donieśli mi, że cesarz zabronił, by uczyniono jakąkolwiek krzywdę twej świętej osobie, Wasza Wysokość. Nie, powiedział tylko, że masz być uwięziona tutaj, w Pałacu Letnim. Nie chcą odbierać ci żadnej z twych przyjemności, pragną jedynie pozbawić cię władzy.

- Czyżby? - mruknęła. Poczula, że jej krew przenika dziwna, słodka siła. Walka wciąż była dla niej przyjemnością. Jeszcze raz odniesie w niej zwycięstwo. - Dobrze więc - powiedziała i zaśmiała się.

Li Lien-jing, początkowo zdumiony jej świetnym humorem, zaczął cicho śmiać się razem z nią, a jego brzydka twarz w tej radości stawała się jeszcze brzydsza.

- Nikt na świecie nie jest podobny do ciebie - powiedział czule. - Nie jesteś, Wasza Wysokość, zwykłą ludzką istotą. Jesteś potężniejsza od wszystkich kobiet i mężczyzn.

Wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Uderzyła go w policzek złożonym wachlarzem i kazała mu odejść.

- Ale zamknij usta i nie otwieraj ich - powiedziała wesoło - bo przysięgam, że kiedy idziesz, ciągniesz za sobą smugę swego zepsutego oddechu.

- Tak, Wasza Wysokość - skłonił się w odpowiedzi i podniósł do swych śmiejących



się ust rękę grubą jak niedźwiedzia łapa.

Nie należało do jej cesarskich zwyczajów śpieszyć się z jakiegokolwiek powodu. Długo zastanawiała się nad tym, co powiedzieli jej szpiedzy. Pozwalała, by wypełnione przyjemnościami dni upływały leniwie, i nie okazywała lęku. Jednak chodząc po ogrodach, śniadając na jeziorze, siedząc w teatrze i oglądając ulubione sztuki, zawsze rozmyślała głęboko o otaczającym ją świecie i o cenie, jaką musi zapłacić, aby zachować pokój i piękno życia. Dwukrotnie wykupiono się od wojny z Japończykami, raz złotem, drugi raz oddając im prawa do podległego ludu Korei. Och, teraz czuła, że był to błąd, który zrodziła słabość wicekróla Li Hung-czanga. Gdyby nie przekonał jej dwukrotnie, że należy ulec, te małe, brązowe karzelki z wysp nie marzyłyby teraz o zagarnięciu jej całego, ogromnego królestwa. Musi się bronić - a najlepszą obroną będzie wojna, otwarta wojna z wrogiem, śmiały atak, jeśli nie na morzu, to na lądzie. Wojnę musi zacząć Jiian Szy-k'ai, ale nie na chińskiej ziemi, lecz w Korei. Musi wyprzeć Japończyków do morza - niech wracają na swe surowe, skaliste wyspy. Niech tam głodują!

Ostateczną decyzję podjęła pewnego pięknego, letniego popołudnia, słuchając pieśni miłosnej śpiewanej przez młodego eunucha, który grał rolę dziewczyny w starej sztuce *Opowieści o Zachodnim Pawilonie*. Cesarzowa uśmiechała się i nucila melodię pieśni miłosnej, planując jednocześnie w swym sercu i umyśle wojnę. Tej nocy wezwała Li Hung-czanga i przekazała mu swe rozkazy, nie zwracając uwagi na jego jęki i westchnienia, że wojska są zbyt słabe i za mało jest okrętów.

- Nie potrzebujesz wielkiej armii ani potężnej floty - powiedziała - jeśli nawet zdarzy się, że wrogowie zaatakują chińską ziemię, ludzie powstaną i wyprą ich do morza, a fale ich pochłoną.

- Ach, Wasza Wysokość - jęknął - nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak ciężkie nastały czasy! Tu w swych pałacach żyjesz w odosobnieniu i marzysz.

Wyszedł wzdychając głośno i potrząsając skołataną głową.

Niestety, nim minął rok, wojna zakończyła się klęską. Wróg nadszedł szybko, jego statki przebyły morza w ciągu kilku krótkich dni. Generał Jiian Szy-k'ai wyparty został z Korei i wróg najechał chińską ziemię. Szybko się okazało, że cesarzowa była w błędzie - ludność nie stawiała oporu. Jej chłopci stali w milczeniu, kiedy niscy, silni żołnierze japońscy maszerowali po ich drogach w kierunku samej stolicy. Żołnierze ci nieśli karabiny, a chłopci nie mieli karabinów, więc rozsądnie nie wyciągali noży i sierpów, które znaczyły nie więcej niż zabawki. Kiedy nieprzyjaciel żądał jedzenia i picia, wieśniacy, wciąż w milczeniu, dawali

wino, herbatę i miski z mięsem.

Cesarzowa szybko zareagowała na te złe wieści. Była dobrym graczem, który gra, by wygrać, ale wie dobrze, kiedy jest to niemożliwe. Posłała więc wiadomość do Li Hung-czanga, aby poddał się, zanim cesarstwo zostanie utracone, i aby przyjął wszelkie warunki, do których zostanie zmuszony. Podpisano wówczas traktat, którego postanowienia wstrząsnęły wyniosłym sercem cesarzowej. Przez trzy dni i noce przebywała w odosobnieniu, nie śpiąc i nie jedząc, aż sam Li Hung-czang przybył do Pałacu Letniego, aby ją pocieszyć. Powiedział jej, że wprawdzie warunki traktatu są rzeczywiście trudne, ale tron zyskał na północy nowego przyjaciela, cara Rosji, który dla własnego dobra nie chce dopuścić, aby Japonia wzrastała w siłę.

Cesarzowa wysłuchiwała go i nabrała otuchy.

- A zatem wypędźmy tych żółtych cudzoziemców z naszych wybrzeży - powiedziała. - Za wszelką cenę musimy się ich pozbyć... Od tej chwili wszystkie moje siły poświęcę tylko temu jednemu - znajdę sposób, by żaden cudzoziemiec - biały czy żółty - nie postawił odtąd nawet stopy na naszej ziemi. Nigdy, do końca czasów! Co do Chińczyków, nad którymi my, Mandżurowie, panujemy od tylu lat, znów ich sobie zjednamy, z wyjątkiem tych młodych mężczyzn, którzy oddychali obcym powietrzem i pili obce wody. Mój Wielki Radca Kang Yi powiedział mi któregoś dnia, że nie powinniśmy zezwolić chrześcijanom na zakładanie u nas szkół i uczelni, bo zachęcają one Chińczyków, by sami sobą zarządzili. Tak, teraz młodzi Chińczycy są krnąbrni i buntowniczy, pełni fałszywej obcej wiedzy. - Klasnęła w dłonie i tupnęła prawą nogą. - Przysięgam, że nie umrę ani nie pozwolę się sobie zestarzeć, póki nie zniszczę każdej obcej potęgi na naszej ziemi i nie przywrócę królestwu jego własnej historii.

Generał mógł jedynie podziwiać tę kobietę, swą władczynię. Cesarzowa była wciąż piękna, wciąż silna, włosy miała tak czarne, a podługne oczy tak wielkie i pełne blasku jak wtedy, gdy była młoda. Jej wola także nie osłabła.

- Jeśli ktokolwiek potrafi tego dokonać, to tym kimś możesz być tylko ty, Wasza Wysokość - powiedział i słowami pełnymi prostoty i siły przyrzekł, że zawsze będzie jej służył.

Czas mijał. Cesarzowa znów zdawała się spędzać dni i miesiące na leniwych zabawach. Malowała widoki z wyobraźni, pisała poezje, przeglądała swe klejnoty, projektując nowe oprawy dla pereł i szmaragdów lub kupując diamenty u kupców arabskich. Jednak pod przykrywką tych zajęć nie przestawała snuć swych planów. Sprawiała wrażenie obojętnej w stosunku do cesarza i jego mentorów. Jednak nocami, kiedy ciemność i cisza panowały we wszystkich pałacach, wysłuchiwała relacji przynoszonych do jej samotnego pokoju przez

szpiegów i tak dzień po dniu śledziła spisek cesarza i jego doradców. Sama przygotowała się do obrony przeciw ich intrygom. Najpierw znów awansowała Jung Lu, powierzając mu stanowisko wicekróla prowincji, co było łatwe po śmierci księcia Kunga, który dnia dziesiątego czwartego miesiąca księżycowego tego właśnie roku zmarł na chorobę płuc i serca - nie był jej wrogiem, ale też od dawna nie był jej przyjacielem.

Następnie czekała, a po pałacu krążyły plotki, że cesarz powołał generała Jiian Szy-k'aia do służby przy sobie. Kiedy posłyszała tę wiadomość, opanowały ją sprzeczne myśli. Czy powinna czekać jeszcze z ponownym zagarnięciem tronu, czy raczej ruszyć natychmiast? Podjęła decyzję, by czekać, albowiem najbardziej lubiła wkraczać na scenę jak Budda - kiedy wszystko jawnie domagało się sądu. Tymczasem szpiegzy jej donieśli, że Jiian Szy-k'ai opuścił miasto potajemnie i nikt nie wiedział, w jakim udał się kierunku.

Będę jeszcze czekała, pomyślała. Moja mądrość już nieraz objawiała się oczekiwaniem. Znam swój geniusz, a mój rozum mówi mi, że godzina jeszcze nie nadeszła.

Znów pozwoliła przeciekać dniom. Lato ustąpiło wczesnej jesieni. Dni były gorące, ale noce chłodne. Rozkwitły późne, jesienne kwiaty, na jeziorze kwitły ostatnie liliowe kwiaty lotosu, ptaki z dnia na dzień zwlekały z odlotem na południe, jesienne świerszcze grały wśród sosen swą kruchą muzykę.

Pewnego dnia, gdy po śmierci księcia Kunga cesarzowa siedząc w bibliotece układała poemat na jego cześć, do sali wszedł nagle bez wezwania naczelny eunuch, aby powiedzieć, że przybył goniec zapowiadający rychłe przybycie wicekróla Jung Lu z Tient-sinu.

Od czasu kiedy cesarzowa nakazała Jung Lu poślubienie pani Mei, rzadko pojawiał się on w pobliżu jej tronu z własnej woli. Zawsze czekał na wezwanie, zganiła go nawet za to. Lecz on odrzekł, że powinna wiedzieć o tym, że zawsze był i będzie jej wiernym sługą, więc wystarczy, by w razie potrzeby wysłała swego eunucha z nefrytową odznaką, a wtedy on, Jung Lu, zjawi się przy niej - niezależnie od pory dnia i miejsca, w którym będzie się wtedy znajdował.

Cesarzowa kazała służącym eunuchom, by przygotowali wszystko na jego przybycie, a sama wróciła na swoje miejsce. Nie mogła jednak skończyć poematu - myślała o tym, że Jung Lu nie przybywałby, gdyby go do tego nie zmusiła niezmiernie ważna przyczyna. Starła się opanować, maskując spokojem ogarniającą ją niecierpliwość, odłożyła pędzelki i do południa spacerowała po ogrodach, a potem ani nie jadła, ani nie wypoczywała, czekając, aż Jung Lu powie jej, z czym przybywa.

Pojawił się przed wieczorem, jego palankin zatrzymał się na jednym z wielkich

zewnątrznych dziedzińców, o czym natychmiast powiadomili ją eunuchowie. Cesarzowa czekała na niego na centralnym dziedzińcu, który podczas tych letnich miesięcy zamieniono w wielką mieszkalną przestrzeń, przykrytą tworzącymi dach matami, które spleciono z delikatnych traw w kolorze miodu i rozłożono na bambusowym rusztowaniu. W przyjemnym, chłodnym cieniu rozstawione były stoły i krzesła, a na werandach otaczających dziedziniec znajdowały się donice z kwitnącymi drzewami. Cesarzowa ulokowała się na rzeźbionym krześle między dwoma ulubionymi, starymi cyprysami, które cesarscy ogrodnicy przycinali nadając im kształt uczonych starców, bo cesarzowa pragnęła, by ich stateczne piękno i skromna godność przypominały jej zawsze o mądrości przodków.

Tego dnia powróciło letnie ciepło i południowy wiatr przynosił od jeziora zapach kwiatów lotosu, które powoli zamykały się przed nocą. Powietrze przeniknięte było tą wonią, którą cesarzowa wdychała głęboko, odczuwając dawny, ostry ból z powodu kontrastu między spokojem wiecznego piękna a zgiełkiem ludzkich konfliktów. Ach, gdybyż to Jung Lu przychodził do niej teraz jako stary, kochany mąż, a ona mogła go oczekiwać jak stara, kochająca żona! Nie byli już młodzi, minęła nie spełniona namiętność, ale wieczna pamięć miłości pozostała. W rzeczy samej czułość jej dojrzałego serca w stosunku do niego była teraz większa niż kiedykolwiek i nie było niczego, czego nie mogłaby mu wybaczyć.

Zobaczyła, jak nadchodzi w zmierzchu rozświetlonym blaskiem wielkich świec, które migotały osadzone w lichtarzach z brązu. Szedł samotnie, a ona siedziała bez ruchu i patrzyła. Kiedy do niej podszedł, zgiął się, by paść na jedno kolano, ale ona położyła rękę na jego ramieniu.

- Oto twoje miejsce - powiedziała i drugą ręką wskazała puste krzesło po swej lewej stronie.

Wyprostował się i usiadł obok niej w łagodnym półmroku. Patrzyli teraz razem przez otwartą bramę na blask pochodni zapalonych na jeziorze.

- Chciałbym - rzekł w końcu - abyś żyła tu bez kłopotów. Piękno jest światem, do którego naprawdę należysz. Muszę ci jednak powiedzieć całą prawdę. Spisek przeciw tobie, Wasza Wysokość, osiągnął już prawie szczyt.

Zacisnął ręce na kolanach, które okrywała haftowana złotem szata. Jej oczy pobiegły do tych dużych i silnych rąk. Były to wciąż ręce młodego mężczyzny. Czy nigdy nie będzie stary?

- Nie mogę w to uwierzyć - szepnęła - jednak wiem, że muszę w to uwierzyć, bo ty mi o tym mówisz.

Mówił dalej:

- Jiian Szy-k'ai odwiedził mnie potajemnie cztery noce temu, a ja w pośpiechu opuściłem swoje stanowisko, aby ci o wszystkim powiedzieć. Cesarz posłał po niego przed dwunastoma dniami. Spotkali się o północy w małej sali, tuż obok cesarskiej sali audiencyjnej.

- Czy był tam ktoś jeszcze? - spytała.

- Cesarski nauczyciel, Weng T'ung-ho.

- Twój wróg - mruknęła. - Czy musisz mi teraz przypominać o tamtej kobiecie? Zapomniałam już o niej.

- Potrafisz być okrutna - odparł Jung Lu. - Ja mu wybaczyłem, Wasza Wysokość, ale nie ty. Wątpię, że miłość, która opanowała samotne kobiece serce, nie ma dla mnie znaczenia. Niemniej czegoś mnie to nauczyło.

- A czegoż to musiałeś się nauczyć? - spytała.

- Tego, że ty i ja stoimy gdzieś daleko, z dala od innych ludzi, i chociaż jesteśmy samotni jak dwie gwiazdy na niebie, musimy dźwigać naszą samotność, bo nic nie może jej złagodzić. Czasem czuję, że tylko nasza samotność łączy nas naprawdę.

Poruszyła się niespokojnie.

- Dziwię się, że mówisz tak do mnie teraz, kiedy przychodzisz donieść mi o spisku!

- Mówię tak, by znów przypomnieć ci o moim oddaniu.

Przyłożyła do policzka wachlarz, jak rozdzielający ich parawan.

- Nie było nikogo więcej w tej małej sali? - spytała.

- Była jeszcze konkubina Perła, cesarska faworyta. Znasz każdą plotkę, więc wiesz, że cesarz nie przyjął małżonki, którą mu wybrałaś. Jest ona wciąż dziewicą. Serce jej zapłonęło nienawiścią. Jest twoim sprzymierzeńcem.

- Wiem o tym - odpowiedziała.

- Musimy liczyć się z każdym sprzymierzeńcem - kontynuował - bo dwór jest podzielony. Wiedzą o tym nawet ludzie z ulicy. Jedną partię nazywają „Czcigodną Matką”, a drugą „Małym Chłopcem”.

- To haniebne - mruknęła. - Powinniśmy trzymać w tajemnicy nasze rodzinne sekrety.

- Nie możemy - odpowiedział. - Chińczycy są jak koty. Wciskają się po cichu w każdą szczelinę, węszą i knują. Kraj wrze, a chińscy buntownicy stale oczekujący upadku dynastii mandzurskiej znów szykują się do zagarnięcia władzy. Jeszcze raz musisz wyjść z cienia.

- Wiem, że mój siostrzeniec jest głupcem - powiedziała smutno.

- Nie jest jednak otoczony głupcami - powiedział. - Te dekryty, które wysyła każdego dnia jak gołębie, sto dekretów w okresie niecałych stu dni... czyje czytałaś?

- Pozwalam mu iść własną drogą - odpowiedziała.

- Kiedy przychodzi raz na siedem dni, aby się przed tobą stawić, nie pytasz go o nic?

- O nic - powiedziała. - Mam swych szpiegów.

- Jedną z przyczyn jego nienawiści do ciebie - powiedział bez osłonek - jest to, że twój eunuch każe mu czekać na kolanach przed twymi drzwiami. Czy każesz cesarzowi klęczeć?

- Klęczy - odrzekła obojętnie - bo jest to jego obowiązkiem w stosunku do matki.

Wiedziała jednak, że to prawda, że Li Lien-jing w swej bezczelnej pewności siebie każe cesarzowi klęczeć. Ona też była winna, bo udawała, że o tym nie wie. W swej wielkości nie była wolna od takich małych złośliwostek. Znała swą małostkowość, tak samo jak swą wielkość, lecz nie chciała się zmienić, akceptując siebie taką, jaką była.

Jung Lu mówił dalej:

- Wiem też, że twoi eunuchowie zmuszają Syna Niebios, by płacił im łapówki za to, że przyprowadzają go do ciebie, tak jakby był jakimś urzędnikiem pałacowym. To nieprzyzwoite i ty o tym wiesz.

- Wiem - powiedziała, śmiejąc się lekko - ale jest tak uległy, tak się mnie boi, że aż mnie kusi, by go podręczyć.

- Nie boi się tak bardzo, jak sądzisz - odparł Jung Lu. - Sto dekretów nie jest dziełem słabego człowieka. Nie zapominaj, że jest twoim siostrzeńcem, a jego krew jest krwią klanu Jehonała.

Jego pochmurne oczy i poważny głos odwołały się do tego, co było w niej wielkie. Odwróciła głowę i nie patrzyła na niego. Oto mężczyzna, którego się lękała. Jej serce zadrżało na tę myśl i dziwny ogień straconej młodości wzburzył jej krew. Usta jej zaschły, oczy paliły. Czy nie przegrała swojego życia? A teraz była już zbyt stara, nawet żeby pamiętać o miłości. To, co straciła, stracone było wraz ze wspomnieniami.

- Spisek - rzekła półgłosem - powiedziałeś, że spisek...

- Chcą otoczyć ten pałac - powiedział - i zmusić cię, abyś się wyrzekła władzy, abyś przyrzekła, że nigdy już nie wydasz dekretu, że odprawisz swych szpiegów, oddasz wielką cesarską pieczęć i zajmiesz się kwiatami, ptaszkami śpiewającymi w klatkach, swymi ulubionymi psami...

- Ale dlaczego? - wykrzyknęła. Upuściła wachlarz, ręce jej opadły bezradnie na kolana.

- Jesteś przeszkodą - powiedział jej. - Bez ciebie mogliby stworzyć nowy naród, naród ukształtowany na zachodnią modłę...

- Drogi żelazne - zawołała - działa, okręty, wojny, armia, atakowanie innych narodów,

zdobywanie ziem i żywności... - Zerwała się ze swego rzeźbionego krzesła, gwałtownym gestem uniosła ręce i zaczęła szarpać swe przybranie głowy. - Nie, nie... nie będę patrzyła na upadek naszego królestwa! Jest ono pełnym chwały dziedzictwem po naszych przodkach. Kocham lud, którym władam. Są moimi poddanymi, a ja nie jestem im obca. Przez dwieście lat Tron Smoka należał do nas, a teraz należy do mnie. Mój siostrzeniec zdradził mnie, a tym samym zdradził wszystkich naszych przodków.

Jung Lu stanął przy niej.

- Rozkazuj mi, Wasza Wysokość...

Jego słowa odrodziły ją.

- A więc posłuchaj. Wezwij do mnie mą Wielką Radę. Wszystko ma się odbyć w tajemnicy. Niech pojawią się również przywódcy naszego cesarskiego klanu. Będą mnie zaklinać, bym odsunęła od władzy mego siostrzeńca, będą mnie błagać, abym wróciła na Tron Smoka. Będą mówić, że mój bratanek zaprzedał kraj naszym wrogom. Tym razem wysłucham ich i przygotuję się do zrobienia tego, o co mnie proszą. Twoi żołnierze muszą zastąpić gwardzistów cesarza w Zakazanym Mieście. Kiedy jutro o świcie cesarz wejdzie do sali Czung Ho, aby złożyć jesienne ofiary naszym opiekuńczym bogom, należy go zatrzymać, doprowadzić tutaj i umieścić na małej wysepce na środku jeziora nazywanej Wyspą Oceanicznego Tarasu. Niech czeka tam uwięziony na moje przybycie.

Znów była sobą. Jej umysł pracował z całą jasnością, a w wyobraźni widziała już wszystkie przyszłe sceny, jakby reżyserowała sztukę teatralną. Jung Lu, wpatrując się w nią błyszczącymi oczami i zakrywając twarz ręką, powiedział cicho:

- Jesteś cudem, Cesarzową Świata! Któryż człowiek potrafiłby tak jak ty objąć umysłem to, co minione i to, co nadejdzie? Nie muszę o nic pytać. Plan jest doskonały.

Spojrzeli sobie prosto w oczy. Jung Lu stał jeszcze chwilę milcząc, po czym oddalił się.

Przez dwie godziny tragarze nosili palankiny radców, aż w końcu Wielka Rada zebrała się w całości. Cesarzowa siedziała na tronie w cesarskich szatach, w aksamitach haftowanych złotymi feniksami, w ozdobionym klejnotami przybraniu głowy, które przypominało koronę. Dwie wysokie pochodnie paliły się obok niej, oświetlając złote nitki jej szaty, migocząc w jej klejnotach i w jej oczach. Każdy z książąt stał w otoczeniu swych ludzi. Na dany przez eunuchów znak wszyscy padli na kolana. Powiedziała im wtedy, dlaczego ich wezwała.

- Wielcy książęta, moi krewni, ministrowie i radcy - zaczęła - w cesarskim mieście powstał spisek przeciwko mnie. Mój siostrzeniec, którego uczyniłam cesarzem, chce wtrącić

mnie do więzienia, a potem zabić. Planuje, że kiedy będę martwa, usunie was wszystkich i powoła nowych ludzi, posłusznych jego woli. Nasze stare obyczaje mają być zniszczone, mądrość wyszydzone, szkoły zlikwidowane. Na ich miejsce mają przyjść nowe zwyczaje, nowe idee, nowe szkoły. Nasi wrogowie, cudzoziemcy, mają być naszymi przewodnikami. Czy to nie zdrada?

- Zdrada, zdrada! - krzyknęli jak jeden mąż.

Wyciągnęła ręce z dawnym, zniewalającym wdziękiem.

- Powstańcie, proszę was - powiedziała. - Siądźmy jak bracia i razem zastanówmy się, jak zniweczyć ten ohydny spisek. Nie boję się swej śmierci, ale boję się śmierci narodu, zniewolenia naszego ludu. Kto go obroni, kiedy mnie nie stanie?

Na to powstał Jung Lu i powiedział:

- Wasza Wysokość, jest tu generał Jiian Szy-k'ai. Pomyślałem, że dobrze będzie wezwać go, a teraz proszę, by sam mógł opowiedzieć o spisku.

Cesarzowa skinęła przyzwalająco głową i Jiian Szy-k'ai, w wojskowych szatach, z mieczem u pasa, wystąpił do przodu i złożył pokłon.

- Rano piątego dnia tego miesiąca - powiedział wysokim głosem - wezwany zostałem po raz ostatni przed oblicze Syna Niebios. Byłem już poprzednio wzywany trzykrotnie, aby słuchać o spisku, ale ta audyencja miała być ostatnią przed dokonaniem zamierzenia. Godzina była wczesna. Cesarz siedział na Tronie Smoka w ciemności, bo światło poranka jeszcze nie dotarło do sali tronowej. Przywołał mnie gestem, bym podszedł. Zbliżyłem się, a cesarz wyszeptał mi do ucha swe rozkazy. Poleciał, bym jak najszybciej udał się do Tientsinu i zgładził wicekróla Jung Lu. Następnie miałem powrócić do Pekinu z wszystkimi swoimi żołnierzami i udać się do twej, Wasza Wysokość, siedziby, by pojmać cię i zamknąć w twoim pałacu. Cesarz rozkazał mi też, bym odnalazł cesarską pieczęć i przyniósł ją mu osobiście. Pieczęć ta, mówił, powinna być przy nim od chwili, gdy wstąpił na tron. Mówił, że nie może ci, Wasza Wysokość, wybaczyć tego, że zatrzymałaś ją dla siebie, zmuszając go tym samym do opatrywania wysyłanych dekretów jedynie małą, prywatną pieczęcią, co dla wszystkich było jawnym sygnałem, że mu nie wierzysz. Na znak, że jego rozkaz jest ostateczny, dał mi małą złotą strzałę, która miała świadczyć o mojej władzy.

Jiian Szy-k'ai wyciągnął zza pasa złotą strzałę i uniósł wysoko, by wszyscy mogli ją zobaczyć, a oni wydali z siebie jęk.

- A jaką przyrzekł ci za to nagrodę? - spytała wtedy cesarzowa głosem nazbyt łagodnym, z oczyma aż nadto lśnącymi.

- Miałem zostać wicekrólem tej prowincji, Wasza Wysokość - odrzekł Jiian.



- Marna nagroda za tak wielkie czyny - powiedziała. - Bądź pewien, że moja będzie znacznie większa.

Kiedy generał mówił, Wielcy Radcy nie mogli powstrzymać jęku, słysząc o tak strasznym wiarołomstwie. Kiedy więc skończył, padli na kolana i błagali cesarzową, aby z powrotem zasiadła na Tronie Smoka i ocaliła naród od barbarzyńców z Zachodu.

- Przyrzekam spełnić waszą prośbę - powiedziała łaskawie.

Znów podnieśli się i zaczęli radzić, aż zdecydowali przy jej cesarskiej aprobacie, że Jung Lu musi potajemnie wrócić na swój posterunek, skoro tylko zastąpi strażników Zakazanego Miasta swoimi ludźmi. Kiedy cesarz pojawi się o świcie, by odebrać tekst litanii przygotowanej przez Ministerstwo Obrzędów na uroczystość poświęconą Opiekuńczym Bóstwom, strażnicy i eunuchowie mają go pochwycić i zaprowadzić na Wyspę Oceanicznego Tarasu, każąc mu tam czekać na przybycie cesarzowej matki.

Była północ. Kiedy wszystko zostało ustalone, radcy wrócili do miasta, a Jung Lu bez zbędnych pożegnań udał się do swych zadań. Cesarzowa zeszła z tronu i opierając się na ramionach swych eunuchów, poszła do swej sypialnej komnaty. I jakby to była noc taka jak zwykle, pozwoliła, by ją wykąpano i wyperfumowano, by wyszczotkowano i zapleciono jej włosy, po czym w pachnącym, jedwabnym nocnym stroju udała się do swego łóżka. Był już świt, pora, o której cesarz miał zostać zatrzymany, ale ona zamknęła oczy i zapadła w spokojny sen.

Kiedy się obudziła, w pałacach panowała cisza. Słońce stało wysoko, powietrze było słodkie i orzeźwiające. Na przekór obawom i przestrogom dworskich lekarzy, twierdzących, że nocne powiewy są szkodliwe, cesarzowa zawsze spała przy otwartych oknach, nie zaciągając nawet zasłon. Przy jej łóżku siedziały jak zwykle dwie damy, a za drzwiami sypialni stało na straży dwudziestu eunuchów - ani więcej, ani mniej niż zazwyczaj. Wstała i jak co dzień pozwoliła swej służącej, by ta zajęła się jej toaletą, zatrzymując się może nieco dłużej przy wyborze klejnotów. Zdecydowała się w końcu na ametyst, kamień ciemny i mroczny, którego nie zakładała zbyt często. Ciemne były również jej szaty wykonane z szarego, ciężkiego, brokatowego aksamitu, a kiedy służące przyniosły orchidee, nie pozwoliła, by wpięły je w jej włosy, bo tego dnia chciała wyglądać bardzo dostojnie.

Zjadła jednak z apetytem śniadanie, pobawiła się ze swymi małymi pieskami i podroczyła z ptaszkiem, naśladując jego śpiew, aż zaczął jej wtórować. Tymczasem w hallu czekał Li Lien-jing, którego wreszcie wezwała.

- Czy wszystko w porządku? - spytała, kiedy się pokazał.

- Wasza Wysokość, twoje rozkazy zostały spełnione - powiedział.

- Czy nasz gość znajduje się na Wyspie Oceanicznego Tarasu? - pytała dalej, a jej czerwone wargi drżały, jakby od skrywanego śmiechu.

- Dwoje gości, Wasza Wysokość - powiedział. - Pobieгла za nami konkubina Perła i obiema rękami objęła w pasie swego pana, zaciskając ręce tak mocno, że nie chcieliśmy tracić czasu na rozdzielanie ich, a bez twego wyraźnego rozkazu nie ośmieliliśmy się jej zabić...

- Wstydz się - powiedziała - czy kiedykolwiek rozkazałam... ach, dobrze, niech tam pozostanie, to nie ma znaczenia. Teraz pójde tam, by spojrzeć w jego zdradliwą twarz. Będziesz mi towarzyszył. Tylko ty. Nie potrzebuję ochrony... jest bezsilny.

Skinęła dłonią na swego ulubionego psa. Ogromne stworzenie, wielkie i białe jak niedźwiedź polarny, przyskoczyło do niej i szło u jej boku, dostosowując swój krok do jej kroku. Za nimi szedł Li Lien-jing. Milcząc podążali w kierunku jeziora i przeszli przez marmurowy most. Cesarzowa patrzyła na całe stworzone przez siebie piękno: na ogniste klony na zboczu pagórka, różowe kielichy lotosu pływające na jeziorze, na złote dachy i smukłe pagody, na tarasowe ogrody i grupy sosen. Wszystko to należało do niej. Było dziełem jej serca i umysłu. Ale nie umiała się tym cieszyć, gdyby musiała przebywać tu w roli więźnia. Samo piękno nie mogło jej wystarczyć, gdyby utraciła władzę i wolność. Nie pragnęła wcale pozbawiać wolności cesarza, ale wiedziała, że musi to uczynić, nie tyle we własnym interesie, co w interesie swojego ludu. Jej mądrość, jak niezachwianie w to wierzyła, musi uratować teraz naród przed szaleństwem siostrzeńca.

Utwierdziwszy się w swym postanowieniu, dotarła do wyspy i weszła do pawilonu. Wielki pies towarzyszył jej krok w krok, a eunuch postępował w ślad za nią.

Cesarz, który czekał tam w swych obrzędowych, modlitewnych szatach, powstał, by ją przywitać. Jego wąska twarz była blada, wielkie oczy smutne, a delikatne jak u kobiety usta, rzeźbione miękko i zawsze rozchylone, drżały z niepokoju.

- Na kolana - powiedziała i usadowiła się na środkowym krześle. W każdej sali, pawilonie, komnacie lub miejscu odpoczynku miejsce środkowe należało do niej.

Padł przed nią na kolana i dotknął czołem podłogi. Wielki pies uważnie obwąchał go od pięt aż po głowę i położył się u jej stóp, strzegąc swojej pani.

- Ty! - powiedziała szyderczo cesarzowa, wpatrując się w kłęczącego mężczyznę. - Powinieneś zostać powieszony, poćwiartowany i rzucony dzikim bestiom na pożarcie!

Nic nie powiedział ani się nie poruszył.

- Kto powołał cię na Tron Smoka? - spytała. Nie podnosiła głosu, nie potrzebowała tego robić, dosięgał jego uszu zimny jak stal. - Kto poszedł nocą, by zabrać kwilące dziecko z

jego łóżka i uczynić je cesarzem?

Mruknął coś, ale nie dosłyszała słów. Pchnęła go stopą.

- Co mówisz? Podnieś głowę, jeśli śmiesz mi coś powiedzieć.

Uniósł głowę.

- Powiedziałem... że żałuję, iż wzięłaś wówczas to dziecko z łóżka.

- Ty słabeuszu - odparła - ofiarowałam ci miejsce wysoko ponad całym światem! Jak bardzo rad byłby z tego człowiek silny, jak wdzięczny swej przybranej matce! A ja mogłabym czuć się wtedy dumna! Ale ty, ze swymi zagranicznymi zabawkami, ze swymi cackami, zepsuty przez eunuchów, bojący się swej małżonki, przedkładający nad nią, która jest cesarzową, zwykle konkubiny... Powiadam ci, nie ma mandzurskiego księcia czy też człowieka pospolitego, który nie modliłby się o mój powrót na tron! Proszą mnie o to w dzień i w nocy. A kto popiera ciebie? Kto, prócz chińskich buntowników? Ich spisek był prosty - chcieli pochlebstwami i namową sprawić, żebyś ich słuchał. A kiedy mieliby cię już w swej władzy, pozbyliby się ciebie i w ten sposób zakończyli panowanie naszej dynastii. Zdradziłeś nie tylko mnie, ale także naszych świętych przodków. Poświęciłbyś potężnych władców, którzy byli przed nami. Reformy! Pluję na reformy! Buntownicy zostaną zabici... a ty, a ty...

Poczuła nagły ucisk w piersiach. Przestała mówić, położyła rękę na sercu i poczuła, że biło, jakby miało pęknąć. Pies patrzył na nią w górę, pomrukując z niepokojem. Spróbowała uśmiechnąć się do niego.

- To zwierzę wierniejsze jest od ludzi - powiedziała. - Nie pozbawię cię życia, siostrzeńcu. Utrzymasz nawet tytuł cesarza. Będziesz jednak więźniem - strzeżonym, nieszczęśliwym. Będziesz błagał, bym zajęła twe miejsce i rządziła. A ja ulegnę, choć niechętnie, naprawdę niechętnie, bo byłabym dumna, gdybyś okazał się silny i rządził tak, jak powinien rządzić władca. Ale ponieważ jesteś słaby i nie nadajesz się do rządzenia, zmuszona jestem zająć twoje miejsce. Od tej chwili, aż do twej śmierci...

W tej samej chwili rozchyliły się kurtyny u wejścia i wbiegła konkubina Perła, rzuciła się na podłogę obok cesarza i łkając głośno, zaczęła błagać, by cesarzowa miała nad nim litość.

- Naprawdę, zapewniam cię, matko - płakała - on żałuje, że zakłócił spokój twego umysłu. On pragnie tylko dobra, zapewniam cię, bo nie było jeszcze człowieka tak dobrego i delikatnego jak on. Nie potrafi skrzywdzić nawet myszy. Tak, zapewniam cię o tym, o Czcigodna, bo któregoś dnia moja kotka zловиła mysz, a on własnymi rękami wyswobodził ją z jej pyska i starał się przywrócić ją do życia!

- Cicho, głupia dziewczyno - powiedziała cesarzowa.

Ale konkubina Perła nie chciała być cicho. Uniosła głowę, siadła na piętach i z pięknymi policzkami zalanymi łzami krzyczała na wyniosłą kobietę, swą cesarzową.

- Nie będę cicho, a ty, jeśli chcesz, możesz mnie zabić! Nie masz prawa odbierać mi tronu. Jest cesarzem z woli nieba, a ty byłaś tylko narzędziem w ręku opatrności.

- Dość - powiedziała cesarzowa. Jej piękna twarz była surowa jak twarz prawdziwego mężczyzny. - Przekroczyłaś wszelkie granice. Od tej chwili nigdy już nie zobaczysz swego pana.

Cesarz zerwał się na równe nogi.

- Och, czcigodna matko - krzyczał - nie zabijesz przecież niewinnej istoty! Jedynej, która mnie kochała, w której nie ma pochlebstwa, udawania ani podstępów...

Konkubina wstała, przywarła do jego ramienia i przytuliła do niego twarz.

- Kto zrobi ci twą ulubioną zupę? - płakała. - Kto cię ogrzeje w zimnym łożu...

- Moja bratanica, jego małżonka, będzie z nim mieszkać - powiedziała cesarzowa. - Nie jesteś tu potrzebna.

Odwróciła się władczo do Li Lien-jinga, a ten wystąpił gotowy na jej rozkazy.

- Zabierz stąd konkubinę Perłę. Zaprowadź ją do najodleglejszej części tego pałacu. W Pałacu Zapomnianych Konkubin znajdują się dwa małe, wewnętrzne pokoje. Będą jej więzieniem, aż umrze. Niech jej odzież nie będzie zmieniana, aż szaty, które ma na sobie, opadną z niej w łachmanach. Jej pożywieniem będzie gruby ryż i kapusta żebraków. W mojej obecności nie należy wspominać jej imienia. Kiedy umrze, nie chcę o tym wiedzieć.

- Tak, Wasza Wysokość - odpowiedział eunuch.

Jego blada twarz i zduszony głos wskazywały, że nawet on nie pochwalał surowości poleceń, które zmuszony był spełnić. Chwycił kobietę za nadgarstek i pociągnął ją za sobą. Kiedy odeszli, cesarz osunął się na podłogę i leżał skulony, bez zmysłów u stóp swej władczyni. Nad nim stał warcząc biały pies, a cesarzowa siedziała nieruchomo i milcząco wpatrywała się w przestrzeń za otwartymi drzwiami.

### *Stary Budda*

Cesarzowa władała po raz wtóry, ale teraz była już stara i, jak sama twierdziła, niewiele pozostało w niej cech kobiecych, więc odrzuciła wszelkie parawany i wachlarze chroniące przed oczyma mężczyzn. Zasiadała na Tronie Smoka, jak gdyby była mężczyzną - w pełnym świetle pochodni lub słońca, pełna dumy i majestatu. Osiągnąwszy to, co zaplanowała, mogła teraz okazać miłosierdzie i zezwalała litościwie swemu siostrzeńcowi, by

ukazywał się czasem w roli cesarza. Więc kiedy nadeszły jesienne święta, pozwoliła, by złożył cesarskie ofiary przy Ołtarzu Księżycy. Ósmego dnia ósmego miesiąca księżycowego podczas Święta Jesieni strażnicy wyznaczeni przez Jung Lu wprowadzili go do sali audiencyjnej, gdzie w obecności Wielkiej Rady i przedstawicieli cesarskich ministerstw złożył cesarzowej dziewięć pokłonów, na znak, że uznaje jej władzę. Później tego samego dnia, za jej przyzwoleniem i pod tą samą strażą, dokonał obrzędu cesarskiej ofiary przed Ołtarzem Księżycy, dziękując niebu za zbiory i za pokój. Pozwólmy, by kontaktował się z bogami, powiedziała. Sama zaś miała do czynienia z ludźmi.

A wiele tu było do zrobienia. Najpierw skazała na śmierć sześciu chińskich buntowników, których rady sprowadziły cesarza na manowce. Lecz spotkał ją zawód i zmartwienie, bo pierwszy wśród nich buntownik - K'ang Ju-wei umknął jej dzięki Anglikom i na obcym statku przybył do angielskiego portu, gdzie żył bezpiecznie na wygnaniu. Nie pozwoliła jednak ujść cało członkom swego klanu. Księcia Ts'ai, przyjaciela i sojusznika cesarza, wtrąciła do komnaty więziennej klanu - wiedziała o jego zdradzie, bo jego żoną była jeszcze jedna z jej bratanic. Księżę jej nienawidził, a ona z zemsty o wszystkich jego poczynaniach szeptała swej cesarskiej ciotce. Kiedy zginęli wszyscy, którzy mieli zginąć, i przy życiu nie pozostał już żaden z jej wrogów, przed cesarzową stało znacznie trudniejsze zadanie. Należało teraz sprawić, by to, co zrobiła, wszyscy uznali za rzecz słuszną. Wiedziała bowiem, że społeczeństwo jest podzielone. Niektórzy brali stronę cesarza, mówiąc, że naród powinien być przygotowany na nadejście nowych czasów, że powinien mieć okręty, działa i koleje i że powinien uczyć się nawet od swoich wrogów - ludzi Zachodu. Inni zaś byli zwolennikami mędrca Konfucjusza, tradycyjnych sposobów życia i mądrości, tęsknili za uwolnieniem się od nowych ludzi i nowych czasów i za powrotem do starych obyczajów.

Należało przekonać jednych i drugich - cesarzowa podjęła się tego zadania. Drogą dekretów i zręcznych plotek, które przeciekały z dworu powtarzane przez eunuchów i ministrów, ludność powiadomiona została o ciężkich grzechach cesarza, z których dwa były najważniejsze. Po pierwsze - spiskował przeciwko swej dostojnej ciotce, planując nawet jej śmierć, aby bez przeszkód słuchać swych nowych doradców, a po drugie - wspierali go i umacniali cudzoziemcy, a on w swej naiwności nie dostrzegł, że ludzie ci mieli nadzieję uczynić z niego swą marionetkę i w ten sposób przejąć dla siebie cały kraj. Oba te grzechy przekonały wszystkich, że cesarzowa zrobiła dobrze, odzyskując stolec cesarski, bo jeśli tylko ci, którzy szanowali nauki Konfucjusza i tradycję, wyrzucali młodzieńcowi, że chciał zgładzić osobę od siebie starszą, to już nikt nie mógł wybaczyć władcy tego, że przyjaźnił się z białymi ludźmi i chińskimi buntownikami. Zanim minęło kilka miesięcy, ludzie zaaprobowali

cesarzową jako swą władczynię, i nawet cudzoziemcy powiadali, że lepiej mieć do czynienia z silną kobietą niż słabym mężczyzną jako władcą, bo sile można wierzyć, natomiast słabość zawsze budzi wątpliwości.

A oto, jak wyglądał następny mądry fortel Starego Buddy. Znała władzę, jaką mają kobiety, więc aby wpłynąć na mężczyzn, wydała ucztę, na którą zaprosiła żony wszystkich posłów i ambasadorów krajów Zachodu, którzy mieszkali w stolicy jako reprezentanci swych rządów. Nigdy w ciągu swego długiego życia cesarzowa nie oglądała białej twarzy, ale teraz przygotowywała się do tego, chociaż już sama myśl o spotkaniu z tymi kobietami była jej wstrętą. Jeśli jednak zdobędzie kobiety, myślała, mężczyźni pójdą za nimi. Pretekstem do spotkania miał być dzień jej urodzin - kończyła właśnie sześćdziesiąty czwarty rok życia i z tej okazji zaprosiła siedem dam, żon zagranicznych posłów.

Cały dwór był poruszony, damy dworu ciekawe, służące zajęte, a eunuchowie krzatali się w podnieceniu, bo nikt dotąd nie widział jeszcze cudzoziemca. Tylko cesarzowa była spokojna. To ona pomyślała o tym, by podano potrawy, które smakować mogą gościom. Wysłała eunuchów, aby dowiedzieli się, czy panie owe jadają mięso, czy też zabraniają im tego ich bogowie, czy lubią łagodne, zielone herbaty chińskie, czy też czarne indyjskie, czy wolą, by do wyrobu słodczy użyto tłuszczu zwierzęcego, czy tłuszczu roślinnego. W istocie ich odpowiedzi były jej obojętne, i zleciła to, co chciała, ale gest grzecznościowy został wykonany.

W ten sposób zaplanowała również i inne uprzejmości. Przed południem wysłała chińskich gwardzistów, którzy w pełnej gali, w mundurach barwy złota i purpury ruszyli konno, by zapowiedzieć przybycie lektyk. W godzinę później lektyki te, każda niesiona przez pięciu tragarzy i eskortowana przez dwóch jeźdźców, stanęły przy bramie brytyjskiego poselstwa. Kiedy cudzoziemskie damy wyszły, lektyki postawiono na ziemi i odciągnięto w nich zasłonki, aby damy mogły wejść do środka. Jak gdyby nie dość było tych grzeczności, cesarzowa rozkazała szefowi Ministerstwa Służby Dyplomatycznej, aby wziął z sobą czterech tłumaczy, wszystkich w lektykach eskortowanych przez sześćdziesięciu konnych gwardzistów, i godnie przyjął damy. Każdy mężczyzna ubrany był w swą oficjalną szatę i zachowywał się niezmiernie dostojnie, będąc równocześnie pełnym grzeczności dla cudzoziemskich gości.

Przy pierwszej bramie wiodącej do Zimowego Pałacu pochód zatrzymał się i zaproszono panie, by kilka kroków przeszły pieszo. W bramie czekało siedem lektyk pałacowych wyściełanych czerwonym aksamitem. Każdą niosło sześciu eunuchów ubranych w jasnożółte aksamity i przepasanych szkarłatnymi szarfami. Damy wraz z postępującą za

nimi eskortą dotarli w ten sposób do drugiej bramy, gdzie powtórnie wyszły z lektyk.

Cesarzowa poleciła, by zaprowadzono je do małej kolejki z wagonikami ciągniętymi przez parową lokomotywę, którą cesarz wiele lat temu kupił dla zabawy i nauki. Kolejka powiozła je przez Zakazane Miasto do sali wejściowej głównego pałacu. Tu zaproszone damy zasiadły w siedmiu krzesłach, piły herbatę i odpoczywały. Następnie najwyżsi rangą książęta wprowadzili je do wielkiej sali audiencyjnej, gdzie na swych tronach siedzieli cesarz i jego małżonka. Cesarzowa, ta arcydyplomatką, chciała, aby tego dnia siostrzeniec zasiadł po jej prawej ręce, tak że mogło się wydawać, iż panuje między nimi najpełniejsza harmonia.

Damy stały teraz przed tronem w kolejności zależnej od czasu, jaki spędziły w Pekinie, i tłumacz przedstawiał je wszystkie po kolei - najpierw księciu Cz'ingowi, ten z kolei przedstawiał je cesarzowej.

Cesarzowa wpatrywała się w każdą twarz i chociaż była bardzo zdziwiona tym, co widziała, pochylała się ze swego tronu i ścisnęła prawą rękę każdej z dam w swych upięsienionych dłoniach, a tego dnia na każdym palcu wskazującym miała pierścień z czystego, chińskiego złota z wielką okrągłą perłą.

Damy dziękowały jej, a ona odpowiadała każdej skinieniem głowy. Następnie wstała i opuściła pomieszczenie wraz z postępującym za nią siostrzeńcem i eunuchami, którzy tłoczyli się z tyłu i ochraniali ją, kiedy szła.

Za drzwiami skręciła w lewo, kierując się ku swemu pałacowi, cesarzowi zaś nakazała gestem, nie odzywając się do niego, by poszedł w prawo - czterech eunuchów, którzy pilnowali go w dzień i w nocy, poprowadziło go do jego więzienia.

We własnej sali jadalnej, w otoczeniu ulubionych dam, cesarzowa zjadła swój zwykły południowy posiłek. Tymczasem goście biesiadowali w sali bankietowej z jej mniej znacznymi damami, eunuchami i tłumaczami, którzy pozostali, by świadczyć im grzeczności. Cesarzowa, jedząc jak zwykle ze smakiem, była w świetnym humorze i śmiała się, wspominając dziwne twarze cudzoziemców. Najdziwniejsze były ich oczy, stwierdziła, niektóre bladoszare, inne lekko żółte albo niebieskie jak oczy dzikich kotów. Zauważyła, że kości miały grube, ale przyznała, że ich skóra była bez zarzutu - biała i różowa, z wyjątkiem Japonki o skórze grubej i brązowej. Najprzystojniejszą według niej była dama z Anglii, ale najbardziej przypadł jej do gustu strój damy z Niemiec - krótki koronkowy żakiecik i długa suknia z ciężkiego, brokatowego atłasu. Śmiała się z wysokiej kokardy, którą miała na głowie dama rosyjska, a o damie z Ameryki powiedziała, że wygląda jak surowa mniszka. Panie jej wybuchały śmiechem i przyjmowały z aplauzem wszystko, co mówiła, oświadczając, że nigdy nie widziały jej aż tak dowcipnej. W przyjemnym nastroju ukończono posiłek, po czym

cesarzowa zmieniała szaty i powróciła do sali bankietowej. W tym czasie gości odprowadzono do innej sali i usunięto stoły, a kiedy wprowadzono ich z powrotem, cesarzowa siedziała już na krześle tronowym, gotowa na ich przyjęcie. Posłała uprzednio po swą bratanicę, młodą cesarzową, która teraz stała u jej boku. Kiedy goście weszli, cesarzowa przedstawiała im po kolei bratanicę i, była bardzo zadowolona, dostrzegając w oczach dam uznanie i podziw dla swej szkarłatnej szaty, ozdób i klejnotów. Na razie cesarzowa nie założyła swych najlepszych szat i klejnotów, ale widząc spojrzenia zagranicznych dam, zauważyła, że chociaż były tylko cudzoziemkami, znały się na jakości atlasów i klejnotów. Postanowiła więc w duchu, że kiedy pod koniec dnia przyjmie je po raz trzeci, oszołomi je pięknnością swego stroju. Zadowolona powstała i kiedy damy podchodziły do niej kolejno, kładła ręce na swej piersi, a potem na ich piersiach i raz po raz powtarzała słowa starożytnego mędrca: „W obliczu nieba wszyscy są jedną rodziną”, nakazując tłumaczom, aby powtarzali je po angielsku i po francusku. Potem pożegnała się z gośćmi, zapraszając ich do teatru i wyjaśniając, że wybrała dla ich przyjemności swą ulubioną sztukę, którą tłumacze będą komentować w trakcie przedstawienia.

Tymczasem sama udała się do swych pokoi. Była nieco znużona, więc pozwoliła, by ją wykąpano w ciepłej, wonnej wodzie, zanim założyła świeży strój. Tym razem wybrała swą najkosztowniejszą szatę z przetykanego złotem atlasu, haftowanego w feniksy wszelkich barw i odcieni; założyła też swój słynny naszyjnik ze specjalnie dobranych pereł i zmieniła nawet złote tarcze ochraniające paznokcie - z wysadzanych perłami i nefrytami na zdobione birmańskimi rubinami i indyjskimi szafirami. Na głowie miała wysoki stroik z pereł i rubinów poprzątkanych diamentami z Afryki. Jej panie spoglądały na nią z zachwytem, twierdząc, że nigdy nie widziały jej piękniejszą. I tak też było - świeżość jej skóry o kolorze kości słoniowej, czerwień gładkich warg, czerń przepysznych oczu i nieskazitelne brwi sprawiały, że wyglądała niczym kobieta w rozkwicie swej młodości.

Jeszcze raz wróciła do sali bankietowej, gdzie goście jedli słodycze i pili herbatę, ale przybyła teraz w całym majestacie - eunuchowie nieśli ją w pałacowej lektyce aż do samego tronu. Zagraniczne damy powstały z jaśniejącymi w podziwie twarzami, a ona uśmiechała się do wszystkich. Potem podniosła do ust czarękę z herbatą i po kolei przyzywała każdą z dam, prosząc, by napiły się z nią razem i powtarzając wielokrotnie: „Wszyscy jesteśmy jedną rodziną w obliczu nieba”. Śmiała i wolna, czując swój triumf, rozkazała, by przyniesiono podarki i wręczono je damom. Każda otrzymała wachlarz, zwój z wykonanym przez nią samą malowidłem i kawałek nefrytu. Kiedy dary rozdano i damy przyjęły je z wdzięcznością, skierowała do wszystkich słowa pożegnania i tym zakończył się ów dzień.



Przez następnych kilka dni jej szpiedzy donosili, że zagraniczne damy bardzo ją chwaliły przed swymi panami, mówiąc, że ktoś tak uprzejmy, piękny i hojny jak ona, nie może być jednocześnie zły lub okrutny. Była niezmiernie zadowolona i czuła, że jest rzeczywiście taka, jak o niej mówiono. Zdobywszy uznanie, wróciła znów do spraw państwowych - musiała pozbyć się wszelkich buntowników i reformatorów podburzających Chińczyków, którymi władała, i znów sprowadzić cały lud pod władzę swej ręki i swego serca. Im dłużej zastanawiała się nad tym zadaniem, tym wyraźniej zaczynała dostrzegać, że nie zdoła tego osiągnąć, dopóki żyć będzie cesarz, jej siostrzeniec. Jego smutek, zaduma, uległość - wszystko to zjednywało tych, którzy go otaczali, choć wciąż jeszcze byli jej posłuszni. Zmuszała się jednak do robienia tego, co zrobione być powinno, chociaż Li Lien-jing szeptał jej do ucha:

- Tak długo, jak on będzie żył, Wasza Wysokość - sugerował chudy eunuch - naród pozostanie podzielony. W rozłamie, który wstrząsnął cesarskim domem, będzie szukać usprawiedliwienia dla tego podziału... Ci Chińczycy rodzą się, by się kłócić. Kochają niezgodę i nigdy nie czują się tak szczęśliwi, jak wtedy, kiedy spiskują i sporządzają plany walki przeciwko swym władcom. Przywódcy buntowników nie zaprzestali swych knozań. W dzień i w nocy przypominają ludziom, że to nie Chińczycy stoją nad nim, lecz Mandżurowie. Tylko ty możesz utrzymać pokój, ponieważ ludzie znają cię i mają zaufanie do twej bystrości rozumu, mimo że jesteś Mandżurką.

- Gdybyż mój bratanek okazał się mocnym człowiekiem - westchnęła. - Z jakimż zadowoleniem powierzyłabym mu los mojego ludu!

- Ale on, Wasza Wysokość, nie jest mocnym człowiekiem - szeptał eunuch. - Jest słaby i samowolny. Słucha największych buntowników spośród Chińczyków i nie chce dostrzec ich spisku. Niszczy dynastię i nie wie, że to robi.

Nie mogła się z tym nie zgodzić, ale nie mogła też wydać potajemnego rozkazu, na który czekał chciwie eunuch.

Tego dnia przechadzała się po pałacowym tarasie i błędząc wzrokiem ponad jeziorem pełnym kwitnących kwiatów lotosu, patrzyła na wyspę, na której uwięziony był jej bratanek. Czy można było jednak nazywać więzieniem jego pałac, który miał wprawdzie tylko cztery pokoje, ale duże i wygodnie umeblowane, zaś położony był w okolicy milej i pełnej spokoju? Nawet teraz mogła zobaczyć bratanka, który błąkał się po wąskiej wyspie, a za nim postępowali w pewnej odległości strzegący go zawsze czujnie eunuchowie.

Był już czas na wymianę owych eunuchów, na postawienie w ich miejsce innych, aby

pozostając w tej służbie zbyt długo, nie skierowali swej sympatii ku młodemu człowiekowi, którego strzegli. Jak dotąd byli jej wierni i każdej nocy jeden z nich kopiował dziennik, który jej bratanek pisał dzień po dniu. Nocą czytała, co napisał, i wiedziała, co czuje - znała każdą jego myśl i każde uderzenie serca. W jednego tylko eunucha wątpiła trochę, bo raporty jego wyglądały zawsze zbyt dobrze. „Cesarz spędza czas na czytaniu dobrych książek - mówił zawsze eunuch o imieniu Huang. - Kiedy jest zmęczony, maluje lub pisze poezje”.

Spacerując po tarasie, rozważała to, co powiedział dziś Li Lien-jing. W pewnej chwili gwałtownie to odrzuciła. Nie, nie nadszedł jeszcze czas, by umarł jej bratanek. Wina za jego śmierć nie może spoczywać na niej, która go wybrała. To prawda, że życzyła mu śmierci, ale samo życzenie nie jest zbrodnią. Niech jego śmierć zaczeka na wyrok nieba.

Następnym razem, kiedy Li Lien-jing przebywał w jej obecności, odniosła się do niego chłodno i powiedziała:

- Nie mów mi więcej o podróży cesarza do Żółtych Źródeł. Kiedy niebo tego zapragnie, samo sprawi, że się to stanie.

Powiedziała to tak surowym tonem, że zgiął się w pokłonie, by pokazać, że będzie jej posłuszny.

Któż jednak byłby się domyślił, że chińscy buntownicy znajdą sposób na dotarcie do uszu samotnego, młodego cesarza? Zrobili to za pośrednictwem eunucha Huanga. Pewnego poranka w dziesiątym miesiącu księżycowym tego roku młody cesarz wymknął się spod straży eunuchów i pobiegł przez sosnowy las na północnym krańcu wyspy do małej zatoczki, gdzie czekała na niego łódka. Jeden z eunuchów ujrzał między drzewami jego rozwiane szaty. Na jego okrzyk wszyscy eunuchowie wybiegli tak szybko, jak tylko mogli, i chwycili cesarza, który właśnie wchodził do łódki, i trzymając go za szaty, błagali, by nie uciekał.

- Jeśli uciekniesz, Synu Niebios - prosili - Stary Budda każe nam ściąć głowy.

Żaden inny argument nie byłby bardziej skuteczny. Cesarz miał czułe serce i wahał się, podczas kiedy człowiek z łódki, będący buntownikiem w przebraniu, krzyczał do niego, że nie może dłużej zwlekać i że życie eunuchów nie ma żadnej wartości. Cesarz patrzył jednak na twarze błagających eunuchów, a wśród nich na twarz młodego eunucha, niemal jeszcze dziecka, delikatnego i grzecznego, który zawsze, dniem i nocą, stał przy swym królewskim panu, by mu służyć. Spojrzawszy na płaczącego chłopca, cesarz nie mógł wejść do łódki. Potrząsnął tylko głową i wiosłarz, bojąc się dłużej zwlekać, odpłynął w ciche mgły świtu.

Smutne to opowiadanie dotarło do uszu cesarzowej, która wysłuchawszy go, nie uczyniła pozornie nic, ale zapisała je w swym sercu przeciwko cesarzowi. Na razie pozwoliła, by każdy buntownik, każdy książę i minister, który wspierał cesarza, skazany został na śmierć. Jemu pozwoliła żyć, bo miała na niego broń. Jej poddani tak głęboko czcili starodawną mądrość Konfucjusza, że wystarczyło, by przypomnieli im, że cesarz spiskował, by ją zabić, aby okrzyknęli go zdrajcą. Wiedziała też, że cesarz o tym wie, i potrafiła wsączyć w jego serce poczucie winy, bo miał wrażliwe sumienie i on także czcił owego mędrca.

Jung Lu pochwalił ją za jej miłosierdzie. Znów poprosił o prywatną audiencję i powiedział:

- Jak prawdą jest, Wasza Wysokość, że lud nigdy nie wybaczy spisku przeciwko tobie, tak jest też prawdą, że przestanie cię szanować, jeśli pozwolisz na odebranie życia cesarzowi, nawet gdyby to był wypadek. Musi być uwięziony, przyznając, aby nie stał się narzędziem w rękach naszych wrogów, ale nie szczędź mu kurtuazyjnych gestów. Pozwól mu ukazać się u twego boku, kiedy za dziesięć dni będziesz przyjmowała posła z Japonii, i pozwól mu ukazywać się, kiedy będziesz przyjmowała posłów z zagranicznych terytoriów. Ty, Najwyższa, możesz pozwolić sobie na każdy akt łaski i uprzejmości. Pozwól mi nawet zasugerować, by konkubina Perła...

Ale ona uniosła obie ręce, nakazując tym ciszę. Słowa: „konkubina Perła” nie mogły być nadal wypowiedziane w jej obecności. Wpatrywała się w niego w zimnym milczeniu, a on nie powiedział już nic więcej. Czasem była cesarzową, czasem kobietą, tego dnia widział tylko cesarzową.

- Będę mówił o innych sprawach - powiedział. I mówił dalej: - Chociaż w cesarstwie panuje pokój, ludzie są niespokojni. Bywa, że okazują gniew, głównie przeciwko białym ludziom. W prowincji Kueiczou motłoch zamordował angielskiego księdza. To niestety znów ściągnie angielskie szerszenie w pobliże tronu. Będą się domagać odszkodowań i koncesji.

Cesarzową ogarnął żywy gniew. Zaciśnęła pięści i trzykrotnie uderzyła się po kolanach.

- Znów ci cudzoziemscy księża! - wołała. - Dlaczego nie zostają w domu? Czy my wysyłamy swoich mnichów, aby wędrowali po świecie, zwalczając bogów innych ludzi?

- Jest to niestety owoc porażek, które ponieśliśmy w walce z ludźmi Zachodu - przypomniał jej Jung Lu. - Zmuszeni byliśmy otworzyć nasze porty zarówno dla ich kupców, jak księży.

- Przysięgam, że nie wpuszczę ich więcej - oświadczyła cesarzowa. Siedziała zadumana. Jej piękne oczy pociemniały, a czerwone usta wykrzywiły się ponuro. Zapomniała,

że Jung Lu stoi przed nią - albo tak udawała - więc dostrzegając jej nastrój, złożył jej głęboki pokłon i wyszedł, a ona nawet nie podniosła głowy.

W ostatnim miesiącu tego samego roku zamordowany został jeszcze jeden cudzoziemski ksiądz, tym razem w zachodniej prowincji Hupei. Ale nie został zwyczajnie zabity: napastnicy torturowali go, łamiąc mu kości i zdzierając z niego pasami skórę. W tym samym miesiącu motłoch wioskowy i mieszkańcy miast powstali przeciwko obcym księżom w prowincji Seczen, a to z powodu starych, krążących wśród ludności pogłosek, że księża są również czarownikami, którzy porywają dzieci i z ich oczu robią lekarstwa, a ze zmielonych kości czarodziejskie nalewki.

Cesarzowa szalała ze złości, bo obcy posłowie, kiedy zabito ich obywateli, stali się arogancy i zagrozili, że ich rządy przystąpią do wojny, jeśli nie uzyskają pełnego zadośćuczynienia. W istocie cały świat zdawał się burzyć przeciwko niej. Rosja, Francja i Niemcy wydawały pomruki i były niezadowolone. Francja, której księża ginęli już kilkakrotnie, teraz przesłała wiadomość przez posłów, że zaatakuje chińskie wybrzeża swymi okrętami wojennymi, jeśli nie otrzyma koncesji na teren niedaleko Szanghaju. Portugalia także domagała się więcej ziemi otaczającej Makao, a Belgia nalegała, by ceną za zabicie dwóch belgijskich księży było prawo użytkowania ziemi w Hankou, wielkim porcie na rzece Jangtse, podczas kiedy Japonia dybała na bogatą, żyzną prowincję Fukien, a za horyzontem zaczynała też grzmieć Hiszpania, bo i hiszpański ksiądz znajdował się między zabitymi. Najbardziej rozgniewane były Włochy, które domagały się przez swych posłów przyznania im wybrzeży Zatoki Sanmen w prowincji Czekiang, najlepszej chińskiej ziemi.

Cesarzowa zareagowała na te nieszczęścia, wzywając na specjalną audiencję swych ministrów i książęta, jak również posłała po generała Li Hung-czanga, który przebywał nad Żółtą Rzeką, budując, jak mu nakazała, tamy przeciwpowodziowe.

Dzień audiencji był gorący, od północnego zachodu przeciągała burza piaskowa. Powietrze pełne było drobnego piasku, więc czekający na cesarzową książęta i ministrowie trzymali przy twarzach chustki i zamykali oczy chroniąc je przed ostrymi drobinami. Jednak cesarzowa zdawała się nie zauważać burzy. Była w swych najbardziej królewskich szatach, a kiedy zeszła z cesarskiej lektyki i opierając się na ramieniu Li Lien-jinga podeszła do tronu, swą dumną obojętnością zmusiła wszystkich, by oderwali chustki od twarzy i padli przed nią na kolana. Wśród zebranych nie było tylko Jung Lu, co natychmiast zauważyła.

- Gdzie jest Wielki Radca, mój krewny? - spytała Li Lien-jinga.

- Przesłał wiadomość, że jest chory, Wasza Wysokość. Myślę, że powodem tej choroby jest to, że posłałaś po Li Hung-czanga.

Wraziwszy w jej umysł to złośliwe żądło, cofnął się, a ona z gracją rozpoczęła audiencję. Wzywała po kolei ministrów i księżęta, prosząc, by wyrazili opinię na temat kryzysu, i słuchała ich z uprzejmą uwagą. Ostatniego przyzwała generała Li Hung-czanga, który wyszedł do przodu niepewnym krokiem i klęknął z trudnością, by złożyć jej hołd. Patrzyła, jak dwóch eunuchów pomaga mu klęknąć, ale nie zezwoliła na to, by przed nią stanął. Wymagała dziś każdej oznaki poddania, a nikt nie mógł pozwolić sobie na to, na co ona nie zezwalała.

- Co masz do powiedzenia, najczcigodniejszy obrońco naszego tronu? - spytała miłym głosem.

Li Hung-czang odpowiedział na to nie podnosząc głowy z podłogi:

- Najwyższa, pragnę przedstawić ci pomysł, nad którym zastanawiałem się przez wiele miesięcy. Otoczeni jesteśmy przez gniewnych wrogów, ludzi obcych nam i naszym zwyczajom. Musimy jednak za wszelką cenę unikać wojny, bo walka z wieloma przeciwnikami jednocześnie przypomina dosiadanie tygrysa. Rozsądnie byłoby więc zachęcić jednego z naszych nieprzyjaciół, by stał się naszym sojusznikiem. Niech to będzie nasz północny wróg, Rosja. Rosja jest krajem najbardziej podobnym do naszego, obcym wprawdzie, ale na wpół azjatyckim.

- A jaką cenę zapłacimy za zdobycie przyjaźni jednego z naszych wrogów? - spytała. Starzec zadrzał na zimną słodycz jej głosu. Widziała, jak drgnęły jego ramiona i złożone ręce. Nie mógł mówić.

- Nie - powiedziała z mocą. - Sama odpowiem na moje pytanie. Cena tego jest zbyt wysoka. Po cóż nam zwycięstwo nad innymi wrogami, jeśli mielibyśmy zostać wasalem tego jednego? Czy jakkolwiek naród daje cokolwiek za nic? Nie ma choćby jednego człowieka, który postąpiłby w ten sposób. Odeprzemy wszystkich wrogów. Doprawdy, nie spocznę, póki każdy biały człowiek, każda kobieta i dziecko nie opuszczą naszych wybrzeży. Nie ustąpię. Odbierzemy wszystko, co do nas należy.

Mówiąc to, wstała z tronu i patrzącym ministrom wydawało się, że rośnie w ich oczach. Oczy jej świeciły ciemnym blaskiem, policzki płonęły. Rozpostarła ręce z rozwartymi palcami, na których błyszcząły ozdobione klejnotami złote tarcze ochraniające paznokcie. Płynęła od niej moc, powietrze stało się ostre, przeniknięte igielkami gniewnego gorąca. Padli na twarze, każdy z osobna i wszyscy razem, a ona patrzyła na zgięte ciała mężczyzn i czuła w ekstazie, że po jej żyłach rozlewa się ogień.

W tej samej chwili pomyślała o Jung Lu, o tym, że nie przyszedł, by ją wspierać. Oczy jej błędziły po plecach zgiętych w hołdzie mężczyzn, których wspaniałe szaty o barwach

wszelkich odcieni rozpościerały się na posadzce. Dostrzegła sylwetkę Wielkiego Radcy Kang Yi, mężczyzny już niemłodego, który przez całe życie wszystkie swe siły poświęcał dla ochrony tego, co stare, i zawsze był przeciwnikiem tego, co nowe.

- Ty, Wielki Radco Kang Yi - powiedziała głośno i wyraźnie - zostaniesz na prywatnej audiencji. Wy, książęta i panowie, jesteście wolni.

Powiedziawszy to zeszła z tronu i opierając rękę na przedramieniu Li Lien-jinga, który do niej podszedł, szła majestatycznie między zgiętymi sylwetkami, aż doszła do lektyki. Podjęła decyzję, wola jej była niezłomna. Nie ulegnie powtórnie białemu człowiekowi.

Godzinę później Wielki Radca Kang Yi został wprowadzony do prywatnej sali audiencyjnej cesarzowej, by wysłuchać jej rozkazów. Było popołudnie, minęła już Godzina Małpy. Naczelnny eunuch stał w pobliżu, udając, że nie słucha, lecz słyszał wszystko, a ciepła łapówka, którą wręczył mu Kang Yi, znajdowała się w wewnętrznej kieszeni jego szaty. Cesarzowa zaczęła mówić, spoglądając przez szeroką salę w kierunku drzwi otwartych na ogrody. Wiatr zamarł, burza piaskowa oczyściła powietrze.

- Nie będę się już więcej wahać - powiedziała. - W stosunku do naszych wrogów będę bezlitosna, zażądam zwrotu naszych ziem. Będę ją odbierać piędź po piędzi, nie licząc się z kosztami.

- Wasza Wysokość - powiedział Kang Yi - po raz pierwszy od dawna czuję, jak w me serce wstępuje nadzieja. - Był wysokim mężczyzną w sile wieku, uczonym i wyznawcą Konfucjusza.

- Jaka jest twoja rada? - spytała cesarzowa.

- Wasza Wysokość - powiedział. - Książę Tuan i ja rozmawialiśmy często o tym, z jaką wystąpić radą, gdyby nas o radę zapytano. Obaj zgodziliśmy się, że powinniśmy wykorzystać gniew Chińczyków przeciwko ludziom Zachodu. Chińczycy pełni są wściekłości z powodu ziem, które im skradziono, z powodu przegranych wojen, z powodu złota, które musieli zapłacić jako zadośćuczynienie za zabitych przez tłumy księży. Utworzyli potajemne bandy, które zaprzysięgły walkę z cudzoziemcami. Moja skromna rada, Wasza Wysokość, jest następująca. Nie pretenduję do mądrości, ale skoro już istnieją te błakające się bandy, dlaczego ich nie użyć? Wasza Wysokość, niech w tajemnicy dowiedzą się o twej dla nich aprobacie. Jeśli połączymy owe bandy z wojskami dowodzonymi przez Jung Lu, kto zdoła się nam oprzeć? I czy Chińczycy nie staną się twoimi najzgorzalszymi zwolennikami, Święta Matko, kiedy dowiedzą się, że jesteś razem z nimi przeciwko obcym?

Cesarzowa słuchała i zastanawiała się, plan wydawał się dobry. Zadała jeszcze kilka pytań, raz i drugi pochwaliła księcia i kazała mu odejść. Nadzieja, która obudziła się w jej

sercu, wprawiła ją w tak dobry nastrój, że kiedy Li Lien-jing wygłosił swą opinię, nie skarciła go.

- Jakież plan może być lepszy? - spytał. - Ten Wielki Radca jest mędrce i rozsądnym człowiekiem.

- Tak, rzeczywiście - zgodziła się.

Spostrzegła, że patrzy na nią bokiem, z oczyma zwięzonymi chytrze.

- O co chodzi? - spytała. Tych dwoje znało się do głębi.

- Ostrzegam cię, Wasza Wysokość - powiedział. - Myślę, że Jung Lu nie zaakceptuje tego planu.

Dotknął językiem swej górnej wargi i ściągnął do dołu kąciki ust. Uśmiechnęła się widząc szelmowski wyraz jego twarzy.

- Więc nie posłucham go - powiedziała.

Mimo to w kilka dni później posłała po Jung Lu, aby zganić go za to, co ostatnio zrobił, a o czym donieśli jej szpiedzy.

- Cóż mam z tobą uczynić? - spytała, kiedy się przed nią pojawił. Godzina była późna, a ona nie pozwoliła, by zjadł swój wieczorny posiłek. Powiedziała, że może zjeść później.

- Co takiego uczyniłem, Wasza Wysokość? - dopytywał się.

Po raz pierwszy pomyślała, że wygląda na starego i zmęczonego.

- Słyszałam, że zezwoliłeś zagranicznym ambasadorom na wzmocnienie straży.

- Musiałem to zrobić - powiedział. - Zdaje się, że oni także mają swoich szpiegów, którzy donieśli im, że posłuchałaś Kang Yi i zamierzasz udzielić poparcia tajnym chińskim bandom, których głównym celem jest, jak wiadomo, wytracenie wszystkich obcokrajowców do ostatniego niemowlęcia. Wasza Wysokość, powiedziałem, że nie wierzę, byś mogła zgodzić się na takie szaleństwo. Bo w istocie, czy myślisz, że zdołasz pokonać cały świat? Musimy prowadzić rokowania, zjednywać przeciwników, aż siły nasze wzmocnimy tak, by mogły pokusić się o zwycięstwo.

- Słyszałam, że ludzie przeklinają, widząc nadchodzących cudzoziemskich żołnierzy - powiedziała. - Tymczasem Kang Yi był w Czu-czou i mówi, że prowincja przygotowana jest do walki z wrogiem. Powiada, że prefektura aresztowała tam kilku tajnych buntowników należących do sekty Bokserów, a on, Kang Yi, rozkazał, aby ich uwolniono i przyprowadzono przede mnie, aby mogli pokazać swą siłę. Mówi się bowiem, że znają czary, które chronią ich przed śmiercią. Nie ranią ich nawet pociski z broni palnej.

Jung Lu wykrzyknął w udęce:

- Och, Wasza Wysokość, czy możesz uwierzyć w te bzdury?

- To ty jesteś głupi - odparowała. - Czy zapomniałeś, że pod koniec panowania dynastii Han, więcej niż tysiąc lat temu, Czang Cziie poprowadził Żółte Turbany przeciw tronowi i zajął wiele miast, choć miał mniej niż pół miliona wojowników? Oni także znali magiczne formuły przeciw ranom i śmierci. Kang Yi powiada, że jego przyjaciele widzieli wiele lat temu podobne czary w prowincji Szensi. Powiadam ci, istnieją duchy, które pomagają sprawiedliwym.

Jung Lu stracił nad sobą panowanie. Zerwał kapelusz z głowy, rzucił go przed nią na ziemię, obiema rękami chwycił się za głowę i szarpał w desperacji swoje włosy.

- Nie zapominam o twojej pozycji - powiedział przez zaciśnięte zęby. - Ale wciąż jesteś moją krewną, której dawno temu poświęciłem życie. Z pewnością zasługuję na prawo powiedzenia ci, że jesteś głupia. Przy całej swej piękności i całej swej władzy ty także, nawet ty, możesz być głupia. Ostrzegam cię, jeśli będziesz słuchała tej zakutej pały Kang Yi, który nie wie nic o współczesności, a zna się jedynie na zamierzchłych wiekach, jeśli będziesz słuchać naczelnego eunucha i jemu podobnych, a także Księcia Tuana, który żyje rojeniami, wtedy, mówię ci - zniszczysz siebie, a z sobą całą dynastię. Och usłuchaj mnie... usłuchaj...

Złożył ręce w błagalnym geście i wpatrywał się w jej twarz, którą wciąż podziwiał. Oczy ich spotkały się i zwarły, spostrzegł, że zachwiał jej wołą, i nie śmiał mówić dalej, aby nie zepsuć tego, czego dokonał.

Mówiła cicho:

- Pytałam Księcia Cz'inga, co o tym sądzi, a on powiedział, że Bokserzy mogą być bez wątpienia użyteczni.

- Tylko ja śmiem mówić ci prawdę - powiedział. Postąpił jeden krok do przodu i włożył ręce za pas, aby nie wyciągać ich do niej. - Przy tobie Księżę Cz'ing nie śmie mówić tego, co mówi mi prywatnie... że Bokserzy to szarlatani i oszuści, ciemni rabusie, dążący do potęgi za twoim przyzwoleniem. Ale który mężczyzna czci cię tak jak ja? - Głos mu się załamał i z jego ust dobywał się tylko suchy, oporny szept.

Spuściła głowę. Nadal odczuwała jego moc. Przez całe ich życie jego miłość dorównywała jej miłości.

- Przrzeknij mi chociaż, że nie zrobisz niczego bez mej wiedzy - powiedział. - To niewielka obietnica. - Kiedy wciąż nic nie mówiła, nalegał dalej: - Nagroda... jedyna, o jaką proszę.

Zamilkł i czekał, wpatrując się w jej opuszczoną głowę. Tymczasem ona, spoglądając z góry, widziała tylko jego stopy, mocne stopy w aksamitnych butach, ukryte do połowy pod



długą, niebieską, atlasową szatą. Dwie stopy, zawsze służące jej wiernie... uparte, odważne, mocne. Podniosła głowę.

- Przrzekam - powiedziała.

- Wasza Wysokość - powiedział Kang Yi - źle robisz. Twe serce z wiekiem staje się miękkie. Nie pozwalasz skończyć z tymi cudzoziemcami. Wystarczy jednak, byś powiedziała jedno słowo, a przepadną razem ze swymi psami, swoim drobiem, a z ich mieszkań nie pozostanie kamień na kamieniu.

Szpiedzy donieśli mu, że Jung Lu jest jego przeciwnikiem, więc pośpieszył, by uzyskać audiencję u cesarzowej.

Odwróciła głowę.

- Znużona jestem wami wszystkimi - powiedziała.

- Ale, Wasza Wysokość - nalegał - nie czas teraz na znużenie. Nadeszła godzina zwycięstwa. Nie musisz nawet kiwnąć palcem. Nie, rzeknij tylko słowo, a inni przystąpią do dzieła. Mój syn był wczoraj na przedstawieniu u Czi Kiie-czenga - wszyscy mówili tam o głupocie Jung Lu, który zezwolił obcym żołnierzom wejść do miasta. A zięć Czi, Jii Sien, pisał w zeszłym miesiącu z Szansi, że ponieważ w jego prowincji Bokserzy nie są zbyt liczni, zachęca ludzi, by do nich wstępowali, aby prowincja mogła dołączyć do innych, kiedy przyjdzie czas zadania ciosu cudzoziemskim wrogom. Czekaemy na twe słowo... jedno twe słowo, Wasza Wysokość.

Potrząsnęła głową. - Nie mogę go wypowiedzieć - rzekła.

- Wasza Wysokość - powiedział Tung Fu-siang - pozwól, a zniszczę obce budynki w naszym mieście w ciągu pięciu dni.

Cesarzowa udzielała właśnie audiencji w Pałacu Zimowym. Powróciła do Zakazanego Miasta dzień wcześniej, porzucając jesienne uroki swej siedziby. Bokserzy samowolnie zniszczyli kolej do Tientsinu. Czy byli nietykalni? Któż to mógł wiedzieć? Posłała więc po tragarzy, którzy przynieśli ją tutaj. Wachlowała się w czasie całej drogi.

- Wasza Wysokość - powiedział Kang Yi - błagam, byś wybaczyła Tungowi. Ma prosty, żołnierski sposób zachowania, ale jest po naszej stronie, choć jest Chińczykiem.

- Będę twym zbrojnym ramieniem, pani - przechwalał się Tung, wskazując swe grube prawe ramię.

Cesarzowa odwróciła głowę. Rzuciła okiem na zebranych. Jung Lu nie było między nimi. Dwa dni temu prosił ją o zwolnienie, ale nie odpowiedziała na jego prośbę, jednak nie

przyszedł.

- Wasza Wysokość - powiedział Wielki Radca Cz' i Hsiu - pozwól mi przygotować dekret, w którym zerwiemy stosunki z cudzoziemcami. To ich przynajmniej przestraszy.

- Możesz go przygotować - powiedziała cesarzowa - ale nie przyrzekam, że go podpiszę.

- Wasza Wysokość - znów odezwał się Kang Yi - wczoraj byłem na urodzinach pierwszej damy w domu księcia Lana. Na zewnętrznym dziedzińcu jego pałacu schroniło się więcej niż stu Bokserów wraz ze swymi dowódcami. Mają dar wzywania czarodziejskich duchów, które wchodzi w ich ciała. Widziałem młodzieńców nie mających więcej niż czternaście czy piętnaście lat, którzy wpadali w trans i mówili dziwnymi językami. Księżę Lan mówi, że kiedy przyjdzie czas, duchy te będą wiodły Bokserów do domów chrześcijan i pomogą im je zniszczyć.

- Nie widziałam tego na własne oczy - ucięła krótko cesarzowa. Uniosła rękę i zakończyła audiencję.

- Wasza Wysokość - powiedział Li Lien-jing w zapadającym zmierzchu - wielu obywateli daje schronienie Bokserom. Jeśli nie będziesz się gniewać, Wasza Wysokość, powiem ci, że twoja przybrana córka, cesarska księżniczka, płaci za zakwaterowanie dwustu pięćdziesięciu Bokserów za tylną bramą miasta, a jej brat, Księżę Ts'ai Ying, uczy się ich czarów. Bokserzy z Kansu przygotowują się do wejścia do miasta. Wielu ludzi ucieka, obawiając się wojny. Wszyscy czekają na twoje słowa, Wasza Wysokość.

- Nie mogę ich wypowiedzieć - powiedziała cesarzowa.

Szesnastego dnia tego miesiąca wysłała Li Lien-jinga, by znalazł Jung Lu i przyprowadził go do niej. Chciała cofnąć swe przyrzeczenie. Tego ranka szpiedzy donieśli jej, że w stronę stolicy maszerują od morza nowe cudzoziemskie wojska. Szły pomścić śmierć jeszcze jednego cudzoziemca, zabitego przez rozżłoszczonych Chińczyków w prowincji Kansu.

Było południe, nim zjawił się Jung Lu ubrany w swą wyjściową odzież, jakby wracał z ogrodu lub z gór. Nie zwróciła jednak uwagi na to, jak wyglądał.

- Czy mam być nadal cicho, kiedy miasto wypełnia się cudzoziemskimi żołnierzami? - spytała. - Ludność wystąpi przeciw tronowi i dynastia będzie zgubiona.

- Wasza Wysokość, zgadzam się, że nie powinniśmy pozwolić na to, aby więcej żołnierzy weszło do miasta - odpowiedział Jung Lu. - Jednak powiadam, że okrylibyśmy się niesławą, atakując posłów zagranicznych krajów. Uznano by nas za dzikusów nie znających

zasad gościnności. Nikt w swym domu nie truje gości.

- Cóż więc mam robić? - spytała, patrząc na niego kwaśno.

- Poproś ambasadorów, aby opuścili miasto ze swymi rodzinami i przyjaciółmi - powiedział Jung Lu. - Kiedy odejdą, ich żołnierze pójdą z nimi.

- A jeśli nie odejdą?

- Może odejdą - powiedział spokojnie. - Jeśli nie, to o nic cię nie będzie można oskarżać.

- Czy zwolnisz mnie z przyrzeczenia, które ci dałam? - spytała z naciskiem.

- Jutro - odpowiedział - jutro...

W nocy obudziło ją nagle jasne światło rozjaśniające otaczający ją mrok. Jak zawsze spała z odsuniętymi zasłonami okiennymi i teraz blask przedostawał się oknami. To nie jaśniały latarnie ani księżyc, lecz samo niebo zdawało się purpurowieć w ogniu. Uniosła się i zawołała kobiety, które spały na podłodze na posłaniach wokół jej łoża. Wstały, najpierw jedna, potem jeszcze trzy inne, i podbiegły do okna.

- Ach, bogowie! - zakrzyknęły.

Drzwi otwarły się gwałtownie i Li Lien-jing odwracając starannie twarz, zakrzyknął w progu, że cudzoziemska świątynia stoi w ogniu, podpalona nieznaną ręką.

Cesarzowa wstała z łóżka i rozkazała, by ją natychmiast ubrano. Kobiety szybko narzuciły na nią szaty i wyszła z eunuchami na najdalsze podwórze, gdzie wspięła się na wzgórze z piwoniami, z którego mogła spojrzeć ponad murami na miasto. Unoszący się nad płomieniami dym zakrywał jednak widok, ale wkrótce w powietrzu rozszedł się straszny smród palonych ciał. Ukryta za chustką cesarzowa spytała, skąd się on bierze, a Li Lien-jing odpowiedział, że niedaleko stąd Bokserzy podpalili francuski kościół, wewnątrz którego znajdowało się wielu chińskich chrześcijan, mężczyzn, kobiet i dzieci.

- Straszne - jęknęła cesarzowa. - Dlaczego już na samym początku nie zakazałam cudzoziemcom wstępu do miasta? Lata temu mogłam to uczynić i wtedy nasi ludzie nie uciekaliby do obcych bogów!

- Wasza Wysokość - powiedział Li Lien-jing - uspokój się. To cudzoziemcy wypalili pierwsi do tłumu zgromadzonego u wrót kościoła, a dzielni Bokserzy zemścili się tylko.

- Niestety - zachmurzyła się. - Prawo historii uczy nas, że kiedy w cesarskim mieście szaleją płomienie, giną jednakowo pospolite kamyki jak i cenne nefryty.

Odwróciła się, nie chcąc na to dłużej patrzeć, i cały dzień spędziła dumając nad tym, co zobaczyła. Powietrze przenikał odór śmierci, więc rozkazała eunuchom, by przenieśli

wszystkie potrzebne jej rzeczy i książki do Pałacu Długiego Życia, w którym nie było słyhać, co dzieje się w mieście, a powietrze czyste było z powodu jego oddalenia.

- Wasza Wysokość - nalegali - jeśli nie chcesz wszystkiego stracić, musisz użyć czarów Bokserów. Cudzoziemscy żołnierze wdzierają się do miasta jak fale gwałtownej powodzi.

- Teraz, teraz, Wasza Wysokość, bez zwłoki...

- Wasza Wysokość, Wasza Wysokość...

Krzyczeli przed nią, a ona wpatrywała się w twarze zgromadzonych w małej sali tronowej - Księcia Tuana, Kang Yi, Jiian Szy-k'aia, najwyższych książąt i ministrów. Przybiegli w pośpiechu na jej wezwanie, by spotkać się jeszcze przed audiencją, i stali w nieładzie. Nie było czasu na hołdy i etykietę.

Po jej prawej stronie, na niskim rzeźbionym krześle siedział cesarz. Pochylił głowę, twarz mu pobladła, a ręce złożone na kolanach drżały niespokojnie.

- Synu Niebios - zwróciła się do niego - czy mamy użyć hord Bokserów przeciwko naszym wrogom?

Gdyby powiedział tak, czyż nie byłaby to jego wina?

- Cokolwiek sobie życzysz, Święta Matko - odrzekł, nie podnosząc głowy.

Spojrzała na Jung Lu. Stał osobno z pochyloną głową, z założonymi rękami.

- Wasza Wysokość, Wasza Wysokość! - rozlegały się wokół niej męskie głosy i hucząc odbijały się od wysoko umieszczonych belek wyniosłego sklepienia.

Powstała i uniosła ramię nakazując ciszę. Świt jeszcze nie wstał. Nie jadła i nie spała, podczas gdy w mieście szalały płomienie, a cudzoziemscy żołnierze zbliżali się z czterech stron świata i forsując bramy, wdzierali się do jej stolicy. Co pozostało prócz wojny?

- Nadeszła godzina. Musimy pozbyć się cudzoziemców z ich poselstwami! - wykrzyknęła pośród nagle zapadłej ciszy. - Niech nie pozostanie nawet kamień na kamieniu, niech umrą wszyscy biali ludzie!

Znów zapadła cisza. Złamała przyrzeczenie, które złożyła Jung Lu. Wystąpił do przodu i padł przed nią w hołdzie.

- Wasza Wysokość - zawołał, a po policzkach spłynęły mu łzy. - Wasza Wysokość, chociaż owi cudzoziemcy są naszymi wrogami i sami winni są własnej zagładzie, to jednak błagam cię, byś zastanowiła się nad tym, co robisz. Jeśli zniszczysz tych kilka budynków, tę garstkę cudzoziemców, ich rządy potępiają nas w wielkim gniewie, ich wojska, ich floty pomkną przez lądy i morza, by nas zaatakować. Świątynie naszych przodków zostaną starte

na proch. Opuszczą nas bóstwa opiekuńcze, a ołtarze naszego ludu zostaną zrównane z ziemią!

Serce zadrżało jej w piersi i krew zamarła w żyłach. Ukryła jednak swój strach. Nigdy nie okazywała lęku i to stare, mocne przyzwyczajenie przyszło jej teraz z pomocą - choć strach, który odczuwała, bliski był paniki. Jej piękna twarz nie zmieniła się, nie zadrżała jej nawet powieka.

- Nie mogę powstrzymać ludzi - stwierdziła. - Są zaślepieni pragnieniem zemsty. Jeśli nie zaatakują wrogów, obrócą się przeciwko nam. Nie mam wyboru. A ty, Wielki Radco, jeśli nie masz lepszej rady dla tronu, opuść nas. Twoja dalsza nieobecność będzie usprawiedliwiona.

Jung Lu powstał natychmiast, łzy wyschły mu na policzkach, odszedł bez słowa i bez jednego gestu.

Kiedy zniknął, radca Cz'i Hsiu wyciągnął z wysokiego, welwetowego buta zwinięty papier. Rozłożył go powoli, z wielką godnością podszedł do tronu i padłszy na kolana, zwrócił się do cesarzowej:

- Wasza Wysokość, przygotowałem już wcześniej projekt koniecznego dekretu. Jeśli mi będzie wolno, przeczytam go na głos.

- Czytaj - rozkazała cesarzowa. Jej wargi były sztywne i chłodne, lecz siedziała dostojnie, w bezruchu.

Zaczął czytać i wszyscy usłyszeli, co napisał. Był to dekret o wojnie z cudzoziemcami, przygotowany tak starannie, że gdyby zyskał aprobatę cesarzowej, wystarczyło go jedynie podpisać i opatrzyć cesarską pieczęcią. Przeczytał go do końca, a wszyscy słuchali go w ciszy tak głębokiej, że echo jego głosu odbijało się od sufitu. Kiedy skończył, czekał na jej decyzję, a z nim czekali wszyscy obecni.

- Jest znakomity - powiedziała cesarzowa spokojnym, chłodnym głosem. - Należy go rozesłać jako dekret wydany przez Tron Smoka.

Wszyscy wyrazili swą aprobatę - szmer niskich i poważnych głosów rozległ się dookoła, a Cz'i Hsiu zwinął papier i włożył go znów do welwetowego buta, po czym złożył głęboki pokłon i wycofał się na swoje miejsce.

Był świt, godzina wyznaczona na generalną audiencję, do której spotkanie to było wstępem, Li Lien-jing wystąpił naprzód i podał cesarzowej ramię, a ona wsparła się na nim schodząc z tronu i weszła do lektyki czekającej na nią na tarasie. Zaniesiono ją stąd do pałacu, gdzie wypita herbatę i zjadła nieco słodczy, ale potem bez zwłoki znów wstąpiła do swej lektyki i przybyła do Sali Pracowitego Rządu. Tu czekał na nią w swym palankinie cesarz,

który wyszedł jej naprzeciw i klęknął, kiedy wychodziła z lektyki.

- Łaskawa Matko! - powiedział na przywitanie.

Skinęła lekko głową, ale nie odpowiedziała mu i szła wolno do wejścia, podtrzymywana z prawej strony przez Li Lien-jinga, a z lewej przez innego eunucha. U wejścia klęczeli przywódcy klanów, książe, Wielcy Radcy z wyjątkiem Jung Lu, wszyscy ministrowie, dwudziestu czterech generałów z dwudziestu czterech dywizji należących do głównych chorągwi oraz Zarządcy Domu Królewskiego.

Za cesarzową szedł wolno młody cesarz, z twarzą woskowo-białą, oczami opuszczonymi, przezroczystymi rękami, które skrył za pasem. Cesarzowa zasiadła na Tronie Smoka, a on zajął miejsce na niższym tronie po jej prawej stronie.

Kiedy spełnione zostały wszystkie dworskie ceremonie i każda grupa stała już na swoim miejscu, cesarzowa zaczęła przemawiać. Początkowo głos jej był słabszy, niż to zamierzała. Ale kiedy przypomniała sobie, ile krzywd wyrządzili jej wrogowie, złość dodała jej głosowi siły i blasku jej pozbawionym snu oczom.

- Powzięliśmy zamiar - oświadczyła - i jesteśmy zdecydowani. Nie możemy dłużej tolerować oburzających żądań cudzoziemców. Pragnęliśmy jak najdłużej powstrzymać wystąpienia chińskich Bokserów. Nie jest to już dłużej możliwe. Słyszeli oni o pogroźkach naszych wrogów, które dosięgły nawet mojej osoby, wczoraj bowiem wrogowie oznajmili przez posłów, że mam zrzec się tronu i pozwolić rządzić memu siostrzeńcowi, chociaż wszyscy wiedzą, jakim żalosnym był władcą! Dlaczego jednak chcą, bym zrezygnowała z władzy? Bo się mnie boją. Wiedzą, że się nie zmienię, ale gdyby moje miejsce zajął bratanek, mogliby go ugnieść w swych rękach jak wosk. O cudzoziemskiej bezczelności najlepiej świadczy przykład francuskiego konsula w Tientsinie, który domagał się fortów Taku jako rekompensaty za śmierć zwykłego księdza.

Zrobiła przerwę i królewskim wzrokiem omiotła wielką salę. Światło płonących pochodni padało na zwrócone ku niej poważne i zatroskane twarze i na opuszczoną głowę cesarza siedzącego przy niej.

- Czy nie przemówisz? - zwróciła się do niego.

Cesarz nie podniósł głowy. Zwilżył wargi i kilkakrotnie złożył swe długie, szczupłe dłonie. Przez chwilę wydawało się, że nie potrafi mówić. Czekala, nie spuszczać z niego swych wielkich oczu, aż usłyszała jego łagodny, drżący głos.

- Święta Matko - mówił, zwilżając wargi po każdym prawie słowie. - Mogę tylko powiedzieć... może nie do mnie należy o tym mówić, ale skoro pytasz... wydaje mi się, że to, co powiedział Jung Lu, jest rozsądne. To znaczy... trzeba uniknąć rozlewu krwi... i ponieważ

nie możemy walczyć z całym światem... nie mając wojennych okrętów i zachodniej broni... lepiej będzie zezwolić zagranicznym ambasadorom i ich rodzinom na pokojowe opuszczenie miasta. Ale to nie ja... oczywiście nie ja... mogę podjąć taką decyzję. Będzie tak, jak tego sobie życzysz ty, Wasza Wysokość.

Natychmiast zabrał głos członek Wielkiej Rady, mówiąc głośno do cesarzowej:

- Błagam, Wasza Wysokość, byś postąpiła według swego planu. Niech zginie każdy cudzoziemiec i niech ich ród przepadnie. Kiedy to się spełni, tron będzie miał dość czasu i siły, aby rozbić chińskich buntowników, którzy znów się burzą na południu kraju.

Cesarzowa głos ten przyjęła przychylnie i powiedziała:

- Wysłuchałam rady Jung Lu i nie trzeba mi jej powtarzać. Niech więc zostanie przygotowany dekret o wojnie.

Wstała z zamiarem zakończenia audiencji, ale natychmiast podniosła się wrzawa sprzecznych głosów. Podczas kiedy jedni podtrzymywali i popierali to, co zarządziła, drudzy błagali, by ich wysłuchała, więc mogła tylko usiąść i słuchać, kiedy mówili jeden po drugim, że wojna będzie końcem dynastii, bo Chiny z pewnością zostaną pokonane, a wtedy tron zagarną Chińczycy. Minister spraw zagranicznych powiedział nawet, że ocenia cudzoziemców jako zupełnie rozsądnych w postępowaniu i nie może uwierzyć, by wysłali dokument z żądaniem zrzeczenia się przez nią tronu. Czyż cudzoziemskie damy nie chwaliły jej? On sam również zauważył, że cudzoziemscy ambasadorowie są łagodniejsi i zachowują się bardziej kurtuazyjnie od czasu, kiedy przyjęła ich małżonki.

Na to książe Tuan uniósł się gniewem i cesarzowa, aby uniknąć kłótni między nimi, kazała, by minister wyszedł z sali. Wówczas powstał książe Lan, opiekun Bokserów, który powiedział, że poprzedniej nocy miał sen - ukazał mu się bóg Yu Huang, Nefrytowy Cesarz, który patrzył przychylnie na gromadę otaczających go Bokserów wyruszających do walki.

Cesarzowa słuchała tego z aprobatą i uśmiechając się z właściwym sobie wdziękiem, powiedziała spokojnie, że wyczytała w książkach, iż Nefrytowy Cesarz ukazywał się cesarzowym w zamierzchłych czasach.

- To dobry znak - stwierdziła - świadczący o tym, że bogowie sprzyjają nam i przeciwni są barbarzyńcom, naszym wrogom.

Nadal jednak nie obiecała, że spożytkuje magiczne formuły Bokserów. Któż mógł wiedzieć, czy były prawdziwe, czy fałszywe?

Następnie odprawiła wszystkich i wróciła do swego pałacu. Ani razu nie odezwała się do cesarza ani nie dała poznać, że dostrzega jego obecność. Teraz, kiedy wyraziła swą wolę, jej lęk minął i poczuła znużenie i senność.

- Będę spała cały dzień - powiedziała do przygotowujących łoża kobiet. - Niech nikt mnie nie budzi.

Było popołudnie, Godzina Owcy, kiedy nagle zbudził ją głos wołającego za drzwiami Li Lien-jinga.

- Wasza Wysokość - wzywał - czeka na ciebie ksiązę Cz'ing, a z nim Kang Yi.

Takiego wezwania cesarzowa nie mogła zignorować, więc wyszła, przywdziawszy znów swój oficjalny strój i stosowne przybranie głowy. Zastała w przedpokoju dwóch mocno zniecierpliwionych mężczyzn.

- Wasza Wysokość - zawołał Kang Yi po złożeniu głębokiego ukłonu. - Wojna już się zaczęła. En Hai, sierżant mandżurski, zabił dziś rano dwóch cudzoziemców, jednym z nich był niemiecki ambasador, który jechał w swej lektyce, by - jak mówią - prosić cię o specjalną audiencję. Sierżant zabił dwie osoby i szybko udał się do księcia Cz'inga po nagrodę.

Cesarzowa poczuła, że jej serce zamiera z lęku.

- Ale w jaki sposób wiadomość o edykcie mogła dotrzeć do ludzi tak szybko? - spytała. - Możecie być pewni, że sierżant nie dostanie nagrody, jeśli zabił bez rozkazu.

Ksiązę Cz'ing zawahał się i chrząknął.

- Wasza Wysokość - powiedział - z powodu kryzysu ksiązę Tuan i Cz'i Hsiu natychmiast po dzisiejszej audiencji wydali rozkazy, by zabijać wszystkich napotkanych cudzoziemców.

Dwaj mężczyźni spojrzeli na siebie.

- Wasza Wysokość - dorzucił Kank Yi - nasi wrogowie sami spowodowali własną zgubę. Sierżant mówi, że biała ochrona wystrzeliła pierwsza i zabiła trzech Chińczyków.

- To straszne! - wykrzyknęła cesarzowa. Jej lęk przerodził się w panikę, w desperacji załamała ręce. - Gdzie jest Jung Lu? - zawołała nieprzytomnie. - Pospieszcie się... przyprowadźcie go tutaj... wojna zaczęła się zbyt szybko... nie jesteśmy przygotowani.

Powiedziawszy to, odwróciła się i pomknęła do swego pokoju. Tu, wzbraniając się od posiłku i odpoczynku, czekała na Jung Lu, który przyszedł po dwóch godzinach, poważny i aż nazbyt ponury. Spoglądała na niego błagalnie.

- Odejdźcie - powiedziała swoim paniom. - I nie pozwól wchodzić nikomu innemu - przykazała eunuchowi.

Kiedy wszyscy odeszli, wzniosła oczy ku Jung Lu, a on opuścił na nią swój wzrok.

- Mów - powiedziała słabo. - Powiedz, co mam robić.

- Przygotowałem już eskortę, która miała odprowadzić obcokrajowców na wybrzeże - powiedział swym głębokim, smutnym głosem. - Dlaczego mnie nie usłuchałaś?



Odwróciła głowę i wytarła kąciaki oczu chusteczką wiszącą u nefrytowego guzika.

- Teraz, nie usłuchawszy mnie - mówił dalej - pytasz, co robić.

Płakała cicho.

- Skąd weźmiesz pieniądze na zapłacenie Bokserom? - spytał. - Czy myślisz, że będą pracować za darmo?

Znów zwróciła się twarzą ku niemu, aby na niego patrzeć i błagać, by jej poradził, by jej pomógł, by uratował ją jeszcze raz. Lecz podnosząc głowę ujrzała, że nagle stał się popielatoszary, chwycił się za lewy bok i na jej oczach osunął się na ziemię.

Podbiegła do niego i podniosła jego ręce, były bezwładne i zimne. Powieki miał w połowie opuszczone, źrenice nieruchome i wciągał powietrze głębokimi haustami.

- Och, nie... nie...! - krzyknęła głośno.

Słyszając jej okrzyk, do komnaty wbiegły damy dworu, które widząc cesarzową klęczącą obok ciała Wielkiego Radcy, podniosły lament tak wielki, że przybiegli też eunuchowie.

- Podnieście go - rozkazała cesarzowa. - Połóżcie go na opiumowym łożu.

Podnieśli Jung Lu i położyli go na podwójnym opiumowym łożu w dalszym krańcu sali, pod głowę podłożyli mu twardą poduszkę, po czym cesarzowa kazała małemu eunuchowi pobiec po dworskich lekarzy, którzy przyszli natychmiast po otrzymaniu wiadomości. W tym czasie Jung Lu nie poruszył się, ale nadal nie przestawał ciężko oddychać.

- Wasza Wysokość - powiedział naczelny lekarz. - Wielki Radca przybył do ciebie powstawszy z łoża boleści.

Cesarzowa spojrzała na Li Lien-jinga straszonym wzrokiem.

- Dlaczego mi o tym nie powiedziano?

- Wasza Wysokość - odpowiedział Li Lien-jing - Wielki Radca zabronił nam tego.

Cóż mogła na to odpowiedzieć? Wprawiała ją w pomieszanie wierna miłość tego mężczyzny, który poświęcił dla niej wszystko. Zapanowała nad zamętem w swoim sercu, nad miłością i lękiem i powiedziała spokojnym głosem:

- Zanieście go do jego pałacu, a wy, cesarscy lekarze, bądźcie przy nim w dzień i w nocy. Przysyłajcie mi raporty o jego zdrowiu co godzinę, dniem i nocą. Ja zaś pójdę modlić się do świątyni.

Eunuchowie wystąpili, by spełnić jej rozkaz, a za nimi, złożywszy pokłony, ruszyli lekarze. Kiedy wszyscy odeszli, cesarzowa wstała i nic nie mówiąc do postępujących za nią dam, poszła do swej prywatnej świątyni. Była Godzina Psa, czas między dniem i nocą.

Zmierzch rzucał swój cień na podwórza, a w powietrzu smutnym i nieruchomym zalegało jeszcze słoneczne ciepło, bo wieczorny wiatr spóźnił się dzisiaj. Szła wolno, jakby dźwigała niezmierny ciężar, a kiedy dotarła do świątyni, podeszła do ukochanej bogini Kuan Yin. Podniosła trzy pałeczki kadzidła z sandałowego drzewa, zapaliła je od migoczącej świecy i wrzuciła do stojącej na ołtarzu nefrytowej kadzielnicy. Następnie sięgnęła po nefrytowy różaniec czekający na nią zawsze na ołtarzu i licząc paciorki, wypowiadała w głębi serca modlitwę samotnej kobiety.

- Ty, która jesteś również samotna - modliła się cicho do bogini - wysłuchaj modlitwy swojej młodszej siostry. Uwolnij mnie od moich wrogów, którzy chcieliby podbić tę sławną ziemię, moje dziedzictwo, i pokroić ją na kawałki niby melon. Uwolnij mnie... uwolnij mnie od moich wrogów! To wciąż jest moja najważniejsza modlitwa. Lecz dziś proszę cię jeszcze o bezimiennego, którego kocham. Padł dziś bez życia w mojej obecności. Być może nadeszła godzina jego śmierci. Podtrzymuj mnie! Ale błagam cię, siostrze, wstaw się za nim u Wielkiego Starca, aby odsunięta została ta godzina. Jestem twoją młodszą siostrą! Jeśli jednak godziny tej nie można odwlec, bądź ze mną, abym potrafiła zachować się godnie w każdych okolicznościach, bym umiała znieść samotność i klęskę. Ty, siostrze, patrzysz na rodzaj ludzki z niezmaconą twarzą, z nienaruszoną pięknnością, z niezmiennym wdziękiem. Daj mi siłę, bym mogła postępować tak samo.

Przesuwała paciorki jeden po drugim, aż opuściły ją wszystkie siły i pozostał tylko jeden paciorek. Teraz poczuła, że jej ostatnia modlitwa została wysłuchana. Jeśli zwyciężą jej wrogowie, jeśli umrze jej ukochany, twarz jej nie zmieni się, piękność nie zbladnie, wdzięk pozostanie nienaruszony. Będzie silna.

Spędzała teraz dni w samotności, podczas kiedy wokół szalała wojna, a każdy dzień płynął wolno jak miesiąc i przytłaczał ją swym ciężarem. Rzadko jakiś głos przenikał jej straszną samotność. Usłyszała kiedyś głos księcia Tuana:

- Wasza Wysokość - błagał ją - Bokserzy mają tajemny talizman, krąg żółtego papieru, który niosą ze sobą idąc w bój. W owym żółtym kręgu czerwoną farbą namalowano dziwne stworzenie. Nie jest to człowiek ani też szatan. Ma stopy, ale nie ma głowy, a jego twarz otoczona jest czterema aureolami. Jego oczy i brwi są nadzwyczaj czarne i pałające. U góry i u dołu tej dziwnej postaci umieszczono takie oto magiczne słowa: „Jestem Buddą Zimnej Chmury. Drogę toruje mi Bóg Ognia. Podpiera mnie z tyłu sam Lao Tsy”. W górnym lewym rogu tego kręgu zapisano inne zdanie: „Najpierw przywołaj Stróża Nieba”, a w dolnym prawym rogu znajdują się słowa: „Wezwij następnie Czarnych Bogów Zarazy”. Każdy, kto nauczy się tych magicznych słów i wypowiada je głośno, niszczy jakieś

cudzoziemskie życie gdzieś w naszym kraju. Doprawdy, Wasza Wysokość, cóż szkodzi nauczyć się tych czarodziejskich słów.

- Rzeczywiście, cóż szkodzi - zgodziła się cesarzowa i nauczyła się tych tajemnych formuł. Powtarzała je siedemdziesiąt razy dziennie, a Li Lien-jing chwalił ją, obliczając za każdym razem, jak wielu cudzoziemskich wrogów pożegnało się z życiem. Opowiadał jej również, że czegokolwiek dotknie miecz Boksera, czy jest to ciało, czy drzewo, wybucha płomień. Mówił też, że kiedy w ręce Bokserów dostaje się jeniec, starają się poznać wolę niebios - zapalają kulkę żółtego papieru i jeśli płatki sadzy idą ku górze, wróg jest zabijany, a jeśli opadają na ziemię, pozwalają mu żyć. Wiele tego rodzaju historii opowiadał cesarzowej eunuch, a ona, chociaż wątpiła w nie, to przecież przytłoczona brzemieniem trosk nie słuchała ich niechętnie, chciała bowiem wierzyć, że istnieje jakaś nadzieja.

Ale czy istniała? Jak gdyby gniewni cudzoziemcy nie stanowili dostatecznego zagrożenia, z całego kraju zaczęły nadchodzić szemrania i skargi z powodu wielkich powodzi, wieści o głodujących wsiach, nie zżętych plonach i nie posianym ziarnie. Zrozpaczeni ludzie w całym cesarstwie powstawali, rabując bogaczy i okradając tych, którzy mieli trochę pożywienia, a wśród atakowanych byli również cudzoziemscy księża, mający zawsze żywność i pieniądze. Wśród tysięcy obrabowanych znalazło się tylko kilku białych księży, ale ambasadorowie obcych państw podnosili protest z powodu śmierci choćby jednego z nich i oświadczaali, że dopóki rebelia nie zostanie stłumiona, ich rządy będą wysyłać swoje wojska i okręty. Na całym świecie nie było jednego narodu, a nawet jednego człowieka, do którego cesarzowa mogłaby zwrócić się o pomoc, podczas kiedy Jung Lu leżał w swym łożu bezsilny, pozbawiony mowy i słuchu. Kiedy spytała swego generała Jiian Szyk'aia, co ma robić, ten odpowiedział tylko, że Bokserzy to głupcy, albowiem kazał dwudziestu z nich stanąć przed sobą na podwórzu, aby do nich wystrzelono, i stwierdził na własne oczy, że padają i umierają jak zwykli ludzie. Błagał więc cesarzową, by nie wierzyła tym szarlatanom, lecz nie powiedział, komu ma wierzyć. Tak więc została bez pomocy.

Tymczasem książe Tuan znajdował się stale przy jej tronie i chwalił się, że może wyprzeć barbarzyńców do morza, i błagał ją o słowa takiego rozkazu. Wciąż jednak ociągała się i miała nadzieję na pokój, ale kiedy tak zwlekała, książe Tuan zaczął ją potajemnie zmuszać do podjęcia decyzji, pozwalając rozszoszczonym ludziom atakować obcokrajowców w ich ambasadach. Jej stary wierny wicekról południowego miasta Nankinu przysłał jej memoriał, w którym błagał, aby nie zezwalała na takie ataki i chroniła obce poselstwa z rodzinami i osobami towarzyszącymi oraz księży żyjących w zewnętrznych prowincjach.

„Obecną wojnę - pisał - wywołują bandyci. Dokonują oni rzezi i wznecają pożary pod

pretekstem wyrównywania rachunków z chrześcijaństwem. Stoimy w obliczu poważnego kryzysu. Zagraniczne rządy jednoczą się w akcji wysyłania wojsk, które atakują Chiny pod pozorem ochrony własnych poddanych i tłumienia narastających buntów. Pozycja nasza jest krytyczna i w mojej prowincji dokonałem niezbędnych przygotowań do stawienia im oporu ze wszystkich moich sił.

Niemniej, Wasza Wysokość, niech dobra wola i siła działają razem. Proponuję więc zgodnie z tym, abyś surowo i przykładowo ukarała tych buntowników, którzy atakują niewinnych urzędników i misjonarzy. Niech łaskawość i sprawiedliwy gniew występują razem, jawne i jasne jak słońce i księżyc”.

Kiedy cesarzowa otrzymała ten memoriał, pomyślała o tym, jak porządnym człowiekiem, jak zawsze wiernym w stosunku do niej jako swej władczyni jest wicekról, twórca memoriału. Wysłała więc do niego odpowiedź przez specjalnych kurierów, którzy biegli sztafetą więcej niż dwieście mil dziennie. Napisała doń własnoręcznie, wprawną dłonią kreśląc na papierze znaki:

„Z własnej woli nigdy nie będziemy agresorami. Powiadom wszystkich zagranicznych posłów, że żyjemy do nich tylko spokojne, przyjacielskie uczucia i usilnie prosimy, by sporządzili jakiś plan, według którego moglibyśmy zawrzeć ugodę korzystną dla wszystkich”.

Wysławszy tę informację, zastanowiła się i napisała publiczny dekret, w którym obwieszczała całemu światu:

„Doświadczyliśmy wielu zmienności losu, wydarzenia następowały szybko jedno po drugim w wielkim zamieszaniu i nie jesteśmy odpowiedzialni za okoliczności, które doprowadziły do wrogości między Chinami i potęgami Zachodu. Nasi zagraniczni posłowie oddzieleni są od Nas szerokimi morzami i nie potrafią wyjaśnić władcom Zachodu rzeczywistego stanu naszych uczuć”.

Następnie opisała wszystko, co się wydarzyło. Zaczęła od tego, że w każdej prowincji wichrzyciele i chińscy buntownicy siali taki zamęt, że gdyby nie interweniowała i nie poskramiała tych ludzi, żaden misjonarz nie zostałby pewnie przy życiu. Potem wspomniała o nieszczęśliwym wypadku z niemieckim ambasadorem i niefortunnym naleganiu zagranicznych dowódców, by wydano im forty w Tientsinie, na co chiński komendant nie mógł przystać, a zagraniczne wojska odpowiedziały na tę odmowę ostrzeliwaniem fortów.

Podsumowała w sposób następujący:

„Wytworzył się stan wojny, ale nie jest on wynikiem naszego działania. Czy świadome swej słabości Chiny mogłyby być tak nierozsądne, by ogłosić wojnę jednocześnie z całym światem? Jaką mogłyby mieć nadzieję na zwycięstwo, śląc do walki nie wyszkolonych

bandytów? Powinno to być oczywiste dla każdego. Oto prawdziwa ocena naszej sytuacji, wyjaśniająca rozmiar problemów, którym musimy sprostać. Nasi zagraniczni posłowie powinni wyjaśnić rządowi, przy których są akredytowani, prawdziwe znaczenie tego dekretu. My natomiast chcemy polecić i polecamy naszym wojskowym dowódcą, by dali ochronę poselstwom. Zrobimy wszystko co tylko możliwe. W tym czasie wy, ambasadorowie, spełniajcie swe obowiązki ze wzmożoną gorliwością. W tej godzinie nikt nie może być tylko obojętnym obserwatorem”.

Uważając, że nie zrobiła jeszcze wszystkiego co możliwe, cesarzowa postanowiła wysłać również telegramy do najpotężniejszych władców zewnętrznego świata. Przesłała pozdrowienia cesarzowi Rosji i tak do niego pisała:

„Przez więcej niż dwieście pięćdziesiąt lat nasze sąsiadujące z sobą cesarstwa utrzymywały niezłomną przyjaźń, serdeczniejszą niż ta, która istnieje między jakimikolwiek innymi potęgami. Jednak niechęć, jaka ostatnio istniała między tymi, którzy przeszli na wiarę chrześcijańską, a resztą naszej ludności, dała pretekst osobom niegodnym do wzniecania buntów, aż obce mocarstwa uległy wrażeniu, że tron zwalcza chrześcijaństwo”.

Następnie opisała, jak do tego doszło, i zakończyła tymi słowami:

„Obecnie, kiedy Chiny doświadczają wrogości zachodniego świata z powodu okoliczności, które są poza naszą kontrolą, możemy polegać jedynie na Twoim kraju, by był pośrednikiem i orędownikiem pokoju w naszym imieniu. Apeluję do Ciebie, Wasza Wysokość, abys wystąpił jako arbiter i uratował nas. Oczekujemy Twojej życzliwej odpowiedzi”.

Następnie cesarzowa przesłała siostrzane pozdrowienia królowej Anglii i przypomniała jej, że przeważająca część chińskiego handlu to handel z Anglią, a zakończyła tak:

„Z tego powodu prosimy, abys wzięła pod uwagę, że jeśli Cesarstwo Chin utraci w jakichś okolicznościach swą niepodległość, ucierpi na tym również Twój kraj. W napięciu i pośpiechu dążymy do zbudowania armii, która nas obroni, a tymczasem polegamy na Tobie jako na naszym mediatorze i z godziny na godzinę oczekiwac będziemy Twojej decyzji”.

Wreszcie, w imieniu swoim i młodego cesarza, napisała też do cesarza Japonii, przekazując list przez swego ambasadora w Tokio. Pisała do niego:

„Niech pozdrowiony będzie Jego Wysokość Cesarz Japonii! Cesarstwa Chin i Japonii są sobie bliskie jak wargi i zęby. Dlatego też, kiedy Europa i Azja stoją w obliczu konfrontacji, nasze dwa azjatyckie kraje muszą trzymać się razem. Tygrysie oczy głodnych ziemi narodów Zachodu utkwione są teraz chciwie w nas, lecz pewnego dnia z pewnością

zwrócić się również w waszą stronę. Powinniśmy więc zapomnieć o niezgodzie i myśleć teraz o sobie jako o ludach zaprzyjaźnionych. Patrzymy na Ciebie jako na arbitra w sporze z otaczającymi nas wrogami”.

Na wszystkie te przesłania cesarzowa nie otrzymała żadnej odpowiedzi. Czekala dniami i nocami, nie mogąc się z tym pogodzić, a w tym samym czasie naciskali na nią książę Tuan i jego zwolennicy.

- Przyjaciele i wrogowie tronu, ministrowie i buntownicy - mówił książę Tuan - wszyscy jednoczą się w nienawiści do tych zagranicznych chrześcijan, którzy przyszli tu wbrew naszej woli, by handlować i głosić swe nauki.

Jak potworna była jej samotność, ogarniała ziemię i sięgała do nieba! Nie docierały do niej ludzkie głosy i nie przemówił do niej żaden bóg. Cesarzowa dzień po dniu przesiadywała w sali tronowej. Ministrowie i książęta milczeli, kiedy mówił książę Tuan lub jego zwolennicy. Milczały królewskie wysokości za granicą, w milczeniu leżał Jung Lu. Mijały letnie dni, wszystkie tak samo piękne, nie spadła ani kropla deszczu. Podczas kiedy ludzie burzyli się, głodowali i narzekali, niebo nad ich głowami było czyste, nieskazitelnie błękitne, bez jednej chmurki. W poprzednim roku kraj nawiedzały powodzie, teraz zaś przyszła susza, więc ludzie płakali, że czasy są nazbyt ciężkie, że bogowie pełni są gniewu. Cesarzowa rozmyślała, z pozoru cicha i spokojna jak bogini Kuan Yin, lecz w istocie odrętwiała z niepewności i rozpacz. Miasto zapełniało się buntownikami i Bokserami, a dobrzy ludzie poukrywali się w swych domach. Obce ambasady przygotowywały się na odparcie ataków. Bramy ich zamknięte były na kłódki, a straż czekała z przygotowaną bronią.

Dwudziestego dnia piątego miesiąca księżycowego cesarzowa wiedziała już, że czekanie jest bezcelowe. Nic nie powstrzyma zniszczenia. O świcie miasto zapłonęło ogniem. Bokserzy i buntownicy podpalili więcej niż tysiąc sklepów, a bogaci kupcy uciekli z miasta wraz ze swymi rodzinami. Teraz wojna nie toczyła się już tylko przeciw obcokrajowcom, ale także przeciwko tronowi i niej samej.

W dniu tym otrzymała dwa memoriały od ministrów Jiiana i Hsii, obu z Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Donosili, że widzieli na własne oczy ciała martwych Bokserów na Ulicy Poselstw, gdzie zabili ich zagraniczni strażnicy. Według ministrów ochrona nie była temu winna. Zagraniczni posłowie zapowiedzieli uprzednio tronowi, że ściągną większe siły tylko dla obrony, a kiedy miną szturm, odeślą je z miasta. Kilka dni wcześniej sam cesarz zapytał po audiencji ministra Hsii, czy Chiny mogą wytrzymać atak z zewnątrz. Z troską czekał na odpowiedź ministra i płakał, kiedy Hsii odrzekł, że Chiny muszą spodziewać się tego, że będą pokonane. Natomiast minister Jiian, usłyszawszy, że zostały zaatakowane

poselstwa, powiedział, że można to nazwać ciężkim naruszeniem międzynarodowego prawa.

Jednak cesarzowa wciąż nie mogła dokonać ruchu. Gdzie ma się zwrócić? - pytała milczące niebo. Nadsyłane zewsząd memoriały pełne były wyrzutów.

Znów mijały dni. Cudzoziemcy zamknęli się w swych ambasadach jak w twierdzach. Usłyszała, że głodują, i w trosce o nich przesłała im żywność, ale zwrócili ją, bojąc się, że jest zatruta. Słyszała, że ich dzieci są chore i gorączkują z braku wody, ale kiedy wysłała tam beczułki z wodą, również zostały zwrócone.

Piętnastego dnia szóstego miesiąca księżycowego niebiosa wymierzyły ostatni cios. Bokserzy zamordowali setki chińskich chrześcijan za murami księżęcego pałacu. Cesarzowa słysząc o tym, jak niewinni umierali wraz z winnymi, zakryła uszy rękami i zadrżała.

- Och, gdyby tylko chrześcijanie pokajali się - jęknęła. - Nie byłabym wówczas zmuszona do tej okropnej wojny.

Ale chrześcijanie nie kajali się i to wywoływało jeszcze większą złość Bokserów. Pewnego dnia cesarzowa piła swą poranną herbatę. Słońce jeszcze nie wzeszło nad murem i zimna rosa połyskiwała na liściach lilii kwitnących za drzwiami pałacu. Rozkoszowała się tą krótką chwilą spokoju pośród zamieszania i walk w mieście. Nagle usłyszała głośne okrzyki i uderzenia stóp o kamienną posadzkę zewnętrznego tarasu. Wstała i pospieszyła do drzwi prowadzących na zewnątrz. Ujrzała gromadę głośnych, pijanych mężczyzn z purpurowymi twarzami i wyciągniętymi pałaszami. Na ich czele stał sam książę Tuan - trochę wystraszony, ale znacznie bardziej chępliwy.

Klasnął w ręce, kiedy ją ujrzał, dał znak towarzyszom, aby zamilkli, i zwrócił się do niej butnie:

- Wasza Wysokość! Nie mogę powstrzymać tych prawdziwych patriotów. Słyszeli, że dajesz schronienie uczniom szatana - chrześcijańskim konwertytom. Co więcej, słyszeli, że sam cesarz jest chrześcijaninem. Nie mogę ponosić odpowiedzialności, Wasza Wysokość... nie będę ponosił odpowiedzialności...

Wciąż trzymała w ręce nefrytową czarękę z herbatą. Teraz uniosła ją wysoko nad głową i cisnęła nią o kamienną posadzkę, na której stała. Jej ogromne oczy rozjarzyły się zimnym ogniem.

- Ty zdrajco! Wystąp! - rozkazała księciu Tuanowi. - Jak śmiesz przychodzić tu wczesnym rankiem i robić zamieszanie, kiedy ja piję herbatę? Czy wyobrazasz sobie, że jesteś cesarzem? Jak śmiesz zachowywać się w sposób tak lekkomyślny i bezczelny? Twoja głowa nie tkwi na karku mocniej niż głowy zwykłych ludzi. Czy zapomniałeś, kto jest twoim władcą? Czy myślisz, że wolno ci pojawiać się w pałacu bez mojego przyzwolenia?

- Wasza Wysokość... Wasza Wysokość - jękał książę Tuan.

Nie powściągnęła jednak swego gniewu.

- Czy myślisz, że jeśli nastał czas zamieszek, to wolno ci tu przyjść i wzniecać bunt? Wracaj do siebie! Przez rok nie otrzymasz swej pensji. A tych włóczęgów, tych śmieciarzy, którzy z tobą przyszlizli, każę ściąć!

Taka moc była z jej postawy, tak twardy i czysty był jej dźwięczny głos i tak była piękna w swym gniewie, że nawet oni ulegli i pobici odeszli jeden po drugim. Ona zaś istotnie wydała rozkaz Gwardii Cesarskiej, by ludzi tych pojmano i ścięto, a ich głowy powieszono na bramach miasta, bo odważyli się pojawić w jej obecności, choć ich nie wzywała.

Tego samego dnia przysłała zła wiadomość z Tientsinu, że obcy żołnierze zawładnęli tym miastem i teraz maszerują w całej swej sile do stolicy, aby uratować swych ziomków obleżonych w zamienionych w fortece ambasadach. Wojska cesarskie nie potrafiły ich powstrzymać. Cóż mogła robić więcej, niż modlić się i czekać?

Dziesiątego dnia siódmego miesiąca roku księżycowego bogini Kuan Yin okazała nareszcie swej siostrze łaskawość - cesarzowa otrzymała wiadomość, że Jung Lu przebudził się ze swego odrętwienia. Powróciła do świątyni, aby złożyć podziękowanie, i przesłała mu koszyki specjalnego jedzenia, które miało go szybko wzmocnić i przywrócić mu siły. Niemniej minęły jeszcze cztery dni, zanim przyniesiono go w lektyce przed jej oblicze. Ujrzawszy bladość jego twarzy i słabość jego członków, zakrzyknęła, by nie wstawał. Podniosła się z tronu, zeszła dwa stopnie w dół i siadła na krześle obok niego.

- Gdzie byłeś, kuzynie? - spytała najczulszym głosem. - Ciało twe leżało bezwładne na łożu, kiedy twój umysł i dusza błąkały się gdzieś daleko.

- Gdziekolwiek byłem, nie pamiętam tego teraz. - Jego głos był wysoki i słaby. - Powróciłem jednak. Kto to sprawił? Nie wiem. Może twoje modlitwy...

- To były moje modlitwy - potwierdziła. - Byłam bowiem bardzo samotna. Powiedz, co mam zrobić. Czy wiesz, że walki toczą się w mieście i że Tientsin padł? Wróg zbliża się do miasta...

- Wiem o wszystkim - powiedział. - Czasu jest mało. Musisz mnie usłuchać. Musisz aresztować księcia Tuana, który w oczach cudzoziemców jest wszystkiemu winien. Każ mu ściąć głowę. Udowodni to twoją niewinność i wolę pokoju.

- Mam więc ulec wrogowi? - wykrzyknęła oburzona. - Ścięcie księcia Tuana jest drobnostką, ale poddanie się wrogowi... nie, to zbyt wiele, tego nie mogę zrobić! Dążenie całego mego życia rozsypuje się w proch.



Słyszając to Jung Lu jęknął.

- Och, uparta kobieto - westchnął. - Kiedy wreszcie zrozumiesz, że nie oprzesz się prądom nadchodzącego czasu?

Dał znak swym ludziom, którzy wynieśli go w palankinie, a cesarzowa, wewnętrznie rozdarta, nie zatrzymywała go.

Mijał dzień po dniu, a ona próbowała wierzyć, że czary Bokserów okażą się skuteczne. Miasto pełne było ruin i zgliszcz, ale cudzoziemcy w ambasadach nie poddawali się. Oznaczało to, że pokładają nadzieję w zbliżających się wojskach. Trzeciego dnia wezwała ministrów i księżęta na audiencję do Sali Spokojnego Długiego Życia. Jung Lu przybył również i z rozpaczliwym wysiłkiem opuścił swój palankin i zajął swoje miejsce. Nie miał jednak dla niej żadnych rad, prócz tych, których udzielił jej wcześniej, a których nie przyjęła. Natomiast księżęta i ministrowie milczeli z twarzami bladymi, naznaczonymi lękiem i znużeniem.

W panującej ciszy książe Tuan znów głośno się przechwalał, mówił, że Bokserzy przygotowali tajemne zaklęcia i kiedy obce wojska dotrą do fosy na zewnątrz miasta, nie zdołają jej przekroczyć. Przeciwnie, wpadną do wody i potopią się.

Jung Lu wykrzyknął na to głosem, który nagle nabrał mocy:

- Bokserzy są tylko marnym puchem i kiedy cudzoziemskie wojska się zbliżą, rozproszą się jak puch!

Jego słowa niestety szybko się sprawdziły. Pięć dni później po południu, gdy wybiła Godzina Małpy, do biblioteki, w której cesarzowa szukała pociechy wertując mądre księgi, wpadł książe Lan i wykrzyknął nie składając pokłonów i nie wypowiadając słów powitania:

- Stary Buddo, są już tutaj... zagraniczne diabły przeszły przez bramy jak ogień przez wosk!

Uniosła wzrok, krew odpłynęła jej z serca.

- A więc mój kuzyn miał rację - powiedziała cichym, zdziwionym głosem. Zamknęła książkę i zamyśliła się, skubiąc palcami dolną wargę.

- Musisz uciekać, Wasza Wysokość - wykrzyknął stary książe. - Ty i Syn Niebios, razem! Musicie uciekać na północ.

Potrząsnęła głową i dalej rozmyślała, a on widząc, że nie zdoła jej poruszyć, wyszedł i udał się szybko do Jung Lu, bo tylko on jeden mógł ją przekonać. Jung Lu pojawił się po niecałej godzinie, podpierając się trzcina. Stapał nadal niepewnie, ale pragnienie ratowania jej życia dodawało mu sił.

Siedziała z książką już zamkniętą, z rękami zaciśniętymi na kolanach tak mocno, że

zbielały kostki i palce jej rąk. Spojrzała ku górze, kiedy wszedł. Jej wielkie oczy były zamglone, a źrenice ginęły w mroku.

Stanął blisko niej i mówił niskim, czułym głosem:

- Moja ukochana, musisz mnie posłuchać. Nie możesz tu zostać. Wciąż jesteś symbolem tronu. Gdzie ty jesteś, jest serce narodu. Dziś po północy, w Godzinie Tygrysa, kiedy księżyc jest jeszcze nisko, a gwiazdy nie świecą zbyt jasno, musisz uciekać.

- Znów - wyszeptała. - Znów...

- Znów - przyznał. - Znasz drogę i nie pójdziesz sama.

- Ty...

- Nie, ja nie. Muszę zostać, by odbudować naszą potęgę. Wrócisz bowiem, tak jak wróciłaś kiedyś, a ja muszę uratować tron dla ciebie.

- Jak zdołasz to zrobić bez wojsk? - spytała półgłosem.

Opuściła głowę i zobaczył, że na jej długich, prostych rzęsach wiszą ogromne łzy. Spadały jedna po drugiej i toczyły się po gładkim, ciężkim atłasie jej srebrnoszarej szaty.

- Czego nie można zrobić siłą, trzeba dokonać mądrością - powiedział. - Tron będzie na ciebie czekał. Przrzekam ci to.

Podniosła twarz i spostrzegł, że uległa. Uległa jeśli nie jemu, to grozie i lękowi. W geście litościwej miłości wziął jej rękę i trzymał ją, przyciskając przez chwilę do swego policzka, a następnie puścił delikatnie i cofnął się.

- Wasza Wysokość - powiedział - nie ma chwili do stracenia. Muszę przygotować twoje przebranie i wybrać tych, którzy zastąpią mnie jako twoja ochrona. Twoje służące muszą pobrudzić ci twarz i uczesać jak chińską chłopkę. Wyjdiesz ukrytą furtką. Zabierz ze sobą tylko dwie kobiety, żeby nie wzbudzać podejrzeń. Cesarz także musi iść z tobą przebrany za wieśniaka. Konkubiny musicie zostawić...

Słuchała bez słowa. Kiedy odszedł, usiadła i otworzyła księgę. Jej spojrzenie padło na dziwne słowa, napisane przed wiekami przez mędrca Konfucjusza: „Gdy brak jest szerokiego umysłu i prawdziwego rozumienia rzeczy, wielkie dzieła zostają zaprzepaszczone”.

Wpatrywała się w te słowa, dźwięczały jej w uszach, jakby je ktoś wypowiadał. Z dalekiej przeszłości wniknęły prosto do jej serca i przyjęła je z pokorą. Jej umysł był nie dość szeroki, nie rozumiała czasów i zaprzepaszczone zostało wielkie dzieło... sprawa uratowania kraju. Wróg zwyciężył. Powoli zamknęła książkę i ukorzyła swego ducha. Od tej chwili nie będzie kształtowała czasów, lecz sama da się przez nie kształtować.

Nie wiedząc o jej postanowieniu, wszyscy podziwiali jej dumny spokój. Wydała rozkazy, by schowano w bezpiecznym miejscu jej książki, obrazy, zwoje i biżuterię. Żeby zaś

ukryć sztaby srebra i złota, rozkazała Li Lien-jingowi, aby zbudował fałszywą ścianę w jednej z komnat i za nią złożył ten skarb. Kiedy już wszystko zostało wykonane - w pośpiechu, lecz starannie - wezwała w Godzinie Tygrysa najpierw cesarza, a następnie konkubiny i powiedziała konkubinom, dlaczego nie może wziąć ich ze sobą.

- Muszę ochronić cesarza i siebie - powiedziała - nie dla nas samych, bo doprawdy jesteśmy niczym, ale w trosce o tron. Mam z sobą pieczęć cesarską i gdzie jestem ja, tam jest państwo. Zostaniecie tu i nie musicie się bać, bo sam Wielki Radca Jung Lu wyzdrowiał cudownie i teraz zbiera nasze wojska. Ponadto nie wierzę, by nieprzyjaciel wdarł się do tych pałaców. Żyćcie, jakbym była z wami. Będą z wami eunuchowie, by wam służyć, z wyjątkiem Li Lien-jinga, który pójdzie ze mną.

Konkubiny płakały cicho i wycierały oczy rękawami. Żadna z nich nie odezwała się, z wyjątkiem Perły, którą eunuchowie odważyli się przyprowadzić z jej więzienia. Stała blada z obwisłymi policzkami, w wyblakłych łachmanach, a na jej twarzy nie pozostał nawet ślad dawnej piękności. Nadal jednak zachowywała się buntowniczo. Onyksowe oczy osadzone jak diamenty pod brwiami jak skrzydła motyla wciąż płonęły. Wykrzyknęła do cesarzowej:

- Nie zostanę, Cesarska Matko! Żądam, byś mi pozwoliła pójść z moim panem, gdyż pragnę mu służyć.

Cesarzowa podniosła się jak rozgniewany Feniks. Wzburzona podniosła rękę i wskazała na konkubinę krzycząc:

- Jak śmiesz w ogóle mówić, ty, która sprowadziłaś na jego głowę połowę tych kłopotów! Czy sam wymyśliłby tyle zła, gdybyś nie wsączyła go do jego uszu?

Odwróciła się do Li Lien-jinga i uniesiona gniewem wydała rozkaz:

- Zabierz stąd tę kobietę i wrzuć ją do studni przy Wschodniej Bramie!

Cesarz, usłyszawszy ten rozkaz, padł na kolana, lecz cesarzowa pozostała bezlitosna.

- Ani słowa - krzyknęła, dźgając palcami powietrze nad jego głową. - Ta konkubina wykluła się z jaja sowy. Wybrałam ją, by mi pomagała i by mnie wspierała, a ona zbuntowała się przeciwko mnie.

Spojrzała na Li Lien-jinga, a ten dał znak eunuchom. Dwóch z nich chwyciło konkubinę i wyprowadziło ją - milczącą, bladą jak papier.

- Wejź do swego wozu - powiedziała cesarzowa do klęczącego cesarza - i opuść zasłony, by cię nie zobaczono. Księżę P'u Lun będzie jechał przy tobie, a ja w swoim wozie pojedę przodem. Li Lien-jing dosiądzie muła. Musi jechać za nami tak, jak potrafi, mimo że jest najgorszym z jeźdźców. Jeśli ktokolwiek nas zatrzyma, mówcie, że jesteśmy biednymi ludźmi ze wsi, uciekającymi w góry. Ale najpierw pojedziemy obok Pałacu Letniego.

Zrobiono, jak powiedziała. Cesarzowa siadła za zasłonami w swoim wozie wyprostowana jak Budda, z twarzą nieruchomą, wyostrzonym słuchem i bystrym wzrokiem. Dopiero kiedy wozy mijaly Pałac Letni, znów wydała komendę.

- Stójcie - powiedziała, kiedy pojawiły się ukochane wieże pagód. - Zostańmy tu przez małą chwilę.

Zeszła z wozu, nie pozwoliwszy zejść nikomu innemu, i w towarzystwie tylko jednego eunucha wędrowała marmurowymi korytarzami przez puste pałace obok jeziora. Tu było jej serce. Marzyła, że tu przeżyje swą spokojną starość wśród ludu żyjącego w pokoju i dobrobycie. I tu mogła już nigdy nie wrócić. A jeśli wróg znów zniszczy to miejsce, tak jak to zrobił dawno temu? Ach, wróciła przecież, dokonała dzieła odbudowy i tą odbudową przydała jeszcze chwały przeszłości. Wtedy była jednak młoda, a teraz jest stara. Czas również ją pokonał.

W milczeniu rzuciła ostatnie, długie spojrzenie i odwróciła się, smukła i elegancka w prostej, bawelnianej, niebieskiej odzieży chińskiej chłopki, po czym wstąpiła na wóz.

- Na zachód - rozkazała - na zachód do miasta Si-an.

Podróż trwała już dziewiąty dzień, a cesarzowa bez względu na to, gdzie znajdowało się jej serce, zawsze okazywała spokój i zdecydowanie. Nigdy nie zapomniała, że mimo jej ucieczki dwór patrzy na nią jak na słońce. Kiedy wkroczyli już do następnej prowincji, nie było więcej potrzeby przebierania się, więc cesarzowa, wykapawszy się uprzednio, mogła włożyć na siebie królewskie szaty. Czuła, że duch jej odżył i wzrosła odwaga. W prowincji Szensi ludność nie bała się wojny, ale cierpiała z powodu straszego głodu. Mimo to zaraz pierwszego wieczoru jej ulubiony generał, który podążał na północ ze swymi wojskami, podarował jej koszyk świeżych jajek, pas wysadzany klejnotami i jedwabny woreczek na fajkę i tytoń. To również wprawiło ją w dobry nastrój, było bowiem oznaką miłości, jaką jej poddani nadal ją obdarzali. I rzeczywiście, kiedy mijaly dni, ludzie, mimo że sami głodowali, przynosili jej koszyki pszenicy i prosa oraz chudy drób. I ta okazywana jej miłość jeszcze bardziej pocieszyła cesarzową, tak że znów mogła się cieszyć pięknem otoczenia.

Ósmego dnia dziewiątego miesiąca dotarła do stolicy prowincji, gdzie czekał na nią wicekról Jii Sien, okazując jej wielką cześć i oddanie. Był to ten sam wicekról, który wierząc w czary Bokserów, popierał ich i kazał zabić każdego cudzoziemca w swej prowincji, łącznie z kobietami i dziećmi. Cesarzowa przyjęła jego hołd u bram miasta i pochwaliła go, mówiąc, że dobrze zrobił oczyszczając swą prowincję od wrogów; chwaliła go również za to, że był zawsze uczciwy i wierny tronowi.

- Jesteśmy jednak pokonani - powiedziała - i zwycięscy wrogowie mogą domagać się

twego ukarania, jeśli tak się stanie, ukarzę cię tylko pozornie i wynagrodzę w sekrecie. Musimy wierzyć, że mimo obecnej przegranej kiedyś nadejdzie nasze zwycięstwo.

Jii Sien uderzył przed nią pięć razy głową o zakurzoną ziemię.

- Wasza Wysokość - powiedział. - Jestem gotów na przyjęcie dymisji i kary z twoich rąk.

Pogroziła mu mimo to palcem.

- Nie miałeś jednak racji, kiedy przyrzekałeś mi, że Bokserów nie można zabić z powodu ich czarów. Polegli w wielkich ilościach. Obce kule przechodziły przez ich ciała jak przez wosk.

- Wasza Wysokość - z całą powagą odpowiedział Jii Sien - czary zawiodły ich, bo nie przestrzegali reguł swego stowarzyszenia. Zabijali niewinnych ludzi, nie tylko chrześcijan. Zabijali też dla rabunku, dając się opanować chciwości. Czarów mogą używać tylko ci, którzy mają czyste serca.

Z aprobatą pokiwała głową i podążyła do przygotowanego na jej przyjęcie pałacu wicekróla. Z zadowoleniem zauważyła, że wyjęto z magazynu złote i srebrne naczynia, wyczyszczono je i wypolerowano, by jej służyły. Naczynia te wykonano specjalnie dwieście lat temu dla jej cesarskiego przodka Cz'ien Lunga, kiedy przybył do tego miasta w drodze na modły przy Górze Pięciu Szczytów.

Jesień nigdy jeszcze nie była tak wspaniała. Dzień po dniu słońce zalewało złotem pola i ludzi. Zbiory znów były obfite i wiejskie zagrody pełne były żywności i opału. Wojna toczyła się gdzieś daleko i zdawało się, że obywatele ledwie o niej pamiętają. Żyli w pokoju i obfitości, składając cesarzowej hołdy i oświadczając, że doprawdy jest ich Starym Budda, któremu są wdzięczni. Znów nabrała ducha i serce jej napełniło się odwagą i radością, tym bardziej że dołączyło teraz do niej wielu książąt i ministrów i powoli zbierał się cały dwór.

Ten dobry nastrój przyćmił nagle list od Jung Lu pisany w formie memoriału, który donosił jej, że sprawa jest przegrana i że jego dobry pomocnik, Czung Czi, powiesił się z rozpacz. Cesarzowa w odpowiedzi nadała zmarłemu odznaczenia za jego wierność i odwagę i nakazała Jung Lu, by przybył do niej złożyć pełne sprawozdanie. Nie spodziewała się od niego żadnych lepszych wiadomości, zwłaszcza gdy dowiedziała się od kurierów, że kiedy był w podróży, żona jego nagle zachorowała i zmarła w obcym mieście. Cesarzowa zdecydowana była teraz go pocieszyć i podnieść na duchu.

Kiedy w dzień po jej przybyciu do miasta Taijtan zaanonsowano jego przyjazd, poleciała, by odpoczął tylko przez godzinę i zjawił się u niej nie zwlekając.

Przyjęła go w małej, starej komnacie. Siedziała ze złożonymi rękami na wielkim,

rzeźbionym krześle z czarnego drzewa, które ustawiono na małym podeście, aby przypominało tron. Nie pozwoliła, by ktoś był obecny przy jej spotkaniu z Jung Lu. Odprawiła swoje panie, mówiąc, że powinny zażyć słońca i świeżego powietrza, a Li Lien-jingowi kazała czekać w przedpokoju.

Otworzyły się drzwi i wszedł Jung Lu, wysoki, mizerny od trosk i zmęczenia. Jednak jak zawsze w jej obecności ubrany był wykwintnie - wykorzystał pozostawioną mu przez nią godzinę na kąpiel i przebranie się w świeże szaty. Jak zawsze pochylił się, by złożyć jej hołd, a ona jak zwykle wyciągnęła prawą rękę, by go powstrzymać. Stał więc przed nią, ona zaś podniosła się, a podest dodał jej wzrostu. Wymienili długie, tęskne spojrzenie.

- Przykro mi, że żona twoja odeszła do Żółtych Źródeł - powiedziała cichym głosem.

Przyjął to lekkim skinieniem głowy.

- Była dobrą kobietą, Wasza Wysokość - powiedział - i służyła mi wiernie.

Czekali, jedno na drugie, ale cóż mogli sobie teraz powiedzieć?

- Na jej miejsce wyniosę inną kobietę - powiedziała w końcu cesarzowa.

- Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość - odpowiedział.

- Jesteś zmęczony - zauważyła. - Nie zachowujmy się ceremonialnie. Siądźmy razem.

Potrzebna mi jest twoja mądrość.

Zeszła z podestu, przeszła przez salę swym dawnym, pełnym wystudiowanego wdzięku krokiem, ukazując sylwetkę jak zawsze smukłą, wyprostowaną i królewską. Zasiadła na jednym z dwóch prostych, drewnianych krzeseł, między którymi stał mały stolik. Na jej znak zajął miejsce obok i czekał na nią, aż się odezwie.

Poruszała wachlarzem, na którym kiedyś, w wolnej chwili, namalowała widok tej prowincji.

- Wszystko stracone? - spytała w końcu i spojrzała na niego swymi wąskimi oczami.

- Wszystko stracone - odpowiedział z mocą.

Siedział, ułożywszy swe piękne, duże ręce na okrywającym jego kolana atłasie. W tych rękach utkwiała teraz wzrok. Były to ręce pozbawione ciała, ale nadal niezmiernie silne. Znała dobrze tę siłę.

- Co radzisz? - spytała.

- Wasza Wysokość - odpowiedział. - Została ci tylko jedna droga. Musisz wrócić do stolicy, musisz ulec żądaniom nieprzyjaciół. W ten sposób znów ocalisz tron. Pozostawiłem Li Hung-czanga, aby negocjował warunki pokoju. Zanim jednak powrócisz, powinnaś rozkazać, dając w ten sposób dowód swej szczerości, aby ścięto głowę księciu Tuanowi.

- Nigdy! - zawołała, składając wachlarz z ostrym trzaskiem patyczków z kości

słoniowej.

- Nie będziesz więc mogła nigdy powrócić - odpowiedział. - Nienawiść cudzoziemców do księcia Tuana, którego uważają za inicjatora ich prześladowań, jest tak wielka, że raczej zniszczą cesarskie miasto, niż pozwolą ci do niego wrócić.

Poczuła, jak krew stygnie jej w żyłach. Wachlarz wypadł jej z ręki. Pomyślała o wszystkich skarbach ukrytych w tym mieście, lecz bardziej niż o skarbach myślała o całym dziedzictwie cesarskich przodków, o potędze i chwale. Czy można było to stracić, a jeśli tak, to co pozostanie?

- Zawsze byłaś zbyt gwałtowna - zauważył.

Małym palcem wskazała wachlarz, a on schylił się, podniósł go i położył na stoliku. Wiedziała, że nie podał go jej, bo nie chciał, by ich ręce się spotkały.

- Wasza Wysokość - powiedział swym głębokim, cierpliwym głosem - cudzoziemcy ścigać cię będą nawet tutaj, jeśli im się nie poddasz.

- Mogę znów ruszyć na zachód - upierała się - a tam, gdzie stanę, będzie moja stolica. Przede mną robili tak moi cesarscy przodkowie, idę tylko w ich ślady.

- Jak sobie życzysz, Wasza Wysokość - powiedział. - Wszyscy jednak wiemy - ty, ja i świat niestety też, że jeśli nie powrócisz do naszego starodawnego, cesarskiego miasta, pozostaniesz jedynie uciekinierką.

Ona jednak nie chciała ulec, nie chciała ulec nawet jemu, więc podniosła się, rozkazując, aby odszedł i odpoczął. Zamówiła dla niego specjalne przysmaki do jedzenia, i tak się rozstali. Nie, nie ulegnie szybko. Następnego dnia poleciła więc dworowi, aby przygotował się do podróży na zachód, do dalekiego miasta Si-an w prowincji Szensi. Oświadczyła, że ogłosi to miasto stolicą, ale nie dlatego, że zmuszona jest do ucieczki, lecz dlatego - tłumaczyła - że w prowincji, w której obecnie przebywają, panował niedawno głód i nie może ona sprostać potrzebom dworu. Chociaż głód minął, wszyscy zgodzili się z tym dekretem i wkrótce dwór ruszył na zachód.

Na jej rozkaz Jung Lu jechał obok jej palankinu. Nie mówił więcej o jej powrocie do Pekinu, a ona nie pytała go o rady. Mówiła natomiast o pięknie pustynnych widoków, przyglądała się mijanym krajobrazom, cytowała poezje, a robiła to wszystko, by ukryć rozpacz. Nie wątpiła w istocie, że to on miał rację. Kiedyś będzie musiała powrócić do cesarskiego miasta, i to za każdą cenę. Nie dała jednak tego po sobie poznać i podążała wytrwale na zachód, każdego dnia zwiększając o mile dystans między sobą i Tronem Smoka. Kiedy przybyli do Si-an, zamieszkała z dworem w pałacu wicekróla, który został dla niej oczyszczony i urządzony od nowa. Ściany pomalowano na czerwono, zewnętrzne podwórza

otoczono palisadami, a w głównej sali zbudowano tron i wyścielono go żółtym jedwabiem. Za tronem znajdowały się jej prywatne komnaty, po stronie zachodniej urządzono pokoje dla cesarza i jego małżonki, a po stronie wschodniej znalazło się miejsce dla Li Lien-jinga, który zawsze był w pobliżu, gotów na wezwanie swej królewskiej pani.

Po zainstalowaniu się w pałacu cesarzowa nalegała, by oszczędzając na wydatkach, spożywano jedynie proste potrawy. Chociaż codziennie cesarska kuchnia mogła przygotowywać nawet i sto najdelikatniejszych przysmaków z południa, ona zadowalała się jedynie sześcioma. Rozkazała, by dla mleka, które lubiła pić rano tuż po obudzeniu i w nocy przed snem, trzymano tylko sześć dojnych krów. Mimo długiej drogi cesarzowa stwierdziła, że zdrowie jej dopisuje, a przeszkadza jej tylko bezsenność, więc kiedy była w nocy niespokojna, specjalnie przeszkolony eunuch masował ją tak długo, aż zasnęła.

Teraz, kiedy ustanowiła swą stolicę na wygnaniu, znów urzędowała audiencje, a kurierzy przynosili codzienne wiadomości z dalekiego, cesarskiego miasta. Znosiła wszystko cierpliwie do chwili, gdy doniesiono jej, że Pałac Letni znów został zbezczeszczonej. Kurierzy powiadali, że żołnierze z kilku zachodnich krajów urządzają sobie zabawy w jej świętych przybytkach. Usłyszała, że jej tron zanieśli do jeziora i wrzucili do najgłębszej wody, że skradli jej osobiste szaty i malowidła, a na ścianach pokoi, nawet w jej sypialni, nabazgrali sprośne, ordynarne rysunki i wulgarne słowa. Usłyszawszy to, zachorowała z gniewu i zwróciła jedzenie. Chorowała jeszcze przez kilka dni. Uświadomiła sobie jednak, że powinna „powrócić do stolicy. Niestety, zanim to zrobi, będzie musiała ulec żądaniu wrogów i ściąć wszystkich, którzy sprzyjali i pomagali Bokserom. Dawał jej to jasno do zrozumienia generał Li Hung-czang w swoich codziennych memoriałach, które przysyłał przez kurierów. Czyż jednak powinna zapłacić taką cenę? Przez cały ten czas Jung Lu był codziennie u jej boku. Bierny, cichy i bladej oczekiwał na nieuniknione zakończenie.

Często odwracała się do niego, a czerń jej oczu wydawała się jeszcze głębsza na tle jej bladej, pięknej twarzy. Czasem coś mówiła, a czasem milczała.

- Nie mogę uwolnić się od wroga inaczej, jak tylko mu ulegając? - spytała pewnego dnia.

- Nie, Wasza Wysokość - odpowiedział.

Nie pytała więcej. W milczeniu podniosła na niego swe oczy, a on uśmiechnął się smutno i również nic nie powiedział. Pewnego wieczoru, kiedy siedziała w półmroku na dziedzińcu, stanął przed nią nie zapowiedziany i rzekł:

- Wysłuchaj mnie jako swego kuzyna. Dlaczego nie poddasz się swemu przeznaczeniu? Czy chcesz przeżyć swe życie na wiecznym wygnaniu?



Trzymała na kolanach małego, cynamonowego pieska, który urodził się już na wygnaniu, i bawiąc się jego długimi uszami, odrzekła wolno, robiąc długie przerwy:

- Nie chcę skazywać na śmierć tych, którzy byli mi wierni. Nie chodzi mi o tych mniej znacznych... Ale rozważ, proszę, jak mogłabym zabić mego dobrego ministra, Cza Szucz'iao? Nie sądzę, by wierzył w czary Bokserów. Zbłądził, wierząc w siłę ich oręża. Jednak cudzoziemcy nalegają, by został pozbawiony głowy... Pomyśl, że każą mi wydać wyrok śmierci na Księcia Czia, Jing Niena i starego, wiernego Jii Siena. Domagają się, bym skazała też Cz'i Siii i księcia Tuana... Ach, doprawdy... nie chcę wyliczać dalszych nazwisk. Wszyscy oni są mi wierni, a wielu ruszyło za mną na wygnanie. Mam się teraz od nich odwrócić i pozbawić ich życia?

Jung Lu był wcieleniem czułości i cierpliwości. Jego wychudła i poorana troskami twarz była łagodniejsza od twarzy innych mężczyzn.

- Wiesz dobrze, że nie będziesz tu nigdy szczęśliwa - powiedział.

- Już przed laty wyrzekłam się szczęścia - odrzekła.

- Więc pomyśl o swoim królestwie - przekonywał z nieskończoną cierpliwością. - Czy zdołasz uratować cesarstwo i znów zjednoczyć ludy, jeśli pozostaniesz na wygnaniu? Stolicą będą władali cudzoziemcy, a jeśli oni odejdą, wpadnie w ręce rebeliantów. Wrogowie podzielą między siebie kraj jak złodziejską zdobycz. Ludzie będą żyli w lęku i niebezpieczeństwie, przeklinając cię tysiącrotnie, że z powodu kilku istnień nie chciałeś powrócić na tron, by zebrać poszarpane nitki ich żywotów i znów spleść je w całość.

Wypowiadał ciężkie słowa i nie mogła ich nie słuchać. Jak zawsze, kiedy przypomniano jej o wielkości, stawała się wielka. Mały piesek popiskiwał na jej kolanach, dopominając się pieścizot, a ona głaszcząc jego brązową główkę i długie uszy, zastanawiała się głęboko. Następnie postawiła pieska na ziemi i wstała, by spotkać się z wyczekującym spojrzeniem Jung Lu.

- Myślałam tylko o sobie - powiedziała. - Teraz będę myślała tylko o moim ludzie. Wracam na tron.

W dwudziestym czwartym dniu ósmego miesiąca księżycowego, czyli w dziesiątym miesiącu roku słonecznego, drogi wyschły po letnich deszczach i grunt był twardy. Cesarzowa rozpoczęła długą podróż do domu z przepychem godnym władców Tronu Smoka. Powrócę - mówiła - nie z pokorą, lecz z podniesionym czołem. Opuszczając bramy miasta, zatrzymała się wraz z dworem przy świątyni, aby złożyć ofiarę Bogu Wojny. Potem zarządziła, by przemieszczano się z szybkością dwudziestu mil dziennie, miała bowiem litość

nad dźwigającymi lektyki i palankiny tragarzami oraz nad mułami i mongolskimi końmi, które dźwigały dary i daniny, jakie otrzymała będąc na wygnaniu.

Podczas całej podróży utrzymywała się piękna, jesienna pogoda - sucha i bezwietrzna. Jeden tylko smutek naznaczył powrót. Przyczyną była wiadomość, którą otrzymała przed wyruszeniem w drogę powrotną: zmarł ze starości jej wierny generał Li Hung-czang. Zdarzało się, że bywała z niego niezadowolona, bo on jeden spośród generałów śmiał mówić jej prawdę. Kiedy był wicekrólem w prowincji Czyli, oparł się korupcji i stworzył nieprzekupną armię. Kiedy wysłała go na dalekie południe, aby zrobił porządek z kantońskimi buntownikami, pojechał tam mimo podeszłego wieku i służył jej cierpliwie i z całą zręcznością. Kiedy jeszcze raz wezwała go na północ, był już bardzo stary. Opóźniał swe przybycie, póki nie wyrzekła się band Bokserów. Wtedy powrócił do cesarskiego miasta i tam wraz z księciem Cz'ingiem zawarł pokój z zagranicznym wrogiem, smutny pokój, ale taki, który mógł uratować kraj, gdyby ona nareszcie uległa. Teraz, kiedy zmarł, cesarzowa matka oddała mu sprawiedliwość i ogłosiła, że w obrębie murów cesarskiego miasta każe zbudować na jego cześć świątynię, jeszcze jedną prócz tych, które mu poświęcono w prowincjach, w których był służył. Jej łaska była zmienna i często, kiedy była niezadowolona z Li Hung-czanga, ignorowała z uporem jego rady, mówiąc, że nie rozumie jego dialektu, nie mówił bowiem czystym chińskim. Teraz samowola zniknęła z jej natury, wypalona poniesionymi stratami i lękiem.

Wkrótce miało się okazać, że rada Jung Lu była słuszna. Jej powrót do stolicy był powrotem królewskim. Ludność witała swą cesarzową hymnami pochwalnymi i festynami, wierząc, że teraz, kiedy wygnanie dobiegło końca, kraj znów jest bezpieczny i wszystko będzie takie jak kiedyś. W K'ai-fengu, stolicy prowincji Honan, czekały na nią wspaniałe przedstawienia teatralne, więc nakazała dworowi odpoczynek, by nacieszyć się ulubioną rozrywką, której odmawiała sobie, kiedy kraj był objęty wojną. W tym czasie publicznie, choć delikatnie, zrobiła wymówkę wicekrólowi, który radził jej uprzednio, by nie wracała do stolicy, lecz żyła na wygnaniu. Kiedy jednak wicekról, Wen T'i, zgłosił gotowość połknięcia złota w akcie pokuty, okazała łaskawość i nie zezwoliła mu na to, za co lud bardzo ją chwalił.

Po dojściu do Żółtej Rzeki znów zrobiła przerwę w podróży. Jesienne niebo było fiołkowieńskie, bezchmurne i czyste, a suche powietrze ciepłe w dzień i chłodne w nocy.

- Złożę ofiary Bogu Rzeki - oświadczyła - będzie to ceremonia dziękczynienia i oczyszczenia.

Dokonała tego z wielką pompą i przepychem. Jasne południowe słońce oblewało blaskiem jej ceremonialny strój i lśniło na kolorowych szatach otaczających ją dworzan.

Modląc się, zauważyła z zadowoleniem kilku białych ludzi w tłumie, który okupował brzegi rzeki. Nie wiedziała, z jakiego są kraju, ale ponieważ zdecydowała, że będzie teraz łaskawa i uprzejma w stosunku do swych wrogów, posłała dwóch eunuchów, aby zanieśli w darze cudzoziemcom wino, suszone owoce i arbuzy. Poleciała też swym ministrom i książętom, by zezwolono cudzoziemcom obserwować jej wjazd do stolicy. Następnie wstąpiła na baręk, którą zbudowały dla niej władze miasta, baręk imitującą potężnego smoka pokrytego łuskami ze złota, z płonącymi czerwono oczami z rubinów.

Dowodem na zmianę stosunku do tych, którzy niedawno byli jej wrogami, miało być to, że pewną część swej podróży cesarzowa postanowiła odbyć koleją. Kolej biegła po żelaznych szynach i była dawną zabawką cesarza, której mu zawsze zabraniała. Teraz jednak postanowiła nią pojechać, aby pokazać cudzoziemcom, że się zmieniła, że stała się nowoczesna i zdolna jest zrozumieć ich zwyczaje. Oświadczyła jednak, że w święte mury miasta nie wjedzie we wnętrzu tego żelaznego potwora. Przez wzgląd na cesarskich przodków rozkazała, by pociąg zatrzymał się na zewnątrz miasta. Tam miała przesiąść się do lektyki i w ten sposób przekroczyć cesarską bramę. Na zewnątrz miasta zbudowano więc tymczasową stację, a obok stacji ustawiono dla niej i dla dworu obszerne pawilony, w których można było wypocząć. Tutaj właśnie miało nastąpić oficjalne powitanie powracającej cesarzowej. Pawilony wyłożono kosztownymi dywanami, ozdobiono wazonami z delikatnej porcelany, drzewami w donicach, późno kwitnącymi chryzantemami i orchideami. W głównym namiocie postawiono dwa trony, jeden -■ ze złotej laki - dla cesarzowej, drugi - twardego drzewa pomalowanego na czerwono i złoto - dla cesarza.

Potrzeba było aż trzydziestu wagonów, by przewieźć cały dwór wraz z dobytkiem. Długi pociąg wił się między nagimi wzgórzami, aż przybył na stację. Cesarzowa wyjrzała przez okno i uspokoiła się nieco, widząc czekający na nią wielki tłum poddanych, na którego czele stali w oficjalnych szatach książęta, generałowie i urzędnicy miejscy. Po jednej stronie spostrzegła zagranicznych posłów w ich dziwnych czarnych surdutach - wpatrzyła się w ich groźne twarze odpychające bladością i grubymi rysami i zmusiła się do uprzejmego uśmiechu.

Powitanie odbyło się zgodnie z ceremoniałem. Kiedy książęta, generałowie oraz inni Mandżurowie i Chińczycy ujrzeli w oknie twarz cesarzowej, padli na kolana, a mistrz ceremonii dworu cesarskiego wykrzyknął do cudzoziemców, by zdjęli nakrycia głowy, aczkolwiek oni zrobili to już wcześniej. Pierwszy z wielką dumą i godnością wyszedł z pociągu naczelny eunuch, Li Lien-jing. Nie zwracając na nikogo uwagi, zabrał się bez zwłoki do pilnowania i sprawdzania licznych pak z daninami i skarbami, które tragarze wynosili z

wagonów towarowych. Następnie pojawił się cesarz, ale cesarzowa dała mu znak i wszedł szybko do czekającej na niego lektyki, tak że nie zgotowano mu powitania. Dopiero kiedy wszystko było gotowe, z pociągu zstąpiła sama cesarzowa. Podtrzymywana przez książęta zeszła ze stopni i stała w jasnym słońcu, podziwiając widok i sama będąc podziwiana, podczas kiedy jej poddani klęczeli w hołdzie z czołami na czysto wymiecionej ziemi.

Cudzoziemcy stali razem po lewej stronie, z nagimi głowami, ale wyprostowani. Zdumiała się ich liczbą.

- Iluż ich tu jest? - spytała czystym głosem, który rozszedł się w ciszy i dotarł do uszu samych cudzoziemców. Spostrzegłszy, że zdają się rozumieć, co powiedziała, uśmiechnęła się do nich z wdziękiem i rozpoczęła ożywioną rozmowę z kilku zarządcami cesarskiego domu. Wszyscy podziwiali ją, mówiąc, że wygląda zdrowo i młodo jak na swoje lata. I rzeczywiście - w bezlitosnym świetle słońca skóra jej była bez skazy, a włosy nadal czarne i bujne. Li Lien-jing, ukończywszy swą pracę i przejrząwszy dwukrotnie każdą ze skrzyń, wręczył jej listę przywiezionych skarbów. Cesarzowa wzięła zwój, zbadła go dokładnie i oddała mu go, skinąwszy z aprobatą głową.

Następnie wicekról Jtian Szy-k'ai poprosił ją, by wolno mu było przedstawić kierownika pociągu i maszynistę, na co zgodziła się z nieskazitelnym wdziękiem. Kiedy obaj biali ludzie stanęli przed nią z gołymi głowami, podziękowała im za to, że uprzejmie posłuchali jej prośby, by pociąg dla jej bezpieczeństwa nie przekraczał szybkości piętnastu mil na godzinę. Potem zasiadła w swym palankinie i pozwoliła się zanieść do miasta. Zdecydowała, że wejdzie przez Południową Bramę do miasta zewnętrznego, a następnie przez wielką bramę do Miasta Cesarskiego. Tam zatrzymała się na chwilę, aby pomodlić się w świątyni Boga Wojny. Zeszła z palankinu, uklękła, aby wnieść podziękowania i zapalić kadzidła, podczas kiedy mnisi recytowali rytualne modlitwy. Po zakończeniu obrzędu wstała z kolan i wyszła ze świątyni. Stojąc na jej progu, ujrzała na murach stu, a może nawet więcej, cudzoziemców - mężczyzn i kobiety, którzy wyszli, by się jej przyjrzeć. Najpierw rozgniewała się i chciała wezwać eunuchów, by ich rozpędzili. Ale powstrzymała się, wspomniawszy, że jest teraz władczynią z łaski tychże cudzoziemców. Opanowała swój gniew i z takim wdziękiem, że zdawało się, iż robi to naturalnie i z wielką przyjemnością, kiwała cudzoziemcom głową i uśmiechała się do nich uprzejmie. Następnie znów weszła do lektyki i udała się do swego pałacu.

Jak piękny wydawał się jej teraz pałac przodków, nie splugawiony przez wroga, ocalony dzięki temu, że się poddała! Szła od sali do sali, aż dotarła do wielkiej sali tronowej, zbudowanej przez Cz'ien Lunga.

Teraz ta sala znów należy do mnie, pomyślała, i mogę stąd sprawować rządy...

Za salą tronową znajdowały się jej dziedzińce, takie jak kiedyś - z bezpiecznymi ogrodami, cichymi, czystymi basenami. Potem mała sala audiencyjna, a za nią sypialnia. Wszystko, wszystko było takie jak dawniej. Ocalały wspaniałe drzwi - ich cynobrowa barwa zachowała świeżość, a złote daszki przetrwały nie uszkodzone. Przetrwał również Złoty Budda w swej świątyni.

Tutaj, myślała, będę żyła i tutaj umrę spokojnie jak moi przodkowie...

Za wcześniej było jednak myśleć o spokojnej śmierci. Kiedy odpoczęła i zjadła posiłek, pośpieszyła sprawdzić, czy skarb jej przetrwał bezpiecznie. Wraz ze swym eunuchem udała się więc do sali, gdzie był ukryty, i stanęła przed ścianą, przyglądając się każdemu pęknięciu i występowi w warstwie cegieł.

- Ani jedna cegła nie została naruszona - powiedziała bardzo zadowolona. Zaśmiała się śmiechem tak radosnym i psotnym, jak kiedyś. - Te zagraniczne diabły - dodała - z pewnością przechodziły tędy raz po raz, ale nie były dość bystre ani nie znały czarów, które powiedziałyby im, jakie tajemnice skrywa ten mur.

Następnie poleciła Li Lien-jingowi, by kazał zburzyć ścianę i dopilnował każdej paczuszki, która tam się znajduje.

- Bądź bardzo uważny - upominała. - Nie chcę, by zachłanni eunuchowie pozbawili mnie tego, czego nie pozbawiły mnie zamorskie diabły.

- Czyż nie jestem godny zaufania, Wasza Wysokość? - spytał eunuch przewracając oczami i udając, że go tym zraniła.

- Dobrze, dobrze - powiedziała i znów poszła do swego pokoju. Ach, ten spokój, ta radość powrotu! Cena była wysoka, kto wie, czy nie zbyt wysoka. Będzie ją płacić przez resztę swych dni - do końca swego życia będzie bowiem musiała okazywać łaskawość swym wrogom, udawać, że ich ceni i lubi. Do tego zadania wzięła się jeszcze tego samego dnia. Nim zaszło słońce, oświadczyła, że pragnie znów zaprosić żony ambasadorów obcych państw, i własnoręcznie napisała zaproszenia mówiące, że wdzięczna pamięć każe jej odnowić znajomość. Następnie, aby zmyć z siebie każdą plamę, kazała pośmiertnie odznaczyć konkubinę Perłę, oznajmiając w specjalnym dekrete, że dama ta nie mogła towarzyszyć cesarzowi w czasie jego wygnania, a ponieważ nie chciała patrzeć na bezczeszczenie cesarskich świątyń i plugawienie pałaców przez cudzoziemskich wrogów, skoczyła do głębokiej studni.

Noc już zapadła, kiedy zakończywszy te działania, cesarzowa zapytała Li Lien-jinga, czy przybył Jung Lu. Chciała bowiem, aby złożył jej sprawozdanie.

- Już idę, Wasza Wysokość - powiedział eunuch i wkrótce powrócił z wieścią, że Jung Lu właśnie przybył do cesarskiego miasta i niebawem nadejdzie.

Czekała w swej prywatnej sali tronowej, aż uchyliły się zasłony i ukazali się Li Lien-jing i Jung Lu. Opierał się ciężko na dwóch młodych eunuchach, między którymi wyglądał tak staro i słabo, że radość z powrotu szybko opuściła serce cesarzowej.

- Wejdz, krewniaku - powiedziała i zwróciła się do eunuchów. - Podprowadźcie go tutaj, do tego wyściełanego krzesła. Niech nie składa pokłonu i nie męczy się. Ty zaś, Li Lien-jingu, przynieś miskę dobrego, gorącego rosolu, dzbanek ciepłego wina i trochę podgrzanego chleba. Mój kuzyn, służąc mi, zanadto się znużył.

Eunuchowie pobiegli wykonać polecenia. Kiedy zostali sami, cesarzowa wstała, podeszła do Jung Lu, stanęła przy nim i widząc, że nikogo nie ma w pobliżu, dotknęła jego czoła i pogładziła jego ręce. Och, jakże chude były te ręce, jak zapadnięte policzki i jak gorące ciało!

- Proszę cię - wyszeptał. - Proszę cię, odsuń się ode mnie. Zasłony mają oczy, ściany mają uszy.

- Czy nigdy nie będzie mi wolno służyć tobie? - błagała.

Widziała jednak, że czuje się nieswojo i boi się, by jej honor nie został splamiony. Westchnęła więc i znów zasiadła na tronie. Wówczas wyjął z zanadrza zwój i czytając go powoli, z trudnością, bo jego oczy wydawały się zamglone, składał jej sprawozdanie o tym, jak pod jego opieką damy dworu opuszczały pociąg. Najpierw wysiadły z wagonu cesarska małżonka i towarzysząca jej cesarska księżniczka, które odprowadził do lektyki z żółtymi zasłonkami. Następnie zeszły trzy cesarskie konkubiny, które odprowadził do trzech lektyk z zielonymi zasłonami o lamówkach ze złotego ałasu. Tragarze zanieśli je do cesarskiego miasta. Na koniec wysiadły damy dworu, które zaprowadził do zwykłych wozów, po dwie do jednego.

- Jak zawsze - powiedział, podnosząc wzrok znad zwoju - starsze damy nieustannie narzekały, opowiadając jedna drugiej o strasznej podróży w pociągu, o brudnym dymie i o tym, jak wymiotowały. Kiedy już wreszcie odjechały, zająłem się dozorowaniem wynoszenia skrzynek ze sztabami kruszców, z których każda oznaczona była nazwą prowincji i miasta, które składało daninę... Nielekkie zadanie, Wasza Wysokość, bo pamiętasz, że przed załadowaniem do pociągu, bagaż wypełniał trzy tysiące wozów. Ale nie to mnie trapi. Obawiam się gniewu ludzi, kiedy dowiedzą się, ile kosztowała ta długa droga do domu. Cesarski Trakt, Wasza Wysokość, i te wspaniałe domy wypoczynku co dziesięć mil pochłoną wiele pieniędzy z podatków...

Cesarzowa przerwała mu delikatnie i uprzejmie.

- Jesteś zbyt znużony. Odpocznij teraz. Znow jesteśmy w domu.

- Niestety, będziemy dźwigać wiele ciężarów - rzekł cicho.

- Ale nie ty - oświadczyła. - Niech je dźwigają inni.

Przyglądała się teraz jego przystojnej, starzejącej się twarzy z troską i miłością, a on poddawał się jej badawczemu spojrzeniu. Tych dwoje osiągnęło już taką bliskość, jaka w małżeństwie nie byłaby możliwa. Wyrzekli się swych ciał, ale ich umysły spletały się każdą myślą, serca łączyły się w każdym nastroju i ich znajomość siebie była pełna. Wyciągnęła prawą rękę i delikatnie pogładziła jego palce, czując ich chłód pod swą dłońią. W komunii dusz minęła cała chwila. Następnie wymienili bez słowa głębokie spojrzenie i Jung Lu odszedł.

Skąd mogła wiedzieć, że po raz ostatni dotyka jego twarzy? Tej nocy powalił go nawrót starej choroby. Znow leżał na łóżku bez przytomności przez wiele dni. Cesarzowa posyłała do niego dworskich lekarzy, a kiedy żaden z nich nie potrafił pomóc, wysłała do niego medyka-jasnowidza, o którym jej brat, Kuei Hsiang, mówił, że uzdrawia w sposób czarodziejski. Los jednak okazał się nieubłagany i nadszedł kres życia Jung Lu. Zmarł, wciąż pozbawiony świadomości, przed świtem w trzecim miesiącu księżycowym i czwartym słonecznym nowego roku. Cesarzowa nakazała dworowi pełną żałobę, a sama postanowiła przez cały rok unikać jasnych strojów i zrezygnować z noszenia w tym czasie swych klejnotów.

Nic jednak nie mogło rozproszyć mroków panujących w głębi jej serca. Gdyby była zwykłą kobietą, mogłaby stanąć przy jego trumnie i okryć jego ramiona purpurową, atlasową narzutą. Mogłaby spędzić noc przy jego ciele i nosić białą żałobę, świadczącą o doznanej stracie. Mogłaby płakać i zawodzić, by ulżyć swemu sercu. Była jednak cesarzową i nie mogła opuścić pałacu. Nie mogła głośno zapłakać ani okazać wzruszenia przekraczającego granicę wzniesłego smutku po zmarłym, wiernym słudze tronu. Jedyłą ulgę przynosiła samotność i gorąco tęskniła do godzin, które mogła wykraść dla siebie w nawale codziennych zadań, jakie stały przed rządem nękanego kłopotami kraju.

Pewnej nocy poprosiła kobiety o zaciągnięcie zasłon, by w tajemnicy przed wszystkimi opłakiwać swą stratę. Leżała nie mogąc zasnąć, z sercem krwawiącym, słysząc, jak stróż wybija na bębnie północ. Leżała i pozwalała, by smutek przenikał ją głęboko, aż wpadła w rodzaj transu, czując, że dusza jej oddziela się od ciała. Widziała znow Jung Lu. Był młody, lecz obdarzony mądrością starszego wieku. Śniła, że wziął ją w ramiona i trzymał ją tak długo, aż boleść ustąpiła i poczuła się znow wolna i lekka. A wtedy usłyszała jego głos:

- Zawsze jestem z tobą - mówił - kiedy jesteś subtelna i mądra. Jestem z tobą, moje myśli mieszają się z twoimi, moja dusza przenika twoją.

Wspomnienie...? Ale czyż nie było to coś więcej niż wspomnienie? Gorąca pewność spływała z duszy do ciała. Kiedy się przebudziła, znużenie odeszło z jej członków. Ona, która tak bardzo była kochana, nigdy więcej nie będzie samotna. To właśnie znaczył ten sen.

W życiu cesarzowej nastąpiła teraz taka zmiana, że nikt nie potrafił tego zrozumieć, a ona, widząc to zdumienie, nie chciała jednak zdradzić swej tajemnicy. Kierowana odwieczną mądrością, zamieniła klęskę w zwycięstwo. Nie walczyła już dalej, lecz z wdziękiem uległa swemu bystremu rozumowi. Ku powszechnemu zdumieniu zaczęła nawet zachęcać młodych Chińczyków, by wyjeżdżali za granicę i zapoznawali się z techniką i wiedzą Zachodu.

„Mężczyźni w wieku od piętnastu do dwudziestu pięciu lat - oświadczała w dekrete - zdolni i zdrowi, mogą, jeśli zechcą, udać się za Cztery Morza. Pokryjemy koszty”.

Wezwała do siebie ministra Jiian Szy-k'aia i chińskiego uczonego, buntownika Czang Czy-tunga, których rad słuchała przez wiele dni, po czym zadekretowała, że stare cesarskie egzaminy państwowe należą do przeszłości, wyjaśniła ponadto w stosownym edyktie, że dwa i pół tysiąca lat temu, za czasów panowania dobrego, światłego władcy, regenta księcia Czou, uniwersytety były bez wątpienia podobne do obecnych instytucji naukowych na Zachodzie; udowodniła też na podstawie ksiązek historycznych, że ósmioczęściowe klasyczne rozprawy nie mają pochodzenia starożytnego, lecz są wymysłem uczonych z epoki Ming, żyjących zaledwie około pięćset lat temu, więc współczesna młodzież powinna wybierać się po naukę nie tylko do Japonii, ale także do Europy i Ameryki, ponieważ w obliczu nieba wszyscy ludzie żyjący wokół Czterech Mórz stanowią jedną rodzinę.

Wszystko to uczyniła w rok po śmierci Jung Lu, śmierci cielesnej.

Zanim minął następny rok, wydała dekret zakazujący używania opium. Miało to nastąpić stopniowo, bo cesarzowa troszczyła się o starców przyzwyczajonych do jednej lub dwóch fajeczek przed snem. Import i produkcja opium miały się jednak zakończyć w ciągu dziesięciu lat, co roku ulegając znacznemu zmniejszeniu.

W tym samym roku, długo rozmyślając, doszła do wniosku, że cudzoziemcy, których nie nazywała wrogami, ale których nie mogła nazwać przyjaciółmi, bo byli jej zbyt obcy, nigdy nie wyrzekną się tych niedobrych praw i przywilejów, którymi cieszyli się wszyscy biali, zarówno dobrzy, jak i źli, jeśli nie zarządzi, aby zarzucono tortury, niezależnie od rodzaju popełnionego przestępstwa, i nie rozkaże, by zbrodnię osądzało prawo, a nie siła i zadawane męki. Wydała więc rozkaz, by zaprzestano piętnowania, darcia pasów, rozczłonkowania ciał skazańców, chłosty, a także karania niewinnych krewnych. Kiedyś,



dawno temu, Jung Lu radził, by to zrobiła, ale nie usłuchała go wtedy. Teraz o tym pamiętała.

Kto, myślała, zajmie jej miejsce, gdy odejdzie do Żółtych Źródeł? Nigdy nie zostawi cesarstwa słabemu cesarzowi, który zostanie na zawsze jej więźniem. Nie, należy wynieść jakąś młodą, silną istotę. Ale gdzie ją znaleźć? Kto jest dość silny, by zmierzyć się z nadchodzącymi stuleciami? Czowała magię przyszłości. Ludzkość, mówiła swym księżętom, może jeszcze osiągnąć status bogów. Stawała się też coraz ciekawsza Zachodu, skąd nadchodziła nowa siła, i mawiała często, że gdyby była młodsza, może sama ruszyłaby w podróż na zachód, aby przyjrzeć się nowym światom.

- Niestety - powiedziała żałośnie, lecz z wdziękiem - jestem bardzo stara. Zbliży się mój koniec.

Kiedy tak mówiła, jej panie protestowały, twierdząc, że nadal piękniejsza jest od wielu kobiet, że jej skóra jest świeża i jasna, podłużne oczy czarne i błyszczące, a wargi czerwone i pełne. To wszystko prawda, przyznawała skromnie z cieniem dawnej wesołości, ale przecież nawet ona nie może żyć wiecznie.

- Jeszcze dziesięć tysięcy lat, Stary Buddo - odpowiedziały. - Dziesięć tysięcy lat!

Nie dała się jednak oszukać i w następnym edykcie rozkazała, by komisja, złożona z najlepszych ministrów pod przewodnictwem księcia Tsai Tse, wybrała się do krajów Zachodu. Wydała im następujące polecenie:

„Jedźcie do wszystkich krajów i zobaczcie, które z nich są najszcześniejsze, które najlepiej prosperują, a poddani żyją w nich szczęśliwi i zadowoleni ze swych władców zażywając pokoju. Z tych krajów wybierzcie cztery najlepsze i zostańcie w każdym z nich po roku. Zbadajcie tam, jak rządzą władcy, co rozumie się przez konstytucję i rządy ludu. Wróćcie z pełnym rozumieniem tych spraw”.

Miała jednak wrogów, którzy znajdowali się wśród jej własnych poddanych. Powiadali oni, że cesarzowa kłania się obcym najeźdźcom, że utraciła swą dumę, że przez jej pokorę poniżony jest cały naród.

„Nami, Chińczykami - pisał w memoriale jeden z chińskich uczonych - gardzi się jak prostytutkami, kiedy zachowujemy się ulegle w stosunku do cudzoziemców, ale co mamy powiedzieć, kiedy sama cesarzowa poniża się otwartą przyjaźnią z żonami ambasadorów obcych państw. Te jej uśmiechy, wymachiwania chusteczką, kiedy niesiona w lektyce udaje się na modły i spostrzega na ulicy cudzoziemki. Słyszymy nawet, że w pałacu znajduje się zagraniczne pożywienie, a sala jadalna umeblowana jest zagranicznymi krzesłami i stołami. A wszystko to dzieje się w czasie, gdy obce poselstwa znów ostro występują przeciwko naszemu krajowi”.

Inny zaś uczony pisał:

„Trudno uwierzyć, by cesarzowa, w jej wieku, potrafiła zmienić swe zwyczaje i wyzbyć się starej nienawiści. Bez wątpienia sami cudzoziemcy zastanawiają się, co im w istocie sżykuje”.

A jeszcze inny powiadał:

„Ten nowy, dziwny sposób bycia cesarzowej ma bez wątpienia jeden cel - władczyńi pragnie zapewnić sobie na starość spokój”.

Wszystkie te oceny wywoływały tylko uśmiech na jej twarzy.

- Wiem, co robię - powiedziała z głębi swego owładniętego pamięcią o ukochanym serca. - Dobrze wiem, co robię, i nic mnie teraz nie dziwi. Dawno słyzałam o takich rzeczach, ale dopiero teraz ich doświadczam. Mówiono mi... ale dopiero teraz uwierzyłam.

Ci, którzy ją słyżeli, nie rozumieli tego, ale o tym też wiedziała i nie zmieniła się.

Kiedy minęły dni żałoby po Jung Lu, cesarzowa wysłała zaproszenia wszystkim posłom, aby wraz z żonami i dziećmi wzięli udział w wielkim noworocznym przyjęciu. Sami posłowie mieli ucztować w głównej sali bankietowej, ich panie w prywatnej sali bankietowej cesarzowej, natomiast cesarskie konkubiny miały gościć w swych apartamentach dzieci, biorąc do pomocy służące i odpowiednich eunuchów.

Nigdy przedtem cesarzowa nie przygotowywała tak wielkiego przyjęcia. Cesarz miał przebywać z posłami, a ona miała się ukazać po uczcie. Na stołach miały się pojawić potrawy Wschodu i Zachodu. Zatrudniono trzystu kucharzy, przygotowano dworskich muzyków, a cesarscy aktorzy przyszykowali program, na który składały się cztery trzygodzinne spektakle.

Sama cesarzowa również włożyła pewien wysiłek w przygotowanie przyjęcia. Poleciała córce swego pełnomocnika na Europę, damie pięknej i młodej, która miała obowiązek przebywania na dworze przez dwa lata, aby nauczyła ją, jak pozdrowić zagranicznych posłów po angielsku. Po przestudiowaniu mapy cesarzowa stwierdziła, że Francja jest zbyt małym krajem, by zwracać uwagę na jej język, Ameryka zaś zbyt młoda i nieokrzesaana. Anglią natomiast władala wielka kobieta, do której zawsze czuła sympatię. Dlatego też wybrała język królowej Anglii. Rozkazała nawet, by portret królowej Wiktorii powieszono w jej własnym pokoju, a przyjrząwszy mu się dokładnie, oświadczyła, że dostrzega na tym obliczu te same linie długowieczności, które obecne są i na jej własnej twarzy.

Jakże więc zdumieni byli cudzoziemscy posłowie, kiedy cesarzowa przywitała ich po angielsku! Wniesiono ją na wielką salę w cesarskiej lektyce, którą dźwigało dwunastu

tragarzy w żółtych uniformach, po czym wystąpił cesarz, by jej towarzyszyć. Zeszła opierając swą upierścienioną rękę na jego ramieniu i szła w kierunku tronu z dawnym, młodzieńczym wdziękiem, skłaniając głowę w prawo i w lewo, ubrana od stóp do głów w błyszczącą złotą szatę haftowaną w jasnoniebieskie smoki. Stroju dopełniał sznur nieskazitelnych pereł i ozdobione rubinami i nefrytami przybranie głowy. Cóż takiego mówiła? Posłowie, którzy jeden po drugim skłaniali przed nią głowy w pokłonie na zachodnią modłę niezbyt głębokim, słyszeli słowa - w pierwszej chwili nie mogli ich rozpoznać, ale kiedy powtarzała je raz po raz, stały się jasne.

- Dzin dobra... - mówiła. - Czeszliwego nowego roku! Zapraszam na herbata!

Pojmowali, jeden po drugim, że cesarzowa pozdrawia ich, życzy im szczęśliwego nowego roku i zaprasza ich na herbatę. Posłowie, wysocy, sztywni mężczyźni w swych sztywnych ubiorach, byli tak poruszeni, że zaczęli klaskać, co początkowo zdumiało, a nawet zmieszało cesarzową, która nigdy w życiu nie widziała mężczyzn bijących dłonią w dłoń. Wpatrując się jednak w kanciaste, obce twarze, zobaczyła na nich jedynie uznanie dla swego wysiłku, więc zaśmiała się lekko, bardzo zadowolona. A kiedy już usiadła na tronie, rzuciła w swoim własnym języku uwagę do zgromadzonych po obu jej stronach książąt i ministrów:

- Spójrzcie, jak łatwo przyjaźnić się nawet z barbarzyńcami! Wymaga to tylko niewielkiego wysiłku ze strony osób cywilizowanych.

Tak zakończył się uroczysty dzień, a kiedy obdarzono już upominkami zagraniczne damy i ich dzieci, a ich służącym rozdano pieniądze owinięte w czerwony papier, cesarzowa oddaliła się do swego pokoju. I jak to się już stało jej zwyczajem, w samotności przyglądała się minionym dniom i latom, myśląc o swym długim życiu i snując plany dotyczące przyszłości jej ludu. Pomyślała, że tego dnia sprawiła się dobrze. Położyła podwaliny pod przyjaźń i zgodę z obcymi potęgami. Myślała też o Wiktorii, królowej Zachodu, marząc, że kiedyś mogłyby się spotkać i porozmawiać o tym, jak przekształcić ich dwa światy w jeden.

Wszyscy w obliczu nieba tworzymy jedną rodzinę, powiedziałaaby królowej.

Niestety, zanim marzenia te mogły dojrzeć, po świecie rozległ się krzyk, że Wiktorii nie żyje. Cesarzowa osłupiała.

- Jak umarła moja siostra? - zawołała.

Kiedy usłyszała, że Wiktorii, chociaż tak kochana przez swych poddanych, umarła jak każdy śmiertelnik z powodu podeszłego wieku, wieść ta przeszła mieczem jej cesarskie serce.

- Wszyscy musimy umierać - wyszeptwała, przenosząc spojrzenie od twarzy do twarzy.

Do tej chwili nie czuła przy sobie śmierci. Teraz jednak pojęła, że musi znaleźć

dziedzica, prawdziwego dziedzica, bo jeśli Wiktoria nie żyje, to umrzeć może każdy. Musi zrobić to szybko, mimo że nadal jest silna, że zanim złoży ją w cesarskiej trumnie, może żyć jeszcze długo, dostatecznie długo, by zobaczyć, jak dziecko wyrasta na młodzieńca, a jeśli niebo będzie sprzyjać, jak przeistacza się w mężczyznę. Musi zatem znaleźć następcę tronu, chłopca, w którego imieniu będzie władać, ucząc go jednocześnie sztuki bycia cesarzem. Tym razem pozwoli jednak, by malec uczył się świata. Wezwie nauczycieli z Zachodu. Tak, pozwoli, by miał swoje kolejki żelazne, wojenne okręty, strzelby i armaty. Musi nauczyć się prowadzić wojny na sposób zachodni, aby w swoim czasie, kiedy ona odejdzie, tak jak odeszła Wiktoria, mógł dokonać tego, czego ona nie potrafiła. On musi wyprzeć nieprzyjaciela za morza.

Gdzie znaleźć to dziecko? Pytanie to dręczyło ją do chwili, kiedy nagle uprzytomniła sobie, że dziedzic ten narodził się w pałacu Jung Lu. Jego córka, która wyszła za mąż za księcia Cz'una, urodziła syna, wnuka Jung Lu. Pochyliła głowę, by skryć przed niebem swój uśmiech. W ten sposób wyniesie ukochanego aż na Tron Smoka! Taka jest jej wola i niebo musi ją zaakceptować.

Jednak nie oznajmił przedwcześnie o swym wyborze. Będzie zjednywać bogów i chronić życie dziecka, utrzymując swój plan w sekrecie, dopóki cesarz nie spocznie na łożu śmierci - co z pewnością nastąpi niedługo, bo jego ciało udręczone jest bólem i chorobą. Ostatnio nie czuł się nawet na tyle dobrze, by spełnić jesienne ofiary. Uskarżał się, że częste zginanie kolan jest ponad jego siły, więc sama musiała dokonać za niego obrzędu. Starożytne prawo mówi, że nie można ogłaszać następcy tronu, dopóki cesarz nie patrzy na Żółte Źródła, zbliżając się do śmierci. Jeśli nie nastąpi to dostatecznie szybko, jej eunuch może delikatnie, trucizną...

Postyszała szum wiatru i podniosła głowę.

- Słuchajcie - wykrzyknęła do swoich pań, stojących niedaleko tronu. - Czy wiatr niesie deszcz?

Przez ostatnie dwa miesiące kraj doświadczał klęski zimowej suszy, która niszczyła oziminy i sięgała samych korzeni drzew. Nie spadła ani odrobina śniegu, a od południa nadciągnęły wyjątkowe w tej porze roku upały i przez ostatnich siedemnaście dni było tak ciepło, że oszukane piwonie wypuszczały pędy. Ludzie gromadzili się w świątyniach, by robić wymówki bogom, a cesarzowa nakazała mnichom buddyjskim, by w codziennych procesjach obnosili bogów po polach, aby ci mogli się naocznie przekonać, jak wielkie powstają szkody.

- Co to za wiatr - spytała znów - i gdzie się rodzi?

Damy dworu posłały po eunuchów, którzy wybiegli na podwórza, unieśli ręce i wystawiali twarze na wszystkie strony, a wracając zakrzyknęli, że wiatr wieje od wschodnich mór i pełen jest wilgoci. Kiedy to mówili, wszyscy usłyszeli grzmoty, zupełnie niespodziewane, nie pasujące do tej pory roku, a jednak wyraźne. Z ulic dochodził hałas, bo z wszystkich domów wypadali ludzie, aby patrzeć w niebo.

Wiatr wzmagał się. Wył między pałacami, a silne podmuchy szarpały drzwiami i oknami. Był to jednak czysty, pozbawiony kurzu wiatr od morza. Cesarzowa powstała z tronu i wyszła na podwórze. Ona również uniosła twarz ku kłębiącemu się niebu i wciągała wiatr w nozdrza. W tej samej chwili niebo rozwarło się i zaczął padać deszcz, gęsty, zimny deszcz, dziwny w zimie, ale jakże pożądany!

- Dobry znak - powiedziała półgłosem.

Damy wybiegły, aby ją odprowadzić, ale odsunęła je i stała przez chwilę, a krople deszczu spływały po niej całej. Kiedy tak stała, daleko za murami wzbił się w powietrze wielki krzyk, hałas wielu wołających razem głosów...

- Stary Budda... Stary Budda... zsyła deszcz!

Stary Budda... to była ona, a jej lud obwoływał ją boginią.

Odwróciła się i zrobiwszy kilka kroków, weszła do swej prywatnej sali tronowej, gdzie stanęła przy drzwiach. Z jej atlasowych szat ściekała na posadzkę woda, a kiedy damy wycierały ją do sucha swymi jedwabnymi chusteczkami, śmiała się z ich łagodnych wymówek.

- Od czasów mojego dzieciństwa nigdy nie byłam tak szczęśliwa - powiedziała im. - Teraz przypominam sobie, że kiedy byłam dzieckiem, lubiłam biegać po deszczu...

- O, Stary Buddo! - damy szemrały w uwielbieniu.

Cesarzowa z wdziękiem i całą delikatnością zganiała swoje panie.

- To niebo zesłało deszcz - powiedziała. - Jakże ja, śmiertelniczka, mogłabym rozkazywać chmurom?

Nie ustępowały jednak i spostrzegła, że bardzo pragną ją chwalić.

- To ze względu na ciebie, Stary Buddo, spadł ten deszcz, szczęśliwy deszcz, błogosławiący nam z twojego powodu.

- Dobrze, dobrze - powiedziała i zaśmiała się, aby sprawić im przyjemność. - Może - rzekła - może...